BIBLIOTEKA
PWSP
RZESZÓW
256817
Tarnowski,
Z. Krasiński.

L. inw. 64/1a

ZYGMUNT KRASIŃSKI

ST. TARNOWSKI

ZYGMUNT KRASIŃSKI

TOM I

BIBLIOTEKA
Państwowego Pedagogium
w Krakowie

W KRAKOWIE
AKADEMIA UMIEJĘTNOŚCI
NAKŁADEM FUNDUSZU NESTORA BUCEWICZA
SKŁAD GŁ. W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYD. POL.
1912.

BIBLIOTEKA
Państwowej
Wyższej Szkoły Pedagogicznej
W KRAKOWIE

2568

WYDANIE DRUGIE UZUPEŁNIONE I POWIĘKSZONE.

UP - Kraków BG
1050146221

L. 2568/II.

W DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO W KRAKOWIE
POD ZARZĄDEM JÓZEFA FILIPOWSKIEGO.

PRZEDMOWA DO PIERWSZEGO WYDANIA.

Na schyłku wieku, kiedy gasnąć się zdają jedne po drugich te wielkie myśli, dążenia, nadzieje, które nad nim jaśniały, a świat nasz chciały wieść do lepszej przyszłości; kiedy pękają formy w których wiek ten żył, a nierozwiązane leżą kwestye i sprawy któremi się zajmował, i kiedy w miejsce ich wstępują inne myśli i dążenia, i wykształcą sobie zapewne formy inne i inne porządki rzeczy; na tym schyłku wieku czas jest i potrzeba zebrać co się wie i co się myśli o człowieku, który tych dążności szlachetnych, potężnych, nieurzeczywistnionych, był najwierniejszym, najdokładniejszym, a podobno i najwyższym wyrazem; który »na światach poczętych, na światach mających zginąć« przeczuwał, przenikał, wskazywał myśl Bożą w ludzkich dziejach — o Zygmuncie Krasińskim. Świat się zmienia; ludzie, którzy po nas nastąpią, któż wie czy zdołają rozumieć go tak dobrze jak my, którzy, nawet kiedy nie jednako z nim myślimy, czujemy zawsze i chcemy zawsze taksamo, jak on? O wielkość i o chwałę jego jesteśmy spokojni; czas i bieg wypadków sprawdzi, udowodni mądrość i wzniosłość jego myśli, ukaże gieniusz jego w jasnem świetle, i postać jego po długich latach nie maleć i znikać, ale owszem, róść będzie w wyobrażeniu i w poszanowaniu świata. Ale po tych długich latach, zwykłym ludzkich rzeczy

porządkiem, zatrze i zapomni się wiele z tego, co do znajomości i rozumienia tego poety potrzebne, nam dziś jest wiadomem, a dla potomnych byłoby zagadką. Lepiej więc nie zwlekać, i pomimo wszystkiego, czego po temu w przedmiocie samym jeszcze, lub w piszącym, brak, podjąć tę pracę o Krasińskim, która potrzebna jest; która się jemu i narodowi naszemu należy (jednemu jako prawo, drugiemu jako powinność), a która jest obowiązkiem tego pokolenia, które się jeszcze na Krasińskim chowało, z niego głównie wzięło ten zapas pojęć i przekonań, którym kierowało się w swojem życiu.

Wiemy dobrze, że nie wszystko jeszcze jest odkryte, co do gruntownego poznania i zrozumienia Krasińskiego potrzebne. Z dokumentów najważniejszych, z własnych jego słów i zeznań o sobie, z jego listów, wiele dotąd zostaje w ukryciu; są i pisma (zwłaszcza młodzieńcze), których zgoła nie znamy. Te, jeżeli kiedyś będą ogłoszone, posłużą zapewne za podstawę do prac nowych, do pojęć jaśniejszych i dokładniejszych. Ale względy, które dotąd ogłoszeniu ich stoją na przeszkodzie, mogą trwać długo, mogą zresztą być tego rodzaju, że na ogłoszenie całego zasobu nie pozwolą nigdy; a tymczasem korrespondencya już ogłoszona jest materyałem, który może być korzystnie uzupełnionym i rozszerzonym, ale który jest wystarczającym na to, by z niego czerpać i na nim pracę opierać. Uzupełnienie i prostowanie dzisiejszych wiadomości i sądów, niech będzie zadaniem tych, co kiedyś będą ich mieli więcej i lepsze, z nowych źródeł powzięte. Czas dzisiejszy może pracować na tym tylko warsztacie i temi narzędziami, jakie ma; a że z niemi coś zrobić da się, że on ma obowiązek do tej roboty się wziąć, więc nie oglądając się na doskonałość, która dziś jeszcze osiągniętą być nie może, niech daje to, na co go stać.

Książki niniejszej nie uważam za dostateczną i wyczerpującą pracę o Krasińskim; sądzę i spodziewam się, że nastąpią po niej inne i lepsze. Ta jest tylko pierwszą obszerną; pierwszą, która obok rozbioru dzieł, stara się złożyć i całkowity rys życia poety. Jak do niej nie byłoby doszło, gdyby nie liczne (po części znakomite) poprzednie prace mniejszych rozmiarów, tak z kolei ona może posłuży w przyszłości do gruntowniejszych i piękniejszych dzieł o Krasińskim; do takich, któreby były zupełnie godne przedmiotu.

W skład jej weszły niektóre moje prace dawniej drukowane. Przedmowa do zbiorowego lwowskiego wydania dzieł Krasińskiego (1875), była poniekąd planem na tę książkę i jej szkicem; weszła w nią też w rozdzielonych i cokolwiek zmienionych ustępach. Taksamo drukowana w roku 1877 wiadomość o *Listach Krasińskiego do Sołtana*, i mała rozprawka (z roku 1888) o jego *Poezyi Miłosnej*. Rozbiór *Nieboskiej Komedyi* ogłoszony był w całości w warszawskiej *Niwie* w roku 1881. Reszta pochodzi w części z uniwersyteckich wykładów, w części (większej) pisana była w roku bieżącym.

Pisząc, zadawałem sobie pytanie, czy dobrze jest przytaczać w długich ustępach listy człowieka, o którym się pisze? Czy to nie jest ułatwienie zbyt wielkie, dla lenistwa piszących wygodne i miłe? Streszczenie listów i stosowne ich objaśnienie byłoby trudniejszem, ale może właściwszem? Czytelnik niech raczy wierzyć, że nie lenistwo, ale sumienna rozwaga i przekonanie kazały mi obrać ten sposób. Sądziłem, że streszczenie, choćby najlepsze — a takiego pewien nie byłem — nie zdoła tak myśli Krasińskiego dać poznać, cóż dopiero tak jej pięknie wyrazić, jak jego własne słowa. Zastępować je swojemi, byłoby to okradać czytelnika z piękności często zdumiewających; dawać mu, zamiast prawdziwych brylantów, ich szklanne

naśladowania, ze szkodą i czytelnika i Krasińskiego. Przytaczałem więc listy w oryginalnym texcie; czy za często i w wyjątkach zbyt obszernych? Nie powie tak, tuszę, kto te listy przeczyta i nad niemi się zastanowi.

Czegokolwiek zresztą książce brak, lub czego w niej za wiele być może, choćby zasługiwała najsłuszniej na najcięższe zarzuty, niech idzie w świat jaka jest: bo czas już wielki, żeby jakaś o Krasińskim raz przecie była.

Autor.

W sierpniu 1892.

PRZEDMOWA DO DRUGIEGO WYDANIA.

Przed dwudziestu laty wyszło pierwsze wydanie tej książki. Jest wyczerpane. Czasem jeszcze się ludzie o książkę pytają w księgarniach: to znak że drugie wydanie może być potrzebnem, i powód, że ono wychodzi. Ale oprócz tego jest powód drugi. Nadchodzi stuletnia rocznica urodzenia Zygmunta Krasińskiego. Rzecz prosta że kto może, stara się zrobić co może na cześć jego pamięci, na dowód że jego pamięć i chwała nie gaśnie, ale żyje w nas, i świeci. W tej myśli, w tym celu, poczęły się przedsięwzięcia prawdziwie wielkie, pełne zasługi: jak zbiorowe wydanie dzieł, zupełniejsze od dotychczasowych, obejmujące pisma dotąd nigdy nie ogłoszone: jak zamierzone wydawnictwo Listów jeszcze nie znanych. Książka niniejsza nie myśli mierzyć się z tamtemi publikacyami potrzebą i pożytkiem, ale staje za niemi w drugim szeregu, i swoim sposobem chce służyć i przyczynić się do tego samego celu.

Wychodzi znacznie zwiększona. Przez te ostatnie dwadzieścia lat przybyło wiele wiadomości o Krasińskim, wyjaśniło się wiele w jego życiu i w jego dziełach. Listy do Henryka Reeve są źródłem niezmiernie ważnem, dokumentem pierwszego rzędu. Jest takim i *Traktat o Trójcy*, choć nieskończony. Nieznane pisma z pierwszej młodości, fragment *Wandy*, *Modlitew-*

nik, są w każdym razie zajmujące, a niekiedy znaczące i charakterystyczne. Oprócz zaś pism Krasińskiego nieznanych a odkrytych, przybyły prace o nim wielkiej wagi i wartości. Przybyła *Młodość Krasińskiego* profesora Kallenbacha, przybyły *Tryady* profesora Porębowicza, Adama Krasińskiego *Poeta Myśli* i *Dzień Ducha Świętego* — żeby więcej nie wyliczać — i wszystkie wiele uczą, wiele objaśniają, wiele dodają do dawniejszego zasobu wiadomości o poecie, do jego lepszego poznania i rozumienia. To co one przyniosły, musiało znaleźć się w niniejszem wydaniu książki o Krasińskim. Jej autor, który z tych wydawnictw i z tych prac wiele się dowiedział, starał się z nich korzystać, a z radością chwyta tę sposobność, żeby wyrazić żywą wdzięczność tym, co do lepszej znajomości Krasińskiego pomogli i jemu, i wszystkim tym co o Krasińskim myślą, pamiętają, co się nim zajmują i w przyszłości zajmować będą.

Niektóre ustępy książki, mianowicie o Listach do Reeva, o *Modlitewniku* i o *Wandzie*, były już drukowane (w Przeglądzie Polskim), kiedy autor zdawał sprawę z tych *Nowych Odkryć o Krasińskim*.

Oprócz tych dodatków drugie wydanie mało się różni od pierwszego. Przekonanie o Krasińskim, jego rozumienie, zdanie o jego poematach, zostało jakiem było. Trafne czy mylne, szczerem było przed dwudziestu laty, i szczerem jest dziś. Jakakolwiek książka jest, niech wychodzi na tę stuletnią rocznicę urodzenia poety, niech będzie znakiem czci, podziwu, wierności jego ideałom, współczucia dla jego boleści: a jeżeli może, ile może, niech służy jego chwale.

W sierpniu 1911.

Autor.

ROZDZIAŁ I.

CHARAKTER POEZYI KRASIŃSKIEGO.

Czas Krasińskiego. Odrębność jego poezyi i związek ze współczesnym stanem świata. Treść: kwestye społeczne i polityczne, i zagadnienia przyszłości. Skutkiem takiej treści jest allegoryczna i symboliczna forma. Konieczność tej formy i jej wrodzone niedostatki. Poezya Krasińskiego jest skutkiem naszych stosunków i ich obrazem. Jej bezosobistość. Brak zamiarów i dążności literackich. Klaczko o jej okresach i przedmiotach.

Było już po wojnach Napoleona i po jego śmierci. Kongres wiedeński zaprowadził nowy porządek rzeczy, którego strzegło *Święte Przymierze*. Europa została pod wrażeniem czegoś niedopełnionego, czegoś wielkiego, co się stać miało, a nie stało. Ta nadzieja, którą jedni wiązali z Napoleonem, drudzy z jego nieprzyjaciółmi, nadzieja nowego i lepszego stanu świata, opartego na wolności i sprawiedliwości, zawiedziona, zostawiła we wszystkich społeczeństwach europejskich gorycz, pragnienie odwetu, zaród wielu późniejszych wstrząśnień i zaburzeń. »Wszędzie mus, wszędzie gwałt« — wskutku tego »wszędzie bunt«, pożądany, zamierzony, gotowany, gdzieniegdzie próbowany. W Polsce, Królestwo kongresowe, forma bytu nietylko znośna, ale cenna i przydatna, jak się widzi i sądzi dziś, zdaleka, po klęskach, i w porównaniu z tem co po niej nastąpiło; nieznośna, bo ciasna, upokarzająca, niezupełna, dla tych, co w niej żyli a przed kilkoma laty wierzyli i powtarzali: »będzie Polska, co mówię, jest już Polska«. W porządku politycznym nienawiść do rządów despotycznych i policyjnych (w Niemczech, w Hiszpanii, w Neapolu i Sardynii), do rządów narzuconych (we Francyi), do rządów obcych w północnych Włoszech i w Polsce. Dążenie do wolności, poczęte w wieku XVIII, skrzywione i zawiedzione przez Rewolucyę, stłumione przez Napoleona, tłumione teraz przez policyjne systemy rządzenia, odezwało się z nową siłą w tych latach pokoju, w różnych kształtach, w róż-

nych stopniach szlachetności, od wzniosłego i czystego idealizmu i patryotyzmu, do fanatycznego (ukrytego) uwielbienia rewolucyjnych terrorystycznych tradycyi i praktyk.

W życiu umysłowem ferment podobny, tylko w rzeczywistości objawiający się nie chęciami i dążeniami, ale skutkami. Dawna filozofia XVIII wieku zwyciężona, zmuszona do milczenia, a na jej miejscu staje (i do przesady dąży) apoteoza pierwiastków duchowych, myśli. W ślad za odrodzeniem religijnych uczuć, idzie odrodzona znajomość umiejętna Religii, i miłość jej mocniejsza, bo na przekonaniach oparta. (Z tej wyjdzie niebawem żądanie, by Kościół zrobił to, czego Rewolucya zrobić nie mogła, czego rządy zrobić nie chciały, a gdy się pokaże, że jemu zbywa na mechanicznych po temu środkach, odstaną od niego, zbuntują się przeciw niemu niektórzy). Sztuka jak niegdyś z maniery pudrowanej i przesadnie gracyjnej, tak teraz wyzwala się z konwencyonalnie klasycznej maniery czasów Napoleońskich. Odrodzenie poezyi już się dokonało wszędzie. Byron, skutek i wyraz doskonały tej sprzeczności między tem co jest, a tem co być powinno, którą ludzkość ówczesna czuła boleśnie, był na szczycie wziętości, chwały i wpływu. Pod jego potężnem tchnieniem, za jego przykładem, krzewiła się poezya wszędzie; ale w tej pierwszej chwili swego odrodzenia nosiła już w sobie ten pierwiastek chorobliwy (nieunikniony), który potem słusznie nazwano byronizmem. Mickiewicz, głośny już autor *Gustawa* i *Grażyny*, zwracał na siebie oczy całej Polski i był przedmiotem walki klasyków z romantykami, a pomimo wszystkich cierpień czy swojej pierwszej miłości, czy więzienia, czy później wygnania, mógł czuć się szczęśliwym z siebie i swego zawodu.

W takiej chwili w jednym z najświetniejszych pałaców świetnej podówczas Warszawy, rósł chłopiec

przeznaczony na to, by był drugim obok niego poetą Polski podzielonej, by ten cały »czyściec dni teraźniejszych« i te wszystkie »ducha ludzkiego duszności« przeniknął najgłębiej swoją myślą, uczuł najboleśniej swojem sercem, odtworzył najwierniej swoim gieniuszem. Rósł on zamyślony i posępny, ten chłopiec, dla którego ojciec marzył zapewne przyszłość świetną, błyszczącą, szczęśliwą; tem łatwiej, że sam swojem stanowiskiem i znaczeniem, swoją niepoślednią sławą świetnego wojskowego, wygładzi lub usunie wszystkie z drogi syna trudności i zawady. Jaki zawód wspaniały dla tego syna, jaki pośrednio blask dla swego imienia i domu musiał obiecywać sobie ojciec w swoich widokach przyszłości! I nie zawiódł się; owszem, chwała syna przeszła wszystkie nadzieje ojca; tylko była zupełnie inna aniżeli on sobie wyobrażał. Syn ten, trafem urodzenia powołany do jednej z łatwych i świetnych exystencyi wielkiego Pana w Polsce, nie błyszczał nigdy zewnętrznemi oznakami znaczenia czy bogactwa, żył samotny i żałobny jak pustelnik, a na głowie nosił nie błyszczący hełm rycerski, nie ułańską czapkę po ojcu, ale pokutny popiół, i wieniec laurowy, pod którego każdym liściem krył się cierń i krwawił mu skronie. Ten ojciec, który sobie obiecywał, że przed jedynakiem wszystkie drogi życia wyprostuje i wyrówna, sam stał się mimowolnie kamieniem, o który syn ugodził nogą na pierwszym zaraz kroku swego życia, i to w wieku, kiedy zazwyczaj stopa ludzka lekko odbija się od gładkiej ścieżki, na której więcej bywa murawy i kwiatów, aniżeli kamieni i cierni. Jak ów bajeczny król dotknięciem ręki wszystko przemieniał w złoto, tak Zygmunt Krasiński czego się tknął, wszystko przemieniało mu się w gorycz; a los zrobił z niego srogą igraszkę swojej ironii, bo wysypawszy na niego, jak z rogu obfitości, wszystkie dary, z jakich złożyćby się dało szczęście, dał mu

życie, którego jedynym faktem, jak on sam mówi, był ból. Wszystko stawało mu na wspak, wszystko mu zaprzeczało, wszystko było z nim w przeciwieństwie, oprócz jednego tylko: sam sobie nigdy się nie sprzeciwił, sam sobie nigdy nie zaprzeczył, sam siebie nigdy nie zawiódł.

Szczególna to, niepodobna do żadnej innej, postać poety i jedyny charakter poezyi. Gdzie jej pochodzenie, gdzie jej rodzina krewni lub bliscy, gdzie jej wzory, jej mistrze, jej szkoła? nie ma ich. O Mickiewiczu naprzykład powiedzieć tego nie można. Jego poezya łączy się węzłami bardzo widocznemi z angielską i niemiecką; ona duchem, formą, nieraz sposobami tworzenia, należy do powszechnego europejskiego romantyzmu, wyznaje jego estetyczne *Credo*, trzyma się jego zasad, należy do jakiejś grupy, do jakiejś szkoły poetycznej. Poezya Słowackiego tembardziej; każdy znajdzie i wskaże łatwo pomiędzy poezyą innych narodów pokrewieństwo *Beniowskiego, Mazepy, Balladyny, Kordyana*. Poezya Krasińskiego stoi sama i odosobniona, jak jaka wśród morza wyspa wulkanicznej formacyi, mająca zaledwo gdzieś we wnętrznościach ziemi głęboko ukryty związek z otaczającemi lądami: jak te skały, które nie wiedzieć zkąd i dlaczego biorą się czasem w odległości od wszelkiego pasma gór, z żadnemi innemi nie połączone. W jakiej poezyi, lub u którego z poetów szukać będziemy podobieństwa z Krasińskim, podobieństwa czy to natchnienia czy formy? Pomysły jego niektóre znajdziemy w Mickiewiczu w *Księgach Pielgrzymstwa*, w *Widzeniu ks. Piotra*, to prawda. Ale czy możemy dlatego odnieść *Irydiona* do *Dziadów*, *Psalmy* do *Ksiąg Pielgrzymstwa*, i wykazać u tych poetów coś wspólnego, prócz tego uczucia które ich ożywia? Albo czy upatrzymy może związek pomiędzy poezyą Krasińskiego i Byrona? czy powiemy, że się zapatrywał

na piękności Göthego, Schillera, poetów starożytnych? Nie, ta poezya jak przedmiotem, tak formą różni się od nich wszystkich.

Ale od poezyi współczesnej czy dawniejszej, tak odmienna, że napozór prawie od niej oderwana, łączy się poezya Krasińskiego z całym historycznym stanem naszego świata; samotna wyspa ma głęboko pod przepaściami morza granitowy, mocny, jak posady ziemi, związek z otaczającemi lądami. Przez to łączy się pośrednio ze wszystkiemi tego stanu objawami i skutkami, ze wszystkiem, co on z siebie wydał, zatem i z poetami także. Formy są inne i pojęcia inne, ale tesame »ducha ludzkiego duszności«, w których szarpała się poezya Byrona, zrodziły później poezyę Krasińskiego; tembardziej to łaknienie sprawiedliwości, które wydało — i skrzywiło — natchnienia Mickiewicza. Sprzeczność pomiędzy tem co jest, a tem co być powinno, męka ludzi i społeczeństw, które w sprzeczności tej żyć muszą a zerwać i zwyciężyć jej nie mogą, ten »czyściec dni teraźniejszych«, w którym dręczyły się, z którego o sprawiedliwość wołały wszystkie głębsze umysły i serca szlachetne w Europie, to jest sam grunt, z którego poezya Krasińskiego wyrosła, a jej istotą i duszą jest pragnienie i szukanie dróg, któreby z tego czyścca wywiodły, skrzydeł, któreby z niego dały wylecieć. Z goryczami i bluźnierstwami Byrona nawet ma poezya Krasińskiego pewną wspólność początku; ale ma ją wyraźniejszą i mocniejszą z dążeniami i walkami tych młodszych, którzy w pierwszej połowie naszego wieku wierzyli, że przed jego końcem spełni się to, co mieli za jego w dziejach zadanie: panowanie sprawiedliwości, prawo narodów na prawie Bożem oparte i do niego zastosowane. Jest w bliskiem pokrewieństwie z Krasińskim Lacordaire i Montalembert: ale jest w dalszem i Lammenais, i Mazzini. Odbiciem tego uczucia jest poniekąd nawet ten obłęd

rosyjski, który mniema, że Królestwo Boże zstąpi na ziemię przez Rosyę, przez Iwana Groźnego, Katarzynę i Murawiewa! Wszyscy oni czują, że »już się ma pod koniec starożytnemu światu« — że złe jakie w nim jest, albo zwycięży, a wtedy sprowadzi ostateczny upadek i zgon naszej cywilizacyi: albo się przesili, a na jego miejscu pocznie się coś lepszego. To przesilenie wyobrażają sobie wszyscy inaczej; drogi, sposoby, proces jego jedni pojmują jako połączone zgodne działanie objawienia Bożego i Kościoła z świecką i polityczną wolnością, drudzy jako rewolucyjny gwałt i terror, inni jako nowe objawienie prawdy i woli Bożej, ale w tem oczekiwaniu i w tej nadziei wszyscy się spotykają i łączą. I to jest związek poezyi Krasińskiego z otaczającym światem, z historycznym stanem ludzkości w naszym wieku.

Związek jej ze stanem naszego narodu jest tejsamej natury, tylko bliższy, ściślejszy, oczywistszy. Sprzeczność pomiędzy tem co jest, a tem co być powinno, nigdzie nie była tak rażąca, nigdzie tak boleśnie znana i doznana, jak u nas. Ztąd nieustannie w duszy tego narodu pytanie, dlaczego tak się dzieje? jak godzi się ucisk i gwałt z Opatrznością i z wolą Boską? jaki w tem tej Opatrzności cel? i jaki, zkąd, kiedy przyjdzie koniec? To co było w duszy narodu, odzywa się w jego poezyi od samej chwili ostatniego rozbioru. Zrazu cicho i słabo, zaledwo dosłyszalnym tonem; im dalej, tem wyraźniej; aż po wielkim porywie do broni i po wielkiej przegranej roku 1831, to pytanie bierze górę nad wszystkiemi innemi, poezya obraca się ku przyszłości, chce odgadnąć przyszłość, ma sobie za obowiązek i powołanie przewidywać, przepowiadać, być wieszczą i proroczą.

Poezya Krasińskiego jest skutkiem tego stanu rzeczy, a w tym charakterze i kierunku, ona jest ze wszystkich najwyraźniejszą i najbardziej wyłączną.

Ona wprawdzie nie przeczuwa, tylko rozumuje, nie przepowiada, tylko dowodzi; ona, jak Skarga niegdyś, mówi, że »osobnego objawienia niema«, i proroczego daru sobie nie przypisuje. Ale żadna inna nie jest tą sprawą przyszłości w tej mierze, żadna tak zupełnie zajęta. Ona niema i nie zna innego przedmiotu, jak ten przełom w dziejach, to wykształcanie się przyszłości, to wielkie zagadnienie, które ludzkość ma rozwiązać. Wszystkie inne poezye, nawet poezya polska, nawet Mickiewicz w *Dziadach*, za swój bezpośredni przedmiot ma człowieka, individuum ludzkie, jego uczucia, przejścia i przemiany. Poezya Krasińskiego przeciwnie. Ona nie zajmuje się ludźmi, zna tylko wcielenie, typ, pewnych wyobrażeń, dążności, pewnych sił i prądów historycznych i społecznych. Tak różna w swojej istocie, w swoim duchu od wszystkich innych, rzecz prosta, że musiała ona różnić się od nich i w formie. Żadna z form dotąd używanych przystać do niej nie mogła. Ta wyjątkowa oryginalność Krasińskiego, ta jego odmienność od wszystkiego, co się przed nim w poezyi widziało, nie dowodzi wcale jakoby jego poezya była od wszystkich innych piękniejszą; owszem, pociąga za sobą skutki, które artystycznej piękności częstokroć szkodzą. Ale nie była to odmienność przypadkowa, zależna od poety, pozostawiona jemu do woli i wyboru: była ona konieczną, zrobiła się sama bez zamiaru i wyrachowania z jego strony. Mickiewicz, który tak wiele mówi o literaturze mesyanicznej, i przyszłej wyższej epoce przepowiada poezyę, która będzie tylko wieszczą intuicyą przyszłości, jako objaw i okaz tej poezyi, przytacza *Nieboską Komedyę*, której treść, akcya, odbywa się w przyszłości. Na ten przydomek »mesyanicznej« dany poezyi Krasińskiego zgodzić się nie można w tem znaczeniu, jakie mu nadawał Mickiewicz (bo choć Krasiński nieraz bliskim był Mickiewicza w swoich pojęciach histo-

rycznych i filozoficznych, i wyglądał dla świata jakiejś epoki Ducha św., to od Mesyanizmu w znaczeniu *Biesiady*, w znaczeniu *Kursów* Mickiewicza, był bardzo dalekim); ale opuściwszy przydomek, a wziąwszy rzecz samą, to jest poezyę, która w przyszłość tylko patrzy i przyszłością się zajmuje, to żadna nie jest tem tak zupełnie, tak wyłącznie, jak poezya autora *Irydiona* i *Psalmów*. Nietylko przez to, że akcya *Nieboskiej komedyi* odbywa się w jakimś nieoznaczonym czasie przed nami, ale że cała, nawet kiedy na pozór przedmiotem jej jest przeszłość, jeszcze i wtedy tylko przyszłością jest zajęta, do niej zmierza, na nią z tej przeszłości stara się wyciągać wnioski. *Irydion* odgrywa się w Rzymie za Heliogabala, *Psalmy* są pisane pod wrażeniem teraźniejszej chwili, a przecież i ta odległa przeszłość, i ta dzisiejsza teraźniejszość, służą tylko za podstawę i argument do przewidzenia i wskazania przyszłości. U wszystkich innych poetów, poezya trzyma się w zakresie przeszłości lub teraźniejszości, nawet u poetów polskich. *Dziady* są poematem przeszłości, poematem rzeczywistych faktów i rzeczywistych ludzi, raz tylko usiłuje w nich poeta uchylić zasłonę z przyszłości; co innego jest jedno chwilowe, oderwane przewidywanie przyszłości (trafne lub nie, mniejsza o to), a co innego rozmyślne i umyślne oddanie swojej poezyi w służbę przyszłości, użycie jej na to, by mówiła i uczyła, jaką ta przyszłość być ma. Otóż rodzaj tej poezyi, był tylko naturalnym i koniecznym skutkiem tego kierunku; forma, pomysły, tworzone postacie, musiały wskutku tego być różne zupełnie od wszystkiego, co się pod tym względem widzi u innych poetów.

Poezya, która, nawet kiedy napozór zostaje w sferze przeszłości, w istocie za przedmiot ma zawsze przyszłość, zmienne z natury dążności polityczne lub społeczne, ta musi być allegoryczną, musi się wyrażać

przez postacie, które nie są ludzkiemi jednostkami, ale typami, symbolami i wcieleniami tych różnych społecznych i politycznych dążności, tych historycznych prądów. Ona zajęta zmiennemi dążnościami człowieka zbiorowego, społeczeństwa, o naturę człowieka dba o tyle tylko, ile potrzeba koniecznie, żeby ten symbol, ten typ, który stwarza, miał ogólne zarysy, zewnętrzny kształt, podobieństwo człowieka, kiedy jego istotą i przeznaczeniem jest to, żeby był personifikacyą jakiejś historycznej siły lub dążności. Poezya Krasińskiego w drugiej swojej epoce pozbywa się tej pomocy i tej formy symbolów, staje się wprost upominającą i przykazującą, odrzuca allegorye, typy, postacie ludzkie, sama dla siebie staje się tak jasną, że wszystkich tych form i przyborów nie potrzebuje, że wystarcza jej za całą formę proste słowo i rytm, staje się prawie niemateryalną, prawie bez formy, jak dawna poezya religijna hebrajska. Ale w swojej epoce pierwszej, w epoce *Nieboskiej Komedyi* i *Irydiona*, ma formę allegorycznego dramatu, którego osoby są symbolami i personifikacyami, formę, którą można powiedzieć sama dla siebie urobiła, i której, jako poezya przyszłości, jako poezya polityczna i społeczna, inaczej sobie urobić nie mogła.

Z tej treści, która musiała wyrobić sobie formę allegoryczną, i która musiała zawsze mieć charakter nauczający, tendencyjny, wyniknęły równie logicznie wszystkie dalsze cechy, zalety i niedostatki tej poezyi.

Nie potrzeba mówić, jakim wdziękiem, jakim wielkim warunkiem piękności w sztuce w ogólności, a więc i w poezyi, jest jasność, zrozumiałość kompozycyi, przejrzystość i prostota figur. Za ten to przymiot, w którym jej nikt nigdy nie dorównał, nosi sztuka starożytna swoje miano klasycznej — ten przymiot jest tajemnicą uroku, jaki wywiera *Pan Tadeusz* albo *Herman* Göthego, albo jego *Ifigenia*. Poezya al-

legoryczna, symboliczna, tego przymiotu mieć nie może. To jej nie ubliża, to jest skutkiem jej natury: to nie zarzut, tylko wskazanie niepodobieństwa. Kiedy myśl poety, bo przy takiej poezyi myśl musi zawsze być czynnniejszą od fantazyi, kiedy myśl poety musi wytężyć się na to, by objąć i zrozumieć jakiś wielki proces historyczny lub duchowy; żeby wszystkie siły walczące w tym procesie rozpoznać w ich naturze i w ich wzajemnym stosunku, i osądzić w ich absolutnej prawdzie; kiedy potem, z pomocą wyobraźni, musi pracować nad tem, żeby te idee lub siły oderwane odziać jakimś ludzkim kształtem, wtłoczyć je w tę formę — dla nich za ciasną — ludzkiej jednostki, rzecz naturalna, że ta jasność, przejrzystość i prostota, musi być poświęconą, jeżeli nie zupełnie, to choć w części. Treść i forma nawzajem sobie szkodzą. Treść, czy ją nazwiemy ideą, czy dążnością, żeby dla nas mogła stać się widoczną i zrozumiałą, musi się wcielić w jakąś postać, w jakiś kształt, ochrzczony jakiemś imieniem, i musi się do tego kształtu skurczyć, ściągnąć, nagiąć, musi się nim tak dać ograniczyć, jak dusza ludzka ograniczona jest ciałem; a przez to na swojej swobodzie, na swojej jasności, na swojej wyrazistości traci. Naodwrót, forma, ta postać, to imię, które owemu pomysłowi służy za odzież, za sposób uzmysłowienia się, ten człowiek wzięty na symbol dla idei, ten z góry jest poświęconym, jest zawsze tylko pozorem, tylko kształtem, tylko sługą: on napozór zdaje się być człowiekiem, mieć swoją indywidualność, swoje życie, swoją poetyczną piękność — w gruncie on jest tylko środkiem do wyrażenia czegoś, co nie jest nim, jest hieroglifem, którego myśl ukryta tylko coś znaczy, nie kształt; on tylko swojej ludzkiej postaci i swego imienia pożycza. A jak dla myśli w symbolu takim zawartej, symbol bywa częstokroć za ciasnym, tak naodwrót forma ta cierpi na takiem połączeniu, traci swoją swo-

bodę i swój osobny własny byt; często też nie zdoła być tej treści wyrazem jasnym i dokładnym, tłómaczeniem zrozumiałem. Rzecz bardzo rzadka, żeby w allegoryi znaczenie ukryte przemawiało przez swoją formę tak wyraźnie, iżby się nikt na niem pomylić nie mógł; najczęściej pozostaje wątpliwość i niejasność, na której szwankuje i ta myśl ukryta i ten zewnętrzny kształt. A jeżeli to jest fenomenem niechybnym i niezmiennym, koniecznym przy każdej poezyi allegorycznej i symbolicznej, jej przyrodzonem prawem, to ileż silniej prawo to działać musi w poezyi takiej, której symbole i allegorye odnoszą się do przyszłości, do tej wielkiej zagadki, która samemu poecie musi przedstawiać wiele wątpliwości, przed którą jego myśl sama musi nieraz wahać się, i z której zupełnie jasno sprawy sobie zdać nie może. Rzecz naturalna, że w takich razach poeta nieraz myśli swojej nada kształt mglisty i niewyraźny, że w ciągu swojego poematu nieraz zostawi luki i przeskoki, które czytelnik z wielkim trudem zapełniać musi rozwagą i domysłem (i często mylnym); że w kompozycyi, w budowie poematu, powstaje nieraz pewien brak ładu i związku, pozorny tylko, ale do uporządkowania i do zrozumienia trudny; że w samych postaciach tego poematu czytelnik natrafi co krok na znak zapytania, na jakąś zagadkę, której sobie rozwiązać nie może. Skarżymy się nieraz na niejasność, niezrozumiałość Krasińskiego! mówimy: »cóż mi to za poezya, której bez komentarza, bez odsyłacza zrozuzumieć nie mogę? Odsyłacz zabija poezyę, bo przez czas, kiedy myśl szuka tłumaczenia niejasnej rzeczy, wrażenie już uleciało, uczucie już ostygło«. To prawda, że ze stanowiska artystycznego, poezya Krasińskiego nie jest taką, jak poezya Mickiewicza, że się z nią równać nie może. Tylko o tem pamiętać się godzi, że ona symboliczną i allegoryczną być musiała, i że jako taka, jest jeszcze, pomimo swoich niejasności, bardzo

zrozumiałą, a warunkom piękności artystycznej, warunkom sztuki, czyni zadosyć w mierze bardzo szerokiej.

Jeszcze jedna rzecz, która takiej poezyi jest właściwą i przyrodzoną, to, że w niej treść musi zawsze górować nad formą i równowagi między niemi być nie może. Poezya taka, cokolwiek się pod jej symbolami ukrywa, filozofia czy polityka, czy religia, musi z natury rzeczy być tendencyjną, musi być przedstawieniem, obroną, nieraz i dowodzeniem jakiejś myśli, jakiejś prawdy. Od chwili zaś jak w poezyi, w sztuce w ogólności, występuje tendencya, równowaga pomiędzy pięknością a prawdą musi być zniszczoną na korzyść prawdy (tego co poeta ma za prawdę): a za tem idzie, że zapatrzony w swój cel główny, w obronę i tryumf jakiejś myśli lub zasady, poeta w akcie tworzenia posługuje się nierównie więcej tą władzą, pod którą podpadają idee dążności i zasady, rozumem, aniżeli wyobraźnią, która schodzi na stanowisko drugorzędne, pomocnicze. Otóż poezya Krasińskiego, która jest na wskroś i wyłącznie tendencyjną, polityczną, nawet kiedy przestaje być allegoryczną, nosi w wysokim stopniu ten charakter przewagi myśli, refleksyi, nad wyobraźnią. Jednem słowem, można by ją opisać jako pewien system historyozofii w poematach lirycznych lub dramatycznych (system, który nie jest wyrobiony odrazu, ale wyrabia się przez całe życie poety, dochodzi do konkluzyi, a wszystkie przemiany tego systemu i przejścia układają się w logiczny ciąg, w harmonijną całość). Jako taka musi ta poezya być przeważnie poezyą rozumu, reflexyi; obok tego jest poezyą uczucia bardzo głębokiego, które często staje się potężnem natchnieniem; rola fantazyi jest w niej nierównie mniej obszerna i mniej ważna. Byłoby niedorzecznością powiedzieć, że Krasińskiemu zbywało na wyobraźni; poeta bez niej pomyśleć się nie da, jest moralnem niepodobieństwem, a fantazya, w której po-

częły się postacie Pankracego i Henryka, albo kolosalny obraz upadającego Rzymu, musiała być czynną i potężną. Jednak temu zaprzeczyć nie można, że, bądź to wskutek kierunku, jaki poezyi swojej nadał, bądź też wskutku wrodzonej organizacyi swego talentu, Krasiński nieraz wydaje się raczej wielkim myślicielem, który pomysły swoje wydobywa ze swego rozumu, aniżeli poetą, który je tworzy czarodziejską różdżką wyobraźni. Najmniej może widocznem to jest w *Nieboskiej Komedyi*, więcej już na *Irydionie*, bardzo widocznem jest na *Niedokończonym Poemacie*; a nawet w tych rzeczywiście natchnionych wybuchach uczucia, jakiemi są *Psalmy*, nawet w tych, przewaga reflexyi stwierdza się widocznie na wyrażeniach, na całych ustępach, których ton staje się tonem polemiki, rozumowania, argumentacyi, język językiem filozofii, dyskusyi, prozy, na co fantazya, ta lotna i skrzydlata nigdy nie powinna była pozwolić.

Ten kierunek tendencyjny i filozoficzny poezyi Krasińskiego, jak nieraz obciąża jego natchnienie i czasem rozbija wrażenie o słowa lub zwroty prozaiczne, tak, korzystnie lub szkodliwie nie pytam, ale widocznie odbija się na jego sposobie tworzenia, i na jego postaciach, i na samym jego stylu. Znana jest i nieraz ganiona pewna mglistość i jak żeby umyślna niejasność jego myśli; te figury lub grupy figur ukazujące się jak żeby w półcieniu, nie nazwane, zostawione do domysłu, do uzupełnienia; przykładem tego sposobu przedstawienia rzeczy może być Prolog *Irydiona* nawet, a cóż dopiero *Sen Cezary* albo *Legenda*. Znane jest także i także już nieraz wytykane, że jego styl bardzo piękny, majestatyczny, energiczny, obrazowy, niekiedy przebiera miarę w tych zaletach i staje się wymuszonym, nienaturalnym, przesadnym. Istotnie, i jego sposób przedstawiania figur i jego styl, rysunek i koloryt, mają w sobie czasem coś naprężonego, coś

nienaturalnego. Otoż i to pozwoliłbym sobie uważać za skutek poezyi allegorycznej, poezyi przyszłości. Spróbujmy sobie wyobrazić, jak jego myśl i jego wyobraźnia musiały ciężko pracować, żeby wydobyć z siebie rozwiązanie tych zagadnień, z jakim trudem i bólem one musiały rodzić kształty dość wielkie, iżby się w nich zmieścić mógł pomysł Hrabiego Henryka albo Pankracego? Trzeba było w pocie czoła wyrabiać myśl, treść, i dla niej wyszukać formę. Starożytna pythia męczyła się długo, zanim wydobyła z siebie słowo wyroczni; podobnie myśl i wyobraźnia Krasińskiego pracują ciężko, mozolnie, zanim te pomysły tak trudne do poczęcia, do zupełnego wykształcenia, i tak wielkich rozmiarów, wydać z siebie zdołają w jakiejkolwiek formie. Dlatego to figury te tak nieraz wydają się dziwne, jak niedokończone posągi tytanów, albo jak widma jakieś powstające z mgły, a niewyraźne, o konturach nie stałych i jakoby zatartych; dlatego ich mowa tak nam się nieraz wydaje naprężoną, sztuczną. Poprostu, pomysł ogromny szuka odpowiedniej dla siebie formy, i znajduje ją: ale nie zawsze wyraźną i skończoną. Szuka także tonu, którymby najswobodniej mógł przemawiać, i znajduje w tym wysokim stylu prozaicznym, który dochodzi prawie majestatu i powagi wiersza, a wymaga mniej starania i pracy, ma więcej swobody. Że w powadze i w obrazowości stylu zdarza się tu i owdzie przesada, ton fałszywy i nienaturalny, że figury same czasem robią wrażenie, jak żeby chodziły na koturnie zbyt wysokim, to prawda. Tylko, usterków tych nie przecząc, trzeba odnieść je do naturalnego powodu, którym jest to, że pomysły zupełnie nowe, nowy rodzaj poezyi, musiał sam sobie wyrabiać i formy swoje, i swoje narzędzie, język, do swoich potrzeb naginać. Że tu i ówdzie forma nie zupełnie przypadła do miary, albo że styl tu i ówdzie jest do zbytku ozdobny i obrazowy, to

daleko mniej dziwne aniżeli to, że na pomysły takie jak *Irydiona* lub *Henryka* znalazły się kształty ludzkie prawdopodobne i dobrane do ich rozmiarów, rzeczywiście wielkie, imponujące, majestatyczne i jako całość piękne — aniżeli to, że proza *Irydiona*, miejscami może nieco wymęczona i męcząca, potrafi przez cały ciąg poematu utrzymać się w tym tonie majestatycznym, i tak rzadko z tonu prawdziwego przejść w przesadny i napuszysty.

Jakiemi drogami doszedł Krasiński do tego, żeby się stać takim poetą przyszłości? Kiedy Mickiewicz w swoim rozbiorze *Nieboskiej Komedyi* mówi, że ona jest typem i zapowiedzią tego, czem będzie poezya w przyszłej epoce, że jak się ludzkość podniesie, cała poezya będzie tylko wieszczą, intuicyjną, proroczą, Mickiewicz podobno się myli. Nie myśląc wdawać się w przewidywanie tego, czem poezya będzie kiedyś, można przecież twierdzić, że poezya Krasińskiego, choć zwrócona w przyszłość i nią jedynie zajęta, jest na wskroś poezyą dzisiejszą, skutkiem, produktem dzisiejszego stanu świata. Epoki szczęśliwsze, spokojne, żyjące w warunkach stałych i normalnych, a taką zapewne ma być owa lepsza, która ma nastąpić, takie właśnie nie lubią, nie potrzebują odchylać zasłon przyszłości; one zawsze żyją w teraźniejszości, której mogą używać spokojnie, która im pozwala czuć wdzięk i wartość życia. Ale taka jak nasza dzisiejsza, taka, w której wszystko się trzęsie i wali, w której nikt dziś nie wie, co się stanie jutro rano, nie już z nim samym, z jego rodziną i domem, ale z jego ojczyzną, z jego kościołem, z jego wiarą religijną, polityczną, społeczną, w której wszystko jest zagrożone, zaprzeczone, zwalone, taka epoka musi pytać o przyszłość niespokojnie, niecierpliwie, gwałtownie. Ludzie, którzy w stosunkach pośród których żyją, nie znajdują żadnego zaspokojenia dla swoich sumień, pragnień, na-

wet dla swoich interesów, tacy naturalnie stają się skłonni do tego, żeby pytać co będzie? kiedy i jak ten stan się skończy? czy już zawsze tak ma zostać, lub też, czy przejdzie raz ten atak konwulsyi, który ludzkość całą łamie i tłucze, co go usunie, co jej zdrowie przywróci? Tacy żyją nieustannie w wielkiem utęsknieniu do przyszłości, i w dręczących przed nią obawach. Oni, na wspak potępieńców Danta, nie mają głowy przekręconej w tył, ale mają ją nieruchomą, jak przymurowaną, patrzącą nieodmiennie przed siebie, i tylko przed siebie; wbok te głowy prawie obrócić się nie mogą, wzrok nie pada dokoła na prawo i na lewo, utkwiony jest prosto przed siebie. Niepewność i udręczenia teraźniejszości, przechodzą u nich w stałe i wyłączne prawie zajęcie myśli przyszłością. Poezya Krasińskiego, którą Mickiewicz nazywa mesyaniczną, należącą do epoki już nie naszej, przedmiotem tylko należy do przyszłości, ale jest naturalnym produktem, jest koniecznością naszego stanu, naszego życia: jest kwiatem, który na tym tylko gruncie mógł wyróść, cyprysem tych grobów, smutną lilią białą, nieskalaną, strzelającą śmiało w górę, ale taką, co wyróść mogła tylko na tych gruzach, śmieciach, i błotach. Kiedyś poezya Krasińskiego będzie takim komentarzem, taką illustracyą do historyi XIX wieku, że będą ludzie patrzeć na nią jak na portret, i będą mówili z pewnością, że te rysy, te znamiona tak charakterystyczne do żadnego innego należeć nie mogły; będą studyować nas, nasze wyobrażenia, nasze namiętności, nasze stronnictwa, nasze złudzenia i nasze zwątpienia, i cały nasz »czyściec dni teraźniejszych« w poezyi Krasińskiego nie tak wygodnie, ani tak szczegółowo, ani tak wyraźnie zapewne, ale w podobny sposób, jak my uczymy się z poezyi Danta, czem były Włochy wieku XIV.

Że niema drugiej w Europie, któraby była w tej

mierze obrazem politycznego i społecznego stanu epoki, to pewna; że ten kierunek poezyi zjawił się właśnie u nas, najbardziej prześladowanych od losu, najbardziej na tym stanie rzeczy cierpiących, to jest naturalne. Ale co dziwne, szczególne, a może jedyne w dziejach poezyi, co Krasińskiego tak wyróżnia od innych poetów i nadaje mu fizyognomią zupełnie odmienną, to, że jego poezya cała, jak jest, poświęcona jest, z wyjątkiem jedynie prób młodocianych, tym politycznym i społecznym stosunkom, ideom i cierpieniom. Zwykle poeci, jeżeli nawet do tego dochodzą, to nie rozpoczynają od tego. Nasza poezya polska jest na wskróś polityczną i patryotyczną, jak żadna, a przecież i Mickiewicz nie zawsze o samej tylko myśli i pisze ojczyźnie; przecież jego poezya żyje i dla uczuć osobistych, i dla piękności przeszłego lub dzisiejszego świata; pierwszy popęd daje jej miłość, a cierpienie za miliony zostawia jej przecież czasem chwile ulgi i wytchnienia, i w takich chwilach powstaje *Grażyna,* nawet *Tadeusz,* w którym jest miłość ojczyzny, ale smutku i cierpienia nie ma. Słowacki, wiemy, jak wszystko do siebie ściąga, jak jego poezya jest wyrazem własnych jego uczuć, i jak niezmiernie czuła na piękności natury, historycznych postaci, jak się nieraz rozkosznie pieści z otaczającym światem, i jak się gorzko użala nad sobą. Krasiński jest jedynym może na świecie poetą, w którego poezyi niema nic osobistego; przez jego serce przechodzą jedna po drugiej srogie burze, począwszy od tej pierwszej najboleśniejszej może, w Warszawie, po niej różne uniesienia i gorycze miłości, a żadna nie dobędzie z niego ani skargi, ani wspomnienia. Gdzie jest *Gustaw* Krasińskiego? albo jego *Szwajcarya?* nie ma ich; i gdybyśmy o nim tylko z jego poezyi wiedzieli, nie moglibyśmy ani próbować nawet domyślać się kolei jego życia, przejść jego duszy. *Noc letnia,* wprawdzie po-

święcona jest jakiemuś »sercu niewieściemu«, które zapewne nie było mu obcem, w *Przedświcie* jest wspomniana jakaś Beatrice, ale widocznem jest aż nadto, że nie miłość natchnęła *Noc Letnią*, i że ta postać Muzy lub raczej Anioła z arfą w ręku, na łodzi wśród włoskiego jeziora, to ani zwierzenie, ani historya jakiejś miłości. Kiedy o własnych uczuciach lub losach pisze — a zawsze nie wiele — to wiersze te posyła przyjaciołom jak poufne listy lub w listach; ogłaszać ich nie myśli, a my, w wiele lat po jego śmierci dopiero, dowiadujemy się, że one są na świecie. Nawet tam, gdzie, jak w *Poemacie Niedokończonym*, znajdują się alluzye i wspomnienia własnego życia, gdzie bohater ma widocznie z autorem podobieństwo, nawet wtedy podobny jest do niego swoim stosunkiem do dążności i aspiracyi wieku, jest wizerunkiem jego wierzeń i pojęć politycznych lub społecznych daleko więcej, niż jego uczuć odnoszących się do siebie samego lub do drugich ludzi. Dziwna jest ta bezosobistość poezyi Krasińskiego, i w każdym razie bardzo piękna. Bo, jeżelibyśmy ją chcieli tłómaczyć tylko przez dumę wysokiego serca, które się z przejść i uczuć swoich zwierzać i na swoje smutki skarżyć nie chce i nie raczy, to taka duma kazałaby się bardzo szanować i podziwiać. A byłaby, jeżeli jest powodem tej bezosobistości, tego milczenia o sobie (może być, że w części jest nim i ona) powodem dopiero najniższym. Bo drugim, i wyższym, szlachetniejszym, jestto zajęcie się przeznaczeniem ludzkości i ojczyzny tak zupełne, tak wyłączne i głębokie, że obok tego wszystko malało i bladło, że obok tego nic innego nie było godnem uwagi i wzmianki, że nie było czasu nietylko o sobie mówić, ale nawet rozmyślać i płakać nad sobą, choć nikt nigdy nie miał więcej powodów i prawa do żałowania siebie samego. Jego milczenie o sobie nie jest skutkiem przypadku,

tylko skutkiem wyłącznego zwrócenia serca i myśli do uczuć wyższych i większych zagadnień. Jakie tam musiały być niezmierzone głębokości i jakie nieprzebrane skarby miłości świata i ojczyzny, jak ona musiała górować nad wszystkiemi jego uczuciami, kiedy żadne z nich, ani miłość siebie, ani miłość kobiety, ani miłość piękności i poezyi, jako takiej, nie pchnęło go nigdy do tworzenia, tylko to jedno.

Nie ma też między poetami świata tego, któryby był mniej poetą, nie w tem znaczeniu, żeby mu zbywać miało na gieniuszu, twórczości lub artystycznem uczuciu, ale, że nigdy piękność, nigdy poezya nie jest dla niego celem ani głównym przedmiotem jego zajęcia. Mickiewicz nawet kiedy za miliony cierpi, nie przestaje być poetą. Pierwsze *Dziady* pisze on, żeby sobie ulżyć w cierpieniu, dalsze *Dziady* i *Wallenroda* z zamiarem, z tendencyą; ale i wtedy jeszcze pisze poemat. Jeszcze cel artystyczny przyświeca mu jasno; nie mówiąc o tem, że *Grażynę* pisze tylko na to, żeby była piękną, że *Tadeusz*, poczęty w tęsknocie za krajem, napisany był z myślą, żeby był pięknym. Kiedy inny cel, tendencya, powołał go do swojej służby, wtedy on poezyę porzucił. Krasiński, czy kiedy pisał dlatego żeby pisać, żeby tworzyć, żeby z fantazyi swojej wydać coś pięknego? Chyba wtedy, kiedy jako dziecko prawie układał swój dziwaczno ponury romans o *Rodzinie Reichstalów*, albo kiedy jako młodzieńczyk podobał sobie w szumnych okresach i jaskrawych barwach *Agaj-Hana;* ale później, odkąd wyrósł i dojrzał, i stał się świadomym siebie i swego poetycznego powołania, nie. Świadczy przeciw temu jedyny fragment Wandy, a ten, kto wie, czy nie dlatego nie dał się dokończyć, że w niem nie było tej tendencyi, tej myśli, tego przystosowania.

On z walk i zapasów i ucisków dzisiejszego świata, politycznych i społecznych sił i prądów, chce

odgadnąć i wnieść, czy one mogą, i jakim sposobem, ułożyć się kiedyś w harmonię i zgodę. To jego natchnienie, to treść jego myśli i utworów, to jedno, co go do tworzenia pobudza. Rzecz charakterystyczna, w całej poezyi Krasińskiego jest jeden tylko uśmiech, jest nim przedmowa do *Trzech Myśli Ligenzy*. Jakiś fizyolog mówi, że do rzeczy, któremi człowiek różni się od zwierząt, należy śmiech; żadne zwierzę się nie śmieje. Musi ta zdolność wesołości być wielkim darem Bożym, kiedy go niższe istoty nie mają; i jak biednym musi być człowiek na to, żeby go nie używał, żeby się tej swojej zdolności oduczył. Mickiewicz się śmieje, Słowacki się śmieje, Byron się śmieje, Krasiński nigdy. U żadnego także z poetów europejskich, starego czy nowego świata, preokkupacya artystyczna, pierwiastek literacki i pisarski, nie są tak podrzędne, jak u niego. On jest cały i wyłącznie na usługi myśli, idei, celu; kiedy go taka idea uderzy i chce wyjść na świat, wtedy on bierze się do dzieła, ale to dzieło jest środkiem, jest sługą. A jak u Żydów proroctwa, lub skargi Dawida ze swoją treścią religijną i moralną, która miała na owe czasy i pierwiastek tendencyjny, patryotyczny, choć nie są tem, cośmy ściśle za poezyę brać przywykli, wylewają się w języku i w tonie poetycznym, w rytmie: jak greckie wyrocznie i włoskie Sybille, przepowiednie swoje dawały w wierszu: tak i u Krasińskiego myśl, która najczęściej jest przewidywaniem przyszłości, wyraża się przez poetyczne formy, przez postacie i sceny, przez wiersz lub rytmiczną prozę. Jak bardzo Krasiński różni się od wszystkich poetów, miarę wziąć można stąd, że nie możemy określić formy i rodzaju jego poezyi żadną z tych miar i definicyi, podług których przywykliśmy sądzić innych poetów. Czy go zaliczymy do romantyków, jego, który z romantycznością ballad, romansów, dramatów fantastycznych,

a nawet scenicznych, niema żadnego pokrewieństwa? a więc nazwiemy go klasykiem? niedorzeczeństwo. Czy powiemy, że on jest poetą lirycznym, dlatego, że *Przedświt* i *Psalmy* są poezyą uczucia, a nie są dyalogiem ani powieścią? Wszakżeż i poezya liryczna ma pewne swoje kategorye i odznaczenia, podług których się klasyfikuje; do której z tych przyłączymy *Przedświt* i *Psalmy*? nie wchodzą one w żadną, a jeżeli uczucie i natchnienie daje im prawo do nazwy lirycznej poezyi, to w każdym razie ten liryzm historyozoficzny, abstrakcyjny, nie jest podobny do tego indywidualnego, jaki jest u wszystkich liryków świata, od Petrarki do Schillera, Byrona i Mickiewicza. Czy powiemy, że Krasiński jest poetą dramatycznym dlatego, że w *Irydyonie* i w *Nieboskiej* są sceny i dyalogi? czy go nazwiemy poetą subjektywnym, jego, który o sobie i swoich uczuciach zawsze milczał? A więc jest objektywnym, on, którego każdy pomysł przesiąknięty jest jego pojęciami i ideami, każda figura widziana i przedstawiona ze stanowiska tych pojęć i idei? Nie — poezya ta i treścią swoją i formą wychodzi z granic zwykłej poezyi, jej rodzajów i znamion. A jeżeli szkoduje na tem jej piękność jako taka, jeżeli symbole i allegorye nie mogą mieć klasycznej prostoty i jasności prawdziwych ludzkich postaci, jeżeli poezya filozofii i historyozofii do czasu tylko i dla pewnego czasu może mieć ten urok, jaki poezya prostych, wrodzonych, ludzkich uczuć ma dla wszystkich i zawsze, jeżeli wskutku tego, stwierdzając odmienność Krasińskiego od wszystkich poetów, nie możemy w tej odmienności widzieć wyższości poetycznej, doskonalszej piękności — to wspomniawszy na powód, dla którego ona jest taką, na ciągłe i wyłączne zajęcie jednym przedmiotem, jednem uczuciem, miłością ludzkości i ojczyzny, uznać w niej musimy przynajmniej wyjątkową siłę miłości, wyjątkową wiel-

kość duszy. W żywotach świętych, czyta się o stygmatyzowanych, którzy przez wielką miłość Chrystusa i wielkie zatopienie się w kontemplacyi Jego męki, dochodzili do takiego stanu extatycznego, że nie żyli prawie na tym świecie i dla niego zdawali się być w uśpieniu i odrętwieniu, a tymczasem dusza ich tak żyła w Męce Pańskiej i tak ją czuła, że ciało samo pociło się krwawym potem Ogrojca i znaczyło znakami pięciu ran Golgoty. Do takich stygmatyzowanych, do takich zatopionych całą duszą w jednej miłości, a dla reszty świata prawie nie żyjących, podobna jest poezya Krasińskiego.

W najpiękniejszej, jaką posiadamy, pracy o Krasińskim, w francuskiej rozprawie Klaczki o *Bezimiennym Poecie Polskim,* jest pośród innych wielu to spostrzeżenie, że na odwrót tego, co się zwykle widzi, gieniusz Krasińskiego rozwijał się pochodem dośrodkowym »zstępującym od kwestyj ogólnych, »obejmujących ludzkość całą, do kwestyj narodowych »i psychologicznych. Fenomen to tem dziwniejszy, że »nie taki bywa zazwyczaj kierunek poetycznego gie»niuszu. Weźmy Danta, Szekspira, Göthego, wszyscy »oni wznoszą się stopniowo od szczegółów do ogółu, »od rzeczy skończonych do coraz szerszych, do coraz »bardziej nieskończonych, od *Vita Nuova* do *Raju*, »od dramatu historycznego i od *Romea* do wielkich »i głębokich pomysłów *Macbetha* i *Hamleta*, od *Wer»thera* i *Götza* do drugiej części *Fausta*. Inaczej ma »się rzecz z *Bezimiennym poetą*. Ten w dwudziestu »latach życia i na samym wstępie swojego zawodu, »wznosi się odrazu na najwyższe szczeble spekulacyi, »obejmuje jednym rzutem oka społeczeństwo całe, ale »raz przeszedłszy przez tę sferę, już do niej więcej »nie wraca, umyślnie zwija skrzydła i zakreśla sobie »koła coraz ciaśniejsze; sam wybór form, jakich po »kolei używa, jest obrazem tego wewnętrznego roz-

BIBLIOTEKA
Państwowego Pedagogium
w Krakowie

»woju. W pierwszych swoich dziełach podoba on so»bie w allegorycznym dramacie, to jest w formie naj»obszerniejszej i najswobodniejszej, jaką natchnienie »znaleźć może; potem ścieśnia się do powieści fanta»stycznej wprawdzie, ale już daleko bardziej jedno»stajnej i regularnej aniżeli ów dramat, a dochodzi »w końcu do formy najbardziej skupionej i indywi»dualnej, do liryzmu oznaczonego smutkiem i surową powagą«. Fenomen ten tłómaczy Klaczko przyczynami moralnemi, głębszemi od przyczyn historycznych i literackich, i mówi, że ten »rozwój dośrodkowy poety, »odpowiada pojęciom jego o obowiązkach dzisiejszej »chwili, o powołaniu ludzi i narodów w tej krytycznej epoce, którą przebywamy. W *Nieboskiej Ko»medyi* poeta żegnał raczej, niż witał, humanitarne »nadzieje; protestował przeciw fatalnym złudzeniom »wieku, który myśli, że potrafi odrodzić ludzkość, nie »odrodziwszy człowieka, i ustalić powszechne prawo, »nie utwierdziwszy wpierw człowieka w jego obo»wiązkach. Poeta chciał zastosować piękne prawidło, »że kto chce powitać wschód słońca, powinien patrzeć »nie wysoko nad sobą, ale horyzontalnie, równo »z sobą; usiłował więc rozpoznawać coraz lepiej pole »zostawione otworem jego czynności, jego dobrej »woli, określać coraz wyraźniej i coraz dokładniej »obowiązki jednego człowieka, w warunkach, w ja»kich on się znajduje, i w ten sposób, ścieśniając ko»lejno swój zakres, doszedł w końcu do jednego pun»ktu, do duszy ludzkiej, do duszy polskiej, do tego »punktu zaledwie dostrzeżonego, który, choć tak mały, »ma przecież obwód nieskończony, skoro obejmuje »Boga«.

Zbyteczna prawie wskazywać, jak poemata Krasińskiego oznaczają koła coraz ciaśniejsze »dośrodkowego ruchu« jego myśli. Pierwsze, najszersze, to *Nieboska Komedya,* której przedmiotem jest wielka walka

społeczna, tocząca się w całej Europie, a teatrem przyszłość. Choć napisana po polsku, choć aktorowie Henryk i Pankracy są Polakami, *Nieboska Komedya* nie należy do Polski tylko, ale do Europy, do wieku, bo jest zarówno ich obrazem, obrazem tej kwestyi najogólniejszej, która stanowi sam rdzeń historyi naszego wieku. Za nią idzie *Irydyon,* na pozór obszerniejszy jeszcze, obejmujący dwa społeczeństwa, rzymskie treścią, nasze przystosowaniem, a co do czasu, obejmujący ogromny szereg wieków, cesarstwo rzymskie, w epilogu chwilę dzisiejszą, a przez posłanie *Irydyona* do ziemi mogił i krzyżów otwierający jeszcze widok na przyszłość przed nami. Ale pomimo tych pozorów, koło *Irydyona* jest rzeczywiście ciaśniejsze; przedmiotem jego nie jest proces odbywający się w łonie ludzkości całej, ale tylko proces odrodzenia jednego narodu: z kwestyj powszechnych, społecznych, przechodzi poeta do kwestyi patryotycznej. W *Przedświcie* i w trzech pierwszych *Psalmach*, już zagadnienie przyszłości ukazuje się dla poety rozwiązanem i ściągniętem do swego najprostszego wyrazu. To już nie rozpaczliwy koniec *Nieboskiej Komedyi*, w której nikt nie ma słuszności i prawdy, nie nadzieja wątpliwa, jaka tkwi w posłaniu Irydyona do Polski, niejako na próbę, to już pewność zupełna, i pewność nie rzeczy tylko, ale nawet środków. Poeta zdaje sobie sprawę doskonale ze wszystkiego co jest, i jest pewien, że odrodzenie nastąpić musi, jeżeli my zachowamy się tak, żeby mu nie przeszkodzić. Poezya jego staje się więc słowem nauki, podaje prawidła tego postępowania, zamyka się coraz szczelniej w zakresie idei patryotycznej i moralnej, a ze swojem natchnieniem, ze swoim mistycyzmem, schodzi niemal na pole praktyczne, na pole bezpośredniego użytku i zastosowania. Od *Przedświtu* już ten charakter zostaje i nie zmienia się, tylko owszem, staje się coraz wyraźniej-

szym, coraz bardziej określonym; poeta ukazuje się jakżeby coraz silniej przekonanym o prawdzie do której doszedł, formułuje ją coraz dokładniej i jaśniej, najjaśniej w ostatnim *Psalmie;* stosuje ją do szczegółów niejako, wykazuje na przykładach w *Dniu Dzisiejszym*, aż wreszcie nadaje jej wyraz najkrótszy, najtreściwszy, w kilkunastu wierszach *Resurrecturis*.

Ale to spostrzeżenie Klaczki, świetne i przez pół wieku uważane za pewnik, zaprzeczane jest listami Krasińskiego do Reeva. Odkąd te listy wyszły na jaw wiemy, że pomysł *Irydyona* powstał w głowie Krasińskiego wcześniej, niż pomysł *Nieboskiej*: tylko wykonany był później i powolniej. Jednak ta pomyłka, ta chronologiczna różnica jest szczegółową tylko i raczej zewnętrzną. Pomimo niej zostaje niewzruszonym fakt, i niezaprzeczonem twierdzenie, że myśl Krasińskiego z obwodu dąży do środka, do samego jądra prawdy, a im bliżej jego jest, tem jaśniej ten swój przedmiot widzi i określa. Budzi ją fakt, dostrzeżenie faktu. Ale im więcej dostrzega i rozważa, tem więcej napotyka faktów równie wielkich i równie złych i wtedy pyta, jakie są prawa stałe, wiekuiste, boskie, które temi zjawiskami rządzą? dostrzeżone fakta stara się odnieść do jakichś przyczyn wspólnych, wyrozumieć i wytłómaczyć ich kolejne następstwo zapomocą pewnych praw niewzruszonzch i nieomylnych. Od zjawisk, od dzisiejszych faktycznych stosunków, które ocenia i sądzi rozumem polityka i sumieniem chrześcijanina, przechodzi poeta do ogółu spraw ludzkich i praw boskich; związku jednych z drugimi dochodzi umysłem filozofa, aż wreszcie znajduje i określa ten wzajemny stosunek, tę zależność jednych od drugich, czyli składa cały system filozofii, obejmujący stworzenie i Stwórcę, przeszłe dzieje i przyszłe przeznaczenie ludzkości. Do środka, do ostatecznej konkluzyi, dąży

on coraz usilniej i określa ją coraz ściślej; ale zarazem zatacza coraz szerzej obwód tego koła swojej myśli, ogarnia niem przestrzenie coraz szersze; a znaleziona prawda, odkryte prawo, tłómaczy mu wszystkie zjawiska fizycznego i moralnego świata, osobistego życia człowieka i zbiorowego życia ludzkości na ziemi.

ROZDZIAŁ II.

1812—1833.

I. Dzieciństwo. Rodzice. Charakter Jenerała Krasińskiego. Starościna Opinogórska. Sprzeczność natury ojca i syna. Nauki. Przyjaciele. Pociąg do czytania i pisania. *Grób Rodziny Reichstalów. Władysław Herman.* Jenerał Krasiński w Sądzie Sejmowym. Pogrzeb Wojewody Bielińskiego. Wyjazd młodego Krasińskiego z Warszawy. II. Usposobienie Krasińskiego w pierwszych czasach pobytu za granicą. Małe Powieści. Znajomość z Mickiewiczem. Przyjaźń i korespondencya z Henrykiem Reeve. Henryeta Willan. Wyjazd do Rzymu. III. Powstanie roku 1830. Listy do ojca. Prośby. Wzięcie Warszawy. Przeobrażenie dokonane w Krasińskim pod wpływem tych wypadków. IV. Rozpacz. Spotkanie z Leonem Łubieńskim. Stan świata. Przyszłość. Pojęcie miłości i małżeństwa. Pisma. *Adam Szaleniec. Agay-Han.* V. Listy do Gaszyńskiego. Wyjazd do kraju. Opinogóra. Pani Załuska. Petersburg. Choroba. Audyencya u cesarza Mikołaja. Pomysł Irydyona. Wyjazd do Włoch.

I.

Dzieciństwo. Rodzice. Charakter Jenerała Krasińskiego. Starościna Opinogórska. Sprzeczność natury ojca i syna. Nauki. Przyjaciele. Pociąg do czytania i pisania. *Grób Rodziny Reichstalów. Władysław Herman.* Jenerał Krasiński w Sądzie Sejmowym. Pogrzeb Wojewody Bielińskiego. Wyjazd młodego Krasińskiego z Warszawy.

Urodził się w Paryżu, 19 lutego 1812. O jego dzieciństwie wypisują z pamiętników, podsłuchują z podania i zapisują jego biografowie czy recenzenci różne szczegóły. Kochał bardzo rodziców, i słaby prosił żeby matce nie mówiono, że cierpi, boby się zmartwiła; przed cesarzem Aleksandrem (w roku 1816) zapytany, co umie, i proszony, żeby powiedział na pamięć jakie wiersze, deklamował naiwnie republikańską tyradę Brutusa z Voltaira. Cesarzowej, matce Aleksandra, dał odpowiedź dowcipną, która była zgrabnym komplementem, ale zarazem warowała całość i nietykalność jego polskiego uczucia i honoru [1]). Dla piastunki, Francuzki, napisał jakąś historyjkę po francusku. Do tych oznak dziecinnego rozumu, do tego zbioru anegdot, można dodać jeszcze jednę, która zarazem jest pierwszym jego wierszem. Bawił się z innemi dziećmi,

[1]) Voulez-vous-être mon défenseur? — Non, Votre Majesté n'a pas besoin de défenseurs, n'ayant point d'ennemis.

przebierali się w różne stroje. Mały rówieśnik, Bronisław Stadnicki, przebierał się za rycerza: miał pancerz, hełm, tarczę. Zygmunt, już świadomy średniowiecznych obyczajów, przypomniał, że na tarczy powinno być wypisane godło i ułożył następujące:

»Dawnych rycerzy plemię jeszcze nie wygasło:
Ich duch żyje w mem łonie, a w imieniu hasło«.

Za nauczyciela miał sławnego później pisarza Józefa Korzeniowskiego; ten uczył go przez czas krótki (bo — nie mógł dojść do zgody i porozumienia z jenerałową [1]).

To wszystko wszakże nie odpowiada na jedno pytanie. Dlaczego on sam pisze o sobie (w liście do Gaszyńskiego) »byłem dzieckiem niezmiernie żywem ale zawsze smutnem«? Patrząc na portret chłopaczka, może czteroletniego, w białym żupanie i czerwonym kontuszu, jadącego na ojcowskiej szabli jak na koniu (Kajetan Kożmian napisał na ten portret czterowiersz bardzo dla ojca pochlebny) przypuszcza się, że wszystkie rodzicielskie uczucia i marzenia, wszystkie błogosławieństwa i wszystkie pieszczoty, otaczały to dziecko taką atmosferą szczęścia, że swobodnie i wesoło róść w niej musiało. A jednak dziecko było smutne... dlaczego? ani pieszczot, ani miłości rodziców mu nie brakło. Ale i dzieci, choć najbardziej kochane, rozwijają się smutno w domach smutnych; a ich dusza, choć nieświadoma jeszcze, przeczuciem jakiemś chwyta cierpienia drugich; czasem, kiedy są wyjątkowo czułe, wtóruje tym cierpieniom, jak arfy eolskie, dotknięte

[1]) Korzeniowski widział w swoim małym uczniu niezwykłe zdolności. J. Kallenbach w dziele poświęconem młodości Krasińskiego, przytacza ustępy z korespondencyi Korzeniowskiego z Jenerałem, które to zaświadczają wyraźnie. Przytacza tez zakres nauk chłopczyka, i tematy jego zadań, rzeczywiście zadziwiające na wiek tak młody.

jakimś tajemniczym, nie wiedzieć skąd, powiewem. Dom był smutny, a dziecko musiało to czuć, choć o tem nie wiedziało. Dom, w którym nie było szczęścia, ani złego obchodzenia, ani tembardziej występku lub zgorszenia: ale w którym nie było oddawna i zgoła zrozumienia się i miłości. Przez całe życie syn nie mógł nigdy zrozumieć się z matką; a między mężem i żoną czy było co wspólnego, prócz dziecka?

Jenerała Krasińskiego sądzono i opisywano rozmaicie. Od Sądu Sejmowego w r. 1829 uchodził za odstępcę i moskala; później, w ostatnich latach życia, kiedy po śmierci Paszkiewicza zastępował przez krótki czas Namiestnika Królestwa Polskiego, opinia zaczęła być dla niego łaskawszą. Po roku 1863, kiedy obliczono, że zerwanie się do broni, a bez siły, prowadzi do zagłady polskich instytucyj w Królestwie, a polskiego żywiołu na Litwie i Rusi, Jenerał Krasiński, który swojem głosowaniem w Sądzie Sejmowym dał dowód przezornego szanowania bytu Królestwa, został znowu (a niekiedy przesadnie) rehabilitowanym. Niektórzy biografowie syna widzą w nim wielki charakter, wielką siłę przekonań, wielką cywilną odwagę, i tę stałość, która robi co przekonanie i sumienie każe, *si totus illabatur orbis.*

Oskarżenie przed pół wiekiem i te pochwały — równo niezasłużone. Wincenty Krasiński nie był nigdy złym Polakiem, ani odstępcą, ani złym, tem mniej, nikczemnym człowiekiem; nie był też nigdy wielkim charakterem. Był, owszem przeciwnie, charakterem raczej małym, przez wielką próżność. Odważny i waleczny w boju, świetny oficer, nie bez wojskowych zdolności, w obejściu z ludźmi bardzo podobno miły, pełen wesołości i wdzięku; bardzo piękny przytem i za młodu obdarzony nie małem do płci pięknej szczęściem, skłonny do zabaw i hulanki, z sercem miękkiem i dobrem, byłby skończonym typem zwykłego napo-

leońskiego oficera, który bohaterskim pozorem zawracał głowy pannom i mężatkom, żenił się bogato, żonie wiele szczęścia nie dawał, a często ją swoją wewnętrzną czczością rozczarowywał lub odstręczał; w wojsku był przydatny i nawet świetny, szarżował jak bohater, dochodził do wyższych stopni — ale większego dowództwa nie obejmował, bitwy nie byłby zdołał poprowadzić, bez rozkazów, na własną odpowiedzialność, działać nie mógł. Rodzaj to ludzi bardzo w wojsku potrzebny, i dla wszystkich — z wyjątkiem może żon — bardzo miły. W Krasińskim wszakże psuła i szpeciła tę naturę wada jedna — niestety częsta między Polakami — próżność. Była ona u niego osobistą, i była niebezpieczniejszą od tej, familijną. Chciał sam błyszczeć i świecić, i chciał, żeby błyszczał i świecił jego dom. Wada ta na pozór niewielka i nieszkodliwa, jego, jak wielu, doprowadzała i do uczuć nieszlachetnych i do uczynków śmiesznych. Nie cierpiał naprzykład księcia Józefa. Zdaje się dziwnem, żeby młody chłopak, jeszcze nie dwudziestoletni, naprzód nie czuł raczej zapału i uwielbienia do rycerskiego dzielnego dowódzcy z pod Zieleniec i Dubienki, a powtóre, żeby mógł siebie z nim równać, przypuścić tylko do głowy jakąś możliwość współzawodnictwa. Jednak Krasiński nie cierpiał księcia Józefa, bo mu zazdrościł, bo go tamten ćmił swoim blaskiem. W pierwszych latach naszego wieku, a najmniej właśnie świetnych w życiu księcia, Krasiński dorastający i rozkwitający młodzieniec chciałby był koniecznie być pierwszym w Warszawie; a tymczasem w opinii ludzkiej, jak w łaskach kobiet, jak w dochodach i trybie domu, pierwszym był tamten; współzawodnika (którego zapewne ani się domyślał), przyćmiewał i gasił; ztąd żal, niechęć, zazdrość w próżnem sercu Krasińskiego, na które już nic nie pomogło, chyba je wody Elstery ugasiły, Krasiński idąc z wojskiem z Pa-

ryża, zabrał zwłoki księcia Józefa w Lipsku, i odprowadził je do Warszawy.

Człowiek, który mógł być zupełnie tęgim i sympatycznym, przez tę nieszczęsną próżność stawał się samochcąc śmiesznym, a czasem nieszlachetnym.

Ojciec odumarł go w dzieciństwie; między matką a synem zaś nie było nigdy zbliżenia, ufności.

Antonina z Czackich Krasińska, starościna Opinogórska[1]), była niewiasta niepospolitej wartości, powagi, energii, ale usposobienia despotycznego. Surowa dla siebie, trzymała w surowej karności wszystko co ją otaczało; syn rygoru tego znosić nie chciał. We wspomnieniach Jenerała Krasińskiego, znanych Kallenbachowi, jest ustęp przez niego przytoczony (w tomie pierwszym, strona 14, 15) dowodzący, że Jenerał już jako dziecko czuł się nie kochanym przez matkę. W miarę jak rósł, coraz częstsze a raczej nieustające od pierwszej jego młodości nieporozumienia. Romansowe przygody, kawalerskie wybryki, albo długi młodego chłopca, gniewały matkę i sprowadzały takie burze, że pobyt w domu był dla syna nieraz przykrym; że często z rodzicielskiego do domu krewnych i pod ich opiekę się uciekał. Surowość matki musiała istotnie być zbyteczną, skoro syn już stary, w ostatnich latach życia, jeszcze z pewną goryczą o niej mówił, a z wdzięcznością rzewną wspominał krewnych, którzy (jak się wyrażał) »garnęli do siebie sierotę«. Z latami rosło jego pragnienie wolności, i romansowe przygody, i długi, a z niemi znowu wzrastał żal i gniew, często słuszny, matki. Doszedł zaś do wysokiego stopnia, kiedy syn, pokryjomu bez jej wiedzy wstąpił do wojska. Że nie mógł nic lepszego zrobić, że ze swoją naturą do wojska był stworzony, że uczu-

[1]) Córka Szczęsnego Czackiego Podczaszego Wgo Kor. i Katarzyny Małachowskiej; siostra Tadeusza Czackiego; siostrzenica Stanisława (Marszałka) i Jacka (kanclerza) Małachowskich.

cie polskie kazało mu służyć w szeregach zwycięzcy z pod Austerlitz i Jeny, to jasne; i to matka powinna była zrozumieć, ocenić i pochwalić. Ale starościna Opinogórska niecierpiała rewolucyi francuskiej, niecierpiała Napoleona. Łączyły się na to zapewne jej uczucia katolickie, jej staropolskie szlacheckie wyobrażenia, z wpływem emigrantów francuskich, których wielu na Wołyniu i Podolu, wielu u jej krewnych i przyjaciół osiadło. Dość, że dla córki Podczaszego Czackiego, wychowanej w katolickich i szlacheckich tradycyach, w czci rodziców heroicznie do tej tradycyi przywiązanych, widzieć syna w służbie tego porządku rzeczy, który powstał z rewolucyi, widzieć potomka starego senatorskiego domu, Krasińskiego, w służbie parweniusza i uzurpatora, było zgorszeniem i wstydem.

Ożenienie syna (wcześniejsze od jego wojskowej służby), nie zdołało jej chwycić za serce i złego stosunku naprawić; bolała ją i upokarzała nie osoba synowej, tylko sposób i powód ożenienia syna.

Marszałek Małachowski, po śmierci swojej pierwszej żony, Czapskiej z domu, bezdzietny, ożenił się powtórnie z jej siostrą, księżną Radziwiłłową, rozwódką. Ta miała córkę Radziwiłłównę. Umarła wkrótce; księżniczka Marya została przy ojczymie. Ojciec (także powtórnie żonaty), nie dbał o nią i nie pytał; ojczym przywiązał się jak do własnego dziecka. Młodej, żywej, dowcipnej dziewczynie mogło nieraz być ciężko i nudno przy starym, poważnym, może trochę pedantycznym Marszałku; ale innej opieki nie miała, dla niego miała wdzięczność i przywiązanie; zresztą, jak dowodzą jej własne listy [1]), ojczym dawał jej jak na owe czasy dość wolności, i nie zbywało jej na towarzystwie, na zabawach, na przyjaciółkach. Zbywało na wielbicielach i konkurentach. Księżniczka miała

[1]) Falkowski — *Z życia ostatnich kilku pokoleń.*

dobre serce, dużo rozumu, jeszcze więcej dowcipu, i bardzo duży majątek: ale była bardzo nieładna, jak mówią współcześni, jak świadczą portrety, jak sama nieraz w listach swoich przyznaje. Bolało to i niepokoiło troskliwego ojczyma, że panna już dorosła nie wychodziła za mąż. Że zaś była bogatą dziedziczką, pragnął ją wydać za jakiego swojego krewnego. Była jeszcze małą dziewczyną, kiedy już układał różne plany, szukał jej przyszłego męża naprzód między synowcami, Małachowskimi. Plany się nie udały; panna dorosła, doszła nawet lat 24. Młody Krasiński był od niej młodszy, był trochę lekkomyślny, ale miał piękne nazwisko, duży majątek, i był przez matkę krewnym pana marszałka. Na nim więc spoczęły teraz nadzieje opiekuna. Panna zrazu uważała to małżeństwo za rzecz niemożliwą, trochę śmieszną; przyszłego męża nazywała w listach chłopczykiem. Kawaler z pewnością nie czuł dla niej żadnego affektu. Ale wujaszek patryarcha familijny, namawiał, długi dokuczały, ożenienie dawało mu odrazu rzecz wielce pożądaną, niezależność od matki, więc oświadczył się. Panna, może upokorzona tem że dotąd męża nie znalazła, ujęta zapewne pięknością i wdziękiem »chłopczyka«, oddała mu rękę bez trudności i przykrości, ale bez zapału i złudzeń. Matce małżeństwo to było przykre; syn żeniący się z panną starszą od siebie, nie kochaną, dla tego że była bogata, spadał niżej w jej opinii. Synowa podobać jej się nie mogła. Uznawała wszystkie zalety i cnoty, ale drażnił ją sam widok starszej i brzydkiej żony przy chłopcu młodziutkim i ślicznym, a niecierpliwiły ją nerwy biednej kobiety, która przy wszystkich swoich pięknych przymiotach miewała dziwactwa, przywidzenia, urojenia, kaprysy. Pożycie z mężem nigdy złe, szczęśliwem przecież być nie mogło. Dopóki trwały wojny, a mąż z konieczności rzadko w domu bywał, oddalenie samo ułatwiało pożycie.

Ale kiedy wojny się skończyły, kiedy Jenerał odprowadziwszy wojsko z Fontainebleau do Polski, osiadł w Warszawie, kiedy zaczęło się naprawdę życie wspólne a bezczynne, oboje przekonali się już do reszty, że nie mają nic innego do roboty, jak zachowywać pozory. Jenerał był w sile wieku i zawsze piękny, choć zaczynał nabierać zbytecznej tuszy; Jenerałowa coraz starsza, coraz mniej powabna, stawała się i coraz mniej przyjemną; zdrowie zawsze wątłe, zepsuło się zupełnie, a z niem zniknął humor i dowcip. Stosunek z matką, która przez zimę mieszkiwała w Warszawie (ale w innym domu) nie stawał się lepszym. Była to więc rodzina, w której wszyscy wprawdzie kochali bardzo dziecko, ale tylko to dziecko; zresztą między sobą kochali się mało. U Jenerałowej wreszcie rozwinęła się piersiowa choroba, która ją też w roku 1822 zabrała. Syn odziedziczył po niej organizm wątły i słabowity, twarz nie piękną (z wyjątkiem oczów, a i tych piękność zginęła prędko, bo od młodości były zawsze chore), cerę czerwoną, i zaród chorób, które go przez całe życie dręczyły. Czy chłopczyna dziesięcioletni bardzo żywo uczuł swoje osierocenie? Zapewne. W listach swoich (rzecz dziwna) on jeden raz tylko o matce wspomina; zdawałoby się, że jedynym dowodem pamięci było jej imię dane później córce. Jednak czy mały Orcio z *Nieboskiej Komedyi* rozmawiający z duchem matki i odmawiający poetyczne jakieś pacierze na jej grobie, obok ojca, który na ten grób patrzy obojętnie, nie jest choć trochę odbiciem własnych dziecinnych wspomnień lub marzeń? »Byłem dzieckiem smutnem«. Do tego smutku mogła się przyczynić, jeżeli go nie poczęła, tęsknota za matką. Jak Jenerał Krasiński przyjął i znosił stratę żony? Współcześni wspominali, że był wdowcem raczej wesołym. Ale naprzeciw temu

stają wiadomości Kallenbacha, czerpane z papierów Krasińskich, (poparte *Wspomnieniami* A. E. Koźmiana[1]). Podług tych Jenerał po śmierci żony pogrążył się w głębokiej boleści, i zajął się bardzo czynnie, troskliwie, wychowaniem syna. Te dwa podania różne, może niezupełnie sprzeciwiają się sobie. Przy tej naturze żywej i popędowej, mógł być zrazu żal wielki, a nie długotrwały.

Z tego samego dzieła, z tych samych zródeł, dowiadujemy się, że Jenerał istotnie starał się syna kształcić, rozwijać, wpływać na niego częstą i długą rozmową: wyrabiał w nim miłość ojczyzny, i uczucie honoru. Obudził też w synu oprócz przywiązania, ufność, podziwienie: syn widział w nim wzór rycerza i obywatela. Te uczucia będą się odzywały długo zawsze. A jednak pomimo tych zasad sprzeczność natur była rzeczywista i głęboka.

Oni nawzajem kochali się niezmiernie, a nigdy zrozumieć się nie mogli. Pojęcie życia, jakie miał Jenerał, dla syna było za ciasne, za płytkie; to znowu, jakie miał syn, ojcu wydawało się przesadzonem, romansowem, fałszywem. Ztąd pomimo najrzetelniejszej wzajemnej miłości, pomimo zaufania tak zupełnego, że syn wyznawał i zwierzał ojcu wszystko co myślał, czuł lub robił (choć najłatwiej mógłby był milczeć i taić), wzajemnego zrozumienia się nie było nigdy. Jenerał naprzykład cieszył się poetyczną sławą syna, ale nie pojmował, na czem się ona zasadza. Ta poezya mglista nieraz, a zwykle allegoryczna, jemu wydawała się brzydką albo niedorzeczną. Syna nawzajem dręczyły lub gniewały często wyobrażenia ojca, a różnica tych dwóch charakterów, dawała się widzieć już od pierwszych lat Zygmunta.

[1]) Zygmunt Krasiński. Tom I. str. 36.

I znowu ironia losu:

. . . . »Warum von tausend Vätern
»Just eben diesen Vater mir? und ihm
»Just diesen Sohn?...
»Zwei unverträglichere Gegentheile
»Fand die Natur in ihrem Umkreis nicht«.

W naukach, mówią współcześni, postępował dziwnie szybko, a zwłaszcza pojmował je na swój wiek dziwnie głęboko. Kajetan Koźmian zaproszony raz na egzamin dwunastoletniego chłopczyka, wspomina w pamiętnikach o jego nadspodziewanie bystrych odpowiedziach. Ale tu nasuwa się uwaga, czy razem z synem nie zdała także egzaminu i próżność ojcowska? Na popis małego chłopca zaprosić najpoważniejszych i najgłośniejszych w owym czasie pisarzy i uczonych, choćby bliskich przyjaciół domu, było nierozważnie, niebezpiecznie, bo chłopiec mógł łatwo pomyśleć, że musi być czemś nadzwyczajnem, kiedy aż tacy ludzie przychodzą go pytać i słuchać, wpaść w zarozumiałość, w pychę. Uniknęła jej wszakże, i przez całe życie, bardzo szlachetna, wzniosła natura Zygmunta.

W roku 1826 wszedł do Liceum. Przygotowywał się, a potem już w szkole uczył się, pilnie. Zachowane zeszyty zadań i wypracowań, nieraz wcale trudnych, świadczą, że umiał dobrze wszystkie przedmioty, nawet matematykę[1]). Ważny w jego życiu wypadek. Samotny dotąd, znalazł w szkole kolegów, między kolegami przyszłych całego życia przyjaciół. W tej samej klasie był Stanisław Koźmian, w dalszem zwłaszcza życiu złączony z Krasińskim serdeczną przyjaźnią; i odrazu umiłowany, wybrany przyjaciel, Konstanty Gaszyński.

Był to właśnie sam wir walki klasyków z romantykami, sam najsilniejszy paroksyzm tej literackiej

[1]) Kallenbach. Krasiński. Tom I. strona 49.

i poetycznej u nas gorączki, tej pasyi czytania i zachwycania się nad Mickiewiczem naprzód, a potem nad Byronem, a potem nad wszystkiem, czego dostarczała literatura europejska. Młody studencik, który już w samotności wiele czytał, wiele marzył i fantazyował, wiele miał ciekawości i żądz literackich, kiedy się zaprzyjaźnił z drugim, u którego znajdował te same uniesienia i pragnienia, który, jako starszy, więcej już może od niego był przeczytał, który sam wierszyki pisać zaczynał, musiał w tem zetknięciu, jak krzemień sypać z siebie iskry coraz większych zachwytów, marzeń i pragnień, musiał zwłaszcza marzyć o pisaniu. Rzecz dziwna, syn żołnierza i światowego człowieka, od dzieciństwa ma w sobie wprost przeciwne powołanie; a poeta, który był jednym z najmniej płodnych na świecie, który bardzo mało pisał i zawsze tylko pod wpływem jakiejś przemagającej siły wypadków i potrzeb, na szkolnej ławce marzy o autorskim zawodzie; przyszły poeta zaś i filozof, zdaje się mieścić swoje powołanie i swoją chwałę w skromniejszym zawodzie pisarza powieści.

Nie bogate są źródła wiadomości o tych jego latach i literackich z Gaszyńskim rozmowach i zamiarach. Z jego listów jedynie dowiedzieć się można, że w ogrodzie, czy przy kominie, kryjąc się z fajkami, których Jenerał palić jeszcze zabraniał (później już się nie kryją), gadali i marzyli bez końca. To samo i prawie tak ogólnie mówi napisany przez Gaszyńskiego (dotąd nie wydany) żywot Krasińskiego. To samo źródło wspomina o jakiejś młodocianej miłości przyszłego poety; miłości rzeczywiście nic nie znaczącej. Oznacza ją Gaszyński imieniem tylko: panna Helena. Krasiński zaś w jednym z listów do niego, pomiędzy innemi wspomnieniami warszawskiemi, pyta go »czy pamiętasz pannę Helenę i scenę w garderobie mojej babki«. Co to za scena być mogła? Czy sroga staro-

ścina zjawiła się, groźna, jak statua Komandora, i przerwała jakie czułe westchnienia? Tego już zapewne historya nigdy nie dojdzie.

Ale była jednak już wtedy miłość więcej w jego życiu znacząca. Listy do ojca, późniejsze listy do przyjaciela Reev'a, stwierdzają niewątpliwie, że młodziutki student zakochał się w młodziutkiej kuzynce, pani Amelii Załuskiej [1]). Córka jenerała Bronikowskiego, urodzona z Krasińskiej, sierota bez ojca i matki, chowała się od śmierci ojca w domu Jenerała Krasińskiego, krewnego i opiekuna, i z tego domu wyszła za mąż w siedmnastu latach za hr. Romana Załuskiego. Mąż, oskarżony w spisku Krzyżanowskiego, zostawał w więzieniu przez cały czas sądu sejmowego; młoda żona wtedy zamieszkała w pałacu Krasińskich. Zygmunt widywał ją codziennie, i w listach wspomina swoje z nią rozmowy, jej muzykę, swoje zachwyty i uniesienia, i jej okrutną obojętność. Kallenbach przypuszcza, z wszelkiem prawdopodobieństwem, że Agay-Han, pacholę zakochane w swojej pani, i Maryna z góry dumnie patrząca na tę miłość, to odbity w powieści ówczesny stosunek Krasińskiego do pani Załuskiej. Ta jego miłość, i ta jej obojętność, miały ciąg dalszy w roku 1832.

Echa walki klasyków z romantykami, i dyskusyi toczących się u Jenerała dochodziły do syna przez Gaszyńskiego, który, jako starszy, był dopuszczony do słuchania, a czasem już się nawet śmiał i odezwać; i przez Odyńca, który z heroiczną odwagą, młody Daniel romantyczny w lwiej jamie klasyków, stawiał czoło Osińskiemu i walczył za chwałę Mickiewicza, a potem małemu Krasińskiemu opowiadał, co słyszał i mówił. Może nie zdarzało się to tak często i regu-

[1]) Kallenbach. *Krasiński.* Tom I, str. 53 i 54.

larnie, jak z *Listów* Odyńca wnosić by można, ale zdarzało się istotnie.

Z tego przecież, co o tych czasach pisze Gaszyński w owym Żywocie, a Krasiński w listach, wychodzi wniosek dość zadziwiający, że musieli myśleć i mówić najwięcej nie o Mickiewiczu, o którym mówiła cała Polska, nie o Byronie o którym mówiła cała Europa, ale o Walter-Skocie. Może byli jeszcze tak młodzi, że powieść, jako lżejsza, trafiała im łatwiej do pojęcia i do wyobraźni, od poważnej poezyi. Może też te średniowieczne rycerskie dekoracye i sceny, turnieje, więzienia, bitwy, giermki, damy, zamki, klasztory etc. w romansach Walter-Scotta z niepospolitą siłą kolorytu malowane, swoją dekoracyjnością samą czarowały wyobraźnię młodego Zygmunta. Jakkolwiekbądź jego popęd do pisania nie trysnął wierszami, jak u Gaszyńskiego, ale wylał się naprzód w to łożysko powieści przez Walter-Skotta wyżłobione. Pierwszym jego literackim sukcesem był przekład *Świtezianki* na język i wiersz łaciński — osobliwszy pomysł! Drugą próbą (ale nie sukcesem) była jakaś powieść, którą w domowej drukarni na bibule wydrukował, i ojcu w darze złożył. Ojciec (bardzo rozsądnie) podziękował, ale zalecił, żeby się od drukowania wstrzymał. Trzecim z kolei był *Grób Rodziny Reichstalów*, który Dmóchowski ogłosił w dodatku do *Korrespondenta Warszawskiego* 1828. Dziwili się wtedy ludzie Jenerałowi, że chłopcu pozwala drukować, i jeszcze takie głupstwa. Bez wiedzy ojca zapewne stać się to nie mogło; ale raczej dziwićby się trzeba wytrawnemu i wykształconemu Dmóchowskiemu, że tę powieść przyjął, gdyby się nie wiedziało, że redaktor w kłopocie zdolny jest wiele popełnić, że czasem w kłopocie (albo z natury), wmawia w siebie obowiązek zachęcania młodych talentów, że powieść małego Krasińskiego, jakakolwiek była, mogła obudzić ciekawość

publiczności znającej ojca, a wiedzącej o synu; że wreszcie redaktor nie chciał może być niegrzecznym dla młodego autora a pośrednio dla ojca. Raczej dziwić się można tym biografom i recenzentom Krasińskiego dzisiejszym, którzy w tej powieści odkrywają jakieś zalety. Wszystko, co na jej korzyść powiedzieć bowiem można, to, że autor miał lat piętnaście czy szesnaście, że powieści równie lichych było dużo, że w latach, kiedy wogóle było mniej polskich powieści, ta mogła się wydawać mniej lichą, niż dziś, i niż była w istocie, i wreszcie, że w innym wprawdzie rodzaju i formie, ale równie liche piszą się jeszcze i za naszych czasów.

Grób Rodziny Reichstalów jest to romans z czasów Wojny Trzydziestoletniej. Bohaterem jest Wallenstein, w początku powieści młody pułkownik zakochany w córce znanego astrologa i alchemisty, Reichstala, mieszkającego w Egrze. Ten, wyczytawszy w gwiazdach świetną przyszłość pułkownika, zmusza do zamęścia córkę, która nie mogąc się doczekać ratunku od wezwanego na pomoc nieobecnego brata, truje się w ostatniej chwili przed ślubem. Ojciec sekretem jakimś swojej sztuki, zabezpiecza jej ciało (jak niegdyś żony) od zepsucia, i zupełnie taką jak była za życia, chowa w grobie rodziny. Brat przybywa zapóźno, ale poprzysięga zemstę, i dotrzymuje po wielu latach, w tej samej Egrze. On to, pod przybranem nazwiskiem szkota Leslie, zabija księcia Friedlandu.

Ale cokolwiek i jakkolwiek on pisał, pisma te dowodzą kierunku jego umysłu, dowodzą, że był otoczony jakiemiś utworami swojej wyobraźni; że nie mając powodu do cierpienia uczuciem, szukał go fantazyą, chciał je odgadnąć, wystawić sobie. Wskazuje ta powieść, że fantazya młodego chłopca lgnęła do jakichś figur ponurych, do przygód strasznych, do fatalizmów ciążących na całych rodzinach; że cała ta

strona dekoracyjna ówczesnej romantyczności, przynajmniej ówczesnych romansów, podobała mu się i pociągała go silnie. Kto wie, czy nie z tych wczesnych skłonności i przyzwyczajeń poszło pewne u Krasińskiego zamiłowanie ozdób dekoracyjnych i przesadnych, którego nigdy zupełnie pozbyć się nie umiał; do końca lubi on takie *effekta*, i nieraz ich istotnie nadużywa.

Dość, że żył w sobie, życiem wewnętrznem, z wyobraźnią chciwą wrażeń, a na ich podstawie rojącą jakieś własne marzenia i kształty. Umysł rozwijał się szybko i bujnie. W sercu gorącem wzmagała się z każdym dniem potrzeba kochania; im więcej ją tłumił, im bardziej był na pozór chłodny i hardy, tem ona gwałtowniej domagała się praw swoich. Ztąd jego popęd do przyjaźni, i wielka potęga tego uczucia; ztąd skłonność do idealizowania przyjaciół (która mu na całe życie została). Kiedy pośród kolegów znalazł takiego, który mu był szczególnie miły i sympatyczny, lgnął do niego i oddawał mu całe serce. A i z tej strony także czekał go zawód bolesny.

W każdym razie były te lata nauki (szkolnej naprzód, a od roku 1828 uniwersyteckiej), ta *Era Fajkowa*, którą w listach zawsze rzewnie wspomina, epoką najpogodniejszą, najszczęśliwszą w jego życiu. Głowa pełna rojeń i pomysłów, myśl ciągle zajęta, w sercu jakaś miłość i przyjaźń szlachetna, i wreszcie dość swobody, wrażeń dużo czy w książkach, czy na przechadzkach i polowaniach z Gaszyńskim w Opinogórze; a w dodatku pisanie. To było piękne, i lepsze od Reichstalów, że dla Lelewela przetłómaczył na język francuski, część pierwszą *Początkowego Prawodawstwa Polskiego*, ogłoszoną przez L. Chodźkę w Paryżu, jako *Essai historique de la législation civile et criminelle jusqu'au temps des Jagellons, traduit par Sigismond Krasiński sous les yeux de l'au-*

teur[1]). Jego przecież (jak naturalnie) zajmowały i cieszyły bardziej własne i poetyczniejsze pomysły, i w ślad za *Reichstalem* ukazał się w trzech tomach *Władysław Herman i Dwór jego.*

Zbigniew porwał i zaślubił tajemnie Hannę z Ciechanowa. Ojciec i Mieszko (syn Bolesława Śmiałego), przeznaczony jej na męża, szukają sprawiedliwości u Władysława Hermana, potem oblegają zamek Zbigniewa. Bitwy, potyczki, szturmy, pojedynki, turnieje, bez liku i miary. Jest naturalnie i zdrada. Zbigniew ma przy sobie Niemca Mestwina, który pała wściekłą namiętnością do żony swego Pana, a gdy nie może zyskać wzajemności, grozi, straszy ją, i gubi. (Taksamo postępuje straszny Golo z Genowefą Brabancką). Po śmierci nieszczęśliwej Hanny, Zbigniew poznał się na zdradzie, i strasznie pomścił się na zdrajcy. Kallenbach łuważa, że te pierwsze utwory Krasińskiego wskazują jego popęd i zamiłowanie do sytuacyi opartych na zemście. Mści się wtedy Reichstal, mści się Zbigniew. Ten popęd nie ginie, z czasem odezwie się, i wyda rzecz wielką w zemście Irydiona. Powieść, jedno z niezliczonych ówczesnych naśladowań Walter-Skotta, lepsza jest od *Grobu Reichstalów*, a może nie gorsza od wielu takich, które były w swoim czasie czytane, a dziś bywają jeszcze niekiedy wspominane; gdyby ją był napisał którykolwiek mniejszego talentu młody romantyk, nie byłaby dziwną, a może nawet uchodziaby za oznakę pewnej zdolności. Tylko z tem pogodzić się, to zrozumieć trudno, że wyszła z tej samej głowy, co *Nieboska Komedya* i *Irydion.*

Ale kiedy *Władysław Herman* wyszedł z pod prasy (1830), już się skończyły szczęśliwe lata pier-

[1]) Malte-Brun: *Tableau de la Pologne ancienne et moderne.* Paris 1830.

wszej młodości, już Krasińskiego nie było w Warszawie.

Miał on lat siedmnaście, kiedy spadł na niego pierwszy krzyż, a tak ciężki, że i najmocniejsze barki mogły się pod nim złamać. Obejmował on bólów wiele, między któremi była i doznana krzywda, i konieczność zniesienia złego pozoru, i zerwanie przyjaźni, i upokorzenie, i ból najcięższy ze wszystkich, konieczność poddania się woli, której słuszności nie przyznawał. I to tak wcześnie, w siedmnastu latach? kiedy życie zwykło jeszcze mieć litość nad człowiekiem, kiedy on bywa zwykle najszczęśliwszy, najswobodniejszy, kiedy właściwie zaczyna czuć, że żyje, bo spostrzega się że czuje i myśli, a z każdym dniem odkrywa coś nowego w sobie i w świecie otaczającym, i cieszy się sobą, życiem i światem. On w tych latach musiał wziąć swój krzyż; a umiał go nosić. W tej plątaninie sprzecznych obowiązków znalazł prostą drogę cnoty; żadnego nie obraził, żadnego się nie wyparł, żadnego nie poświęcił — ani obowiązku względem ojca, ani względem ojczyzny — poświęcił tylko siebie.

Wiadomy jest dostatecznie i powszechnie ten pierwszy krok na drodze, którą on »jak Dant za życia, zaczął iść przez piekło«. W sądzie sejmowym na Krzyżanowskiego i towarzyszy Jenerał Krasiński głosował za uznaniem oskarżonych winnymi zbrodni stanu. Głosowanie to poczytano mu za grzech przeciw ojczyznie, za odstępstwo, niemal za zdradę.

Dziś łatwo nam wiedzieć, że i spisek Krzyżanowskiego, i ów wynik sądu sejmowego był nieszczęściem. Nieszczęściem dlatego, że był krokiem stanowczym ku powstaniu roku 1830, a to pokonane, miało skutki zgubne na całe dalsze nasze dzieje i losy w tym wieku. Powtóre nieszczęściem dlatego, że sąd sejmowy, kiedy nie uznał tej winy w oskarżonych, dawał niejako milczącą sankcyę tajnym sprzysiężeniom i ich

polityce, ster spraw wypuszczał z rąk ludzi starszych i rozważnych, a pozwalał go ująć młodym, niewidzialnym i niewiadomym. Ale to wszystko jasne i zrozumiałe dziś, w owych latach przedstawiało się inaczej. Zachodzą tu dwa pytania, na które należy zwrócić uwagę: pierwsze, czy członkowie sądu sejmowego mogli w sumieniu swojem uznać spisek Krzyżanowskiego za zdradę stanu? drugie, czy wobec praw obowiązujących, wobec kodeksu, zachodziła lub nie, istota czynu, istota zdrady stanu? Co do pierwszego, sędziowie w swojem sumieniu mieli spiskowych za winnych, bo winnym jest zawsze przeciw ojczyźnie ten, kto zamiar jakiś podejmie śmiało, a potem go nie wykona lub źle wykona, a sprawę przez to głębiej w przepaść pogrąża. Ale zamiaru samego sędziowie w swojem sumieniu za winę, za zdradę, uznawać nie mogli. Co się zaś tyczy kodeksu, pisarze dzisiejsi utrzymują, jedni, że istota zbrodni stanu była oczywistą, a wyrok, który jej nie uznał, a oskarżonych skazał tylko za należenie do zakazanych związków, naciąganym i tendencyjnym; drudzy przeciwnie sądzą, że jakkolwiek nie ulegało wątpliwości, i sędziowie mieli przekonanie, iż spiskowi chcieli popełnić to, co ze stanowiska rządu rosyjskiego i ustawy konstytucyjnej Królestwa było zbrodnią stanu, to jednak z aktów i zeznań nie okazywało się to tak dowodnie, iżby prawne określenia zdrady stanu do uczynków przypadały, i by na podstawie paragrafów można było skazać oskarżonych za zdradę stanu, a wobec tego, wyrok skazujący byłby naciąganym i tendencyjnym. Które z tych zdań jest prawdziwe? nie mamy ani nauki po temu, ani potrzeby roztrząsać, bo nie o historyę sądu sejmowego nam chodzi, ale tylko o wpływ, jaki on wywarł na dalsze życie Krasińskiego, czyli, o głosowanie jego ojca.

»Nie było w tem zdrady« – mówi Klaczko w *Bez-*

imiennym Poecie — »tylko było zachwianie się charakteru słabego«. Inni opowiadają, że miał na niego wpłynąć przysłany umyślnie z Petersburga Adam Matuszewicz, który senatorom przekładał, że cesarz oczekuje skazania oskarżonych, jako dowodu, że dochowują wiernie konstytucyjnego paktu. Inaczej, i dla Jenerała korzystniej, brzmi świadectwo Kajetana Koźmiana. Ten opowiada w *Pamiętnikach*, że kiedy ledwo zaniosło się na tę sprawę, przed zwołaniem sądu sejmowego jeszcze, Krasiński otwarcie przy niejednej sposobności powtarzał, że »ubolewa nad tymi, którzy »dali się wciągnąć w spisek rosyjski, ale tych, którzy »do niego należeli, ma, w swojem przekonaniu, za »winnych zbrodni stanu, bo narazili na zgubę to, co »mamy, i czego jako Senat strzedz jesteśmy obowią»zani«. Gdy go zaś Niemcewicz zagadnął, czy jako Polak uważa życzenie Polski niepodległej za zbrodnię stanu, odpowiedział: »życzenie sam w sercu noszę, ale »potępiam nierozważne kuszenie się o dopięcie tego życzenia«. Słowa te, wyrzeczone na długi czas przed sądem i w gronie najbliższych, najzaufańszych przyjaciół, z pewnością oddają najlepiej rzetelną myśl i przekonanie Jenerała.

Jakkolwiekbądź, to pewna, że nie było w jego postępowaniu ani uczynku, ani zamiaru odstępstwa. Wszelako tak osądziła to opinia, rozgorączkowana całą tą sprawą i już coraz bliższa wybuchu z roku 1830, a osądziła tak stanowczo i bez apellacyi, że kiedy wkrótce po tym wybuchu Jenerał Krasiński przybył do Warszawy, po to żeby przystąpić do powstania, żeby się bić, znalazł się w niebezpieczeństwie życia na ulicach Warszawy.

To był początek wszystkich krzyżów Zygmunta. Niebawem zaszła śmierć wojewody Bielińskiego, prezesa sądu sejmowego, i jego pogrzeb, na który pójść zmówiła się cała młodzież akademicka. Jenerał Kra-

siński, rozjątrzony gwarem powszechnym na siebie, i wziąwszy na kieł, chcąc zrobić na przekór opinii warszawskiej, zakazał synowi być na pogrzebie, żądał od niego, żeby był na lekcyi. Syn usłuchał. Nazajutrz stał się ofiarą oburzenia swoich kolegów; a tym, który go znieważył najboleśniej, który na niego podniósł rękę i obdarł mu znaki akademickie z kołnierza, był przyjaciel jego Leon Łubieński.

Zajście to opisuje szczegółowo w swoich *Pamiętnikach* świadek współczesny Andrzej Edward Koźmian (Tom II, str. 127—129):

»W dniu obrzędu pogrzebowego cała młodzież szkolna akademicka związała się słowem, iż się na prelekcyach rannych znajdować nie będzie, lecz, że cała bez wyjątku uda się tłumem do kościoła. Cała więc znajdowała się na obrzędzie, i gdy już trumnę złożono w katakumbach świętokrzyskich, hurmem rzuciła się na nią, i tak, jak to już na pogrzebie Staszica uczyniła, obdarła obicie aksamitne trumny i kawałki z niego na pamiątkę między siebie rozdzieliła. Jeden tylko uczeń uniwersytecki, posłuszeństwem synowskiem przymuszony, oddzielił się od swych towarzyszów. Był to młodzieniec siedmnastoletni, niskiego wzrostu, z żywemi oczyma, ruchliwej postaci, najznakomitszych zdolności, najbystrzejszego pojęcia. W latach jeszcze dziecinnych zadziwiał łatwą pamięcią, łakomą żądzą nauki i żywym dowcipem. Powtarzano jego trafne odpowiedzi, a gdy jeszcze w domu ojcowskim pobierał nauki i miał zaledwie lat dwanaście, świadkiem będąc jego z nauk popisu, z wszystkimi obecnymi dość wydziwić się nie mogłem temu wszystkiemu, co już wtenczas umiał i jak to wszystko umiał. Wszedłszy do uniwersytetu, objawiającą się szlachetnością młodzieńczej duszy, zdradzającą się już gorejącą wyobraźnią i połyskami ducha, silnie wpływał na wielu towarzyszów i wielu liczył przyjaciół.

Młodzieńcowi temu ojciec zakazał znajdować się na pogrzebie Bielińskiego, a raczej żądał niepotrzebnie, aby w tym razie posłuszeństwem woli ojcowskiej udowodnił swoją miłość synowską. Dobry syn, z gorącą polską duszą, cierpiał, że tego rodzaju ofiary ojciec po nim wymagał; przewidywał, na co posłuszeństwem ojca i siebie narażał, przecież dopełnił jego woli i w zwykłych godzinach sam jeden z całej uniwersyteckiej młodzieży udał się do gmachu szkolnego. Młodzieńcem tym był Zygmunt Krasiński.

»Właśnie przypadała prelekcya prawa polskiego profesora Bandtkiego. Ten z właściwym sobie pedantyzmem, chociaż jednego ucznia w sali zastał, dwugodzinną prelekcyę odbył. Współuczniowie młodego Krasińskiego, po powrocie z pogrzebowego obrzędu, dowiedziawszy się o postępku jego, zamiast uznać boleść towarzysza i uszanować cnotę synowską, przejęci byli oburzeniem przeciw ojcu i synowi, a podmówieni przez Leona Łubieńskiego, postanowili ukarać go publicznie. Na drugi dzień, na prelekcyi Osińskiego tłumnie zebrana była publiczność i szkolna i inna; wchodzi do sali młody Zygmunt z głową do góry wzniesioną i śmiałym krokiem. Na wejście jego powstaje szmer powszechny i oznaki nieukontentowania. Lecz ukazuje się profesor na katedrze i hałas ucisza się. Po skończonej prelekcyi, z ławki najbliższej katedry, z odwagą Zygmunt przechodzi przez salę, we drzwiach widzi się otoczony ściśnionym tłumem swoich współuczniów, którzy go gorzkiemi wyrzutami przyjmują. Leon Łubieński między nimi przewodzi, powstaje zamięszanie, rzucają się na niego i obdzierają z munduru znaki akademickie. Po tym niecnym postępku współtowarzyszów łatwo pojąć, jaka burza zawrzała w ognistej duszy Zygmunta, ile tam sprzecznych uczuć bój z sobą toczyło. Wyzwał on na pojedynek Leona Łubieńskiego, dawniej przyjaciela, wówczas najzaciąt-

szego swego przeciwnika. Przeszkodzono jednak spotkaniu się dwóch niedojrzałych młodzieńców i obydwóch z uniwersytetu usunięto«.

Doprawdy, ten młodzieniaszek zaczął życie w sposób bardzo bolesny i trudny. Postawić się w tem położeniu? pomyśleć, że młody człowiek znający się uczciwym, człowiek który w sumieniu swojem wie że nic tak nie kocha jak Polskę, i nie przypuszcza, nie domyśla się, żeby ktokolwiek mógł o nim myśleć inaczej, bo nikt istotnie nie ma do tego cienia prawa ani powodu, pomyśleć, że taki człowiek posądzony jest o niewierność temu właśnie swemu najdroższemu, najgłębszemu uczuciu? Każdy żałuje kobiety posądzonej niesprawiedliwie o niewierność mężowi, każdy rozumie, co musi cierpieć ta, którą oskarżają o zdradę tego właśnie, co jest jej uczuciem najświętszem i najsilniejszem, każdy takiego potwarcę uważa za człowieka złego i podłego. Dla mężczyzn w położeniu podobnem, nie mamy zwykle tyle współczucia, czy tyle sprawiedliwości; a przecież, tak łatwo wniknąć w ich uczucie, tak łatwo wyobrazić sobie, co musi się kryć żalu i cierpienia pod ich uśmiechem obojętności, ironii, lub nawet przebaczenia. »Każde posądzenie boli«, mówi Słowacki, a cóż dopiero takie? a cóż dopiero tego, który miał serce nie zwykłe, pierwsze lepsze, ale wielkie, i kochał, i krzywdę swoją czuć musiał żywiej, silniej, niż my ludzie powszedni. Krzywda była tem większą, im większą była jego miłość ojczyzny. A na posądzeniu nie koniec, dodano do niego obelgę; on, najwyższy, jak się pokazało, w tym tłumie młodzieży, najbardziej Polak, musiał słyszeć, jak mu zarzucano że nim nie jest; on może i najdumniejszy, musiał patrzeć, jak mu zdarto jego znaki akademickie, jak go uznano niegodnym, wyrzutkiem — co przy tem mógł usłyszeć o ojcu?... a w tym chórze obelg i potwarzy prym trzymał głos jednego z towarzyszy, któ-

rych najbardziej kochał... a to wszystko musiał znieść dla ojca, którego postępowanie wydawało mu się niesłusznem! Samo to już było okropnem i można sobie wyobrazić, ile go dręczyć musiała cała ta sprawa sądu sejmowego. Ale nie dość na tem: musiał przyjąć na siebie pozory zgodności z tem postępowaniem, którego w sercu nie pochwalał, bo nie mógł odstąpić ojca, którego miasto całe potępiało namiętnie i nad miarę słuszności; musiał znieść krzywdę, znieść wstyd, musiał pozwolić sądzić się inaczej niż był, musiał poświęcić coś więcej jak życie, bo rzecz dla prawego serca najcenniejszą, wolne i głośne przyznanie się do swoich uczuć, i to w tym punkcie właśnie, gdzie te uczucia najbliżej dotykają honoru. Jako moralne męczeństwo, jako szarpanie wszystkich uczuć tak, jak dawne tortury szarpały wszystkie członki ciała, trudno sobie wyobrazić coś zupełniejszego, coś bardziej skończonego i wyrachowanego na to, żeby ani jedno miejsce w sercu nie pozostało wolnem od bólu. Jak on to zniósł, to pięknie opisuje Klaczko temi słowami:

»Człowiek hardy byłby może pod wpływem tego »zajścia uniósł się do kroków ostatecznych: w znie»wadze i prześladowaniu, tak niezasłużonem, byłby »może znalazł wymówkę przed sobą samym, i byłby »może przyjął tę pozycyę, którą jemu zrobiono, nie on »sam sobie, a w którą pchała go z jednej strony opi»nia zwyciężonych, z drugiej ciągnęły pokusy zwycię»zców. Człowiek bez skrupułów, ulegający słabościom »tego wieku, ostrzelany z tą doktryną pompatyczną »a zepsutą, która ogłasza wszechwładztwo celu, i obo»wiązki względem sprawy publicznej stawia nad wszy»stkiemi węzłami rodziny, taki człowiek byłby nieza»wodnie skorzystał z dobrej sposobności, żeby sobie »zrobić łatwą i głośną popularność, i popisywać się »zerwaniem, któreby zewsząd tylko poklask było spo»tkało. Ale ten syn, nie był ani Brutusem ani Korio-

»lanem; on był chrześcijaninem. Brał po prostu te »słowa »czcij ojca i matkę«, i nie sądził, żeby mu się »godziło wyprzeć się tego, kto mu dał życie, nawet go »sądzić. Ale nie mniej silnie czuł się i synem swojej »ojczyzny. Dzielił on wszystkie udręczenia, wszystkie »nadzieje swojego zgnębionego kraju, a postawiony »tak między ojcem a ojczyzną, z poddaniem się przy»jął tę walkę bez wyjścia, którą te dwa uczucia za»równo święte wydały sobie w jego duszy«.

Wspomniany powyżej A. E. Koźmian kończy swoje opowiadanie o tem zajściu słowem bardzo trafnem i pięknem: »Są czasem«, mówi on, »wśród mło»dego wieku chwile na całe dalsze życie stanowcze, »chwile, które odbiciem się na duszy stają się wieku»istemi, które nadają barwę i formę umysłowi i cha»rakterowi człowieka. Kto wie, czy ta godzina uniwer»sytecka nie była dla Zygmunta Krasińskiego tą chwilą, »która nadała całemu jego życiu kierunek, i właściwy »charakter jego uczuciom syna i Polaka. On sam tę myśl wyraził w tym wierszu, w którym rzekł, że:

»Młodość jest rzeźbiarką,
»Co wykuwa żywot cały;
»Choć przeminie sama szparko,
»Cios jej dłuta wiecznie trwały«.

Ten cios był tak głęboki, że wiecznotrwałym musiał pozostać; i rzeczywiście on »wykuł żywot cały«, on z materyału szlachetnego, ale nie ustalonego jeszcze, zrobił ten jednolity posąg wielkiej duszy, którego kruszec złożony był z dwóch pierwiastków, ze szlachetności i z cierpienia.

Po tem zajściu, pobyt młodego chłopca w Warszawie stał się prawie niepodobnym, bo stosunek jego z rówiennikami i kolegami byłby zbyt trudny i przykry. Ojciec wysłał go za granicę.

II.

Usposobienie w pierwszych czasach pobytu zagranicą. Małe powieści. Znajomość z Mickiewiczem. Przyjaźń i korrespondencya z Henrykiem Reeve. Henryeta Willan. Wyjazd do Rzymu.

W jakiem usposobieniu, w jakich uczuciach, wyjeżdżał Zygmunt Krasiński z Warszawy? Z tego co dotąd znamy, z urywków i streszczeń jego listów[1]) wnosić można, że po owem warszawskiem przejściu i po wyjeździe, on mógł być zbolały, rozdrażniony, ale, że zrazu czuł więcej niesprawiedliwość tylko, krzywdę, urazę swoją i żal do drugich, a bardzo głęboko jeszcze nie cierpiał. Jestto bowiem usposobienie młodego chłopca, który patrzy na świat nieznany, nad tym światem się dość swobodnie unosi, chce go opisać tym sposobem poetycznym, który wtedy był w modzie, i widocznie rad jest, że mu się to, jak mniema, udało. Zgaduje się, że on te listy po napisaniu odczytywał wiele razy i z wielkiem upodobaniem; zgaduje się, że pisząc, przypominał sobie różne poetyczne opisy francuskie (czy nie Lamartina czasem?), a dostrzega się naprzód wielkiej jeszcze młodości i niewprawy piszącego, powtóre, pewnej pretensyi i napuszystości; a wreszcie, tu i owdzie wyrażeń szczęśliwych, energicznych, obrazowych, które mogą służyć za wróżbę, że kiedyś z tego nieszczególnego stylu wykształci się styl *Nieboskiej Komedyi* i *Irydiona*. Że pomimo rzewnej tęsknoty za Polską, o której wspomina, musiał być w sercu dość spokojnym, a w usposobieniu dość jeszcze dziecinnym, dowodzą te powiastki, które pisał już za granicą, a jeszcze w roku 1829 lub w początkach 1830. Człowiek bardzo cierpiący (a jak on głęboki), nie bawiłby się takiemi błahemi rzeczami, jak powiastki; człowiek z wyobraźnią i zdol-

[1]) Kallenbach. Tom I, strona 126 i dalsze.

nością dojrzalszą, nie pisałby takich. Ta żyłka literacka, ta skłonność do pisania romansów, którą miał w Warszawie, nie znikła odrazu, musiała nawet w Szwajcaryi być dość silną, kiedy jej wypadki roku 1831 nie przygłuszyły; bo i po nich jeszcze, wśród rozdzierających prawdziwie krzyków rozpaczy, odzywa się w listach Krasińskiego wspomnienie czy *Zawiszy* czy *Teodora*. A choć o jednym lub drugim powie, że jest słaby i lichy, to przecież pisania takich rzeczy nie uważa za rzecz niegodną siebie, a niektóre z nich wspomina z widocznem upodobaniem. Co więcej, po latach jeszcze, już wszedłszy na swoją prawdziwą poetyczną drogę, autor *Nieboskiej Komedyi* dość często w listach swoich wspomina *Agay-Hana*, i wspomina jak rzecz poważną, jak rzecz, która mu się podoba.

Co pewna, to że po tych szwajcarskich jego dziełach nikt nie poznałby, że to pisane przez człowieka gienijalnego. List o *Literaturze Polskiej* pisany do Bonstettena, żeby Szwajcarom dać jakiekolwiek o tej literaturze wyobrażenie, a drukowany w *Bibliothèque Universelle de Genève* w r. 1830, prawda że pisany z pamięci, bez żadnych książek, jest dobrem wypracowaniem gimnazyalnego ucznia, ale niczem więcej; a mieści w sobie jedną pomyłkę grubą, mianowicie twierdzenie, jakoby czasy Zygmunta Starego były piękną epoką literatury polskiej.

Jego powieści zaś? O *Zawiszy* sam mówi, że to rzecz licha. O trzech ocalonych i przez p. Twardowskiego wydanych [1]) tyle można powiedzieć, że w jakim zbiorowym *Noworoczniku*, jakie wtedy były w modzie, byłyby na swojem miejscu. Jedna odbywa się na Żmudzi. Rycerz jakiś ubóstwia pannę i dokazuje dla niej cudów waleczności, ale jest brzydki.

[1]) Utwory Z. Krasińskiego nie objęte lwowskiem wydaniem. Poznań 1880.

Więc panna zwleka, kręci, zadaje coraz cięższe próby, a gdy rycerz wszystkie zwyciężył, namówiona przez drugiego, ładniejszego, odprawia go z kwitkiem. Urażony i zdradzony rycerz przeciął jej dwa razy szablą twarz i zniknął. Po wielu latach wrócił dręczony wyrzutami sumienia, że zeszpecił twarz tak piękną. Niemniej wyrzucała sobie i kochanka, że ułudną piękność oblicza przeniosła nad rzetelną piękność duszy, bo piękny konkurent był najgorszym mężem. Umarł na szczęście. Poznali się, przebaczyli nawzajem, pobrali się i mieli dużo dzieci — to *Gastołd*.

Wilczki, równie rycerskie i ponure, tylko rzecz dzieje się nie na Żmudzi, ale na Podolu. Rycerz Wilczek poszedł na Tatarów i nie wrócił. Po wielu latach jego żona, zmuszona przez chciwego ojca, ma iść za mąż za jakiegoś bogatego zalotnika. Ale mąż wraca w chwili ślubu. Jest wprawdzie śmiertelnie ranny czy chory, ale ma jeszcze dość siły, żeby zabić niecnego rywala, poczem sam umiera.

Teodoro król Borów, to jakaś korsykańska historya prawdziwa i z opowiadania wprost wzięta, jak mówi autor.

Z tego wszystkiego z zajęciem czyta się tylko ustęp, któremu autor dał tytuł: *Ułomek z dawnego rękopismu słowiańskiego*. Spisał w nim swoje wyobrażenia o związku dusz ludzkich po śmierci, przekonanie, że dusze, które się tu na ziemi kochały, muszą zachowywać pamięć tego uczucia, i znajdować się, spotykać się na tamtym świecie. Uczucie, czy przekonanie, tosamo co u wielu; ciekawość jest, jak je Krasiński uzasadnia. Za poetycznie trochę, za filozoficznie, ale nie źle. Późniejszej jednak głębokości jego myśli i dowodzeń jeszcze tu nie znać[1]).

[1]) Odyniec opowiada w *Listach z Podróży*, że ten *Ułomek* pisany był podczas wycieczki z Mickiewiczem po Szwajcaryi, po ja-

W Genewie spotkał się Krasiński z Mickiewiczem; jego towarzysza Odyńca znał z Warszawy, przez tego znajomość zrobiła się łatwo, a od znajomości, przyszło do wspólnej po Szwajcaryi wycieczki [1]).

Ta wycieczka w góry, znajomość z Mickiewiczem, były oczywiście młodemu chłopcu bardzo miłe, i niewątpliwie musiały działać na jego wyobraźnię i umysł. Pamięć ich żywą zachował, skoro po wielu latach, zachwycając się nad Mickiewicza *Kursami*, a nie chcąc go w liście wymienić po nazwisku, nazywa go tym, »z którym po Szwajcaryi podróżowałem«. Ale oprócz tego wspomnienia, oprócz paru wyjątków z listów do ojca, długo nie mieliśmy z czego poznać i osądzić jego ówczesnych wrażeń, wogóle jego stanu duszy.

Co się przez ten czas w duszy Krasińskiego działo, to tylko zgadywać można z późniejszych listów do Gaszyńskiego. Listy do ojca, nawet jeżeli będą kiedy wydane, tego nie odsłonią; przed bawiącym w Petersburgu nie mógł odkrywać wszystkiego co myślał, z obawy, żeby listów nie otwierano; przed myślącym inaczej (jak sam pobyt jego ojca w tem mieście dowodził) nie śmiał zapewne i nie chciał zupełnie się otworzyć [2]).

---

kiejś rozmowie o *Świętych obcowaniu*. List Krasińskiego do ojca z 19 sierpnia 1830, cytowany przez p. Twardowskiego, zdaje się to potwierdzać.

[1]) Okoliczności i itinerarium podaje Odyniec w *Listach z Podróży*.

[2]) Potrzebną wydaje nam się przestroga, że z *Listów* Odyńca wyrastają już różne legendy o Krasińskim (jak o wielu innych rzeczach). Odyniec pisał te listy zapewne na podstawie współczesnych i autentycznych, ale już w starości; i pisał (zwłaszcza o ludziach) podług tego, jak ich w późniejszem życiu znał i sądził, jak o nich myśleć nie mógł w roku 1829 i 1830. Ztąd i jego podania o Krasińskim, o zmianie, jaką w nim znalazł spotkawszy go w Szwajcaryi, o jego poetycznych natchnieniach, czytać trzeba *cum grano salis*,

W każdym razie stanowczym w wewnętrznem życiu Zygmunta, ostatecznie rozwijającym i kształcącym jego duszę, był dopiero rok 1831. Kwiaty tylko rozwijają się w ciągu jednego dnia albo jednej nocy; przeobrażenia w człowieku potrzebują więcej czasu, i z wyjątkiem zmian cudownych, jak nawrócenie św. Pawła, odbywają się powoli, nieznacznie. Dojrzewanie czy przeobrażenie Krasińskiego rozpoczęło się w Warszawie w roku 1829, ale dokonało się w roku 1831 dopiero, kiedy była wojna i zrazu nadzieja zwycięztwa, wolności, chwały, później klęska i rozpacz; kiedy drudzy się bili z nadzieją lub bez niej, a on siedział daleko, bezpieczny, bezczynny. W owem przejściu warszawskiem cierpiał zapewne bardzo, ale wyszedł z niego z wrażeniem doznanej krzywdy przedewszystkiem. I nie bez dumy (a miał do niej skłonności wiele); dumie zaś pochlebia niesprawiedliwość ludzka, cieszy ją ta wyższość, którą człowiek skrzywdzony nad krzywdzicielem przyznać sobie ma prawo. W tem musiał i Krasiński znajdować pociechę, satysfakcyę — tem się tłómaczy, że po wyjeździe w Szwajcaryi zachowuje i w listach daje widzieć pewną swobodę, śmiałość, pewność siebie; że jest urażony tylko, zapewne do żywego dotknięty i zbolały, ale nie nieszczę-

bo wyglądają bardzo na poetyzowane, układane *post factum*. Jedną z takich legend jest szczegół podany przez Twardowskiego (*Utwory-Przedmowa*), o wielkiem przywiązaniu Krasińskiego do domu Ankwiczów, zwłaszcza do pani Ankwiczowej, którą miał niby kochać jak matkę. Jest to wielka przesada. Mógł lubić ludzi, którzy go po przyjacielsku przyjmowali, a przy pożegnaniu rozczulić się i rzewnych kilka słów do nich napisać, ale głębszego przywiązania nie było. Dowodzi tego ta okoliczność, że w latach następnych, choć ich w Rzymie spotyka, albo o nich nie mówi, albo mówi obojętnie, a nawet z ironią. Dowodem list do Sołtana (*Przegląd 1877*): »odsadzę S(ołtyka), ożenię się z panną H. (Henriettą), która mnie tak wiernie kocha, kaczki z Galicyi sprowadzę do Coliseum, i będę przepisywał elegie mojej żony nad niemi«.

śliwy. Ale na te smutki, które przyszły teraz, nie miał już kordyału, nie znajdował pociechy i uspokojenia; zaczęło się cierpienie bez rady i bez końca, »czyściec dni teraźniejszych« bez wyjścia dla niego, choć kiedyś może z wyjściem dla jego narodu; zaczęły się namiętne pytania *co będzie*, i odpowiedzi wątpliwe lub rozpaczliwe, zaczęło się jasne, trzeźwe, odważne a smutne jak śmierć patrzenie na teraźniejszość, jasnowidzenie wszystkich jej chorób, błędów i niebezpieczeństw, — i zaczął się strach o przyszłość, o Polskę. Do tego zaś na domiar, na dopełnienie kielicha goryczy, przyszło upokorzenie, wstyd, troska o swoją własną dobrą sławę. Jak Mickiewicz w prześladowaniu uczniów wileńskich z *Gustawa* stał się *Konradem*, tak Krasiński podczas wojny roku 1831, o której z daleka słyszał w Szwajcaryi, nabył tych skrzydeł, któremi wzniósł się nad siebie, przyjął to bierzmowanie — sakrament utwierdzenia, — po którem przyszła łaska powołania i posłannictwa, pod pozorami poetycznego utajony apostolski duch i zawód.

Nie bić się, kiedy się drudzy biją, młodemu, zawsze trudno i boleśnie. Trudniej, boleśniej było w tamtem pokoleniu, w tamtych czasach. Świat, a przynajmniej wiek, był młodszy; wychodził świeżo z napoleońskich epickich wojen, wychował się w widoku, w czci rycerskich czynów i chwały; wychował się pod wpływem wielkich poetycznych natchnień i ideałów; Niemiec powtarzał Schillera, Polak Mickiewicza, wszyscy Byrona; z czasów, poprzedzających rewolucyę francuską przeszło do nich i zostało jakieś szlachetne uczucie czy złudzenie, że idą do wolności i sprawiedliwości, że w tym pochodzie są przerwy, przeszkody, spoczynki, ale że do celu się idzie i dojdzie. Była jakaś znajomość i poszanowanie prawdy, jakaś zdolność oburzenia, jakieś rozeznanie i otwarte nazywanie złego i dobrego. Dowód choćby tylko na tym sposobie, ja-

kim państwa europejskie, państwa podziałowe nawet, mówiły i radziły o kwestyi polskiej w roku 1815, na wrażeniu, z jakiem ludy przyjęły powstanie roku 1830. Uczucie złego i dobrego, a co za tem idzie, uczucie honoru, było w całej Europie silniejsze, niż dziś. Ludzkość jak człowiek oswaja się ze złem. Zrazu zrywa i oburza się gwałtownie, namiętnie; ale kiedy zbyt długo i często przekona się że napróżno, że nie poradzi, zamyka się stopniowo w milczeniu. Chowa w piersi gniew, oburzenie, pogardę, ale ręce zakłada i pięści nie zaciska. To milczenie u niektórych, u wielu, staje się rzeczywistem oswojeniem się ze złem, przyzwyczajeniem, stępieniem sumienia i stępieniem honoru. I w tem leży największe może niebezpieczeństwo długotrwałych tryumfów złego, że psują człowieka i ludzkość; wystawiają na próby zbyt ciężkie, w których gubi się świadomość złego i dobrego. W tej rezygnacyi na fałsz i występek ludzkość dawno nie zabrnęła tak głęboko, jak dziś. W początkach naszego wieku, ani Rosya ani Prusy, nie byłyby śmiały robić tego, co robią dziś; wzgląd nie na same tylko dyplomatyczne możliwe trudności, ale wzgląd na opinię trzymał je na wodzy. Dziś przeszkodzić nie może nikt, a oburzać i protestować nikt nie czuje odwagi, prawie nikt potrzeby, ani prawa.

W czasach, kiedy świat wierzył w bliskie zwycięstwo dobrego, żywszem było i uczucie honoru, i uczucie obowiązku wzięcia za broń. To zaś u nikogo w Europie nie było tak żywem, ten obowiązek dla nikogo tak świętym, jak dla młodego Polaka. A prócz obowiązku, patryotyzmu, honoru, pchał go do broni i wrodzony, najsilniejszy ze wszystkich popędów, popęd własnego szczęścia, bo miał przez krótką chwilę, ale każdy choć na chwilę miał nadzieję, że zwycięży, że się z pod Moskali wybije, że wydrze z historyi, a wytrze z mapy swojej ojczyzny sromotne ślady roku

1772 i 1795. A to, co czuł każdy młody Polak, o ileż żywiej i goręcej czuł ten, który nie był taki, jak każdy, ale był od wszystkich wyższy?

A tak czując i mając lat już dziewiętnaście, Krasiński się nie bił — ojciec nie pozwolił.

Nie bić się? dość boleści i upokorzenia. Ale nie bić się jemu, Krasińskiemu, synowi Wincentego, to dopiero męka, to dopiero prawdziwa tragedya. Tak niedawno oskarżono ojca, posądzono syna, że sprzyjają Moskalom! Teraz pora zamknąć im oszczercze usta, odpowiedzieć na zniewagę i krzywdę, w sposób godny siebie. Taka była treść jego myśli i uczuć, jego walk z własnem sumieniem, kiedy słyszał, że się w Polsce biją, a przypuszczał, że mogą zwyciężyć. Gdy zaś nie zwyciężyli, gdy się dowiedział o wzięciu Warszawy, o emigracyi, to z tym zmysłem politycznym tak niezmiernie czujnym i bystrym, z tym darem przewidywania skutków, jaki w sobie miał, on, choć tak młody jeszcze, pewno odgadł odrazu, że to upadek Polski a tryumf Rosyi — na długo. I wtedy dopiero z przedsionka wszedł w głąb czyśca dni teraźniejszych, wtedy dopiero naprawdę już uśmiech zniknął z jego twarzy, wtedy już nadobre i bez odwrotu wszedł na tę drogę, którą »jak Dant za życia przeszedłem przez piekło«.

Tak wyobrażaliśmy sobie przez długie lata stan duszy Krasińskiego i jego przeobrażenie, i wyobrażaliśmy słusznie, ale ogólnie i raczej na domysł. Teraz jest inaczej: mamy pewność, mamy dokumenta, mamy niby spowiedź Krasińskiego w jego korrespondencyi z Henrykiem Reeve. Z nią ukazało i otworzyło się źródło niezmiernie obfite wiadomości największej wagi i wartości. Wszystko co Krasiński w tych latach myślał, czuł, marzył, pragnął, wszystko, zwłaszcza co przecierpiał i przebolał w roku 1831, to wszystko wypowiada on przed przyjacielem szczerze, otwarcie,

a z głębi serca. Cały proces, ferment, wir sprzecznych uczuć, w którym tworzy się formacya jego umysłowego i moralnego jestestwa, znanego z dzieł późniejszych, leży w tych listach jasno jak na dłoni, dokładnie jak na mapie.

Kto był ten Henryk Reeve? jakie dzieje jego przyjaźni z Krasińskim? jakie tej korrespondencyi tak niedawno dopiero odkrytej?

Kto był ten Henryk Reeve?

Młody chłopiec, o rok młodszy od Krasińskiego, jedynak u matki wdowy, potomek starego i kiedyś zapewne możnego, a teraz podupadłego domu, jednak bez niedostatku, bez troski o jutro. Matka zawiozła go na nauki do Genewy, gdzie się spotkali i zaprzyjaźnili z Krasińskim. Młody romantyk, marzyciel, entuzyasta, widzący swoją przyszłość i powołanie w poezyi, a patrzący z pogardą na wszystkie marności świata, rzeczywistości, a zwłaszcza angielskiego zmysłu praktycznego i handlowego. Młodzieńcy przypadli sobie do serca odrazu, i przez lat kilka ich serca uderzały rzec można jednem biciem. Czują tak samo, myślą tak samo, kochają i nienawidzą tak samo; każdy zapał, każde oburzenie, każde marzenie, każdą troskę czy boleść zwierzają jeden drugiemu. Poezya, miłość, przyszłość, wszystko o czem myśli, czego doznaje, odnosi jeden do drugiego, szukając u niego zachęty, rady, współczucia, pociechy. Nie mają przed sobą tajemnic żadnych, potrzebują się wzajemnie, wpływają na siebie wzajemnie, nie mogą się bez siebie obejść. Słowem, przyjaźń idealna, w całem i najlepszem znaczeniu słowa idealna, dwóch chłopców bardzo młodych, bardzo szlachetnych, bardzo niezwykle obdarzonych. Dlaczego ta przyjaźń nie trwała do śmierci, jak inne przyjaźni Krasińskiego? Dlaczego korrespondencya staje się z czasem coraz rzadszą, aż wreszcie ustaje zupełnie? Ona tego nie

tłómaczy. Czy zaszło co między nimi, co ich od siebie oddaliło? czy tylko odwykali od siebie stopniowo? czy również stopniowo zmieniał się ich sposób myślenia tak, że już się rozumieli i zgadzali mniej? Rzecz dotąd nie wyjaśniona [1]).

Czas i życie zasypały dawne uczucia i myśli warstwą nowych, ale pod tym nasypem był w sercu Reeve'a jakiś zakąt ukryty, w którym chowała się pamięć przyjaciela młodości i jego pamiątki. Prof. Antoniewicz pierwszy poprosił o pozwolenie przeczytania młodocianych a nieznanych utworów Krasińskiego, Reeve

[1]) Reeve, zmuszony szukać dla siebie miejsca i stanowiska, po powrocie do Anglii wziął się niechętnie do nauki prawa, ale rychło przeszedł do służby rządowej *Court of appeals* (w biurze sądowem ministerstwa kolonii) później stał się na długie lata współredaktorem, a właściwie kierownikiem, duszą, *Timesa*, później *Edinburgh-Review*, przez to potęgą, z którą się liczył i każdy z kolei gabinet angielski i wszystkie kontynentalne. Ale obok tego był członkiem *Privy-Council*, tej przybocznej Rady królewskiej, która nic nie uchwala, nie stanowi, ale monarchę objaśnia i uwiadamia o wszystkich sprawach zagranicznych czy wewnętrznych, w których ministrowie żądać będą jego zdania i approbaty. To stanowisko tłómaczy wielki wpływ Reeva na opinię angielską i na angielskie rządy. Osobiste stosunki zażyłości i przyjaźni łączyły go z najznakomitszymi ludźmi Anglii i Francyi. Ten wpływ niewidzialny, nie urzędowy, ale bardzo rzeczywisty i bardzo znaczny, na sprawy polityczne swego czasu, zachował długo, do późnej starości. Być może, że ten zwrot do praktyki życia wywołał w nim zmianę, odwrócił go od dawnego idealizmu — i to mogło sprawić, że się z Krasińskim przestali rozumieć. Krasiński nie dożył tych czasów, kiedy polityka angielska w r. 1863 poświęcała Polskę na to, by (jak mniemała) ratować Danię, a w r. 1864 poświęcała Danię dlatego, żeby Danii nie bronić. Ale to Krasiński widział i wiedział, że wojna krymska nie miała skutków rzeczywistych i dobrych, dla tego, że polityka angielska bała się takich jako zbyt niby korzystnych dla Francyi. A w r. 1855, jak później w r. 1863, Reeve miał swój wpływ potężny na opinię angielską, na politykę, na rządy. Że tego wpływu nie użył w duchu takim, jaki Krasiński byłby miał za dobry, to widoczne i pewne. Ztąd wniosek, że Reeve musiał się zmienić, i bardzo, od r. 1831.

pozwolił czytać i robić wypisy. Kiedy w r. 1892 stanął przed nim młodziutki wnuk Krasińskiego, oddał mu te listy, pamiątkę i pomnik młodości obu, przyjaźni obu. Komuż miał ją zostawić w Anglii? Kto byłby dbał, ocenił? Czy nie poszłoby w poniewierkę? albo w ogień? w każdym razie nie byłoby zrozumianem, nie byłoby chowanem ze czcią. W polskiem ręku, a dopieroż w ręku wnuka, te listy będą bezpieczne od obojętności, będą szanowane, jak relikwie. Reeve to czuł i dlatego je oddał. I dobrze zrobił. Są one dla nas relikwią po wielkim człowieku, ale są i dokumentem. Prof. Kallenbach mówi słusznie w pięknej przedmowie do wydania, że wszystko, co było dotąd niewiadomem, a w najlepszym razie domyślnem, to, czego widzieliśmy skutki, czego zgadywaliśmy trafnie przyczyny, ale nie znaliśmy psychologicznego procesu, ten proces formacyi, w którym rozwijają się i ustalają pierwiastki pojęć, zasad i dzieł Krasińskiego, ten odkrywa się w tych listach.

Poznali się w zimie z r. 1829 na r. 1830. Co w tych głowach jest? Krasiński nie jest jeszcze nieszczęśliwy, udręczony, rozdarty, jak będzie za rok. Ze swego przejścia w uniwersytecie warszawskim zachował uczucie doznanej krzywdy, uczucie głębokie i bolesne; ale niema w nim jeszcze tej kolizyi między uczuciem a obowiązkiem, która stanie się kiedyś tonem dominującym w jego duszy. Teraz jest on jeszcze swobodny, używa na pięknych widokach, pisze artykuły do *Bibliothèque universelle* (o literaturze polskiej), układa a nawet pisze jakieś romanse, przynajmniej urywki romansów; zajęty tem bardzo, skarży się czasem na melancholię, ale tej melancholii powodem nie jest przejście warszawskie, ani patryotyczny ból. Oba młodzieńcy są zakochani: Reeve w Szwajcarce, Konstancyi Sauter, Krasiński w Angielce, Har-

riett Willan. O tej miłości naturalnie jeden drugiemu ma bardzo wiele do mówienia.

Że siedmnastoletni chłopak marzy o miłości, rzecz naturalna i zwykła. Krasiński musiał być szczególnie skłonny do takich marzeń, skoro, jak sam w listach opowiada, przed wyjazdem z Warszawy przebywał ich parę, jeżeli nie kilka. Co jest dziwniejsze, to, żeby siedmnastoletni chłopiec miał taką śmiałość — mówiąc poprostu zarozumiałość — żeby o swojej miłości mówił z tą ubóstwianą. Jeszcze dziwniejsze, żeby ona go słuchała, żeby odpowiadała, żeby dzieliła jego uczucia. Jednak tak było. Wyznanie młodzieńca nie było odepchniętem, a przysięgi dozgonnej wierności były wzajemne. Jest w tej jego miłości coś dziwnego, chorobliwego czy anormalnego. Mówił o swojej miłości, ale zapowiedział tej Henryecie z góry, otwarcie i stanowczo, że nie będzie nigdy prosił o jej rękę, nie będzie nigdy jej mężem. Dla czego? Ojciec nie zezwoli nigdy na ten związek, na *mezalians* (Henryetta nie była szlachcianką). A czy ojca pytał? Znając go, wiedział naturalnie, że ten ojciec naprzód nie da się żenić niedorosłemu chłopcu, a potem, że z pewnością nie pozwalałby na ten związek. Ale miłość prawdziwa nie rezygnowałaby tak łatwo: owszem, przyrzekałaby sobie i tej ukochanej, że będzie łamać i zwyciężać przeszkody, że dojdzie do swego celu, do ołtarza. Ojciec nie może pozwolić dziś, będzie się opierał i gniewał długo; ale za lat cztery, za sześć, kiedy zobaczy stałość syna, kiedy nie zdoła tej miłości z jego serca wygładzić, czy nie zmięknie, czy się rad nie rad nie zgodzi? Oto, coby myślał, coby mówił, czegoby chciał młody syn, zakochany naprawdę. Krasiński jest szczery, kocha, wspominać będzie tę Henryettę długo, do śmierci będzie nosił na palcu pierścionek z jej imieniem; ale on się kocha w marzeniu i we wspomnieniu, kocha się w poetycznej nieszczęśliwej (choć wzajemnej) mi-

łości — a ta sama miłość szczęśliwa, zabezpieczona na całe życie, wydałaby mu się prozaiczną. On takiej nie chce, do takiej ma wstręt. W tych samych jego listach znajdą się dowody, że na miłość — i na małżeństwo — zapatruje się zupełnie tak, jak hr. Henryk z *Nieboskiej komedyi*, kiedy »śpi snem fabrykanta Niemca«, a śni o wymarzonych fantastycznych kochankach. Nie ojciec i strach przed ojcem — to usposobienie, to fałszywe chorobliwe pojęcie było powodem, dla którego Krasiński z góry oświadczył Henryecie, że jej mężem nie będzie nigdy. Oświadczał się i piśmiennie, poetycznie w urywkowych fantazyach, które dawał do czytania. Te fantazye pokazują w sposób ciekawy, co on myśli i marzy o sobie, a sposobem pisania przypominają (zapowiadają raczej) *Sen Cezary* lub niektóre ustępy *Niedokończonego poematu*. Taki jest *Fragment d'un journal*. Początek, to rzeczywistość, historya. *On* ujrzał *ją*, na balu, w wirze tańców, podziwiał, kochał, ale stał zdaleka. Potem we śnie widział siebie w walkach, z mieczem, wreszcie pobitym i blizkim śmierci. Ale wiedział że nie umrze, póki jej jeszcze raz nie ujrzy. Zjawiła się; i wtedy oboje, obwinięci tym samym całunem, wstąpili razem do grobu. Wtedy dopiero byli szczęśliwi. Myśli ich bez słów dochodziły do drugiej duszy, dusze były złączone na wieki, jakżeby jedna była się wlała w drugą. To znaczy: »Kocham cię, żenić się z tobą nie mogę, będę się bił za ojczyznę — zapewne przegram, w każdym razie umrę; ale na tamtym świecie przyrzekam być twoim i szczęśliwym«.

Drugi, *Fragment d'un Rêve*, to Sąd Ostateczny. On wie, że będzie potępiony za to, że ludźmi gardził, ale przez walący się świat spieszy, żeby ją wyrwać ze zwalisk. Trzyma ją. Muszą się rozdzielić. On rzucony na samo dno piekieł, ona w niebo wzięta. Ale lecąc w górę dostrzegła go w przepaści, jedna jej łza padła

na jego czoło i zamieniła piekło w raj; świeciła, jak gwiazda, same szatany spuszczały przed nią oczy.

W kwietniu r. 1830 Henryetta wróciła z ojcem do Anglii; on został, i tęsknił, i wzdychał, i te swoje żale wylewał na łono przyjaciela. Cieszy się kiedy jaki świeżo napisany ustęp wydaje mu się godnym *Jej* i jego nieograniczonej miłości; *Jej* będzie dedykował romans, który teraz ma w głowie, jeżeli napisze mu się dobrze. Pisze zaś ciągle, dużo, pomysły ma coraz nowe. To ten *Ułomek ze starosłowiańskiego rękopismu*, który wyszedł w Warszawie, po polsku, zaraz w r. 1830 — to *Spowiedź Napoleona*.

Ten *Ułomek*, to znowu wyznanie o sobie. Jest człowiek, który myślą, uczuciem obejmuje wiele, bardzo wiele, a nigdy wypowiedzieć się nie może, nie umie. Spotkał ją, kochał, jak żaden żadnej nie kochał nigdy, ale jak kochał, tego znowu wyrazić nie zdołał. Ona znikła, on został, zmartwiały, skamieniały, zimny, bez życia. Dotąd to, co on o sobie myśli. Dalej to, co on o sobie przypuszcza. Poszedł z drugimi bić się za ojczyznę. Bił się dzielnie, ale niebawem wyczerpał się z sił i kiedy inni zwyciężali, on leżał chory, umierał. Nie mógł się wypowiedzieć ani słowem, ani czynem. Nie dosięgł wieńca poety, nie dosięgł pocałunku kochanki, nie dosięgł wieńca na polu chwały; ale teraz on już u Boga, a Bóg go nie zawiedzie.

Spowiedź Napoleona jest ciekawa. Jak ośmnastoletni Krasiński wyobraża sobie, jak sądzi Napoleona? Na tle dekoracyi zbytecznej, przesadnej, występuje cesarz, klęka przed księdzem i oskarża się z całego życia. O Bogu wątpił czasem, za młodu, ale nie przeczył Go nigdy, czuł Go zawsze, a siebie jego stworzeniem. Jeżeli przelał niewinną krew nieszczęśliwego młodzieńca (księcia d'Enghien), Bóg go osądzi. Jeżeli jej nie przelał, jest jej niewinny. (Widocznie Krasiński nie wiedział, nie był pewny, jak ma ten uczynek Napo-

leona sądzić). Przelewał krew ludzką dla swojej chwały. W tem jego wielka wina, bo Bóg powoływał go do panowania nad światem, nie do marnej chwały własnej. Samowładnym być musiał, — tyranem nie był i być nie chciał; i gdyby nie zdrada, nie nieszczęście, gdyby był zwyciężył pod Waterloo, byłby rozpoczął świat nowy, świat wolności i sprawiedliwości. Dwa razy był niewdzięcznym. Raz względem kobiety, która go wiernie kochała, drugi raz względem narodu, który dla niego krew przelewał. To mu ciąży na sumieniu. Niesłusznie byłoby jego mierzyć i sądzić, jak innych ludzi: prawa naszego globu nie stosują się do gwiazd i komet. Boga nie wyparł się nigdy: w skrytości serca szukał go często, a stopniowo uznał, że człowiek może być wielkim jedynie przez wiarę w Boga i przez podniesienie się w Nim. »Znalazłem w końcu cel życia — jestem chrześcianinem. Na tamtym świecie spodziewam się miejsca niegodnego tego, jakie zajmowałem na tym świecie. Byłem długo pierwszym na ziemi, nie będę ostatnim w wieczności. To nie pycha, to świadomość, żem Boga poznał i żem go uwielbił«.

Potem śmierć innego wielkiego: Mojżesz na górze Nebo błogosławiący swój lud ostatniem spojrzeniem, ostatnią modlitwą — potem zakryty obłokiem, który może i ciało jego uniósł do nieba. Wrażenia z wycieczki do Chamounix i na Św. Bernarda, i z drugiej, trzy dni później zaczętej, z Mickiewiczem i z Odyńcem, z Genewy do Alp Berneńskich, potem do Lucerny, na Righi. Każdego wieczora zapisuje się, co się przez dzień widziało; w myśli i w formie prościej, niż się piszą fantazye i westchnienia do Henryetty. *Zawisza*, ballada (prozą pisana, i jak wszystko po francusku, bo dla Reeve'a), to prawie typ romantyczności przesadnej. W jakiejś wojnie z Turkami, na jednym brzegu Dunaju stoją Turcy, na drugim Niemcy, z Zawiszą. Turcy próbują przeprawy przez rzekę, Niemcy

pierzchają. Zawisza zostaje sam, a kiedy nieprzyjaciel przebył Dunaj, rzuca się na niego sam jeden i ginie. Za to zadziwiająca trzeźwością, głębokością sądu, jest mała rozprawka *Le Clergé*. Ośmnastoletni autor rozbiera kwestyę, co jest lepsze, lepsze dla duchowieństwa i dla społeczeństwa: czy żeby duchowieństwo pobierało dochody z kas rządowych, czy ze składek swoich wiernych? Złe strony jednego, jak drugiego systemu, niebezpieczeństwo zależności duchownych czy od świeckiej władzy, czy od zmiennej opinii i łaski ogółu, wskazane są bystro, rozważnie, jak żeby przez dojrzałego i doświadczonego człowieka. Konkluzya jest, że system pierwszy ma za sobą więcej pewności, stałości, drugi więcej swobody. Każdy mógłby być dobrym, ale przez ludzkie ułomności, słabości, namiętności, każdy w praktyce musi się psuć. Ale gdy zepsucie zaszło daleko, następuje zaraz poprawa i odrodzenie.

To jest pierwsza oznaka, słaba jeszcze naturalnie, późniejszego myśliciela politycznego.

Ale są i oznaki jego późniejszych filozoficznych pytań, dociekań, wyobrażeń o życiu przyszłem; są zarody myśli, są nawet wyrażenia, które się powtórzą nieraz w jego dziełach, aż do *Niedokończonego poematu*. Takim jest ustęp z napisem *Ecrit la nuit*, ustęp, który widocznie kosztował go wiele i wiele ważył w jego myśli, bo pod francuskim napisem jest dopisek polski: *Z uczuciem i bojaźnią pisane*. To naprzód zwrot do Boga. Czuje, że On jest, że jest blizko niego, że nad nim, że wszędzie; a nie może Go znaleźć, nie może Go dojrzeć, ani w murach świątyni, ani między grobami cmentarzy, ani wśród cudów pięknej natury. »Może Ty ukazujesz się tylko duszom wolnym od wszelkiej słabości, a ja się nie boję niebezpieczeństw, ale moje serce truchleje na myśl, że Ty, tak nieskończenie wzniesiony nademnie, możesz każdej chwili

znaleść się przy mnie. A jednak nieraz kiedy o Tobie myślę, mam duszę pełną miłości, i wszystko w świecie zdeptałbym nogami, żeby Ciebie ujrzeć lub usłyszeć«.

Ten świat widzialny nie jest wszystkiem. Musi mieć jakąś przeciwwagę moralną, jakiś świat inny: każdemu atomowi materyalnemu, rzuconemu w ten przestwór, musi odpowiadać jakaś myśl, albo otwierać się życie w nieśmiertelności. Niepokojony i dręczony wszystkiem, co go otacza, tęskni za innym bytem. Nie wie sam, czy przypomina, czy przeczuwa duchy inne, wśród których żył lub żyć będzie. Dąży do nich, chciałby się z niemi połączyć, a nie może. Ale to przyjdzie. »Śmierci niema, są tylko ciągłe przemiany życia« — (tak samo w *Synu cieniów* i w *Niedokończonym poemacie*). »Cierpliwości i stałości!«

Ponury smutek rośnie. *Dziennik umierającego (Journal d'un mourant)* ukazuje po raz pierwszy tę skłonność, jaka się objawi i później (*Dzień dzisiejszy*), żeby sobie wyobrażać siebie pod postacią konającego. Młody człowiek umiera na suchoty: dla jedynego przyjaciela spisuje w ostatnich dniach, ile mu siły pozwolą, swoje wrażenia i myśli. Umiera sam, bez chwały, bez miłości. Kochał, był nawet kochany, ale i to się skończyło. Umiera w ten sam dzień miesiąca, w jaki ją widział po raz ostatni. Zdaje mu się, że słyszy jakąś nadziemską muzykę. Ah! gdyby to była jej gra! gdyby mógł oddać ostatnie tchnienie przy dźwiękach jej muzyki!

Wszystko to oczywiście jego myśli o sobie, swojej śmierci; ta ukochana, to Henryetta, ten przyjaciel, to Reeve. Ale jest w tym dzienniku jeden ustęp ciekawy, jeden ślad jego ówczesnych uczuć dotąd niewidziany nigdy. Umierający przypomina przyjacielowi rzecz wiadomą, krzywdę, jakiej doznał w swojej ojczyźnie. Teraz miał sen, który

się do niej odnosi. Człowiek, który go skrzywdził, pojechał na naukę do Edynburga. Umierający widzi się we śnie w Szkocyi i szuka zemsty. Wyzywa swego nieprzyjaciela, mają się strzelać gdzieś, między skałami, bez świadków. Przeciwnik ofiaruje pojednanie, zgodę; ale napróżno. »Kula za kulę, życie za życie« — woła umierający (zawsze we śnie) i nakłada kapzlę na pistolet. Tamten zemknął, schował się za skały, zniknął. Umierający wyrzuca sobie grzech, oskarża się, że pragnął krwi tego człowieka, ale nie mógł się przezwyciężyć. Nienawiść jest w nim tak nieśmiertelna, jak miłość.

To uczucie nie zemsty i pragnienia krwi, ale gorzkiego żalu i niemożności przebaczenia, odezwie się nie w dziełach Krasińskiego, ale w dalszych listach do Reeve'a, nie we śnie, ale w rzeczywistem spotkaniu z Leonem Łubieńskim, niegdyś przyjacielem.

Potem krótkie, na paru stronicach, pożegnanie Genewy (28 października 1830 r.) — i wyjazd do Włoch.

Wyjazd w wielkim smutku. Dla czego?

Powodem jest Henryetta. Odebrał od niej Krasiński jakiś list z wyrzutami, że z jego winy zostanie starą panną (*old maid for your sake*). Zaczął się sam dręczyć i gryźć wyrzutami. On jej szczęścia nie da, a życie jej zatruł! Takie myśli chodzą mu po głowie pod koniec pobytu w Szwajcaryi, takie w podróży do Włoch, i one sprawiają, że wszystko co tam widzi, nie obchodzi go wcale. Ledwo katedra medyolańska zajęła go na chwilę; jest jak obumarły, w rozpaczy i w gorączce. Z tą gorączką dojeżdża do Florencyi, i tu na poczcie czekają go dwa listy od niej. Listy najczulsze, błagające o przebaczenie, którego nie jest godna; jest w nich trochę pociechy, ale i powód do nowego wzburzenia, nowej gorączki uczuć. Wszystko to opisuje się przyjacielowi obszernie i szczegółowo, nawet z treścią odpowiedzi na owe dwa listy Hen-

ryetty. »Przebaczył, przebacza, kochał, kocha, będzie kochał zawsze; ale otwarciej i stanowczej niż kiedykolwiek oświadcza, że mężem jej nie będzie nigdy. Niech jakiś inny będzie jej przewodnikiem i opiekunem. On będzie do śmierci przyjacielem, gotowym służyć jej ofiarą życia, majątku; dopóki ona nie zaprzysięże wiary innemu, on jeszcze może mówić do niej w ten sposób, jak dawniej, bo ubóstwia ją zawsze tak samo. Ale od chwili jak zostanie żoną drugiego, on tylko będzie jej przyjacielem i bratem«.

Co dziwne, to, że w parę tygodni później robi przyjacielowi uwagi, które do niego samego stosowałyby się doskonale. Reeve widocznie skarżył się w listach na swoją Konstancyę; był nieszczęśliwy. Krasiński odpowiada mu: »Ty nie kochasz Konstancyi, tylko kochasz miłość, ideę miłości, którą Konstancya dla ciebie wyobraża«. A on sam? on, który wielbi Henryettę, ale bez walki, bez próby walki nawet zrzeka się przyszłości, czy Henryettę kocha na prawdę? Nie— kocha się w miłości, w swojem wrażeniu miłości, cierpienia, rozpaczy, zgryzoty. On sam o tem nie wie, nie udaje, jest szczery, czuje to wszystko co opisuje; ale robi sam to, co przyjacielowi wytyka. To pojęcie miłości bardzo egzaltowane, ale niezdrowe, fałszywe samo w sobie, odezwie się nieraz w jego późniejszem życiu i będzie powodem niejednego cierpienia, niejednego błędu.

Rzym i wrażenia Rzymu. Chłodne z kościoła św. Piotra. »Arcydzieło ludzkie. Piękne, doskonałe; ale czuję w niem tylko, że ludzie mogą wiele, nie czuję obecności Boga. Inaczej w Colosseum«. Tu pierwsze wrażenie owładło, wstrząsło go odrazu; pierwsze ziarno *Irydiona* padło w jego duszę, kiedy przy księżycu patrzał po raz pierwszy na arkady amfiteatru i na krzyż w jego środku. W listach dużo o poezyi. Przekład *Farysa*, przez Reeve'a, pokazany Mickiewiczowi i przez

niego pochwalony; wskazane przytem niektóre potrzebne poprawki.

Mickiewicz kazał mu czytać, dał mu Lamennais'go *Essai sur l'indifférence en matière de religion*. Spodziewał się ustalenia w wierze, wykształcenia przekonań. Skutek był inny. Krasiński pisze do Reeve'a, że »to wszystko doskonale związane, połączone, dowiedzione, nie można nic zarzucić, o nic zaczepić: ale jego to przejęło strachem«. »Po za Kościołem niema zbawienia? Truchleję, ale nie wierzę«. Jakto? Henryetta miałaby nie być zbawioną? Zaleca jednak bardzo przyjacielowi, żeby czytał Schlegla (Fryderyka) *Historyę literatury starożytnej i nowszej*. »Gdyby coś na świecie mogło człowieka zrobić poetą, to ta cudna książka«.

Na taki stan, złożony z miłosnych rozpaczy i literackich rozumowań, pada wiadomość o 29-ym listopada.

III.

Powstanie roku 1830. Stan duszy. Listy do Reeve'a i do ojca. Prośby. Wzięcie Warszawy.

Pierwszy jej ślad znajduje się w liście z 18-go Grudnia: »Czy to brzask przed wschodem słońca, czy »ostatni błysk życia przed zniszczeniem? Czy zginiemy, »czy się wydobędziemy z liczby tych narodów które »zapadają w grób ze swoimi błędami i błądzeniami da napis grobowy? Co się z nami stanie?« Dalej donosił, że ojciec uniknął niebezpieczeństwa w owej nocy, że Cesarzowi posłał swoją dymisyę; pytania, co robi Zamoyski (August, serdecznie kochany przyjaciel i kolega z Genewy): i wreszcie wyznania o sobie: »Wszystko dla mnie jest udręczeniem, męczarnią. Kocham kobietę — ona nie dla mnie. Kocham ojczyznę — ona mnie odpycha. Kocham chwałę — a chwała zamglona.

Polacy w Genewie pewnie o mnie źle mówią? Mickiewicz, Zamoyski, to przyjaciele; ale inni, to jak szatany zawzięte na swoją pastwę. O Boże, Boże, strzeż mnie i broń mnie. Miałem dość siły w umyśle i w sercu, żeby deptać po nich, a nie być deptanym przez nich. Ale darmoby człowiek chciał walczyć z przeznaczeniem. Demon jakiś fatalny, od kolebki do grobu, albo go rzuca w wir niebezpieczeństw, albo go gwałtem od nich wstrzymuje. Ale mnie się w głowie mięsza, zaczynam szaleć. Nie, to nie prawda, Bóg jest samą dobrocią, samą litością. Jeden człowiek musi być poświęconym dla dobra narodu, dla dobra ludzkości. Ofiara Chrystusowa jest podstawą wszystkiego, co się odtąd stało na tym świecie z łez i błota«.

W tych słowach wybucha zmięszane, skłębione razem i pragnienie boju, i przeczucie zakazu ze strony ojca, i udręczenie złej sławy jego, a i swojej, jak nieszczęśliwy syn przypuszcza. Ten list, to niby pierwszy monolog w tragedyi Krasińskiego, niby monolog Hamleta z pierwszego aktu, zawierający wszystkie pierwiastki jego cierpień. Długo tak ciągnie dalej. »Czy ty wiesz, w jakiej ja muszę być rozpaczy, kiedy mam rękę skrępowaną, żeby nie chwyciła za miecz, kiedy widzę moją przyszłość przedwcześnie zamkniętą, moje imię zniesławionem, znieważanem wszędzie, wyjąwszy w mojej obecności — umrę samotny, wzgardzony, nieszczęśliwy«.

I dalej ciągle to samo, tylko coraz gorzej, coraz boleśniej: »Jestem jednym z bogatszych młodych ludzi w Polsce, moja rodzina jedna z najstarszych; bić się za ojczyznę, to dla mnie jedyna droga, jedyny obowiązek. W tem jest chwała i w tem nadzieja wiecznego zbawienia. Bez tego ani czci, ani nadziei, ani zbawienia. Nic, tylko wstyd i przekleństwo. Boże daj, żebym z tego prędko wyszedł. Inaczej, co pomyślą o mnie przyjaciele; co ona, ta, którą kocham? Przy-

jaciele krzykną mi w głos: »Tyś tchórz!« a ona powie, »Tyś zdrajca! Kiedym pytała co stoi między tobą a mną, odpowiadałeś, że twoja ojczyzna, a teraz tyś nie w polu?« Co ja im odpowiem«.

Ale jednak pociesza się: »Jestem tu jak przygwożdżony w Rzymie, dopóki ojciec nie pozwoli mi iść. Proszę Boga, żeby pozwolił, i mam nadzieję. On pozwoli, on mi każe jechać. On taki dobry Polak, i lepszy jak oni wszyscy; on waleczniejszy od nich wszystkich. On mi każe iść, a wtedy pojadę«. »Ale nikt inny nie może znać, nie może wyobrazić sobie, co ja cierpię. Czy ja mogłem myśleć, że przyjdzie taki czas, w którym moja dobra sława będzie splamiona, mój honor stracony, a ja w niemożności zrobienia czegokolwiek, by je odzyskać!«

Reeve odpowiada (5 lutego 1831 r.). Z Anglii, z Francyi odbiera wiadomości pewne. Wojna powszechna jest nieunikniona, a wtedy Polska zbawiona. Krasiński zaś nie powinien się troszczyć o ludzkie mowy. Pomiędzy pogardą a służalczą uległością względem ludzi jest droga pośrednia a prawdziwa: działać, trzymać się sumienia, a na ludzi się nie oglądać. Celu (to jest Polski) z oczu nie spuszczać, a zbliżyć się do niej, ile może, wyjechać z Włoch.

Rada była łatwa, wykonanie trudne. Do wyjazdu potrzebny był paszport, a poselstwo rosyjskie nie chciało go wydać.

Na wiosnę, w kwietniu, Krasiński jest znowu w Genewie. Wspomnienia przeszłości, przed rokiem Reeve, Henryetta, teraz nic koło niego, a w sercu męka. Szczęśliwy August Zamoyski! zabił własną ręką trzech Kozaków w obronie swego pułkownika — został oficerem. »Nieraz myślałem, że jeżeli jeden z nas zrobi sobie sławę, to ja, nie on; Bóg mnie skarał za tę zarozumiałość«.

Nieco dalej ustęp, dziwny w głowie tak młodej,

a wyglądający jak zapowiedź jego późniejszej filozofii, jego późniejszej nauki i wiary. »Każdy człowiek, który ma na świecie coś zbawić, albo coś poprawić, odbywa w sobie, powtarza w sobie boleści i ofiarę swego wzoru, tego Zbawiciela, który umarł na krzyżu. Na tym świecie nic wielkiego, nic pięknego, nic dobrego, bez chrześcijańskiej ofiary, bez boleści, bez cierpienia. Ten, który chce bronić uciśnionego narodu, niech sobie powie z góry: »Wdzieję suknię żałobną, na niej będzie moja krew, a kiedy zmęczony przysiędę na drodze, żeby chwilę odpocząć, moją jedyną ochłodą będzie kielich goryczy«.

Reeve donosi z Paryża, że co do Królestwa Kongresowego rzecz jest niewątpliwa, pewna: chodzi tylko o to, czy to będzie Polska wielka, potężna, jak dawna, czy mała, jak Królestwo. Sobie wyrzuca, że był słaby, że przyjaciela gwałtem nie wywiózł z Genewy. W jednym liście Krasińskiego (z 26 maja 1831 r.) jest szkic powieści, którą pisze, powieści o sobie i o Reevie, która stanie się *Adamem Szaleńcem*. Ale w następnym (28 maja) jest odpowiedź na namowy i wezwania, i tłómaczenie, dlaczego z Genewy nie wyjeżdża.

»Ja wiem, że mój ratunek jest w wyjeździe; jeżeli nie wyjadę, jestem zgubiony. Ale słuchaj. Czyś się zastanowił nad tem, co piszesz? Czy ja mam dorzucić jeden kamień więcej do tych, któremi kamienują mego ojca? Czy mam tak zrobić, żeby po gazetach chwalono mnie, a jego obrzucano infamią? Ja wiem, przyznaję tobie jednemu na świecie, zresztą nikomu, że mój ojciec zbłądził strasznie, okropnie. Ale ja nie mogę pociągać go do odpowiedzialności. Wiem: Polska będzie wolna i wielka, ja będę nieszczęsny i wzgardzony. Zmierzyłem moją przyszłość spokojnie, trzeźwo: zadrżałem przed nią, ale ją przyjąłem. Poświęcenie jest wielkie. Nie będzie głośnem, ani znanem na ziemi, ale będzie dosłyszanem w niebie, u stóp

Syna Człowieczego. Czekam tu, w Genewie, na odpowiedź ojca. Jeżeli będzie dobra, wyjadę natychmiast. Jeżeli będzie inna, jak pragnę, to wyjadę także, bo mój obowiązek względem ojca będzie choć w części spełniony. Mów o mnie, co ci się podoba, mów że nie mam energii, że jestem słaby, chwiejny, że umiem gadać, a nie umiem działać. Dobrze! Spróbuj być tak nieszczęśliwym jak ja — a potem mnie sądź«.

Czeka więc na tę odpowiedź ojca. Korespondencya idzie swoim torem. Reeve, już w Anglii, która go korci wszystkiem a nie pociąga niczem, przesyła Krasińskiemu urywki i treści swoich wierszy, donosi mu, co słyszy o Polsce i o nim samym, donosi, że Walewski (Aleksander, później minister Napoleona III, a teraz pomocnik Niemcewicza w missyi do Londynu) podejmuje się dostarczyć Krasińskiemu paszportu i pieniędzy. Sam Reeve prosi o włosy swojej Konstancyi, i przesyła treść broszury o Polsce, którą właśnie kończy. Oto ten koniec: »Zaprawdę nie rozpaczamy o tej sprawie. Rozsądzi ją Bóg, nie cesarz. Ale nie patrzmy na nią bezczynnie, w ślepem zaufaniu, natchnionem głupim fatalizmem... Nie chodzi o miecz i włócznię Anglii, ale o jej tarczę. Uznać — to znaczy odbudować; a to nie jest ani trudnem, ani niebezpiecznem. Akt, którym Anglia uznałaby prawa polskiego narodu, byłby przyjęty z uniesieniem wdzięczności przez całą lepszą część ludzkiego rodu... Potomność będzie miała prawo wziąć nas za morderców, jeżeli będziemy stali na boku, kiedy takie rzeczy się dzieją«.

Uznać prawa Polski! to nie trudno, ani niebezpiecznie! Jeżeli w r. 1863 Reeve przypadkiem rzucił okiem na ten swój stary list, czy nie spuścił oczów sam przed sobą?...

Krasiński chwali poezye Reeve'a więcej, jak jego broszurę; błaga o wiadomości o Henryecie, o Walewskim mówi jak o dobrym chłopcu, na którym nie

można polegać, bo jest lekki; przesyła treść dalszych rozdziałów swego *Szaleńca*, który już nosi imię Adama; o sobie mówi, że jednak musi mieć jakiś zasób poezyi (choć nie w tej mierze, co Reeve), kiedy w takich smutkach czuje nieprzezwyciężony popęd do pisania. Włosy Konstancyi dostanie z pewnością przez pośrednictwo fryzyera, który ją ma czesać na bal. Ale nie dość włosów: Reeve chce i kwiatka z jej ogrodu. I tu mieści się epizod zabawny a charakterystyczny.

Krasiński nie zna Konstancyi i jej rodziców, nie bywa u nich, nie może więc pójść i od niechcenia zerwać kwiatek w ich ogrodzie; musi go dostać podstępem, sztuką. Wyprawia się na koniu — mieszkali gdzieś za miastem — po drodze spotyka Konstancyę z bratem, również na koniach; potem spotyka ojca. Szczęściem nie zwrócili na niego uwagi. Podjechał pod ogród, konia uwiązał u płotu, a sam przez płot wlazł do ogrodu. Na nieszczęście w ogrodzie były psy; dwa ogromne psy, które zaczęły na niego szczekać z całego gardła. Ale on nie darmo puszczał się na romantyczne awantury; przewidywał niebezpieczeństwa i uzbroił się na wszelki przypadek. Miał przy sobie pistolet i sztylet. Dobył sztylet i nastawił go prosto przeciw psom. Ale psy nie przelękły się tego morderczego narzędzia, nie zrozumiały czem ono grozi i szczekały coraz głośniej. To szczekanie mogło sprowadzić ludzi; nie pozostawało więc nic, tylko odwrót. Odwrót honorowy, rycerski: ze sztyletem zawsze wycelowanym na psy, cofa się młodzieniec do płotu. Po drugiej stronie, na drodze, znowu licho nadało ojca Konstancyi. Jak go zmylić? jak odwrócić od siebie jego uwagę? Zamiast przejechać koło niego po prostu, Krasiński kiwa się na siodle, udaje że śpi. To zdziwiło starego Szwajcara: popatrzał, przystanął, ale poszedł dalej. Kiedy zniknął, druga wyprawa, drugie uwiązanie konia, drugie przełażenie przez płot. Niema już

drugiej walki z psami. Psy, czy takie niedbałe, czy takie domyślne i litujące się nad zakochanymi, tym razem nie szczekają, owszem, łaszą się; Krasiński zrywa kwiatek i przez płot wraca do swego konia z kwiatkiem, dumny, jak żeby był urwał jabłko Hesperyd albo zdobył złote runo.

Cała ta wyprawa opisana bardzo szczegółowo i bardzo poważnie. Jest ciekawa. Te urojone niebezpieczeństwa, te przybory, pistolety i sztylety, ta cała romantyczna dekoracya w sam raz dla Hrabiego z *Pana Tadeusza*, czy to nie śmieszne? Jak się to godzi z umysłem tak niezwykłym i nad wiek dojrzałym tego młodzieńca? jak się godzi z jego bardzo rzeczywistem i bardzo wielkiem cierpieniem? Godzi się tak, że młodzieniec jest na prawdę niezwykły, na prawdę nad wiek rozwinięty, ale jest bardzo młody i ma prawo być jeszcze dziecinnym. Prócz tego zaś ma z natury, z lektury, z mody swego czasu, w wyobraźni swojej skłonność do pewnej romantycznej przesady, do teatralnych przyborów i dekoracyi, do tego, co sam niedługo nazwie »układaniem dramatów« w życiu. Dlatego to małe przejście, ta błaha anegdota jest charakterystyczna. Ale jeżeli tą swoją wyprawą może on wydać się śmiesznym, to zaraz przypomni, że jego położenie jest tragiczne na prawdę, i nie do śmiechu pobudzi, ale do głębokiego współczucia i politowania.

W cztery dni ledwo od owej wyprawy po kwiatek donosi, że odebrał odpowiedź od ojca.

»Ojciec pisze do mnie z czułością rozdzierającą. Pisze, że gotów poświęcić dla ojczyzny i siebie i mnie, ale prosi, zaklina, żebym czekał. Obiecuje, że niebawem przyjedzie do mnie. Cobyś zrobił na mojem miejscu? Ba! cóż ja mam pytać drugiego, coby on zrobił! Ja jestem zgubiony. Jestem głupi (*une bête*), jestem podły, jestem nieszczęśliwy, mam serce ladacznicy, nie śmiem narazić się na przekleństwo ojca. Myśla-

łem, że jego list będzie stanowczy, rozkazujący, gwałtowny; przygotowałem się na walkę równie stanowczą. Ale kiedy ten list przyszedł, wczoraj, a w nim nie groźby tylko prośby, nie gniew tylko błogosławieństwa, nie rozkazy tylko błagania, a w każdem słowie nad wszystkiem miłość ojczyzny, cała moja siła rozpłynęła się w łzy. Podnosiłem ramię do ciosu, ale kiedym je spuścił, nie spotkałem oporu: cios był źle wymierzony i mnie obalił. Jestem wzruszony, rozrzewniony przywiązaniem do ojca, współczuciem dla jego gorzkich nieszczęść, i nie mogę się zdobyć na siłę postanowienia. Taki jest mój stan. Ty może rzucisz na mnie przekleństwo przyjaciela, ale... Mój ojciec! mój ojciec, niegdyś możny, otoczony sławą i pochlebstwem, pierwszy w swoim kraju, on, którego dusza nie mogła nigdy wytrzymać na jednem miejscu, ale rwała się zawsze naprzód — on teraz sam, opuszczony, wszystko stracił; na całym świecie ma tylko mnie jednego. Gdyby mu tej podpory brakło, to co? Nie śmierci boję się dla niego: ta byłaby dobrodziejstwem. Ale długie lata starości, pełne wspomnień rozdzierających, goryczy, obrzydzenia, ale jego serce złamane nad moim grobem, ale jego oko szukające kogoś koło siebie, a nie znajdujące nikogo, ktoby do niego rękę wyciągnął... On, ten sam, co trzydzieści lat temu zatknął sztandar z Orłem polskim na szczycie Samo-Sierry, pomyśl, czy samo to jedno wspomnienie nie wystarcza, by zgrzytał zębami i tarzał się po ziemi z rozpaczy? Tego długiego konania boję się dla niego, tego mu chcę oszczędzić«.

»Jednak nie tracę nadziei, że i on pójdzie jeszcze się bić za Polskę, i ja przy jego boku. Dowiesz się niedługo, na czem tę nadzieję opieram«.

Syn idealizuje ojca, widzi jego zasługę i stanowisko większem niż było, zna legendę jego przeszłości, nie jej historyi, wierzy że jenerał Krasiński za-

tknął sztandar na szczycie Samo-Sierra, kiedy on do sławnej szarży nie należał; ale poetyzując człowieka, kocha ojca, poświęca się dla niego, nie chce jego i siebie narażać na porównanie, które wyniosłoby syna kosztem ojca. Spodziewa się skłonić jego wolę do swojej myśli, ale się tej woli poddaje. Klaczko mówi w *Bezimiennym poecie*, że ten syn nie był Brutusem, był chrześcijaninem i brał poprostu przykazanie »Czcij ojca i matkę«. Postawiony między ojcem a ojczyzną, przyjął tę walkę bez wyjścia, którą dwa uczucia równo święte wydały sobie w jego duszy«.

Ale nachodzi go pokusa, którą nazywa najstraszniejszą ze wszystkich, pokusa samobójstwa. »Ah, gdyby to umrzeć było to, co zasnąć. Ale nie. Tam będziemy musieli znowu cierpieć, dręczyć się, walczyć, może przeklinać, tak, jak przeklinamy tę ziemię«.

Te same uczucia powtarzają się w listach następnych. Reeve rozumie, pociesza, namawia na przyjazd do Anglii; Krasiński odpowiada, że nie chce się ludziom pokazywać, dopóki nie pójdzie się bić. Woli siedzieć w Genewie. Pisze jednak i posyła to jakiś nowy urywek *Adama Szaleńca*, to parę kartek ponurej fantazyi o sobie i o Henryecie. Ona nim gardzi, ma prawo gardzić: ale on chce o niej wiedzieć. Reeve obiecuje posłać jej jego fragmenta, obiecuje pojechać, zobaczyć ją, mówić o nim. Sam stara się wszelkiemi siłami o mocyę za Polską w Izbie Gmin, zwłaszcza o potępienie, napiętnowanie *de l'infâme intervention prussienne*. Znowu staje na myśli rok 1863, z interwencyą (z konwencyą) pruską, i z tym samym Reevem znaczącym, wpływowym, prawie potężnym! Sam chciałby Anglię porzucić, wynieść się, wszystko w niej razi go albo boli. Krasiński daje mu na to odpowiedź godną dojrzałego, mądrego człowieka — szlachetny ojciec nie mógłby dać lepszej młodemu synowi:

»Nie naśladuj Byrona. Jeżeli musisz gardzić lu-

dźmi, to kochaj ziemię i ze wszystkich sił trzymaj się swojej wyspy, zwłaszcza gdyby jej miały grozić jakie burze« (co Reeve przypuszczał). »Na polu zwycięstw, czy na polu klęski, niech proch ziemi angielskiej przylgnie do twego obuwia, a ty nie strzepuj go nigdy. Lepiej zginąć w pierwszym boju, niż żyć zdala od ojczyzny. Wiąże cię do niej cała przeszłość jej chwały, cała teraźniejszość jej niebezpieczeństw. Używać swoich sił na swojej ziemi, to przecie także piękny los«.

Wśród tego zjawia się w Genewie Łubieński (który? nie Leon, ale imienia niema). Przyjechał starać się o pożyczkę dla Rządu Narodowego. Krasińskiemu oświadcza, że niebawem wypłynie eskadra z Francyi pod dowództwem księcia Moskowy, do Połągi lub Kłajpedy, z bronią, z amunicyą — i namawia, żeby się do niej przyłączył. Uwierzył, postanowił odrazu. Wtedy Jakubowski, jego mentor, nie mogąc wstrzymać go perswazyą, zapowiedział w urzędzie, żeby go nie puszczano z miasta lub przez granicę. Nowa rozpacz. W parę dni później pokazuje się, że cała ta wyprawa była bajką, zmyśleniem. Czego chciał ów Łubieński? Krasiński przypuszcza, że chciał tym sposobem ściągnąć go do Paryża, żeby tam pisał lub przepisywał korespondencye agentów polskich z Warszawą.

»Te parę dni egzaltacyi, rozpaczy, wściekłości, może mnie będą kosztowały parę lat życia. Ale mniejsza o to; nie żałowałbym, owszem, niech się to życie skończy czemprędzej. Chciałem iść; ale nie dla ludzi, nie dla chwały, nie z ambicyi. Ja teraz wiem, że każda dusza szlachetna nosi na dnie coś lepszego, coś świętszego, jak chwała: oto poświęcenie nieznane, niewiadome, milczące, ciche, obowiązek, spełniony dla swojej wewnętrznej chwały, dla sumienia, a nie dla rozgłosu, nie dla sławy, która rozchodzi się z tych samych ust, co i potwarz«.

Te dwa dni walki z sobą, jeżeli zostawiły ślad na jego zdrowiu, to zostawiły go także na jego duszy. Ta myśl bezimiennego poświęcenia, zrozumienie tego rodzaju służby, przyjęcie jej, to jest nowe, tego się dotąd w nim nie widziało, a to odtąd będzie się powtarzało i zostanie w nim na zawsze.

Dzień 15 sierpnia! Nowy wybuch rozpaczy.

»Ta wiadomość spadła mi na duszę, jak wyrok nieubłaganego przeznaczenia ciążący nad Polską. Skrzynecki, to jeden człowiek, który mógł zrównoważyć ogromną potęgę Rosyi, bo miał odwagę bohatera, gieniusz wojownika, i poświęcenie chrześciańskiego męczennika. Tyś go nigdy nie widział, ale ja, który go znam tak dobrze, widzę tę postać wyniosłą, tę twarz bladą, surową, te oczy czarne, spokojne, widzę go, jak chodził między szeregami żołnierzy, kiedy ich musiał żegnać. To był wielki człowiek. Ufność swoją położył jedynie w Bogu, nie krzyczał »Śmierć lub zwycięstwo«, jak ci podli, co teraz zgubią Warszawę, ale byłby zwyciężył lub zginął. Płaczę nad nim, jakbym płakał nad własnym ojcem, bo nie widzę już nikogo, ktoby mógł Polskę ratować. W nim były zamknięte wyroki boskie — rozdarli ten wyrok łaskawy, kiedy go zmusili do złożenia dowództwa. Co jego wielka dusza musi cierpieć, jeżeli widzi, że mógł Polskę zbawić, a teraz bez niego ona musi zginąć. To był wielki człowiek, człowiek Opatrzności, a rozbił się o Przeznaczenie«.

Reeve go pociesza, jeżeli to pociecha, mówiąc, że rozbiór Anglii będzie gorszy, zupełniejszy, niż rozbiór Polski. Ona go dokona sama, przez rewolucyę wewnętrzną, a to taka różnica, jak między arsenałem zburzonym na powierzchni ziemi, a ziemią samą, wysadzoną w powietrze przez ukrytą minę. Ale dlatego właśnie młody Anglik, któremu Anglia sympatyczną nie jest, »przywiązuje się do niej, bo czuje, że będzie

mógł jej się przydać. Kocha się tych, którym się dobrze robi«.

Krasiński utwierdza go w tem uczuciu: »Trzeba się zmierzyć z przeznaczeniem, które cięży na ludzkości i na każdym z nas z osobna; trzeba wejść w szranki do walki z niem, iść krok w krok za jego lotem ciężkim i przygniatającym, i przeciwstawić mu odwagę. W tem znajdziesz energię. A gdy ci będzie potrzeba czułości, czystości, spokoju, dobroci, wtedy odwrócisz oczy na chwilę od przeznaczenia, a wzniesiesz je do Opatrzności, do Boga miłości, gdzie niema walki, tylko oglądanie, niema wojny, tylko hymn chwały, niema zguby, tylko zbawienie. I znowu spadniesz całym ciężarem na tę arenę znoju, i znowu będziesz się brał za bary z ludźmi, z okolicznościami, aż do chwili, gdy Bóg otworzy swoje niebiosa i poda rękę. Wtedy wszystko się skończy w światłości, w zachwycie miłości i wiary«.

Potem żałosna skarga. »Cóż ci mam powiedzieć o sobie, o tej nieszczęsnej lichej istocie, która może mówić, pisać, unosić się nad pięknością Alp, kiedy wszystko koło niej się wali! Czuję, czuję, żem zgubiony, i nie myśl, że ja stoję nad brzegiem przepaści — ja już zstępuję w przepaść. I co ja złego zrobiłem, żeby zasłużyć na taką karę? Młody jestem — nie mogłem jeszcze zrobić wiele złego. Z natury nie jestem skłonny ani do okrucieństwa, ani do chytrości, ani do zdrady. Co ja takiego mogłem zrobić? Ah! pytanie faryzeusza: »Co ja zrobiłem?« Zrobiłem nie jedno zasługujące na karę. Wchodziłem pod łuk tryumfalny młodości z sercem namiętnem, którego żadna cnota, żadna zasada nie wstrzymywała na drodze do złego. I wtedy młoda dziewczyna z mojej winy nieszczęśliwa, młoda kobieta spotwarzona — (kto?) — ojciec wydany na mnogie zmartwienia — (jakie?) — duma bez granic, orgie (?!) z kielichem w ręku, nienawiście wście-

kłe, oto orszak win, który mnie otacza. Bóg nic nie zapomina«.

Wśród tego ciągłe wzmianki o Henryecie, o wierszach Reeve'a, o swoich pomysłach i pismach. *Adam Szaleniec* wraca często: w jednym liście cały jakiś fantastyczny obraz. Młodzieniec jakiś nosi na czole znak, znamię, piętno jakieś fatalne. Magiczną sztuką wywołuje duchy różne i wzywa je, żeby to piętno zmazały; ale ani duch przeszłości, ani duch wolności nie mają tej mocy, a duch wieku mu urąga; bo to wiek ciemiężycieli i bankierów. Reeve pisze w listach, że poluje: ta wzmianka wywołuje w Krasińskim wspomnienie młodzieńczej pasyi myśliwskiej, wspomnienie ulubionego wyżła Klejnota. »Mój biedny Klejnot, z jakim zapałem on się rzucał; długie uszy latały koło głowy, jak skrzydła nietoperza, sierść się jeżyła, skóra się marszczyła, cały drgał, jak w konwulsyach. Szlachetny zwierz był. W wielu ludziach nie widzę tyle siły i duszy, co w nim. Teraz musi być stary; może zdechł. Smutno mi myśleć, że mój Klejnot może zdechł«.

Następuje 8 września.

»Warszawa wzięta! Zwycięzca urąga żywym i umarłym. Ale ja wierzę w Boga, a Bóg żadnej zbrodni nie przepuści bezkarnie, zbiera węgle nad głową królów. Wierzę w słowa Apostołów: »Gdzie jest Bóg, tam jest wolność. Jak ja teraz kocham tę ziemię krwawą, świętą przez boleść i przez nieszczęście, zasypaną kośćmi męczenników, ziemię zapału i rezygnacyi... Wszystko dla niej, moje życie, moje siły, moje dnie i moje noce, moje smutki i moje radości. Wszystko dla niej — pałasz czy lutnia — wszystko co mam, do ostatniego tchu mego życia«.

Ten ślub dotrzymany!

Reeve odpisuje:

»Zdrada dokonała to, co tchórzostwo (Zachodu) zaczęło. Ta ziemia jest ziemią niegodziwości i nie-

szczęścia. Trzebaby codzień nowego słowa na to, by wyrazić przewrotność i podłość ludzkiego rodu; trzebaby sznura codzień dłuższego, by zmierzyć te bruzdy, któremi zbrodnie narodów porzą naszą ziemię. Jesteśmy uwiązani na stosie, który się pali i pali wciąż — to się nazywa życiem — w XIX wieku. *Hell is empty, and all the devils are here* (piekło jest puste, bo wszystkie szatany są tu)«. W zakończeniu powtórzone słowa własnej broszury: »Potomność weźmie nas za morderców za to, żeśmy stali zdala na boku, kiedy się to działo«.

Na tem się kończą uczucia, wrażenia, boleści, doznawane w ciągu wojny r. 1831. — Teraz się zacznie coś boleśniejszego jeszcze: przeżuwanie tych boleści, rozmyślanie nad niemi, przewidywanie — lub widzenie — skutków przegranej wojny.

IV.

Rozpacz. Spotkanie z Leonem Łubieńskim. Stan świata. Przyszłość. Dawna miłość. Pojęcie miłości i małżeństwa. Pisma. *Agay-Han. Ostatni.* Koniec roku 1831.

»Czyś słyszał ostatni krzyk mego narodu? Dosłyszałeś uderzenie podków koni zwycięzców o bruki Warszawy? Widziałeś we śnie rozpaczliwym Szatana pychy i zbrodni, wchodzącego w ulice umierającego miasta, pomiędzy dwoma rzędami osłupiałej ludności?... To taki miał być koniec tej Polski, która od pół wieku wlecze się z bronią w ręku od jednego grobu w drugi, nie mogąc umrzeć, bo wielka, nie mogąc wstać zmartwych, bo Opatrzność nie raczy zdruzgotać Przeznaczenia! Nie mówię już o przyszłości, ani o nadziei, ani o wstydzie nawet; wszystko to wpadło w ten grób ogromny, na którym potomność wzniesie posąg cara. Staliśmy się ludźmi bez żadnych cech

i praw ludzkości, przeznaczeni na to, by się błąkać tu i tam, szukając czaszki zbielałej, kości rozrzuconych, by mówić cicho i schylać czoła, żyć w przeszłości, a nie módz zżyć się z teraźniejszością, by cierpieć i myśleć» Zemsta«, a nigdy tego słowa nie wymówić, by połamać nasze szable, nasze lutnie, i usiąść w milczeniu, nie mając nawet cienia drzew babilońskich nad głowami«.

»Nic mnie już do tego świata nie wiąże — nic, nic, nic«.

»Kiedy zbrodnia tryumfuje, wiele dusz zaczyna wątpić o Bogu. Nie wybrani zapewne, ale słabsi, a jednak ludzie z duszą szlachetną, ludzie, którzy wielbili Boga i wzywali go w chwilach niebezpieczeństwa. Ale teraz ich serce strzaskało się o Przeznaczenie. Myśleli, że znajdą Opatrzność! Ja nie zwątpię nigdy, bo każda kropla krwi przelanej każe mi myśleć o tej, która była przelana na Golgocie; ale wołam na cały głos, że ród ludzki jest przeklęty za swoje nieprawości, a kara obejmuje niewinnych pospołu z winnymi. Trzeba konania i śmierci, żeby zrównoważyć bezbożność i przewrotność. Polska upadła, ale wtedy klątwa tym, co zapomnieli o wszystkiem, prócz swojego interesu, którzy gadali śmiało i krzyczeli głośno, a teraz przypatrują się głupio, jak tam naród kona. Ale i ja chyba przeklęty. Ja się popisuję stylem! Boże miłosierny, cóż ja jestem? Któż może pisać przy łożu śmiertelnem matki, w pierwszej godzinie po jej śmierci? Na to trzeba być mniej niż człowiekiem — gazeciarzem«.

»Moja rola będzie teraz mniej głośna, za to może jeszcze smutniejsza. Jeżeli kiedy usłyszysz, że jestem wywieziony na Sybir, podziękuj Bogu, że mi pozwolił raz przynajmniej dowieść, żem dobry Polak«.

W tym liście (z 21 września 1831 r.) zawarte są różne uczucia wzbierające w polskich duszach, różne, które się widzi w słowach i uczynkach innych ludzi

i w pismach poetów. Rozpacz, wątpienie o Bogu, żal do wszystkich rządów i ludów; u Mickiewicza, u Słowackiego odzywają się nieraz tony podobne. Obok nich są inne, już samemu tylko Krasińskiemu właściwe. Rozróżnienie Przeznaczenia i Opatrzności, sprzeczność i walka między niemi, to pojęcie, które spotka się nieraz w jego poematach. Po raz pierwszy zjawia się to wyobrażenie (on je zapewne ma za przeczucie), że zginie wywieziony w sybirskich lodach: to niby zaród na *Ostatniego*. A ta pogarda siebie samego: »Cóż ja jestem, że mogę w takich chwilach pisać?«, to odezwie się w *Nieboskiej komedyi* gorzkim zwrotem do poety: »Przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością«. Obok tego jest w samej tej rozpaczy już ta myśl, która kiedyś znajdzie się w *Irydyonie*, w *Przedświcie*, w *Psalmach*. »W myśli Bożej niema tego, żeby naród jaki mógł zginąć, jeżeli się sam na śmierć nie zgodzi. A my nie zgodzimy się na nią nigdy. Idźmy z ofiary w ofiarę, z boleści w boleść, zawsze w milczeniu, a dojdziemy do kresu zadośćuczynienia. Tam, na końcu, powitamy widnokrąg otwarty przed nami«.

Zjawia się także to wyobrażenie o własnym końcu w więzieniu, albo na Sybirze, które mu tkwi w głowie na długo, które zrodzi w niej *Ostatniego*. Krasiński nie myśli jechać do Warszawy, nie pojedzie do Warszawy. Na widok zwycięzców, tryumfujących, urągających, czy potrafiłby się wstrzymać od jakiego wybuchu? »Ja nie stworzony na spiskowca. Milczeć, uśmiechać się, kiedy mam wściekłość w sercu? Podziemne lochy, tajne stowarzyszenia, przysięgi szeptem wyrzeczone, to wszystko nie dla mnie. Nie umiem udawać, a z Warszawy droga dla mnie otwarta, gotowa, równa jak stół, na Syberyę. Jeżeli kiedy usłyszysz, żem pojechał do Warszawy, powiedz sobie, że za kilka dni jakiś trup rosyjski będzie leżał gdzieś na

brzegu Wisły, a za drugie kilka dni Zymunt będzie wywieziony na Sybir. Niech to zostanie między nami, ale taki los musi mnie czekać prędzej czy później. Koniec musi być taki, bo moja dusza zawsze musi wyrywać się z piersi, w miłości, tak samo jak w nienawiści«.

Kiedyś ta sama myśl wypowie się w słowach: »Wiesz, dla mnie powróz, Sybir zgotowany« i t. d. Powtarzają się tak w kółko te same skargi i żale, kiedy ich jednostajność przerywa się niespodziewanem zdarzeniem. Leon Łubieński przyjechał do Genewy; przyjechał zdaje się dlatego tylko, żeby Krasińskiego zobaczyć i przejednać. Kolega, przyjaciel niegdyś, krzywdziciel później, sprawca zniewagi w uniwersytecie warszawskim, powód jego wyjazdu, powód tej złej sławy która go dręczy, stanął przed nim znienacka. Jego widok poruszył i wzburzył do dna duszy nagromadzone tam od dwóch lat wspomnienia i wrażenia, i dał powód do pięknej wymiany myśli między dwoma przyjaciółmi. Jeden zwierza się ze swojej nienawiści, drugi upomina surowo o przebaczenie.

»Leon Łubieński wszedł wczoraj do mego pokoju. Mówiliśmy z sobą pięć godzin. Na wszystkie sposoby próbował mnie schwycić. Zaczął od pochlebstwa... Wreszcie wiedząc, że jestem religijny, powiedział, że on także stał się gorliwym katolikiem. Wtedy już nie mogłem wytrzymać. Uderzyłem go po ramieniu i zawołałem: »Ty! ty masz tylko jedną religię, swój cel. Ty masz jeden cel, to oszukiwać ludzi na to, by nimi zawładnąć. Będziesz katolikiem, albo ateuszem, podług tego, co z dwojga będzie ci potrzebne. Znam cię. Zasady nie masz żadnej, a wierzysz tylko w siebie, w swoją fortunę. Przez dwa lata kochałem cię jak brata, potem nienawidziłem cię z całej duszy. Podczas wojny byłbym ci buty czyścił, gdyby to było mogło przydać się do wyswobodzenia Polski. Ale dziś (kiedy

wojna skończona) wracamy każdy na swoje stanowisko i nienawidzę cię znowu, a wiesz, że we mnie nienawiść, jak wszystko, jest namiętnością«. I dalej wizerunek moralny tego niegdyś przyjaciela. Głowę ma potężną, ma gieniusz wykrętów, wybiegów, intryg, może mieć sukces; ale niema pojęcia o poświęceniu, o wyrzeczeniu się siebie, o obowiązku. Miałby odwagę, jako mowca w parlamencie; trząsłby się ze strachu przed lufą pistoletu. Kiedy rozmowa zeszła na ostatnią wojnę, Łubieński wyśmiewał ironicznie takich, co się bili i odnieśli rany, Augusta Zamoyskiego między innymi. Na to nowy wybuch oburzenia i gniewu. W końcu prośba, żeby Reeve zachował to wszystko dla siebie; przed nim Krasiński jest zupełnie szczery, przed innymi nie chciałby źle mówić o nieprzyjacielu.

Spotkanie powtarza się kilka razy, zawsze po kilka godzin; po każdem Krasiński jest bardziej wzburzony, utwierdzony w swoim wstręcie. Po ostatniem, w mieszkaniu Łubieńskiego, Krasiński podał mu rękę zimno i schodził ze schodów — tamten stał nad schodami i płakał. »Miałem chwilę strasznego wahania. Już prawie miałem wrócić i wyciągnąć rękę i powiedzieć: »Przebaczam ci!« Ale myśl, że to wszystko udanie, że to z jego winy ja jestem uważany za złego Polaka, że to on rzucił potwarz na mego ojca, że przez niego ja musiałem wyjechać, ta myśl uderzyła mi do głowy i do serca nowym napływem nienawiści. Pożegnałem go krótkiem suchem słowem, twardym głosem, i poszedłem«.

Reeve także wraca parę razy do tego przedmiotu. »Dawno temu już z boleścią widziałem, że w tobie siła nienawiści, energia charakteru, szał namiętności, zwraca się przeciw człowiekowi, którego zaszczycasz mianem nieprzyjaciela... Ta nienawiść i mściwość, silna jako taka, jest słabością twego charakteru. Ale ty upierasz się właśnie w tem, żeby ją mieć za swoją

siłę, za broń pożyteczną i dozwoloną«... »Piotr zapytał: »Panie, wiele razy mam przebaczyć tym, którzy mnie prześladują? czy siedm?« A Pan Jezus odpowiedział: »Zaprawdę i siedmdziesiąt razy siedm«. Ja mam serce twarde, mało współczucia dla ludzkich cierpień, ale dzięki Bogu nigdy nie odprawiłem z niczem człowieka, który łkając prosił mnie o przebaczenie«.

Krasiński się nie broni, nie uniewinnia, tylko tłómaczy, zkąd się w nim wzięła, jak się w nim wyrobiła ta zdolność i siła nienawiści:

»Takie moje przeznaczenie, że ssałem nienawiść z mlekiem mamki, żem ją przejął ze spojrzeń matki, z pierwszych słów ojca. A kiedy byłem starszy, ona osiadła w mojem sercu, potężna i nieprzełamana, na widok mojej ojczyzny, zdeptanej przez podłego zdobywcę, na odgłos jęku moich braci, i płaczu sióstr i matek. Ty, człowieku wolny, ty, coś się wolnym urodził, ty nie możesz zrozumieć uczuć człowieka, którego ojcowie byli wolni, a on jest niewolnikiem. Tyś nigdy nie słyszał szczęku kajdan na rękach twoich współbraci, w nocy ciebie nie budził turkot kibitek, które ich wywoziły... Nie słyszałeś rozkazów w obcym języku do ludu, który go nie rozumie... Nie uczułeś nigdy tego poniżenia, które niewola ciągnie za sobą, i nie zadrgałeś na całem ciele z wściekłości, jak pies wzięty na łańcuch. Tyś nie widział wybladłych twarzy wyglądających z za krat więzienia. Tyś nie słyszał w wieczornej rozmowie przy kominie, jak ten zniknął, a tamten stracony, a inny wywieziony, a ta wieś spalona, a to miasto zrabowane, a Praga cała zatopiona w krwi mieszkańców... Tobie nikt nie mówił o dawnej chwale, i o zemście, tyś nie widział sztandarów podartych, białych Orłów połamanych... Tyś nie śledził na mapie, jak twoja ojczyna malała, kurczyła się, aż wreszcie upadła pod ciężarem przemocy. Nic takiego

w rzeczywistości, nic nawet w twoich snach. Urodzony w spokoju, wychowany w spokoju, widziałeś tylko spokój, błogość, szczęście. Dla tego nienawiść wydaje ci się tak ohydną. Nie mówię o Łubieńskim. Nieszczęśliwy jest on i jego ojciec, to dosyć, żebym zapomniał wszystko, aż do imienia zemsty. Ale chcę ci wytłómaczyć to uczucie, raczej tę namiętność nienawiści, jaka we mnie jest. Ona się stała jednym z pierwiastków mojej natury, stała się częścią mojej istoty. Chcę, czy nie chcę, muszę ją w sobie mieć, bo okoliczności potęgują ją ciągle i robią mi z niej obowiązek. Dla tego ja, chrześcijanin i głęboko wierzący chrześcijanin, nie cofam się przed nienawiścią, tak, jakbym może powinien... Na tej ziemi nieszczęśliwej (polskiej) przebaczenie byłoby bezbożnością. Czyś widział, żebym kogo nienawidził w Europie? albo żebym podziwiał nienawiść w poezyi? Nie. Moja nienawiść ma za przedmiot świat boleści i ucisków, ciemięstwa i zbrodni. Dla ciebie on jest, i zawsze będzie, nieznany, zakryty. Ale ja, który w nim muszę żyć i walczyć, jabym upadł prędko, gdyby mnie ta nienawiść nie wspierała. Tam, gdzie nieszczęście i zagłada są wściekłe, tam i namiętność wściekłą być musi. Zostaw mi moją nienawiść. Nie mówmy o niej. Ona nie dla ciebie, ona nie jest naszem wspólnem uczuciem, naszą myślą, własnością naszych obu dusz: ona dla mnie jednego«.

»Dziwna między nami walka. Ty masz za sobą prawo, a ja mam fakt, który mi pali duszę. Człowiekowi, który kocha, czybyś powiedział: »Nie kochaj?« Jakże możesz mówić: »Nie nienawidź« temu, który nienawidzi?« Podniósłby się w oczach przyjaciela, gdyby mu doniósł, że przebaczył, ale chce z nim być szczerym, mówi tylko to, co myśli i czuje. Nie o Łubieńskiego mu chodzi. Źle robił, że tamtego nienawidził; ale jest coś innego, coś więcej. »Gotów jestem do po-

święceń bezimiennych, do cierpień bez chwały, bez współczucia, do zapomnienia uraz. Ale nienawiść jest dla mnie przykazaniem Boskiem, bo ojczyzna, język, obyczaj są darem Bożym, a bronić ich jest obowiązkiem, z którego zażądają od nas rachunku na tamtym świecie. Kochać Polskę, to nie dosyć. Gdzie jest Polska? Jest wspomnieniem, a o wspomnieniu tylko marzyć można. Żeby działać, potrzeba celu, potrzeba nadziei, a w naszem położeniu nienawiść jest tym aniołem światła, który nas poprowadzi do celu«.

Daleko od tych słów i uczuć do ostatniej nauki *Irydiona*. Ale uczucie *Irydiona* już tu jest. On tak nienawidził Rzymu. Jak Goethe nie byłby stworzył *Fausta*, gdyby sam nie był tak myślał i pytał jak Faust, tak Krasiński nie byłby stworzył *Irydiona*, gdyby sam w sobie nie był czuł, doznał, nosił podobnej nienawiści.

A jak pierwiastki przyszłego *Irydiona*, tak są tu i pierwiastki przyszłej *Nieboskiej komedyi*.

»Jakaś wielka rewolucya, nie polityczna, ale społeczna, przeniesie własność, ziemię, dobre obiady, dobre łóżka, z rąk tych, którzy dobrze jedzą i śpią wygodnie, w ręce tych, którzy dygoczą z zimna i przymierają z głodu. Kiedyś szlachta była szczęśliwa i nasycona materyalnem używaniem, szlachta upadła do nóg mieszczaństwa, które wiele znosiło i cierpiało. Teraz *tiers état* rozpiera się wygodnie na miękkich sofach, lud go ściągnie z tych sof, bo jest silny, ma czerstwość i moc cierpienia«...

»Ojczyzna jest niczem (w Europie)... materyalne szczęście, używanie, jest wszystkiem. Ci, którzy je mają, pragną spokoju, ci, którzy nie mają, pragną walki, żeby je dostać. W tych ostatnich jest może coś wielkości pogańskiej, ale prawdziwej, chrześcijańskiej wielkości nie ma ani w jednych, ani w drugich. Dlatego też wierzę w jakieś wielkie zniszczenie. Wszystko

musi się zwalić, wszystko stać się cmentarzem, potem dopiero spodziewam się jakiegoś odrodzenia. Ale nie przedtem. Cóż to są te wszystkie krzyki, te wołania, te wzburzenia? To gniew Boży, który odrodzi świat. Kościoły runą — te się odbudują! — ale runą także domy gry, domy rozpusty, więzienia, fortece i cytadelle królów. Wszystko to rozsypie się, jak proch miałki i szary, po polach, krew poleje się strumieniami, ciała zgniją potargane w kawały; czas przejdzie, i nowe zboża, nowe plony kołysać się będą na tych samych polach. Tylko nie dla nas ich żółte kłosy. Nasze dzieci będą je zbierały na naszych kościach zbielałych. Dla nas tylko walka, która na tym świecie nie zda się na nic; ale uszlachetni nam dusze, zrobi je godnemi nieba. Dla nas walki i znoje«.

Jak tamta nienawiść stała się z czasem postacią Irydiona, tak to pojęcie dzisiejszego świata stanie się *Nieboską komedyą*. Ale z temi wściekłościami i z temi rozpaczami równocześnie odzywają się już te myśli, te nadzieje, z których kiedyś wyjdzie *Przedświt* i *Psalmy*. Krasiński wróży jakąś zagładę w rewolucyi socyalnej Europie zachodniej, która zamknęła swój ideał, swój świat, w materyalnej wygodzie i używaniu. »My jesteśmy w innym stanie. Uciśnieni, zgnieceni, mamy — śmiem to powiedzieć przed całym światem, przed Francyą, przed dumną Anglią — mamy w sobie więcej pierwiastków życia, niż Francya i Anglia. My wierzymy jeszcze w prawdę Bożą, i bez mała wierzyłbym, że jesteśmy ludem wybranym nowszych czasów, że przez nas przyjdzie odrodzenie, że z nas wytryśnie życie nowe i silne, nad grobami zachodu i południa, kiedy w Europie wszystko będzie zwaliskiem i milczeniem. Nasza niewola jest przejściem czasowem. A jeżeli przebywamy tyle prób, i tak ciężkich, to chyba Bóg czegoś po nas chce. On nas poprawia męką, a kiedy nas nareszcie oczyści zupełnie, wtedy my je-

dni będziemy mieli siłę wstać i iść wśród tych ludów, które tymczasem dojdą do zgrzybiałości i do ostatnich konwulsyi«.

W tem rysuje się już wyraźnie i »próba grobu« i »ludów lud jedyny« — trzeciej epoki tylko, epoki Ducha św., jeszcze nie ma.

A jego miłość? czy przeszła, wywietrzała? Jako miłość przeszła z pewnością, ale jest zawsze jako pamięć, jako oskarżenie siebie samego, jako czuła litość nad nieszczęśliwą. Ciągłe narzekania, że ona musi nim gardzić, ciągłe pytania co się z nią dzieje, co myśli, co robi. Reeve musi się dowiadywać, pisać, donosić, nawet jeździć tam, gdzie Henryetta z ojcem mieszka. Przytem obawa jej rychłej śmierci. Cholera jest w Anglii. Reeve nie umrze, bo Bóg chowa go na coś wielkiego. Ale Henryetta umrze z pewnością — i Krasiński prawdopodobnie umrze także. Ale przed śmiercią, i wśród rozpaczy szczerych a myśli głębokich, ma jeszcze czas i ochotę robić dzieciństwa. Raz był w teatrze. W loży zobaczył Konstancyę, Konstancyę Reeve'a. Długi opis, jak była ubrana, jak gracyą i ruchem podobną była do motyla siedzącego na kwiatach, i myśl, że przyjaciel byłby szczęśliwy, gdyby mógł mieć coś, co było jej, co jej dotykało. Piękny pomysł wykonywa się śmiało. Konstancya siedzi na przodzie loży, w głębi wisi jej okrywka, czerwona w czarne pasy, ta sama, o której zakochany Reeve tyle razy mówił. Do tej loży wejść trudno, ale zakrada się Krasiński do loży sąsiedniej, przez przedział sięga ręką do owej okrywki, nieznacznie ucina jej kawałek, jak Dawid kawałek płaszcza Saula, i z tryumfem wraca na swoje miejsce — nazajutrz z niemniejszym tryumfem posyła przyjacielowi swoją zdobycz. Co powiedziała Konstancya, co powiedziała jej matka, kiedy zobaczyła szkodę? o tem historya milczy.

Oprócz Henryetty znajduje się i wspomnienie

dawniejszej, warszawskiej jeszcze miłości. Kiedy Odyniec w *Listach z podróży* pisał, że młody Zygmunt kochał się w Warszawie w pani A. Z. (Amelii Załuskiej), brało się to za częsty u Odyńca zwyczaj poetyzowania i szukania miłości wszędzie, gdzie ona była, albo nie była. Ale to była prawda; Krasiński sam opowiada przyjacielowi o tej miłości, którą naturalnie przesadza, poetyzuje, powiększa, ale z której się bynajmniej nie śmieje. Roman Załuski, na emigracyi, dojechał do Genewy właśnie, żeby odwiedzić Krasińskiego. »Jego widok obudził we mnie tysiąc wspomnień. Widziałem się dzieckiem biegającem po pokojach za moją kuzynką Amelią; potem w jednym z tych pokoi ona bierze ślub, w drugim moja matka umiera, a ja między tym ślubem a tą śmiercią czuję rozpacz w sercu dziecinnem, ale z namiętnościami olbrzymiemi. Lata przechodzą. Moja matka dawno nie żyje; ja wchodzę w lata namiętności, Załuski w więzieniu: jego żona w naszym domu na opiece mego ojca. Wieczorami, po lekcyach na uniwersytecie, chodziłem do niej«. Obicia salonu, obrazy, świece, muzyka, rozmowa, kwiaty, oficerowie, damy, herbata, do której nie żałował wlewać rumu, wszystko to odurza go, łączy się w jakiś obraz czarujący, unosi go nad rzeczywistość. Wśród tego ona »w czarnej sukni, wiotka kibić obwinięta w krepy, piękna, że oszaleć, majestatyczna. Oczy czarne, rysy wydatne, dumne, pełne wyrazu i życia... Straciłem połowę duszy, całe zdrowie mojej młodości, tem wpatrywaniem się w nią i uwielbianiem. Ale nie miałem odwagi wyznać jej mojej miłości«.

W jednym liście Reeve'a znajduje się niespodziewana wzmianka o Henryecie. Bawi w Anglii jako emigrant Waleryan Krasiński, krewny Zygmunta (autor *Historyi reformacyi w Polsce*). Poznali się z Reevem; mówili z sobą dużo naturalnie o Zygmuncie, i o jego miłości. Waleryan powiedział, że zapewne

Jenerał sprzeciwiałby się temu ożenieniu syna, ale znowu tak pragnie widzieć go żonatym, że gdyby syn bardzo prosił, to kto wie...

Reeve przesyła Krasińskiemu to zapatrywanie, a od siebie dodaje: »Zobacz, spróbuj; kiedy ją tak kochasz, przyjedź do Anglii, żeń się«. Widzi nawet cały obrzęd ślubny, z sobą za drużbę.

Odpowiedź jest bardzo charakterystyczna:

»Czy ja ci kiedy powiedziałem, ja, który ci mówiłem wszystko, że kochając Henryettę miałem jakikolwiek cel materyalny, dotykalny: ożenienie, albo uwiedzenie? Mówiłem o niej zawsze, jak o istocie, którą uwielbiam, ale której nigdy nie będę miał za swoją, na tym świecie przynajmniej. Kochałem ją, jak nikt nigdy kochać jej nie będzie. Mógłbym dla niej zginąć, dla niej poświęcić zawód, przyszłość, majątek. Ale prosić o jej rękę? zamienić moje marzenia na ciężką rzeczywistość? Ja pragnąłem tylko jej serca; a zawsze jej ręka stawała pomiędzy mną a jej sercem. Henryetta Willan nie miała dla mnie nigdy być małżonką, ale była poetycznym wstępem do całego mego życia. Dziś ona jest moją przeszłością bajeczną, moim wiekiem bohaterskim. Ale kiedy ty, z tym projektem małżeństwa, wywołujesz mi obrazy kontraktu, notaryusza, starego ojca, sióstr, brata do niczego, sług domowych, układów, urządzeń, i cały ciężar tego chomąta, które człowiek wkłada sobie na kark przy ożenieniu, wierz mi, ty profanujesz moją miłość, a moje dawne sny zasypujesz piaskiem i błotem... Moja ukochana — i moja żona, nie mogą być jedną i tą samą. Jedna, to anioł, coś nieskończenie wyższego niż kobieta; druga, może nie będzie nigdy, ale jeżeli będzie, to będzie zwykłą śmiertelną, w sam raz do cerowania moich pończoch, i do gotowania mi ziółek kiedym chory«. I obok tego ustęp wymowny, poetyczny istotnie, o tej miłości wzniosłej, o tym śpiewie dwojga

dusz, który się smutno skończył, i opowiadanie, jak po raz pierwszy, w Wielki Piątek, wyznali sobie miłość, jak on zapytał: »Czy chcesz być moją ukochaną na tym świecie, a moją narzeczoną na życie w niebie?«, a ona uklękła i odpowiedziała: »Tak«.

W tem wszystkiem widzi się i słyszy Hrabiego Henryka z *Nieboskiej komedyi*. On także »zstępuje do ziemskich ślubów«; on także goni mary i widma, on także marzy o jakiejś Pieśni, a w małżeństwie widzi się fabrykantem Niemcem przy żonie Niemce. Chwyta się na gorącym uczynku tożsamość tych pojęć u poety i u jego bohatera. U bohatera osądził je jako fałszywe i złe, ukarał go za nie strasznie, szaleństwem żony, wyrzutem sumienia. W sobie, czy je zwyciężył? Niestety, fałszywe, błędne pojęcie miłości mści się często na całem życiu człowieka. W owych czasach, w epoce romantyzmu, ten rozdział między miłością a małżeństwem, to pojęcie małżeństwa, jako niskiej prozy życia, a miłości jako z niem niezgodnej, było częste i skrzywiło wielu. Gdyby Musset, syn wieku, był wiedział, że miłość godzi się z czystością kobiety, z przysięgą mężczyzny, Musset byłby szczęśliwszym człowiekiem, może i większym poetą. Krasiński, gdyby od młodości nie był nasiąkł tym fałszem, tą mniemaną poezyą wolnej miłości a mniemaną prozą małżeństwa, nie byłby dręczył się nieszczęściem pani Bobrowej i swoją zgryzotą, nie byłby potem słuchał »Pieśni swojej« w pani Delfinie Potockiej, nie byłby musiał w końcu z taką goryczą, z takim żalem zwracać się do żony z zapytaniem: »Czemu ja dawniej ciebie nie kochałem!«

A czy Krasiński pisał co przez ten czas? Pisał ciągle, zawsze w małych urywkowych formach, i zaczął *Agay-Hana*, o którym w listach opowiada dużo, którego pisze z wielkim zapałem. Pomiędzy mniejszemi, często nieskończonemi tworami jego myśli

i wyobraźni, które leżały w rękopisie przez lat siedmdziesiąt, należy naprzód wymienić *Adama Szaleńca* (*Adam le Fou*). Właśnie teraz namawia go Reeve usilnie, żeby go ogłosił. Ten *Adam* długo był noszony w głowie, a w ciągu pisania musiał się zmieniać. Sceny, opowiadane w listach, nie znajdują się w dochowanym fragmencie. Podług listów historya Adama miała się zacząć na jeziorze Genewskiem. Człowiek jakiś rzucił się w wodę; wyratowany, wyniesiony na pokład statku, okazuje się obłąkanym. Młody Anglik podróżujący — Lord Gram (Reeve), z trudnością poznaje w nim przyjaciela lat dawnych; usiłuje obudzić przytomność, pamięć; napróżno. Dopiero muzyka, *Ostatnia myśl* Webera, sprowadza świadomość. Obłąkany poznaje przyjaciela, i opowiada powody swojej rozpaczy: jego ojczyzna zgubiona, jego dobra sława stracona, miłość stracona także, kochanka nim gardzi. W drugim obrazie Lord Gram odwozi Adama do klasztoru, gdzie ten przyjmuje święcenie, zostaje mnichem. W drukowanym fragmencie treść jest inna: krótki wizerunek Lorda Gram; potem *Wspomnienia z Rzymu*; znać po nich, że w tej głowie osiadały wrażenia, z których kiedyś złoży się *Irydion*. Dalej *Boleść* człowieka, który nie mógł się bić za swoją ojczyznę, który myślał już o samobójstwie, ale kto nie padł w obronie wolności, ten byłby podły, gdyby umierał na to, by raz spocząć. Niech cierpi, niech cierpienia składa jako ofiarę za swoją ojczyznę, a kiedyś przyjdzie dzień, który go z tych więzów ciała wyzwoli. W *Klasztorze* niema ślubów zakonnych, jest tylko pamięć przebytego szaleństwa. Następuje *Trwoga*, strach złej sławy, pogardy, a przez nie przebija pokora przed Bogiem, rezygnacya na cierpienie. Na ostatku *Rozpacz* szalona, wściekła, zakończona krzykiem: »Gdzie jest świątynia Efezu, żebym ją podpalił? Gdzie trucizna? gdzie sztylet morderczy? Dajcie mi go«.

Na tem urywa się fragment, ciekawy i ważny jako wyraz udręczeń, w jakich się Krasiński szarpał — chwilami wyraz już wymowny i silny.

Gwiazda (*L'Étoile*, drukowana w genewskiej *Bibliothèque universelle* w listopadzie r. 1831), to Polska, która świeciła na niebie i spadła. Wszystkie gwiazdy widziały jej jasność, widziały, jak leciała w przepaść — żadna się nie ruszyła, żeby ją na niebie zatrzymać. »Ale Bóg, który pozwolił na jej zaćmienie, nie pozwoli na zniszczenie. Ale kiedyś, po długim nieznanym biegu w ciemnej przepaści, ona wzniesie się znowu na widnokręgu, rzuci się w bój jak rumak z płomienistą grzywą, i zwycięży; a ci, których zwycięży, zapadną w przepaść na wieki«.

Rozmiarami, sposobem tworzenia, sposobem pisania, te młodociane urywki zbliżają się najwięcej do *Snu Cezary*, do *Legendy*, do *Pokusy*. Jaki wpływ, czy wzór, działał przytem na Krasińskiego? Dziwne to jest, że umysły i talenta wielkie ulegają czasem mniejszym, ale to bywa. Że on bywał niekiedy pod wpływem Jean Paula, pod wpływem Hoffmanna, to na nieszczęście jest dowiedzione i pewne. A oto między temi fragmentami znajduje się dowód, że ten wpływ doprowadził go czasem do dziwactwa i do śmieszności.

Wspominaliśmy, że był bardzo zajęty grasującą po Europie pierwszą cholerą. W listach mówi o niej często, i mówi, że coś o niej pisze. Cóż więc napisał?

Chodzi po Wiedniu młody Hiszpan, niegdyś pełen życia, energii, namiętności, dziś odludek, czy waryat, czy zbrodniarz, z piętnem jakiejś ukrytej boleści na czole. W Praterze, wśród tłumów płocho rozbawionych, rozlega się krzyk: »Cholera!« Wszycy uciekają. Zostaje tylko Hiszpan i naprzeciw niego starzec jakiś z nadludzką potęgą w oczach; nie można uniknąć jego wzroku, nie można się oprzeć jego woli.

»Młodzieńcze, popełniłeś zbrodnię. Jeżeli chcesz ją odpokutować, słuchaj mnie. Jest nas grono, którzy od starych Egipcyan jeszcze przechowujemy tajemnice tego świata. Cywilizujemy narody i karzemy je. Mogę cię między nich wprowadzić. Możesz uczynić zadosyć za swoją zbrodnię. Ale wiedz, że jeżeli nie przyjmiesz misyi, którą ci dadzą, zgubisz się na całą wieczność«. Młodzieniec przysięga, dotrzyma tajemnicy, w oznaczony czas znajdzie się w podziemiach Kościoła kapucynów. Tam widzi zbór ludzi przedwiecznych, mędrców chaldejskich, egipskich, greckich, Ojców Kościoła, Świętych: zgromadzeni są na sąd. Czy świat już zasłużył na karę, czy jeszcze mu folgować? Wyrok pada za karą: tą karą ma być cholera. Młody Hiszpan dostaje flaszkę pełną jakiegoś proszku. Gdzie nią potrząśnie, zasieje śmierć, ale ta śmierć jest zmiłowaniem Boga nad światem, a dla niego zadość uczynieniem za występek. (Jaki? nie powiedziano. Zapewne miłość Henryetty Willan i jej szczęście stracone).

Hiszpan idzie. Widzi naprzód młodego Anglika z młodą żoną; w poślubnej podróży przyjeżdżają do Wiednia, kochający, szczęśliwi... Posypał ich proszkiem i zaraz oboje dostali cholery. Potem błądził przez całą noc po ulicach, wszędzie sypał proszek: nazajutrz pół Wiednia chorowało i umierało. Już tylko trochę proszku zostało na dnie flaszki, kiedy przed Hiszpanem stanął znowu tajemniczy starzec. »Wyszedłeś zwycięzko z pierwszej próby, czeka cię druga trudniejsza. Jeżeli ją wykonasz, będziesz zbawiony. Musisz zabić tę, którą kochasz«.

Idzie — widzi ją w pokoju, przy fortepianie; ona gra i śpiewa to, co on najbardziej lubił; kocha go zawsze, choć nie pojmuje, co się z nim stało. A kiedy prześpiewała ostatnią aryę Julietty z opery Belliniego, strząsnął na nią proszek, ona umarła w konwulsyach boleści, on w tej samej chwili padł przy niej i umarł.

Jakim sposobem ten pomysł powstał w tej samej głowie, co *Nieboska komedya* i *Irydion?* Często się zdarza, że trzeba przyjąć fakt, choć go zrozumieć nie można. Ale w tych podziemiach, w tych mędrcach, którzy świat posuwają naprzód i sądzą, słyszy się jakoby preludyum do *Niedokończonego poematu.*

O *Agay-Hanie* są częste wzmianki w listach do Reeve'a; prof. Kallenbach dowiódł stanowczo, że on był pisany w roku 1831. Autor i w późniejszych latach wspomina go z pewnem upodobaniem, a sąd publiczności jest dla niego dotąd raczej łaskawy. Jednak, choć lepszy od Reichstalów i Hermanów, bliższy jednak jest ich jak *Nieboskiej* i *Irydiona.* W Niemcewicza *Historyi Zygmunta III* znalazł Krasiński ustęp który w fantazyi swojej rozwinął: znalazł szczegół, że drugi Samozwaniec był Żydem; znalazł nazwisko Kozaka Zaruckiego i jego dla Maryny wierność; znalazł jej więzienie, ucieczkę gdzieś ku Azyi, i wreszcie utopienie. Z tej opowieści powstał w fantazyi Krasińskiego bohaterski ataman kochający carową i od niej kochany, powstały te jaskrawe obrazy bitw, ucieczek, błysków nadziei, zawodów rozpaczy: Kozaka rycerskość, Maryny tęgość i powaga, i wreszcie wschodnia namiętność Agay-Hana. Ten, giermek, pacholę, dziecko, kalif, dziki jak Tatar, mściwy jak niewolnik, a zakochany jak Romeo, ten cieszył i zachwycał swego autora najwięcej. Kallenbach przypuszcza z wszelkiem podobieństwem do prawdy, że autor pożyczył swemu bohaterowi tych uczuć, jakie miał niegdyś dla obojętnej pani Załuskiej. Ale i Maryny godność królewska i stałość, i szlachetność jej odnajdująca się w nieszczęściu, i Zarucki, a zwłaszcza obrazowy sposób pisania, i koloryt jaki tym obrazom nadawał, podobać mu się mogły, a raczej musiały. Młodemu człowiekowi wychowanemu na literaturze romantycznej, ten rodzaj pisania nie dziw, że wydawał się poetycznym, te sceny,

sytuacye i charaktery na prawdę tragicznemi. W rzeczywistości jest *Agay-Han* bardzo przesadny, bardzo fałszywy w stylu, w obrazowości, w kolorycie. Jest tak pisany, jak żeby po *Nieboskiej* i po *Irydionie* jaki naśladowca był chciał pisać na wzór Krasińskiego, przesadził jego właściwe cechy, i poniżej wzoru pozostał. Ale w tej przesadzie, w tym nadmiarze, znać przecie talent i siłę. Koloryt zbyt jaskrawy, styl zbyt ozdobny i szumny, ale jest obrazowość w opisach, jest energia w namiętności, jest ponury tragiczny zakrój w niektórych chwilach i scenach, w postaciach jest przesada, ale jest i życie. Pierwsze sceny naprzykład, albo ta awanturnicza Kapua Zaruckiego i Maryny w Astrachanie, albo pogrzeb synka Maryny; a sama figura Agay-Hana, pomyślana oryginalnie, wykonana przesadnie, ma chwile, w których wrażenie robi. Wszystko razem to są drożdże dopiero: ale z tych drożdży, jak się wyburzą, zrobi się język i styl *Irydiona*. *Agay-Han* musi być uznany za rzecz chybioną. Tylko, to przyznać mu trzeba, że nie każdy potrafiłby w ten sposób źle pisać.

Oprócz tego teraz, w Genewie, począł się *Ostatni*. Dostrzegł to pierwszy, i naszem zdaniem dowiódł, profesor Jan B. Antoniewicz (Kwartalnik Historyczny, Lwów 1889). Porównywa on niektóre ustępy *Ostatniego* z ustępami *Wygnańca,* i z Listami do Gaszyńskiego z roku 1832, a z porównania wynika, że są to te same słowo w słowo myśli, z tą jedynie różnicą, że jedne prozą, drugie wierszem pisane. Dalej rozróżnia w *Ostatnim* dwa style, dwa różne sposoby pisania; jeden jest ów zbyt znany i wybitny styl i wiersz Krasińskiego, to ustępy późniejsze. Ale w innych tej wybitności i odrębności nie znać, a znać tok, dźwięk i wyrażenia Mickiewicza. Te więc ustępy musiały być napisane dawniej, zanim się jeszcze Krasiński zupełnie wyrobił, i przechowane; a że co do myśli zgadzają się

tak zupełnie z *Wygnańcem* i z listami z roku 1832, przeto wnosić i wierzyć można a nawet trzeba, że były pisane w tym samym czasie, pod temi samemi wrażeniami, co tamte.

Przeciw temu świadczyłby tylko Krasiński, kiedy w późniejszych listach skarży się, że wierszy pisać nie umie, i kiedy w jednym z nich przesyła Gaszyńskiemu wiersze, o których mówi, że są *pierwsze* jakie napisał. Ale dosłownie brać tego nienależy. Naprzód, Krasiński miał zwyczaj nietylko ukrywania się, ale mistyfikacyi ze swemi wierszami. Wszakże przed najbliższymi przyjaciołmi udaje, że *Dzień Dzisiejszy* i *Ostatni* są Koźmiana. Mogło i teraz zajść coś podobnego. Dalej, Odyniec w *Listach* opowiada o wierszach, które mu Krasiński czytał. Wreszcie on sam, nie ten jeden raz, nie ten jeden wiersz tylko, nazywa swoim pierwszym. Wydaje nam się rzeczą niewątpliwą, że pierwsze zarody i niektóre ustępy *Ostatniego* powstały w Szwajcaryi, w roku 1831 lub 1832.

Tenże sam około kwestyi Krasińskiego nie mało zasłużony autor, wychodząc z założenia, że przeskok między młodocianemi pismami jego a *Nieboską komedyą* nie mógł dokonać się w jednej chwili, ale musiał przygotowywać i wyrabiać się stopniowo, zwrócił szczególnie baczną uwagę właśnie na te lata pobytu w Szwajcaryi, i ze skrzętnością, równą przenikliwości, szukał po współczesnych pismach zbiorowych śladów jego myśli. Znalazł też, oprócz znanego listu do Bonstettena o *Literaturze Polskiej*, dziewięć drobnych utworów, pisanych po francuzku, których treść, wiele myśli i wyrażeń, zestawiwszy z polskiemi poematami lub wierszami Krasińskiego, doszedł do przekonania, że muszą być jego pióra. Tytuły ich są: *Les légions polonaises, le Printemps et le Prisonnier* (szczególnie przypominający *Ostatniego*). *Conrad Wallenrod, le Faris, Sonnets de Crimée traduits du polo-*

nais. Le coucher du Soleil sur le Mont-Blanc, Une Etoile, Stanzes, Le regret, La Confession. Dziś ogłoszone z przekładem polskim w szóstym tomie zbiorowego wydania lwowskiego z roku 1904, jak i inne (z tych samych lat, cokolwiek późniejsze). Wszystkie noszą na sobie cechę bardzo młodocianego nawet dziecinnego myślenia: ale zarazem głębokiego smutku. Tu i ówdzie zaś zdarzają się ustępy głębsze myślą, lub świetne stylem, i rozpaczliwym tonem boleści i skargi.

Reeve pracuje nad jakimś memoryałem dla księcia Czartoryskiego, którego pięknie opisuje, i donosi że on, że Niemcewicz, mówią o Krasińskim z dobrem serdecznem uczuciem, i przesyłają mu zapewnienia przyjaźni. W tem musiała być jakaś osłoda dla zbolałego. Donosi także, że obiega pogłoska o jakimś zamachu na Cesarza Mikołaja. Krasiński na to odpowiada objętnie: »Zbrodnią nie dochodzi się nigdy do niczego. Pokaż mi jedno morderstwo, z którego byłoby wynikło coś trwałego, coś dobrego dla świata. Sztylet zabije jednego człowieka, ale jego *principium* zostaje. Mikołaj jest tyran; ale jego syn, albo jego brat, będzie taki sam. Wielka rzecz zabić jednego człowieka! To tylko jeden łeb ucięty hydrze. A potem dziękuję za te wszystkie morderstwa, zabójstwa, rzezie: nie mam duszy dość wzniosłej, żeby tego rodzaju piękne czyny podziwiać. Ja wierzę w Jezusa Chrystusa... jestem ze średnich wieków, zacofany idyota«...

W dzień Bożego Narodzenia tak pisze:

»1831 lat od przyjścia Zbawiciela, który się urodził na to, by cierpieć i umrzeć na krzyżu. Nie mógł zbawić ziemi inaczej, jak przez mękę i śmierć, a był Bogiem. A my ludzie, jeżeli chcemy zbawić cokolwiek, zrobić cokolwiek wielkiego i świętego, jakże my śmiemy myśleć, że będziemy żyli i cieszyli się tem, co zrobimy?... Modliłem się za Polskę, za mego ojca,

za tę, którą kocham, za tego, którego kocham — za ciebie. Modliłem się i za siebie. Nie prosiłem o chwałę, ani o szczęście, ale o coś więcej, o męczeństwo za Polskę. Czy to w jednej chwili, na polu bitwy, czy w długiej pracy ukrytej, w tysiącu cierpień w milczeniu. A potem nie będzie już ziemi z jej małościami, tylko będzie wieczność«.

Rok się skończył; spotkanie z przyjacielem bliskie, jeszcze przed niem kilka listów, jeszcze w nich parę niby przygrywek do *Nieboskiej komedyi*. Między temi małe zdarzenie, które w nią weszło żywcem, dosłownie. W Lyonie były jakieś rozruchy, strzały na ulicach; wkrótce potem Krasiński schronił się przed deszczem do jakiejś opuszczonej kawiarni, czy winiarni. Zastał w niej dwie kobiety. Jedna z nich wdała się w rozmowę o tych wypadkach. »Mieli racyę — mówiła — chcieli równości. Obiecują nam od dawna równość w niebie, niechże się ona raz zacznie na ziemi. Już czas, żebyśmy raz zajęli wasze miejsca. Już dość dawno, jak na nich jesteście«. Czy to nie zupełnie ta dziewka, co długo »szurowała talerze: czas już by sama jadła i tańcowała«.

»Otwiera się gdzieś wielka przepaść i pochłonie stare społeczeństwo, a jakieś pierwiastki nowe, jeszcze niewidzialne, muszą gdzieś być i złożą nowy świat. Pomiędzy despotyzmem a demokracyą co wybierać?— pytam. Czy nie przejmuje odraza, a czasem litość na widok tej ludzkości, zakneblowanej w Rosyi, wrzeszczącej we Francyi i w Anglii to, czego sama nie rozumie? Albo te Włochy, które nie potrafią zginąć na polu bitwy, a za całą chwałę mają tytuł konspiratorów?... Nasze społeczeństwo ginie i my zginiemy wszyscy w straszliwych konwulsyach. To moja wiara i szczycę się nią. Zginę i ja, wiem, ale cóż z tego? Czy ja zadrżę przed śmiercią! A na tym świecie, przysięgam ci, nic, tylko podłość. Szczęście jeszcze, żem

ciebie napotkał na mojej drodze, bo zresztą oni wszyscy, Mikołaj, czy Saint-Simon, błoto i nic tylko błoto. Weź świat wogóle, czy w małych szczegółach, w salach radnych czy w salonach, na polach bitew czy na placu pojedynkowym, wszędzie to samo. Pięknem na tej ziemi jest tylko to, co Bóg stworzył«.

W końcu lutego lub pierwszych dni marca 1832 r. Reeve wrócił z Anglii do Genewy.

V.

Listy do Gaszyńskiego. Wyjazd ze Szwajcaryi. Opinogóra. Pani Załuska. Petersburg. Choroba. Audyencya u cesarza Mikołaja. Pomysł Irydyona. Wyjazd do Włoch.

Przerywa się korespondencya z nim, jest niepotrzebna: ale za to znajdują się listy do innego przyjaciela. Z emigracyi już, czy z jakiej niemieckiej stacyi czy już z Paryża, odbiera Krasiński pierwszy znak życia, pierwszą wiadomość o ludziach których mógł mieć za straconych (poległych lub wywiezionych). Był to list od Gaszyńskiego.

»Dawnom nie wylał łzy jednej« — odpisuje z Genewy 9-go Marca 1832 — »sądziłem że ich źródło wy»schło we mnie, bo mózg mój spiekły oddawna. Ale »dziś płakałem odbierając twój list, czytając pismo »przyjaciela«. I dalej skargi, zwierzenia, krótkie ale w krótkości swojej wiele mówiące: »Ten cały czas »przebolałem, przeszalałem, przechorowałem. Wszy»stkich sposobów używałem, by dostać się do was, »ale zapory silniejsze nad moje ramiona drogę mi za»jęły. Musiałem słuchać o waszych bojach i siedzieć »na miejscu. Dnie i noce na gorączce z początku, pó»źniej na szaleństwie schodziły. Wycierpiałem za winy »wszystkich przodków moich«. Co się pod temi słowami kryło, to przyjaciel odgadywał, uzupełniał; wy-

obrażał sobie te rozpacze nad któremi dopiero góruje pytanie: »Gdzie Ojczyzna, gdzie tyle dusz szlachetnych, »gdzie tyle krwi szlachetnej? z pod których dopiero głucho odzywa się prośba: »jeżeli usłyszysz, że mnie »potwarzają, to mnie nie broń, ale pomyśl: to kłam»stwo«. W tym krzyku jego duszy są zebrane razem wszystkie cierpienia, które go targały. List charakterystyczny bardzo; oprócz cierpień daje poznać i jego wrodzoną dumę; »nie broń mnie, kiedy mnie będą szkalowali« — i to przywidzenie, które on miał za przeczucie, a które go przez długie lata, prawie przez całe życie, nie opuszczało, że będzie uwięziony i wywieziony na Sybir. »Za dwa miesiące mam wrócić do »ziemi mogił i krzyżów. Tam na grobie Polski modlić »się będę. Mam przeczucie, że nie dotrzymam oburze»nia mej duszy; Sybir mnie czeka«. Obok tego epitetu »ziemi mogił i krzyżów«, który się znajdzie w *Irydionie*, jest w tym liście jakżeby pierwszy zawiązek na *Ostatniego*, który wyszedł, jak wiadomo, z takiego fantazyowania o swoim losie, z takiego (mniemanego) przeczucia o więzieniu.

Listy powtarzają się często, a w nich te same zwierzenia, te same przeczucia Sybiru, te same przysięgi. »Pamiętaj plunąć na moją pamięć, jeżeli usły»szysz, żem od nich co przyjął (Moskali), żem któ»remu z nich rękę ścisnął albo ukłonił się« (17 Marca 1832). Jest i oznaka, jakim sposobem doszedł do względnego spokoju, co stało się na teraz z jego równowagą. »*Que l'homme soit malheureux pourvu* »*qu'il soit grand*«, »powiedział Cousin. Wielkość »u mnie zależy na tem, by cierpieć a nie żalić się«. Widać, że młody jeszcze bardzo, skoro duma, a w najlepszym razie godność wydaje mu się wielkością; widać, że nawet dziecinny jeszcze, bo o tem, co przez ten czas pisał, wspomina jak o rzeczach wprawdzie gorączką i rozpaczą natchnionych, ale nie bez natchnie-

nia. »Nie powiem, by poezya we mnie wygasła — »owszem, nieraz natchnienie wraca«. Nie czuje tego, że dziecinnem było natchnienie, które dyktowało *Adama Szaleńca*, a nawet *Agay-Hana*. Ale w tej głowie tak młodej, że zupełnie dojrzałą być nie mogła, są błyski dziwnej jasności i głębokości sądu. Musiał Gaszyński (wnosić można z odpowiedzi) namawiać go, by do Polski nie wracał, by został na emigracyi, jak Mickiewicz. Emigracya zdawała się wtedy obowiązkiem i missyą, a prócz tego zdawała się chwilową; po niejakim (nie długim) czasie, wróci się do Polski z bronią w ręku i z rozwiniętemi sztandarami. Dwudziestoletni Krasiński wie, że tak nie będzie: »Nie unoś się »nadzieją szczęścia i wiarą w powodzenie (22-go »Marca 1832); dzieło ogromne nigdy w krótkim czasie »się nie dopełnia. Tysiąców cierpień trza, by zbawić »naród jaki; by nastąpiło zbawienie ziemi, trzeba było »śmierci Boga. Nic dobrego, szlachetnego na tym »świecie bez długich boleści i trudów«. Zna więc, jakim biegiem zwykły iść rzeczy na świecie, zna historyę i z niej rzeczywistość wyrozumiał; a co dziwniejsza, przeczuwa politykę i jej warunki, widzi złe strony emigracyi. »Czy sądzisz, że należy wszystkim ziemię »ojczystą opuszczać? Moskalom zwycięzcom i trupom »naszych braci ją zostawiać w udziale? Nie. Kto może »ten powinien pójść oglądać te mogiły i krzyże, te »gruzy i pobojowiska, i starać się, by w dniach odrę»twienia, następujących zwykle po zdobyczy i uja»rzmieniu, nie upadł duch narodowy; nie zapomniał »polski wieśniak, że jest Polakiem«.

Wybiera się więc jechać, choć chory. A już teraz jest chory, jak przez całe życie będzie. Już ból oczów nieznośny, prawie ślepota czasami, już jakieś w całem ciele cierpienia, na które leczy się, a wyleczyć nie może. Że choroba ta rozwinęła się pod działaniem moralnych powodów, walk i tortur przebytych, przy-

puścić łatwo. Oprócz tego dręczy go i wspomnienie miłości. »Miałem kochankę (27 Marca) dziś ona mną »pogardza, bom nie bił się za Polskę. Nie wie, jakie »zawady przykuły mi ramiona do piersi«.

W tymsamym tonie i tejsamej treści, ciągną się listy przez parę miesięcy. Czasem zdarzy się jaki wypadek, jak przewrócenie z koniem, czasem choroba przykrzejsza, a zresztą wszystko taksamo. Czasem tylko jaka dla przyjaciela dobra rada, żeby poeta wczytywał się w wielkich poetów; czasem znak, że Gaszyński musiał mieć jakieś napady czy pokusy niedowiarstwa, a przyjaciel (choć młodszy), ukazuje się bardzo pod tym względem dojrzałym. »Religia jest »skrzydłem, którego cień wiecznie na poezyę zlewać »się winien (27 Marca). Patrz, od religii, od Krzyża »Chrystusowego odstępuje ziemia, ale powiedzcie mi »wszyscy, kędyż nowy ołtarz się zjawił, kędyż klęknąć »mam przed nowem bóstwem? Teraz nam, Polakom, »trzymać się krzyża przystoi, bo tyran wygania katoli»cyzm z kraju naszego. Krzyż i szabla: pod temi zna»miony wybawimy Polskę lub zginiemy«. »Zwróć »myśl twą ku Bogu (6 kwietnia)... uwierz głosowi »przyjaciela twej młodości... Ta krew, co ze wzgórza »Golgoty rozlała się wszędy, by ziemię zbawić, była »krwią Boską. Bóg świat cały zbawił męką własną, »my Ojczyznę zbawim naszemi mękami. Zdaje się, iż »to jest odwiecznem prawem, i że zbawienia być nie »może bez cierpienia, bez boleści, bez krwi. A kiedy »cię tęsknota napadnie, kiedy cię smutek obarczy, »kiedy na obcej ziemi przyjdzie ci przeklinać los twój »i wzdychać do Polski, pomyśl: i Bóg cierpiał za nas! »A ta myśl cię połączy ze światem, nie z owym zni»komym, małym, który przesuwa się przed oczyma »naszemi i w każdej chwili może z pod nóg naszych »się usunąć, ale z owym wielkim, jedynym, obejmu»jącym cały porządek stworzenia, duchów, ludzi

»i Stwórcę samego. A wtedy uczujesz, że ku nie»śmiertelności dążysz, że celem twoim jest cierpie»nie i wielkość na tej ziemi, zaś na tamtej stronie »grobu wielkość i szczęście«.

Ciągle wraca ta myśl gorzka, że się nie bił, ciągle to uczucie, że jest na złą sławę skazany, ta prośba, żeby niektórzy dobrą po nim pamięć zachowali. »Ty »pamiętaj, żem był dobrym Polakiem (24 kwietnia), »żem nadewszystko Polskę miłował, że proszę codzień »Boga, by mi pozwolił za nią zginąć, czy w boju, czy na rusztowaniu, byleby za nią«.

Wreszcie już w drodze ze Szwajcaryi do kraju posyła Gaszyńskiemu na pożegnanie, jakżeby spowiedź czy historyę swego życia, posyła przyjacielowi tego *Wygnańca*, którego napisał we Florencyi »po wybu chnięciu naszego powstania« (3 sierpnia). »Jestto fi»kcya, w której ramach oprawiłem własne uczucia«. — »Kiedy cię ojciec przeklnie i z domu wypędzi, kiedy »cię burza na bezludny brzeg wyrzuci, kiedy cię wróg »uwięzi i na śmierć osądzi — to wszystko nie wygna»nie jeszcze. Ale kiedy słysząc, że się biją, że zwycię»żają, ty dzielić chwały nie możesz; słysząc, że giną, »ty żyć musisz, jeśli się ani ucieczką, ani podstępem, »ani zbrojną ręką przebić nie potrafisz — o wierzaj mi, »to jest wygnaniem, i takiem wygnaniem, jakiem Bóg »tylko w największym gniewie karze grzesznika i t. d.« Ustęp pełen żałości, a bardziej od wszystkiego, co Krasiński uważał za swoje poetyczne natchnienia i dzieła, zapowiadający późniejszą siłę autora *Irydiona*.

Znać też także, choć po poszlakach bardzo jeszcze słabych, przyszłego autora *Nieboskiej;* znać, że kiedy pierwszy raz wracał z zagranicy do Polski, miał już te wrażenia, te myśli, z których ona rokiem później powstała. »Wiesz? kiedy rzucę okiem na przyszłość« — (z Wiednia 14 lipca 1832) — »widzę jedno śmierć dla »nas, to jest dla tych, którzy są mojego i twojego

»zdania« (szlachty i nieprzyjaciół rewolucyi). »Czy »z góry, czy z dołu przyjdzie na nas wyrok... ale »dlatego nie powinniśmy się strachać. Gińmy, byleby »była Ta, dla której zginiemy, a o rodzaj śmierci się »nie pytać. Ale ten rodzaj z Francyi przybędzie«.

Zaczął więc już wtedy rozmyślać o rewolucyi, jej stosunku do społeczeństwa i jej skutkach, o położeniu tych ludzi, którzy w niej nie zbawienie widzą, ale zgubę. Te rozmyślania w długiej całorocznej samotności rozwijały się i dojrzewały, z refleksyi przechodziły do fantazyi, aż z czasem przybrały poetyczny kształt w *Nieboskiej komedyi*.

Kiedy jenerał Krasiński wezwał syna do kraju? Śladów wrażenia, jakie ten rozkaz wywarł na synu, niema, bo niema listów. Z dawniejszych tylko wnosić można, że rozkaz musiał mu się wydać srogim, a posłuszeństwo trudną ofiarą. Na pociechę uprosił Reeve'a, żeby mu towarzyszył w początkach tej podróży. Ślad jej pozostał w małym ustępie: *Wenecya*. Z dawnej chwały i dawnej potęgi, to tylko zostało? »Więc niema serc dość wielkich, rąk dość silnych, by podźwignąć kraj upadły lub podtrzymać upadające państwo? Więc zawsze będzie można zniszczyć to, co piękne i wielkie? Więc przemoc będzie zawsze pewną swojej zdobyczy i swojej bezkarności? Wszystko może umierać, a nic wstawać z martwych?

»Nie! Rozum tak dowodzi, a na poparcie przytacza doświadczenie i fakta — a przecież: nie! Jest coś we mnie, co gardzi faktami i doświadczeniami i pokazuje mi, przez zasłony przyszłości, zorzę promienną i świetną. Kajdany i tortury, więzienia i rusztowania na próżno są podporą ciemięstwa; na próżno ciemiężca sypie złotem, a w oczy ofiar sypie piaskiem obłudy i zdrady; przyjdzie czas, że zło ustąpi przed dobrem, a despotyzm padnie na kolana przed wolnością. Wenecya będzie«!

Jechali razem do Salzburga. Ztamtąd Reeve udał się do Monachium na nauki, Krasiński przez Warszawę do Opinogóry. Pierwsze listy, w lipcu 1832 r., z Wiednia. Jeden o śmierci i pogrzebie syna Napoleona, drugi o ostatnich wypadkach w Polsce i o jej stanie: »Klubiści nas zgubili. Nie masz pojęcia o ich głupstwie i o ich wściekłości... Rozrzucają teraz broszury przeciw wszystkiemu, co jest w Polsce prawdziwie szlachetnego. Oni to nazywają *arystokracyą*!... Kiedyś po wielu poświęceniach skończy się na tem, że oni nas powieszą na ołtarzu ojczyzny. Taki bieg rzeczy, i nieodwołalny. Oby przynajmniej kiedyś, po nas przyszło coś dobrego dla tego nieszczęśliwego kraju; oby ci *novi homines* wyszli kiedyś na wielki naród«. Z Warszawy tylko kilkanaście wierszy, obojętnych. Z Opinogóry o ojcu, z wielką czułością — i bez żadnych uwag doniesienie: »Za cztery dni jadę do Petersburga«. Ale przed tym wyjazdem jeszcze jedno zwierzenie niespodziewane. Recydywa dawnej miłości. Przyjechała do Opinogóry pani Amelia Załuska. »Zobaczyłem na nowo tę, o której ci tyle razy mówiłem, i kocham ją[1]). Takie już moje przeznaczenie, że muszę ją kochać, kiedy ją widzę. Opowiadałem jej o mojej miłości dziecinnej, o moich zazdrościach, o mojej czteroletniej nienawiści. Ona pojechała, nazywając mnie zawsze swoim bratem, a ja powtarzałem zawsze, że ją kocham. Nie ustąpiliśmy na krok, ani ja, ani ona«. W następnym liście znowu: »Ona chce dla mnie być tylko siostrą. Pisze, że ma dla mnie uczucie czystsze, wznioślejsze, niż miłość, w którem niema nic samolubnego. Będę zawsze kochała tych, których ty kochasz, będę zawsze błogosławiła tych, którzy cię zrobią szczęśliwym; a gdyby cię cały świat opuścił, mnie zawsze znajdziesz taką dla ciebie, jak jestem te-

[1]) Do Reeva.

raz«. W albumie pani Załuskiej napisał trzy ustępy (Kallenbach, *Krasiński*, tom VI, strona 10—17), niby pożegnanie jej i tej miłości. W lat blizko sześćdziesiąt później pani Załuska opowiadała to przejście w swojem życiu przyjaciółce daleko młodszej od siebie, ale także już starej, i zakończyła taką uwagą: »Mężczyźni nie mogą nigdy zrozumieć, że my się w nich nie kochamy — i nie mogą nam tego nigdy darować«.

Czy wyjeżdżając z Genewy (a nawet z Wiednia), Krasiński przewidywał, jakie w tej drodze czekały go przykrości? Bał się Sybiru; groziło mu nie takie nieszczęście, ale większa przykrość, upokorzenie. Gorzko mu było na myśl, że zobaczy Warszawę zdobytą, rosyjskich żołnierzy i rządy; myślał, że w oczach każdego przechodzącego wyczyta pytanie, czemu się nie bił, i wyrzut. Wszystko to dość bolesne. Ale Polakowi, w roku 1832, ale synowi Jenerała Krasińskiego, jechać do Petersburga! i kiedy ten syn miał Zygmunta duszę! Ojciec tem żądaniem musiał stwierdzać w oczach syna to, co ludzie o nim mówili: syn posłuszeństwem ładował na siebie pozór, że myśli jak ojciec. Dlaczego jenerał żądał od niego takiej ofiary! Musiał zapewne usłyszeć jedno z tych uprzejmych życzeń, które są rozkazem i groźbą; które trzeba wykonać, bo inaczej zabór majątku, albo Sybir, albo jedno i drugie. Inaczej, byłoby to okrucieństwo bez celu i powodu. Jakie musiały być przejścia bolesne między ojcem a synem, prośby, błagania, zaklęcia, obustronne odmowy? ale tego nikt nie słyszał i nie wie.

Dość, że Zygmunt pojechał. I teraz błogosławić musiał swoją chorobę. Klimat petersburski tak ją rozwinął, że przez cały czas pobytu ledwo parę razy mógł się ruszyć z pokoju. Cierpiał, ale przynajmniej nie widywał ludzi, nie robił znajomości, nie odbierał zaproszeń i grzeczności. Jednego wszakże nie uniknął, przedstawienia Mikołajowi. Oto jak o tem mówi jego

przyjaciel Stanisław Małachowski, w wydanym bezimiennie (i drukowanym jako manuskrypt) *Krótkim rysie z życia i pism Zygm. Krasińskiego*, a wierzyć mu można, bo co wiedział, to pewno z własnych ust Krasińskiego słyszał.

»Tę podróż i ten siedmiomiesięczny pobyt w tej stolicy państwa, w tym zimnym północnym klimacie, liczył Zygmunt do najsmutniejszych dni żywota swego. Oślepły prawie zupełnie, pędził on smutne godziny w ciemnym pokoju i w samotności. Skoro tylko uczuł się nieco silniejszym na zdrowiu i wzroku, ojciec go zawiózł do Cesarza Mikołaja. Cesarz go przyjął z niezwykłą uprzejmością, oświadczając mu całą życzliwość swoją i obiecując mu wszelkie ułatwienie w otrzymaniu posady u Dworu, w dyplomatycznym, lub jakimby chciał zawodzie. Trudne i bolesne było położenie Zygmunta w tej chwili, którego umysł i serce w innym znajdowały się kierunku, który inne powołanie w sobie czuł, inną przyszłość przewidywał, i niełatwe wyjście z niego. Jedynie smutny stan zdrowia i wzroku coraz się pogarszającego, ułatwił je i wybawił z niebezpieczeństwa. Cesarz, uznawszy tegoż istotną potrzebę, zezwolił na wyjazd jego za granicę, do łagodniejszego klimatu, i poratowania tak wątłego zdrowia.

»Wrażenie, jakie wywarł na umyśle jego pobyt w Petersburgu, odbiło się na kartach poematu, który w Wiedniu napisał, pod tytułem: *Pokusa*. Poemat ten ogłosił drukiem później w Paryżu r. 1841, napisany zaś jako przestrogę dla młodego przyjaciela Polaka, Adama Potockiego, mającego jechać do Petersburga«.

W listach do Reeva mówi o sobie nieznacznie, niewyraźnie, ale przyjaciel mógł, i każdy może, odgadnąć, co on myśli, co się w nim dzieje. »Ten klimat mnie zabije«. Zdrowie złe; samotność w zamkniętym pokoju, niesmak, obrzydzenie. »Ale myślę dużo. Wyjdę na dzikiego człowieka, ale na głębokiego myśliciela«.

»W milczeniu człowiek się staje silniejszym«. »Tytan, to istota pełna siły, popędu i nadziei; on żyje przez to, że żyje, nie przez to, że pracuje. Człowiek, to istota, która rozumuje, która żyje w pocie czoła, która na tej ziemi nadziei niema, a przecież walczy, jak Ulisses, żeby dopłynąć do swojej Itaki«. Oni oba byli dotąd takimi Tytanami — »teraz czas przemienić się na mężów«. Jeden mały ustęp literacki, poetyczną prozą, jak wszystkie, o pielgrzymie, który nigdzie dojść nie mógł, i umrze; ale za dumny, żeby się skarżyć, umrze w milczeniu. Ale wśród tego podnosi się niespodzianie prawdziwy potężny poeta:

»Kilka dni temu (22 października 1832 r.) przyszedł mi w nocy pomysł nowego poematu: wielki pomysł. Wyskoczyłem z łóżka i zawołałem: *Anch'io sono*. Tak! poezya jest pierwiastkiem mego życia. Ach gdybyś ty był przy mnie«!...

Cóż to za pomysł? Wyjaśnienie przychodzi w kilka tygodni później. »Piszę coś, w czem jest jakieś podobieństwo z czemś, co jest we mnie, to jest z rozprzężeniem i z pewnemi głębszemi myślami w niem. Tytuł dziwaczny: *Irydion Amfilochides*. Jest to Grek w Rzymie, który *dulces moriens meminiscitur Argos*«.

To odkrycie obala nasze dotychczasowe wiadomości, obala misterne spostrzeżenie Klaczki, że twórczość Krasińskiego idzie od zakresów najszerszych do coraz bardziej szczegółowych, od kwestyi i przedmiotów najogólniejszej natury do specyalnych. To musimy odrzucić. *Nieboska komedya* nie była jego pierwszym wielkim pomysłem; *Irydion* ją wyprzedził.

Ale jak począł i powitał go z zapałem, z okrzykiem radości i tryumfu, tak dalej, choć go pisał, nie wydobył się z tego stanu zniechęcenia i prostracyi, na który się nieraz skarżył. »We mnie już się nic nie rozwija. Stanąłem na miejscu. Może kiedy wrócą dni na-

tchnienia i wiary«. »Opanowała mnie głęboka gorycz. Nie jest to ta melancholia młodzieńcza, która zawsze ma w sobie coś słodkiego — ani te wyrzekania, te wybuchy wściekłości, które podkopały mi zdrowie, a wydały tyle niedorzecznej poezyi, jak *Adam*. To jest smutek męski, bez szału, bez wdzięku, a stalszy od wszystkich moich radości«.

Ale ten niesmak, ta prostracya, na którą się skarży, ona nie jest prawdą. Dowodzi tego nie sam *Irydion*, dowodzą myśli i słowa takie, jak te naprzykład: »Dawniej chciało nam się być istotami poetycznemi. Dziś chodzi o to, żebyśmy się stali istotami moralnemi. Chodzi o to, żeby żyć w rzeczywistości, to jest wytrzymywać walkę, która nas piecze na wolnym ogniu, walkę między naszemi myślami a faktami. A jednak i w tem jest wielka poezya. W tem wyrzeczeniu się siebie, w tej dumie, która jest pełna miłości a niepodobna bynajmniej do tej pogardy ludzkiego rodu, jaką mieli czasem ludzie gienialni, widzę jeszcze ogromną poezyę i wyciągam do niej ręce. Bo poetą jestem, i czemkolwiek będę, gospodarzem, mnichem, żołnierzem, wyrobnikiem, bogatym czy ubogim, poetą będę zawsze. Tym się urodziłem. A czy będę zrozumianym i podziwianym (oprócz przez ciebie jednego), o to mi wcale nie chodzi«.

Ani jednego słowa o audyencyi u cesarza Mikołaja, ani jednego tonu z późniejszej *Pokusy*. Listy prawie zawsze dyktowane; ból oczów nie pozwala pisać. Nic także o otrzymanem wreszcie pozwoleniu na wyjazd i o paszporcie. W pierwszych dniach kwietnia (1833) już Krasiński w Warszawie. Bawi niedługo, a listy do Reeve'a następują po sobie prędko, jest ich cztery w przeciągu pięciu dni, jak za najświetniejszych czasów korespondencyi. W jednym jest uwaga — jakoby pierwszy raz odkryta — że Goethe większy od Byrona; w innych wzmianki o nowym przyjacielu, Da-

nielewiczu; o *Freischützu* Webera, którego słuchając, Krasiński »dopiero dobrze zrozumiał walkę dobrego i złego«. »Ja tę walkę rozumiem tak dobrze, jak Dante i jak Goethe, tylko wyrazić jej nie mogę. Przecież wyrażę kiedyś, jeżeli przedtem nie umrę«. W jednym liście piękny ustęp o nabożeństwach Wielkiego Tygodnia; w innym świetny, nawet głęboki, choć niezupełnie prawdziwy o egoizmie artysty, który naprawdę kocha tylko swoje dzieła i siebie w nich, a zresztą nic, i dla tego nie potrafi nigdy być dobrym mężem i ojcem, dla tego Byron nie mógł się zgodzić ze światem. »Jedna kropla z nieba spadła na czoło takiego człowieka i on już nie zdoła żyć na ziemi. Aniołem się nie stał przez nią, człowiekiem został, a braci już nie ma«.

20 kwietnia list z Krakowa, pełen rzewnego smutnego wrażenia: i dalsza podróż do Włoch przez Wiedeń.

W tej podróży towarzystwo nieodstępne Danielewicza, zdaje się od pobytu w Polsce, przez cały ciąg następnego pobytu we Włoszech. Drugi ten przyjaciel był także kolegą z uniwersytetu, także (z Gaszyńskim) obrońcą Krasińskiego w znanem zajściu warszawskiem. Był rodem z Białocerkwi, synem lekarza, a jak się ze wszystkiego zdaje, niepospolitym młodzieńcem. Dla Krasińskiego zaś ideałem, przed którego wyższością rozumu i charakteru schylał głowę szczerze i pokornie. Musiało to być wrodzoną (a piękną) skłonnością jego serca, że siebie miał za niższego, gorszego, mniej rozumnego od swoich przyjaciół. Tak było później z Cieszkowskim, tak z Danielewiczem do jego śmierci.

Danielewicz, który w listach do Gaszyńskiego czasem kilka słów od siebie dopisuje, donosi w jednym, że »Zygmunt pisze bezustanku, musi w nim »być *furibunda vena* poetyczna... Jestto talent, o któ-

»rym nie możesz jeszcze mieć wyobrażenia, bo go te»raz nie znasz«.

Jakoż pisze Zygmunt: pisze właśnie na tej pierwszej stacyi w powrocie z Petersburga do Europy, w Wiedniu. I wreszcie już po przyjeździe do Rzymu w listopadzie 1833, z bijącem sercem, niespokojnie, jak żeby miał zrobić wyznanie pierwszej miłości, pisze do Gaszyńskiego: »Teraz powiem ci coś, ale żądam »od ciebie najświętszego słowa przyjaźni, że nikomu »bez wyjątku nie powiesz nic o tem. Mam dramat ty»czący się rzeczy wieku naszego, walka w nim dwóch »pryncypiów, arystokracyi i demokracyi. Tytuł: *Mąż*... »Rzecz, sądzę, dobrze napisana. Jestto obrona tego, na »co się targa wielu hołyszów: religii i chwały prze»szłości«.

ROZDZIAŁ III.

NIEBOSKA KOMEDYA.

I. Nienawiści i walki społeczne. Określenie ich w liście do Gaszyńskiego. *Nieboska komedya*. Jej tytuł. Wstęp. Jego związek z bohaterem poematu i z autorem. Pozorny brak związku między pierwszą a drugą połową poematu. Prawdopodobny początek i powód dwóch pierwszych części. Henryk jako człowiek i jako typ. Jego ślub. Złamanie ślubu. Hrabina. Ojciec chrzestny. Obłąkanie hrabiny. Zgryzota męża i niedowierzanie własnym uczuciom. Scena w domu obłąkanych. II. Orcio. Jego natura jest karą Henryka. Potrzeba dwóch pierwszych części poematu. Właściwa tragiczność Henryka. Pankracy. Jego przeszłość i teraźniejszość. Jego tragiczność. Powód jego pociągu do Henryka. Tło obrazu. Pierwiastki, stopnie i typy rewolucyjnych popędów. Czego Henryk szukał w obozie Pankracego? III. Rozmowa Pankracego z Henrykiem. Wielkość obu. Zdanie Mickiewicza i jego zarzuty. Część czwarta. Zbyteczna treściwość. Surowość poety względem wszystkich. Znaczenie widzenia Orcia. Pożegnanie z nim i ostatnie słowa Henryka. Zwątpienie Pankracego. Jego śmierć. Zakończenie nie jest rozpaczliwe. Stanowisko i przekonania Krasińskiego. Objaśnienie *Nieboskiej* przez jego syna. Jej myśl filozoficzna, religijna, patryotyczna. Pierwiastki jej wielkości. Jak ją rozumiał sam autor? Objaśnienie w jego liście.

I.

Nienawiści i walki społeczne. Określenie ich w liście do Gaszyńskiego. *Nieboska komedya*. Jej tytuł. Wstęp. Jego związek z bohaterem poematu i z autorem. Pozorny brak związku między pierwszą a drugą połową poematu. Prawdopodobny początek i powód dwóch pierwszych części. Henryk jako człowiek i jako typ. Jego ślub. Złamanie ślubu. Hrabina. Ojciec chrzestny. Obłąkanie hrabiny. Zgryzota męża i niedowierzanie własnym uczuciom. Scena w domu obłąkanych.

»Wiek, który mnie otacza, cięży na mnie jako ołów«, pisze Krasiński do Gaszyńskiego. Cóż to za ciężar i czemu dolega mu tak bardzo?

Cięży mu, przygniata go to, co dostrzegł z dziwną bystrością pod wszystkiemi świetnemi pozorami cywilizacyi, wolności, humanitarnych dążności, postępu; fakt górujący naszego wieku, rdzeń i treść naszej historyi, antagonizm społeczny, ten pierwiastek, który choć nie zawsze się wyraźnie objawia, przecież wszystko przenika, tkwi na dnie wszystkich wypadków, wszystkich polityk; prawdziwa atmosfera Europy współczesnej, w której wszyscy żyjemy, którą wciągamy w siebie z oddechem, która niedokwasi naszą krew i krąży z nią razem w naszych żyłach, i rządzi nami, naszem życiem, losem naszych krajów, panuje w naszych literaturach, wszystko przejmuje, przenika, wszystko sobą ożywia... czy zabija. Krasiński poznał tę duszę wieku odrazu, i z intuicyjnem przewidzeniem,

a ze ścisłością i logiką matematyczną, doszedł do tego, co w naturalnym porządku rzeczy mogłoby być, prawie się chce powiedzieć, musiałoby być, tej duszy wieku ostatnim wyrazem. Dopóki chodziło tylko, jak niegdyś, jak w początkach rewolucyi francuskiej, o udział narodu w rządzie, albo o formę rządu, o przywilej i równość, arystokracyę i demokracyę, dopóty sprawa zakończyć się mogła pogodzeniem. Mogła pewna, wielka, część ludzkości nawrócić się do jednej lub drugiej zasady, mogło się znaleść zastosowanie tej zasady takie, któreby sprzeczne interesa pogodziło, rewolucya mogła mieć koniec. Ale odkąd przedmiot sporu się zmienił, koniec jego, przez pogodzenie i porozumienie, stał się niemożliwym, walka bez wyjścia. W gruncie bowiem sprawa ta stoi dziś tak, że wszystkie zwyczajne hasła, pod któremi walczymy, ta lub inna forma rządu, ten lub inny system wyborczy lub podatkowy, wszystko to nie jest zasadą, ale środkiem; celem, przedmiotem sporu, jest nie tasama dla wszystkich wolność, nie tosamo dla wszystkich prawo, ale tosamo dla wszystkich używanie życia. Równość używania, to jest rdzeń wszystkich systemów socyalnych i komunistycznych; a z tem ani zupełnej, ani połowicznej zgody niema, walka jest bez wyjścia i końca. Żeby do tej równości używania dojść, trzeba zdruzgotać miliony ludzi, którzy bronią siebie i swoich rodzin, zatem trzeba terroryzmu, trzeba anarchii, gwałtu i krwi. Przypuściwszy nawet zwycięstwo, i przypuściwszy, że ze zwycięstwa tego nie skorzysta żaden dowódzca na to, żeby wynieść siebie, a opanować drugich, trzeba dopiero po zwycięztwie zabezpieczyć trwałość tego systemu, tej równości używania. Tymczasem ta, sprzeczna z naturą ludzką, już w drugiej generacyi okazuje się zniszczoną. Żaden rząd, żaden system, żaden terror na to nie pomoże, że jeden człowiek jest zdolny, drugi nie, jeden pracowity, drugi leniwy, i w kilku latach,

jedynie wskutku tych przymiotów wrodzonych, mamy znowu bogatszych i uboższych. A więc, chcąc utrzymać i zabezpieczyć równość używania, trzeba szukać po temu środków; zatem znieść prawo dziedziczenia i prawo testamentowych zapisów, postanowić jakąś miarę majątku, której nikomu przekroczyć nie wolno, a wtedy w drugiem pokoleniu powtarza się walka tasama; po zwycięztwie trzecie pokolenie znalazłoby się znowu w tem samem błędnem kole. Tymczasem człowiek pracujący rękoma, cierpiący, nędzny, głodny, zmarznięty, wycieńczony, on tego rozumowania nie zrobi; on widzi tylko, że jest człowiekiem, jak drugi, i pyta, dlaczego temu drugiemu dzieje się tak dobrze, a jemu tak źle. Porównanie to doprowadza do oburzenia wiele serc szlachetnych i szczerych, i z niego powstają przekonani w dobrej wierze fanatycy teoryi socyalnych; obok tych stoją inni, dla których one są środkiem wyniesienia własnego; a jedni i drudzy muszą zawsze mieć przystęp łatwy do znużonych i głodnych, niezaspokojonych nigdy w żadnej z potrzeb i żądz ludzkich. Historya naszego wieku jest historyą ciągłej obawy tej walki, i ciągłego do niej przygotowania; sztuka rządzenia w naszym wieku, to w wielkiej części szereg wybiegów, któremi się wybuch tej walki wstrzymuje i ociąga; a w tych wybiegach ludzie kochający wolność, wszystko to, co w naszym wieku zastępuje pierwszych rewolucyonistów francuzkich, ci muszą nieraz z dwojga złego wybierać mniejsze, i stawać po tej stronie, która samej wolności zadaje cios mniej śmiertelny; poddają się raczej pod despotyzm choć znienawidzony, aniżeli pod anarchię. Walka tymczasem wre pod ziemią, od czasu do czasu objawi się wielkim hukiem i trzęsieniem ziemi, które zdaje się wracać peryodycznie, coraz częściej i coraz silniejsze. Jak przyjdzie paroksyzm długi, a tak silny, że go nic odrazu nie przetnie, co zostanie z dzisiejszej Europy?

Takie pytania obracał w głowie swojej Krasiński. Czuł, jak pod jego stopami drgał wulkaniczny grunt włoski, słyszał grzmot podziemny, źle zagłuszony świetnem i głośnem zewnętrznem życiem Francyi; mógł był, powinien był, w swoim wieku wierzyć że trzęsienia ziemi nie będzie, że wulkan nie zasypie Europy lawą i popiołem, że, jeżeli się ziemia zatrzęsie, to na to chyba, żeby wypuścić jakieś wody ożywcze i dobroczynne, przez które ziemia użyzni się i zakwitnie. Ale nie! on zmuszony pierwszym swoim krokiem w świecie nie patrzeć na świat wesoło, on z kierunkiem umysłu filozoficznym, badawczym, dochodzącym śmiało do ostatnich konsekwencyi rzeczy, on ten stan świata widział w całej surowej i nagiej jego okropności; nie łudził się, nie złocił przyszłości, nie usuwał jej z przed oczu, owszem, chciał jej odważnie w oczy zajrzeć i pokazać ją, jak jest, choćby ten obraz miał być przerażającym i nielitościwym — jak śmierć.

»Z jakich ty ludzi złożysz Rzeczpospolitą we Fran»cyi«, pisze on (do Gaszyńskiego) z Rzymu w roku 1834. »Czy z kupców, którzy panują, czy z robotników, »którzy w warsztatach pracują dzisiaj? Bo nikogo wię»cej już nie widzę na tej ziemi, a przyznasz mi, że ni »jedni, ni drudzy, nie zdali się do porządku rzeczy, »wymagającego najwyższych poświęceń. Pierwsi są »chciwi i srodzy, bo władną; drudzy są chciwi, na»miętni i okrutni, bo cierpią. Przy takim stanie świata »dwa systemata tylko być mogą, despotyzm i anarchia. »Nie marz więc, że pięknie i cnotliwie dojść można »do ideału twego: bądź pewien, że naprzód, nigdy się »nie sprawdzi, jak każdy ideał; a potem, że usiłowania »dążenia ku niemu, będą krwią oblane, otoczone zni»szczeniem i same wreszcie się wyniszczą. Cywiliza»cya nasza ma się ku śmierci; wiem, że bliskie są »czasy, w których zbrodnie nowe przyjdą karać stare »i same się potępić w obliczu Boga, ale wiem, że one

»nic nie utworzą, nie zbudują; przejdą jak koń Attylli... »Dopiero to, czego ani ty, ani ja, ani nikt nie zna, nie »pojmuje, nadejdzie, wywinie się z chaosu i świat »nowy z woli Boskiej, z przeznaczenia rodu ludzkiego »zbuduje. Ale wtedy i twoje i moje kości próchnem »gdzieś będą«.

Dziwna jest ta jasność przeczucia, raczej ta głęboka znajomość swego świata, którą historya ostatnich lat pięćdziesięciu tak strasznie sprawdza. Przy takim stanie świata może być tylko despotyzm i anarchia; i rzeczywiście Europa, jak pijany człowiek, zatacza się od jednego do drugiego. Usiłowania, dążenia do ideału będą krwią oblane i otoczone zniszczeniem, to rok 1848. Zbrodnie nowe przyjdą karać stare; dzisiejszy stan Francyi karze ją za złe tego, który się co dopiero skończył. Przykładów możnaby przytaczać więcej; a świat nowy kiedy zejdzie, nasze kości dawno już będą próchnem. To jego usposobienie, to jego sąd o historyi współczesnej; a wszystko to odbiło się w poemacie, pierwszym jaki napisał, głębokim jak morze, a smutnym jak śmierć. Wszystko tam jest: dążenie do ideału przez krew i ruiny, które zniszczywszy wszystko, niszczy wreszcie i siebie; nowe zbrodnie, które stare karzą, a same potępiają się przed Bogiem i przechodzą nic nie utworzywszy, jak koń Attylli — i wreszcie ten na końcu świat nowy, późny, daleki, który się wywinie z chaosu i zbuduje z woli Bożej, to krzyż na firmamencie, który w zakończeniu *Nieboskiej komedyi* staje nad ziemią, na której nic nie zostało.

Nazwawszy ją, trzeba poświęcić słowo jej tytułowi tak dziwnemu. Dlaczego komedya? że nie »boska« to pewno, ale to połączenie epitetu z rzeczownikiem jakieś nie wytłomaczone, potrzebuje zastanowienia, dochodzenia. Rzecz jest jasna. Nic naturalniejszego jak, że Krasiński ze wszystkich poetów świata,

największy czuł pociąg do najsmutniejszego ze wszystkich, do tego surowego i groźnego Danta, który, skrzywdzony w ojczyźnie, deptać musiał schody cudzoziemca, a w wielkiem oburzeniu i zgorszeniu na swój świat i wiek, odmalował obraz jego tak ponury, a tak nieubłaganie prawdziwy, Dante ze swoją poezyą filozoficzną i polityczno-moralną, Dante, którego przedmiotem był wiek i społeczeństwo, stworzony był na to, żeby Krasińskiemu przypaść do serca; owszem, jego Krasiński musiał rozumieć lepiej, aniżeli wszystkie piękności Göthego, i wszystkie głębie znajomości człowieka w Szekspirze. A czcić go musiał, jak wielki kolos gieniuszu i moralnej godności wśród brudów i zbrodni otaczającego świata; a kochać go mógł, bo ten kolos żył i był nieszczęśliwym, i cierpiał, a w cierpieniu ich było pewne podobieństwo. Dante był więc poetą Krasińskiego; a choć śladów i dowodów niema, to sama *Nieboska* wskazuje, że już w tych latach musiał rozczytywać się w nim, jak im dalej, tem więcej zagłębiał się w nim, oburzał się, gardził z nim razem, i z nim razem z dna piekieł tęsknił za jasnością Raju. A kiedy się zdarzyło, że prawie mimowolnie, prawie bezwiednie, napisał poemat, nie przez Danta natchniony, ani do niego podobny, ale poemat, który jak tamten, był obrazem wieku i społeczeństwa, ich nieszczęść, zapasów i nędzy, nazwał go imieniem, które przypominało tytuł tamtego, a miał do tego prawo, bo pomiędzy ich treścią jest pewne zbliżenie. Tego zaś w roku 1833 krytyka nie była jeszcze wyświeciła, że Dante swojemu dziełu dał tylko nazwę *Komedyi*, a przydomek *Boskiej* dodał zapał wielbicieli. Krasiński więc nazwał swoją *Nie-Boską* przez dwojakie przeciwieństwo: pierwsze, że tamta mogła być Boską, bo z piekieł przez czyściec dochodziła do Raju, szła w górę, aż dochodziła do tej jasności, której wzrok ludzki znieść nie może; a ta wyjścia podobnego nie-

miała, w tej nikt nie zostawał, nie zwyciężał, nikt nie miał prawdy i nikt nie szedł w górę. — Powtóre, że jego komedya nie była tak »boską«, tak wielką, jak tamta. Kallenbach (*Krasiński* tom II, str. 58) przypuszcza że pierwotnie tytuł miał być *Komedya Ludzka* (w przeciwieństwie do Dantego *Boskiej*). Jak zaś powstała bez planu, prawie bez wiadomości, dowodzi list Danielewicza do Gaszyńskiego, (tamże drukowany), w którym powstający właśnie poemat i jego bohater, (Mąż) opisany jest jako rodzaj *tragico-buffo*. Tamże wiadomość, że *Nieboska* pisana w Wiedniu, skończona była już w drodze do Rzymu, w Wenecyi.

Nic smutniejszego a zarazem nic bardziej charakterystycznego, jak wstęp do *Nieboskiej*. Zwykle młody poeta wstępuje w swój zawód z sercem bijącem od zapału i nadziei, wierzy w siebie, w swoje natchnienie i przyszłość, wierzy w swoją chwałę. Nawet kiedy skromność graniczy z nieśmiałością, kiedy Mickiewicz mówi do Pierwiosnka »zawcześnie kwiatku zawcześnie«, i wtedy nawet przemaga szczęśliwa ufność młodości: »lepsza w Maju jedna chwilka, niż w jesieni całe Grudnie«. Krasiński pisze swój pierwszy poemat w dwudziestym pierwszym roku życia, pisze poemat genialny, w swoim rodzaju jedyny w Europie, i ten który z całej literatury polskiej, najbardziej należy do literatury świata i najbliżej ją obchodzi, a pisze w gorzkiem i nieznośnem uczuciu lekceważenia siebie samego, niewiary w siebie. Nie w poezyę: »nie wyrzekam na ciebie, poezyo, matko piękności i zbawienia«, nie w swój geniusz poetyczny ani w piękność swego dzieła: »Gwiazdy wokoło twojej głowy, »pod twojemi nogami fale morza, co ujrzysz, jest two»jem; grasz cudzym uszom niepojęte rozkosze, spla»tasz serca i rozwiązujesz gdyby wianek i t. d.«, ale zniechęcenie i niedowierzanie do zawodu poety, który

mu się wydaje czczym i nierzetelnym. »Ale sam co czu»jesz? ale sam co tworzysz? Przez ciebie płynie stru»mień piękności, ale ty nie jesteś pięknością. Biada »ci, biada; — kwiat polny, co nie wie o woniach swo»ich, więcej ma zasługi przed Panem od ciebie! — »Zkądżeś powstał marny cieniu? kto ci dał życie tak »nikczemne, tak zwodnicze, że potrafisz udać anioła, »chwilę nim zagrzęźniesz w błoto, nim jak płaz pój»dziesz czołgać i zadusić się mułem«.

Nigdy żaden poeta tak gorzko o sobie nie mówił, tak nie gardził sobą. »Twoje rozpacze i westchnienia »opadają na dół, i szatan je zbiera, dodaje w radości »do swoich kłamstw i złudzeń«. Dziwna rzecz, ten człowiek, który w miarę, jak dojrzewał, dochodził do coraz wyższej czci natury ludzkiej i coraz wyższego o niej wyobrażenia, którego wiara w przyszłość ludzkości tak stałą, tak niezachwianą, jak była, mogła być tylko przez to, że się wspierała na wierze w godność człowieka, ten zaczyna od najczarniejszego zwątpienia, od pogardy siebie, od pogardy poety! »Twoja boleść »nic nie utworzy i na nic się nie zda, chwale twojej »*niby* nic nie zrówna — a dziecię, co płacze na łonie »mamki, więcej ma zasługi od ciebie — Pan cię za»przeczy i t. d.«

Jestto skutkiem tej wysokiej i szlachetnej dążności Krasińskiego do jedności, do zgody zupełnej wszystkich sfer i zakresów ducha i życia człowieka. On chciał zawsze, a widać, że chciał już w tych latach tak młodych, żeby człowiek, z siebie i swego życia, zrobił doskonałą harmonią, żeby poeta nie był kapłanem piękności tylko z piórem w ręku, żeby nie z wyobraźni tylko snuł piękność, ale żeby swoje życie, siebie samego podniósł do tego samego poziomu, do jedni, do zgody, do wysokości swego ideału. Jeżeli czujesz i tworzysz piękność, jeżeli pojmujesz, co najwznioślejsze, bądźże sam wzniosłym i pięknym — je-

żeli twoje natchnienie góruje nad ludźmi, niechże wyższem od nich będzie i twoje życie. Inaczej twoja poezya nie jest prawdą, twoje uczucie piękności i dobra nie jest rzetelnem, ty sam »marnym cieniem, którego »boleść nic nie utworzy«, inaczej ty, »tylko o świetle »znać dajesz, a światła nie znasz, nie widziałeś, nie obaczysz«. Wyobraźnią i natchnieniem wyrywa się poeta gdzieś pod niebo, czuje, pojmuje wszystko co najpiękniejsze: a sam zostaje marnym, drobnym, powszednim człowiekiem, jak inni! Dlaczego ja nie jestem tak piękny i tak wysoki, jak ideał mojej duszy? dlaczego go w sobie urzeczywistnić nie mogę, dlaczego ja poeta, jestem istotą prozaiczną, jak inne, od chwili kiedy tworzyć przestaję? W poezyi jest prawda — w zawodzie poety jest nierzetelność, fałsz, sprzeczność, jest ironia kłamstw i złudzeń szatana.

»Błogosławiony ten, w którym poezya zamieszkała, »jak Bóg zamieszkał w świecie, niewidzialny, niesły»szalny, w każdej części jego okazały, wielki«. Błogosławiony ten, który mając poezyę, mając natchnienie, zrobi arcydzieło z siebie, ze swego ducha i życia. »Ten »będzie kochał ludzi i wystąpi mężem pośród swoich braci«. Ale ten, kto mając to, uczucie ideału, zwróci je nie na wewnątrz, nie na to żeby siebie do miary tego ideału dociągnąć, ale na zewnątrz, kto go użyje na to, żeby swoje piękne i wzniosłe uczucia rozdać, roztrwonić »na marną rozkosz ludziom«, na pisaną poezyę, »temu poezya sypnie kilka kwiatów na głowę »i odwróci się, a on zwiędłemi bawi się, i grobowy »wieniec splata sobie przez całe życie«.

Zbytecznie mówić, że w tem zniechęceniu i w tej goryczy jest przesada, że to pojęcie poety jest fałszywem. Ale niepodobna jest nie uznać szlachetności i godności w tem uczuciu, w tym gniewie poety na siebie za to, że nie jest pięknością, choć strumień piękności przepływa przez niego. Możnaby jednak spytać,

dlaczego, jeżeli ten tylko jest błogosławiony, w którym poezya zamieszkała niewidzialnie, jak myśl Boża w świecie, dlaczego on poezyę z siebie wydaje na »marną rozkosz ludziom«, dlaczego pisze? Dlaczego? bo on nie pisze na »marną rozkosz ludziom«, ale na gorzkie im upomnienie. »Nieszczęśliwy, kto na światach poczętych, na światach mających zginąć, musi wspominać lub przeczuwać ciebie«, nieszczęśliwy, kto tęskniąc do przeczuwanej piękności światów nie poczętych jeszcze, nosi w duszy czarny obraz świata ginącego. Przez jego duszę przepływa oprócz piękności i strumień okropności: czy go ma zatrzymać w sobie? Nie! Bo gdyby nawet tamy jakie zatrzymać go mogły, gdyby poezya nie wyrywała się z niego tak koniecznie, jak koniecznie rodzi się człowiek, kiedy jego czas dojdzie, to i wtedy jeszcze ten straszny obraz powinien być pokazanym. Na to, żeby ludzie byli zdolni począć w sobie świat lepszy, muszą wprzód uznać okropność dzisiejszego. Jest głęboka, choć mimowolna, logika w rozwoju poezyi Krasińskiego; w tem, że ona, która miała skończyć na zupełnej wierze w przyszłość, na optymizmie dobrej woli, żeby się tak wyrazić, zaczęła swój zawód od zwątpień i goryczy *Nieboskiej komedyi*.

Jeszcze możnaby zapytać, jak ten rozpaczliwy wstęp wiąże się z dalszym ciągiem? Co ten zwrot myśli na siebie samego ma wspólnego z treścią poematu? Nie jestto zwrot myśli na siebie tylko, choć jest i na siebie. Przypomnijmy sobie bohatera poematu: Hrabia Henryk jest także takim marnym cieniem, stworzonym w gniewie lub ironii; przez jego piersi także płynie strumień piękności, ale on pięknością nie jest, i jego boleść na nic się nie zda i nic nie utworzy. Jestto właśnie rys podstawny charakteru Henryka, że jest marzycielem, że jest naturą poetyczną, że chce być poetycznym, że ze swoich uczuć i czynów splata

przez całe życie grobowy wieniec dla siebie, że chce, iżby ta poezya, jaka w nim jest, zamiast być w nim i przenikać go niewidzialnie, jak myśl Boża świat, była widoczną na zewnątrz, otaczała go swoim blaskiem i biła w oczy wszystkich, a jego najbardziej. Do niego więc także ściągają się słowa wstępu; nie do niego wyłącznie, ale i do niego, a przez to wiążą się z poematem. Nie są one spowiedzią i wyrokiem autora o sobie samym, nie są zapowiedzią, i odsłonięciem, i sądem postaci bohatera; one są wyrazem tego, co jest ujemnem w naturach poetycznych i ironicznem w przeznaczeniu takich natur marzących, łaknących wrażeń. Ogół ten obejmuje poetę zarówno jak jego bohatera; a pisząc te słowa, Krasiński nie myślał ani o nim, ani o sobie wyłącznie; myślał o poecie w ogólności, a to, co o tem mówił, stosował i do swego bohatera i do siebie samego. Jeden i drugi wydaje mu się, u wstępu jego poetycznego zawodu, marnym cieniem, stworzonym w gniewie i ironii.

Jedna rzecz uderza w *Nieboskiej komedyi* na pierwszy rzut oka. Waga poematu leży na dwóch częściach ostatnich, jego właściwą treścią jest walka społeczna, jego myślą podstawną, jak już Mickiewicz wykazał, jest brak zwycięztwa, brak słuszności i prawdy u obu stron walczących. W pierwszych dwóch częściach zaś, nic nie zapowiada tej walki; żywioły, które ją prowadzić mają, nie ukazują się wcale; bohater, hrabia Henryk, nie gotuje się do niej, ani o niej nie myśli. W pierwszej połowie poematu, mamy Henryka w stosunkach rodzinnych i w stosunku z sobą samym, i moglibyśmy nie domyślać się wcale, jak się ten Henryk dalej obróci. Dlaczego poeta przeprowadza Henryka przez różne stosunki ciaśniejsze, zanim go pokaże w walce, dlaczego daje niejako psychologiczną historyę jego duszy i rozwija różne jej fałdy? Z drugim bohaterem, z Pankracym, nie zadaje on sobie tyle

pracy, nie bada wszystkich tajników jego duszy, nie analizuje go; Pankracy występuje odrazu jednolity jak posąg z jednego odlewu, jako skończony a razem ogólny typ pewnych pojęć i dążności, a jakim był, zanim stał się tem czem jest, tego nie wiemy. Henryk przeciwnie, złożony jest z różnych pierwiastków, ukazany z różnych stron, jest nietylko wcieleniem pewnych dążności i zasad, ale i głęboko pomyślanym, starannie analizowanym typem pewnych natur, pewnych charakterów psychologicznych, i temu przedstawieniu jego poświęcona jest połowa poematu. Dlaczego ta różnica? czy takie traktowanie postaci Henryka było potrzebnem i co poeta przez nie dopiąć zamierzał?

»Dlaczego« to, nie zawsze w poezyi łatwe do odkrycia, trudniejszem niż zazwyczaj musi być w poemacie, który jak *Nieboska* powstał bez poprzedniego rozumowania, bez premedytacyi, bez dokładnej świadomości autora o tem, czem poemat być miał i czem się stał. Rzecz to nie do uwierzenia prawie; w *Nieboskiej komedyi* tak wszystko odpowiada rzeczywistym stosunkom, iż zdawałoby się, że wszystko było z góry obmyślane i odważone, że każde słowo napisane było z celem i znaczeniem. Tymczasem było przeciwnie. Poemat napisany był jednym rzutem, bez jakiejś z góry powziętej myśli i bez planu. Nie możnaby temu uwierzyć, gdyby nie było zeznań poety samego, w których mówi, że poemat obejmuje więcej, aniżeli on chciał i wiedział, a przed tem świadectwem wszelka wątpliwość musi ustąpić. Nie było planu: Krasiński nie rozumował, nie ułożył sobie naprzód w głowie związku, pomiędzy pierwszą a drugą połową *Nieboskiej*; nie z wyrachowania przeprowadza on Henryka przez różne koleje życia i myśli, pierwszej i drugiej części poematu. A jednak jakiś związek, jakiś ciąg być musi; i musiał być w jego myśli, choć sobie sam może

jasno z niego sprawy nie zdawał i w poemacie wyraźnie go nie uwidocznił.

Związek ten wyśledzić się daje z pomocą tego dzieła, w którym poeta, o wiele później, bo już po roku 40-tym, złożył wszystko, co sobie wyobrażał o przeszłości swojego Henryka. *Niedokończony Poemat* jest jego historyą, historyą jego młodości, obrazem dróg, jakiemi Henryk chodził, zanim się stał tem, czem go widzimy w *Nieboskiej*. Otóż, całe to wyprowadzenie człowieka z jego przeszłości, cały ten ciąg moralny i psychologiczny dziejów jego ducha, dla nas w *Nieboskiej* niewidzialny, Krasińskiemu był znany; on, choć *Niedokończonego poematu* nie był napisał, choć o nim jeszcze ani myślał, przecież znał Henryka, wyobrażał sobie, co ten Henryk robił, zanim wziął postanowienie »zstąpić do ziemskich ślubów« (w której to chwili on ukazuje się w *Nieboskiej*). Krasiński nie identyfikuje siebie ze swoim bohaterem, ani w *Niedokończonym Poemacie*, ani (tem mniej) w *Nieboskiej komedyi*. Jednak musiałby *Niedokończonego Poematu* chyba wcale nie znać, ktoby chciał mniemać, że temu Młodzieńcowi, który w niem występuje, poeta nie dał nic z siebie. Niektóre wypadki z jego życia są tam wyraźnie wprowadzone, jako wpływające na los i charakter bohatera; stosunek jego do politycznych i społecznych dążności i walk, pojęcia i nauki jakie mu daje Aliger, przypadają zupełnie do myśli i zasad Krasińskiego. Jest i podobieństwo natury, złych jak dobrych skłonności. Że zaś *Niedokończony Poemat* jest dorobioną później do *Nieboskiej* historyą młodości Henryka, że w nim ze świadomością i zamiarem poeta kładzie w bohatera wiele z tego, co było w jego duszy i jego historyi, więc wniosek jest bliski i prosty, że w tem dziele dawniejszem, może nie tak jasno i świadomie, ale przecież o sobie myślał, kiedy tworzył Henryka, że dał mu niejedno ze swoich uczuć

i udręczeń, niejedną ze swoich skłonności lub wad. W dwóch pierwszych częściach mianowicie wydaje się to tak wyraźnem i prawdopodobnem, że aż prawie pewnem; jak dwie ostatnie wyszły z rozmyślania o możliwej przyszłości naszego świata, tak dwie pierwsze z dociekań i rojeń (ponurych) o przyszłości własnej. Dużo później, już po smutnym końcu swojej pierwszej miłości, pisze on o swojej przyszłości w takiem uczuciu zniechęcenia i goryczy, w jakiem musiał być Młodzieniec z *Niedokończonego Poematu* w przerwie pomiędzy jego ostatnią sceną, a pierwszą sceną *Nieboskiej*. »Co zrobię? czy świnie paść będę? czy strzydz »owce? czy się wykieruję na dobosza? czy założę fabrykę »garnków? — Nie, ożenię się z brodawką, kołtun spłodzę, »i za to zrobią mnie powiatowym marszałkiem«. Ta potoczna ale gorzka ironia, czy nie jest wyrazem prozaicznym usposobienia, w jakiem był hrabia Henryk, zanim postanowił »zstąpić do ziemskich ślubów?« i czy Krasiński przed napisaniem *Nieboskiej*, nie mógł tak o swojej przyszłości myśleć, jak myślał przed napisaniem *Irydiona*? Tylko jeżeli w tych rozmyślaniach o przeszłości, które później stały się treścią *Niedokończonego Poematu*, przeważała rzeczywistość, to w *Nieboskiej*, ona musi schodzić do mniejszego znaczenia i znikać. Jeżeli tam poeta pożyczył Henrykowi niektórych przejść ze swego życia i niektórych swoich uczuć tak, że jest między nimi pokrewieństwo widoczne, to tu jest go nierównie mniej; tu poeta oddziela się od bohatera daleko bardziej. Jak przejścia i koleje Henryka w *Nieboskiej* nie przypominają w niczem przejść żadnego rzeczywistego człowieka, tak i jego postać, jego charakter, nie mają tych rysów podobieństwa, jakie ma Młodzieniec z *Niedokończonego Poematu*; są więcej samoistne, mniej indywidualne, a więcej ogólne i typowe.

Cóż mogło w przyszłości czekać tego młodego

marzyciela i poetę zawiedzionego w miłości i w aspiracyach humanitarnych, gdzie on będzie szukał szczęścia i zaspokojenia, urzeczywistnienia swego ideału? Prawdopodobnie opuści nadłamane skrzydła, wejdzie w zwyczajną kolej życia; może się ożeni. Jeżeli tak, to przez pewien czas będzie się łudził, będzie wmawiał w siebie miłość i szczęście, ale nie na długo. Dawne marzenia, dawne wspomnienia, odzyskają swoją władzę, będą go odciągały od domowego ogniska; żona jego będzie nieszczęśliwą. Jeżeliby miał dzieci, to w ich naturze i wychowaniu, a zatem w ich przeznaczeniu, odbije się ta sprzeczność, jaka była między rodzicami, i będą to jakieś stworzenia nienormalne, niekompletne i nieszczęśliwe. A gdyby wypadki zmusiły go do wyjścia na pole publicznego życia, gdyby wybuchła ta walka społeczna, którą on przeczuwa, to wtedy on, zapalony entuzyasta wolności, on, humanitarny marzyciel, kto wie, może on będzie musiał stanąć w obronie dzisiejszego porządku rzeczy, którego nie cierpi i nie szanuje, bo tamten drugi, którego prolog widział w podziemiach weneckich, będzie jeszcze gorszym, jeszcze brzydszym.

Takie były jego przypuszczenia o przyszłości tego Henryka, który się jeszcze nie był wcielił w żaden poemat, który się od poety jeszcze nie oddzielił, i dopóki nie był napisanym, miał z nim samym wiele wspólnego. Z tych przypuszczeń i przewidywań przyszłości, tak prostych i tak skąpych, zrobiły się w jego fantazyi dwie pierwsze części *Nieboskiej*, zrobił się poemat, którego pierwsza myśl tylko mogła być myślą o przyszłości jednego człowieka, a który w wykonaniu cechę tę zatracił zupełnie, i zrobiła się ta postać Henryka, wolna już od podobieństw i wspomnień jakiegokolwiek jednego człowieka, a za to podobna do wielu, typ jeden z najprawdziwszych i najgłębszych człowieka XIX wieku.

Powiedziano gdzieś słusznie, że *Hamlet* jest przedewszystkiem człowiekiem XIX-go wieku, że za czasów Szekspira ludzi takich nie bywało, że jest on fenomenalnem przeczuciem tego kształtu, jaki przyjmie umysł ludzki pod ciągłem i długiem działaniem analizy wszystkiego, kwestyonowania wszystkiego. I niezawodnie tak jest; nigdy człowiek tak nie zwracał myśli na siebie, nie analizował tak swoich uczuć, swoich wrażeń, swoich kroków, jak w naszym wieku. Ale *Hamlet* reprezentuje tylko zwrot myśli człowieka, jego refleksyi, na siebie samego. Tymczasem jest inna jeszcze władza umysłu, którą w naszym wieku także powszechnie lubimy zwracać na siebie i sobą zajmować, a tą jest fantazya, wyobraźnia. Cóż to jest naprzykład ta rzecz w naszym wieku tak częsta, że poeta tworząc, tworzy swój ideał poetyczny na obraz i podobieństwo swoje? dawniej tego nie bywało. Dawniej, jeżeli poeta mówił o swoich uczuciach, jeżeli Horacy wołał wesoło *carpe diem*, albo Kochanowski płakał za Urszulką, to jeden i drugi mówił o tych uczuciach otwarcie, jako o swoich, ale od *Homera* aż do *Göthego*, niema podobno w dziejach poezyi przykładu, żeby poeta jaki był w poemacie pod przybranem imieniem, pod maską; przedstawiał siebie i pod pozorem jakiegoś fikcyjnego bohatera był opiewał swoje uczucie, lub wypadki swego życia. W poezyi i w powieściach naszego wieku jest to zjawisko najczęstsze, codzienne; a zkąd poszło? Ztąd, że nietylko refleksya, ale i fantazya zwróciła się na wewnątrz, że szukała piękności, szukała poezyi w sobie. Byron, któremu przypisujemy zazwyczaj początek tego kierunku, był sam tylko jego najwierniejszym wyrazem, ale nie jego początkiem, tylko już skutkiem, który za sobą znowu mnóstwo innych mniejszych skutków podobnych pociągnął. Poetyzowanie siebie i swego życia, rozmiłowanie się w poezyi swojego ja i swojego życia, ta rzecz tak po-

wszechna i tak długotrwała w naszym wieku, a obfita w skutki najrozmaitsze, od wielkich jak poezya Byrona, do śmiesznych jak brukowi byroniści udający poetycznych, jak niezrozumiałe kobiety, wszystko to poszło ztąd, że nasza fantazya zamiast szukać zaspokojenia dla siebie, piękności, poezyi, w świecie zewnętrznym, szuka jej w człowieku samym.

Zatem poszła gonitwa za wrażeniami, sztuczne powiększanie tych wrażeń, pragnienie dramatycznych effektów w życiu, umyślne i systematyczne drażnienie nerwów w sobie tak, żeby stały się czulszemi na wrażenia, a w potrzebie mogły nadsztukować uczucie; ztąd wmówione zapały, fałszywe exaltacye, uniesienia na zimno: wszystko to pochodziło z tej chęci, żeby być poetycznym i poetycznie się wydawać, wszystko to fantazya zwrócona na wewnątrz. Często szło zatem udawanie stałe i systematyczne, maska moralna, którą się nosiło przez całe życie, gwałtowne naginanie swojej natury, żeby się wydała inną jak jest; nieraz ona przez długie przyzwyczajenie zmieniała się istotnie, zrastała się ze swoją rolą. Cała ta poetyczność sztuczna i odniesiona do siebie, całe to krzywe pojęcie życia ze strony dramatycznej, teatralnej, naprężonej i nienaturalnej, wszystko to są skutki w niezliczonych objawach i stopniach tej jednej przyczyny, którą nazwaliśmy zwrotem fantazyi na wewnątrz. Jak refleksya w naszym wieku człowieka samego analizuje, tak fantazya znowu jego poetyzuje.

Tego powszechnego w Europie usposobienia typem, dotąd jedynym w poezyi, jest hrabia Henryk z *Nieboskiej komedyi*; a doprawdy bystry i przenikliwy był wzrok poety, który niebezpieczeństwo tej skłonności dojrzał i schwycił na uczynku w chwili, kiedy ona właśnie grasowała najszerzej i najbardziej się podobała. Nasuwałoby się tu pytanie spowodowane pewnem pokrewieństwem Henryka z poetą, czy on

tej skłonności nie dostrzegł i w sobie, kiedy swego bohatera zrobił jej typem. Odpowiedzi dostatecznej dać nie można. Był dzieckiem wieku, był poetą, mógł łatwo skłonność tę mieć; z niektórych słów Aligiera do Młodzieńca w *Niedokończonym Poemacie* możnaby wnosić, że ją istotnie w sobie widział. Jeżeli tak, jeżeli ją istotnie miał, to tem dziwniejsza, tem rzadsza i tem szanowniejsza rzecz, że ją dostrzegł i to w wieku tak młodym, i że ją potępił tak niemiłosiernie, kiedy rzekł że »kwiat polny, który nie wie o woniach swoich, więcej ma zasługi przed Panem od Ciebie«.

Piękny to człowiek, szlachetny i podbijający urokiem, ten hrabia Henryk. Czego w nim brak? Geniuszu? nie. Nic rzadszego w poezyi, jak takie postacie ludzi wielkich, wyższych od ogółu; jeżeli to postacie historyczne, rzecz jest łatwiejsza, bo poeta zna ich naturę, ich uczucia, łatwiej uchwyci podobieństwo, a z niem rysy wielkości. Ale ludzie wielcy, wprost z fantazyi poety, ci najczęściej nie dochodzą zamierzonej miary, nie wierzy się w ich wielkość. W każdem słowie Henryka czuje się wielkość; nie jest to ta, którą się widzi w Fauście, wielkość mądrości i spekulatywnego ducha, ale wielkość uczuć, zdolność rozkazu, pewność siebie. Uznaje się go wyższym, silniejszym od siebie; patrząc na niego ma się to wrażenie, że ten człowiek mógłby być wojownikiem i odnosić zwycięztwa, mężem stanu i zakładać państwa, poetą i tworzyć piękność, mowcą i trząść tysiącami serc i umysłów; gdyby był uczonym, potrafiłby przeniknąć i zrozumieć wszystkie tajemnice umiejętności lub natury. Przytem to jest człowiek dobry, szlachetny; kocha tylko to co dobre i piękne, a kocha to z zapałem. Poświęcenie byłoby dla niego rzeczą tak prostą, iżby prawie poświęceniem być przestało. Dlaczegóż ta natura tak bogata i tak bujna, skazana jest na to, żeby była niepłodną i nieszczęśliwą? dlaczego ten człowiek,

który wszystkiem być może, nie jest niczem? dlaczego nie wygrywa bitew, państw nie zakłada, nie tworzy, jak Szekspir, nie zbogaca nauki, dlaczego drugim szczęścia nie przynosi, dlaczego żyje bez skutku i śladu? jaka na nim klątwa, jaka w nim choroba, co go paraliżuje tak, że choć do wszystkiego zdolny, nie jest do niczego przydatny? A dlaczego *Hamlet* nie działa? bo go krępuje refleksya i analiza; dla tego samego Henryk nie żyje w rzeczywistości i na rzeczywistość nie wywiera wpływu. Fantazya go nie krępuje może, ale odrywa od świata, każe mu szukać poezyi w nadzwyczajności, a zaślepia go na rzetelniejszą piękność rzeczywistego życia; owszem krępuje go także, wiąże go tak, że on nigdy życia w rękę ująć, nigdy z niego i z siebie nic rzeczywistego, nic trwałego zrobić nie może. Gdyby w dzień ślubu swojego, po wszystkich rozczarowaniach przeszłości, był chciał posłuchać słów swego Anioła Stróża, i z »dobrą wolą« spojrzeć na ten zakres życia, jaki się przed nim otwierał, gdyby był wspomniał na dawną radę Aligiera »kochaj ludzi w czynie« — byłby zobaczył, że choć ludzkości odrazu nie poprawi i nie zbawi, jak o tem marzył kiedyś, to ludzi ma koło siebie, na których działać może. Ale dla niego było za małem, za płaskiem, wszystko, co nie było wielkiem, głośnem, świetnem. Życie codziennego obowiązku w swoim zakresie, to życie prozaiczne w sam raz »dla fabrykanta Niemca«; żona, odkąd się przekonał, że nie jest jego pieśnią, nie miała u niego ani tyle nawet wartości i względu, ile mieć powinna ludzka istota, cierpiąca i smutna; on chce więcej i więcej, a tem co ma, gardzi — chce więcej, a z tego co ma, rachunku zdać nie potrafi — on chce wielkości, sławy, chce w świecie otaczającym i w historyi wyglądać poetycznie i pięknie, i tem zajęty, gardzi wszystkiem, co drobne, co powszednie, co nizkie, obowiązkiem, czynem, czy człowiekiem, i przez to skazuje na

nieszczęście siebie i wszystkich swoich, na marny koniec wszystkie swoje zamiary. On się czuje tak do wszystkiego zdolnym i usposobionym, że nigdy na wybór zebrać się nie może, i nie robi nic. Typ zaprawdę naszego czasu, i typ nieszczęściem bardzo polski, nie indywidualny tylko, ale typ społeczeństwa całego i jego życia.

Taka postać stworzyła się z początków tak małych, jak wskazano wyżej, i jej to służą dwie pierwsze części *Nieboskiej*. Wszak prawda, że choć one niby nie należą do głównej treści poematu, przecież są potrzebne, i nie żal że są, skoro w nich i przez nie uwydatnia się bohater, właściwy typ wieku, ze strony z której w ogniu walki społecznej poznaćbyśmy go nie mogli. A jak się uwydatnia... jak się rysuje i wypełnia, za każdem słowem wyraźniejszym staje! Dziwny i oryginalny jest sposób malowania Krasińskiego w *Nieboskiej*. Same szkice, same niewykończone rzuty sceny zamknięte w kilku słowach, sytuacye zaledwo oznaczone; taka oszczędność, nawet takie skąpstwo słów i szczegółów, że nieraz żałuje się prawie, iż się szerzej nad tym lub owym ustępem, tą lub ową sytuacyą nie rozwiódł. Ale w tej treściwości i zbitości prawie zbytecznej scen i samych nawet wyrażeń, jest taka głębokość myśli i taka obfitość poetycznego materyału, że z każdej jego sceny, inny zrobiłby poemat; w każdej jego figurze, jest taki zasób życia i prawdy, że inny, któryby ją wykończył i rozwinął, znalazłby w niej gotowy przedmiot studyum psychologicznego, które mógłby odziać w formę czy to dramatu, czy powieści, czy nawet niekiedy komedyi. A zarazem charakterystyka tych postaci jest w swojej treściwości tak dosadna i zupełna, że wszelkie wykończenie, wszelkie wycieniowanie nietylko jej nie pomaga, ale szkodzi, psuje jej wrażenie, jakżeby ona przez to wykończenie była zmalała. Takie wrażenie robi przerobienie *Nie-*

boskiej przez angielskiego poetę Lyttona[1]), któremu na talencie nie zbywało wcale. Próbował on powtórzyć figury Krasińskiego wiernie, ale zarazem wycieniować, wymodelować zarysy rzucone przez tamtego; poświęca więcej czasu i miejsca wszystkim podrzędnym figurom: Hrabina, ojciec chrzestny, Leonard i t. d. wszystko to jest u niego traktowane bardziej szczegółowo, wszystko postawione niby w jaśniejszem świetle; a wszystko jest tylko bladem i zatartem odbiciem oryginału, tak rysy, pociągnięte rylcem mistrza, są pewne, głębokie i wyraźne.

A więc podejmuje poeta tego młodzieńca w chwili, kiedy on wstępuje w rzeczywistość życia, kiedy ma wykonać ślubną przysięgę. Jego samego jeszcze nie widzimy, a już możemy się domyślać, jakie siły będą z sobą walczyły w jego życiu. Kiedy Henryk ma przystąpić do swojej przysięgi, stoi nad nim po jednej stronie jego Anioł Stróż, po drugiej szatan (chór złych duchów). Anioł mówi, że on może być zbawionym, bo ma serce (zaród wszelkiego piękna, iskra boża, pali się w głębiach tej duszy), a jeżeli zjawi się dla niego żona dobra, jeżeli dziecię narodzi się w domu jego, to on może jeszcze stanąć mężem pośród swoich braci i być człowiekiem dobrej woli. »Pokój ludziom dobrej woli«. Klaczko słusznie i trafnie zwraca uwagę na to dziwne zbliżenie, że »dobra wola« jest pierwszem słowem poezyi Krasińskiego, jak jest i ostatniem. Od niej zaczyna się *Nieboska* i na niej kończą się *Psalmy;* ją także znajdzie się i na dnie *Irydiona*, i w *Przedświcie*, i w *Niedokończonym Poemacie;* ona jest rezultatem jego filozofii, osią i treścią, i ostatniem sło-

[1]) Lord Lytton, syn sławnego pisarza powieści Bulwera, wicekról Indyi, umarł w roku 1890, jako ambasador angielski w Paryżu. Jego przerobienie *Nieboskiej Komedyi* ma tytuł *Orval, the fool of time.*

wem wszystkich jego pojęć o człowieku i jego stanowisku w świecie, i to stale od pierwszej do ostatniej chwili jego zawodu.

Ale złe duchy z drugiej strony nie pozwolą na pokój ludziom, i znajdą sposób na to, żeby dobrej woli ustalić się nie dać; podkopią ją marzeniem, zwichną fantazyą, każdy jej zasiew rozniosą w powietrzu złudnemi powiewami poezyi, tak żeby na rolę paść nie mógł. Otoczą go dawnemi widmami, dawnemi marami, żeby mu były wiecznem roztargnieniem w życiu, żeby duszę jego ciągle od rzeczywistości odrywały. Posyłają więc na niego widmo dawnej kochanki »odświeżone we mgle i ubrane w kwiaty nowe« (odświeżone i wypięknione we mgle wspomnień i tęsknoty) potem sławę, »starego orła wypchanego w piekle«, i ten ma szumieć skrzydłami nad głową poety; obraz Edenu, »stare dzieło Belzebuba z zalepionemi dziurami, powiedzione świeżym pokostem«, wszystko to pokusy, które uwieść mają fantazyą poety, a przez nią jego sumienie.

Potem ten szereg scen urywanych, kilkowierszowych, w których poeta charakteryzuje swego bohatera i daje przeczuć swój sąd o nim. »Jeżeli dotrzymasz przysięgi, będziesz bratem moim w obliczu Ojca Niebieskiego« mówi Anioł Stróż — ale Mąż wychodząc z kościoła mówi »zstąpiłem do ziemskich ślubów«. On *zstąpił* z swoich wysokich regionów do ziemskich rzeczy i obowiązków, on więc wyższy nad to życie i te obowiązki. Nie, on nie dotrzyma swojej przysięgi, skoro już w pierwszej chwili nie patrzy na »swoje widnokręgi«, jak mówi Aligier; nie dotrzyma jej, bo w nowo poślubionej widzi nie »żonę wierną jako matka mówiła, jako serce mówi«, ale »pieśń swoją«, i patrzy na nią, jak »nieraz patrzał w myśli na sunących aniołów«. Cóż się stanie, jak się pokaże, że to nie pieśń wcielona, ale biedna ludzka istota, że ona nie

będzie sunąć przez życie jak duch przez powietrze, ale że przejdzie przez nie, powolnym, pracowitym ludzkim chodem?

Co się stanie? Po tych scenach ślubu, które są jakoby prologiem a obejmują zaledwo słów kilkadziesiąt, po przerwie dłuższej, krótszej? nie długiej w każdym razie, mąż zbudzony ze snu, patrząc na żonę przeklina chwilę, w której pojął kobietę a zdradził marzenie. On sądził, iż ona będzie marzeniem jego, a ona jest tylko dobra i miła. Pierwsza pokusa, widmo, wspomnienie dawnej kochanki, trafiła do fantazyi, mąż wydaje się sobie prozaicznym. »Od dnia ślubu mojego spałem snem odrętwiałych, snem fabrykanta niemca przy żonie niemce«. Czyż to dla niego zniżać się do poziomego życia ludzi, poddawać się ich zwyczajom, jeździć po krewnych? zniżyć się do żony, wyrozumieć jej potrzeby, zapytać jak ta dusza czuje, czem żyje, czego pragnie, czem cierpi? czy dla niego myśleć o dziecku, które nie długo będzie mu danem? Nie, »do mnie państwa moje dawne, zaludnione, żyjące, garnące się pod myśl moją« — ten świat rzeczywisty zamieszkany ludźmi, którzy jego natchnień nie słuchają jest pusty, nie warto o nim myśleć, nie warto żyć w nim ani dla niego. Żona, która odwiedza krewnych i po sklepach robi sprawunki, dziecko, dla którego trzeba myśleć o niańce i o kołysce, albo świat nudny pustych głów bez myśli, lalek w kilku odmianach odlanych z kilku różnych form, albo świat brzydki i odpychający ludzi brzydkich, brudnych, obdartych, bezmyślnych, grubijańskich, często spojonych, albo świat złego, świat cierpień, ucisków i gwałtów, które natchnień jego słuchać nie chcą i nie ustępują przed niemi, ale walczyć z sobą każą krok za krokiem i najczęściej zwyciężą, czyż to świat dla niego? Nie, to w sam raz dla »żyjątek podlejszego płazu«, im to przystoi żyć takiem mrówczem życiem: ale orzeł jeżeli

raczy spojrzeć na tę smutną ziemię, to chyba z góry, w przelocie.

A więc związek dwóch ciał nie jest niczem, kiedy się dusze odepchną, a więc mąż zostanie przy żonie, jak trup przy trupie, ale serce jego dawnej kochance, myśl jego, dusza jego, dawnym państwom zaludnionym i żyjącym.

Szczęśliwe i tak pięknie przedstawione przeciwieństwo natury męża i żony, jest tak znanem, że nie potrzeba nad niem się zatrzymywać. Wskazał jego zalety Mickiewicz pierwszy; on zwrócił uwagę na nielitościwy zabijający chłód męża, kiedy mówi: »czuję, że powinienem cię kochać«, na ciężki smutek żony, która czuje że on jej nie kocha, a dojść nie może, dlaczego, na tę jej odpowiedź, tak wymowną w swojej prostocie; »powiedz już lepiej: nie kocham«.

Klaczko dodał do tego uwagę bardzo trafną, że w prostem uczuciu tej żony jest prawdziwej poezyi nierównie więcej, aniżeli we wszystkich marzeniach i natchnieniach męża; odznaczył zwłaszcza jej słowa tak charakterystyczne i tak rozrzewniające: »Wczoraj »byłam u spowiedzi, przypomniałam sobie wszystkie »grzechy, a nie mogłam nic znaleźć takiego, coby cię »obrazić mogło«. Z dwojga, ona cierpi daleko bardziej, ona jedna cierpi na prawdę; on tylko w siebie cierpienie wmawia i w nie się bawi. Niezawodnie ta postać biednej hrabiny jest bardzo piękna, bardzo szczęśliwie stworzona i pociągająca za współczucie. Jednak nie wiem, czy w tym szkicu, w tej scenie, zaledwo rzuconej kilkoma rysami, nie ma jednego nadto; to, kiedy hrabina zdaje sprawę mężowi z tego co robiła, z przygotowań do chrztu, kiedy mu mówi, że kazała robić ciasta z cyframi dziecka; ona o tem mówi, jak żeby te drobiazgi miały dla niej wielką wagę; podaje się w podejrzenie, że nie musi być bardzo bystra, jeżeli nie odgadła, że takie rzeczy jej męża nie obcho-

dzą, i że jeżeli istotnie często dzieli się z nim temi gospodarskiemi szczegółami, może go zniecierpliwić. Hrabina nie powinna była być tem, co nazywamy kobietą wyższą, ale właśnie dla uwydatnienia charakteru męża, powinien był Krasiński unikać wszystkiego, coby ją czyniło podobną do »niemki, żony fabrykanta niemca«: powinna była być kobietą średniej intelligencyi, ale przytem mieć wielki wdzięk prostoty i prawdy, i nie robić nic takiego, coby w niej mogło razić i niepodobać się, drażnić zmysł estetyczny męża. Ten mały szczegół zbliża ją cokolwiek do gospodarnej kobiety niemądrej, ciasnej, niecierpliwiącej. A tymczasem i ona byłaby bez tego piękniejszą, i charakter męża byłby wystąpił jeszcze lepiej i wyraźniej przez to, gdyby on był zmierził sobie kobietę, którejby nic zarzucić nie można, prócz tego, że jest kobietą, nie marą.

Mistrzowska jest scena chrztu w swojej krótkości i w swoim realizmie. Poeta nie myślał i nie chciał robić nic pięknego. Ta scena była mu potrzebną. Żeby ją zapełnić, wprowadził pierwsze lepsze powszednie figury, tak jak się je widzi zawsze i wszędzie. Pośród tej lichej gawiedzi bezmyślnej, głupio-ciekawej, gapiącej się na bladą twarz i zapadłe oczy hrabiny, dochodzącej gdzie Hrabia, dlaczego go nie ma, jaki ta nieobecność kryje pod sobą domowy skandal lub nieszczęście, wystaje figura Ojca Chrzestnego. Ten lekki szkic, to figura jedna z najgłębiej (choć bez namysłu) pomyślanych, jakie kiedykolwiek poeta jaki począł w pogardzie dla *des Lebens flach alltägliche Gestalten.*

Jedna z tych istot, których imieniem jest *płaskość*, jak płochość jest podług *Hamleta* imieniem kobiety. Jedna z tych mechanik ludzkich, które wyglądają zupełnie jak człowiek, umieją nawet mówić; rozumu mają tyle, żeby się ustrzedz śmieszności, potrafią udać i myśl i zdanie, i uczucie nawet, a wszystko

powtarzają tylko. Własnego niema w nich nic, ani myśli, ani zdania, ani uczucia, ani charakteru, tylko jedno: zwierzęcy instynkt zachowania siebie, i zdolność stosowania się do ludzi i okoliczności, ta wrodzona roztropność, żeby przeciw prądowi nigdy nie płynąć. Ojciec Chrzestny jest mechaniką tak dobrze złożoną, że nie byłoby nic dziwnego, gdyby swoich współczesnych oszukał, gdyby uchodził w ich oczach za rozumnego i poważnego człowieka. Jako deputowany umiałby mówić, a to coby mówił, zdawałoby się mieć myśl i sens; jako urzędnik przestrzegałby ściśle swojej urzędowej powagi; jako dyplomata zwłaszcza, miałby klasyczną postawę i ułożenie; a właściwem jego przeznaczeniem jest po długiej służbie szambelańskiej, umrzeć szczęśliwym mistrzem ceremonii. Płytkość tej głowy i zdolność łatania słów i myśli zasłyszanych, odkrywa się wybornie w pustych oklepanych frazesach jego pierwszej przemowy: »Jerzy Sta»nisławie, dopiero coś wstąpił do towarzystwa ludz»kiego i t. d.«: ale pomysł, żeby tę figurę strach i instynkt zachowania siebie zapędził do obozu Pankracego, żeby ten sam Ojciec Chrzestny przychodził do Henryka w charakterze parlamentarza (zawsze pojednawczy, bo zawsze na dwóch stołkach), i missyę swoją zaczynał od tego, że »całe *jego* życie (o jego życie przedewszystkiem chodzi) było obywatelskiem«, ten pomysł jest po prostu gienialny, to z tej figury podrzędnej robi wielką kreacyę, typ wielce prawdziwy i głęboki.

Z tą sceną chrztu zaczyna się kara Henryka, a ukarany jest tem, czem zgrzeszył. Ta biedna żona, która niby nie była na jego wysokości, nie rozumiała jego natchnień i marzeń, rozumiała więcej, niż się na pozór zdawało; czuła, jak on ją sądził, wiedziała, że ją miał za niegodną siebie. Jak na to poradzić, nie wiedziała: ale w prostocie swojej, w swojem uwiel-

bieniu dla niego, wierzyła, że tak jest. Cierpiała więc i dręczyła się, wyrzucała sobie że jest jego żoną, że jest nią na jego nieszczęście! gdyby nie ona, on może byłby szczęśliwym. Tego już ona nie odmieni: ale gdyby na świecie on miał choć jedną istotę sobie równą, choć jedną, którąby mógł kochać, gdyby jej dziecko godniejszem było od matki miłości ojca, może ojciec byłby przez to choć trochę szczęśliwym, możeby i jej wtedy darował jej małość i nicość! Hrabina tak się tem dręczy, tak tego pragnie całą duszą, że wreszcie zrywa się równowaga tej duszy. Nieszczęśliwa wpada w obłąkanie, błogosławi syna, i tem błogosławieństwem wlewa w niego poezyę, »żeby go ojciec kochał i nie odrzucił kiedyś«, przeklina go, jeżeli nie będzie poetą. Hrabina oszalała na poezyę.

Szaleństwo to, pochodzące z miłości i cierpienia, z wytężonej woli, żeby zrównać temu którego kocha i uszczęśliwić go, jest i psychologicznie niezmiernie trafnem, i w najwyższym stopniu chwyta za współczucie. Rozdzierający jest widok tej biednej waryatki, szczęśliwej swojem szaleństwem, bo teraz »wszystko pojmie, zrozumie, wygra, wyśpiewa, bo mąż już nią nie pogardzi, ona jest pełna natchnienia, ona równa jemu«. Modliła się o to długo, pokutowała i biła się w piersi, prosiła Boga, żeby spuścił na nią ducha poezyi, aż wreszcie Bóg jej wysłuchał i stała się poetą; nieszczęśliwa bierze za zesłanie ducha poezyi tę chwilę, w której rozum jej się pomięszał. Ale nic okropniejszego, nic tragiczniejszego, jak położenie Hrabiego. Wiedzieć że jest przyczyną tego stanu żony, widzieć ją w domu obłąkanych szczęśliwą swojem szaleństwem, bo kochającą zawsze i myślącą tylko o tem, że stała się równą jemu, mówić sobie że to skutek marzeń, żądań i samolubnych wybryków jego fantazyi,

to straszne. Szlachetna natura Hrabiego odzywa się gorzkim wyrzutem sumienia: »Na jakiejże poduszce ona dziś głowę położy i t. d.«

Ale jest coś straszniejszego, coś tragiczniejszego jak to. Zaledwo Henryk uczuł to piekło zgryzoty i wyrzutu sumienia, w chwili, kiedy szczerą uczuł boleść i żal do samego siebie, w tej samej chwili słyszy głos zkądciś, który mu szepcze po cichu »dramat układasz«. Ten głos, który on nazywa swoim szatanem, to nie głos z zewnątrz, on jest w nim samym. On to wie, że tyle razy swoje uczucia przesadzał, wmawiał w siebie, udawał przed sobą, żeby wywołać w sobie jakieś silniejsze wrażenie i cieszyć swoją wyobraźnię, że teraz już sam nie jest pewny, sam nie dowierza, czy on rzetelnie i na prawdę czuje, czy w siebie wrażenie wmawia, czy poetyzuje. On w tym razie czuje na prawdę, jest szczerze nieszczęśliwym, żałuje żony, siebie oskarża: a przecież ma wątpliwość, czy to prawda czy udanie. On tyle razy zmusił swoje uczucie do kłamstwa i udawania przed sobą samym, że już mu wierzyć nie może: już jego sumienie nie wie, co w nim jest prawdą, a co fałszem, poetyzowaniem siebie. *Hamlet* przez nadużycie refleksyi dochodzi do rozprzężenia woli, nie wie czego chce i czy chce: ten przez nadużycie fantazyi dochodzi do czegoś może jeszcze boleśniejszego, traci świadomość i pewność swego uczucia, nie wie czy czuje na prawdę, czy mu się to tylko zdaje. To rozdwojenie uczucia na dwa, na doznane, na to co jest, i na to drugie wątpiące, pytające, ta konieczność niewierzenia sobie samemu i drgnięciu swego serca, to jest stan człowieka jeden z najstraszniejszych, najtragiczniejszych, jakie się dadzą pomyśleć lub spotkać w życiu lub w poezyi.

Ale przez te sceny domowe, przez te smutne obrazy stosunku dwóch dusz, przebija już to, co się dzieje w świecie poza niemi, co niebawem ma wystą-

pić w poemacie. Jak głuchy daleki grzmot, jak przytłumiony huk zapowiadający trzęsienie ziemi, odzywają się w domu obłąkanych ze wszystkich stron dokoła celi Hrabiny głosy pomięszane, straszne, głosy rozpaczy lub wściekłości, szalone praeludium do tej walki, która nastąpi, odbicie w małych rozmiarach w domu obłąkanych tego, co równocześnie dzieje się, myśli i mówi na świecie niby zdrowych. Jeden woła: »Na »rusztowanie głowy królów i panów, odemnie poczyna »się wolność ludu«, drugi tak się trzyma dawnego porządku rzeczy, tak wierzy w przeszłość, tak się z nią zrósł, że oszalał na nią, sam się królem mniema, każe przed sobą klękać. Inny, który znać cierpiał wiele nad światem i chciał go ratować jakąś nową wiarą, dostał obłąkania innego, mniema, że niósł światu objawienie, i żali się, że »w łańcuchy spętaliście Boga — jeden »umarł na krzyżu, ja drugi Bóg, równie wśród katów«. Jeszcze inny widzi i czuje tylko, że się wszystko łamie, wszystko targa, wszystko przewraca i wali, i wszystko kończy, i rozpacza gorzko nad światem: »kometa na niebie już błyska, ¦dzień strasznego sądu się zbliża«. Każdy z tych waryatów, to wizerunek tysięcy ludzi; ich słowa, to hasła uczuć w tysiącach piersi; wszystko to jest między nami, i ta wściekłość, i te rozpacze, i ten co się gniewa że choć trzech królów zabił, «dziesięciu jest jeszcze i księży »stu śpiewających »mszę«, i ten co się żali, że słońce trzecią część blasku straciło i gwiazdy zaczynają potykać się po drogach swoich. Nad wszystkimi góruje swoim przerażającym tonem szaleństwo Hrabiny. Ona wie, że sama jest w szaleństwie, wie, że na około niej wszyscy szaleją, czuje teraz, choć dawniej zapewne nie wiedziała, że świat cały moralny i społeczny, porwany jakimś szalonym wirem, sam nie wie gdzie idzie. Więc wszystko szaleje? Nie, jeszcze nie; Bóg jeszcze się trzyma, ale kto wie? może i jego porwie

to powszechne obłąkanie. Ona przypuszcza że i do tego przyjść może, i jak ciekawość, jak tajemnicę, powierza mężowi, coby »było, gdyby Bóg oszalał«: a co najstraszniejsze, to, że w tych urojeniach jej szaleństwa jest coś podobieństwa do tego, co ona widzi, do rzeczywistości, że choć »człowiek każdy, robak każdy, »nie krzyczy, ja Bogiem« — ale woła przynajmniej »ja »środkiem i celem świata«, że »krzyż, nadzieja milio»nów« istotnie słychać, jak »łamie się, pęka i rozlatuje w kawały«. Tylko Hrabina w obłąkaniu swojem widzi, coby się stało gdyby Bóg oszalał, myśli że to »Chrystus rzucił swój krzyż w otchłań« i dla tego myśli, że nic z niego nie zostało tylko »wielki tuman«. Jej szaleństwo wyciąga logicznie ostatnie konsekwencye rzeczy. Ludzie o zdrowych zmysłach, choć słyszą, jak wszystko, i krzyż nawet »łamie się i rozbija w kawały«, wiedzą że tylko ludzkie ręce próbują rzucić go do otchłani, i że jej przepowiednia nie spełni się, bo świat tylko oszaleć może, ale jego granice są i kresem szału: a myśl zbawcza, myśl opatrzności, nienaruszona i wieczna, unosi się nad nim, jako lekarstwo na wszystkie obłąkania naszych rozumów i woli.

II.

Orcio. Jego natura jest karą Henryka. Potrzeba dwóch pierwszych części poematu. Właściwa tragiczność Henryka. Pankracy. Jego przeszłość i teraźniejszość. Jego tragiczność. Powód jego pociągu do Henryka. Tło obrazu. Pierwiastki, stopnie i typy rewolucyjnych popędów. Czego Henryk szukał w obozie Pankracego?

Trzyma się Krasiński w *Nieboskiej komedyi* tego zwyczaju, że każdą część swego poematu poprzedza wstępem, który jest jakżeby prologiem i uwerturą do dyalogów i scen w niej objętych, i charakterystyką tej postaci, która w niej główne miejsce ma zajmować.

Tak wstęp do części pierwszej odnosi się do Henryka, trzeciej do Pankracego; wstęp do drugiej, poświęcony jest synowi Hrabiego, nieszczęśliwemu małemu poecie Orciowi. Przepyszny, pełen wdzięku i smutku jest opis tego dziecka, które »nie hasa na kijku, much nie »morduje, nie wbija na pal motyli, nie tarza się po »trawnikach, nie kradnie łakoci, nie oblewa łzami »wszystkich liter od A do Z, tylko czoło opiera na »rączkach i zdaje się marzyć, a jak kwiat obarczony »rosą, tak skronie jego obarczone myślami«.

Co jest tajemniczego, co tak smutnego i fatalnego w tem dziecku, że »cyganka, wpatrzywszy się w jego »rękę, nie powiedziała nic, jęcząc odeszła, i dukata »wziąć nie chciała?« co za dziwna siła, że magnetyzer, który je chciał uśpić, przeląkł się, bo uczuł, że sam zasypia? ksiądz chciał uklęknąć, jak przed świętym obrazkiem; malarz, który go widział w chwili gniewu, wymalował za małego dyabełka w obrazie sądu ostatecznego? Co jest w tem dziecku, że ono wygląda jak kwiat, któryby miał duszę, ale jak kwiat zwiędły i usychający?

W tem dziecku tkwi zawsze kara ojca, pod inną formą ta sama zawsze kara, i męka: poezya. Nadzwyczajności, marzeń, natchnień, żądał on zawsze, gardził ludźmi i życiem dlatego, że poezyą nie były, żonę porzucił, bo mu dość wzniosłą nie była; a teraz za karę ma w synu czego chciał: natchnienie, marzenie, intuicyę, poezyę czystą, i to staje się dla niego źródłem nieskończonych udręczeń i zgryzot. Orcio jest stworzeniem najpiękniejszem, najczystszem, najidealniejszem, jakie się da pomyśleć; wszystko w nim wzniosłe, przejrzyste, eteryczne. To jest aniołek: ale nie czerstwy, zdrowy, swobodny i dziecinny aniołek malarzy włoskich, tylko zamyślony i tęskny aniołek, który choć w dziecinnych latach i kształtach jest poetą, jak wyrobiony człowiek myśli, czuje, tworzy i cierpi. Wszy-

stkie najdroższe dary zlały się na tę główkę dziecinną; tylko jedno nieszczęście, jest ich za wiele! jest ich tyle, że to stworzenie wiecznie niemi gdzieś w górę unoszone na ziemi nie żyje, jest tak wzniosłe i piękne, że nigdy człowiekiem być nie potrafi. Orcio to nie człowiek, to czysty duch, to jakiś dźwięk, poetyczne zjawienie, ale ziemskiego, cielesnego w nim tak mało, że on bez swojej winy i wiedzy w rzeczywistości żyć nie może, on o niej nie wie, ani ona o nim. Od pacierza, który w swoich zwyczajnych słowach nie może wejść mu do głowy, tylko staje się poetyczną waryacyą na temat Zdrowaś Marya, aż do ciągłego przebywania wśród świata niewidzialnego, do tych widzeń i rozmów z duchem zmarłej matki, wszystko dowodzi, że rzeczywistość, w jakiejkolwiek swojej formie, dla niego nie istnieje, że on na tym świecie wprawdzie jest, ale żyje po za nim; jego rzeczywistością jest to, co dla nas niewidzialne, niedostępne i niepojęte. Ciało wątłe, kwiat opadający, do tego życia nie należy wcale, samo nie wie, na co jest i co ma z sobą robić; i dlatego choć, nie chore, nie cierpiące, jest przez całe życie mdlejące i opadające. Koroną tego wszystkiego jest ślepota biednego chłopczyny; źrenice jasne, czyste, błękitne, na pozór najzdrowsze i najżywsze z ludzkich źrenic, a na prawdę martwe i ociemniałe bez ratunku. Na cóż mu oczów, które patrzą w ten świat podpadający pod zmysły, kiedy on ma jakiś swój wzrok inny, wewnętrzny, którym widzi dobrze ten świat w którym żyje. Ale ojciec, który tę ślepotę widzi, musi sobie mówić, że syn jego nie dla ziemskiego życia, ani ono dla niego, i cierpi. A cóż dopiero później, kiedy w czasie walki biedny ślepy Orcio nie widzi tego, co się koło niego dzieje, rzeczywistości wypadków, ale swoim drugim wzrokiem widzi ostatnie ich przyczyny, widzi w zawalonej baszcie sąd na ojca, i powtarza mu te słowa, »za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił prócz

siebie«; jakąż karą i męką dla ojca są te natchnienia, ta poezya syna! jak on cierpi nad jego losem naprzód, a potem nad tym jego darem wieszczym, przez który to dziecko w stanowczej, najboleśniejszej chwili staje się dla niego tak okrutnym, takim surowym i nieubłaganym sędzią.

Ale oprócz poetycznej piękności i smętnego wdzięku tego Orcia, oprócz tego pomysłu w poezyi bardzo oryginalnego i prawdopodobnego, choć nie wiedzieć, czy byłby takim wobec psychologii i fizyologii, tego fenomenu moralnego zapatrzenia się, przez które Hrabina dała swemu dziecku duszę jaką mu dać chciała, i oprócz tego jeszcze, że w rzeczywistości, istotnie jak tu w poemacie, dziecko bywa czasem dalszym ciągiem i wyższą potęgą natury i myśli ojca; oprócz tego wszystkiego jest w tym pomyśle pewna prawda moralna, którą poeta sam pomija, nie wskazuje jej wyraźnie, ale która przecież logicznie z natury Hrabiego Henryka wypływa. Henryk poeta, Henryk przejęty swoją własną wyższością, i wreszcie Henryk dumny z rodu i zakochany w jego wielkości i sławie, przez całe swoje życie, jeżeli myślał o synu (myślał, że go mieć będzie), zawsze widział go człowiekiem wyjątkowym, dzielniejszym, mędrszym, wyższym od innych; innego nie przypuszczał. Jego syn zwyczajnym średnim człowiekiem być nie może, musi mieć naturę wyjątkową i nadzwyczajną! W tych marzeniach o synu, w tych pragnieniach dla niego, Henryk myślał o sobie i siebie kochał; instynktem, nie rozumując, takiego syna chciał i takiego kochał, któryby podchlebiał jego miłości własnej, jego dumie. I znowu ukarany jest tem, czem zgrzeszył. Jego syn jest wyjątkiem, jest nadzwyczajnością, ale jest nią zanadto; jest do tego stopnia, że przez swoją nadzwyczajność ani na tym świecie żyć, ani ojcowskich marzeń o sławie spełnić nie może, że nie może być dla niego ani podporą, ani

dziedzicem jego myśli i domu, ani pociechą; owszem, sam nieszczęśliwy, staje się nieszczęściem i dla ojca, przez to tylko, że jego żądania spełnił i przeszedł.

Jeden jeszcze szczegół, na który trzeba zwrócić uwagę, to nadzwyczajna drażliwość i delikatność natury tego Orcia. Tak wątły jak jest, on jako poeta jest silny, wystarcza sobie, *odit profanum vulgus*. I on także nie jest śpiewakiem dla ludzi, on o swoich widzeniach i natchnieniach nie mówi. Dopóki jest dzieckiem jeszcze, fantazyuje przed ojcem bezwiednie na temat Zdrowaś Marya, i powtarza wiersze, które słyszał od swoich duchów; ale z latami zamknął siebie i wszystkie skarby swojej poezyi, i jak skąpiec ma je dla siebie, nie pokazuje nikomu. A tak jest w tem dumny i zazdrosny, tak trzyma na wodzy swoje myśli i uczucia, że one, potrzebując koniecznie wylać się na zewnątrz, mogą to uczynić tylko wtedy, kiedy jego wola i świadomość siebie jest nieczynną. Jak zgryzoty sumienia Lady Macbeth, tak natchnienia Orcia wyjawiają się raz tylko i bez jego wiedzy, w somnambulizmie. Dopiero w twierdzy Św. Trójcy, kiedy widzi ów sąd na ojca, wtedy nie kryje się przed ojcem i odpowiada na jego pytania; ale w tej scenie cel autora był oczywiście nie ten, żeby biedny niewinny syn miał straszne widzenie, ale żeby się o tem widzeniu ojciec dowiedział.

Rozdzierające i coraz smutniejsze są słowa, któremi Henryk użala się nad synem: »mnieś przynaj»mniej obdarzył siłą na wytrzymanie natłoku myśli, »namiętności i uczuć. A jemu? dałeś ciało do paję»czyny podobne, które lada myśl wielka rozerwie«. A potem ta prośba tak smutna, w której on zrzeka się wszystkiego, tylko żeby mógł »dziecię kochać w spokoju«. I tu już żaden zły duch nie przerywa mu i nie mówi »układasz dramat«! w to uczucie, w ten ból on nie wątpi. A dalej odzywa się ten sam, tylko

w wyższej potędze, słowami jeszcze smutniejszemi: »Biedne dziecię, dla win ojca, dla szału matki, prze»znaczone wiecznej ślepocie, bez namiętności, ży»jące tylko marzeniem, cień przelatującego anioła rzu»cony na ziemię... Gdzie się mam upomnieć o krzy»wdę mojego dziecka! Bóg się z modlitw, szatan »z przekleństw śmieje«. Wreszcie to ostatnie, kiedy już słychać grzmoty nad głową, kiedy już Henryk wie, że za chwilę będzie musiał stanąć do walki a Orcia zostawić, nie myśleć o nim, nie patrzeć w jego oczy, nie czuwać nad jego snem, i kiedy go na pożegnanie błogosławi, a takim tonem, jak żeby go przepraszał, że mu dał życie: »Niech moje błogosławieństwo spo»czywa na Tobie! Nic ci więcej dać nie mogę, ni »szczęścia, ni światła, ni sławy, a dobija godzina, »w której będę musiał walczyć. Gdzie się ty podzie»jesz, sam jeden i wśród stu przepaści, ślepy, bezsilny, »dziecię i poeto razem, biedny śpiewaku bez słucha»czy, żyjący duchem za obrębem ziemi, a ciałem do »ziemi przykuty, o ty nieszczęśliwy, najnieszczęśliwszy »z aniołów, o ty mój synu!«

Doprawdy po tych wszystkich kolejach ma Henryk prawo powiedzieć, że odkrył »grobową próżnię »w sercu swojem. Znam wszystkie uczucia po imieniu, »a żadnej żądzy, żadnej wiary, miłości nie ma we mnie, »jedno kilka przeczuć krąży w tej pustyni, o synu »moim, że oślepnie, o towarzystwie, w którem wzro»słem, że rozprzęgnie się, i cierpię tak, jak Bóg jest »szczęśliwy, sam w sobie, sam dla siebie«.

Czy doszedłszy do tego, osądziwszy sam siebie tak rozpaczliwie, on się upamięta? Nie. Anioł Stróż w tej chwili przypomina mu dawną naukę Aligiera, żeby kochał ludzi w czynie: »schorzałych, zgłodniałych, »rozpaczających pokochaj, bliźnich swoich, biednych »bliźnich swoich, a zbawion będziesz«; ale on dawnym zwyczajem słucha dawnych pokus swoich. Jednego

wrażenia nie doznał, jednej poezyi nie wypił do dna, nawet nie zakosztował dotąd, władzy i walki. I kiedy zły duch, jak orzeł unosząc się nad nim, kusi go do chwały, każe mu nie ustąpić nigdy, i obiecuje że wrogi jego pójdą w pył, on nie pyta i nie dba czy to »fałsz czy prawda, zwycięstwo czy zguba«, ale wierzy, posłannikowi chwały: »Przeszłości, bądź mi ku po»mocy, a jeźli duch twój wrócił do łona Boga, niechaj »się znów odezwie, zstąpi ku mnie, stanie się myślą, »siłą i czynem«. Jak żmija strącona nogą w przepaść, tak jego przeciwnicy stoczą się na »dół i po nich żalu nie będzie, sławy nie zostanie«. On wie, co go czeka, kiedy idzie walczyć z bracią swoją: »oni naprzód, ja potem« mówi, ale myśli, że po nich sławy nie zostanie, a on ją po sobie zostawić potrafi.

Na tem kończą się dwie pierwsze części *Nieboskiej*, te w których Henryk występuje nie w walce z Pankracym jeszcze, nie jako jedna siła w społeczeństwie przeciw drugiej, ale sam z sobą i w codziennych, zwyczajnych stosunkach i obowiązkach człowieka. Dlaczego chciał go poeta w tych stosunkach i obowiązkach pokazać? To, co ma nastąpić, mogłoby zdaje się obejść się bez tego, co było dotąd. Hrabina i jej szaleństwo, Orcio i jego ślepota, wszystko to nie było koniecznem; Henryk bez tej żony, bez tego syna, mógł był tak samo walczyć z Pankracym. Być może. Tylko bez tego wszystkiego nie mógł być Henrykiem, człowiekiem naszego wieku, chciwym wrażeń, z fantazyą zwróconą na siebie samego. Naprzód, typ taki miał prawo figurować w poezyi naszego wieku, powtóre, tylko taki mógł prowadzić walkę z Pankracym tak, jak ją prowadzi Henryk, z tą dzielnością, z tym uporem, z tem stałem postanowieniem, żeby nie ustąpić. Jakiż bowiem pierwiastek pomiędzy obrońcami dawnego porządku rzeczy, dawnego społeczeństwa, mógłby prowadzić tę walkę z taką energią i z takim

uporem? Interes, własność, kapitał, industrya, posiadłość ziemska? nie, ta się broni, ale w pewnej chwili, oblicza, że lepiej coś zachować, jak wszystko stracić, i poddaje się; to cała zgraja ludzi bogatych w twierdzy świętej Trójcy. Czy roztropność, wyrachowanie, umiarkowanie? Te przejdą łatwo na stronę mocniejszego, i z Ojcem Chrzestnym uznają, że ich obowiązek obywatelski nakazuje im znaleźć się w obozie Pankracego. Czy arystokracya, nazwiska, tytuły, genealogie? nie, przychodzi chwila, kiedy się to wszystko zrzuca, jak balast z tonącego okrętu, byle uratować życie; Hrabiowie i książęta z Św. Trójcy błagają Pankracego o życie. Religia wreszcie? ta nie walczy; prześladować się daje, ale nie wydaje bitw: naprzód, bo to nie jej powołanie, powtóre, że ziemską bronią i siłą zwyciężyćby nie mogła i wreszcie dla tego, że cokolwiek się stanie, ona wie, że nikt i nic nie potrafi jej wyśledzić w sercach, w których jest i tam ją pokonać; wie, że jej panowanie może mieć zakres szerszy lub ciaśniejszy, że może być otwartem lub tajnem, ale jest pewna że go nie straci, zwycięzców się nie boi. Nie w interesie więc, nie w politycznych teoryach, nie w wyobrażeniach kastowych, nawet nie w uczuciu religijnem znalazłby popęd i siłę człowiek, któryby chciał walczyć na śmierć i życie.

Trzeba takiego, któryby naprzód objął to wszystko potężną intelligencyą i wystąpił za całość zagrożonych zasad, uczuć lub interesów; na to Henryka stać. Powtóre trzeba takiego, który broniąc swojej sprawy, widziałby nie jej rzeczywistość tylko, ale jej principium, jej ideał; któryby był przywiązany nie do faktycznego stanu rzeczy, nie do tego historycznego rezultatu, do którego doprowadziły zasady za które on walczy, ale do ich pojęcia idealnego, do tego stanu rzeczy, jaki one wydać powinny. Słowem takiego, któryby historyę i społeczeństwo pojmował idealnie,

a kochał poetycznie; trzeba było poety. Takim jest Henryk. On nie ma zapału ani przywiązania, owszem on ma pogardę dla wszystkiego co jest; on, jeżeli ma lub miał jakiegoś króla, nie wierzy w niego i nie czci go tak, jak kiedyś wierzyli w swoich królów ludzie średniowieczni; on wspólności przekonań i interesów z ludźmi swego obozu nie czuje wcale, co najwięcej rozumuje ją i wmawia w siebie. Ale on myśli o ideale tego wszystkiego. Czy ma nadzieję lub nie, że dawne rycerstwo potrafi odkwitnąć, że monarchia znajdzie jeszcze reprezentantów świetnych, jak niegdyś, rycerskich i poetycznych Hohenstaufów, Warneńczyków ginących na polu bitwy, Henryków Czwartych i tym podobnych, to wszystko jedno: on wie, że to było i że być powinno, i dlatego, dla miłości tych rzeczy pięknych jakie były, broni tego, co dziś jest, choć go to mierzi. A w odrodzenie tej piękności może wierzy, bo się sam czuje do tamtych ludzi podobnym, czuje w sobie odwagę, honor, rycerskość, popęd do wielkich czynów i t. d. Poprostu on swoją sprawę kocha nie wiarą, nie przekonaniem, ale fantazyą, poetycznie. On żałuje tego świata, który w jego oczach ginie, bo był piękniejszym i poetyczniejszym od tego, na który się zanosi. Może on sam nie bardzo wierzy w Boga, ale mówi sobie, że okropny byłby świat, któryby w niego nie wierzył, nie widział żadnego nieba nad sobą; może on nie szanuje cywilizacyi dzisiejszej, ale patrząc na obóz Pankracego mówi sobie, że z niego lepsza nie wyjdzie; on żałuje, jak artysta, pięknej malowniczości świata i historyi, mówi sobie, że z nim razem zniknie i bujna, dawna indywidualność człowieka, i wszystkie piękne ozdoby świata; Pankracego obóz nie zbuduje gotyckich wież, nie wystawi Wenecyi ani Watykanu, nie wyrzeźbi Mojżesza, nie wymaluje Transfiguracyi, nie wyda ani Cyda, ani Godfryda, ani Sobieskiego; pię-

kność zniknie w tym świecie materyalnych pragnień, zniknie z historyi, ze sztuki, z obyczaju, a on tęskni za nią, i pyta jak ten świat wyglądać będzie bez niej, bez jej śladów przynajmniej, choćby tylko bez jej złudzeń.

Musiał więc Henryk być poetą, a żeby go jako takiego przedstawić, potrzebował Krasiński dwóch pierwszych części *Nieboskiej*. Ale prócz tego potrzebne one były na to, żeby tragiczność tej postaci wydała się w całej swojej okropności. Tragiczność ta bowiem polega zapewne w tem, że on sam w siebie nie wierzy, że walczy i ginie i poświęca się dla myśli w której nie ma słuszności i prawdy, ale nadewszystko tkwi ona w tem, że on nie wierzy w swoją sprawę, że broni porządku rzeczy, którego nie szanuje i nie lubi. »Postęp, szczęście rodu ludzkiego! i ja kiedyś »wierzyłem — ot macie, weźcie głowę moją, byleby... »stało się, teraz trza się mordować nawzajem, bo te»raz im tylko chodzi o zmianę plemienia«. Tragiczność Henryka leży w tem, że on wierzył kiedyś w tę wolność, w tę równość, w to uszczęśliwienie ludzi, za które niby walczy Pankracy; wiara jego młodości, jedyny może zapał jego życia był przy tej sprawie: a teraz on musi walczyć po stronie przeciwnej, on, który chciał być apostołem przyszłości, musi być rycerzem przeszłości? Dlaczego? bo ta przyszłość, którą pojmował także wysoko i uczciwie, którą miał za prawdziwe podniesienie i uszlachetnienie ludzkości, objawiła mu się jako nowe wcielenie wszystkich starych zbrodni świata; bo na samym wstępie, w pierwszym kroku, jaki chciał zrobić ku urzeczywistnieniu swoich humanitarnych marzeń, powiedział mu Pankracy, żeby sobie wybił z głowy miłość i braterstwo i tym podobne frazesy, a znał rzeczywistość, którą jest gilotyna i nóż. To rozczarowanie człowieka, który wolność i postęp kocha, a musi patrzeć, jak pod ich pozorem chodzi

»o zmianę plemienia«, i przekonawszy się o tem, nawraca, zamyka się w świętej Trójcy, nie z miłości ludzi ani form które się tam zamknęły, ale dla tego, że tam jeszcze widzi religię, rodzinę, i własność, których u Pankracego nie ma, i dla tych musi bronić twierdzy ze wszystkiem co ona w sobie zawiera, to jest prawdziwa tragiczność Henryka, to jest straszne położenie człowieka szlachetnego w naszym wieku, położenie, w które go wpędził Pankracy, mówiąc, że »Bóg twój to mara, słowo »ojczyzna« to przesąd, honor, podarty łachman w sztandarze ludzkości, a Równość i Lud będzie dopiero wtedy, jak już krew wasza i szpik waszych kości, rozłoży się chemicznie i zniknie w przestworze«. Ta konieczność mimowolna, fatalna, robiąca konserwatystów z ludzi, którzyby właśnie chcieli nie zachowywać, ale zmieniać, bo widząc, że inni z kąkolem chcą wydrzeć pszenicę, bronią już kąkolu, byle nie dać wydrzeć pszenicy, to jest sam rdzeń tragiczności Henryka. Postać ta po raz pierwszy pojętą była z tej strony przez Klaczkę w Bezimiennym Poecie: »Zapewne, mówi on, bolesna jest pragnąć do»bra, przeczuwać je, a widzieć się bezsilnym przeciw »złemu; *Hamlet* doznał tej strasznej męczarni. Ale »człowiekowi naszego wieku było przeznaczonem do»świadczyć czegoś nierównie gorszego; tęsknić za do»brem, a być zmuszonym nie tylko znosić złe, ale go »bronić, z obawy czegoś jeszcze gorszego, ze strachu »przed otchłanią nicości. *Hamlet*, obrońca panowania »głupców i oszustów, Osrików i Poloniuszów, *Hamlet* »zasłaniający własną piersią tron zbójcy Klaudyusza, »a to wszystko dla tego, żeby się nie poddać logice »grabarzy, którzy sądzą, że »najwyższe szlachectwo »należy się garbarzom i grabarzom« — ironia to gorzka, »piekielna. A przecież taka rola spadła na Hrabiego »Henryka, do której bywa czasem zmuszony człowiek »liberalny XIX wieku. Walka to nierównie smutniej-

»sza i obfitsza w zawody, aniżeli bywały w czasach »niezbyt jeszcze odległych, bo w tej walce sami chwy»tamy się czasem na gorącym uczynku nie braku wiary »tylko, ale braku dobrej wiary; a dramat jest rozdzie»rający najbardziej przez to, że choć tak tragiczny »i »nie boski« niekiedy bywa przecież podobnym do komedyi«.

Zrobiono uwagę, bardzo trafną, że ten pierwiastek tragiczności w postaci Hrabiego Henryka, nie mógł być zrozumianym, dopóki świat europejski sam na sobie doświadczenia tego nie zrobił, i że na zrozumienie jego naprowadziły dopiero wypadki roku 1848-go. Dla tego to Mickiewicz tej strony w charakterze i działaniu Henryka nie dojrzał; może i dla tego poczęści, że nie znał, jak my, jego przeszłości w *Niedokończonym poemacie*. Otóż, żeby ta tragiczność główna i najwyższa w Henryku być mogła, musiał Krasiński przeprowadzić go przez takie koleje życia, któreby w nim nie zostawiły żadnych złudzeń, żadnego przywiązania do ludzi lub zasad. Henryk walczący z przekonania za cokolwiek, za jakąkolwiek monarchię, lub dynastyę, lub konstytucyę, byłby bohaterem piękniejszym może, sympatyczniejszym, ale nie tak strasznie tragicznym. Potrzebował Krasiński mieć go »z grobową próżnią w sercu«, doprowadzić go do tego stanu, w którym już żądzy żadnej, żadnej wiary ani miłości w nim nie ma. Rzeczywiście on tylko fantazyą żąda walki i sławy, ale w przedmiot walki nie wierzy; on go tylko fantazyą poetycznie żałuje, ale go nie kocha. Człowiek w tym stanie nie byłby dla nas zrozumiałym, gdybyśmy nie wiedzieli, jakim sposobem on do niego doszedł. I dla tego musiał Krasiński pokazać, że wypaliły się w nim wszystkie żądze, wiary, i miłości; musiał go przeprowadzić przez humanitarne marzenia do zwątpienia w nie (w *Niedokończonym Poemacie*), do zwąt-

pienia w marzenia poetyczne, w szczęście, we własne uczucia, w siebie samego, w dwóch pierwszych częściach *Nieboskiej*.

Pankracy nie wymagał tyle przygotowań; natura nie tak zawiła, człowiek z jednej sztuki; jego uczucia, jego dążności i koleje życia nie przedstawiają tylu stron rozmaitych, z którychby każda odbijała jakąś właściwość wieku. Jakkolwiek i kiedykolwiek on na drogę swoją wszedł, wie się, że szedł po niej z wielką logiką i konsekwencyą, aż doszedł tam gdzie go widzimy; że go po drodze nie wstrzymała żadna słabość uczucia, żaden przesąd zasad lub pojęć. Widząc jego teraźniejszość, zna się przeszłość, bo nie znając wypadków jego życia, droga jego myśli leży przed nami otwarta, równa i prosta i w jednym zawsze wytknięta kierunku. Zapewne, przeszłość Pankracego mogłaby dostarczyć wątku na poemat głęboki, jak przeszłość Henryka; i w nim byłby materyał na pierwszego bohatera, na główną figurę poematu. Ale tu jest drugą tylko, jest przytem postacią daleko mniej zawiłą, mógł więc Krasiński zostawić go w tyle zupełnie, nie wyprowadzać go psychologicznie i historycznie z przeszłych wypadków, i dopiero w chwili walki go pokazać. Ale przychodzi wreszcie i ta chwila; i jemu czas wyjść naprzód. I na nim znowu, jak na Henryku, jak na Irydionie i Massinisie, okazuje się ten szczególny dar, jaki miał Krasiński, kreślenia postaci prawdziwie wielkich, wybijania na nich piętna wyższości. W Pankracym jest siła ogromna. Jest intelligencya ścisła, sucha, ale potężna! jest ufność bezwzględna w swoją siłę; sprawiedliwym był poeta względem niego, i jeżeli Henrykowi dał miarę większą od miary zwyczajnych ludzi, tedy i Pankracy nie jest podług miary krawca. Czuć w nim siłę rozumu i woli, czuć, że stworzony jest do rozkazywania. Przepyszny jest kontrast tych

dwóch ludzi, ten poeta i marzyciel, który niegdyś wszystko brał uczuciem, dziś wszystko bierze fantazyą, naprzeciw tego człowieka pozytywnego, który tylko rzeczywistość zna i uznaje, którego duszy treścią i siłą jest logika, ścisła, nieubłagana, nie cofająca się przed żadną dedukcyą, tak ufna w siebie, że idzie śmiało i ślepo do ostatnich swoich konsekwencyi: a gdy te zawiodły, gdy się pokazało, że ta logika była złudzeniem, człowiek ginie, bo nic nie miał prócz tej logiki, nic mu już nie zostało, nie miał o czem żyć dalej. »Głos jego przeciągły, ostry, wyraźny, każde »słowo rozeznasz, zrozumiesz; ruchy jego powolne, »łatwe, wtórują słowom, jak muzyka pieśni. Czoło wy»sokie, przestronne, włosa jednego na czaszce nie masz, »wszystkie wypadły strącone myślami. Skóra przyschła »do czaszki, do liców, żółtawo się wcina pomiędzy »kości i muszkuły, a od skroni broda czarna wieńcem »twarz opasuje. Nigdy krwi, nigdy zmiennej barwy »na licach; oczy nie wzruszone, chwili jednej zwątpie»nia, pomieszania nie dojrzeć«. Oto opis zewnętrzny. Ale to nie jest ta bladość Kassyusza, której tak nie lubił Cezar; ponurość tej twarzy nie jest skutkiem zgorszenia ani oburzenia, nie smutku za jakimś ideałem straconej republiki, nie tęsknoty za ideałem jeszcze nie wcielonym. On nie zawoła konając jak Brutus »cnota jest tylko złudzeniem«, bo w to złudzenie on nigdy nie wierzył i nie gonił za niem. On namiętność znał kiedyś, (słychać ją w jego głosie w *Niedokończonym Poemacie*), dziś nie ma już ani namiętności nawet; ale złudzenia nie miał nigdy, bo to mieć mogą ludzie tylko zdolni coś kochać, coś czuć i w coś wierzyć. On nie kochał nic nigdy, nie szanował nic nigdy, wierzył tylko w swój rozum i w swoją siłę. Cóż on miał kochać? i dlaczego? Matka wydała go na świat, bo nie mogła zrobić inaczej; ojciec dał mu życie przypadkiem; wielkie pytanie, czy ma im za to

być obowiązanym lub nie. Miłość? on może kochał tak, jak człowiek je, śpi, odziewa się kiedy mu zimno, ale innej wartości, innego wdzięku, żadna kobieta dla niego nigdy nie miała. Szanować? cóż on miał szanować i dlaczego? człowieka? to stworzenie ma prawo starać się, żeby mu było wygodnie i dobrze, ale bardzo się myli, jeżeli sobie przypisuje jakąś wartość, zasługę, i chce być szanowanem, kiedy robi tylko to co wskutku swojej danej organizacyi fizycznej robić musi. Bóg jest dawno zarzuconym przesądem; prawo moralne sztucznie a nieraz przewrotnie ułożonym kodeksem czczych konwenijencyi. Cóż tu więc kochać? nic — co szanować i w co wierzyć? w swoją siłę, w swoją zdolność kierowania tem ludzkiem bydłem. Zkąd się to wzięło i co się z tem stanie, mniejsza: ale dziś to jest. Dusza tak wyschła i skostniała, że policzyłoby się jej za cnotę nawet zbrodnię popełnioną pod wpływem jakiegoś zapału, jakiegoś popędu, jakiegoś uczucia, byle zdobyła się na zapał i uczucie, bodaj złe: ale tego nie ma. I ta oschłość duszy, to że ona nic nigdy nie kochała, nie szanowała i w nic nie wierzyła, że czuć zdolna była tyle tylko, żeby nienawidzieć, to odbiło się w martwej, ponurej bladości jego twarzy, to wrzyna się żółtawym zmarszczkiem w jego skórę i muszkuły, to sprawia, że jego wzrok się nie rusza a kolor twarzy nie zmienia.

Portret moralny Pankracego znajduje się w *Niedokończonym Poemacie*, w jego rozprawie z Aligierem, a rysuje częścią w jego własnych, częścią w słowach tamtego. Oto co tam mówi ścisła i pozytywna logika Pankracego samego: »kto sądzi, że świat ukoi, temu »winszuję. Świat zgniły, szlachta polska zgniła. Rady »nie ma, być albo nie być. Ja chcę być. Kto godzi »w cel, ten środków się jak strzał zatrutych chwyta. »Przekleństwo bałamucącym na drodze dziejów, leni»wym i uczonym, miłosiernym i czystym. Brud nie

»brudem, gdy przezeń stąpa się do wszechludzkości, »zasady niech żyją, a niech ginie pół Europy«. A na to odpowiada Aligier »że ten człowiek gienialny jest, »duch ten potężny«, ale »możny zmysłami i namiętno»ścią i siłą jakąś okropną, utajoną w nim — lecz nie »potrafi rozmówić się ani z Bogiem modlitwą, ani »z mężem mądrością, ani z sobą samym wiarą i prze»konaniem. Ty, co powtarzasz tylko Lud, Lud, a ni»gdy naród nie powiesz; co chcesz wielkich rzeczy od »siebie się doczekać a od Boga nie poczynasz; co za »podstawę przyszłej budowy stawiasz mężobójstwo; »ty, co zawiścią zdjęty starasz się ją przemienić »w prawo wiekuiste postępu, i nadajesz nikczemnym »chuciom piersi własnej imię konieczności; wierzysz-li »sam temu, coś tu oświadczył przed nami?«

Na razie Pankracy odpowiada wymijająco, lub każe innym odpowiadać za siebie; ale przyszedł czas, że mu się to pytanie przypomni, że on sam zamyśli się nad tem, czy wierzy w swoją teoryę, w swój system. W tej chwili wyprowadza go poeta na scenę w *Nieboskiej komedyi*. On zrobił wszystko czego chciał, wszystko zwyciężył, świat jest jego; jego siła nie znalazła zaprzeczenia, jego teorya stała się rzeczywistością. I w tej chwili właśnie, kiedy dopiero mógłby w siebie i w swoje zasady zupełnie uwierzyć, on wtedy zaczyna wątpić. Już to nie ten Pankracy, co za młodu w zborze weneckim dążył i walczył wściekle, jak Tytan, a przemawiał ogniście i namiętnie, bo namiętnie chciał; on teraz już nie wie czego chce, czego ma chcieć i co ma robić. On na pozór jeszcze tak samo przemawia, trafia machinalnie na dźwięki i pozory swojego zapału, rzuca swoje słowa tłumowi ludzi, szermuje niemi z Henrykiem; ale tylko niemyślący tłum, co najwięcej zaślepiony fanatyk Leonard, może nie widzieć, że to brzęk pusty, z którego już dusza uleciała, powtarzane hasła, które dla

mówiącego straciły swoje znaczenie. Henryk, równy Pankracemu, nie daje się złudzić, przeziera go na wskróś; a on sam, wmawia w siebie wiarę w swoje zasady i w siebie, bo czuje instynktem, że kiedy tę straci, zostanie mu tylko rozpacz i śmierć. Ale on już wie tę rzecz straszną, że nie wie czego chce i czego ma chcieć. »Myśli moja, czyż nie zdołasz łudzić siebie »jako drugich łudzisz — wstydź się, przecie ty znasz »swój cel, ty jesteś panią ludu, w tobie zeszła się »wola i potęga wszystkich, i co zbrodnią dla innych, »to chwałą dla ciebie. Ludziom podłym, nieznanym, »nadałaś imiona, ludziom bez czucia wiarę nadałaś, »świat na podobieństwo swoje, świat nowy utworzy»łaś naokoło siebie, a sama błąkasz się i nie wiesz »czem jesteś?« — Rozpaczliwie, jak rozbitek ostatniej deski zbawienia, chwyta się Pankracy wiary w siebie i swoją myśl, odpycha te wszystkie pytania i wątpliwości. »Nie, nie, ty jesteś wielką« — mówi; ale robak zwątpienia już w nim jest, już go toczy. Jak Henryk w prawdę swoich uczuć, tak ten nie może wierzyć w prawdę swojej zasady, swojego celu, i środków któremi go dopiął — jak tamten ukarany jest spełnieniem swoich marzeń, tem czem grzeszył, poezyą — tak ten ukarany jest tem, czego chciał, urzeczywistnieniem swojej teoryi, zwycięstwem swojej zasady. Jak tamten tragicznym jest przez to zwłaszcza, że musi bronić tego co jest, nie wierząc w to i pragnąc czegoś lepszego, tak tragiczność Pankracego polega w tem znowu, że zrobiwszy co chciał, nie może dalej w swoje dzieło wierzyć, a musi je dalej prowadzić. On widzi, że przez niego na świecie została próżnia, czczość, przeczenie, nic innego nie znajduje koło siebie ani w sobie; zwalisk narobił, cały świat dawny roztrząsł jak nawóz pod jakiś zasiew. Ale gdy przyszło do zasiewu, on dopiero się opatrzył, że nie ma ziarna na zasiew, ani w nim, ani w tym porządku rzeczy, jaki stworzył.

Jego świat jeszcze o tem nie wie; jeszcze używa wczasu i obfitości, jeszcze upojony zwycięstwem nie patrzy na jutro, nie pyta co będzie, ale niebawem i on uczuje jakiś niesmak i niepewność; i on pozna, że to obozowanie, koczowanie, biesiadowanie i niszczenie, nie może wystarczyć na długo, nie jest stałem i prawdziwem życiem; a wtedy zapragnie czegoś innego i nowego. Wtedy przestanie chwytać łakomie jego słowa i wierzyć w nie. Przyjdzie chwila, że cały ten tłum uczuje czczość i próżnię, uczuje że już nie wie czego dalej chce, wpadnie w ospałość i prostracyę, a wtedy zawładnie nim ktokolwiek, choćby ten Bianchetti, który już w obozie Pankracego nosi w sobie zaród przyszłej arystokracyi, — a po dyktaturze niszczenia przyjdzie jakaś dyktatura rządzenia i używania, i wszystkie zbrodnie świata zrzucą nawet swoje szaty nowe i ubiorą się w dawne.

Takiej próżni i takiej rozpaczy w Henryku być nie może. On choć sam ulegnie, może wierzyć w słuszność i zwycięztwo swojej sprawy, może mieć nadzieję, że kiedyś świat ten będzie wyglądał tak jak powinien. Czy Henryk, choć rycerz i obrońca katolicyzmu, ma jaką religijną wiarę, to wątpliwe, ale uczucie religijne ma, on jakiegoś Boga nad sobą i nad światem zna, i dla tego może zdać się na niego, może umierać z pocieszającem słowem: kiedyś! Ale Pankracy, kiedy sam nadziei swoich nie urzeczywistnił, musi zwątpić zupełnie, bo jego sprawa nie jest zwyciężoną, owszem nigdy w szczęśliwszych warunkach nie była, zwyciężyła wszędzie, jest jedna na świecie, a on sam jest człowiek gienialny. Jeżeli z temi warunkami ona nic nie stworzy, to nie więcej dokaże w przyszłości, bo szczęśliwszych być nie może: to znak, że w samej tej sprawie musi być jakiś fałsz, jakaś niemożność życia, jakiś pierworodny błąd, że ona musi

być wielką utopią, skoro zwyciężywszy, nie może być, nie może trwać.

Dawniej, nie było w Pankracym nigdy złudzeń ani uczuć, ale była namiętność i wola; dziś namiętność się wypaliła, został tylko nałóg rozkazywania i władzy; a wola, ta wola, która niegdyś dumnie obejmowała całkowite przetworzenie świata, dziś osłabiona i chwiejąca ściąga się do przedmiotu bardzo małego, do celu, który niknie przy ogromie jej celów dawnych. Pankracy pewien zwycięstwa, nie myśli o zdobyciu św. Trójcy; wie że ją zdobędzie, plany i projekta zostawia drobnym ludziom, Bianchettim, Leonardom. On o jednem tylko myśli, jednego chce, widzieć się, rozmówić się, zmierzyć się z Henrykiem. »Dlaczego mnie, »wodzowi tysiąców, ten jeden człowiek stoi na zawa»dzie? Czemuż tak pragnę go widzieć, omamić? czyż »duch mój napotkał równego sobie?«

»Pospólstwo, choć nienawidzi wszelkiej socyalnej »wyższości i przeklina ją, przecież mimowolnie ulega »jakiemuś do niej tajemniczemu pociągowi, który je »niepokoi, a któremu oprzeć się nie może. W pięknym »obrazie Pawła Delaroche, ścięty Stuart ze swojej tru»mny jeszcze imponuje Cromwellowi... nic dziwnego »więc, że i Pankracy czuje pociąg nieprzezwyciężony »zobaczyć swego arystokratycznego przeciwnika, że »czasem chciałby go i ocalić«. Tłómaczenie to, słuszne i bystre, nie jest przecież zupełnem. Zapewne w tym pociągu Pankracego do Henryka jest i taka mimowolna ciekawość, i takie bezwiedne uznanie wyższości; ale jest tam pociąg głębszy, jak to wszystko. Henryk dlatego tak Pankracego nęci, tak go magnetycznie do siebie ciągnie, że jakikolwiek jest, ma to, na czem Pankracemu zbywa; ma jakiś świat moralny, ma rzeczy które szanuje, które kocha, w które wierzy. »Honor, to zdarty łachman wprawdzie w sztandarze ludzkości« mówi Pankracy: jednak wolałby, żeby ten

łachman przed nim się ukłonił, żeby mu przyznał słuszność, a on jest w ręku nie Jenerała Bianchetti ani innego podobnego, ale w ręku Henryka. »Ojczyzna«, to słowo, w które nikt nie wierzy: jednak byłoby lepiej, gdyby można pokazać, że pomiędzy tem pustem słowem a porządkiem rzeczy, stworzonym przez Pankracego, nie ma sprzeczności, że one się z sobą godzą. Rodzina także jest jedną z przestarzałych form życia, kobieta jest wolną; jednak, gdyby można dowieść, że te nowe formy życia nie przeszkadzają starym, i w tem nie byłoby nic złego. Własność jest niezawodnie nadużyciem; jednak odbieranie własności ma zawsze jakieś nieprzyjemne pozory, a te pozory zmyłyby się zupełnie, gdyby można dojść do porozumienia z ludźmi, którzy się tej zasady własności trzymają. Tego wszystkiego reprezentantem jedynym jest dziś Henryk tylko — a Pankracy, który w swojej drodze cały ten świat moralny zdeptał i pogwałcił, zazdrości Henrykowi, że resztki jego przechował. Gdyby jego potrafił pozyskać, przeciągnąć, gdyby tylko mógł zostawić go przy życiu, zrobić z nim kompromis, Pankracy czułby się sam przed sobą usprawiedliwionym, rozgrzeszonym. On w tej chwili, widząc, że w nim i w jego obozie nie ma prawdy, zaczyna przypuszczać, że u Henryka są może niektóre jej ziarna; i gdyby się z nim pogodził, dostałby niejako absolucyę i sankcyę dla swego dzieła od wszystkich tych praw moralnych, które przewrócił, od religii, ojczyzny, honoru, rodziny i t. d., i wtedy onby na nowo w swoje dzieło i w siebie uwierzył. Jego już ani nikt z jego obozu, ani on sam na duchu podnieść nie może, tylko Henryk; on swoimi gardzi, *fervide imitatorum pecus!* mówi o nich. Henryka szanuje i czuje do niego pociąg, nie dla tego tylko, że w nim znalazł człowieka równego sobie rozumem i zdolnością, ani dla tej próżnej chwały, żeby kark ostatniego arystokraty zgiąć do pokłonu przed

sobą, ale Henryk budzi jego ciekawość, szacunek i zazdrość, przez to, że ma jakieś prawdy, w które wierzy a przynajmniej które szanuje, a uznanie jego przez Henryka byłoby uznaniem jego przez te prawdy, przez cały ten porządek moralny, którego tamten broni.

A na jakiemże tle rysują się te dwie postacie? To jest właśnie co *Nieboskiej komedyi* nadaje wartość tak niepospolitą, co ją robi dziełem tak znaczącem w literaturze, nie polskiej tylko, ale w literaturze całej Europy. Niezawodnie faktem dominującym wieku, treścią jego historyi, jest Rewolucya, nieustająca, chroniczna; a jedynym w Europie poematem o niej, jedynem jej odbiciem w poezyi, jest *Nieboska*. Jej część trzecia, to obraz tych wszystkich doktryn, teoryi i namiętności, które wrą w łonie społeczeństw europejskich i nurtują pod niemi, tylko już zwycięzkich, już u celu. Jeżeli czego można żałować, to tego jedynie, że Krasiński za mało pojmował swoją poezyę ze stanowiska literackiego, że trafiwszy na pomysł gienialny i wielki, nie cieszył się nim, nie kochał się w nim tak, żeby się nad nim długo zatrzymywać i rozwodzić. Z jednej strony jest to niezawodnie piękne, ten brak miłości własnej artystycznej, to że on się ze swemi »dziećmi wieszczemi nie pieści«, ale z drugiej strony jest to szkodą nieodżałowaną. Wystawmy sobie innego poetę, któryby był więcej literatem jak on, więcej się w pomysłach swoich rozkoszował i o własną chwałę więcej dbał: taki, gdyby w wyobraźni swojej począł obraz tak wielki, niezawodnie nie żałowałby mu czasu ani miejsca, owszem usadziłby się na to, żeby swój pomysł wyzyskać i wyczerpać do dna, żeby go wykończyć, żeby każde ze swoich głębokich spostrzeżeń wyraźnie odznaczyć, wycieniować w osobnych figurach, grupach i scenach. Krasiński o to nie dba. Prawda, że *Nieboska* napisana jest od jednego rzutu,

prędko, bez planu, prawie bez zamiaru, ale też wszystko w niej jest szkicem, spostrzeżenia najgienialniejsze, sądy najgłębsze, zawarte są w kilku rysach; cały obraz jest jak pierwszy rzut kolosalnego kartonu, rzucony tylko kilkoma śmiałemi pociągnieniami węgla lub kredy. Tylko rzut jest mistrzowski; tylko inny, żeby lata prześlęczał nad malowaniem tego kartonu, nie byłby potrafił zrobić go tak, iżby on obejmował wszystko, co w nim być powinno, wszystko co w rzeczywistości w nim jest, i żeby każda część tej całości, każda siła w tej walce, miała tam swoje miejsce i swoją właściwą fizyognomię, żeby każda grupa lub każda figura ludzka, zaledwo naszkicowana, nosiła taką cechę prawdy i takie podobieństwo. Analiza namiętności rewolucyjnych i przedstawienie różnych powodów i różnych odcieni tych namiętności, są tak gienialne, że przedewszystkiem podziwia się w autorze głębokiego, przenikliwego znawcę społeczeństwa, który tak na wskroś przejrzał jego duszę i jego stan, że mógłby wydać się raczej politykiem jak poetą; prawieby się wydać mogło, że on chybił powołania i powinien był stać na czele jakiegoś rządu, chciałoby mu się powiedzieć, kiedy nas tak znasz i tak rozumiesz, skoro po twojej diagnozie pokazuje się, że czytasz w naszym organizmie społecznym jak w książce, to rządź, radź, może potrafisz poradzić! Naturalnie, co innego umysł spekulatywny i analityczny, który bada, a co innego umysł praktyczny, który rządzi; Krasiński zapewne nie byłby się okazał wielkim i w syntezie; ale jego analiza jest najśmielsza, najgłębsza i najwszechstronniejsza, jaką dotąd w literaturach zrobiono. Po tym hołdzie podziwienia dla mędrca, dla myśliciela i polityka, dopiero myśl zastanawia się nad poetą, dopiero ocenia jego wielkość, sztukę z jaką on wszystkie te żywioły walki społecznej wcielił w pewne grupy i postacie, oznaczone kilkoma rysami tylko,

a tak wyraziste i żywe, że żadnej nie brak tego, co stanowi jej istotny charakter; kilka pociągów pędzla, ale w tych kilku mieści się wszystko, co się w tej grupie lub jednostce ludzkiej mieścić powinno i może; każda dałaby się rozwinąć i rozciągnąć w osobne studyum, w osobny poemat, w osobny obraz, a w tem studyum, poemacie, obrazie, nie byłoby więcej ani dokładniej ani wyraźniej, jak w tych kilku rysach i słowach Krasińskiego.

Kiedy się zastanowić nad tym wielkim faktem naszego wieku, nad rewolucyą, dochodzi się do tej ostatecznej konkluzyi, że jego siłą poruszającą, jego principium życia jest to, iż jednym jest na świecie dobrze, drugim źle. To principium, widoczne i dające się czuć w każdym kroku i stosunku życia, działa różnie na różne ludzkie temperamenta i charaktery, i w różnych ludziach, w różnych warstwach ludzi, wydaje różne skutki, różne namiętności, z których dopiero składa się całość i siła rewolucyjnego prądu. Więc naprzód natury szlachetne i umysły oświecone, które szanując i kochając człowieka oburzają się na to, że jeden skazany jest na ciężką pracę ręczną, na życie trudu i niedostatku, że dzień bez zarobku pociąga dla niego za sobą dzień głodu, że ma życie nietylko bez swobody, bez wygody i wdzięku, ale, że nawet swojej istoty moralnej ani poznać, ani wyrobić, ani uszanować nie może, bo ta konieczność ciągłej pracy zaledwo pozwala mu wznieść się nad bydlę, kiedy drugiemu wszystko łatwo, wszystko wygodnie, wszystko przed nim otworem; takie natury szukając rady na to złe, powiadają, że radą jest wolność, równość, opieka prawa nad wszystkiemi, szkoły dla dzieci, każdemu dostęp do wszystkiego otwarty, zniesienie przywileju, usunięcie wszystkich zawad z drogi przed człowiekiem, który potem niech już idzie o własnej sile i dochodzi gdzie zdoła. To pierwsza demo-

kracya, dawna demokracya XVIII-go wieku, to, ze skłonnością do republiki lub przyzwyczajeniem do monarchii (wszystko jedno), demokracya z pierwszych lat rewolucyi francuzkiej, to Mirabeau, Lafayette, Girondyści, to rok 1789. Stanowisko dawno przebyte, rzecz marna, lekarstwo bez skutku. Po niem jak przed niem świat dzieli się na używających i pracujących. Tych ludzi w *Nieboskiej komedyi* nie ma — takim był kiedyś Henryk, kiedy »wierzył w postęp i szczęście rodu ludzkiego«, zanim go Pankracy przekonał, że »dziś chodzi o zmianę plemienia«.

Więc potem ci, którzy widząc, że to nie wystarcza, chcą czegoś, coby wystarczało; którzy z natury nie są okrutni, ani nienawistni, ale tak przejęci do żywego uciskiem wydziedziczonych, że go znieść nie mogą; a jeżeli on znieść się da tylko wydziedziczeniem innych, tylko gwałtem, a, to darmo, kiedy trzeba, to trzeba. Natury żywe i porywcze, sangwiniczne, przekonane o słuszności swego oburzenia, a więcej czujące niż rozumiejące, zapatrzone w jedną tylko stronę rzeczy, dochodzą na tej drodze do konkluzyi niezgodnych ze swoją naturą. Wierzą w siebie, w słuszność swego celu, swojej zasadzie służyć chcą szczerze; ale łatwe do opanowania, do pociągnięcia, dostają się w ręce woli i umysłu silniejszego od siebie, i przyjmują łatwo jego dedukcye. »To czego chcesz jest do»bre, jesteś o tem przekonany — dojść do tego nie »możesz tylko środkami, które ci są przeciwne? poj»muję to, ale jeżeli chcesz szczerze, i jeżeli ten cel »stoi u ciebie wyżej jak te środki?...« przez szczerą miłość dobrego, natury takie szlachetne a słabe, oswajają się z przeciwnem sobie złem, tak że gotowe są w końcu widzieć w niem obowiązek i bohaterstwo. To fanatycy szczerzy, niszczyciele w dobrej wierze, to Camille Desmoulins, przekonany o konieczności i skuteczności gilotyny, dopóki i jego fanatyzm i jego dobra

wiara pod nią nie poszła; to Leonardy wszelkiego rodzaju w służbie u Pankracych.

Nad niemi wielkie ambicye i potężne osobistości, wole niezłomne, temperamenta rozkazujące i despotyczne, stworzone na to, żeby rewolucyą kierować i zawładnąć; to ci w których skupiają się wszystkie rewolucyjne dążności i namiętności, w których jest oburzenie i fanatyzm poprzednich, ale nie ma miłości celu jak u nich, za to większa i głębsza nienawiść przeciwnika; w których instynkt władzy i panowania jest tak silny, że drze się do swego celu przez wszystko, choćby przez zwaliska całego świata; w których obok tej żądzy władzy, jest nieubłagana nienawiść i zazdrość do wszystkiego, co ją trzyma lub trzymać może, i wszystko to usunie sobie z drogi z zimną krwią, spokojnie, bo tak wymaga logika rzeczy; to Sylla i Mariusz i drugi triumwirat w Rzymie ze swojemi proskrypcyami; to Robespierre, to Pankracy wreszcie, to rewolucya, która wcieliwszy się w jednego człowieka połączyła się w nim z despotyzmem, i przez niego gotuje sobie grób, jemu dyktaturę. A poniżej tych dopiero, awanturnicy szukający karyery, pseudo-wojskowi szukający szlifów i szpady, jenerałowie Bianchetti szukający podkomendnych, na pół szaleni twórcy filozoficznych i religijnych systemów, Anacharsis Klootz i Herman syn filozofa w *Nieboskiej*, przyjmujący święcenie zbójeckie, bogini rozumu i kapłani tej nowej religii, której obrzędy święci Leonard: a pod tem wszystkiem dopiero najbardziej uniewinnieni, najbardziej usprawiedliwieni w nienawiści i zemście, prawdziwi wydziedziczeni życia, robotnicy warsztatów, kopacze podziemnych min, wyrobnicy pól, ci na prawdę »nę»dzni, ze znojem na czole z rozczuchranemi włosy, »w łachmanach, ze spiekłemi twarzami, z dłoniami »pomarszczonemi od trudu«, ci, co na prawdę patrząc na ludzi w dobrych butach, dobrej odzieży, wypoczy-

wających, nigdy nie głodnych, dotkliwiej od tamtych pierwszych czują różnicę rzeczy i bardziej mogą pytać dlaczego; ci pozbawieni wygody i wdzięku życia, którzy patrząc na ojca z dzieckiem pięknem, zdrowem, starannie chowanem, uśmiechniętem, z goryczą wspominać muszą własne dziecko biedne, wątłe, blade, smutne, zaniedbane, trzęsące się od zimna i głodu — patrząc na męża, którego żona jest wcielonym wdziękiem, gracyą, pięknością, rozumem, najpiękniejszym kwiatem człowieczeństwa, myślą, że w domu żona »głodna i biedna jak on, zwiędła przed czasem, bez »śladu piękności, w poszarpanej odzieży, w jej oku coś »gasnącego, ponurego, jakby przedrzeźnianie wzroku«, cały ten wydziedziczony tłum, ten wielki cel, któremu się wszystko przyrzeka, a który się zawsze wszystkiego wyrzekać musi — ten na ołtarzu postawiony, okadzony szumnemi słowy i pochlebstwem a zawsze zawiedziony, nigdy nie zaspokojony, wszechwładny lud.

Wszystko to jest w obrazie Krasińskiego. Lud naprzód; o tym łatwo przewidzieć co robi w chwili, kiedy mu powiedziano, że zwyciężył. Wypoczywa, używa; cieszy się że jutro wyspać się może wygodnie, nie potrzebuje śpieszyć się do warsztatu, że może zarżnąć i zjeść woły »dawne pługów zaprzęgi«, bo już niemi pańszczyzny odrabiać nie będzie. Mści się trochę za swoje dawne krzywdy; gromada chłopów ciągnie na gałęź swojego dawnego Pana, urąga mu że będzie wisiał »wysoko jako wielki pan wzniesiony nad nimi wszystkimi«; jeden woła, żeby mu wrócił dni pańszczyzny, drugi, żeby mu syna wskrzesił z pod batogów kozackich; ale ta humańszczyzna, ten rok 1846, rzeź, obchodzi go mniej, jak możność używania i wczasu. Lud ten cały zdaje się mówić jak ta dziewka: »a dyć tośmy długo na taki dzień czekały — juści ja »myłam talerze, widelce szurowała ścierką, dobrego »słowa nie słyszała nigdy, a dyć czas bym sama jadła,

»tańcowała sama«. Co będzie jutro lub pojutrze, kiedy się zjedzą woły pługów zaprzęgi i konwie wypiją? o tem oni nie myślą, tańcują i jedzą. Poeta jednak o tem nie zapomniał — on na to jutro rzuca światło, ukazuje je w postaci rzemieślnika konającego z przekleństwem na ustach, któremu dzień wolności nie przydał się na nic, a nad którego trupem Henryk pyta przechrzty: »Gdzie się podzieją teraz wasze wyrazy, wasze obietnice, szczęście i doskonałość rodu ludzkiego«?

Za gromadą chłopów i robotników wysuwa się inna grupa ludzi; ci znowu przeznaczeni na to, żeby całe życie patrzali, służyli, na wygodę i zabawę cudzą, sami pozbawieni wygody i zabawy — to ci, bez których nie byłoby śniadania ani obiadu, bez których wieczór, bal, jest niepodobieństwem, bez których Pani nigdy nie byłaby piękną, Pan nigdy porządnie ubranym, którzy całe życie mają do czynienia z ozdobami i przyjemnościami życia, sami do nich nie należąc i nie używając, to dworska służba: mniej nieszczęśliwi od wyrobników i rzemieślników, ale także wydziedziczeni osobnym rodzajem wydziedziczenia, służący domowi. Ci, to znowu osobny odcień pragnień; nie upić się, nie najeść się ile tylko można, nie, oni się napatrzyli życia ozdobniejszego, delikatniejszego, i takiego pragną. »Salonów znają śmieszności i wszeteczności«, ale łakną ich wygód i wykwintów, a wypadłszy z przedpokojów więzień swoich, powtórzą te wygodne wszeteczności i wpadną zaraz w te same śmieszności. Oni tak długo »glancowali buty i strzygli włosy«, że teraz sami chcą mieć buty dobrze wyglancowane i włosy pięknie uczesane; to przyszłe eleganty, przygotowane do tego swojem przeszłem życiem, którego elegancyę naśladować zaczną — to ludzie, którzy mają chęć rozeprzeć się w powozie zamiast wyprostowani siedzieć na koźle, i nogami w zgrabnych bucikach

szastać po dywanach, zamiast nudzić się w przedpokoju.

Chór rzeźników reprezentuje znowu ten rodzaj ludzi, który w krwawych wypadkach przywyka do krwi, upija się krwią; natury dzikie, bezmyślne, głowy ciasne i ciemne raczej niż przewrotne. Ci nie rozumują, sami nie wiedzą dlaczego idą za drugimi; ci się nie mszczą, nienawiści ani namiętności nie mają przeciw nikomu, idą za instynktem dzikości jak zwierzęta: ale ci opamiętają się najłatwiej, z tych najłatwiej może zrobić ludzi dobrych i spokojnych. Dzieci to siły i krwi wprawdzie, ale dzieci; żaden sofizmat nie czepił się ich głowy, »nie rozprawiają o filozofii«. Dziś im wszystko jedno, czy »rżnąć woły dla panów, czy panów dla ludu«, bo im wytłómaczono, że wszystko jedno zarżnąć wołu lub człowieka. Ale też ich najłatwiej byłoby przekonać, że wół i człowiek nie to samo, a raz o tem przekonani, jako natury proste, poszliby za instynktem sumienia, jak dziś idą za instynktem dzikości.

Dziwiono się niekiedy, że on w tym obrazie rewolucyi rozkiełznanej i zwyciężającej umieścił chór Przechrztów, oskarżono go o uprzedzenie, o niechęć, o pogardę do wyznania i plemienia żydowskiego. To jest niesprawiedliwość. Element żydowski, potężny swojemi środkami pieniężnemi i swoją intelligencyą, ma pośród społeczeństw europejskich znaczenie bardzo przeważne, wpływa nie bardzo widocznie może, ale bardzo na ich losy; w obrazie ich pominiętym być nie mógł. Że poeta cały ten element postawił po stronie mocniejszego, po stronie zwycięzcy, w obozie Pankracego, to jest zupełnie zgodne z naturą tego plemienia, które nie lubi niebezpieczeństwa, i z wielką przebiegłością umie zawsze przeczuć, gdzie jest bezpieczeństwo większe, z niepospolitą giętkością umie się stosować do tych warunków i wypadków, które mu takie bezpieczeństwo zapewniają. Chór Przechrztów

nie może, nie ma nawet powodu opierać się Pankracemu a bronić okopów św. Trójcy; a że on z tymi zwycięzcami nie zespolił się więcej, jak ze zwyciężonymi, że ich sprawy nie ma za swoją, a ich samych albo lekceważy albo nienawidzi, i to także zgodne jest z naturą ludzi, którzy ze światem europejskim bądź co bądź się nie zlali, którzy w znacznej większości uważają się zawsze za coś poniżonego a wyższego i lepszego od europejskich Filistynów. Nienawiść żyda zaciętego i ciemnego do chrześcijanina, nienawiść Shylocka do Antonia, jego mściwość i pragnienie odwetu za wszystkie upokorzenia, jakich doznał, ta nie przestała istnieć, i poeta miał prawo umieścić ją w swoim obrazie, obok tej nerwowej bojaźni żyda, który czuje się fizycznie słabszym od Filistyna; miał zwłaszcza wielką słuszność, że tę nienawiść rozciągnął na Pankracego i jego nowy porządek rzeczy. Chór ten oczywiście łatwiej przystaje na ten porządek rzeczy, który wali kościoły i znosi chrześcijaństwo, znajduje w nim swoją korzyść, pochlebia mu dla tego; ale w gruncie nie łączy się z nim i ma siebie zawsze za coś wyższego, szlachetniejszego, wybranego. Dziś zresztą dziwić się już Krasińskiemu nie można, fakta przyznały mu słuszność: we wszystkich socyalnych i anarchicznych działaniach i spiskach, od Rosyi do Francyi, Polski nie pomijając, widzimy, że żydzi występują zawsze licznie, a często naczelnie.

W danym razie, znalazłyby się może i kobiety, rade wyzwolić się z mocy mężów tyranów, i przystające do obozu Pankracego. Że kobieta jak raz straci równowagę, spada bardzo nisko, i że w wielkich wstrząśnieniach społecznych traci ją łatwiej niż w czasach normalnych, na to są dowody w historyi; jakkolwiek, na chwałę natury kobiecej przyznać trzeba, że w rewolucyi francuskiej naprzykład, dowodów takich jest mało, że Barrère, Fouquier-Tinville i podobni

kochanki swoje rekrutowali z pośród kobiet dawno i zupełnie wyzwolonych. Ale jak się czyta, że w rewolucyi czarnych na San Domingo, Toussaint Louverture i jego murzyni znajdowali kobiety białe i cywilizowane, które przystawały do ich sprawy nietylko duszą, widzi się bez podziwienia w obozie Pankracego, te istoty »niegdyś anioły« Henryka, które społeczeństwu rozdają swoją miłość.

Jest jeszcze w tym obrazie jedna figura podrzędna, jedna scena maleńka, epizodyczna, ale gienialna. »Któż jest ten dziwny żołnierz, z trupią główką na czapce, z drugą na felcechu, z trzecią na piersiach«, pyta Henryk Przechrzty: »czy to nie sławny Bianchetti, »taki dziś kondotier ludów, jako dawniej bywali kon»dotiery książąt i rządów«. Przypadkiem czy umyślnie, ale już to jest uderzające, że temu jenerałowi daje nazwisko włoskie, wyprowadza go z ziemi klasycznej kondotierów. Ale zatem idzie coś ważniejszego i głębszego. Jenerał zatopiony w myślach patrzy przez lunetę na zamek św. Trójcy i kilkoma słowami daje do zrozumienia, że układa jakiś plan głęboki i gienialny. »Jakżeś więc to ułożył obywatelu Jenerale?« pyta Henryk.

— »Chociażeście moi bracia w wolności« odpowiada tamten, »nie jesteście moimi braćmi w gieniuszu — po zwycięztwie dowie się każdy o moich planach«.

A Henryk odwraca się do Przechrzty i radzi mu: »zabijcie go, bo tak się poczyna każda arystokracya«.

Ten zaród arystokracyi w samym środku rewolucyi socyalnej, to jest spostrzeżenie niezmiernie bystre i głębokie. Henrykowi można wierzyć, kiedy zaręcza, że tak się zaczynają arystokracye, bo on się na tem zna, jest biegły w rzeczy, expertus. To nie jest przesada, to nie upór arystokraty, który wszędzie chce widzieć arystokracyę, bo chce żeby ona była koniecznością, to historyczna prawda. Nazajutrz po

rewolucyach, owszem w ciągu rewolucyi jeszcze, już się z jej koryfeuszów krystalizują zarody arystokracyi. Dowód mieliśmy w historyi dzisiejszej, przed naszemi oczyma, i to w miejscu najmniej w całej Europie zapowietrzonem arystokracyą, w miejscu, gdziebyśmy się go najmniej spodziewali, na wyspie Caprerze. Synowie Garibaldego, którzy nie byli ludźmi znaczącymi, jak ojciec, byli znaczącemi figurami przecież przez to tylko, że byli jego synami; zajmują wysokie stopnie wojskowe, Paryż chce im powierzyć dowództwo w wojnie domowej którą prowadzi; nie są oni porucznikami ani kapitanami, jak prości śmiertelni, jak wszyscy wojskowi jeszcze młodzi a nie wyjątkowo zdolni lub wyjątkowo szczęśliwi, są pułkownikami i jenerałami tylko dla tego, że są synami swego ojca. Ma Henryk słuszność, tak się poczynają wszystkie arystokracye: nawet w łonie samem najdalej posuniętej demokracyi.

Jedno jeszcze, czego Krasiński opuścić nie mógł, bez czego jego obraz nie byłby zupełnym, to rzecz, która się przy każdej rewolucyi tak regularnie powtarza, że musi chyba być od niej nie oddzielną, jakimś tajemnym ale koniecznym warunkiem jej bytu, nienawiść religii: nie religii katolickiej jedynie, choć tej głównie i najwięcej, ale zasady religijnej, wszelkiej wiary i religii pozytywnej. Nienawiść ta stwierdziła się w każdej większej rewolucyi społecznej, w roku 1793 i w 1848, i we wszystkich niemal rewolucyach włoskich; i wreszcie na wypadkach roku 1871 w Paryżu, i od tego czasu już nieraz. I ona stanowi scenę końcową tego ustępu *Nieboskiej*, zamyka ten szereg obrazów, w których przedstawiony jest obóz Pankracego. »Nasi ludzie krwawopracowali przez »czterdzieści dni i nocy, aż zburzyli ostatni ko»ściół na tych równinach«, mówi Przechrzta, a Leonard dodaje tonem tryumfu: »stoim na rozwali-

»nach starych kształtów, starego Boga, członki jego »rozerwaliśmy, a duch Jego zwyciężyli naszemi du»chami, duch Jego zstąpił do nicości, chwała nam«. Ale bez czci, bez bóstwa nad sobą, człowiek obejść się nie może. Zaledwo rozwalili ostatni kościół, już jakieś obrzędy święcą, już muszą coś czcić, coś ubóstwiać. Robespierre utworzył kult bogini rozumu, Leonard także jest kapłanem i prorokiem czegoś. Wolności, mówią jego wyznawcy, a jego obrzędy i słowa mówią, że czego innego: natury rozkiełznanej, rozhulanej w swoich instynktach, które bierze za prawo swoje i świata. »Dajcie mi ją do ust, do piersi«, woła prorok, patrząc na spinające się ku niemu oblubienice, »dajcie mi ją piękną, niepodległą, wyzwoloną, obnażoną z zasłon i przesądów«, a potem dodaje, że oni oboje, na rozwalinach starych kształtów i starego świata, on mężczyzna, i ta kobieta niepodległa w jego objęciu na jego piersiach, są obrazem wyzwolonego rodu ludzkiego. »Bóg nowy«, któremu Leonard »oddaje niebiosa«, jest »Panem swobody i rozkoszy«. Przeciwieństwo charakterystyczne i głębokie. Filozofia wieku XVIII, który nazywał siebie wiekiem rozumu, w swojej walce z religią, chciała na miejscu dawnego Boga postawić ludzki rozum, jego ubóstwić, w niego ona wierzyła; kult który z niej wyszedł, miał za swoje bóstwo rozum. W naszym wieku, kiedy filozofia przyjęła kierunek materyalistyczny, pozytywny, kiedy dawnego Boga i duszę ludzką chce zwalczyć naturą i na jej korzyść, ta religia natury, religia swobody i rozkoszy, mężczyzna i kobieta razem na ołtarzu, to, choć nie było dotąd faktem, jest przypuszczeniem zrobionem w kierunku logiki i prawdopodobieństwa; a przypuszczenie tem dziwniejsze, tem głębsze i bystrzejsze, że w latach, kiedy poemat był pisany, panowała w Europie prawie wyłącznie filozofia Hegla, ubóstwienie myśli. Filozofia pozytywna, tłumacząca cały świat

przez materyę i siłę, przyznająca im wieczność, dochodząca przez to do ubóstwienia niejako materyi i siły, ta jest późniejsza; a że Krasiński na niej oparł przyszły kult religijny Leonarda tak, jak na ubóstwieniu rozumu opierał się kult Robespierra, to jest tak intuicyjne, takie odgadnienie przyszłości, jak Henryk broniący zasad, których nie wyznaje lub wyznaje nie zupełnie. Nauka moralna tej religii zawiera się w »święceniu zbójeckiem«, jakiego od Leonarda żąda jakiś zagorzały nowy adept.

Prześlicznie zamyka poeta ten obraz chórem duchów, unoszących się nad zwaliskami dawnego kościoła i tęskniących za dawną wiarą. Duchy to jakichś ludzi świętych lub aniołów, które niegdyś pełniły służbę pomiędzy niebem a ziemią, a teraz nie mają komu pośredniczyć; nikt z ziemi o nic nie prosi, nikt za nic nie przeprasza. »Płaczmy za Chrystusem, za Chrystu»sem wygnanym, umęczonym, gdzie Bóg nasz, gdzie »kościół Jego! Strzegliśmy ołtarzy i pomników świę»tych etc. etc.«.

Taki jest obraz społeczeństwa »w anarchii, w bło»cie i krwi, z rykiem hyeny na ustach, z kleszczami »kata w ręku, z czarą pełną wódki i z wieńcem tuli»panów na głowie, bo taki ich smak estetyczny«, obraz zupełny, w którym żadna namiętność, żaden odcień namiętności, żaden pierwiastek ważny i istotny, zapomnianym i pominiętym nie jest. Czy obraz przesadzony? czy to potwarz, złośliwa karykatura? Daj Boże: ale historya świadczy raczej, że to straszliwie podobna fotografia, a każda ze znanych rewolucyi naszego wieku przyznaje się do podobieństwa i reklamuje jeden rys z obrazu, jako swój, wzięty z siebie. Jedna przyznaje się do nowo wymyślonych religijnych obrzędów, druga do tych chłopów ciągnących dawnego Pana na gałęź, trzecia do burzenia kościołów, inna do zasady: »Idź i niszcz po wszech stronach świata, gdzie

»żelazo nie dojdzie, tam niech trucizna żre i pali wnętrzności tyranów«. Jedno tylko zdawało się przesadzonem, w jednem zdawało się, że Krasiński przebrał miarę i stał się niesprawiedliwym, że w swojem oburzeniu na rewolucye społeczne widział je gorszemi niż są, posądzał je o złe, którego nie robią. Kiedy w *Niedokończonym Poemacie* Pankracy radzi pocichu Blaumannowi, żeby w mowie swojej »nie wspominał tak często ojczyzny, bo to trąci arystokracyą«, kiedy w *Nieboskiej Komedyi* on szydersko uśmiecha się nad Henrykiem, który »wierzy w słowo ojczyzna« myślało się, że to przecież nie słuszne, to za wiele! Dziś tej illuzyi mieć nie można. Dziś trzeba mu przyznać, że i w tem miał słuszność, i w tem przejrzał rzecz na wskroś i odgadł przyszłość. Bo odkąd w kraju najechanym przez obcego nieprzyjaciela, zniszczonym tysiącznemi klęskami, w mieście jeszcze otoczonem cudzemi wojskami, rewolucya społeczna skorzystała z pierwszej chwili wytchnienia i wzięła za broń, nie na to, żeby tego obcego nieprzyjaciela wypędzić, ale na to, żeby podnieść wojnę domową, odtąd już wątpić nie można, bo w tym dniu ona dowiodła sama i dobrowolnie, że to prawda, że ona w ten stary przesąd, w słowo »ojczyzna« nie wierzy.

Dlaczego Krasiński sprowadza Henryka do obozu Pankracego? Po co on tam idzie? Czy dlatego tylko, żeby »ogarnąć wzrokiem ten chaos dobywający się z toni czasu« z ciekawości myśliciela, filozofa, męża stanu? Albo może z ciekawości marzyciela, który chce się zbogacić o jedno więcej poetyczne wrażenie? Przecież nie w wojennym celu poznania sił przeciwnika i jego planów; Henryk wie że jest słabszy, i na wojenne środki Pankracego, na strategiczne kombinacye Jenerała Bianchetti, podczas pobytu swego w obozie, nie patrzy i nie zważa. Jego tam ciągnęło co innego, pędził go taki sam instynkt nieświadomy, jaki Pan-

kracego prze do spotkania się z nim. Pankracy szuka i potrzebuje Henryka, chce go pociągnąć do siebie, bo to stanęłoby mu za dowód, że jego dzieło nie jest zupełnie marnem i złem, powróciłoby mu wiarę, w siebie samego i w swoją sprawę. Henryk w swoją wierzy dziś jeszcze więcej, aniżeli dziś już w swoją wierzy Pankracy: ale i on nie wierzy w nią zupełnie, daleko do tego. Przecież i on marzył o postępie, o szczęściu ludzkości, a takie marzenia się nie zapominają; dziś on otoczony ludźmi, którymi gardzi, których wyobrażeń nie dzieli, on broni tej sprawy, pomimo że jest taka, jak jest, ale nie dla tego, że jest taka. I on więc nie wie, czy ma słuszność, nie wie, czy robi dobrze; zdaleka tak mu się wydaje, bo przeczuwa, że obóz Pankracego to »wszystkie stare zbrodnie świata przebrane w szaty nowe«: ale jeżeli się myli, jeżeli też tam jest istotnie zaród, choćby najmniejszy »postępu i szczęścia ludzkości«? On tego nie przypuszcza, nie mówi; tylko widzi, że w jego obozie i w nim samym tego zarodu nie ma. Czy więc sam przed sobą może być usprawiedliwionym, że go broni? Tylko w jednym razie, jeżeli mniejszego złego broni przeciw drugiemu złemu, rzeczywiście większemu. Chce się więc przekonać, czy tak jest istotnie, czy jego przypuszczenia były prawdziwe, i dla tego idzie do obozu Pankracego. Jak Pankracy chce porozumienia z nim, jako poniekąd absolucyi dla siebie i dowodu przed samym sobą, że nie jest złem i niesłusznem to, co już zrobił, tak Henryk przypatruje się światu Pankracego dla tego, żeby w nim znalazł dowód i przekonanie, że ma słuszność robić tak, jak robi.

A w tej chwili, kiedy »ogarnął wzrokiem ten »chaos dobywający się z toni czasu, z łona ciemności, »na zgubę jego i wszystkich braci jego«, w tej chwili odzywa się jeszcze po raz ostatni dawny Henryk, ten, który niegdyś »wierzył w postęp i szczęście ludzkości«.

Chaos ten jest straszny, ale gdyby »Bóg dał mu po»tęgę, której nie odmawiał mu niegdyś, on w jedno »słowo zamknąłby świat ten nowy, ogromny, który »sam siebie nie pojmuje, a to słowo jego byłoby po»ezyą całej przyszłości«. On bardziej od Pankracego zdołałby z tego zamętu wyprowadzić coś dobrego, ten świat »dźwignąć i uszczęśliwić«, bo »w duszy jego« jest »zaród wszelkiego piękna«. Więc gdyby on dziś, w imię swoich wiar dawnych, swoich dawnych pragnień, wziął ten świat w rękę... »Dramat układasz« szepcze nad nim szyderski głos złego ducha, a to marzenie, ta chwila, która mogła stać się dobrym popędem, gdyby była potrwała, znika bez śladu. »Dzięki »za radę« odpowiada Henryk Duchowi, i »precz z ma»rzeniami. Zemsta za zhańbione popioły ojców moich, »przekleństwo nowym pokoleniom, ich wir mnie ota»cza, ale nie porwie za sobą«. Nie! Chcieć z tego coś dobrego zrobić, podawać do tego rękę, to marzenie. Jedyna rzecz prawdziwa, która mu została i którą zrobić może, to zemsta za zhańbione popioły. I druga jeszcze prócz tej: »Orle, orle, dotrzymaj obietnicy«, mówi Henryk na końcu: to jest, daj mi władzę, daj mi walkę, a ja sobie zrobię sławę. Chwilę używania władzy, chwilę wrażenia walki, a z jedną i z drugą tak sobie dam rady, że przynajmniej będzie o mnie głośno! Ostatnie marzenie, ostatnie poruszenie miłości świata i ludzi przeszło, zostało tylko pragnienie zemsty, i pragnienie władzy i chwały. Henryk w ostatniej części poematu walczy dla siebie więcej daleko, niż dla swojej sprawy, a ta przytoczona prośba do Orła oznacza jego utwierdzenie się w tem uczuciu, za które on kiedyś usłyszy wyrok: »za to, żeś nic nie »kochał, nic nie czcił prócz siebie i myśli swoich, po»tępion jesteś na wieki«.

III.

Rozmowa Pankracego z Henrykiem. Wielkość obu. Zdanie Mickiewicza i jego zarzuty. Część czwarta. Zbyteczna treściwość. Surowość poety względem wszystkich. Znaczenie widzenia Orcia. Pożegnanie z nim i ostatnie słowa Henryka. Zwątpienie Pankracego. Jego śmierć. Zakończenie nie jest rozpaczliwe. Stanowisko i przekonania Krasińskiego. Objaśnienie *Nieboskiej* przez jego syna. Jej myśl filozoficzna, religijna, patryotyczna. Pierwiastki jej wielkości. Jak ją rozumiał sam autor? Objaśnienie w jego liście.

Gdyby w tej chwili, kiedy Henryk marzył o utworzeniu czegoś z chaosu, jaki przed sobą widział, zamiast złego ducha był przy nim stanął Pankracy, wątpiący znowu, czy coś z tego chaosu utworzyć zdoła, i gdyby rozmowa ich była wypadła na tę chwilę dobrej woli, która u poety przybrała formę marzenia, u materyalisty formę zwątpienia, kto wie? może ta rozmowa byłaby się skończyła inaczej. Człowiek każdy ma takie chwile, w których mięknie, w których łatwiej ustąpi, nagnie się, rozczuli się (zwłaszcza jeżeli jest Polakiem), i w nich obu mignęło się takie usposobienie. Ale rozumie się samo z siebie, że gdyby w tej chwili był poeta zetknął ich z sobą, a ich rozmowę zakończył jakimś skutkiem dodatnim, jakiemś porozumieniem, byłby to sentymentalny melodramatyczny efekt, ale nie byłoby prawdy, nie byłoby głębokiej myśli poematu, nie byłoby *Nieboskiej Komedyi*. Rozmowy, dyskusye, nawet zaczęte w najlepszej wierze i w zamiarze pojednania, *colloquia* najbardziej *charitativa*, nie uśmierzą burzy podniesionej długą i zaciekłą namiętnością, owszem doleją tylko oliwy do ognia; a ta rozmowa nie zaczęła się w dobrej wierze i w zamiarze pojednania, owszem zaczęła się obustronnem uprzedzeniem i uporem. Cała myśl, cała wartość, cała prawda *Nieboskiej Komedyi* polega w tem, że żadna ze stron nie ma prawdy, nie posiada ani siły, ani zdolności, ani tajemnicy stworzenia czegoś

z chaosu; gdyby z ich zetknięcia było wypadło coś dobrego, jakaś twórcza iskra harmonii i zgody, wtedy w jednym i w drugim byłaby słuszność i przyszłość. Zakończenie takie, w sam raz na końcowy obraz piątego aktu opery lub melodramy, byłoby fałszem historycznym, społecznym, i psychologicznym. Tragiczność i prawda rzeczy polega w tem, że ta rozmowa nie prowadzi do niczego, że ani Henryk ani Pankracy słuszności nie mają, że w całej tej rozmowie, jak mówi Klaczko, prawdą jest tylko to, co jeden drugiemu zarzuca.

Żaden z nich nie staje do rozmowy w usposobieniu pojednawczem, to prawda. Henryk chciałby jakąś inhalacyą wciągnąć w siebie wszystkie duchy swoich ojców i ich siłę, żeby hardą i niezłomną postawą przyjąć człowieka, co »wydobył się z nicości a zacznie może nową epokę«. Pankracy, kiedy słuchając swego tajemniczego popędu szedł do zamku, myślał o tem, żeby krok ten jego nie wydał się Henrykowi uniżeniem, uszanowaniem, i utwierdzał się w swojej nienawiści, uzbrajał się w dumę i szyderstwo; ale też przyznać trzeba, że jeden i drugi jest tak sztywny, tak pogardliwy i wyzywający, że ludzie najspokojniejsi, obojętni, gdyby w ten sposób ze sobą mówili, musieliby rozejść się nieprzyjaciółmi; cóż dopiero ci, już rozdzieleni przepaścią. Od pierwszych słów zaraz drażnią się nawzajem jakżeby umyślnie; Henryk drapuje się w dawne prawa gościnności »*starym zwyczajem* piję zdrowie twoje«. Pankracy, przyjęty jak na złość w jakiejś arcy-arystokratycznej sali pełnej herbów i portretów antenatów, uraża Henryka na samym wstępie w drażliwą stronę: »te godła czer»wone i niebieskie zowią się herbem w języku umar»łych, coraz mniej takich znaczków na powierzchni »ziemi«. A gdy Henryk odpowiada, że »za pomocą »bożą wkrótce ujrzysz ich tysiące«, wszczyna się ta

rozprawa tragiczna, w której jeden odwołuje się do swego Boga, w którego nie bardzo wierzy, drugi do swego, w którego już wątpić zaczyna, a każdy przegląda doskonale niewiarę drugiego. »Wierzysz *lub udajesz, że wierzysz* w Boga, bo w siebie wierzyć trudno«, mówi Pankracy. »Ateizm to stara formuła«, odpowiada Henryk, »po tobie spodziewałem się czegoś nowego«. Ale Pankracy ma tę ideę nową, tę nową wiarę »silniejszą, ogromniejszą od dawnej. Jęk przez »boleść i rozpacz wydarty tysiącom tysiąców, głód »rzemieślników, hańba ich żon i córek, poniżenie lu»dzkości ujarzmionej przesądem i wahaniem się i by»dlęcem przyzwyczajeniem, oto wiara moja! a Bóg »mój na dzisiaj, to myśl moja, to potęga moja, która »chleb i cześć rozda im na wieki«. Przykazanie tej wiary, różne jest zupełnie od tego, które dawna nazywała pierwszem i najwyższem; ono owszem wychodzi dziwnie na tę teoryę, która w naszym wieku opanowała równocześnie nauki przyrodnicze i politykę, a podług której słabszy nie ma prawa do życia, bo jest słabszym: on jest na to, żeby się przydał mocniejszemu, przez niego zjedzony i strawiony. To nie wzajemna miłość bliźniego, ale wzajemne bestyi pożeranie się, które, uznane za prawo w naturze, chce zostać kamieniem węgielnym prawa publicznego. »Jedno tylko prawo uznaję i przed niem kark schylam, Zwycięztwo« — fakt dokonany, prawo mocniejszego. Jakeśmy daleko od tych ideologów starożytności, którym podobała się sprawa zwyciężonych nawet, kiedy bogowie schlebiali zwycięzcom. »Tem prawem świat bieży »w coraz wyższe kręgi i woła do was przez moje »usta: »zgrzybiali, robaczliwi, pełni napoju i jadła, »ustąpcie młodym, zgłodniałym i silnym««. Ustąpcie silnym! wszak to te same słowa, to samo prawo, które Polsce ogłasza codzień prasa rosyjska, to samo *de profundis*, które nad nią śpiewają zwycięzcy na

wschodzie i zachodzie. »Ale my jesteśmy, żyjemy, chcemy żyć i mamy prawo — i słabi są ludzie«! — to nic: ustąpcie silnym! Jak w porządku fizycznym, mocniejszy rodzaj zwierza pochłania słabszy podług znanych hypotez, tak w porządku politycznym, hasło jest »słabi ustąpcie silnym«, w porządku społecznym »nasyceni ustąpcie zgłodniałym« — na dnie tego wszystkiego tkwi jedna zasada, »wzajemne bestyi pożeranie się«.

Henryk w swoich odpowiedziach nie znajduje ani jednego argumentu, któryby dowodził, że on ma słuszność, ale za to widzi na wylot słabe strony przeciwnika i jego systemu; poznał je w obozie: »Ja także »znam świat twój i ciebie, patrzałem na pląsy motło»chu, po karkach którego wspinasz się do góry. Wi»działem wszystkie stare zbrodnie świata ubrane »w szaty nowe, a ich koniec ten sam co przed tysią»cami lat, rozpusta, zło i krew«. Z tych żywiołów lepszy świat się złoży. A jak Pankracy przejrzał jego, kiedy mu rzekł, że udaje wiarę w swoje zasady, tak nawzajem w Pankracym nie ma tajemnic dla Henryka, i odrzucając mu pocisk, trafia w samo sedno jego słabości: Pankracy nie wierzy w przyszłość swojego świata! »Ciebie tam nie było, nie raczyłeś zstąpić »między dzieci twoje, bo w głębi ducha ty pogardzasz »niemi« — ty wiesz dobrze, że te wszystkie ludzkie głowy ciasne i ciemne to twój szczebel tylko, bruk pod twój pałac, posadzka pod twój tron, zakończony koroną lub nie, wszystko jedno. »Chwil kilka jeszcze, »a jeżeli cię rozum nie odbieży, będziesz pogardzał »sam sobą«: — pogardzał za to, żeś wszystko obiecywał a nic dotrzymać nie umiałeś, wszystko zniszczył a nic nie postawił; za to, że dla siebie i drugich byłeś wielkiem złudzeniem; a co najgorzej, dla drugich dłużej jak dla siebie, bo choć sam o sobie zwątpiłeś, im w siebie jeszcze wierzyć kazałeś.

Napróżno Pankracy odpowiada wielkiemi słowami, oklepanemi obietnicami przyszłości. Świat mój jeszcze się »nie poczuł w sobie, nie wyrósł na ol»brzyma, ale przyjdzie czas, że on powie o sobie Je»stem«, a nie będzie na całej ziemi drugiego, ktoby mógł to o sobie powiedzieć; »twarz jego blada, niewzruszona, udać nie umie natchnienia«. Kiedyś, w podziemiach weneckich, Pankracy wierzył w te słowa i powtarzał je z zapałem, ale dziś, on już je poznał z ich owoców... Wszakże w tej chwili on przypomina sobie, że za dni owej przeszłości znali się z Henrykiem, że on wtedy wierzył w postęp i szczęście ludzkiego rodu, i do tych wspomnień, do tych dawnych ideałów próbuje odwołać się ostatecznie: »Jeżeliś tem, czem wydawałeś się niegdyś, je»żeli kochasz prawdę i szukałeś jej szczerze, nie odrzucaj tej chwili zbawienia«. Nigdy w całym ciągu poematu Pankracy nie przemawia tym tonem: nigdy w imieniu miłości prawdy i zbawienia ludzkości. I Henryk odrzuca propozycyę, nie chce iść za nim, a więc Henryk winien? Byłoby tak, gdyby Pankracy mówił był szczerze. Ale on kusił tylko, sam nie czując i nie wierząc w to, co mówi; to wskazane jest wyraźnie w jego słowach wyrzeczonych do siebie samego, »zagiąłem palec pod serce jego, trafiłem do nerwu poezyi«. Henryk, który poznał, że to nie szczerość, ale wyrachowanie, pokusa, ma prawo nazwać go młodszym synem szatana. Bo pokusa wielka, nęcąca niezmiernie! bo wszystkie jego dawne marzenia i ideały zasnęły w nim tylko, nie umarły: a na głos tej pokusy odezwały się na nowo i wabią go tak, że im się oprzeć trudno; »Postęp, szczęście, i ja kiedyś »wierzyłem i dziś jeszcze... ot macie, weźcie głowę »moją byleby... Ale darmo, może kiedyś, przed stu »laty, polubowna zgoda mogła jeszcze... ale teraz za

»późno, teraz trza mordować się nawzajem, bo teraz »im chodzi tylko o zmianę plemienia«.

Wezwanie Pankracego »zwyciężaj z nami« Henryk odrzuca; odrzuca ocalenie nietylko własne, co bardzo naturalne, ale i syna, bo lepiej dla niego zginąć, jak zostać samemu w tym świecie obcym dla niego; a odrzuca dla tego, że to zwycięstwo Pankracego jemu zwycięztwem się nie wydaje. »Świat ciała do Ciebie należy, tucz go jadłem, oblewaj posoką i winem«, ale tu kres twego zwycięztwa. Henryk pojmuje je inaczej; on poeta, i on człowiek nie przekonań, ale uczuć i popędów religijnych, on zwycięstwo widziałby w tem dopiero, gdyby w ten świat jaki jest, wlać duszę, gdyby go zrobić dobrym i pięknym. Tego zwycięstwa Pankracy nie dokaże, a o inne Henryk nie dba. Na zakończenie ciekawa dysputa o przeszłości, o obustronnych przodkach. »Każdy z twoich ojców« mówi Henryk, »pogrzeban z motłochem pospołu, jako rzecz »martwa, nie jako człowiek z siłą i duchem«. — Swoich jednostronnie a umyślnie poetyzuje, idealizuje; »na ich czołach myśl rodziny, domu, ojczyzny, myśl, nieprzyjaciółka twoja, wypisana zmarszczkami«: same cnoty, same poświęcenia, samo rycerstwo i bohaterstwo. Pankracy nie zostaje dłużnym w odpowiedzi; spieszy pokazać odwrotną stronę medalu, dodając historyczny komentarz do portretu każdego z antenatów Henryka. Ale i to chybia; Henryk ma tak stałe przedsięwzięcie pozostać przy swojem zdaniu, wytrwać w swojej jednostronności, że odpowiada nową apoteozą przeszłości. Dlaczego poeta daje mu te wyobrażenia tak przesadzone i ten arystokratyczny upór? dlaczego nie pozwala mu w przeszłości widzieć a przynajmniej przyznać nic prócz zasług i piękności? Dla dwóch powodów: naprzód Henryk jest poetą: on w swoją zasadę wierzy i kocha ją poetycznie tylko, fantazyą, gdyby więc ujrzał i przyznał w niej coś

brzydkiego, ta wiara zarazby mu się wyślizła, nie zdołałby jej utrzymać. Powtóre Henryk, choć za młodu marzyciel humanitarny, jest arystokratą, i to nie tyle z przekonania, nie tyle z teoryi, któraby mu mówiła że arystokracya jest potrzebną w społeczeństwie, nie objektywnie, ale subjektywnie; nie dla zasady, ale dla tego, że się w arystokratycznym domu urodził, i że cała ta przeszłość jest jego dziedzictwem, cząstką jego samego. On swoją zasadę, swoje *credo* polityczne i społeczne ściąga do swego domu, w dalszej konsekwencyi do swojej osoby, i kocha tę zasadę w swoim domu i w sobie, a raczej kocha siebie w nich. Dla tego tak umyślnie i uporczywie zamyka oczy na wszystko co złe, dlatego tylko to chce widzieć, tylko to chce przyznać, co dobre i piękne.

Do takiego typu arystokraty nie brakło poecie wzorów, a zwłaszcza nie brakło ich w Polsce.

Rozmowa kończy się na niczem. Prawdy było w niej tyle tylko, ile wzajemnych zarzutów; każdy z nich dowiódł tylko, że drugi słuszności nie ma, żaden nie dowiódł, że ją sam ma; i w tem właśnie leży głębokość, prawda, tragiczność, i nauka moralna tej sceny. Poeta jak chór grecki stoi wysoko nad obiema stronami i obie sądzi. Ale choć żaden z nich niema słuszności, choć jeden i drugi jest tylko przeczeniem, przecież nie myli się Pankracy, kiedy odchodząc mówi: »dwa orły z nas«. Jeden i drugi mają wielkość rozmiarów, mają potęgę myśli i słowa, mają postawę tak dumną i wyniosłą, że obu trzeba przyznać, iż poziom głów ludzkich przerastają wysoko. Cokolwiek kto powie o poezyi Krasińskiego, tego jednego odjąć mu nie można, że umie tworzyć ludzi wielkich: że piętno wyższości, jakie na nich wybija, jest tak wyraźne i niezaprzeczone, że je każdy musi widzieć i uwierzyć w nie. Zdolność to tem cenniejsza, że zwykle kiedy poeta zerwie się na postać człowieka gienialnego, my

zmuszeni jesteśmy wierzyć mu na słowo. On zaręcza, że to człowiek wyższy i wielki, ale po tym człowieku tego nie znać. Faust jest pod tym względem może jedyny w swoim rodzaju; Manfred o wiele nie dochodzi tej miary, jaką mu poeta dać chciał. U Krasińskiego figury *Irydiona* mają rozmiary półbogów, a Henryk i Pankracy także są ludźmi więcej jak naturalnej wielkości. Henryk jest wspaniały w swoich odpowiedziach, jakkolwiek trochę z umysłu dumnych, trochę jakżeby przygotowanych, naprzykład kiedy na żądanie Pankracego, żeby słuchał jego propozycyi, odpowiada: »Słucham — patrz, jakem cierpliwy«, albo »słowa twoje kłamią, ale twarz twoja udać nie umie natchnienia«. Każde słowo jest jak sonda zapuszczona w serce tamtego; a kiedy opisuje obóz Pankracego, albo kiedy uczuciem zawsze więcej poetycznem jak religijnem, broni krzyża, ma w swoich słowach zamknięte niezmierne głębokości myśli i uczucia. Pankracy znowu, ta wcielona logika, ten człowiek rozumu i woli, który w tej scenie właściwie dopiero się rozwija, ma w niej całą energię, całą siłę i całą suchość umysłu negacyjnego, jakie Mickiewicz uważa za podstawę jego natury w tym trafnie skreślonym wizerunku: »Poeta zlał na niego wszystkie cechy dążności »negacyjnych w rewolucyach europejskich, w syste»mach wylęgłych z mózgu filozofów. Jest to ni»szczyciel; nie posiada nic prócz rozumu, przychodzi »do władzy zapomocą rozumu, nie zna żadnych uczuć »ludzkich«. Ma niektóre rysy z Kromwella, z Dantona i z Robespierra, mówi dalej Mickiewicz, a większych wzorów na Pankracego w historyi nie było; w końcu dodaje, że »wszystko tu jest trafnie dobrane, aż do »samego imienia: *Pankracy* znaczy jakoby zbiór, ogół »wszystkich sił materyalnych«.

Figurze Henryka robi Mickiewicz zarzut jeden, podobno niesłuszny. »Jest on Polakiem a myśli, czuje,

»działa po cudzoziemsku; występuje niby w sprawie »szlachty, chrześciaństwa, katolicyzmu, ale sprawę tę »pojmuje wedle tego, co wyczytał z książek zagrani»cznych«. I dalej, dziwi się Mickiewicz, że Henrykowi snują się ciągle po głowie zamki średniowieczne i wieże gotyckie, jakich w Polsce nie ma, a że chrześciaństwo pojmuje nie jak starzy Polacy, ale jak Chateaubriand. Otóż to nie zarzut, ale zaleta postaci, która inaczej nie byłaby zupełną ani prawdziwą, to chwała i głęboka mądrość Krasińskiego, że tak Henryka pojął i przedstawił. Że mu się snują po głowie gotyckie zamki i katedry, to dobrze, bo on ze swojem usposobieniem szuka we wszystkiem, a zatem i w przeszłości, strony malowniczej, effektowej, dekoracyjnej; jemu nie chodzi o feudalizm, ale o zamki właśnie, o katedry z kolorowemi szybami więcej, niż o katolicyzm. Że ten pojmuje na sposób Chateaubrianda, a nie na sposób dawnych Polaków, to jest raz skutkiem jego usposobienia poetycznego, jego chciwości wrażeń, a powtóre jest skutkiem i częstem zjawiskiem naszego wieku. Jak są ludzie, którzy się do kościoła katolickiego przyznają i bronią go dla tego, że on odpowiada ich instynktom hierarchii i władzy, a nie wierzą w żadną z jego nauk, nie zachowują żadnego z jego przepisów, nie praktykują żadnego z jego obrzędów, a są tacy potworni katolicy bez wiary, u których katolicyzm jest jednym pierwiastkiem w ich systemie politycznym: — tak są i ci, co się nad katolicyzmem sentymentalnie rozczulają, co poetycznie używają na jego obrzędach i kościołach, a których wiara wiotka nigdy się nie ustala i nie staje przekonaniem. Henryk jest jednym i drugim; składa sztandary u stóp arcybiskupa i każe się przez niego błogosławić, to znaczy, że szanuje władzę, hierarchię, i chce pokazać uszanowanie dla religii; żałuje zburzonych kościołów i potłuczonych szyb kolorowych, to jest zewnętrznej ma-

lowniczej strony obrzędów; ale ma się z góry za potępionego, mówi, że po śmierci czeka go wieczna walka, uczucie niezgodne zupełnie z religią, którą on tak ostentacyjnie wyznaje, a kończy samobójstwem. Katolik bez wiary, katolik na pół przez system polityczny, na pół przez wyobraźnię, i jako taki wierny typ wielu ludzi naszego wieku, czem nie byłby wcale, gdyby mu poeta był dał prostą dobroduszną religijność staropolską.

Że zaś w nim polskiego typu nie ma, że w jego arystokracyi nie ma żadnego podobieństwa z dawnymi magnatami polskimi, ani z dobrymi ani ze złymi, że jego pojęcie arystokracyi i zachowywanie tego stanowiska jest inne, aniżeli było u nich, że jest zagraniczne i cudzoziemskie, to znowu zasługa i mądrość Krasińskiego i głęboka znajomość swego czasu. Czy można wystawić sobie dawnego magnata polskiego pośród tej walki społecznej? tego magnata, którego stanowisko w Rzeczypospolitej i pomiędzy bracią szlachtą było tak silne, niezachwiane, niewątpliwe? Cóżby on pośród naszego wieku robił? Powtóre, Henryk żyjąc w wieku XIX należy już do tej epoki, w której arystokracya polska częścią przez rozbiór kraju, częścią przez długi, bo dwuwiekowy, wpływ wyobrażeń francuskich, straciła dawne tradycyjne pojęcie siebie samej i swoją odrębną tradycyjną fizyognomię, a przyjęła i kosmopolityczny pozór i obyczaj, i nawet zagraniczne francuskie lub angielskie pojęcia o arystokracyi i jej stanowisku w kraju. Henryk pojmujący siebie tak, jak się pojmował w Polsce, nie już Salezy Potocki albo Panie Kochanku, ale tak jak książę Jenerał Ziem Podolskich, (choć ten już był zbliżony do typu wielkiego pana europejskiego), byłby naprzód anomalią wśród dzisiejszej Polski, byłby niezgodnym z rzeczywistością, fałszowałby całą prawdę obrazu, a wreszcie, nie mógłby mieć tego co stanowi jego największą tra-

giczność: nie mógłby być arystokratą bez wiary w arystokracyę, i konserwatystą, któryby wolał nie konserwować tego co jest. W obu tych zarzutach nie Mickiewicz ma słuszność, ale trafny i szczęśliwy instynkt Krasińskiego.

W części ostatniej, w której przychodzi zdobycie twierdzy św. Trójcy, rozwiązanie poematu straszne przez to, że rozwiązaniem nie jest, koniec, który nic nie kończy, zwycięstwo, które nie wie co począć, i kara na Pankracego przez zwycięstwo, na Henryka sąd obwieszczony mu przez usta jasnowidzącego Orcia, — w tej ostatniej części każde słowo waży, każdy rys ma swój cel i głębokie znaczenie, ale ta część jest może ze wszystkich najkrótsza, najbardziej zbita, najmniej rozwinięta. Za każdą sceną ma się wrażenie głębokości, gienialności, prawdy pomysłu i trafności charakterystyki, ale więcej jeszcze jak w poprzednich żałuje się, że poeta nie zatrzymał się dłużej nad każdą z nich, że nie rozwinął obszerniej tych smutnych a tak wiernych wizerunków człowieka i społeczeństwa. W scenie ostatniej zwłaszcza w scenie śmierci Pankracego, treściwość ta jest istotnie za wielka i obraca się na szkodę pomysłu.

Ale prawda jest we wszystkiem ogromna i nielitościwa, upokarzająca. Żeby wziąć za przykład tylko pierwszą scenę. Jesteśmy w twierdzy św. Trójcy, w obozie Henryka tym razem. Uroczyście przy dymie kadzideł i dźwięku organów wódz odbiera błogosławieństwo biskupa i miecz św. Floryana. Henryk, który nie jest z tych co się poddają, każe wszystkim przysięgać, że »będą bronić czci i wiary przodków do »upadłego, że głód i pragnienie umorzy ich do śmierci, »ale nie do hańby, nie do poddania się«; i przysięgają wśród okrzyków i wiwatów. Ale w tej samej chwili odzywają się szepty zazdrości i szyderstwa, lekceważenia. Ta gawiedź także wyższości nie znosi, wyższość

drugiego wydaje się każdemu jego własną krzywdą. »Jaki dumny, zdaje mu się, że świat podbił, nie dajmy, żeby go wodzem obrano« mruczą, w tłumie towarzysze i podwładni Henryka. Jeden woła na głos »nie pozwalam« — ale kiedy Henryk żąda, żeby każdy głośno i otwarcie powiedział, co ma przeciw niemu, naturalnie nikt się nie odzywa, nikt nie ma odwagi wystąpić; temu arystokratycznemu obozowi nie szczędzi poeta charakterystycznych cech motłochu. Zaledwo przysięgli, już jeden po drugim bierze Henryka na bok, na poufną rozmowę: »bronić się, to frazes dobry »dla tamtych, ale między nami, mnie, tylko mnie je»dnemu, powiedz, kiedy zaczniesz się układać o pod»danie twierdzy« — wszystko się boi, wszystko drży, oprócz trzech tylko, starego sługi Jakóba, który się trzyma cnotą wierności i posłuszeństwa bez granic, Orcia, dla którego ten świat jest tak smutny, który swoim drugim wzrokiem wszystko widzi i odgaduje, i na wszystko jest przygotowany, i Henryka, który trzyma się honorem, który »umiera, ale się nie poddaje«, którego całe szczęście, cała poezya zbiegła się w tej jednej myśli, żeby się nie poddać. Charakterystyczne jest jego słowo w kościele przy objęciu dowództwa: »obiecuję wam sławę« — to jedno o czem on myśli, czego pragnie i na co liczy; *»tout est perdu, fors l'honneur«*, jeżeli nie dla wszystkich, to przynajmniej dla niego.

A uważać należy, że poeta nigdy nie przestaje sądzić go surowo, że od raz pojętego charakteru postaci nie zbacza, że w tych chwilach nawet, kiedy pierwiastek bohaterski w naturze Henryka występuje najjaśniej i zdobywa dla niego uznanie i współczucie, autor ciągle nam przypomina, żebyśmy w tego bohatera nie uwierzyli zanadto, bo on jest bohaterem nie przez miłość swojej sprawy, nie przez wiarę w nią, ale przez miłość bohaterstwa tylko, jako rzeczy pię-

knej i poetycznej. W tym celu włożony tu jest ten monolog, w którym Henryk rozkoszuje się w swojej władzy podobnie jak Fiesco Schillera, kiedy z tryumfem człowieka, który posiadł przedmiot swoich żądz, zatapia się wzrokiem w miasto i mówi: mein Genua, mein! »Jakże tu dobrze być Panem, być władcą, »choćby z łoża śmierci spoglądać na cudze wole sku»pione na około siebie. Dni kilka tylko pozostało, »użyję ich rozkoszy mej kwoli, panować będę, wal»czyć będę, to moja *pieśń* ostatnia«. On się i tem cieszy, że do celu swego doszedł poetycznie, nie zwykłemi drogami, ale »nagle, znienacka, jako marzył zawżdy«. Zawsze człowiek z fantazyą zwróconą na siebie, zawsze człowiek, który sam sobie chce się wydawać bohaterem poematu, który sam przed sobą drapuje się i ustawia w różne postawy, żeby się sam sobie podobał, żeby się zajmującym, pięknym, poetycznym wydał. Za tę namiętność udawania przed samym sobą, za to nierzetelne tumanienie siebie sobą, usłyszy on zaraz prawdę gorżką, niemiłosierną, tem surowszą i tem straszniejszą w swojej nagości, im więcej on ją sobie zawsze osłaniał i przystrajał.

Orcio, ślepy i żyjący więcej w nadzmysłowym jak w tym świecie, nie bierze udziału w walce ani nawet w jej namiętnościach; ale jego natura sensytywna, jego władza przeczuć, jego nadzwyczajna intelligencya i wyobraźnia, nie potrzebują widzieć, żeby wiedzieć. On rozumie wszystko, co się koło niego dzieje; on zna i obóz ojca i obóz Pankracego, on wie, że słuszności i prawdy nie ma ani tu ani tam, i że cała ta walka jest tylko marną a straszną rzezią bez celu i zwycięstwa; i on ich sądzi. On jeden ze wszystkich figur poematu widzi rzeczy jak są, w ich absolutnej prawdzie, a nie widząc po żadnej stronie słuszności, on wie, że wyjścia, końca, zgody i spokoju nie ma, i dla tego on jest

tak smutny. Naturalnie, to wszystko nie jest wyrozumowane w tym umyśle dziecinnym, ale dostaje się do niego pod formą przeczuć i jasnowidzeń; duch matki przychodzi często do swego małego poety i ukazuje mu w jakichś widmach obrazy tego, co się dzieje na ziemi. Teraz, kiedy Henryk, w przerwie pomiędzy dwoma walkami, chce korzystać z ostatniej może chwili, żeby z tym synem być, żeby go kochać, patrzeć na niego i słuchać go jak dawniej w domu, kiedy chce wypocząć i odetchnąć jedynem swojem przywiązaniem przy jedynej ludzkiej istocie, którą kocha, Orcio mówi mu o swoich widzeniach, i jakimś dziwnie rozkazującym tonem wyższości każe mu iść za sobą do lochów. Tam odbywa się jakiś sąd, schodzą się jakieś widma poważne i blade, na końcu oskarżony; Henryk nic nie widzi, rozpacza nad szaleństwem syna, które i jego o szaleństwo przyprawi: ale Orcio wie że się nie łudzi i nie szaleje. W obozie Pankracego był świat nowy i wszystko jego złe, pokazane w rzeczywistości, w teraźniejszości; po tym obrazie nie trzeba pytać, dlaczego ten świat stałego zwycięstwa nie odnosi. Ale dlaczego ginie stary? on w poemacie występuje już jako bezsilny i nie robi, nie może robić nic takiego, coby nań ściągnęło ciężką winę, ciężką odpowiedzialność przed Bogiem i historyą. Przeszłości zaś poemat nie pokazuje. Jednak, jeżeli są w poemacie powody wyroku, jaki autor wydaje na Pankracego, a takiemi powodami są sceny w jego obozie, tedy należało mu także podać i powody wyroku wyrzeczonego nad Henrykiem, który także jest osądzony i skazany. To znaczenie ma owo widzenie Orcia, którego Henryk jest mimowolnym, zmuszonym świadkiem. Należy ono do tych scen, które najbardziej potrzebowałyby szerszego rozwinięcia, w których treściwość najbardziej żałować się każe. To, co Orcio widzi, to jest sąd i wyrok na cały dawny porządek rzeczy, wcielony w je-

dnego oskarżonego, w jego ojca, »na którym kończy »się ród przeklęty, w którym zebrał wszystkie siły »i namiętności swe i całą dumę swoją«. Zamiar autora jest zupełnie wyraźny: »My niegdyś przykuci, smagani, »dręczeni, pozbawieni ziemskiej chwały, żelazem rwani, »przywalani cegłami i żwirem«, mówią widma »my »teraz dręczmy i sądźmy«. Oczywiście jest to odwet, kara, za wszystkie nadużycia feudalizmu, wieków średnich, i późniejszej arystokracyi; zrozumiałe te słowa są. Ale byłoby może lepiej, gdyby ta ogólna formuła oskarżenia, te motywa sądu i wyroku, były przedstawione szerzej i szczegółowiej, na przykładach, na różnych rodzajach nadużyć dawnych, jak motywa wyroku Pankracego pokazane są szczegółowo na różnych rodzajach nadużyć dzisiejszych. Myśl podstawna, sprawiedliwość poematu nie traci na tem; ona jest, i jest dość widoczna i zrozumiała: wszelako jasność jej byłaby zyskała na obszerniejszem traktowaniu tej sceny, na więcej szczegółowem przedstawieniu tej myśli. Wyrok zaś, ten straszny wyrok: »za to, żeś nic nie »kochał, nic nie czcił prócz siebie«, ten odnosi się nietylko do wszystkich egoizmów i nadużyć przeszłości, ale i do osoby Henryka samego, który nie można powiedzieć, żeby był tylko siebie kochał, on niegdyś marzyciel humanitarny, kochanek ideału, ale który w tem dobrem i pięknem, jakie kiedykolwiek kochał, kochał zawsze i najbardziej siebie.

Po tem co usłyszał, nic dziwnego, że Henryk staje się obojętnym na to co widzi, zamieszanie twierdzy oblężonej, w której nie ma żywności, ani kul, ani prochu, w której z resztką żywności i środków obrony znikają i resztki odwagi, a którą wbrew woli wszystkich trzyma potężna wola jednego człowieka. Cała ludność św. Trójcy skupia się około parlamentarza Pankracego. Ojciec Chrzestny z czapką frygijską na głowie, temi samemi pustemi oklepanemi frazesami,

prawi o swojem życiu obywatelskiem, o dążnościach i duchu wieku, »obiecuje wolność, że tak rzekę nietykalność osób waszych« w imieniu wielkiego obywatela, który go przysłał; hrabiowie, książęta, bankierowie, ich żony i dzieci wołają na gwałt o układy i poddanie twierdzy. Henryk w tej scenie jest wspaniały. Góruje nad całym tym tłumem miękkich i tchórzliwych swoją odwagą i stałością, i stoi nad nim, jak jego sędzia. Mówi tym ludziom, że mają czego chcieli i na co zasłużyli, że swojem życiem, pojmowaniem swego stanowiska i korzystaniem z niego, tak jak pojmowali i korzystali, sami sobie taki koniec zgotowali. »A chce »się wam żyć jeszcze? a zapytajcie ojców waszych, »dlaczego gnębili poddanych, a ty dlaczego strwoniłeś »życie i majątek na podróżach i kartach, a ty dlaczego »podliłeś się wyższym a niższymi gardziłeś, a ty czemu »synów nie wychowałaś na ludzi«, samiście sobie winni; i w końcu, kiedy ta cała zgraja przeklina go za to, że jej się trzymać i bronić każe, »za dzieci na»sze, za żony nasze«, on odpowiada dumnie: »a ja was »za podłość waszą«.

Chwilę później oblegający wdzierają się na mury, bronić się ani myśleć, tylko dla honoru wystrzelać jeszcze trzeba, co zostało ładunków. Za chwilę będzie koniec. Henryk, jednym rzutem myśli objąwszy całość swego życia, wyciąga z niej wniosek rozpaczliwy, ale zgodny z jego naturą, że »człowiekiem być nie warto, aniołem nie warto, trza być Bogiem, lub nicością«. Rozdzierające jest jego pożegnanie z synem, którego sobie przyprowadzić kazał, żeby go jeszcze raz uściskać: »O synu, przebacz mi, żem ci dał życie — ty zapomnisz o mnie wśród chórów anielskich, ty mi kropli rosy nie rzucisz z góry«! — A obok tego myśl o tej, przeciw której tak strasznie zawinił, pytanie czy mu choć w tej ostatniej chwili, kiedy on ma zginąć, nie przebaczyła. Kiedy Orcio mówi, że widział matkę,

która go wołała do siebie, biedny ojciec pyta nieśmiało »czy wspomniała choćby imię moje?« Nie! mówiła tylko o synu. Czegoż on się na tamtym świecie ma spodziewać, kto mu tam przebaczy, jeżeli ona nie przebaczyła? »Tym uściskiem chciałbym się z tobą połączyć na wieki« mówi Henryk do syna, »ale trza mnie w inną drogę« — nie w inną stronę murów, ale w inną drogę wieczności. W tej chwili pada Orcio trafiony kulą, duch matki bierze go z sobą w górę, a »ludzie nowi wdarli się na wieżę północną, szukają »Hrabiego Henryka«. Ale tego zwycięstwa nie będą mieli; zabić się, zabić się na całą wieczność, ale się nie poddać. Ostatnie słowa Henryka, bardzo krótkie, obejmują wszystko, co było w jego duszy: honor i stałość naprzód, potem odwagę, która nie słabnie nigdy, nawet na widok wiecznego potępienia: »widzę »czarną wieczność moją, bez brzegów, bez wysep, bez »końca«; jest i sceptycyzm, zwątpienie we wszystko, kiedy mówi o Bogu, że »wiecznie jaśnieje a nic nie oświeca« — a obok tego i jakiś tradycyjny grunt religijnego uczucia, bo kiedy ma skoczyć w przepaść, powtarza chrześciańskie i rycerskie hasło »Jezus Marya«. Wreszcie jest wspomnienie tego, co było treścią i klątwą jego życia, w słowach »poezyo bądź mi przeklęta« — i rozpacz bez dna i granic w słowach ostatnich »jako ja będę na wieki«. Nie na taki koniec zwiastował kiedyś anioł na wstępie poematu nad głową Henryka »pokój ludziom dobrej woli«. Jednak mimowolnie odnosi się z tego końca wrażenie, że autor jest dla swego bohatera za surowym. Ta śmierć z pewnością wiecznego potępienia, z tem uczuciem, że mu żona nie przebaczyła, syn kropli rosy z góry nie rzuci, jest straszna. Chciałoby się zawołać na ulatującego w powietrzu ducha Hrabiny, co robi? dlaczego nie próbuje zbawić Henryka, jak Kornelia Irydiona, modlitwą. Bo choć dobra wola nie zdołała w nim wziąć góry, ale

»zarodu wszelkiej piękności« jaki w nim był, on do szczętu nie wyniszczył i wiele piękności w nim zostało. »Błogosławiony, kto ma serce, on jeszcze zbawion być może«, mówi ten sam anioł. Serce to dało się uwieść, było dumne, chciało być »podziwem ludzi i siebie samego«, ale było, i było wielkie; kara należy mu się słusznie, ale zguba przechodzi może miarę jego win i miarę sprawiedliwości poetycznej.

Po Henryku kolej na Pankracego. Wchodząc do twierdzy spotyka on cały tłum tych, którzy wołali o układy, i sprawdza to, co im przepowiadał Henryk, że za »pośpiech do hańby czeka ich szubienica i kat milczący z powrozem w dłoni«. Wszystkie te figury drżące ze strachu, puste a nadęte, przechodzą przed Pankracym jedna po drugiej, wymieniając swoje imiona i tytuły, a on za każdem imieniem, zwięzłym a nieco deklamacyjnym stylem konwencyonistów francuzkich, odpowiada: »wymazane z listy żyjących, ostatni raz je wymówiłeś« i podobnie. W jedną drogę z nimi idzie i ten Ojciec Chrzestny, który w ostatniej chwili próbuje pośredniczyć; myśli, że swojemi »obywatelskiemi zasługami zaimponuje Pankracemu«! Los zwykły i zasłużony tych, którzy podchlebiają ze strachu. Ze wszystkich ofiar rewolucyi francuzkiej, najmniej ma się współczucia i pożałowania dla Filipa Egalité: ze wszystkich ofiar *Nieboskiej komedyi*, najmniej dla Ojca Chrzestnego. Pankracy nie raczy nawet spojrzeć na te wszystkie głowy schylone przed nim; nie myśli o zdobytej twierdzy, ostatnim akcie i uzupełnieniu zwycięztwa. On pośród tych ludzi i wypadków widzi i szuka jednego tylko, tego jednego na ziemi, którego szanuje, człowieka, który dotrzymał słowa, Henryka. Jego wola, jego namiętność cała zeszła się w tym jednym punkcie, żeby Henryka znaleźć i ocalić. Napróżno, zniszczenie powszechne ogarnęło i jego.

I teraz rozpoczyna się kara Pankracego; teraz to, co

parę dni temu w obozie, było w jego duszy jako wątpliwość dopiero, jako pytanie, to objawia mu się jako rzeczywistość, jako prawda widoczna, niezbita i nieubłagana. Głębokie jest przeciwieństwo w tej ostatniej scenie pomiędzy nim a Leonardem. Leonard, gorętszy, a nie doświadczony, płytszy, widzi tylko zwycięstwo, ostateczne zwycięstwo, i wierzy że teraz już wszystko skończone, już przeszkód nie ma żadnych, już będzie wszystko dobrze, »idź wypocząć mistrzu po tylu nocach bezsennych«. Pankracy, doświadczeńszy od niego, głębszy, człowiek prawdziwego gieniuszu, wie, że to nie koniec, ale początek ledwo! mniej jak początek, nie zero, ale minus, nie życie w zarodzie, ale śmierć panująca na całej przestrzeni. »Nie czas mi zasnąć — »patrz na te obszary, trza zaludnić te puszcze, by we »dwójnasób tyle urodziło się na nich życia, ile śmierci »teraz na nich leży«. Tragiczne i straszne położenie niszczyciela, który się spostrzega, że zniszczenie nie jest dobrem, nie jest niczem, i chciałby tworzyć, chciałby stawiać, a czuje, że nie może. Trzeba życie przywrócić i przywołać, bo »inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest«! Leonard nie wątpi o niczem; jemu wszystko zdaje się łatwem, jego fanatyzm, jego przekonanie szczere nie przypuszcza zwątpienia, nie przewiduje niemożności. Trud być może, ale »Bóg wolności sił nam doda«. Wolność? co za srogi żart wobec takich zdarzeń! i Bóg... jaki Bóg? te dwa mimowolne słowa ucznia przeszywają duszę mistrza jak dwa miecze, i budzą ją do najsmutniejszego zastanowienia, opamiętania, obrachunku z sobą. Wolność! prawda, on od niej zaczął, o niej mówił, dla niej walczył, do niej dążył, a zaszedł tu? Więc całe jego życie było na wspak tego, czem być miało? było kłamstwem i zaprzeczeniem idei, którą wyznawał i głosił? szło od celu a nie do niego? a Bóg? »co mówisz o Bogu? tu ślizko od krwi ludzkiej«. On już nie o tym Bogu my-

śli, którego wspomniał Leonard. On w tej chwili swojego marnego zwycięstwa uczuł w sobie świadomość, oddawna i umyślnie zagłuszoną, wyższej nad sobą myśli woli i miłości, sprawiedliwości i opatrzności, która się zniszczyć nie daje, i przed którą trzeba zdać rachunek; on myśli o Bogu prawdziwym i wiecznym. I po raz pierwszy, od bardzo dawna zapewne, czuje, że przed nim stoi. »Sami jesteśmy, a zdaje mi się, jak żeby tu był ktoś trzeci«. I zjawia się jemu ten trzeci, dla Leonarda niewidzialny, ale jemu widomy i zrozumiały sędzia jego samego i jego dzieła zniszczenia. »Plotły kobiety i dzieci, że się tak zjawić ma, lecz dopiero w ostatni dzień« — tym plotkom człowiek rozumny i silny nie wierzył, a to przecież prawda! — A jeżeli już prawda, to dlaczegoż on nie czeka na swój dzień ostatni, ale zjawia się dziś? Bo to nie dla świata, ale dla Pankracego i jego dzieła jest dzień ostatni, dzień sądu, którego wyrok brzmi, że »dzieło zniszczenia odkupionem nie jest«. Przepyszny, choć tak krótki, w kilku słowach tylko, jest obraz tego zjawienia, tego Chrystusa mściciela opartego na krzyżu jak na szabli, »ze splecionych piorunów cierniowa korona« a od »błyskawicy jego wzroku mrze kto żyw«. Straszliwego majestatu sędzia, *Rex tremendae maiestatis*, Chrystus dnia ostatecznego, jakiego malarz żaden wykonać nie zdołał, jaki może w sztuce ludzkiej plastycznie zgoła przedstawionym być nie może tylko w wyobraźni i w poezyi cokolwiek przeczutym. Przerażający jest krzyk Pankracego, który jego wzroku znieść nie może: »Połóż mi dłonie na oczach, zadław »mi pięściami źrenice, oddziel mnie od tego spojrzenia, »co mnie rozkłada w proch«. Zaczyna się śmierć. Śmierć bez żadnego powodu fizycznego, taka jaką pomrzeć mają ludzie, których dzień sądu zastanie przy życiu. Pierwiastek życia jest zabity, w chwili kiedy człowiek się osądził, i poznał że treść tego życia, pierwiastek

jego czynów był złem i fałszem. Od tego wzroku śledczego, przeszywającego na wskróś, przenikającego skrytości serca, nic go zasłonić nie może: »Nędzne »twe ręce, jak u ducha, bez kości i mięsa, przejrzyste »jak woda, przejrzyste jak szkło, przejrzyste jak po»wietrze, widzę wciąż! daj mi choć odrobinę ciemno»ści«. Ostatnie słowa Pankracego są tak rozpaczliwe, jak ostatnie słowa Henryka — tamten mówił »jestem przeklęty na wieki«: ten woła »ciemności«! Chce się schować, chce zginąć, chce zniknąć, chce nie być. Tak się boi tego sądu który nad nim stoi, że woli ciemność, woli nicość; a ostatniem słowem uznaje się zwyciężonym, uznaje, że robił źle, kiedy konając mówi: *Galilee vicisti.*

Że w pomyśle samym i w wykonaniu, w tem zjawisku i w rozpaczających słowach Pankracego, jest ta kolosalna wielkość i głębokość, jaka przystoi takiej scenie i takiej postaci, to pewna. Jednak scena ta, potrzebowała zdaniem mojem szerszego rozwinięcia. Nie ze względu samej artystycznej piękności, bo nie o tę chodzi tu głównie. Ta, wobec wielkości prawdy moralnej i filozoficznej objętej tem zakończeniem, schodzi do znaczenia skromnego rzeczy podrzędnej i błahej. Ale w interesie samej tej prawdy moralnej i psychologicznej, należało rozwieść się cokolwiek szerzej nad zwątpieniem, jakie ogarnia Pankracego w chwili zwycięstwa. Ono jest, i czytelnik rozumny dojrzy je i pojmie; jednak jest zbyte tak krótko, tak zaledwo oznaczone i naszkicowane, że i taki musi uzupełniać je w myśli, rozwijać je w swojej wyobraźni, żeby zrozumieć i uznać prawdopodobną tę śmierć Pankracego tak nagłą i niesprowadzoną żadnym fizycznym naturalnym powodem. Ostatnie słowa rozpaczy, kiedy on już widzi zjawisko na chmurach, są wspaniałe; i tu nie żąda się ani słowa więcej, każdy dodatek mógłby wrażenie zmniejszyć i osłabić. Ale myśl poprzedzająca

»dzieło zniszczenia odkupionem nie jest, jeżeli nie zro-»dzi dwa razy tyle życia ile dziś jest śmierci«, ta powinna była być rozwiniętą. Mianowicie potrzeba byłoby kilku słów, w których Pankracy dawałby do zrozumienia, iż wie że tego życia zasiać nie może, i to dopiero tłómaczyłoby jego ostateczną rozpacz i zwątpienie w siebie. To uczucie w niem oczywiście jest, i mamy wszelkie prawo czytać je między wierszami; ale poeta zaniedbał dać mu wyraz jasny i widoczny, a ten, ze względu na logiczny ciąg jego myśli i stopniowanie jego uczuć, był tu potrzebnym.

Od pierwszego sądu jaki był wydany o *Nieboskiej Komedyi*, od rozbioru jej przez Mickiewicza, który pierwszy poznał i dał poznać głębokość tego poematu, na który publiczność polska zrazu nie zwróciła uwagi, stało się jasnem i zrozumiałem, że jego mądrość, jego wartość filozoficzna, polityczna, i moralna, i jego prawda historyczna, jego zgodność z rzeczywistością, polega w tem, co stanowi jego charakter tak strasznie i rozpaczliwie smutny i ponury, w tem, że nikt tu nie ma słuszności, nikt nie ma prawdy, nikt nie zwycięża. »Dążenie do ideału oblane krwią i otoczone »zniszczeniem, nowe zbrodnie, które karzą dawne, »a same nic nie utworzą, przechodzą bez śladu jak »koń Atylli«, jak żeby były bez myśli. Nad światem zwaśnionym, rozprzężonym, rozpadającym się, stoi ten poeta, i sądzi go bezstronnie, bez namiętności, bez uprzedzeń — i bez miłosierdzia. Czy bez nadziei i bez miłości dla niego? To inna rzecz. W tem zakończeniu *Nieboskiej*, które jest osądzeniem i potępieniem wszystkich dążności i kierunków naszego wieku, i rewolucyi, i konserwatyzmu, widziano nieraz jakąś straszną i rozpaczliwą negacyę wszystkiego. Nie ma ratunku, nie ma zbawienia! myślano, że poeta, jak jego bohater, z rezygnacyą rozpaczy mówi nad świa-

tem wyrok »trza mordować się nawzajem, Adam skonał na pustyni, my nie wrócim do Raju«. Istotnie w zakończeniu poematu nie zostaje na ziemi nic, żadna siła, żadna prawda, żadna zasada, żaden fakt nawet, ani żaden człowiek, któryby zapowiadał spokój i zgodę choćby na krótko, choćby chwilowe wytchnienie. Bo i Leonard, człowiek dobrej wiary, a przez szlachetniejszą naturę czy przez szczęśliwy traf nie zmazany zbrodniami i nie odpowiedzialny za wszystko co się dokonało, Leonard, w którym Klaczko domyśla się reprezentanta pokoleń młodych, które mając ręce czyste od wypadków dzisiejszych, może skuteczniej i szczęśliwiej będą mogły przyszłość budować, nawet ten ze swoją naturą, silny uczuciem, ale myślą słaby, i ze swoją religią natury, której obrzędy święci tak uroczyście, nawet ten nie jest zdolny po śmierci Pankracego tym chaosem zawładnąć i cokolwiek z niego wyprowadzić; jego chaos porwie i pochłonie. Z aktorów poematu, z idei i dążności, które oni reprezentują, żaden i żadna nie będzie tym punktem stałym, około którego świat nowy mógłby się zacząć formować. Zostaje więc w konkluzyi nicość najzupełniejsza. Ale nie nicość nieskończona. To jest tylko zniszczenie, unicestwienie wszystkich zaprzeczeń naszego wieku: a wszystko, co my nazywamy naszemi zasadami, naszemi affirmacyami, to wszystko w gruncie nie jest niczem zupełnem i prawdziwem, to jest tylko negacyą czegoś, czegoś przeciwnego. Konserwatyzm nasz sam porządkiem i zasadą nie jest, jest tylko przeczeniem rewolucyi; rewolucya na odwrót jest znowu przeczeniem, najogólniejszem ze wszystkich, negacyą wszystkiego co jest; wolność, jak my ją pojmujemy i praktykujemy, jest negacyą władzy; władza na odwrót pojmuje się najczęściej jako negacya wolności; państwo, nasze dzisiejsze, jest negacyą narodu, narodowość pojęta przez jednych jako rozbicie jakiegoś ciała poli-

tycznego na atomy, na wszechwładność woli każdego powiatu, każdego miasta, każdej grupy ludzi, staje się negacyą i narodu i państwa, pojęta i urzeczywistniana przez drugich jako wspólność rasy i dążność do plemiennego zjednoczenia, staje się negacyą narodu i wolności. I tak wszystko; wolność religijna w naszem ręku staje się negacyą religii, religia często zaprzeczeniem wolności religijnej; równość nienawiścią wyższości intellektualnej, moralnej, urzędowej lub majątkowej—sam lud wreszcie, w naszem pojęciu i w naszych argumentacyach staje się negacyą narodu. Otóż, jeżeli poeta, nad to wszystko wzniesiony, wszystkiemu wróży upadek i przepowiada, że z tych wszystkich zaprzeczeń nie zostanie nic, bo żadne z nich nie ma po sobie prawdy i słuszności, to konkluzya jego jest straszna i rozpaczliwa dla nas, którzy w tych zaprzeczeniach żyjemy i o nie się bijemy, ale nie jest rozpaczą i zwątpieniem o prawdzie, o dobru, o przyszłości i o ludzkości. I Henryk i Pankracy byli przeczeniem; te dwa przeczenia się zniosły, i po ich upadku nie zostało nic na powierzchni ziemi. To nie wesołe, prawda, to straszne dla nas, bo walka *Nieboskiej Komedyi* skończoną nie jest, bo ona dziś jak w chwili pisania jest jeszcze przyszłością; może my sami, może przyszła generacya po nas, stoczy tę walkę do dna i ujrzy jej straszne rozwiązanie, jeżeli się Bóg nie zmiłuje a człowiek nie upamięta. Ale to pewna, że rozwiązanie tej walki, będzie jak w *Nieboskiej Komedyi*, zwycięstwem niczyjem, zaprzeczeniem wszystkich naszych przeczeń. Wtedy świat przekona się, ile one były warte, przestanie się o nie bić i mordować, przestanie w nie wierzyć, »a z chaosu wywinie się i z myśli bożej zbuduje świat nowy«, dla którego zakończenie smutnych dziejów naszego wieku będzie doświadczeniem i nauką, że w historyi nie zwycięża ani Henryk ani Pankracy, ale Galilejczyk. Konkluzya *Nieboskiej* straszna i roz-

paczliwa, przecząca, dla nas, jest dla historyi, dla przyszłości affirmującą. Dochodzi, przez surowy sąd sprawiedliwości bożej nad światem, do zmiłowania, i do podniesienia ludzkości w epoce przyszłej, w której nasze kości, co prawda i co smutno, »dawno już próchnem będą«.

Wobec tak wzniesionego nad wszelkie nędze i małości stronnicze stanowiska autora, byłoby prawdziwą nędzą i małością sądzić jego poemat z jakiegoś chwilowego punktu widzenia podług naszych ciasnych i marnych uprzedzeń lub upodobań, i naciągać jego konkluzyę na którąkolwiek stronę; robić z niej argument przeciw demokracyi, albo oskarżenie przeciw arystokracyi, oskarżać, że z jedną lub z drugą obszedł się za surowo, słowem brać *Nieboską Komedyę* na przetak naszych jednodniowych niechęci i sympatyi, i przesiewać ją przez niego, żeby wybrać z niej to co na korzyść naszych sądów, na obronę naszych dążności wyjść może. A robiono i to; oskarżano Krasińskiego, że był arystokratą, oskarżano, że był rewolucyonistą; ten i ów próbował go naciągać do swoich potrzeb i do swojej miary. Ani arystokratą ani demokratą w dzisiejszem utartem znaczeniu tych słów, w znaczeniu, jakie im daje europejska prassa, on nie był. Jeżeli chodzi o jego przekonanie stałe i zastosowane do rzeczywistości politycznych i społecznych stosunków, to wypowiada on je w jednym ze swoich listów (Paryż 1841, str. 84).

»Arystokracya bez demokracyi, jak demokracya »bez arystokracyi, są tylko rzeczami umierającemi. »Pierwsze konają w zgłupieniu, w odrętwieniu, w le»targowym kretynizmie, i z podejrzliwością wenecką »otaczają sobie łoże śmierci policyantami; drugie »w anarchii, w błocie i krwi, z rykiem hyeny na »ustach, z kleszczami kata w ręku, z czarą pełną

»wódki i z wieńcem tulipanów na głowie«. To jego sąd stały sformułowany do użytku codziennego życia. Jego sąd i wyrok poetyczny, ten widoczny jest aż nadto z zakończenia *Nieboskiej*, z celu, w jakim ona była pisaną. Myśl tę objaśnia pięknie wstęp do francuskiego przekładu pism Krasińskiego, pisany przez jego syna Władysława: »Hrabia i Pankracy wyszli oba z tego »samego ducha krytycznego; jeden odrzuca przyszłość, »a drugi przeszłość. Ta jednostronność absolutna i wy»łączna, jest u obu skutkiem jednakowego braku »wiary. Pankracy jest wcieleniem rozumu, który się »sam ubóstwia w swojej naturze, i dochodzi w swojej »wierze do wyrachowania, w czynie do siły liczebnej; »Hrabia jest wcieleniem tego samego rozumu, który »się unosi sam nad swoją indywidualnością, przeczy »wszelkiemu prawu ogólnemu, a za prawidło postępo»wania bierze tylko swoją fantazyę. W swoją sprawę »wierzy on o tyle tylko, o ile wierzy w siebie; to też, »kiedy przyszła przegrana, wpada w rozpacz i zadaje »sobie śmierć. A tę chwilę właśnie obrał Bóg, żeby »się sobie zaświadczyć sposobem niezaprzeczalnym »w sumieniu ludzi i narodów.

»Na pierwszy rzut oka wydaje się to dziwnem, »że autor oddaje zwycięstwo Pankracemu, który cy»nicznie gardzi prawdą, której tryumf się objawia »i uporczywie jej przeczy. Ale zwycięstwo to było »potrzebne, żeby wykazać, że w walce prowadzonej »bronią nienawiści, zwycięstwo musi zawsze zostać »przy ślepej sile fizycznej. Ale tkwi w tem zamiar je»szcze głębszy. Zwycięstwo Henryka nad Pankracym, »byłoby uwielbieniem człowieka i jego gieniuszu, a zja»wisko krzyża, zamiast poprawić, byłoby go tylko »utwierdziło w jego dumie. Tymczasem ani duma ani »gieniusz nie są panami naszych przeznaczeń, ale po»stęp, który je ku dobremu kieruje, czyli dobro, »i w tem podług pięknych słów poety, leży »najwyż-

»sza mądrość«. Od zupełności i rozszerzenia się tego »postępu ku dobremu, zależy nasze zbawienie w tym »i w tamtym świecie. Jeden a troisty, ten sam w swo»ich trzech nierozdzielnych objawach, przyczyna, śro»dek, i skutek, jest on pierwiastkiem życia, jest po»rządkiem bożym i nieśmiertelnością samą, bo on łączy »ducha każdej istoty ludzkiej z duchem Boga. W dzia»łaniu swojem postępuje on przez miarę, przez har»monię, przez jedność i przez miłość, a w wielkiem »dziele Boga gra on rolę tła, które na tym warsztacie »łączy i trzyma różne nici stworzenia; nici te idą ka»żda w swoją stronę, ale każda, każde usiłowanie lu»dzkie musi się tego tła trzymać, jeżeli chce się uwie»cznić w skutkach rzeczywistych i trwałych. Kto po»stępuje inaczej, ten buduje na piasku i burzy dzieło »wieków, ale nie zakłada nic prawdziwego, nic rze»czywistego, a każdy wiatr może obalić budowę jego »niewiadomości i jego zarozumiałości«.

Tak reasumuje wydawca Krasińskiego jego filozofię w odniesieniu do człowieka, społeczeństwa, i historyi, i ona to służy za podstawę temu poematowi, a zamknięta jest i objęta pomiędzy jego słowem pierwszem, którem jest »Pokój ludziom dobrej woli« i ostatniem »Galilee vicisti«.

Że w tej myśli filozoficznej jest i myśl religijna, to jasne. Myśli patryotycznej nie ma; przynajmniej nie jest nigdzie wspomnianą, i słusznie, Bo naprzód, kwestya, która się w poemacie toczy, nie jest polską tylko, ale powszechną; a powtóre jest to jej cechą i naturą, że jej celem jest nie ojczyzna, ale przemiana społeczna. Mickiewicz uważa bardzo trafnie, że Polska w *Nieboskiej komedyi* »nie jest naszą Polską historyczną »i geograficzną, jaką dziś znamy; możemy ją tylko »wyobrazić sobie, przypuściwszy naprzykład, gdyby »nagle, zbiegiem jakich wypadków, skutkiem jakiego »kongresu, stanęła cała i niepodległa, ale bez własnej

»siły żywotnej wewnątrz, natchniona jedynie życiem »obcem, ruszająca się mocą uczuć i wyobrażeń wyro»bionych w Europie«. Charakterystyka bardzo trafna; to jest Polska, ale Polska skosmopolityzowana, na której gruncie rozstrzyga się sprawa natury kosmopolitycznej. Że Krasiński nie wtrącił tu ani jednego słowa, któreby przypominało ideę lub dobro ojczyzny, miał słuszność zupełną, bo takie słowo byłoby zmieniło doniosłość i prawdę jego obrazu. Jednak pomimo tego milczenia, nie można powiedzieć, żeby myśl patryotyczna nie była objęta tą myślą ogólną, i żeby nie znajdowała w poemacie przystosowania i do siebie. Wszak wszystkie żywioły walki, która się toczy w poemacie, są w Polsce; w chwili, kiedy Krasiński pisał, one się właśnie bardzo wyraźnie i burzliwie manifestowały. Zatem, prawdy ogólne, przystosowanie ogólne *Nieboskiej*, ściągają się tak samo do Polski jako ogólnym prądem historycznym objętej, jak do Europy całej; a zakończenie poematu, to powszechne zniszczenie na powierzchni ziemi, jest przestrogą i dla niej, jest upomnieniem dla ludzi i pokoleń, którym wśród tej walki żyć wypadło, żeby baczyli, co za los mogą zgotować swojej ojczyźnie.

Jest więc w tem pierwszem i najszerszem kole poezyi Krasińskiego myśl patryotyczna, choć ukryta i niewypowiedziana, jak jest i myśl religijna, choć ogólna i nieokreślona. Dodawszy do tego prawdziwą wielkość dwóch postaci głównych i trafną charakterystykę podrzędnych, dodawszy to, że Henryk i Pankracy mają więcej indywidualności, więcej charakteru psychologicznego, jako typy uczuć i namiętności które poeta znał w świecie rzeczywistym, aniżeli figury z *Irydiona*, których dzieje, uczucia i myśli dobyte są wyłącznie z jego fantazyi, — dodawszy wreszcie i to, że styl przy całej swojej obrazowości nie jest przeładowany ozdobami, i że z całej prozy Krasińskiego jest

może najprostszy, a przytem zwięzły, jędrny i majestatyczny, jak bardziej nie można, byłoby mniej więcej wszystko, co potrzebne do wydania sądu o tym poemacie. A sąd ten wypaść musi na wielką chwałę *Nieboskiej komedyi*; bo jeżeli w dziele Krasińskiego są rzeczy natchnione wyższem i potężniejszem uczuciem, jeżeli tak oryginalny i rzeczywiście ogromny pomysł *Irydiona* jest bardziej zadziwiający, to w *Nieboskiej* za to jest tak głębokie pojęcie naszego wieku i społeczeństwa, i przedstawienie ich tak trafne i prawdziwe, taka znajomość wszystkich pierwiastków społecznej walki w ich naturze i wzajemnym stosunku, a jej koniec ze stanowiska i moralnego i politycznego jest przepowiedziany tak mądrze, że poezya europejska cała jak jest, nie posiada nic, coby pod tym względem z *Nieboską Komedyą* mierzyć się mogło. A jeżeli które inne z dzieł Krasińskiego nam Polakom mogą być milsze i droższe, to sądząc te dzieła ze stanowiska ogólnego, ona okaże się może ze wszystkich najgienialniejszą.

Jedno tylko zachodziłoby pytanie: czy autor pisząc *Nieboską* rozumiał ją tak, jak ją rozumiał i tłómaczył Mickiewicz, a po tym Klaczko, jak rozumieli komentatorowie lub wielbiciele zagraniczni (Lord Lytton naprzykład), jak jest powszechnie rozumiana dziś? Wątpliwość tę nasunąć może ów list Krasińskiego (z Rzymu 21 listopada 1833 do Gaszyńskiego), w którym donosząc, że napisał ten poemat, mówi, że napisał go na obronę »tego na co targa się wielu — religii i chwały »przeszłości«.

A więc może Krasiński nie był tak mądrze sprawiedliwym jak nam się wydaje? może sam nie widział tego, że jego Hrabia Henryk nie ma słuszności? tego, że mądrością i prawdą jego dzieła jest to właśnie, że przy nikim nie zostaje słuszność, ani zwycięstwo?

Wniosku takiego ze słów powyższych wyciągnąć nie można.

Że z dwóch głównych postaci, Henryk jest mu bardziej sympatyczny niż Pankracy, to jasne; że gdyby okoliczności były jego samego w walce takiej postawiły, to byłby w twierdzy św. Trójcy, a nie w obozie Pankracego, to równie pewne; a że poemat cały pisany był na okazanie i dowiedzenie, że bez religii, bez ojczyzny, bez rodziny, bez własności, i bez rządu i władzy żadne społeczeństwo ludzkie nietylko szlachetnem i cywilizowanym być, ale w ogóle być nie może, to wiedziało się i bez tego listu. W tem znaczeniu więc brać trzeba i słowa listu: »na chwałę przeszłości«. Na chwałę tego, co ona dobrego i prawdziwego w sobie miała lub zrobiła, a na co się dziś wielu targa. Ale z tego nie wynika, ani usprawiedliwienie — tem mniej gloryfikacya tego co w przeszłości było złem lub stało się przeżytem; ani usprawiedliwienie lub gloryfikacya Henryka samego jako człowieka.

A jak list do Gaszyńskiego z 17 stycznia 1834 daje klucz do zrozumienia tych przekonań Krasińskiego, z których poczęła się *Nieboska*, tak znowu list o wiele późniejszy, (z 5 kwietnia 1837, XXXVII) objaśnia jego stanowisko, jego stosunek do różnych sił i zasad w poemacie działających, jego sąd o własnym poemacie już napisanym. List ten spowodowany był recenzyą *Nieboskiej Komedyi* napisaną przez p. Ulrycha, który, jak z tej odpowiedzi wnosić można, musiał Krasińskiemu zarzucać, że uderzył na rzecz w historyi już skończoną, a w Polsce nie bywałą i nie będącą, a w dodatku dążność ateistyczną. Oto jak się Krasiński broni:

»Jeśli kto stosuje dzieło sztuki do jednego tylko położenia, do jednego tylko kraju, ten pisze paszkwil, polityczno-satyryczną analizę, a nie poema: a zatem

zarzut, że nie do Francyi zastosowane dzieło, jest niczem.

»Jeśli kto w poezyi pojmuje tylko objawienie się cząstkowe czegoś, dziś, na tem miejscu i przy owych ludziach, a nie przyrodę wiekuistą czegoś: ten głęboki nie jest, ten nie może zwać się poetą. Poeta nie bierze monarchizmu, arystokracyi lub republikanizmu tak, jak był lub będzie, tak jak się zdarzył, ale tak jak jest wiekuiście w duchu ludzkości. Dopiero ten ideał ogólny w kształty zdarzeń zaszłych lub podobnych do zaszłych ubiera.

»Czemże jest republikanizm? Wiecznie jest siłą odporną, siłą niszczącą, siłą usiłującą na gruzach coś wznieść, a zatem, czy tak burzy, czy tak, zawsze burzy; że zaś poetycznie burzenia wystawić inaczej niepodobna, jak przez mury rozwalone, połamane ołtarze, leżące łupy i strzaskane bronie: stało się zadosyć temu we wzmiankowanem dziele.

»Ale w tej jednostce, w republikanizmie, nie zawarty, nie zakończony całki obręb ducha ludzkości. Nad burzą wznosi się coś nieprzemijającego, coś spokojnego, sama natura tego ducha (*La nature des choses, ce maître sans entrailles*, jak mówił Napoleon), czyli moralność, czyli porządek i harmonia, który jest celem ostatecznym. Na ten cel ostateczny, na tę moralność jakież imię posiadamy dzisiaj? bo jużci coś wyrazić trzeba słowem, symbolem, znakiem, i znakiem dziś używanym. Dziś takim znakiem jest chrześcijaństwo. Dotąd nic ludzkość wyższego nie zna, nie pojmuje; a za tem temu także stało się zadość tam.

»I w tem Leon się myli, że dzisiaj rok 93-ci skonał. Skonał, jako zjawisko, żyje, jako systema. Wierzę, iż Leon jego powrotu nie pragnie, iż Leon zna się z takimi, którzy rzecz tę uidealizowali; tem bardziej się pomylił, bo masa nie idealizuje, ale idzie naprzód, i żelaźnie stąpa. Potem Leon przyznaje, że to prawda

dla Niemiec, Włoch, a zatem i dla Polski. A cóż u licha? czyż kto koniecznie winien dla Francyi pisać; czyż przestrzeń od Bałtyku po Afrykę niedostateczną posadą na jeden poemat? Zkąd obowiązek święty, nałożony na człowieka jak honor, by się wdawał z Francyą i z Ameryką; co mu wspólnego z zamorskiemi brzegi? Alboż Leon nie widział, że tam kształt najbardziej zbliżony do Polski? A jeśli mi rzeźników i lokajów nie uznaje w Polsce; jeśli mi twierdzi, że Polska wybiegła bardzo daleko naprzód od tych teoryi, to mu poprostu powiadam: »Tak myślisz? żałuję sercem całem, że tak nie jest«.

»Dalej, nie wiem, gdzie on ten ateizm widział w tem wszystkiem: niema o ateizmie jednej wzmianki; któżby był tak bezrozumnym wprowadzać ateizm w rzecz, w której duch ludzkości występuje«.

To własne zeznanie nietylko nie sprzeciwia się w niczem naszemu powszechnemu dziś rozumieniu *Nieboskiej Komedyi*, ale je owszem stanowczo potwierdza [1]).

---

[1]) *Nieboska Komedya* wydrukowana w Frankfurcie w r. 1834 w skutku jakiejś obawy księgarza nie była puszczoną w obieg. Autor nie pojmował długo i dowiadywał się, co się z nią stało. Aż jakiś jeden exemplarz przypadkowo dostał się do Paryża, i tam przedrukował go Januszkiewicz, nie wiedząc czyje dzieło i gdzie autora szukać. To więc, drugie w istocie wydanie, rozeszło się dopiero i dało poznać *Nieboską*, a w następstwie zwróciło uwagę na jej autora.

ROZDZIAŁ IV.

1833—1836.

Krasiński w Rzymie. Znajomi i przyjaciele. Zamiłowanie Rzymu. Ślady przekonań religijnych i politycznych i pojęć estetycznych w listach. Zniechęcenie do siebie samego. Pragnienie szczęścia. Nowa miłość. Jej ślady w listach. Zachwyty i gorycze. Charakter tego uczucia. Lato w Niemczech. *Irydion.*

Z Wiednia pojechał Krasiński do Rzymu. Był tam już jako młodziutki nie usamowolniony chłopiec. Musiał ten pobyt wywrzeć na nim wrażenie bardzo silne i zaszczepić w nim ten namiętny pociąg do Rzymu, jaki został na zawsze, skoro teraz, pan swojej woli, tam naprzód dąży, i tam wraca kiedy tylko może. Zaczyna się odtąd długi szereg wędrówek za Alpy, których właściwym głównym celem jest zawsze Rzym. Pociąg charakterystyczny, a w życiu i poetycznym zawodzie Krasińskiego ważny. Rzecz pewna, że nie na jego fantazyę i jego poezyę tylko, ale na jego umysł, na całość i kierunek jego pojęć, wpłynęły te rozmyślania, jakie mu nasuwała historya i natura Rzymu.

Tam więc widzi się go w drugiej połowie roku 1833 i w początkach następnego.

W jakiem otoczeniu? Przedewszystkiem ma przy sobie serdecznego i nieodstępnego przyjaciela Danielewicza. Tego znaliśmy dotąd z listów Krasińskiego tylko, z jego wielkiego żalu po stracie tego przyjaciela. Teraz poznajemy go bliżej, dokładniej. Kallenbach (Krasiński, Tom II) podaje liczne ustępy z jego listów do Jenerała, a te dowodzą, że Jenerał miał dobrą myśl, kiedy synowi tego towarzysza dobrał czy uprosił. W listach tych bowiem okazuje się Danielewicz, jako człowiek przywiązany bardzo do młodego Krasińskiego, bardzo rozumny, a przytem bardzo rozsądny, trzeźwy, zrównoważony. Kochając młodego przy-

jaciela widzi i zna doskonale jego słabe strony, boi się, że one mogą go skrzywić: martwi się niemi, czasem się gniewa i niecierpliwi, ale zawsze stara się przeciw nim działać. Fantazya, wrażliwość, nerwy młodego poety, doprowadzają go czasami do zwątpienia i zniechęcenia. W jednym liście pisze, że od dwóch lat żyje nie swojem życiem, tylko życiem drugiego, jak »pasożyt przyczepiony do dębu«; a czy ten dąb czerstwy i silny? to chwilami nie wydaje mu się pewnem. Jednak nie zniechęca się, nie odstępuje, i swoją służbę przyjaciela, doradcy, cenzora, (Aligiera jednem słowem), pełni wiernie do śmierci.

Oprócz niego ma Krasiński innych towarzyszy, paru takich, których lubi. Młody, rychło potem zmarły Litwin, Otton Rajecki, Stanisław Sołtyk, później mąż znanej z życia Mickiewicza Henryki Ankwiczównej (2-go voto Kuczkowskiej); Aleksander Potocki, syn Szczęsnego z Greczynki, emigrant, który od owych lat aż do śmierci cieszył się, jak mało który z Polaków, najpowszechniejszem, najbardziej jednomyślnem uszanowaniem i sympatyą. Emigracya nie wiele osiadała we Włoszech, choć i tam cokolwiek (n. p. Herman i Józef Potocki we Florencyi często przez Krasińskiego wspominani); ale Polaków przejezdnych, wędrownych, przesuwało się dosyć przez Włochy, czasem na dłuższy pobyt osiadało.

Ze stale tam mieszkających Polaków z wieku i z urzędu należało pierszeństwo księżnie Stolnikowej Czartoryskiej. Osiadła ona na starość w Rzymie, w klasztorze Urszulanek, nie jako zakonnica, ale jako lokatorka na dewocyi. Miała przed klauzurą parę pokoików, do których ściągało wszystko, co było świetnego w Rzymie; do których z Polski ciągnęły córki już nie młode, i wnuczki świeżo za mąż wydane, i prawnuczęta nawet, a wszyscy, co znali tę relikwię XVIII wieku, świadczą zgodnie, że księżna Stolnikowa

zachowała do śmierci najpiękniejsze oczy w Koronie i Litwie, najrzadszy, najmilszy wdzięk w rozumie obejściu. Krasiński, jak to z jego listów widać, odwiedzał także jej celę, lubił ją, musiał być częstym i poufałym jej gościem. Serdeczniejsza wszakże przyjaźń łączyła go z inną podeszłą panią, księżną Kaźmierzową Lubomirską. Ta nie mieszkała stale w Rzymie, więcej zdaje się w Wiedniu, ale i tu spotyka się ją często w Krasińskiego listach. Starość miała nie tak pogodną i miłą jak księżna Stolnikowa. Ostatnia z Granowskich, jak jej antenatka Elżbieta Pilecka trzy razy wychodziła za mąż; a trzy razy bezdzietnie owdowiała [1]). W czasach, kiedy ją Krasiński znał i pielęgnował, była już stara i była pogrążona w czarnej melancholii. Osoba (jak wszyscy świadczą) najlepsza, która przez całe życie nie zrobiła nic złego a dobrego wiele, pędziła ostatnie lata w dręczących obawach o zbawienie swojej duszy, w przywidzeniu że nie może być zbawioną. Dom jej był oczywiście smutny, najczęściej pusty, towarzystwo często przez te strachy i urojenia nużące. Tem piękniej świadczy to o Krasińskim, że ta samotność i smutek wzruszyły mu serce, że przez pożałowanie doszedł do wielkiego przywiązania dla biednej opuszczonej starej kobiety, która nie miała nikogo na świecie; że jej poświęcał swój czas i spędzał z nią długie godziny, które z pewnością łatwo byłyby mu zeszły przyjemniej, że jej służył, pamiętał o jej wygodzie, zdrowiu, rozrywce, o ile chciała przyjąć rozrywkę. Do tej przywiązany był bardzo; i wiele jej, wiele przez nią zrobił dobrego.

[1]) Wydana naprzód bardzo młodo za Chreptowicza, owdowiała wkrótce po ślubie. Wyszła potem za Aleksandra Zamoyskiego (starszego syna kanclerza Andrzeja, a brata tego Stanisława, który przez większą połowę XIX wieku był ordynatem). Aleksander Zamoyski także umarł młodo. Trzeci mąż, Kazimierz Lubomirski, umarł za wojen napoleońskich.

Kolonia polska w Rzymie zmieniała się naturalnie; przesuwały się przez wieczne miasto coraz nowe postacie. Za lat parę tam pozna się Krasiński z Juliuszem Słowackim, za kilka w Neapolu (niedaleko) z panią Delfiną Potocką; jeszcze w lat parę potem znowu w Rzymie, oświadczy się o pannę Elizę Branicką. Ale teraz znajomości najważniejsze, przyjaźni najserdeczniejsze i najtrwalsze (z wyjątkiem Danielewicza) są tam dwie. Jedna z Edwardem Jaroszyńskim. Listy Krasińskiego nie podają o nim dość wiadomości, iżby można z nich wyobrazić sobie, jakim był, ale przyjaźń była bardzo ścisła, zaufanie zupełne. Drugim przyjacielem, z którym znajomość była może dawniejszą, ale z którym korespondencya zaczyna się w roku 1834 i trwa już do śmierci, był pułkownik Adam Sołtan. Imponujący i pociągający (jak mówią współcześni) wspaniałą powierzchownością, ujmujący był i przywiązujący naturą niezmiernie sympatyczną, kiedy smutne koleje życia, i sposób w jaki je znosił, zdobywały mu najwyższą cześć i najrzewniejsze współczucie. Urodzony z Radziwiłłównej, był przez to Krasińskiego krewnym. Pan ogromnego na Litwie majątku, po roku 1831 musiał emigrować. Majątek — wspomniany w Panu Tadeuszu Zdzięcioł — był skonfiskowany. To nic, ale trzech synów, z których najmłodszy miał lat trzy, zabrano, i oddano na wychowanie do Instytutu Paziów w Petersburgu. Dwie małe córeczki zabrano także, oddano do klasztoru; szczęściem nie do prawosławnych Czernic, ale do Wizytek w Kamieńcu. Ojciec pułkownika, stary Marszałek Sołtan, ostatni w Polsce który ten tytuł nosił (Marszałek nadworny Wielkiego Księstwa Litewskiego), został sam w opustoszałym domu, i niedługo po tem wywiezieniu swoich wnucząt umarł ze zgryzoty. Czem mogło być życie tego wygnańca, który nietylko swoich dzieci nie widzi, nie zna, ale przez długie lata drży o to, co się

z nich przez takie wychowanie zrobi? Z córek znowu jedna umarła w dziecinnych jeszcze latach. Nic piękniejszego jak Krasińskiego dla niego przyjaźń i współczucie, jak jego troskliwość baczna i niezmordowana w dzieleniu i łagodzeniu smutków tego przyjaciela; jak wytrwałość i zręczność, przebiegłość z jaką pracuje nad tem, żeby los jego osłodzić. I miał tę pociechę, że swojem staraniem a za wpływem ojca wydobył z klasztoru pozostałą córkę Sołtana, wyrobił dla niej paszport pod pozorem zdrowia, i ojcu ją oddał, obmyśliwszy dla niej kobiecą opiekę właśnie u tej księżnej Lubomirskiej, która była przyjaciółką obu a Sołtana krewną.

Oprócz tych stosunków zaś, coby więcej w tych latach zapisać, coby w jego Listach dostrzedz można? Domyślać się możemy, że wiele czytał i rzeczy różnych; że czytał i poezye i książki filozoficzne, że nad jednemi i drugiemi głęboko rozmyślał. Ale rzucone tu i owdzie — często — w tych listach myśli uderzające, pokazują nam rezultat tylko, nie pokazują przygotowań, środków.

Co widoczne odrazu, to namiętne zamiłowanie Włoch, a przedewszystkiem Rzymu, które zostało na zawsze; to ten właściwy jemu dar łączenia w jednem spojrzeniu, w jednem wrażeniu i myśli, w jednym opisie, natury tego kraju i jego historyi, ożywienia jednej drugą. Z nierozdzielnego połączenia obu wynikał ten urok czarujący a smutny, który Rzym przybierał dla niego, w jego wyobraźni, który ma dla nas w jego poezyi. Żadna inna na świecie nie oddaje go w tym stopniu; nie odbija i nie maluje tak charakteru tych widoków, pomników, i wrażeń. W listach — a wiadomo, że lubi pisać długo i o swoich wrażeniach mówić — często trafia się jakaś wzmianka, jakaś uwaga albo jakiś mały opis, który daje poznać,

przeczuć, że z tej głowy wyjdzie kiedyś Irydion i wiersz do Elizy (np. list XV do Gaszyńskiego):

»Ja tu zimę prześlęczę, bo lubię te gruzy, tę karę, która spadła na miasto wieczne, na miasto ucisku i podłości, egoizmu i zbytków, słowem na ten Rzym, co był otchłanią pożerającą wszystkie narodowości świata. A teraz, spojrzyj na te ruiny, na ten bluszcz, rozkosz zieloną jaszczurek; na te groby pomieszane, powikłane, leżące w pustyni, w Kampanii Rzymskiej; a potem, pójdź do pałacu Cezarów, do Koliseum, do gmachów Karakalli! Olbrzymy stawiali te mury, tysiąc ludzi skonało, nim drugie tysiąc dźwignęło te filary, te stosy rżniętych, dłutowatych opok: a dziś wyryte na nich dłonią czasu przekleństwo jak na czole zbrodniarza, i Rzym leży zwalony, leży i gnije, leży i nie powstanie więcej!

»Tu dopiero masz wszystkie idee tego świata rozciągnięte na ziemi i zdeptane, patrycyat w sarkofagu Scypiona, w grobie Metelli; zwierzchnictwo ludu, w cyrku gladiatorów, w pałacach Cezarów, bo Cezar był najwyższy trybun, Cezar był niegdyś reprezentantem ludu. Patrycyat choć srogi, nieubłagany, egoista, miał cnoty wielkie, znał co to poświęcenie dla swojej idei, co to walka długa, uporczywa, i śmierć bez trwogi. Ale lud i Cezar nie znali nic, nie umieli nic; byli zwierzętami zataczającemi się wśród krwi i złota. Patrz, jak się rozpili: z Rzymu przodków swoich zrobili rynsztok rozkoszy i legli w nim, i przeszło lat trzysta leżeli w nim, aż zagrzmiała trąba północy, aż przyszli barbarzyńcy i znieśli ich precz na wieki!

»Ale razem tu jest świętszy widok: Krzyż tu panuje, katolicyzm tu stanął po wszystkich wzgórzach; on świat ocalił, a razem w miłosierdziu swojem obronił ostatki starego świata!«

I zaraz dodatek dowodzący dwóch rzeczy: że Krasiński w tym czasie nie był jeszcze przeszedł przez

żadne wstrząśnienie swoich uczuć i przekonań religijnych; i że nie rozumiał, jak bez tych uczuć można być poetą. »Gdybyś tu był, ukląkłbyś i uwierzyłbyś. Poeto, »wstydź się nie być katolikiem«.

O tych sprawach, których obraz i sąd złożył tylko co w *Nieboskiej Komedyi*, o tej przyszłości świata i Polski, która z takiego stanu rzeczy wypłynąć może, myśli wiele i gorzko; w listach nie jeden znajdzie się ponury komentarz do ponurego poematu.

Taki naprzykład jest list (do Gaszyńskiego XVI) z 16 grudnia 1833. Młody emigrant musiał przed przyjacielem powtarzać częste podówczas skargi, że przewodnictwo w Rządzie Narodowym r. 1831 ludzi takich, jak książe Adam Czartoryski, dowództwo nad wojskiem takich, jak Chłopicki i Skrzynecki, ostudziło popęd i zapał i sprawę doprowadziło do upadku. Krasiński odpowiada mu w sposób dowodzący dziwnej trzeźwości, praktyczności, dojrzałości jego umysłu, kiedy się z praktycznemi sprawami spotyka:

»Co ty nazywasz duchem rewolucyjnym u nas, co ty mienisz przez p r z y t ł u m i e n i e j e g o? Czyś się dotąd nie przekonał, że wszystko było niedojrzałe; że ideę wielką wcielono w krzyk i hałas i mierność? Jej niedobrze było w tych łachmanach, więc usunęła się. Ale powiedz mi, cóż nie było miernością, co nie wyszło u nas na ostatnią nędzę: i zapał, i olbrzymi teroryzm, co miał być nowym 93 rokiem, i poezya pisana, i elokwencya mówiona, czy to nie małe dzieci wszystko? Czemu ty, drogi mój Konstanty, ufasz słowom, jakoby przyjaciołom doświadczonym; słowa, wierz mi, są niczem, ale możem się przyzwyczaić do uważania ich za wszystko. Krótko mówiąc, nie rozumiem twoich utopii o Rzeczypospolitej, kiedy żyjesz wśród najzepsutszego towarzystwa. Potem, naucz się ważyć ludzi na wartość ich, przekonaj się, co to są imiona głośne, sławy, czyny trąbione po świecie«.

»To wszystko było niedojrzałe!« Niestety sąd o listopadowem powstaniu, który ogłoszony wtedy byłby całą Polskę na Krasińskiego oburzył, a który historya za słuszny uznać musi. Dyskusya musi ciągnąć się między nimi stale; z odpowiedzi Krasińskiego domyślać się można, że w Gaszyńskiego listach były jakieś naiwne uniesienia nad Rzecząpospolitą i młodociane złudzenia o rewolucyi. I na te odpowiada Krasiński w liście z 17 stycznia 1834 (XVII, przytoczonym już w rozdziale poprzednim), który najwyraźniej może ze wszystkich określa jego pojęcia, i każe uznać głębokość jego sądu.

To jest niewątpliwie sam rdzeń, sam grunt jego rozmyślań i uczuć w tym czasie: to nie jest przekonanie tylko, ale jest nieustanna troska i cierpienie nad światem, ale naprzód i najbardziej nad własną ojczyzną: to jest tajemnica jego smutku.

Smutek zaś jest nietylko wielki, ale niespokojny, nerwowy, rozdrażniony. Sam skarży się na stan jakoby wyczerpania, zniechęcenia, odrętwienia: Danielewicz w listach do jego ojca, mówi o rozstrojeniu i naprężeniu, na które nie znajduje rady. Widocznie młody poeta szamocze się i szarpie między różnemi cierpieniami, pragnieniami, pytaniami, których nie może opanować, pogodzić, rozwiązać. Coś w nim burzy i fermentuje, coś się w nim zaczyna przeobrażać; a zanim równowaga nastanie, nie jedno w nim łamie się i wali. Chwieje się naprzykład jego wiara religijna. Stwierdzają ten jego stan listy do Reeva, rzadsze daleko niż bywały z Genewy, ale tem dłuższe może, a zawsze szczerze oddające jego myśli.

Ale to zajęcie główne myśli i serca nie wyklucza innych, nie przeszkadza mu żywo zajmować się poezyą, własną i drugich, i w ogólności poezyą jako taką, rozmyślać nad jej istotą.

Pod tym ostatnim względem dochodzi on do spo-

strzeżeń i odkryć zdumiewających; formułuje świetnie nie jedno prawo poezyi wypływające z jej natury, i samej jej istoty. Taki naprzykład jest ustęp o poezyi z tego samego listu XVII.

»Co ty mnie chcesz stósować poezyą do d u c h a c z a s u. Alboż poezya jest nałożnicą marnych okoliczności? Literatura romansów, dzisiejsza francuska literatura, oto mi nałożnica za pieniądze, oto mi małpiarstwo niezrozumianego Byrona — bo ci mówię, że oni go nie rozumieją: *servile imitatorum pecus*. Ale poezya tyczy się rodu człowieczego całego, a nie jednego kraju, jednego łachmana czasu i przestrzeni. Ona wieczność i nieskończoność garnie pod skrzydła swoje, i dlatego właśnie była zawsze i być zawsze musi religijną, to jest mówić o zagadce wielkiej, którą Bóg zadał ludzkości: o przeczuciach innego życia, o wspomnieniach tego co poprzedziło nasze przybycie na ziemię, o nadziejach i bojaźniach, o tem wszystkiem, co się zowie u c z u c i e m istoty żyjącej w g r a n i c a c h, a przeznaczonej kiedyś do życia b e z g r a n i c. Inszem słowem zowie się to wszystko r e l i g i j n o ś c i ą — a to, co ty przeznaczasz poezyi, zowie się po ludzku: polityką, filozofią, prawodawstwem i t. d., ale nigdy poezyą! Zapewne, że poezya zmienia formy swoje podług czasów i okoliczności, ale jej wszystko jedno, czy z piramid Egiptu, czy z świątyń Turcyi, czy z katedr niemieckich, wyciskać tajemnicę stworzenia, upadku, śmierci i dalszego życia; a że religia chrześcijańska jest ostatnią, dopełnieniem wszystkich innych, poezya chrześcijańską być nie przestanie. Poeci a poezya, to dwie rzeczy często bardzo różne. Poeta, to śpiewak śpiewający sobie i kołu swojemu; poezya, to pieśń odwieczna ludzkości! Dlatego, poeta może być chemikiem, adwokatem etc.; ale poezya nie może być ani chemią, ani polityką etc. Nie lękaj się o nią; ona potrafi żyć wśród statków parowych i machin do

młócenia, wśród morderstw i zawiłych rachub. Ona ludziom zostawi wszystkie dżdże ich burzy, a sobie weźmie błyskawice — i z chmury na chmurę, z odmian w odmiany, ze zwalisk na zwaliska przelatując, będzie mówiła o Bogu, o potępieniu wiecznem i o wybranych — kiedy pod spodem toczyć się będą walki o budżet, o wolność lub ucisk, o kolonie lub interwencyę.

»Potem uważaj, że historya, jak tylko weźmiesz dość znaczną jej przestrzeń, poetyczną się staje, to jest, że budżet, interwencya, handel etc., nikną, a zostaje się tylko ich synteza, to jest główny postęp rodu ludzkiego w tym czasie ku Bogu, rozwinięcie jego władzy przeczuciowej, jego nadziei w nieśmiertelność; i dlatego, w końcu, historya jest najdoskonalszym, najrytmiczniejszym poematem«.

Rzecz prawdziwa, ale w jego ustach dziwna. Poezya, jako taka, z pewnością »nie powinna być polityką«; a jednak nie ma podobno drugiej na świecie, któraby w tej mierze polityką była, co poezya tego, który tak dobrze rozumie, że to nie jej natura i przeznaczenie. Sprzeczność tę czem wytłómaczyć? Tem, że ten poeta sam był przedewszystkiem myślicielem, politycznym filozofem; powtóre powodami, które poezyę polską do takich przedmiotów naturalnie i logicznie zwrócić musiały.

Nie mniej mądre to rozróżnienie starożytnej i chrześcijańskiej sztuki, a zatem i poezyi, w Liście (o dwa lata późniejszym XXVI z Neapolu 26 kwietnia 1835).

»Byłem w Pompei. U wnijścia do miasta, groby; zaraz potem za bramą, pierwszy budynek, to dom rozpusty. Śmierć i rozkosz, dwa największe działacze materyalnego świata. W tej odgrzebanej mumii piękne są pomniki. Architektura grecka skandowana jak wiersze Enejdy; matematyka, prawo rzymskie stare, w ka-

mień wcielone. Tu dopiero starożytność się pojmuje i porównywa z nowemi czasy. Starożytni szli od nieskończoności w skończoność; co od pierwszej zarwać mogli, opisywali drugą, oddzielali od matki. My ze skończoności wychodzim, a dążym w nieskończoność. Oni mieli obręb ciaśniejszy, ale daleko lepiej go znali i rozumieli, niż my nasz rozumiemy. Ztąd nasze usterki i brak powagi, i skoki, i potykania się; u nich zaś godność i surowość, bo kto zna dobrze drogę swoją, ten poważnie i zwolna stąpa. Ale oni byli synami ziemi i ziemię w głąb kopali; my, jak elektryczność, rozlegamy się w przestrzeń i dążym w górę, bośmy synami nieba. Weź Pompeję i weź katedrę w Kolonii, najpiękniejszą z gotyckich utworów, choć niewykończona. W Pompei równoległobok i ellipsa, to są zasady, jedyne kształty, miara doskonała, filary cudownie piękne; ale wszystko ciasne, skończone, ograniczone: nic niema za kapitelem kolumny, na kapitelu kończy się kolumna. W Kolonii, ty idziesz za strzałą gotycką; a kiedy się przerwie, ty dalej wzrokiem sięgasz tam, gdzie ci ona wskazuje — w niebo! W Kolonii piękność formy nie jest rytmiczną, jak w Pompei, ale pod formą żyje duch organiczny, wielki. W Pompei ducha niema, tylko jest ciało, i ciało najpiękniejsze w rzeczy samej, ale zawżdy określone i nieżywe. Fidiasz nicby nie pojął w liściach kapuścianych, w żabach, karłach i potworach dłutowanych w podnóżu każdej katedry gotyckiej, Wirgiliusz plunąłby na Fausta Goethego; bo im trzeba było symetryi, jedności, regularności, co pochodziło ztąd, że oni tylko jednę część człowieka znali, to jest ciało, i z tej części jedność zupełną wyidealizowali. My zaś pstrocizny musimy używać, bo śpiewamy o stworzeniu złożonem z duszy i ciała, między któremi zachodzi walka, sprzeczność, i ból, i ruch. To, odbite w naszej architekturze, w naszej poezyi, stanowi pstrociznę.

Ztąd my bardziej rzeczywistymi jesteśmy, prawdziwszymi, a zatem poetyczniejszymi, niż oni. Oni materyalnie bardziej idealnymi byli. Większa część ludzi utrzymywać ci będzie, że starożytni owszem bardziej realnymi byli, bo realność zwykle u ludzi to materya. Lecz u mnie rzeczywistość jest to, co jest w myślach Boga i dziełach natury; a zatem, ponieważ my wyżsi dążeniem i wiedzą, zatem realniejsi jesteśmy. Im kto bliżej Boga, tem jest prawdziwszym, rzeczywistszym, a my od starożytnych odsadziliśmy się skokiem ogromnym. W tym rzucie, fałdy tuniki, fibule, toga, zsunęły się i zmięły na piersiach ludzkości; ale jej duch dziwnie wypiękniał i wyzwolił się«.

Nie dziw potem, że dojrzewający poeta przestanie ślepo wierzyć w Byrona, i dojdzie do tej pięknie sformułowanej prawdy, że »moc nad sobą jest poezyą dojrzałości, jak rozpasanie wszystkich uczuć jest poezyą młodości«. (List XX z Kissingen 10 lipca 1835).

Ale znakomity, kiedy odkrywa i formułuje ogólne prawa poezyi, mniej trafnie sądzi szczegółowe przypadki czy dzieła. Mądre jest bardzo to, co czekając na *Pana Tadeusza* pisze z powodu Ksiąg Pielgrzymstwa (List XX):

»Ciekawym bardzo *Pana Tadeusza* i nowego dzieła Lamennais'go. Już to w modę wchodzi pisać ewanielicznym stylem. Mickiewicz zaczął, Lamennais ciągnie dalej; zobaczysz, że wreszcie tyle się ewanielii namnoży, że vaudeville pan Scribe napisze ewanielicznie. Co to małp się zawsze kupi naokoło gieniuszu. Za jeden gieniusz, sto tysięcy głupców musi się urodzić, jakby massa ducha była na tym świecie skończona, jak massa materyi, i tylko mogła się ukazywać bardziej skupiona w wielkich ludziach, i za to też zaraz rozrzedzać się musiała w ich współczesnych«.

Ale sąd o *Tadeuszu* samym, kiedy go już przeczytał, jest dziwny. (List 21 z 23 Augusta 1834).

»*Pan Tadeusz* jest Epopeą drobnej szlachty naszej, jest wiecznym jak Don Quichotte, jak Poliszynel we Włoszech, przenosi o cztery głowy Monachomachię, jedynem jest dziełem dla Polski. *Wallenrod* jest poema arystokratyczne, *Pan Tadeusz* jest poematem drobnej szlachty«.

Wieczny jak Don Kiszot? Przecież z małą różnicą, którą Krasiński widzieć był powinien, z różnicą poezyi. Dziwny brak nie już zrozumienia, ale uczucia tego powodu nieśmiertelności, jaki jest w *Panu Tadeuszu*.

Niespodziewanie w listopadzie roku 1833 wiadomość jedna, która przeszłość wywołuje z głębi pamięci i uciszenia. Henryetta Willan wyszła za mąż!

»Uczułem dreszcz na całem ciele; potem zapadłem w jakiś sen gorączkowy na pół godziny, a kiedym się obudził, w głowie mi się mięszało. Ten stan trwa. Nie mogę zrozumieć, że ona jest zamężną; choć swoją drogą dziękuję za to Bogu i proszę Go, żeby ją błogosławił w tem nowem życiu. Dziwne są te dawne miłości, które śpią długo gdzieś w sercu, a raptem budzą się bez energii, bez szału, tylko z goryczą«. Odtąd częste wzmianki o Mrs. Burdet, pytania o nią i prośby, żeby Reeve nie wspominał jej nigdy o tym, którego kiedyś kochała.

Ale biedna Henryetta nie chcący stała się powodem jednego epizodu komicznego w życiu Krasińskiego. Dwoma laty później, już w r. 1835, doszła do Reeve'a wiadomość, jakoby Krasiński starał się o pannę Henryettę Ankwiczównę. Reeve pyta, czy to prawda i otrzymuje następującą odpowiedź:

»Nie wiem, jaki dyabeł ich opętał tą nadzieją, że ja prędzej czy później będę ich zięciem. We Włoszech, w Niemczech, na lądzie, na morzu, wszędzie, ścigają mnie westchnieniami, spojrzeniami, zaproszeniami, grzecznościami. Od początku robiłem i robię, co tylko

mogę, by im wyperswadować, że jestem im wdzięczny jak dobry znajomy, ale że bynajmniej nie pretenduję do ślubnej obrączki. Ale cóż poradzić na ślepych? na matkę, która ubóstwia córkę i czyta w gwiazdach, że ja mam być mężem tej córki? na pannę egzaltowaną, przepojoną Byronem i Moorem, umiejącą na pamięć wszystkie starożytności rzymskie, a wszystkie daty historyczne do dnia i do minuty? Bardzo dobrzy ludzie zresztą, z sercem jak być powinno, uprzejmi, gościnni, bogaci, trochę parafiańscy; ale mylą się fatalnie co do wyroków przeznaczenia. To ta sama panna, w której Mickiewicz kochał się pięć lat temu. Ja ich wtedy poznałem. Pamiętam, że wtedy nosiłem na palcu pierścionek z imieniem Henryetty, dany mi przez Henryettę Willan. Noszę go dotąd. Tamta panna go zobaczyła. Nosi to samo imię. Ztąd nieskończony szereg nadziei dla całej familii, na które nic nie może poradzić, ani obojętność, którą ja okazuję umyślnie i statecznie, ani inne miłości moje, o których wiedzieli. Bóg świadek, że zawsze starałem się wyprowadzić ich z błędu i że niema mojej winy w tej całej historyi, nudnej dla mnie a przykrej dla panny, która odmówiła kilku konkurentów, dla nadziei w której niema ani cienia rzeczywistości«.

Tym razem przynajmniej Krasiński nie żartuje tak nielitościwie z biednej panny, jak w liście do Sołtana, kiedy rozmyślając nad swoją przyszłością, pisze: »Wiem co zrobię. Ożenię się z panną Henryettą, która mnie tak wiernie kocha, kaczki z Galicyi sprowadzę do Coliseum i będę przepisywał elegie mojej żony nad niemi«.

Ale pierścionek z imieniem Henryetty — Henryetty Willan, chował i nosił do śmierci.

Przesuwają się w listach różne kwestye, spostrzeżenia głębokie i smutne, naprzykład:

»Nikt nie chce być tem, czem jest. Ta cała mnie-

mana wzniosłość jest tylko śmiesznością. Wyobraźnia rozpasana zawraca wszystkie głowy, a w piersiach niema serc. Ztąd tyle błazeństw, tyle nudy, które niby szukają sobie jakiegoś zajęcia, nie chcąc na prawdę żadnego znaleźć, ani przyjąć; rzuca się w nadzwyczajność, w fantastyczność, tarza się w nich bez celu, nie bez wszelkiego talentu może, ale nie stwarza nic nowego. Zobaczysz, że to całe pokolenie zniknie jak liść uschły przed czasem, zginie i zniknie w atakach nerwowych. Lenistwo jest wielkie w ludziach naszego czasu. Ono jest tajemnicą ich słabości, ich snów bez treści, ich braku sztuki w poezyi, energii w polityce, wiary w to, co jest ich wiarą«. »Ile tu powierzchownej wiary, która się zdaje być przekonaniem, a jest tylko lekkomyślnością, ile wspaniałej nadziei, że się ludzi... oszuka! Ile wysileń, żeby oszukiwać siebie samych. Ile systemów opartych na słowach tylko; ile słów bez żadnej myśli! Co za monotonia udająca rozmaitość, nowość, oryginalność, twórczość, za pomocą kombinacyi czysto mechanicznych! Ile niepewności w duszy, a ile pewności siebie na czole!« I ile w tych słowach — możnaby dodać od siebie — prawdy, przypadającej do naszych czasów, do naszych polityk, do naszych twórczości czy tworów, lepiej jeszcze niż do tych, na które Krasiński patrzał, pisząc te słowa!

Stan rozstrojenia i melancholii trwa. Danielewicz w liście do Jenerała (z marca 1834 roku)[1]) przypisuje go walce bezwiednego egoizmu z szlachetnem sercem: na taki stan pada nowy zwrot czy okres w życiu Krasińskiego, nowa miłość, pierwsza na prawdę wiele w jego życiu znacząca.

W końcu Marca 1834 spotkał on po raz pierwszy, w Rzymie, panią Bobrową. Imię jej było już tyle razy w książkach i artykułach ogłoszone, że byłoby już

[1]) Kallenbach. *Krasiński.* Tom II, str. 157.

bezcelową a nawet udaną dyskrecyą oznaczać ją jak dawniej tylko pierwszą literą, *B.* Za przykładem więc innych piszemy otwarcie o pani Bobrowej, a to tem śmielej że żadna z jej córek już nie żyje; względy dyskrecyi, poszanowania cudzych uczuć, są teraz mniej wskazane. Pozostaje wprawdzie ten wzgląd, ta wątpliwość, czy się ma prawo mówić o najgłębszych, najbardziej własnych uczuciach znakomitych ludzi. Klaczko do śmierci sądził surowo, brał za złe, wszelkie wymienianie nazwiska czy pani Bobrowej, czy pani Delfiny Potockiej. Z pewnością miał słuszność, myślał szlachetnie. Bo czy to nie profanacya? nie okrucieństwo, którego wprawdzie nie czuje ten co jest jego przedmiotem, ale którego za życia nie byłby darował? On mówił z głębi swojego żalu, każde słowo jest jękiem, każda litera łzą, a my patrzymy na to i wystawiamy na widok publiczny chłodno, dlatego, że te listy piękne! Czyż wielcy ludzie, dlatego że wielcy, nie mają tego prawa, jakie ma każdy, do poszanowania tajemnicy najtajniejszych uczuć? Nietylko pogarda, każde uczucie prawdziwe »ma swe panieństwo« i przed ludźmi pokazywać się nie lubi, a cóż dopiero miłość. Poeta może tym razem »znamiętniłby się w przekleństwo«, gdyby wiedział, że jego rozkosze i skargi dostały się do rąk wszystkich, jak rzeczy powszednie, obojętne, jak gazeta!

Ale kiedy już się stało, kiedy jest fakt dokonany, a to nazwisko podane do publicznej wiadomości, to ukrywać go dalej nie można, nie ma celu. A zresztą nie dla prostej ciekawości też, ani z zamiłowania pogrobowego plotkarstwa o zmarłych wielkich ludziach, szperania w każdem ich uczuciu i wyciągania gwałtem na wierzch wszystkiego, co się kryło w ich sercu lub myśli, ani przez zimną tylko admiracyą dla pięknie wyrażającego się cierpienia, mówi się o tej miłości, ale dla tego, że ona wiadomą już jest, a znajomość jej

prawdziwa i dokładna nie obniża żadnej strony w opinii, we spółczuciu, i w poszanowaniu ludzi, co dobrze czuć i myśleć umieją.

Krasiński w tym stosunku okazuje się mniej samolubnym, szlachetniejszym od wielu. Kiedy pyta, jak żeby o tem wątpił, »czy stosunek taki jest błędem«, on oczywiście myli się i łudzi bardzo. Błąd jest zawsze. Tylko bardzo mało, bardzo rzadko kiedy dwie istoty ludzkie zdołały, błądząc, pozostać jednak tak szlachetnemi. Niepodobna odmówić współczucia tym dwojgu ludziom cierpiącym i walczącym: kobiecie, która ma odwagę oskarżyć się sama przed mężem, bo w tej szczerości widzi i rodzaj expiacyi i godność; mężczyźnie, który ten popęd jej serca rozumie, ocenia, i tej potrzebie jej sumienia szczęście swoje poświęca. Ona zapewne szlachetniejsza, bo cierpi więcej i zdobywa się na większy heroizm; ale i on szlachetny.

Po pierwszem poznaniu wyjazd z Rzymu. Podróż, równoczesna, przez Florencyę, Wenecyę, Rzym, do wód niemieckich. W Wenecyi, sądząc z późniejszych listów, chwile szczęścia i uniesienia: w listach ówczesnych, z Kissingen, już przykrości i gorycze. Ludzie zaczynają uważać, mąż zaczyna się obawiać, ona sama dręczy się, i dręczy swego wielbiciela.

»Przez cały ten czas« — pisze z Wiesbadenu do Reeva w sierpniu 1834 roku — »pędziłem życie z ma»rzeń i rzeczywistości, życie ducha i ciała, życie lu»dzkie jednem słowem, pełne niebezpieczeństw wiel»kich i małości śmiesznych, chwilami rozjaśnione poe»zyą, to znowu zachmurzone drażliwem położeniem, »dochodzące do tragedyi i spadające do błazeń»stwa... Działo się to we Florencyi, w Wenecyi, »wśród dni wiosennych i uroczych wieczorów. Wszy»stko wołało Miłość, Rozkosz, a ku mnie jakiś głos »mówił: Występek, Kara... Widzisz jakem żył. Od »pięciu miesięcy nie zmówiłem jednej modlitwy, a je-

»dnak nie czuję zgryzoty«. I donosi, że widują się tylko czasem, ukradkiem, żeby ujść ludzkich oczów i języków, i podejrzeń męża już obudzonych.

Danielewicz, w listach do Jenerała, narzeka coraz więcej. Sam nie wie i pyta, czy to jest »słaby cha »rakter w walce z sobą samym, albo też wielkie prze»znaczenie, które jeszcze nie znalazło swego zawodu... »*une grandeur en travail, ou une grandeur erron»née*« [1]).

Krasiński sam widocznie jest zmęczony tym dramatem którego jest bohaterem, a nawet (choć chwilowo) znudzony jego bohaterką, skoro pisał do ojca że »kocha ją szczerze, bardzo, ale odetchnął kiedy od»jechała, i czuje się wolniejszym« [2]).

Ale po rozstaniu tęsknota, obawa o los a nawet o życie ukochanej, wywołują jeżeli nie nowy i silniejszy wybuch miłości, to w każdym razie nowe udręczenie.

24 grudnia pisze Krasiński do Sołtana. Jest wtedy w Neapolu, od niej daleko; troszczy się, przeczuwa coś złego, nie może sobie dać rady. Nie wiedząc już, jak ukoić czy oszukać swój niepokój, idzie po wróżby. »Im bardziej człowieka silna wiara odstępuje, tem bar»dziej staje się podejrzliwym i zabobonnym. Człowiek »taki potrzebuje w coś wierzyć, i w końcu w samego »dyabła uwierzy« [3]). Idzie więc do zakonnic zwanych *Trenta Tre*, o których u Neapolitańczyków jest mnie-

[1]) Kallenbach. *Krasiński.* Tom II, str. 166.

[2]) Kallenbach. *Krasiński.* Tom II, str. 167.

[3]) Ten i wszystkie dalsze wyjątki z listów Krasińskiego do Sołtana, bierzemy nie z wydania tych Listów (Lwów 1883), ale z własnej o nich pracy, zrobionej na podstawie listów rękopiśmiennych, a ogłoszonej z wiedzą i pozwoleniem tak właściciela Listów, hr. Michała Sołtana, jak spadkobierców Krasińskiego. (Przegląd Polski, Lipiec 1877). Wciągamy też niektóre ustępy z ówczesnej pracy własnej do niniejszej.

manie, że czasem przeczuwają przyszłość: W listach do Jaroszyńskiego wspomina, że poszli tam we dwóch, pytali o przyszłość pani B.[1]), a *Trenta Tre* odpowiedziały, że *DGiovannina morirà presto.*

Na lato, jak zwykle, wybiera się do wód niemieckich, dla swego zdrowia, i dla widzenia się z ojcem. W tej drodze, w lecie 1835, spotyka się z tą którą kocha. Zrazu sam zachwyt, sam nadmiar szczęścia.

»Zastałem ją dwa razy tyle kochającą mnie co »dawniej. W życiu mojem zapewne już takich dni »szczęśliwych nie doznam więcej. Może ci miło bę»dzie wiedzieć, że ten, który cię kocha, dostał się do »raju i z raju do ciebie pisze« (List XIII). Ale niebawem nastają przykrości, ludzie prześladują, własne sumienie nie daje pokoju, i te »chwile jedyne a minione«, których pamięci poświęcony był Irydion, minęły prędko. Naprzód list jakiś do Zygmunta, od jego ukochanej pisany, dostał się na poczcie do rąk jakiegoś niegodnego awanturnika, który nosił to samo nazwisko i haniebnie tego przypadku nadużył; list otworzył, przeczytał, czytał ludziom, chwalił się nim, jako niby do siebie pisanym. Potem na komorze austryackiej, w Salzburgu, poeta wzięty za kogo innego (i za Krukowieckiego jeszcze), wleczony był do urzędów, jego papiery i listy zabrane. *Nieboską Komedyą* tylko ocalił chowając ją w buty. Wreszcie, co najgorsze, ludzie zaczęli się znęcać nad kobietą którą kochał, i szarpać jej sławę. »Zastałem ją w najokropniejszym stanie »i raj mój niebieski prysł odrazu — pisze z Tryestu »12-go sierpnia 1835 r. (List XIV) — Polki, pani G..., »o której ci wspominałem i drugie, były w Ischl. Nie »ma potwarzy, szyderstwa, złości, którąby nie napoiły

[1]) Co do rychłej śmierci *Trenta Trè* pomyliły się bardzo. Pani Bobrowa przeżyła Krasińskiego o lat trzydzieści.

»mojej biednej. Osobliwie ta G... zlepiona z żółci »i mułu, wysoka, szkieletowa, rozpaczająca za znikłemi »wdzięki, wściekła że kto inny piękny i kochany, pod »maską przyjaźni pełna nienawiści i podłości, kłamiąca, »rozdzierająca, w imieniu cnoty przemawiająca. Dni »tam spędzone były mi piekłem. Dopiero wieczorem »odpoczywałem, kiedy wszyscy posnęli: w tym salo- »nie na wieki pamiętnym, wśród krzewów hortensyi, »przy pół-świetle lamp, przy blasku jej łzawych oczów. »Tam jej cała dusza tyle szlachetna i dobra na łzy »roztapiała się przedemną; tam ją umęczoną za to że »kocha, pokochałem jeszcze więcej niż wprzódy. Ale »czułem święty obowiązek, srogą konieczność wyje- »chania, by nie szkodzić jej sławie. Ona zaklinała by »zostać, bo kochała nadewszystko. Ale stało się: wy- »jechałem przeklinając świat i podłych i nędznych, »którzy mszczą się na tych co czują, za to, że sami »nie czują nic, którzy będą lizać stopy pierwszej me- »tressy pierwszego króla, a rzucają potępienie na du- »szę najszlachetniejszą! Ale dosyć o nich, dosyć »o psach. Wróćmy do ludzi. Zostawiłem ją w rozpa- »czy, taki koniec raju mego Adamie! Jestem jak potę- »piony. Nigdym nie kochał, nie wiedział co to kocha- »nie; dziś dopiero, zstąpiwszy do piekieł z niebios, to »poznałem. Dziś dopiero chodzę po spiekłym bruku »tego miasta i chciałbym się położyć i skonać na nim, »tak mi dolega każda chwila bez niej. Jeżeli były ja- »kie błędy, Bóg je nam przebaczy. Trudno tyle wal- »czyć co ona, a tyle kochać i szanować i czuć, co ja«.

A im dalej, tem ból większy, tem sroższe zgryzoty. »Twój list — pisze z Wenecyi (bez daty List »XV) — zastał mnie w Wenecyi w jednej z tych kry- »zys, które kończą się zwykle szaleństwem lub śmier- »cią. Słaby jestem bardzo, mam gorączkę okropną, źle »mi się dzieje. Świat, który od kolebki mnie napasto- »wał i krzywdził, nie wiem za co, i dzisiaj wlazł mi

»pod moje ołtarze, i tam mnie przedrzeźnia i psuje mi »szczęście. Ona, jeśli w tych dniach nie straci zmy- »słów na zawsze to cud boski. Ach jakże ona nieszczę- »śliwa! Ale nie przezemnie. Świat! świat, cette idole »couverte de clinquant et remplie de boue, ją rozszar- »pał i zabił. Jam mu nie hołdował, on się mści. Ja »w Wenecyi, ona w Tryjeście. O to prosiła, by niby »zwieść tych, co ją prześladują! Ona myśli, że im się »opędzi, tym psom zajadłym! A Bóg świadkiem, że to »nie była istota, co zasłużyła na potępienie. Walki jej »rozpacznemi były, nigdy walczyć nie ustawała, ale »świat nie pyta o to...« »Ten rok wielką zmianę we »mnie sprowadził. Miałem chwile takie niebieskie! »i takie piekielne także! Szatan kusił mnie kilka razy »samobójstwem! Terrible tentation: tentation des ten- »tations! Powiedz mi, co ta ziemia, co ludzie, co ja »im zrobiłem, że od dzieciństwa tylko ich obelgi lub »przekleństwa słyszałem? Tyś mnie kochał, kilku mnie »kochało, prawda. Ale ci wszyscy, żeby mi tak zabić »moją biedną, moją kochaną, w moich objęciach, żeby »jej przeciąć na ustach słowo *kocham* słowem hańba! »I wszędzie, wszędzie ta hańba! I któż je wymawia? »Podli, podłe, łgarze! Kto sam czysty, ten nie potępi »bliźniego, ten czeka sądu Boga«.

To cierpienie nie ustaje, owszem rośnie. W in- nych listach biedny poeta boi się, że skończy na sa- mobójstwie; to znowu chciałby ją porwać i unieść gdzie daleko, gdyby nie dzieci, których ona ojcu od- bierać nie chce; albo unosi się nad jej szlachetnością i godnością tak, że nieraz »nie już z miłości ale »z admiracyi chciało mu się upaść jej do nóg«. Wre- szcie przychodzi chwila rozstania. »Ona wyjeżdża za »dziesięć dni. Ja zaraz potem. Ile wycierpiałem, nie »masz wyobrażenia. Ile byłem szczęśliwy, także rzadko »kto mieć może. Ale to tego rodzaju szczęście, co za- »bija więcej niż sił przysparza. Co mi najmilszego

»z tego wszystkiego zostało, to to wyobrażenie, że »szlachetniejszej kobiety nie ma na ziemi, to to prze»konanie, że takiego serca daremnobym już szukał »w życiu. Ah! co mi życie zatruwa, to, że ona uparła »się wracać do domu. Mąż wie wszystko. Ona mu »sama napisała. Wie więc, co ją czeka. Ale za obo»wiązek uważa odwieźć dzieci mężowi i cierpieć. »W tem rodzaj expiacyi widzi. Ale sił nie będzie miała, »i umrze, i *Trenta Tre* się sprawdzą. Już teraz po »kilka razy na dzień mdleje, blada jak trup lub roz»gorączkowana jak w malignie. Ale piękna zawsze »i słodka, anielsko słodka! Ludzie to zowią błędem, »księża grożą piekłem za to; ale cóż jeśli ten błąd już »w samym sobie swoje piekło zawiera? Jeśli kwiat »przez to samo, że się rozwinął na chwilę, schnąć »i umierać musi? Biedny to świat, w którym jedyne »szczęście przezwali zbrodnią; biedne towarzystwo, »które, by się utrzymać, kłamać musi...« »Addio. Za »kilka dni skończy się młodość moja, wiosna życia »mego. Zacznie się druga połowa bytu: *Rozum*, jak »mówią ludzie, *rozsądek!* co u niektórych znaczy *po»dłość*, u niektórych *głupstwo*, a u bardzo mało *cnotę*«.

Zniechęcenienie do siebie samego, zwątpienie w siebie, nie ustaje, owszem rośnie w ciągu tych przejść. Smutnym jego wyrazem jest list do Gaszyńskiego z 8-go Lutego 1835.

»Nie pisałem długo, bo długo nad głową moją wisiała jakaś ciemnota, noc jakaś rozumu. Ty wiesz, że czasem to mi się trafia, i wtedy niezdolny jestem do niczego. Wtedy chciałbym się zakopać przed oczyma ludzi; wtedy czuję, że serce moje w garść prochu się obróciło, że wyobraźnia moja podlejsza od robaczka, że siły moje nędzne i przyszłość nikczemna. Rodzaj to, czy choroby, czy szału, ale ni wolą, ni rozumowaniem odjąć się jej, czy jemu, nie zdołam; aż przejdą dni i tygodnie, aż znów tam rozwidniać się

zacznie w tym grobie duszy mojej, i zajaśnieje z powrotem jutrzenka. Ale co gorzkiego, to że coraz częściej takie noce rozumu mnie napastują, coraz dłużej trwają. Może przyjdzie chwila, w której zaczną się, by już nigdy się nie skończyć; wtedy wymówisz *amen* nademną, jak nad umarłym moralnie. Chorobą fizyczną zniszczała lepsza połowa ducha mojego. Tej sprężystości już nie mam, którą dawniej gibki byłem, czy w mówieniu, czy w pisaniu, czy w działaniu, choćby głupstw nawet. Codzień bardziej odstrycham się od życia, świat zewnętrzny nieznośnie mnie cięży. Usuwam się jemu, usuwam się zwolna, a wewnętrzny świat nie przynosi mi pociechy, nie czuję się już potężnym na jego błoniach. Czy to kara za to, że za wiele żądać było zwyczajem serca i rozumu mego? Bądź co bądź, wiem, że mi dogorywa w piersiach zapał, w głowie myśl, w sercu uczucie. A nie dzieje się to mimo wiedzy mojej: owszem widzę każdą iskrę co gaśnie, każdą sprężynę co pęka, widzę duszę moją zwijającą się w popiół jak list spalony, co zżyma się i tli jeszcze,i tuż, tuż, już zczernieje, rozwieje się w nicość. Siła analizy pozostała mi; nią, jak ostrzem zatrutem, sam się rozdzieram i kraję, konam z przytomnością umysłu.

»Namiętności, któremi żyć lubiłem, nie dopełniły przeznaczenia swego we mnie; w ich płomieniach umiałbym śpiewać, ale nie chcę wtedy, a kiedy miną, rozstrajam się i milczę. Nędzne to życie, które potrzebuje ciągłych podbechtań, by nie zgasło; które prócz gorączki, nic nie miłuje, które wciąż z nieba w piekło zapada, a z pierwszego dość wspomnień boskich zatrzymać nie umie, by zwyciężyć drugie. Konstanty, jabym już chciał zakończyć tę marną grę kilku myśli i kilku żywych popędów i kilku chorób, która zowie się życiem mojem; jabym rad gdzie zasnął na wieki, czy u progu jakiego kościoła, czy na jakiej ruinie,

byleby nie w łóżku. Tybyś kiedy zaszedł w te strony i usiadł na moim grobie! Przypomniałbyś sobie dzieciństwo, młodociane lata i żarty, i szumne nadzieje; przypomniałbyś sobie, że ktoś kochał cię szczerze kiedyś, gdzieś, i wstałbyś i rzekłbyś: »Pokój jemu«.

»Ale i tam pokoju nie znajdzie stworzenie! i tam zaczynają się okręgi nowe i równie pracowite, które ono przebiegać musi. Nicość się uśmiecha czasem mojej wyobraźni, ktoby mi to był powiedział niegdyś? Ale przyjacielu mój, darmo! Nie unikniem rąk potężnych, które nas ulepiły, musim żyć wiecznie i cierpieć lat tysiące, nim dostaniem się do chwały!«

»Wciąż słaby jestem na duchu, roją mi się fantasmata w sercu i mózgu, nieskończone żądze, niewymowne upragnienia, którym nigdy nie stanie się zadość, jako się nigdy nie stało. Są chwile, w których upadam na łóżko i leżę jak martwy; ale są i takie, z których myśli duszy mojej wytężam, gdyby ramion tysiąc, w które objąć chcę świat cały, wszystkie piękności ziemi i nieba. Tak Briareus olbrzym stąpał ku mieszkaniu Bogów, i dostawszy piorunem w łeb, zwalił się pod gruzami gór, które dźwigał«.

Ale te wszystkie przejścia, ta rozterka w duszy, nie przeszkadza mu zajmować się poezyą. O swojej własnej mówi krótko, ale nie rzadko, w listach do Gaszyńskiego. Niecierpliwy jest dowiedzieć się, jak przyjacielowi wydała się *Nieboska Komedya*: z pewnem upodobaniem przyznaje się do *Agay-Hana* (List XVI), i donosi że w Krakowie, w Galicyi, w Po»znańskiem, *Agay-Han* robi wielkie wrażenie jak sły»szę«. (List XXI). Co więcej, donosi, że napisał nowy romans, i że mu się to udało. »Napisałem w tych »dniach powieść à la Balzac. Wchodzi do niej romans »mężatki z oficerem polskim w Londynie po wzięciu »Warszawy. Wchodzi i Grzymała monstrum, i Lelewel. »Zda mi się, że mi się udało. Addio«.

Ten romans *à la Balzac*, tak dziwny między *Nieboską* a *Irydionem*, kto wie, czy nie był skutkiem jego własnych przejść, i gniewów na ludzi. Ten romans się nie dokończył; zdaje się, że jest ten *Herburt* który wyjdzie w gotującem się na rok 1912 zbiorowem wydaniu.

Ale dokończyło się coś innego, i lepszego. Przez ciąg roku 1835, we wszystkich rozterkach i urządzeniach miłosnych, powtarzają się wzmianki o *Irydionie*.

W maju r. 1835 pisze do Reeva, że posuwa go naprzód, zwolna, ale ciągle. »Mój bohater ma w sobie coś z Hamleta, tylko jego zadanie jest nierównie większe i wymaga więcej praktycznego gieniuszu działania. Ma on dobrą sprawę, ale zginąć musi, bo przyszedł za wcześnie, chciał urzeczywistnić odrazu przeczucie wieków przyszłych. Ale przynajmniej niech wszystka chwała na tym świecie nie będzie dla tych, co zwyciężyli i dokonali faktów, niech jakaś jej iskra spadnie na czoło tych, co chcieli dobrze, a opuszczeni przez ludzi, byli tylko głosem wyłającym na puszczy«.

W czerwcu tego samego roku opowiada Krasiński obszernie całą treść swego poematu. »Trzy razy go darłem, dziesięć razy przerywałem... ale nareszcie wydobyłem tę myśl, o którą mi tak chodziło«. Poemat jest prawie skończony. Streszczenie zamyka się następującemi słowami: »Dzień, w którym Massinissa obudzi Irydiona, to jakakolwiek noc r. 1835, kiedy w Rzymie, który panował niegdyś siłą fizyczną, a potem duchem, z pierwszego zostały tylko ruiny, z drugiego zgrzybiała teologia. Prolog jest w formie poematu, reszta jest w formie dramatu. Epilog będzie balladą«.

Ten epilog *Irydiona*, który ma być balladą, dowodzi, że pomimo trzechletniej pracy, namysłu, przerabiania i darcia, poeta, dochodząc do końca poematu, jeszcze nie wiedział dobrze, nie był pewny, jak go skończy. Czy wiedział, jak wielką rzecz stworzył?

Zdaje się że tak, bo mówi o tem dziele zawsze z wielkiem przejęciem. Ale ta nazwa ballady przyczepiona do epilogu, pozwala jednak pytać, czy on nie widział *Irydiona* mniejszym niż on jest. W każdym razie zmienił projekt, i ballady, dzięki Bogu, nie napisał. A ta »zgrzybiała teologia«, która istotnie w epilogu przesuwa się przez scenę, czy to wszystko, co w Rzymie z »panowania ducha« zostało? Krasiński starszy, przywrócony do równowagi, odpowiedziałby *nie*—i to samo odpowiada *Irydion*.

Nosi w głowie inny pomysł poematu i pali się do niego bardzo. To *Procida*, »przyjaciel Fryderyka II, Faust polityczny, przyjaciel Manfreda, ścigany nienawiścią papieża, zagłębiony w tajemnice natury, ten, który w starości powziął myśl *Nieszporów Sycylijskich*. W nim jest wszystko, czego poeta żądać może: idea powszechności, natura i idea szczegółowa, ojczyzna«. Marzy więc o nim, już widzi koło niego Fryderyka, Manfreda, Konradyna, Karola Andegaweńskiego, »rycerza bez wiary, króla bez sprawiedliwości, człowieka bez religii, prototyp Ludwika XI« — i chce ich wszystkich włożyć w swój obraz. »Jeżeli nie zrobię dla nich śpiewu żałoby i śpiewu zemsty, to niech dyabli wezmą moją lirę«.

Tego śpiewu nie zrobił, ale liry dyabli nie wzięli na szczęście. Pomysł był prędko zarzuconym, bo już o nim nie słychać, oprócz wzmianki, że jest zarzucony.

Irydion był skończony na schyłku roku 1835; w początkach 1836, w lutym, już się autor skarży, że nic nie wie o losach rękopismu, posłanego do druku. Ale w marcu pisze do Gaszyńskiego, i do Reeva, że *Irydion* wyjdzie już niebawem.

ROZDZIAŁ V.

IRYDION.

Zkąd pomysł *Irydiona*? Rozmyślanie o narodach upadłych. Czy odżyć mogą? Przykłady za i przeciw. Możliwość odżycia. Jego sposób. Miłość ojczyzny doskonała. Myśl poematu. Kształt tej myśli. Grek wróg Rzymu i jego uczucia. Chwila jego działania. Rozmiary i zakres obrazu. Tło. Postać bohatera. Jego wielkość: jego dusza człowieka naszych czasów: jego pozór klasyczny. Jego pochodzenie. Jego działanie. Budowa poematu. Prolog. Pierwsza scena. Zmysł artystyczny i miara. Elsinoe. Kobiety Krasińskiego. Elsinoe i Antigona. Effekt przeciwieństw. Massynissa. Szatan w historyi. Jego stosunek do miłości ojczyzny. Przystosowanie. *Irydion* u celu. Spisek z Cezarem przeciw Rzymowi. Postacie Rzymian godnych: Ulpianus, Mammaea, Ąlexander Severus. Koniec części pierwszej. *Irydion* w katakombach. Symeon z Koryntu. Miłość *Irydiona*. Znaczenie Kornelii. Monolog Massynissy. Spisek pretoryanów. Ostatnia scena Elsinoy. Zwrot w położeniu *Irydiona*. Niezgodność między głębszem znaczeniem wypadków a ich przebiegiem w poemacie. Przegrana. Rozmowa *Irydiona* z Ulpianem. Zamierzone samobójstwo *Irydiona*, zmiana w jego uczuciach. Obietnica Massynissy. Epilog. Obietnica Massynissy dotrzymana pozornie. Żałość *Irydiona*. Sąd nad nim. Przebaczenie warunkowe. Powtórna próba *Irydiona*. Znaczenie Epilogu. Myśl poematu. Jej prawdziwość. *Irydion* i *Wallenrod*. Przystosowanie *Irydiona* i zasługa Krasińskiego. Wartość artystyczna poematu. Poezya Rzymu.

I.

Zkąd pomysł *Irydiona*? Rozmyślanie o narodach upadłych. Czy odżyć mogą? Przykłady za i przeciw. Możliwość odżycia. Jego sposób. Miłość ojczyzny doskonała. Myśl poematu. Kształt tej myśli. Grek wróg Rzymu i jego uczucia. Chwila jego działania. Rozmiary i zakres obrazu. Tło. Postać bohatera. Jego wielkość: jego dusza człowieka naszych czasów: jego pozór klasyczny. Jego pochodzenie. Jego działanie. Budowa poematu. Prolog.

Jaki ciąg myśli mógł doprowadzić poetę do tego pomysłu tak wielkich rozmiarów, tak szczególnego i osobliwszego? zkąd się wziął poemat o Greku, który na próchniejącym Rzymie chce pomścić swoją ojczyznę? który porusza wszystkie siły świata, żeby dokazać swego dzieła zniszczenia i zemsty, zawiązuje wielki spisek przeciw Rzymowi sięgający tak daleko, jak granice państwa, a sprzysiężonych mający w Chersonezie Cymbrów i w puszczy Libijskiej, w katakombach i w pałacu Cezarów? Takiego Greka przecież nigdy nie było? przecież siły, które Rzym obaliły, nie były nigdy sprzężone razem w myśli i woli jednego człowieka? działały luźnie, każda dla siebie, instynktem? zkąd się wzięło zwłaszcza i co ma znaczyć, przystosowanie tej zmyślonej postaci i historyi, do jakichś czasów dzisiejszych i przyszłych? Co za związek między *Irydionem* przez wieki uśpionym i czekającym na zaspokojenie zemsty nad Rzymem, a ziemią mogił i krzyżów, do której on jest posłany? Pomysł to dziwny,

na pozór niczem nieusprawiedliwiony: jakim sposobem Krasiński mógł wpaść na niego?

Nieboska Komedya była rezultatem jego refleksyi nad dzisiejszym stanem Europy, i wróżbą, tyczącą się końca tej walki społecznej, która się toczy w naszych oczach, a była napisana zapewne pod wpływem tego wrażenia, jakie na umyśle jego wywrzeć musiało bliższe zapoznanie się ze światem europejskim. O tem on rozmyślał dużo wcześniej, niż pomyślał o pisaniu poematu. Ale równocześnie musiał myśleć także i o Polsce, o jej przyszłości. Ludzkość, jeżeli dalej pójdzie w tym samym co dotąd kierunku, skończy na jakiejś strasznej rewolucyi socyalnej, której koniec będzie ten, że zniszczy wszystko, a sens moralny, że ani rewolucya, ani dawny porządek rzeczy nie miały słuszności: a potem dopiero rozpocznie się jakiś świat nowy i lepszy. Ale w tej ogólnej przyszłości Europy jaki będzie los poszczególnych narodów, jak one tę kryzys przetrwać zdołają? które z nich znajdą się po drugiej stronie tej przepaści, i co z nich ocaleje? Co w szczególności stać się może z Polską? Ona podzielona, ona po strasznej klęsce roku 1831-go, i porwana równo z innymi prądem rewolucyjnym (w tych latach było to bardzo widocznem), co ona z siebie uratować zdoła? czy ona może jeszcze mieć jakąś przyszłość, czy może odżyć? Czy narody upadłe i podbite wogóle odżyć mogą? Sama utrata niepodległości dowodzi w nich upadku tęgości i zdolności; a jeżeli tę odzyskaćby mogły, to zkądże wziąć dość siły fizycznej, jak bez swego rządu, bez wojska, bez skarbu pokonać mocniejszych od siebie? Nie — to trudno, to niepodobna, żeby narody takie powstać jeszcze mogły. Ale uwierzyć w śmierć, zgodzić się na nieodwołalność wyroku, poddać się... nie, to jeszcze niepodobniejsza! jakiś głos w człowieku się podnosi i woła »nie pozwalam«. Cóż więc z nią będzie? czy w historyi nie

ma jakich podobieństw, jakich przykładów i analogii, z którychby coś wnieść, coś przypuścić można? Hiszpania za Maurów? przykład zły, bo cała Hiszpania nigdy opanowaną nie była, miała położenie lepsze aniżeli Polska. Tak samo Rosya z Mongołami: ona im hołdowała, ale nie była przez nich rządzona. Zresztą to wyjarzmienie się z pod siły nieuorganizowanej, tu za przykład służyć nie może. Grecya dzisiejsza? to dowód chyba, jak się restauracye narodów nie udają. A naprzeciw tych nielicznych i niedostatecznych przykładów niepodległości odzyskanej, wieleż to historya pokazuje narodów upadłych na zawsze i nie powstających. A cała starożytność, czyż ta nie świadczy, że narody umierają i giną bez ratunku? Rzym miał więcej potęgi, więcej zmysłu politycznego i ducha rządzącego jak Polska; Grecya miała cywilizacyę własną, najwyższą w starożytności, którą cały świat ówczesny obdzieliła i oświeciła, nie brakło jej na żadnej zdolności, na żadnej wielkości gieniuszu lub charakteru: miłość ojczyzny miała taką, że jej bohaterowie liczą się do najpiękniejszych bohaterów świata, a Maraton, Termopile i Salamina do najwznioślejszych kart historyi, a przecież znikła: pomimo Platona i Homera, Fidiasza i Periklesa, Leonidasa i Thucididesa, pomimo gieniuszu w sztuce, w nauce, w polityce, pomimo wielkości i cnoty w charakterach, pomimo, że od początku świata nie było nigdy narodu tak obdarzonego, historyi tak pięknej? Dla mniej obdarzonych, mniej zdolnych przykład to straszny. A jednak czy on rzecz rozstrzyga? czy los Grecyi musi być losem wszystkich ujarzmionych? Nie. W późniejszych latach w *Niedokończonym Poemacie* jasno jest wypowiedziany axiomat Krasińskiego, że »od przyjścia Chrystusa, żaden lud, który stał się narodem, nie umiera«. W epoce *Irydiona* może on sobie tego pewnika nie był jeszcze sformułował, ale już musiał mieć tę myśl, to uczucie

raczej, że przez chrześciaństwo i cnotę narody mogą się odradzać, tak jak ludzkość całą odrodzić ma krzyż w zakończeniu *Nieboskiej*. Ale czy Polska jest na tej drodze? czy ma ten kierunek i to pragnienie cnoty przynajmniej, jeżeli nie jej rzeczywistość? czy jej miłość ojczyzny jest tą lepszą i wyższą, która narody podnosi, czy jest taka, jak Bóg przykazał, lub też czy w tem uczuciu, przy całej jego piękności, są i pierwiastki gorsze? To co widział, zaspokoić go pod tym względem nie mogło. Naprzód były to lata nienawiści wewnętrznej, nie największej może, ale najgłośniejszej; epoka stronnictw emigracyjnych prześladujących się zajadle, niektóre z nich samą propagandę patryotyczną zaczynały od propagandy nienawiści. Nienawiść do obcego panowania była celem; środkiem, który do niej prowadził i miał ją obudzić, była nienawiść swoich, posiadających, szlachty, przez tę miał lud wiejski dojść do tamtej. Powtóre, był to czas kiedy miłość ojczyzny przybierała u nas różne formy odmienne, a po większej części ujemne, nienawistne: jako symptom cytuje Klaczko panslawizm, szatańską doktrynę, która doradza zabić siebie, żeby zabijać drugich, zgodzić się z »najstra»szniejszym, ale najsilniejszym z nieprzyjaciół, żeby się »zemścić na mniej winnych, żeby temu światu, który »obojętnie patrzał na zagładę Polski zgotować nowego »Attilę. Gorycz zbiegająca się w sercach zawiedzionych »i zakrwawionych, a bijących zawsze i mimo wszystko, »musiała być wielka; a do tego dodać jeszcze potrzeba, »że pokolenia, które przyszły na świat po rozbiorze, »nie znały tej ojczyzny za którą się biły, jako żywej »rzeczywistości, ale jako bolesne wspomnienie wiel»kiej krzywdy, zbrodni nieukaranej a wołającej o po»stę. Dodajmy i to, że podziałowi materyalnemu od»powiadał i podział moralny, że po każdej nowej klę»sce następował nowy prąd emigracyi, któremu popęd »dawało uczucie protestowania przeciw przemocy na-

»jeźdźców. Wszystko to razem wydało sytuacyę dzi-
»wną, wykraczającą z obrębów zwykłego prawidło-
»wego życia narodów, ciągle naprężoną, gorączkową,
»niezdrową, która pod niejednym względem podkopy-
»wała moralność narodu, która groziła mu przewróce-
»niem pojęcia złego i dobrego, tego co się godzi, a tego
»co nie. Obce panowanie jest okropne, nie przez to
»tylko, co sobie pozwala względem uciśnionych, ale
»okropniejsze jeszcze bywa czasem przez to, co uci-
»śnieni sądzą być sobie pozwolonem przeciw niemu.
»Szczęśliwi tego świata, ludzie, którzy mają ojczyznę
»wolną i niepodległą, nie mogą nawet pojąć tego pie-
»kła pokus i udręczeń, jakie dla narodów podbitych
»zamyka się w tem jednem słowie: »niewola«. Bez-
»imienny Poeta zrozumiał to piekło, i przeraził się.
»Schodząc do głębi duszy polskiej, dostrzegł tam ten
»prąd uczuć ponurych i dzikich, i zadrżał. Przeląkł się
»tego patryotyzmu, który się karmił głównie nienawiścią
»wrogów, przeląkł się tej miłości ojczyzny, mocnej jak
»śmierć, ale pełnej myśli zabójczych i śmiertelnych.
»Chciał dać przestrogę swojemu narodowi, i napisał
»*Irydiona*«.

Czy w chwili poczęcia *Irydiona* Krasiński już wi-
dział jasno, świadomie tę myśl, którą przez swój poe-
mat wyraził? Pomysł wystrzelił z jego głowy niespo-
dzianie, jako rezultat długich rozmyślań, ale bez po-
przedniego rozumowania, bez przygotowania. A prócz
tego, po wszystkich wrażeniach roku 1831, i pod wra-
żeniem pobytu w Petersburgu, nienawiść i zemsta
musiała w jego duszy grzmieć najgłośniej, brać górę
nad wszystkiem. Irydion mściciel mógł więc stanąć
pierwszy w jego wyobraźni, i zrazu zasłonił sobą tę
marność i bezcelowość zemsty, która w ciągu tworze-
nia wydobyła się na wierzch z pod i z poza jego postaci.

Ale to przypuszczenie, logiczne, nie byłoby tra-
fnem. Prof. Kallenbach dowodzi (Krasiński, Tom II,

str. 216 i dalsze) na podstawie *Syntezy*, fragmentu pisanego w Petersburgu a dotąd nie ogłoszonego, że w pierwszym pomyśle była już myśl potępienia zemsty, ta która później wystąpiła w epilogu. Później, kiedy Krasiński sam przebywał wewnętrzną rozterkę, nienawiść, zemsta, i zguba Irydiona bez ratunku wzięła górę przy tworzeniu. W samym końcu dopiero, (prawdopodobnie już w początkach roku 1836), zakończenie zmieniło się na to przebaczenie warunkowe, które znamy. Ta stopniowa przemiana myśli, i z nich wynikające niektóre sprzeczności w poemacie, wskazuje i stwierdza prof. Kallenbach na jego ustępach.

Myśl podstawna poematu jest ta, że nienawiść i zemsta nie odbudują, nie odrodzą upadłej ojczyzny; że miłość ojczyzny, jeżeli ma być zbawczą i zwycięzką, musi być w praktyce, w działaniu, tak piękną i dobrą, jak jest w zasadzie, w swojem pojęciu idealnem; że musi być zawsze i we wszystkiem zgodną z absolutnem pojęciem dobrego, z cnotą. Zatem, w uczuciu powinna być miłością dobrego i sprawiedliwości, ale nie nienawiścią, nie pragnieniem zemsty; w działaniu powinna dla swego celu dobrego używać tylko dobrych środków. Ale jakże, na jakim przykładzie, na jakim fakcie historycznym uwidocznić tę ideę, gdzie szukać dla niej kształtów zewnętrznych takich, któreby mogły być jej wyrazem poetycznym? Tego szukając napadł Krasiński na swoje myśli o narodach upadłych, mianowicie o Grecyi. Grecya najszczęśliwiej obdarzona, najpiękniejsza ze wszystkich narodów na świecie, upadła i nie powstała. Dlaczego? nie dla braku wielkich zdolności, nie dla braku dzielnych ludzi, nie żeby nie była miała wielkiej, potężnej miłości ojczyzny, bo to wszystko miała. Ale ta miłość ojczyzny u Greka, to jego uczucie, kiedy patrzał na swój kraj ujarzmiony przez Rzymian, kiedy sobie mówił, że ten Rzym twardy i barbarzyński gorszy był od ludzkiej

nie chciwej, nie drapieżnej Grecyi, jakież ono być mogło? Tu Krasiński zeszedł z drogi rzeczywistości, rozszedł się z historyczną prawdą, a zaczął fantazyą swoją zagłębiać się w domysły, stawiać rusztowania przypuszczeń, odgadywać, co mógł czuć, co powinienby czuć Grek z żywą miłością ojczyzny, na widok poniżenia Hellady i tryumfu Rzymu.

Przypuśćmy Greka z naturą bohaterską, Greka, w którym żyje dawny duch Miltiadesa i Leonidasa — czy taki Grek był lub nie, mniejsza o to — źle gdyby był, a logicznie mógł być, to co on mógł czuć, co mógł robić, jak porównał przeszłość własnej ojczyzny z teraźniejszością jej i jej zwycięzców? Oczywiście Grecya musiała mu się wydać piękniejszą, lepszą, mądrzejszą. Najwyższą cywilizacyę ówczesnego świata ona wydała i dobyła ją sama z siebie, a świat cały żywił się jej Platonem, jej Homerem, jej Fidiaszem, jej Thucididesem. Historya jej była najszlachetniejsza ze wszystkich, szczęśliwa i wolna u siebie, nie była chciwą cudzego, nie myślała narzucać swego panowania drugim i zabierać ich ziemi. Jeżeli Rzym chwalił się cnotą swoich Kuriuszów i Cincinnatów, ona miała przykłady niemniej bohaterskie w swoich Aristidesach i Epaminondasach, a piękniejsze, bo w jej bohaterach nie było nic twardego, nic suchego, nic drapieżnego. Maraton wart więcej od Zamy, Perikles więcej od Augusta. Cicero to nędzny retor naśladowca przy Demosthenesie, Virgiliusz niedołężny kopista Homera, a okrzyczana *graeca fides* jest jeszcze cnotą w porównaniu z tą dobrą wiarą, z jaką Rzym opanował Grecyę, Pergam, Pont, Libię, świat cały. A exakcye prokonsulów, a proskrypcye triumwirów, a zepsucie Cezarów, a Sejany i Tyberyusze, Caligule, Messaliny, Nerony, z rojem wyzwoleńców, histrionów, gladiatorów, potwory rozpusty, chciwości i okrucieństwa, tego przecież Grecya nie znała: i to nad nią panuje! Boleść

patryotyczna Greka musiała więc iść naprzód oburzeniem na krzywdę, powtóre tęsknotą za swoim światem piękniejszym i lepszym, a wreszcie nienawiścią i pogardą Rzymu.

W taką duszę Greka musiał się Krasiński przenieść, owszem on musiał ją stworzyć, wymyśleć, bo duszy takiej Grecya późniejsza już nie miała; bo Grek tych czasów powtarzał Homera, analizował subtelnie Platona, popisywał się dyalektyką, śpiewał, ciosał marmury i lał bronzy które dobrze sprzedawał, uczył Rzymian i smak im wyrabiał, był najemnym condotierem sztuki, filozofii, wymowy, kłaniał się nisko i żył, jak mógł najlepiej, ale zrezygnowany był zupełnie; o niepodległej Grecyi, o zemście nad Rzymem nawet nie marzył; echa Termopilów i Salaminy snu nie przerywały mu nigdy. Wbrew historyi więc musiał Krasiński taki ideał Greka wymyśleć; musiał wyobrazić sobie Themistoklesa w Grecyi zawojowanej, i w Rzymie panującym nad całym światem.

Coby taki czuł? kochałby Grecyę, nienawidziłby Rzymu. Ale coby robił? Czy w Atenach, w Koryncie, na wyspach Archipelagu, próbowałby rozdmuchać iskrę świętego ognia i powstać przeciw ciemiężcom? Próżna rzecz. Gdyby ta iskra dała się nawet odszukać i rozdmuchać, a i to wątpliwe, to ogień któryby z niej wybuchnął, musiałby zgasnąć zaraz stłumiony żelazną ręką Rzymu. Grecya przeciw całemu światu to za mało. Na to, żeby ona na nowo istnieć mogła, musi Rzym pierwej zginąć, upadek takiego kolosu zwykł trwać wieki, zanim dojrzeje; a i wtedy jeszcze, czy Grecya potrafi stanąć na nowo i być taką jak była? Rzecz wątpliwa. *Irydion* przez cały ciąg poematu nie mówi ani razu, jakoby jego celem, jego nadzieją była niepodległa i wskrzeszona Grecya; nie mówi nigdy, że jak Rzym będzie zniszczony, Imperator w Syryi, on wtedy spróbuje postawić nowe Ateny

i Spartę. To bardzo charakterystyczne: Grecya żywa i odrodzona jest dla niego rzeczą tak mało podobną do wiary, w każdym razie tak daleką, że choć wszystko co robi, robi dla niej, jednak o niej i jej przyszłości nie mówi nigdy, bo od tego celu przegradza go przepaść, którą dopiero gruzami Rzymu trzeba zapełnić. Rzym mu ten cel zasłania: trzeba, żeby on upadł, wtedy może odkryje i pokaże się tamto. Cel ten wielki i dobry, poczęty w pięknem i sprawiedliwem uczuciu, jest tak daleki, że prawie znika, a samo uczucie które go wydało, chowa się gdzieś w głąb. Naprzód zniszczenie Rzymu, naprzód nienawiść: to pierwszy cel i pierwsza robota. A gdyby tamto drugie nawet nigdy spełnić się nie miało, to niech się spełni przynajmniej pierwsze, niech będzie odwet, niech będzie zemsta.

Gdyby duch wielkich bohaterów greckich był dziedzicznie przechodził z ludzi na ludzi, z pokoleń na pokolenia, to ich miłość ojczyzny pod panowaniem Rzymu byłaby przybrała ten kształt, ten charakter. To rzecz pierwsza, którą Krasiński musiał wymyśleć, urodzić w swojej wyobraźni: a ta znowu pociągnęła za sobą szereg dalszych pomysłów jako logicznych następstw.

Ten patryotyzm grecki (przypuściwszy zawsze, że był i dziedzicznie przechodził z ojca na syna) jak długo on musiał czekać w poniżeniu, w upokorzeniu, jak długo musiał kryć się, czołgać, udawać, wypierać się siebie samego, jak cierpliwie musiał znosić wszystkie tryumfy Rzymu, i jak długo czekać na jego rozprzężenie, zanim wreszcie doczekał się tego że odwet i zemsta stały się możliwemi! Trzeba było przeczekać Rzeczpospolitą, czekać żeby jej dawna tęgość osłabła, a wtedy gieniusz jednego człowieka tchnął w tę słabość siłę, która znowu na parę wieków miała wystarczyć. Trzeba było przeczekać zwycięstwa i gieniusz organizacyjny Cezara, dyplomatyczny zmysł Augusta utwierdzający cesarstwo z taką przebiegłością — prze-

czekać Trajana i Marka Aureliusza, którzy próchniejące państwo jeszcze raz podparli i zbili do kupy swoją dzielnością i cnotą; trzeba było czekać przez wieki! bo Rzym był zawsze tak jeszcze potężny i wielki, że mu żadna zemsta zaszkodzić nie mogła, że zamach każdy, spisek, bunt przeciw niemu uknuty, odbić się musiał od jego murów, jak garść grochu od ściany. Fikcyjny patryotyzm grecki musiał więc czekać i czekać, i przeżuwać, przepędzać w sobie swoją nienawiść i swoje pragnienie zemsty, koncentrować ich moc do coraz wyższej potęgi. Ale wreszcie przyszedł czas, że »miasto nieprawości, zabiwszy wszystkich, rozpoczęło »samobójstwo swoje«. Już go nie trzyma ani dawna *virtus* Rzeczypospolitej, ani gieniusz Cezara, ani sztuka Augusta, ani Trajan energią i wojskową dzielnością, ani Marek Aureliusz swoją stoicką cnotą, ani senat powagą swoją, ani legiony walecznością i karnością; zamiast dawnych Imperatorów Commodus albo Caracalla jeden po drugim, zamiast dawnego Senatu tłum wyzwoleńców podłych, zalękłych, i chciwych, zamiast dawnych legii pretorianie, a zamiast dawnego ducha podbojów na zewnątrz, surowego prawa wewnątrz, rozprzężenie, niedołęstwo, rozpusta i zbrodnie od Cezara aż do gladiatora, a z północy i wschodu coraz bliżej walą się ku granicom barbarzyńcy. Patryotyzm grecki, któryby był czekał na dzień odwetu i zemsty, musiałby był czekać aż do czasów późniejszych cesarzów, przetrzymać ostatnie resztki wielkości Rzymu, przetrzymać Antoninów.

Wtedy mógł już nie wątpić w upadek swoich wrogów, i mógł się wziąć do dzieła zemsty. A jak je miał prowadzić? To rzecz trzecia, którą poecie wymyśleć wypadło. Oczywiście miał korzystać ze wszystkich żywiołów zepsucia i rozkładu, jakie były wewnątrz Rzymu, i ze wszystkich żywiołów zniszczenia, jakie mogły grozić mu od zewnątrz; wszystkie połączyć,

sprządz, skupić w swojem ręku, i wszystkiemi kierować, wszystkie razem puścić na miasto, jako Eolus Virgiliusza wypuszcza wszystkie swoje wichry z jaskini. Takimi pierwiastkami rozkładu były: naprzód Cezaryzm, ze swoją sztuką rządzenia, a raczej sztuką utrzymania siebie za pomocą konfiskat, proskrypcyi, opłacania się pretoryanom, a schlebiania ludowi chlebem i igrzyskami, ze swoim dworem i obyczajem, którego rysy przechował Tacyt i Juwenal, i ze swoimi reprezentantami takimi, jak Tyberiusz, Caligula, Neron, Domicyan, Commodus albo Caracalla. Drugim, działającym nieznacznie i powolnie, ale na pewno, był wpływ miękczący sceptyczny sofistycznego ducha greckiego, który do Rzymu dostał się, kiedy już sam był zepsuty, i zmienił dawną jego naturę, przygotował grunt pod to niezdrowe i jałowe zbiorowisko wszystkich pojęć, wszystkich zasad i wszystkich wiar, których napływ i istnienie były skutkiem już upadającego właściwego ducha rzymskiego i przyczyną jego upadku zupełnego. Dalej skoncentrowanie całego świata, stek wszystkich bogactw, wszystkich interesów, wszystkich narodów, wszystkich rodzajów cywilizacyi i wszystkich rodzajów zepsucia, przez co Rzym długo przed upadkiem swoim przestał być Rzymem, a stał się jakimś kosmopolitycznym potworem bez sił żywotnych, jak wszystko, co potworne i co kosmopolityczne. Wreszcie, jedna jeszcze siła rozsadzająca i rozkładająca Imperium od wewnątrz, ta, która odciągała od niego a przyciągała do siebie wszystko, co było najlepszego i najszlachetniejszego w ówczesnym świecie, która przez samą swoją naukę wiary i moralności, przez sam swój ideał dobrego, podkopywała podstawy miasta i państwa, chrześciaństwo. Po za tem, z zewnątrz, siła fizyczna, która miała obalić Rzym stoczony tamtemi wewnętrznemi moralnemi pierwiastkami, barbarzyńcy.

Oto rzeczy, na których Grek idealny Krasińskiego,

Grek mściciel Hellady, a wróg Rzymu, musiał opierać swoje rachuby, które musiał owładnąć i wedle swojej myśli do swego celu kierować.

Żeby więc wykazać w poetycznej allegoryi, że narody odradzać się powinny, ale nie muszą się odradzać, — że i najszlachetniejsze nawet zginąć mogą, jeżeli w ich miłości ojczyzny przeważa zły pierwiastek nienawiści i zemsty, wybrał Krasiński przykład Grecyi; na to zaś żeby ona przykładem takim być mogła, potrzebował przypuścić i wymyśleć, że miłość ojczyzny, pragnienie jej niepodległości i pragnienie zemsty nad Rzymem przetrwały w Grecyi dziedzicznie i tradycyjnie przez wieki. Potrzebował przenieść w wieki Cezarów rzymskich Temistoklesa, z którego ducha już w Grecyi całej podówczas nie było i śladu. Dalej musiał wyobrazić sobie, że ten patryotyzm grecki czeka przez całe wieki, w ukryciu i w udawaniu, na chwilę sposobną do swego odwetu. I wreszcie, musiał wyobrazić sobie, że on się tej chwili istotnie doczekał; obrazić go sobie w Rzymie już rozpadającym się, i wyobrazić sobie, coby on wtedy robił, jakby okolicznościami zawładnął. Zadanie niezawodnie jedno z najzuchwalszych, na jakie się poezya kiedykolwiek zerwała. Wszystko trzeba było stwarzać: ludzi, ich namiętności, ich działanie, wszystko z wymysłu, a wszystko przecież tak, żeby było prawdopodobne, żeby ten Grek abstrakcyjny i idealny nie był wcieloną moralną nauką tylko, ale żeby na Greka wyglądał, żeby jako taki wydawał się możliwym: a żeby jako mściciel Grecyi, wróg Rzymu, produkt nienawiści wieków, jako ten, który wschód i zachód, południe i północ i Rzym sam wprzęga w spisek przeciw Rzymowi, żeby był wielkim jak taka namiętność i takie dzieło! Potem trzeba było w tym obrazie objąć wszystkie te siły, na które i przez które on działa, czyli dać wizerunek Rzymu w rozkładzie: a przez to wszy-

stko dopiero, i nad tem wszystkiem, trzeba było ukazać myśl moralną poematu, nienawiść i zemsta nie odradza narodów, nie wskrzesza, nie odbudowuje ich ojczyzn. Mało, bardzo mało kiedy zerwał się człowiek na pomysł takich rozmiarów i takiej trudności w wykonaniu, (która to trudność w tem polegała głównie, że wszystko wziąwszy z fikcyi, z wymysłu, musiał przecież wszystko stosować do pewnej rzeczywistości, do pewnych znanych czasów i ludzi), ale też i mało kiedy podobno zadanie tak zuchwałe, tak najeżone trudnościami, rozwiązanem było z taką głębokością myśli i z taką potęgą fantazyi, z takim gięniuszem, jak rozwiązał Krasiński swoje zadanie w *Irydionie*.

Mieści on akcyę swego poematu w tej chwili, kiedy Rzym zgubiony jest bez ratunku: stał się jedynym środkiem świata, i jego wrzodem. Ściąga z całego ciała soki zepsute, zdrowsze sam psuje, żywotnego, całego i zdrowego niema w nim nic, oprócz tych, którzy swojego zdrowia i siły na jego korzyść nie użyją, którzy go nie chcą ani ratować, ani gubić, chrześcian. Cezar jest dziełem rąk pretoryanów, albo tych lub owych legii, które się trzyma na tronie ich wolą i samowolą, dopóki te same lub jakie inne nie zrzucą go, a nie obwołają innego. Z dawnej Rzeczypospolitej i z dawnej rzymskiej cnoty zostało tylko wspomnienie w kilku sercach uczciwych, a rozpaczających. Tradycya Rzymu, duch Rzymu, tak zaginęły, że dyadem Cezarów może świecić na głowie obcego przybysza, w którym niema nic rzymskiego; człowieka, w którym niema nic męzkiego, nic silnego; który obyczajem, mową, życiem powinien być Rzymowi wstrętnym; który przez swoją zniewieściałość i niedołęstwo powinien być w pogardzie; a przecież trzyma się ta lalka i rządzi światem, ścina głowy, stawia budynki, rozrzuca złoto, jak mu się podoba. Miarą głębokości upadku Rzymu i jego upokorzenia, tą pieczę-

cią przyłożoną na niem, jako jego stwierdzenie, było panowanie takiego Heliogabala; i jego to czas właśnie wybrał sobie Krasiński jako ten, który zemście Greka mógł w zupełności uczynić zadosyć: »Z wielką i mi»sterną sztuką« mówi Klaczko »doszedł autor do roz»poznania pierwiastków składających tę istotę dziwa»czną, która się nazywała Heliogabalem. Urodzony »pod skwarnem słońcem azyatyckiem, syn Karakalli »w czternastu leciech został arcykapłanem w Emezie, »i poznał wszystkie lubieżności krwiożercze obrzędów »Mitry. W latach szesnastu został Cezarem, panem »świata; a postawiony na tej wysokości, dostał za»wrotu głowy i wyczerpał rychło wszystkie uczucia »i wszystkie wrażenia. Heliogabal Krasińskiego to »dziecko z instynktami zgrzybiałego starca; namiętno»ści niema w nim żadnej, jeden tylko połyska jeszcze »w jego duszy błędny ognik lubieżności. Światy całe »nie zdołałyby zapełnić nudów, w których on żyje, »to próżnia wcielona«. »Krasiński umiał złożyć i przed»stawić jednego z tych Cezarów, którzy, pomimo Ta»cyta i Suetoniusza, są dla nas zawsze niepojętemi »zagadkami« i pokazał, jak oni wyglądać mogli w rzeczywistości. Obok takiego Cezara dwór wyzwoleńców, błaznów, stręczycieli i trucicieli, rój tych podłych Eutychianów i Rupiliusów, których podobieństwa także w Tacycie znaleść można, a jeszcze bardziej w Juwenalu, to sam szczyt Rzymu, tam się przechowuje myśl gieniusz i los miasta i państwa. Tych kilku ludzi, którzy patrzą na to spodlenie z oburzeniem Tacyta i marzą o powrocie do dawnej cnoty, to ideologi skazane na gorzkie rozczarowanie. Surowy stoik Ulpianus, zacny Alexander Severus, nie powstrzymają wezbranego prądu zepsucia. Dawny patrycyat nosi ciężary po Rzymie, albo bije się po cyrkach i mrze z głodu, a senat zapełniony kreaturami Cezara. Czego się trzymać, w co wierzyć? nikt nie wie. Sprowadzają

sobie bogów ze wszystkich stron świata, retorowie i sofiści silą się na coraz nowe nauki, ale wszyscy we wszystkiem widzą tylko nieprawdę. »Już się ma pod koniec starożytnemu światu, wszystko co w nim żyło psuje się, rozprzęga i szaleje«. Ten obraz zepsucia i rozprzężenia, Rzymu konającego i szalejącego, przedstawiony jest w poemacie, w figurach wziętych ze wszystkich stopni społeczeństwa, od Cezara do Gladiatora, od Heliogabala do Sporusa, a naprzód w streszczeniu, ogólnie nakreślony jest w prologu. »Gdzie postacie, które tak dumnie i wzniośle kroczyły »dawniej po swoich siedmiu wzgórzach w Rzymie« i t. d. Te nieznane kształty »ni piękne jak półbogi, ni silne jak olbrzymy Tytańskich czasów, ale dziwaczne«, ten Rzym, który stał się »cały motłochem i Cezarem« tylko, ta pstra mieszanina bóstw których nikt nie czci, i wiar w które nikt nie wierzy, wszystko to jest w poemacie, dla wszystkiego umiał poeta wynaleźć jakiś typ, jakąś postać, jakiś rys.

Ale to miało być tłem tylko; a z tego tła wystawać miała postać Greka, wcielona miłość ojczyzny, wcielony patryotyczny ból, i wcielone pragnienie zemsty i zniszczenia. Ten Grek, jakiego nie było, musiał być tak wielkim, jak najwięksi z tych którzy byli, musiał być na miarę Fidiasza, na miarę Eschyla, musiał być podobnym do dawnych bohaterów greckiej historyi i do półbogów mytologii greckiej; a musiał mieć rzecz jedną, której tamci nie miewali, duszę smutną, pełną tęsknoty, bolejącą swoim wielkim bólem patryotycznym, i bolejącą nad sobą także, że mu przyszło poświęcić się dla strasznego dzieła zniszczenia, wyrzec się wszelkiego szczęścia prócz zemsty. Tak jak nie było żadnego *Irydiona* w historyi, tak i ten rodzaj uczuć, to piętno duszy ludziom starożytnym właściwe nie było. Rozdarcie człowieka pomiędzy życiem jakie pędzić musi, a tem, jakieby pędził gdyby

nie konieczność, nie obowiązek, nie powołanie, to jest właściwość naszego świata, nawet naszego wieku. Grek Krasińskiego ma pewne pokrewieństwo z Henrykiem z *Nieboskiej Komedyi*, z Hamletem; nie pokrewieństwo natury i charakteru, bo kiedy tamci są ludźmi fantazyi i reflexyi, on jest człowiekiem czynu, wie czego chce, i temu wszystko poświęca, w nim jest nierównie więcej jedności i równowagi niż w tamtych. Ale jest zbliżenie w tem, że i on jak tamci jest reprezentantem walki pomiędzy człowiekiem a społeczeństwem; on jej chce i pragnie, poświęca się dla niej, a przecież ona mu ciąży, nieszczęśliwy jest przez to, że ją prowadzić musi. On się do swojej idei tak przywiązał, tak się jej cały poświęcił, że wszelkie wahanie, wszelka skarga nad sobą jest stanowiskiem przebytem, nie odzywa się prawie. A jednak on jest rozdarty, on jest nieszczęśliwy. Ta natura cierpiąca i tęskniąca nie jest naturą ludzi starożytnych, ale była konieczną u bohatera, którego przeznaczeniem było wznosić się coraz wyżej, gonić przez wieki za ideałem ziemskiej ojczyzny, i w końcu być posłanym do ziemi mogił i krzyżów. Miał więc Krasiński wymyśleć nietylko bohatera, jakiego w historyi nie było, i jego dzieje, ale nadto miał mu dać duszę odmienną od prostego typu ludzi starożytnych, a musiał przytem zrobić go podobnym do tych ludzi zewnętrznie; musiał mu dać postawę klassyczną, »grecką mowę i twarz greckiego półboga«. O ile *Irydion* jest podobnym do bohaterów klassycznych? Zapewne znajdzie się w jego metalu wiele pierwiastków nowożytnego człowieka; zapewne w porównaniu z Orestem albo Ifigienią Göthego nie wyda się tak klassycznym, tak podobnym do postaci Homera i Eschyla jak tamci. Ale łatwiej było zachować to podobieństwo tam, gdzie te same postacie poetów greckich występowały w tym samym zakresie życia, co u nich. Ich charakter, ich sposób

myślenia i mówienia, potrzeba było tylko zrozumieć i powtórzyć. *Irydion* jest i działa w takiej sferze uczuć i dążeń, w jakiej nie był żaden ani poetyczny ani historyczny bohater starożytności; owszem, musiał mieć uczucia jakich tamci zgoła nie mieli, nie było więc wzoru, nie było żadnego punktu porównania, trzeba było stworzyć go zupełnie samodzielnie. Nie mógł więc być takim istnym Grekiem, jak są figury z Ifigienii Göthego, tak klassycznym, tak przejrzystym i prostym; nie mógł już choćby dla tego tylko, że jest symbolem, personifikacyą. A jednak pomimo że jego natura jest więcej nowożytną, a jego postać allegoryczną, potrafił Krasiński, i tu trzeba podziwiać jego zmysł artystyczny i jego przejęcie się światem klassycznym, umiał mu nadać postawę posągową i piętno wielkości, tak, że pozory są bardzo łudzące, że *Irydion* wydaje nam się prawdziwym Grekiem i prawdziwym półbogiem, że w jego słowach, w jego rozpaczach i skargach jest coś, co przypomina Oresta i Prometeusza. Ta dusza nie jest grecką, ale kształty, pozory, linie antyku, są — i są także rozmiary półboga.

Wspomniało się, że taki Grek mściciel nie mógł wystrzelić nagle z pod ziemi za Heliogabala; że chcąc takiego logicznie pomyśleć, Krasiński musiał przypuścić cały ciąg, cały szereg uczuć i pragnień podobnych, przechodzących z pokolenia na pokolenie, a ten ostatni, który się chwili zemsty miał doczekać, byłby ich spadkobiercą i ostatnią wypadkową. Daje też Krasiński swemu bohaterowi ciekawą genealogię: jest on potomkiem Filopomena »przedostatniego z ludzi, którzy walczyli przeciw miastu«; po nim nie walczyli już, ale łańcuch nienawiści, dziedzictwo tejsamej myśli się nie przerywa, ono trwa domyślnie i tajemnie aż do chwili, kiedy zbliża się godzina zemsty, do Amfilocha ojca *Irydiona*. Ten rozumie, że miasto rozpoczęło samobójstwo swoje, i całe życie pracuje nad tem, żeby

mu dopomódz. »Wszystkie myśli Jugurty i Mitrydata »odżyły w jego duszy. Gdzie błota meockie, gdzie pu»stynie i wiatronogie rumaki, gdzie syrty w głębiach »Afryki, błąkał się naprzemian, szukając nieprzyjaciół »nieprzyjacielowi swemu«. Ale zemsta nad Rzymem, jego zniszczenie, poszły z dwóch czynników, z miękczącego i sceptycznego ducha greckiego, który Rzym osłabił i rozłożył wewnętrznie, i z napływu barbarzyńców. *Irydion*, wcielony duch zemsty, jest połączeniem i produktem tych dwóch czynników, jest synem Amfilocha Greka i natchnionej kapłanki Odyna, w której łonie skupia się duch i przyszłość ludów północnych. Nie dla tego tylko dał mu poeta takich rodziców, żeby przez ojca złączony z całą Grecyą, przez matkę z barbarzyńcami, miał w tych rodzinnych tradycyach ułatwienie w swojem dziele, ale i dlatego także, żeby oznaczyć, iż z tych dwóch źródeł wyszło zniszczenie Rzymu. Zwłaszcza dlatego, jak pięknie tłómaczy pan Małecki w rozprawie *Irydiona* (Przegląd Poznański 1847) iżby oznaczyć, że ta miłość ojczyzny wyższa, do której on dojść ma, nie mogła przyjść z ducha starożytnego pogaństwa, ale wyrobić się mogła tylko u ludów nowych, do chrześciańskiej cywilizacyi przeznaczonych.

Jakżeż weźmie się do działania ten człowiek, »syn i spadkobierca długo czekającej zemsty«, »on, który jak *Hannibal* umierającemu ojcu przysiądz musiał, że nigdy nienawidzieć nie przestanie? Ojciec zostawił mu dzieło w połowie gotowe i czekające sposobnej chwili; nie napróżno błąkał się od *błot meockich do syrtów libijskich*, to wszystko syn ma w ręku, to wszystko czeka jego skinienia, żeby wziąć odwet na Rzymie. Ale to nie dosyć. W wielkim związku zniszczenia brak jeszcze pierwiastku trzeciego Rzymu samego: Cezara. Ten był najważniejszy w rzeczywistości, musiał więc w poemacie wymyśleć Krasiński coś takiego, coby niszczycielowi Rzymu, fikcyj-

nemu *Irydionowi*, pozwoliło wciągnąć Cezara do swego spisku. Wszystko poprzednie było dziełem ojca przygotowanem oddawna, to już jest jego własne; a żeby to stało się możliwem, potrzeba było takiego Cezara jak Heliogabal, dziecka zgrzybiałego, w którego duszy tli się tylko błędny ognik lubieżności. Takiego opanuje *Irydion* strachem, i użyje do czego zechce, tylko go pierwej musi skrępować, związać lubieżnością. Żeby tego dokazać, żadne poświęcenie nie będzie mu za wielkiem; poświęci więcej jak życie, bo cześć, i to droższą od własnej, cześć siostry. Na to, żeby ten trzeci najważniejszy pierwiastek zniszczenia Rzymu mógł słuchać natchnień *Irydiona* i być wciągniętym do poematu, wymyślił poeta tragiczną i samą w sobie bardzo piękną postać Elsinoe. To pierwsza część poematu.

Druga zawiera świat chrześcijański zamknięty w katakombach, który *Irydion* chce także wprządz w swój spisek, a kończy się rozdarciem między chrześcijanami, nadzieją *Irydiona*, że połowa ich da się pociągnąć do walki, i szatańskim tryumfem Massynissy, który widzi poczynający się odtąd cały szereg sporów i walk religijnych — dotąd przygotowanie. Z trzecią częścią zaczyna się samo dzieło zemsty. Walka wybucha, zagłada Rzymu zdaje się pewną; w ostatniej chwili ratuje go to, że z katakomb sprzymierzeńcy nie przyszli; wyobrażenie tego faktu, że kiedy państwo rzymskie upadło, Rzym sam je przeżył; ocaliło go od zagłady to, że był środkiem chrześcijaństwa. W części czwartej bohater złamany, zawiedziony, widzi, że cel jego z rąk mu się wymyka, Alexander Severus obwołany Cezarem, Rzym tryumfuje, chrześcijanie zdradzili, zdradził nawet Massynissa, który niechybną zgubę Rzymu obiecywał; wszystko skończone, wszystkie poświęcenia daremne. Nawet Elsinoe poświęcona nadarmo! człowiek przeznaczenia nie zwy-

cięży! bohater poematu, jak przystało na Greka, potomka Themistoklesów, chce sobie zadać śmierć. Wtedy nieśmiertelny Massynissa przyrzeka mu, że kiedyś nasyci jego zemstę zupełnym upadkiem nienawistnego miasta, i usypia go na długie wieki aż do tej obiecanej chwili. W Epilogu ona nadeszła. Ale po wiekach, zbudzony syn zemsty okazuje się przemienionym, miłość ojczyzny, ból patryotyczny, stał się lepszym i szlachetniejszym; nie jest już duchem nienawiści, zemsty i zniszczenia, ale ma »być spokojnym »na dumę i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych, »i ufać imieniowi Pańskiemu, bo oni przeminą, ale ty »i słowo moje nie przeminiecie«. Z tym rozkazem ufności i przebaczenia, z drugim rozkazem poświęcenia, »nie proś o chwałę twoją, ale o dobro tych, których ci powierzam«, *Irydion* posłany jest do ziemi mogił i krzyżów. Miłość ojczyzny ujarzmionej wystawiona jest na próbę drugą, z wyraźną wskazówką, że jeżeli chce cel swój zbawić, musi z tej próby wyjść świętą.

Widocznie budowa poematu jest tu daleko regularniejsza, daleko bardziej skończona, aniżeli w *Nieboskiej Komedyi:* żadnych opuszczeń ani przeskoków, wszystko się łączy, wszystko widocznie jedno z drugiego wypływa: a w szczegółach, w scenach nie ma tego pośpiesznego i prawie dorywczego szkicowania, co tam, jest daleko więcej wykończenia. Powodem tej różnicy jest to, że *Irydion* był pisany z planem, był naprzód i bardzo starannie cały obmyślany; skutkiem jest to, że on artystycznie jest od *Nieboskiej* piękniejszy.

»Gdzież jesteś synu zemsty, synu pieśni mojej« mówi poeta w prologu, po wspaniałym obrazie tego zamętu starożytnego świata, z którego »wyciśnie myśl jedną i nada jej postać i imię« — »duch twój pomiędzy jakiemi duchami?« Nie ma go pomiędzy »widmami

senatu obarczonemi pamięcią podłości, ani pomiędzy cezarami panami świata, ani między świętymi panami Watykanu, ani między męczennikami Chrystusa«; żaden z tych nie chciał być niszczycielem Rzymu, żaden nie chciał mścić na nim krzywd innych i jego nieprawości, syna zemsty między nimi nie ma. On wymyślony, fikcyjny, jak nie żył na świecie, tak w historyi nie ma postaci ani imienia; on jest przypuszczeniem tylko, przypuszczeniem, że mógł być i jaki być mógł, i dlatego nie między duchami ludzi, którzy żyli niegdyś na ziemi, ale w fantastycznej jaskini, w fikcyjnem wiekowem uśpieniu, czeka na chwilę przebudzenia, która właśnie nadchodzi: »Godzina dobija, bo kędy miasto »wieczne panowało, dziś grób szeroki etc.« Ten początek prologu, tak jak epilog, odbywa się w teraźniejszości, dzisiaj — poemat sam w Rzymie przed wiekami; a dalsza część prologu zawiera to, co już w dramacie samym pomieścić się nie mogło, dziedzictwo zemsty i nienawiści spadające na bohatera, i pochodzenie jego, tę myśl, że zemsta na Rzymie za wszystkie jego nieprawości, że zniszczenie Rzymu wyniknęło z dwóch pierwiastków, z wpływu cywilizacyi greckiej, która zmieniła jego naturę i z fizycznie przemagającego elementu ludów północnych, i tę drugą, że miłość ojczyzny doskonalsza, w duchu młodszych ludów tylko wykształcić się mogła. »Nim powstaniesz, opowiem twe dzieje« mówi poeta, bo potrzebuje pokazać z jakich to rodziców zrodził się *Irydion*, z jakich czynników składał się upadek Rzymu.

Prolog *Irydiona*, pomimo niektórych twierdzeń przeciwnych, a może cokolwiek uprzedzonych, jako koloryt, jako obrazowość stylu, jest niezawodnie jedną z wielkich piękności naszej literatury. Zarzucano mu pewną mglistość jakoby umyślną, a przez to wyszukaną nienaturalną effektowność, ozdobność posuniętą do przesady. Nie przecząc że usterki te trafiają się

u Krasińskiego, trudno przecież dopatrzeć się ich tutaj właśnie. Zapewne jest to proza tak uroczysta, tak majestatyczna i tak patetyczna, że włos jeden dalej, a wpadłaby w przesadę; zastosowana do przedmiotów drobniejszych, byłaby nienaturalną i śmieszną; a że nieraz widzieliśmy ją stosowaną do takich przedmiotów maluczkich albo do pomysłów płytkich, żeśmy ją widzieli niezgrabnie naśladowaną, przeto i do niej samej zbliżamy się już z pewnem niedowierzaniem. Jednak, biorąc na rozwagę okres za okresem i słowo za słowem, nie można dojrzeć usprawiedliwienia tych zarzutów. Czy że ten ton *largo* i *maëstoso* przypadał dobrze do obrazów takich rozmiarów i takiej treści, czy że poeta zachował szczęśliwą miarę, zrobił ze swoim stylem to, co rzeźbiarze Laokoona ze swoją grupą, o której krytyka mówi, że jeden muszkuł, jedno skrzywienie ust więcej, a byłaby przesadzoną, że się zatrzymuje na najdalszym punkcie patetyczności, ale tego punktu nie przechodzi i zostaje cudownie piękną i wzniosłą, dość, że o prologu *Irydiona* pod względem stylu powiedzieć można, że mógłby być przesadnym i nienaturalnym, ale tak jak jest, jest zapewne najpiękniejszym specimenem prozy poetycznej, jaki mamy w naszym języku. Który ustęp, który obraz, wypadałoby tam uważać za najświetniejszy, to oczywiście rzecz upodobania; są zdania bardzo poważne, które najwyżej stawiają ustęp o Grymhildzie prorokującej na głazie, i zachwycają się obrazem »ziemi srebrnej potoków«, całą tą dziką i ponurą dekoracyą lodów, śniegów, czarnych obłoków, sosen zwalonych, głazów, ludzi w skórach i pancerzach z rybich łusek. Zapewne, jest to wszystko bardzo piękne, bardzo wyraziste i żyjące, malowane słowami. Jednak, nie wiem czy nie piękniejszy jest na wstępie obraz Rzymu: mowcy, panowie dusz tysięcy, żołnierze legionów, patrycyusze z chmurą grozy na czole, westalki... a obok

tego Rzym dzisiejszy, wielka ruina obrośnięta pełzającym bluszczem i ludem. W tem znać doskonale, że to znane, doznane, z własnych wrażeń wzięte; znać, że poeta siadywał nieraz »na Palatynie, wzgórzu ruin »i kwiatów«, i dumał o tych wszystkich postaciach, wywoływał te cienie, że je oczyma duszy nieraz przed sobą widział, że namiętnie, lubieżnie karmił swoją wyobraźnię gorzką poezyą rzymskich ruin: i może nikt jej tak nie czuł, tak w swoich dziełach żywo nie odbił jak on. Obraz *Chersonezu* Cymbrów pomimo całej swojej piękności nie jest tak zupełnie własny; w tych mgłach i chmurach, w tych skaldach z brodami i arfami, słychać czasem coś, jakby przypomnienie Ossijana. Może to wrażenie fałszywe, ale zdaje się, jak żeby on tego północnego kraju nie był tak jasno widział w swojej wyobraźni, jak widział Forum Romanum i »westalkę wstępującą w milczeniu na schody Kapitolu«, jak żeby w tym obrazie były rysy, które się już gdzieś widziało. Jakkolwiekbądź, tego nikt zaprzeczyć nie potrafi, że pomysł tej natchnionej kapłanki, która reprezentuje niejako instynktowy popęd swego ludu do wędrówki i przeczuwa jego przeznaczenie, oczarowanej i podbitej przez Greka, który im spełnienie tych przeznaczeń już naprzód ułatwił, jest filozoficznie głęboki. A w przedstawieniu poetycznem, w tych dwóch figurach Greka w korynckiej zbroi, podobnego do bogów starożytnej rzeźby, i tej północnej smutnej Welledy, jest bardzo piękny; nie byłoby nic dziwnego, gdyby malarz pokusił się oddać tę parę ludzi kolorami na płótnie.

Piękna jest ta nauka historyi, te kilka słów o Grecyi i Rzymie, któremi Amfiloch tłómaczy Grymhildzie tajemnice tego dzieła, do którego spełnienia potrzeba mu jej piersi natchnionej; to objaśnienie zemsty, to powody wszystkich czynów i namiętności, nienawiści *Irydiona*, to wreszcie wskazówka, że ta nienawiść

i zemsta zbiera się i rośnie oddawna, jeszcze od Filopoemena. Zwłaszcza piękne jest opowiadanie o wyspie Chiarze, o wyprawach, które podejmował Amfiloch, »szukając nieprzyjaciół nieprzyjacielowi swemu«, o jego układnem, chytrem, greckiem postępowaniu z pretorami i prokonsulami, kiedy im prawił o chwale Rzymu »i pił zdrowie Imperatora, aż puhar pękał w palcach jego«.

Tajemniczy zgon Grymhildy, gniewny głos Odyna, który ją do siebie wołał i groził, jej posłuszeństwo i niezachwiana wiara w tego boga, jej tęsknota za ziemią srebrną, i śmierć dobrowolna, wszystko to jest poetycznym tylko dodatkiem, jest zakończeniem tego epizodu przeszłości, który zakończenia jakiegoś potrzebował.

Dzieje rodu uśpionego *Irydiona* i jego pochodzenie są opowiedziane: Amfiloch przeniósł się do Rzymu, pośród wrogów, gdzie »przynajmniej całą duszą nienawidzieć będzie«; umarł potem, przekazując synowi zemstę swoją. A teraz czas pokazać jak ten syn, kiedy sam pozostał, dopełnił swojej przysięgi, jak dalej dzieło ojca prowadził.

II.

Pierwsza scena. Zmysł artystyczny i miara. Elsinoe. Kobiety Krasińskiego. Elsinoe i Antigona. Effekt przeciwieństw. Massynissa. Szatan w historyi. Jego stosunek do miłości ojczyzny. Przystosowanie. *Irydion* u celu. Spisek z Cezarem przeciw Rzymowi. Postacie Rzymian godnych: Ulpianus, Mammaea, Alexander Severus. Koniec części pierwszej.

Pierwsza scena poematu jest jedną z jego wielkich piękności. »Dla wszystkich dotąd we śnie leżę«, mówi *Irydion* patrząc na posąg ojca, »ale ty wiesz, że ja czuwam«. Jest to bolesna sytuacya dyssymulacyi, posuniętej do najwyższego stopnia; bohater, który

żyje dla swojej zemsty tylko, tak się z nią chytrze ukrywa, że przyjmuje na siebie pozór nietylko bezczynności, nietylko dobrych stosunków z nieprzyjacielem, ale ostatniej podłości. Sytuacye podobne trafiają się w poezyi: Fiesco ściska rękę Doryi, zaprasza go na uczty, zdaje się cały zatopiony w rozpuście, żeby uśpić nieprzyjaciela, *Wallenrod* udaje krzyżaka przez całe lata, ale żadna nie jest tak straszna jak ta. Fiesco poświęca tylko pozory, i to na krótko, *Wallenrod* tylko szczęście; *Irydion* coś więcej. *Irydion* poświęca rzeczywistość czci, i to nie swojej tylko, ale cześć droższą od własnej, cześć kobiety, siostry, czystej, niepokalanej, jak pogańska Diana, jak chrześcijańska święta: otoczonej taką aureolą godności i czystości, że żadna myśl ziemska nie śmiałaby do niej się podnieść, że żadne spojrzenie pożądliwe nie śmiałoby zatrzymać się na jej czole. I tę trzeba oddać Heliogabalowi dlatego, że żąda jej jego kaprys dziecka tyrana: za samą myśl taką, za samo przypuszczenie możliwości, człowiek zabija, to jego pierwszy popęd. *Irydion* nie zabija ani Cezara, ani siostry, ani siebie, oddaje ją: oddaje człowiekowi, którym gardzi, bo na niej opiera się rachuba jego zemsty, przez nią opanuje on Cezara, przez Cezara zgubi Rzym. Niech ludzie myślą i mówią co chcą, niech stawiają jej posągi między Messaliną a Poppaeą i niech na nie potem plują, o nim niech mówią że ją sprzedał, on jest przygotowany; zemsta, która się zbiera od wieków, nabrała takiej mocy, że nawet to poświęcenie wytrzyma. Poświęcenie zapewne, heroizm straszliwy. Stary Wirginiusz, kiedy własną córkę zabijał, robił rzecz przyjemną w porównaniu; coby człowiek nadto jeszcze poświęcić mógł? podobno nic. Otóż ta miłość ojczyzny namiętna i nieubłagana, ta wściekła żądza zemsty, poświęci i to nawet; owszem w poświęceniu tem Grek pogański idzie dalej, niżby mógł pójść człowiek ery

chrześcijańskiej. Ten pomyślałby, że są rzeczy, których poświęcać nie ma prawa, że niektóre heroizmy są »człowiekowi grzechem«. Takie poświęcenie było możliwem tylko w czasie, kiedy kobieta była rzeczą w ręku ojca rodziny, męża, ojca czy brata, i kiedy człowiek nie wiedział tego, że może być odpowiedzialnym za duszę drugiej ludzkiej istoty. Byli i są może tacy, którzy robią to samo, co *Irydion*, ale robią przez podłość; przez szlachetność, przez heroizm w naszych wiekach nikt tego zrobić nie może. Można sobie wyobrazić taką Elsinoe, któraby pod wpływem jakiejś złudnej exaltacyi sama poświęciła się na taką ofiarę, ale musiałaby to zrobić dobrowolnie; jej poświęcić niktby nie śmiał, niktby sobie nie przyznał prawa ani władzy.

Kiedy się scena otwiera, rzecz jest już rozstrzygnięta, postanowiona, nieodwołalna: poświęcenie w duchu dokonane. Doznaje się jakiegoś uczucia wdzięczności dla poety, że tak jest, że nam oszczędził widoku tego wszystkiego, co tę ofiarę poprzedziło. Wyobrazić sobie walkę wewnętrzną *Irydiona*, kiedy się dowiedział o żądzy Heliogabala, i kiedy musiał postanowić że jej dogodzi, bo tego wymaga jego missya: wyobrazić sobie taką scenę, w którejby on siostrze miał pierwszy raz powiedzieć, na co ją skazał? pomijając już to, że są okropności tak okropne, że żadna sztuka poety nie może liczyć na pewno, iż im wydołać potrafi, zważać jeszcze trzeba i to, że są sytuacye tak bolesne, tak naprężone, tak straszne, że tego nadmiaru patetyczności, jaki w nich jest, nie możnaby znieść bez wstrętu, tak jak się nie znosi widoku męczarni fizycznych. Wprawdzie nieraz poeci z upodobaniem traktują takie właśnie sytuacye i wyczerpują sumiennie ich okropność do samego dna. Słowacki tak napręża sytuacyę Wojewodziny i Zbigniewa w Mazepie, albo sytuacyę nieszczęśliwej Beatrix Cenci; Wi-

ktor Hugo prawie nigdy nie postępuje inaczej, w tem mieści tragiczność rzeczy i gieniusz poety. Ale Krasiński ma więcej miary, i ufa sobie, że potrafi oddać wszystko co jest tragicznego i bolesnego w sytuacyi którą przedstawia, choć uniknie tego, coby było nie do zniesienia. Wszystkie rzeczy poprzednie, wszystkie przygotowania już się odbyły; i *Irydion* i Elsinoe już ofiarę zrobili, poddali się losowi; rozdarcia walki oszczędza im poeta. Ale nie oszczędza boleści wykonania ofiary, rozstania. Wyprowadza ich w tej przedostatniej chwili, kiedy nieszczęście jeszcze się nie spełniło, a spełnić się musi. »Słychać, że dziś w nocy porwać »ją mają murzyny Heliogabala«, mówi niewolnik, myśląc, że pan jego śpi i nie słyszy; a te słowa wprowadzają nas *in medias res*, i przejmują dreszczem; czuje się, że tu zajdzie coś okropnego. »O takiej go»dzinie, mówi *Irydion*, musiał Brutus zabijać synów: »ale dawniej dla zbawienia narodów dość było życia; »dziś inne czasy, dziś cześć poświęcić trzeba«. A jest w nim tyle dobrej wiary, tyle przekonania, że robi co powinien; to poświęcenie, choć pojęte fałszywie, jest tak zupełne, i tak dla niego ciężkie, że okupuje okropność jego czynu, że jedynem uczuciem, jakie on budzi, jest pożałowanie, współczucie i uszanowanie. Jeszcze więcej wzbudza je Elsinoe. Przypominają się tu wszystkie bohaterki poezyi, prowadzone na śmierć, od Antigony, aż do Maryi Stuart Schillera; przypomina się to wrażenie, jakiego się doznaje patrząc na nie, wrażenie podziwienia i współczucia dla nich, oburzenia na ich los; rozumie się tak dobrze, czuje się tak żywo to co one czuć muszą, kiedy sobie mówią, że to ostatnia chwila, jeszcze godzina, jeszcze pół godziny, a wszystko się skończy. Tu jest gorzej: ta ofiara idzie na coś gorszego jak śmierć; ta sobie mówi, że jeszcze godzina, jeszcze pół godziny, a przestanie należeć do siebie, stanie się własnością i igraszką stworzenia,

którem gardzi; przed nią jest nie śmierć, ale życie ciągłego obrzydzenia, i życie wstydu! Zdanie bardzo poważne, zdanie Klaczki, przyznaje Krasińskiemu szczególny dar tworzenia postaci niewieścich; czy ono jest zupełnie uzasadnionem? Naprzód, tych postaci niewieścich jest u Krasińskiego niezmiernie mało, szkic Hrabiny w *Nieboskiej Komedyi*, i dwie kobiety w *Irydionie*, to wszystko. Zapewne; nie chodzi o ilość, ale o jakość. Poeta, któryby stworzył jedną Gretchen, jedną Desdemonę, jedną Antigonę, nie potrzebowałby więcej, żeby być uznanym mistrzem pod tym względem. Ale żadna podobno z kobiet Krasińskiego taką nie jest. Hrabina, to figura zbyt epizodyczna i zaledwo naszkicowana. Zostaje więc tylko Kornelia i Elsinoe; a te obiedwie są tak poetyczne, tak idealne, tak powiewne, przeźroczyste i mdlejące, że aż prawie zanadto. To nie kobiety, to duchy, wcielone idee; jedna wygląda jak wcielone nieszczęście i poświęcenie, druga jak wcielona exaltacya. One są w poezyi podobne do kobiet z obrazów Ary Scheffera w malarstwie, pięknych, idealnych, szlachetnych i cierpiących, ze łzawemi oczyma, z głową pochyloną od smutku, ale to piękność tak doskonała i tak poetyczna, że aż wydaje się cokolwiek przesadzoną, cokolwiek wyszukaną. Przecież z dwóch, Elsinoe jest podobno piękniejsza. Naprzód samo jej położenie zdobywa więcej współczucia, aniżeli gwałtowna a niezbyt zrozumiała exaltacya Kornelii; powtóre ta natura cicha, czuła do najwyższego stopnia, a tak odważna, tak spokojna i silna, jest sympatyczniejsza od extatycznej natury Kornelii, która żyje w samych jakichś nadnaturalnych czy nienaturalnych zachwytach i podrzutach. Ta jest więcej kobietą, a zwłaszcza jest kobietą większego uroku, jest pomimo poetyczności i idealności cokolwiek przesadzonej i wyszukanej, jedyną w poezyi Krasińskiego kobietą prawdziwą i jedyną prawdziwie piękną, pra-

wdziwie sympatyczną. Kilka razy w rozbiorach *Irydiona* mówiąc o Elsinoe, wspomniano imię innej, idealnie szlachetnej i pięknej ofiary, Antigony, najbardziej może rozrzewniającej ze wszystkich bohaterek tragicznych: i rzecz dziwna, to porównanie nikogo nie oburza ani nie dziwi; znać że Elsinoe znieść je może. Nieszczęśliwsza od Antigony, a tak jak ona szlachetna, ma jak ona powagę swojej dziewiczej godności i powagę klasycznej statuy, a jak tamta także ma rozdzierające słowa skargi i żalu. To nie jest twarda heroina zahartowana na wszystko, to nie stoik w kobiecem ubraniu; to młoda dziewczyna, która zrobi z siebie ofiarę, kiedy tak być musi, ale która żałuje siebie, swego szczęścia, swojej młodości, swoich marzeń, swojej czci; która sobie mówi, że mogła być szczęśliwą i szanowaną, jak wszystkie; która z płaczem wyrzeka się swego Alexandra Sewera, jak Antigona z płaczem myśli o Haimonie, kiedy się skarży że idzie do grobu nie poślubiona; tylko tej jest gorzej, bo tę nie Acheron woła do siebie, ale Heliogabal. Ona jest bardzo odważna, bardzo spokojna, łagodna i cierpliwa, przygotowana na tę straszną ofiarę. Ale w chwili, kiedy ją ma spełnić, opadają ją wszystkie wspomnienia przeszłości i wszystkie zgrozy przyszłości, i łączą się w rozdzierającą skargę, w prośbę, żeby od niej odsunięty był ten kielich goryczy. Jak ona się prosi, żeby tylko trochę później! ona zrobi co potrzeba, jutro, pojutrze, tylko nie dziś jeszcze; — jak przypomina bratu dziecinne lata, jak mu rozdziera serce uwagą: »teraz na twojej piersi, a za chwil kilka na czyjej«... *Irydion* chce być od niej silniejszym: »nie kuś mnie do litości« mówi; »dawniej dość było życia, dziś cześć po»święcić trzeba, nie bluźń myślom ojca«. Ale choć się hartuje i zbroi w stałość jak może, ból jest silniejszy od niego. Kiedy po raz setny, tysiączny może, a ostatni, w chwili stanowczej, stanęła w jego głowie myśl

że »ostatni raz przyciska ją do serca w świętym domu »rodzinnym; że taką, jaką ją żegna, już jej nie ujrzy »nigdy... że Cezar splami ją swojem tchnieniem »zatrutem«, on wtedy słabnie, w głowie mu się zawraca, »filary drżą na swoich podstawach, plamy ja»kieś czarne biegają między niemi« zda się, że zmięknie, że zabraknie mu siły a raczej okrucieństwa, że się zmiłuje nad siostrą, wysłucha jej próśb, i pchnie ją sztyletem. Ale czuwa nad nim wyższa potęga, która nad nim góruje i panuje: »Kto się waha, ten się uro»dził do słów nie do czynów« odzywa się z za filarów głos Massynissy, a niebawem staje on sam w swojej niezachwianej powadze i w swojej przygniatającej sile, zrzuca żałobny wieniec cyprysowy z głowy nieszczęśliwej ofiary, każe jej włożyć wieniec z kwiatów, jak przystało na szczęśliwą oblubienicę Cezara, po którą już przyszli jego wysłańcy. I wtedy zaczyna się ta scena przeciwieństw straszniejszych od najśmielszych przeciwieństw Szekspira; rubaszne śmiechy oswojonych ze śmiercią grabarzy w piątym akcie Hamleta, wesoła muzyka grajków wchodzących do domu Capuleta, w chwili, kiedy rodzice zastają Julię niby umarłą, wszystko to nie tak przykre, nie tak okropne, jak ten chór weselny służebnic czy swatek, które śpiewają nad siostrą *Irydiona* jakiś tryumfalny hymn miłości i szczęścia, które ją witają powinszowaniem i zazdrością, jak żeby szła w dom męża, w dom czci i szczęścia, kiedy ją stroją w purpurę i kwiaty; jest coś strasznego, coś obrzydliwego w tych hołdach i hymnach składanych tej, która będzie miała honor zaspokoić zachcenia Imperatora — a jakiemże dopiero echem fałszywem hołdy te i powinszowania odbijać się muszą w sercu tej która je odbiera, a wie że idzie na hańbę! w sercu brata, który ją do tego zmusza! jaki wstręt i jakie obrzydzenie budzi ten praefekt praetorium, nadworny błazen Eutychian, kiedy wylicza tytuły swego

pana i jego dary, konchy purpurowe i kubki ametystowe. Nigdy straszniejsza sytuacya nie była traktowaną w poezyi; i nigdy może sztuka nie wymagała większego wysilenia, jak to, żeby *Irydion* i Elsinoe w takiem położeniu, w takiej hańbie, pozostali wielkiemi i godnemi. A są niemi: wśród ostatniego spodlenia, w ostatniej infamii, otoczeni są taką godnością, że się na nich patrzy ze czcią, jak na jakieś istoty wyższe od ludzi, jak na jakieś bóstwa. »Duch twój« mówi *Irydion* w tej ostatniej nauce, która jest jakoby ostatnią wolą, »niech czystym i wolnym zostanie. Otocz Cezara szałem »i wyssij całe życie z serca jego; tyś przeznaczona »niesławie i zagubie, ale on zginie z całem państwem »swojem«. Elsinoe powtarza parę razy prosty wykrzyk, niestety, wykrzyk tak często powtarzany przez tragików greckich i tak wymowny w ustach Kassandry albo Antigony, potem w słowach, które istotnie przypominają ostatnie słowa Antigony, żegna progi domowe, wieniec swój nieskażony, siebie samą: ale natychmiast nabiera odwagi, płacz i słabość zostawia także w domu rodzinnym: bogowie! dajcie mi natchnienie, a Roma zaufa »mojej miłości, Roma zaśnie na mojem łonie«. Poświęcona na narzędzie zemsty, nauczona, żeby je spełniała »zdradą niewiasty«, wychodzi pewnym krokiem, z podniesioną głową, i za siebie, na przeszłość swoją, już się nie obejrzy.

Cóż to jest ten nieubłagany starzec z pustyń Libijskich, ten niegdyś przyjaciel Amfilocha i pan samowładny jego dzieci, na którego widok ustępuje wahanie *Irydiona*, i skarga Elsinoi nie śmie się odezwać? co to za potęga wyższa i nadludzka? Któż może powiedzieć o sobie to, co on mówi, że »świadczy Bogu, »jak wróg nieśmiertelny nieśmiertelnemu wrogowi«? Oczywiście jeden tylko, Szatan. Co on tu robi? dlaczego on właśnie przy *Irydionie?* co może być wspól-

nego pomiędzy nim a miłością ojczyzny, jaka jest w tamtym? Dlaczego wreszcie tak mało w nim szatańskiego, że gdyby nie przytoczone słowa, i gdyby nie jego tryumf w katakombach, pośród chrześcijan zwaśnionych między sobą, gotowibyśmy go wziąć za człowieka silniejszego tylko i stateczniejszego niż *Irydion*; gotowibyśmy zrozumieć, może podzielić jego uczucia; bo nienawiść Rzymu, którym jest motłoch i Cezar tylko, bo zemsta za Grecyę, wydaje się uczuciem tak naturalnem, że aż prawie koniecznem i usprawiedliwionem. A on przeczy tak mało, tak mało przeklina i psuje, że nam, przyzwyczajonym do innego, wyraźniejszego typu szatana w poezyi, wydaje się prawie za mało, zaledwo godnym swojego urzędu i swojego powołania »nieśmiertelnej nienawiści i zemsty«. Czy to słabość? Czy Krasiński nie umiał stworzyć szatańskiej natury i skreślić jej tak potężnemi rysami, jak Milton lub Göthe? Odpowiedź na te pytania, wytłómaczenie tej zagadki, znajdziemy w »Bezimiennym Poecie« Klaczki: »Mistrz i doradzca *Irydiona* nie jest prostym Wajdelotą (jak Halban z *Wallenroda*), »to »sam duch złego, to szatan w swojej osobie, ale sza»tan ściągnięty misternie do kształtów i rozmiarów »klasycznych; taki, jakiego mogłaby była wystawić so»bie mytologia, zawsze, nawet w kreacyach swoich »najbardziej ponurych, rozmiłowana w piękności, »w spokoju i w pogodzie. Massynissa nie ma ani »gorzkiej i rozpaczliwej ironii Mefistofelesa, ani wście»kłości bez granic upadłego Anioła z »Raju« Miltona; »to starzec poważny i majestatyczny. Nie trzeba w nim »szukać wiecznej i powszechnej negacyi, jaką Göthe »dał swojemu duchowi złego: jego nienawiść jest ści»śle określona, i żeby się tak wyrazić, zupełnie pla»styczna. Chrześciaństwo go razi tem samem, czem ra»zić musiało każdy umysł prawdziwie starożytny: po»zornym brakiem męzkiej energii i wdzięcznych form.

»Nauka o poddaniu się i rezygnacyi, którą powtarzają »bez ustanku wyznawcy krzyża, jemu wydaje się nie»godną umysłu męzkiego, człowieka wolnego. Nazywa »ją nikczemnością, a wszystko w niej, aż do jednego »z wielkich dobrodziejstw ewangielii, aż do podniesie»nia kobiety, oburza go do żywego. »Oni ubóstwili »córę dzieciństwa i wczesnej starości, z łupów ciele»snych rozkoszy wydumali parę tajemniczą, oni przed »niewolnicą męża schylili czoła«. Tak, niezdolny na»tchnąć człowieka do wielkich czynów, ideał chrze»ścijański wydaje mu się przedewszystkiem: *brzydkim*. »Oni się kochają w tem ciele rozkrzyżowanem, w tych »rysach, które sobie wymarzyli pięknemi gasnącemi »w zwycięstwie miłości. Nie widzieli ich, kiedy ko»nały ze wstrętem bólu, w milczeniu osłabienia, zma»zane krwią, z wichrem gwiżdżącym wśród włosów«. »To rozkoszny i piękny materyalizm starego świata, »protestujący przeciw spirytualizmowi świata naszego, »który ducha wynosi z uszczerbkiem dla formy«.

Nic słuszniejszego i nic bystrzejszego, jak to odkrycie pierwiastku klasycznego, posągowego, w Massynisie; jak to wykazanie, że poeta wprowadzając szatana w pojęciu chrześcijańskiem w świat starożytny, chciał go do tego świata zastosować i dać mu taką postawę, takie kształty, takie zachowanie i mowę, któreby z tym światem były w harmonii. Niezawodnie to jest powód, dla którego on się nie rzuca i nie miota tak namiętnie, tak wściekle jak Szatan Miltona; dlaczego nie urąga, nie szydzi jak Mefisto, dla tego jest tak poważny i tak posągowo spokojny. Niezawodnie i pomysł to oryginalny i trudność niesłychana, zrobić dyabła chrześcijańskiego klasycznym! i tryumf niemały dla poety, który te sprzeczności w jednej postaci tak doskonale połączył i pogodził. Tryumf i dla krytyka, który pierwszy tę postać tak ocenił i wytłómaczył. Ale oprócz tęgo, jest jeden jeszcze pierwiastek w tym szatanie,

który stanowi odmianę od zwykłego typu ducha złości i szyderstwa.

We wszystkich kreacyach tego rodzaju, nienawiść Boga, która jest duszą szatana i sprężyną jego czynności, za swój cel bliższy, za ten, przez który chce się mścić na Bogu, ma duszę człowieka, individuum ludzkie; to jest warsztat, na którym on snuje i tka swoje zdrady. Zemścić się na Bogu przez to, że się człowieka doprowadzi do buntu, do grzechu, do zguby. Taki jest charakter i taki zakres działania Mefistofelesa, Szatana w Miltonie, Lucyfera w Kainie Byrona; i dawniej nawet, w pierwszej postaci szatana, jaką fantazya ludzka poczęła, w Jobie. Szatan Krasińskiego z tym samym pierwiastkiem działania, z nienawiścią Boga, z tym samym celem pośrednim, którym jest zemsta nad Bogiem, jest od tamtych odmienny; jego cel uboczny i jego sposób działania jest inny. On się nie zabawia indywidualną duszą jednego człowieka; o to chodzi mu najmniej czy *Irydion* będzie zbawiony lub potępiony, o tem on ani razu nawet nie mówi. Jego zadaniem jest psuć myśl bożą w ludzkości, krzyżować jej zamiary w historyi. Poezya Krasińskiego, której przedmiotem jest nie człowiek, ale ludzkie społeczeństwo, której charakter jest nie psychologiczny, ale polityczny i tendencyjny, której postacie nie są indywiduami, ale symbolami, wcielonemi ideami i prądami historycznemi, znalazła i ten rodzaj szatana odpowiedni swojemu rodzajowi ludzi i do niego zastosowany. Massynissa, to szatan polityczny, szatan w historyi, czyhający nie na to, żeby podejść i zgubić tego lub owego człowieka jednego, ale żeby wszelki kierunek dobry i zdrowy, jaki zabłyśnie w zbiorowem życiu ludzi, zwichnąć i na złe obrócić; żeby każdy dobry popęd, każde dobre uczucie podciąć w samym korzeniu, a przynajmniej podlać je jadem, tak, żeby się nim przejęło i zepsuło; żeby z każdej myśli lub zasady dobrej wyprowadzić

konsekwencye fałszywe i zgubne; żeby stopniowemu doskonaleniu się i uszczęśliwieniu ludzkości stawiać na drodze zawady takie, iżby ono nietylko ich przebyć nie mogło, ale żeby się cofało w tył niżej i dalej punktu, z którego wyszło. Ten pierwiastek zły, który dobremu staje nawspak, który w historyi widoczny jest na każdym kroku, który nazywamy nieszczęściem, fatalnością, jak bądź, ten wyobraża sobie Krasiński jako szatana w historyi, to jest Massynissa. To nieszczęście, to jakieś zaklęcie naprzykład, które z potrzebnej i pożądanej reformy w kościele rozwinęło walkę w jego łonie i zrobiło reformacyę, a za nią wiek przeszło wojen, zakończony tym traktatem westfalskim, który znowu na wieki skrzywił i powstrzymał normalny rozwój społeczeństw europejskich, ich spokój, cywilizacyę, i szczęście, to jego szatan w historyi, to Massynissa. Ta fatalność, która z dążenia do wolności w paru latach zrobiła terroryzm, z roku 89-go rok 1793-ci, to szatan historyczny; — ten zły duch, który ze złamania feudalizmu i emancypacyi miast w wieku XV wyprowadził fundamenta późniejszego despotyzmu; ten zły duch, który prowadził rękę mordercy Henryka IV, i zniósł uczciwą władzę na korzyść absolutyzmu Ludwika XIV-go, a rozwiał piękny ideał międzynarodowych stosunków, jakim była Rzeczpospolita Chrześcijańska tamtego, na korzyść Traktatu westfalskiego, Państwa i polityki w ich późniejszem pojęciu i kształcie, — który idealnie piękną zasadę wolności w Polsce tak zaraził, że aż wydała *Liberum Veto*, — ta wieczna zawada na drodze dobrych dążności, ta wieczna ironia, która z premissów i zasad mądrych i sprawiedliwych wyprowadza konsekwencye niedorzeczne i zgubne, to szatan Krasińskiego, szatan w historyi! szatan zawzięty nie na duszę ludzką, ale na ludzkość i myśl bożą w niej, to Massinissa. Takim ukazuje on się, kiedy mu się udało zatruć i zepsuć to,

co miało być życiem i duszą świata na całą jego długą przyszłość, co miało doprowadzić świat do urzeczywistnienia ideału sprawiedliwości, zgody i szczęścia, kiedy chrześcijaństwo zaledwo narodzone, rozdwoił, rozdzielił, zwaśnił, i rzucił w nie ziarno nienawiści i niezgody. To jego tryumf! to kamień węgielny jego dzieła, na którym oprze się później cała dalsza budowa, cały ciąg dalszy i wszystkie częściowe jego zdrady i roboty. Massynissa w katakombach pośród płomieni, ukazujący się na miejscu pierwszej walki między chrześcijanami i rzucający Bogu to wyzwanie tak kolosalnie dumne i śmiałe, tak pełne rozkoszy i tryumfu nienawiści, to jeden z największych tryumfów w poezyi. Raz tylko, ten jeden raz odzywa on się w ten sposób w poemacie, ale ten jeden raz wystarcza na to, żeby on był przedstawiony i pojęty jako ten zły duch, który ludzkości nie dopuszcza do wolności, pokoju, sprawiedliwości i cywilizacyi, jako szatan w historyi [1]).

Ale cóż on robić może przy *Irydionie?* co może być wspólnego pomiędzy nim a uczuciem dobrem i świętem, jak miłość ojczyzny? Pomiędzy nim a dążeniem do jej niepodległości? Przecież w takiem dążeniu nic złego, nic nieprawego niema? Tak, ale niema nic złego, nic nieprawego w dążeniu do wolności także; ona także jest zasadą dobrą i świętą, a przecież szatan historyczny przyczepił się do niej i zrobił z niej terroryzm. To jego zadanie właśnie, to jego rozkosz i jego tryumf, żeby uczucie najlepsze i najpiękniejsze psuć: żeby z zarodów dobrego, jakie tkwią w jakiejś zasa-

[1]) »Szatan wszystkich wieków i społeczeństw, wiecznie walczący, wiecznie pobity: mający jednak chwile zwycięstwa swoje piekielne, zbrodnicze«, (Krasiński, List do Gaszyńskiego XXIX, 6-go czerwca 1837). Ustęp o Massynissie pisany był w r. 1871, zatem przed ogłoszeniem *Listów Krasińskiego.* *P. A.*

dzie i dążności i z których rozwinąć się mogła przyszłość szczęśliwa, wyprowadzić, wypielęgnować, wyhodować złe. Massynissa czepia się Irydiona, czepiał się jego ojca Amfilocha, opanował jednego i drugiego swoją potęgą, na to właśnie, żeby w tę rzecz dobrą i świętą, w miłość ojczyzny i w patryotyczny ból, wszczepić pierwiastek zły. Massynissa wie, że ten pierwiastek raz wszczepiony doprowadzi tych ludzi do czynów złych, a znając niewzruszone prawa sprawiedliwości boskiej, wie, że im więcej takich czynów złych, tem dalej odsuwa się spełnienie celu dobrego; że złe uczucie lub występny czyn Amfilocha lub Irydiona pociąga za sobą karę, a tą karą jest dalsza niewola i podległość Grecyi. O to mu chodzi; on krąży koło miłości ojczyzny, jak lew ryczący, szukając jakby ją skaził, jakby ją zepsuł, jakby ją skusił do złego, bo obiecuje sobie, że jak mu się to uda, to zmiłowaniu bożemu położy się przeszkoda, której sprawiedliwość przebyć nie dozwoli, a skutkiem będzie dla ludzi cierpienie, dla świata bezrząd, walka, panowanie nieprawości. Gdzież jest w miłości ojczyzny ta strona, w którą jemu najłatwiej jest ugodzić, którą mu najdogodniej wyzyskać? Oczywiście, to uczucie najbliższe miłości ojczyzny, tak z nią związane, tak podobne do wrodzonego i koniecznego oburzenia prostego sumienia na gwałt, że jest niemal nieoddzielnem od tamtego i częstokroć od uczucia dobrego rozróżnić się nie daje — to jest nienawiść ciemięzcy. Gdyby miłość ojczyzny była od takiej nienawiści wolną, gdyby nie przestając być sobą zdołała wznieść się do przebaczenia nieprzyjacielowi, byłaby zupełnie świętą, świętą na wzór Chrystusa, proszącego z krzyża o przebaczenie dla zabójców. I taka rozbroiłaby sprawiedliwość, sprowadziłaby miłosierdzie Boga. Ale jeżeli nienawiść, uczucie złe, zagnieździ się w tej miłości, w tem uczuciu dobrem, jeżeli złudzi człowieka lub naród, a to jej łatwo,

bo może skryć się pod pozory piękne i szlachetne, jeżeli biorąc górę nad miłością ojczyzny, ukaże im jako cel najbliższy zemstę, jeżeli wmówi w nich, że »względem nieprzyjaciela, względem ciemięzcy, wszystko jest godziwe i pozwolone«, jeżeli tak ducha narodu zatruje, że on uwierzy, iż »zbrodnia nie jest zbrodnią, złe nie jest złem, brud nie jest brudem, kiedy wiedzie do dobrego celu« i jeżeli, trzymając się tej zasady, ludzie i narody dadzą się skusić do czynów moralnie złych, wtedy sprawiedliwość boska będzie zmuszoną karać ich za ich środki złe, w ich dobrym celu. Wtedy to, co miało być uspokojeniem, uszczęśliwieniem i podniesieniem świata, usunie się coraz dalej w głąb, w przyszłość jakąś odległą i niedojrzaną wzrokiem. Jest to już pojęcie to samo, jakie znajdziemy w późniejszych pismach Krasińskiego, to samo, którego najprostszym i najjaśniejszym wyrazem jest Psalm Dobrej Woli; jest to już to samo pojęcie ojczyzny jako ideału dobrego i świętego, który tylko przez dobry czyn dopiąć się daje. Irydiona, jak dawniej Amfilocha, skusił Massynissa do nienawiści i zemsty; ich miłość ojczyzny ogromna, bez granic, bohaterska, zdolna do poświęceń ostatecznych i okropnych nie doszła do celu, nie zbawiła Grecyi, bo była pogańską, bo miała w sobie ten pierwiastek zły nienawiści i zemsty, bo sądziła, że wszystko jest jej pozwolonem, bo jako pogańska, mogła w dobrej wierze nawet mniemać, że cel uświęca środki. Ale dziś mamy inne pojęcie prawa moralnego, i nasza miłość ojczyzny powinna mu podlegać; my nie możemy wymawiać się, jak Grek poganin, że nie wiemy co czynimy. Ale przystosowanie? Czy może być przystosowanie do Polski? Czy jakiś szatan historyczny, jakiś Massynissa, uwziął się, żeby zepsuć naszą miłość ojczyzny i przez nią doprowadzić nas do czynów złych? Czy ona nie jest w nas czystą i świętą i prawą? Otóż w tem właśnie jego sztuka, że nam

we własnem sumieniu jasno widzieć nie daje, że nas łudzi pozorami. We wszystkiem, co czynimy, tkwi na dnie miłość ojczyzny, jako motor naszych czynów, to pewna; a tymczasem z tego dobrego szatan historyczny umie wyprowadzić złe. Jak Massynissa w katakombach do Chrystusa, tak on mówi z urąganiem do naszej miłości ojczyzny, do naszej narodowej myśli »w imię twoje będą się nienawidzieć przeklinać i mordować«, i w imię twoje będą tak postępować, żeby królestwo twoje nigdy przyjść nie mogło! Jak w imię Chrystusa powstawały wojny, i bitwy, i stosy, reformacya i wojna trzydziestoletnia, tak my w imię miłości ojczyzny i dla niej wojujemy ze sobą nienawiścią, zazdrością, potwarzą, nieraz gotowiśmy wojować i bronią, a szatan się z nas śmieje, bo nietylko, żeśmy dalecy od chrześcijańskiego ideału miłości ojczyzny, jakiego żąda Krasiński, nie tylko sądzimy, że względem nieprzyjaciela wszystko jest godziwe i pozwolone, ale i w praktyce, na polu rzeczywistych wypadków, przez tę zawiść i zazdrość między sobą, przez ten pierwiastek zły, wszczepiony w naszą miłość ojczyzny, sami coraz dalej swój cel odsuwamy. Z miłością ojczyzny, z myślą o jej niepodległości zaczynamy coś robić, a dochodzimy do rzezi 1846 r., bośmy zaczęli w nienawiści; z miłością ojczyzny, i myślą o jej niepodległości zaczynamy coś robić, a dochodzimy do klęsk 1863 r., bośmy zaczynali w zazdrości i współubieganiu się w samolubstwie partyjnem. Jest w nas zły pierwiastek wszczepiony w dobre uczucie i wydający złe skutki z dobrych początków; jest ironia, jest szatan historyczny, jest Massynissa w naszej historyi porozbiorowej: — i jest wielkie, głębokie, straszne przystosowanie tej allegorycznej postaci do nas, do naszych spraw, i do naszej sprawy.

Ofiara więc spełniona: Greków, Azyatów, Barbarzyńców, Rzymian, dawnych patrycyuszów a dzisiej-

szych gladyatorów, ma już Irydion za sobą; teraz rozpoczęła się najważniejsza część dzieła, pozyskanie Cezara, wciągnięcie jego do spisku na zgubę Rzymu. Elsinoe wie na co jest poświęcona, wie co ma robić. Oto jak weszła do pałacu Cezara: »Stanęła pośrodku »sali i żadnego znaku bojaźni, hołdu, uszanowania »nam nie złożyła. Zrazu miała schyloną głowę, ale »wnet podniosła kibić i czoło, spojrzała ognistemi »oczyma, gdyby Pani nas wszystkich. Cezar zawołał »ją bliżej, ani postąpić, ani odpowiedzieć raczyła. Euty»chian głosi, że ona dotąd nie uległa jemu«. Heliogabal miotany żądzą, zdziwiony że ktoś go śmie nie słuchać i nie drży przed nim, upokorzony wzgardą, jaką mu ta kobieta okazuje, a ulegający jej wyższości, żyje w nieustannych paroksyzmach wściekłości, rozkazywania i strachu; a Elsinoe, nauczona od dzieciństwa ścigać nieprzyjaciela »zdradą niewiasty«, korzysta ze wszystkiego, żeby tę słabą duszę rozstroić żądzą niezaspokojoną, dręczyć pogardą, nużyć strachem, aż wreszcie rozprzężoną zupełnie, opanować i bezwładną oddać bratu, jako narzędzie potrzebne do zniszczenia Rzymu. Kiedy Cezar chwali się przed nią, że jest piękny jak bożek, ona gardzi zniewieściałym, mdłym dzieciuchem; kiedy obrażony grozi jej że ją zabić każe, urąga jego słabym rękom, które miecza nie udźwignąą; kiedy się tarza u jej stóp i składa wszystkie korony i 'skarby świata, ona odwraca się znudzona; a kiedy próbuje ją olśnić swoją potęgą, on, pan świata, Cezar, August, pan Rzymu, Afryki, Indyi, ona się śmieje z tej potęgi na łasce pierwszego lepszego centuriona, któremu się spodoba poderżnąć gardło Cezarowi. A kiedy doprowadzony do wściekłości, do szaleństwa przez żądzę i strach, widzi naokoło siebie same sztylety i kubki trucizny, kiedy się trzęsie i zimnym potem oblewa, ona wtedy idzie zapytać swoich wyroczni, Boga matki swojej, czy jest dla niego

ratunek, i wraca z odpowiedzią, że Cezara »wyrwie z losu syn kapłanki i Amfilocha Greka«. Heliogabal, podejrzliwy z natury, z urzędu, i ze strachu, Heliogabal wierzy odrazu. Mogłoby to zdawać się dziwnem, ale jest trafnem. Naprzód on jest tak zmęczony ciągłym strachem, że potrzebuje komuś zaufać, żeby odetchnąć, wypocząć; i ta potrzeba przemaga jego podejrzliwość. Powtóre, ta natura, w której pozostał tylko jeden »błędny ognik zmysłowości«, ulega mimowoli kobiecie, która ten ognik podżega: nikt inny nie skłoniłby go do położenia ufności w Irydionie, Elsinoe może, bo ona panuje nad jego zmysłami; w jej ręku jest ten błędny ognik, a Cezar pójdzie za nim tam gdzie ona zechce.

Wreszcie staje Irydion u celu: przez najsroższe z poświęceń, przez hańbę siostry, doszedł do niego, ale doszedł. Jest w pałacu Cezarów wezwany przez Heliogabala, który w jego ręce chce złożyć bezpieczeństwo swojej osoby; Grek za to odpowiadać nie może, dopóki losy państwa nie będą w jego ręku. Zaczyna się ta rozmowa, w której jeden czynnik zniszczenia Rzymu wciąga drugi do spisku przeciw niemu... Czyż w odwiecznej walce między »człowiekiem a miastem, człowiek nigdy wygrać nie zdoła?« Czy zawsze Imperator ma być na łasce legii, pretoryanów, kwirytów i ludu, drżyć przed nimi i czuć ich nóż na gardle? nie; tak długo tylko, dopóki jest Rzym i Imperator w Rzymie; niech go zniszczy, niech się przeniesie ze stolicy do Azyi, a lękać się już nie będzie ni miasta, ni senatu, ni ludu, będzie panował światu spokojnie i swobodnie. Heliogabal zrazu nie może pojąć ani uwierzyć: »gieniusz miasta zwyciężył wszystkich, jaż»bym miał targnąć się na niego?« Któryż żołnierz usłucha, kto się odważy podnieść rękę na miasto? Ale kiedy Irydion wskazuje środki, kiedy przypomina, że Katylinie ani Neronowi »nie brakło na pożarni-

kach«, kiedy tłómaczy, że na senatorów, patrycyuszów i żołnierzy znajdą się gladyatorowie, niewolnicy, barbarzyńcy, wszyscy, którym »Rzym wszystkie dni ży»cia pokrył śmiertelnemi ciemności«, i kiedy zwłaszcza ukazał w oddali pochlebną obietnicę swobodnego i nieograniczonego panowania gdzieś w Azyi, pośród czarnych niewolników i chaldejskich kapłanów, budzi się w tej duszy zwiędłej i osłabłej życzenie, pragnienie, nadzieja czegoś, i Heliogabal dostał się w moc Irydiona. On sam teraz pomoże do dzieła zemsty, sam każe Rzym podpalić. Tylko niech Elsinoe nie traci odwagi, niech nie uważa, że »między Poppaeą a Messaliną postawiono »jej ołtarze, niech zapomni o swoich tajemnicach dzie»wiczego łona, o tym Alexyanie, któremu przepowiedziano, że zrówna Aureliuszowi — tylko niech »po»gardzonemu szałów przysparza, doniszcza rozum i ży»cie jego«, a zwycięstwo pewne. »Wygrywam, starcze, »wygrywam — mówi Irydion do Massynissy — docze»kałem się upadku przeklętych i dumnych«. Zemsta już w jego ręku, spełni ją przez Cezara. A fatum samo za nim, ono go broni; i jeżeli jaki podły faworyt Cezara, Eutychian lub Rupilius, bojąc się żeby faworów nie stracił, naśle na niego skrytobójcę, on z tego gladiatora zrobi swojego żołnierza, przyszłego podpalacza Rzymu. Co za rozkosz! ostatni ze Scypionów dziś gladyatorem, ostatni ze Scypionów pomoże do zagłady Rzymu! Scena z gladyatorem Sporusem jest jedna z piękniejszych w poemacie.

A naprzeciw tego Rzymu oficyalnego, tego dworu Cezarów, naprzeciw tych roczników Tacyta i satyr Juwenala w dramacie, i naprzeciw tych nagromadzonych żywiołów zniszczenia, resztki dawnego Rzymu, dawnej cnoty mężów i dawnej godności niewiast, wspomnienia Rzeczypospolitej, wspomnienia tych czasów, kiedy Rzym nie był podłością: ale to wszystko

gdzieś na uboczu, zagnane w kąt domowego zacisza, bezsilne, marzące o wpływie na losy świata, ale go nie wywierające. Bez tego obraz Rzymu zupełnymby nie był. Wymagała tego i sprawiedliwość sama i prawda, i wreszcie wzgląd artystyczny; bo w tem przeciwstawieniu bardziej jeszcze rażąco wydaje się ohydna teraźniejszość; a prócz tego, wyobraźnia zmęczona widokiem podłości i sromoty, potrzebuje spocząć na czemś czystem i szlachetnem. Ten Rzym dawny, szanowny, pokazany jest w trzech postaciach: starca, młodzieńca, i matrony. Starzec, prawnik Ulpianus, jedna ze szczególnie trafnie pojętych i przedstawionych postaci poematu, historycznie może najwierniejsza, najbardziej zbliżona do klasycznego typu, to wcielenie dawnej *virtutis* rzymskiej, dawnego surowego obyczaju i twardego patryotyzmu, a zarazem dumy patrycyańskiej i tego zmysłu rządzenia, zmysłu organizacyjnego i prawodawczego, w którym polegał gieniusz Rzymu. Smutny jest ten Rzymianin; boleje nad spodleniem miasta, pamięta dawną chwałę i dawną cnotę, a ideałem jego byłaby Respublica Fabiuszów i Scypionów. Ale o tej i marzyć już zapóźno. »Za dni Kassyusza już było zapóźno«, mówi ten spadkobierca Kassyusza, ten Tacyt żyjący pod Heliogabalem. On wie, że Rzym jest tak zepsuty, iż mu nie wolność wrócić trzeba, ale cnotę i cześć; żeby zaś wyrwać go z przepaści spodlenia, trzeba władzy skupionej w jednem ręku, nieograniczonej. Tylko ta ręka powinna być rzymską i czystą, prawą, a silną przytem, żelazną. Stary Republikanin musi zgodzić się na Cezara, jak się Tacyt godził na Trajana, bo z czegoż dziś złożyć dawny *Senatus Populusque*. Ale niechże ten Cezar będzie cnotliwym i twardym, jak dawni ludzie Republiki: niech oni będą jego wzorem, niech wie, że »tylko tem, czem »wzrosło, odbuduje się miasto, nieugiętem męztwem »i tajemniczemi obrzędami naddziadów«. Ten Ulpianus

ma całą surowość, całą oschłość potrójną, prawdziwego Rzymianina, prawnika, i stoika; i podobnej żąda od tego, którego wychowuje na Cezara, po którym spodziewa się, że powróci Rzymowi cześć i cnotę, młodego Alexandra Sewera. Kiedy mu mówią o Nazarejczykach, o ukrzyżowanym Bogu, czczonym w katakombach, on czuje tylko odrazę i wzgardę, Jowisz kapitoliński, niepokalana Vesta, i Fortuna Virilis, to bogi, które Rzym zbawić mogą jedynie. Nie domyśla się stary Stoik, że te bogi pomarły, że wskrzesić się nie dadzą; że nawet kiedy po zwycięstwie Alexandra wrócą do czci, to na krótko tylko i na pozór. Nie domyśla się, że Rzym jest już tak spróchniały, tak od dawnego różny, że wszystko, co dawne będzie w nim sztucznem, obcem i nietrwałem.

Kobieta, taka reprezentantka dawnych matron, jak Ulpianus dawnych mężów, jest chrześcijanką, Augusta Mammaea, matka Alexandra Severa, jest sercem i wiarą w katakombach, a syna oswaja z nauką, którą sama przyjęła. Znowu przeciwieństwo, i znowu głębokie i prawdziwe. Mężczyzna, Ulpianus, może upierać się przy dawnych bogach, obstawać przy dawnej tradycyi rządu i obyczaju; on od siebie żąda przedewszystkiem cnoty publicznej, a tej przy swoich wyobrażeniach dochować może. Ale kobieta, kobieta zacna i godna, która przez całe życie została niepokalaną i godną, a której cnota zamyka się w domu, w czci własnej, męża i dzieci, o cóż ona w dzisiejszym Rzymie tę cześć i tę godność oprze? Dawne matrony, Kornelia, matka Gracchów, nawet jeszcze Oktawia, miały swoją Junonę, swoich bogów domowych, miały poszanowanie siebie, bo szanowały swoich mężów, i Rzym w którym żyły. Ale dziś? wiary w dawnych bogów rozkazem przywołać i wskrzesić nie można; przykładem, obyczajem powszechnym nie można się zbudować; owszem, obyczaj ten prześladuje zawzięcie

godność, cześć, uczciwość kobiecą tak, że ona prawie się ukrywać musi. Gdzież się więc ona podzieje, gdzie jej podpora, jej stwierdzenie i jej uznanie? ani w świątyniach, ani w domu. Kobieta zacna i szanowna musiała z całego ówczesnego społeczeństwa rzymskiego najłatwiej i naturalnie lgnąć do chrześcijaństwa; i Krasiński miał słuszność, że tę dziedziczkę dawnych matron robi już chrześcijanką.

Młodzieniec wreszcie, Aleksander, ten, na którym spoczęły nadzieje Ulpiana, matki, i świata, ten człowiek uczciwy, który ma być Cezarem i Rzym odmłodzić, jest z trojga najbardziej mdły. Szlachetny, przejęty najlepszemi uczuciami, kształcony w najlepszych zasadach, jest bezsilny, jest mierny. Robi go takim Krasiński właśnie dlatego, żeby pokazać, iż w młodszej generacyi Rzymian, nawet w najlepszych, niema siły odżycia. Irydion go szanuje; »gdyby bogowie chcieli go uszczęśliwić darem przyjaciela, prosiłby ich o niego«; Elsinoe zna jego szlachetność, i ze smutkiem widzi, że są ludzie, którymi można nie gardzić; on jest »tajemnicą jej dziewiczego serca« — ale w tem dobrem sercu, w tych szlachetnych popędach, w tym umyśle niepoślednim, jest jakaś wrodzona mdłość i mierność, jakaś miękkość, jakaś melancholia, jakaś niezdolność do życia. Jeżeli Cezarem zostanie, on swojej czci i cnoty nie straci, ale Rzymowi wrócić ich nie potrafi.

I na takim spoczęły nadzieje tych, którzy przechowują resztki rzymskiego ducha? Może oni zwyciężą, dojdą do celu; ale samo to dojście do celu będzie zawodem, przekonają się wtedy, że ani on, ani oni Rzymu już nie wskrzeszą. I dla takiego człowieka i dzieła próbują pozyskać Irydiona! Czując, pomimo pozorów, że to natura bohaterska, że w tej »starej »krwi greckiej coś boskiego zostało«, przypuszczają naiwnie, że on powinien trzymać z nimi, najlepszymi w Rzymie. Odgadują w nim wroga dzisiejszego Ce-

zara, ale powodu jego nienawiści szukają za płytko, w hańbie siostry tylko; nie domyślają się, że ta nienawiść ogarnia Rzym cały, a w Rzymie przedewszystkiem pomimo szacunku i pociągu, ich właśnie, i właśnie dlatego, że są najlepsi: że jeżeli w kim, to w nich jednych Rzym jeszcze odżyć może. W końcu dopiero domyśla się Ulpianus, że w tym człowieku tkwi jakaś tajemnica, i że on od nich wszystkich silniejszy: »z tego wosku nie wiem, czy będzie można ulepić wam stronnika«.

Kiedy się kończy ta pierwsza część poematu, expozycya, przygotowanie do dzieła zemsty, woła Irydion z tryumfem do Massynissy: »wygrywam starcze, wygrywam!« Wszystko ma w ręku, wszystko wciągnął do swego spisku, Grecya, Azya, Barbarzyńcy, niewolnicy, gladyatorowie dawni patrycyusze, wszystko to czeka na jego skinienie, a najstraszniejszą z ofiar pozyskał najważniejszego ze sprzymierzeńców, Cezara. Ale choć wszystko na Rzym się spiknęło, Massynissa wie, czego się Irydion nie domyśla, że jest jeden żywioł, który pod inną formą wprawdzie, ale może Rzym odrodzić i panowanie jego nad światem przeciągnąć w późne wieki, chrześcijaństwo. W katakomby rzucić pochodnię nienawiści i kość niezgody, odwrócić chrześcijan od Chrystusa, a obudzić w nich ziemskie uczucia i pragnienia, przez nie rozdwoić, zwaśnić i zepsuć, to cel Massynissy, dla którego cel Irydiona, zbuntowanie ich przeciw Rzymowi, jest tylko środkiem. Jednemu chodzi o sprzymierzeńców do walki, drugiemu o zepsucie dobrych: jednemu o zemstę nad Rzymem, drugiemu o zemstę nad Bogiem. Kiedy nieubłagany starzec każe wychowańcowi swojemu schylić głowę pod wodą chrztu, krzyż zawiesić na piersi, i przyjąć chrześcijańskie imię Hieronima, posyła on go tam nie na to, żeby wyprowadzić z katakomb pewną liczbę żołnierzy przeciw Rzymowi, ale żeby rozprzągł i roz-

łożył ducha jedności, jaki jest w tem społeczeństwie, żeby je zatruł i zepsuł. Głęboki i straszny jest ten pomysł szatana, który wzywa dobrego, żeby zepsuć to, co dobre: a tych, przeciw którym sam jest słaby, na których pokusa złego działaćby nie mogła, tych kusi pokusą dobrego, miłością spraw najlepszych i najświętszych. Gdyby Symeonowi z Koryntu obiecywać rozkosz, szczęście, dyadem Cezara i wszystko złoto świata, onby na to ani spojrzał; ale obiecać mu tryumf jego wiary, panowanie jego Boga, zniszczenie bałwanów, on wtedy zachwieje się, ulegnie, bo uwierzy, że robi dobrze. Pozyskać chrześcijan dla swojej sprawy, tego chce Irydion; podkopać Kościół, skrzywić ideę chrześcijańską, skazić samo pojęcie religii i jej służby, tego chce Massynissa.

III.

Irydion w katakombach. Symeon z Koryntu. Miłość *Irydiona*. Znaczenie Kornelii. Monolog Massynissy. Spisek pretoryanów. Ostatnia scena Elsinoy. Zwrot w położeniu *Irydiona*. Niezgodność między głębszem znaczeniem wypadków a ich przebiegiem w poemacie. Przegrana. Rozmowa *Irydiona* z Ulpianem. Zamierzone samobójstwo *Irydiona*, zmiana w jego uczuciach. Obietnica Massynissy.

W części drugiej przenosi się poeta do katakomb; Irydion ma tam próbować szczęścia. Jakim sposobem? Cnotą, układną pokorą, przysługami różnego rodzaju naprzód. To łatwo; niewolnicy jego przynoszą ukradkiem z areny ciała męczenników, a w jego słowach jest powolność i łagodność baranka. Kiedy do biskupa Victora mówi »ojcze«, zdawałoby się, że naprawdę uważa jego za swego ojca, a nie Massynissę. Potem mniema się Irydion już dość silnym w mniemaniu i ufności swoich nowych braci, dzieło uważa za dość przygotowane, iżby można mówić o niem otwarcie. Skromnie, prawie nieśmiało zapytuje biskupa, czy te-

raz, kiedy gotują się przemiany w Rzymie, kiedy pretoryanie zaczynają się burzyć przeciwko Imperatorowi, czyby nie czas było pomyśleć i o ziemskiem panowaniu Pana, który jest na niebie? czy nie czas »krzyż »wyrwać z wnętrzności ziemi i zatknąć na Forum Ro»manum?« Bez skutku: biskup nie w »żelazie i ogniu »położył nadzieję zwycięstwa«, tak, jak Bóg jego nie chciał chmur aniołów, żeby go broniły od męki i śmierci. Z tymi starymi, »którzy odbyli męczeństwo »i niebo, jak mówią, otwarte nad sobą widzieli, pró»żno chcieć rozniecić iskrę zapału«, mówi Irydion. »Ale młodzi, świeżo namaszczeni żołnierze, barba»rzyńcy, pielgrzymy, co odwiedzili puszcze Egiptu, »coś dzielniejszego czują. Zrazu błogosławią złemu »co ich gniecie, ale kiedy krew zagra im w żyłach, »chcącym, niechcącym wyrywam przekleństwo«. W tę stronę uderza Irydion; a myśl, żeby uchwycić chrześcijaństwo w tych chwilach, kiedy pośród jego pierwotnej czystości zjawiają się pierwsze zarody i pierwsze plamy złego, kiedy Kościół ze swojej pierwszej drogi zaczyna zbaczać na manowce ziemskie, kiedy podnoszą się w nim świeckie myśli i dążenia, myśl, żeby to, z czego po upadku Rzymu płynąć ma życie niezliczonych wieków i narodów, przedstawić nie w idealnej pierwotnej świętości, ale już zeszpecone ludzką ręką i przyćmione ludzkiem tchnieniem, zanim jeszcze wyszło na jaw i działać zaczęło, to arcydzieło szatana historycznego, a zarazem jeden z najśmielszych i najgłębszych obrazów Krasińskiego. Wykonany on jest w postaci Symeona z Koryntu, pokutnika i anachorety, miłującego swego Boga i swoją wiarę z żarliwością namiętną; cała jego dusza żyje i płonie w tem jednem uczuciu. Niegdyś kochał kobietę; nie jak poganin, owszem, ona była chrześcijanką i biskup miał połączyć ich ręce, ale odkryta, zawleczona do cyrku, zginęła pod kłami tygrysa. Odtąd przez umartwienia

ciała, przez posty, modlitwy, rozpamiętywania doprowadzona do coraz wyższej exaltacyi dusza jego zatapiała się i gorzała w Bogu tylko, i dochodzi do jakiegoś zapału, który nie jest już miłością, ale namiętnością, żądzą zwycięstwa i tryumfu, — nie dla siebie samego, dla swego Boga. Widzieć go panem całego świata, jedynym, wszechwładnym, uznanym i czczonym przez wszystkie ludy ziemi! to jego dążenie, jego pragnienie, jego namiętność. A jak on to sobie szeroko nakreślił ten fanatyk! jego monolog obejmuje, jak żeby program całej historyi wieków średnich; i Klaczko słusznie mówi, że Grzegorz VII jest spadkobiercą tego Symeona. »W dniu jednym świat posiąść, świat dusz »wszystkich i panować im w imieniu Twojem, o Boże!« Spełni się kiedyś ten ideał Symeona; a z jego spełnienia wynikną wszystkie nieszczęścia i wszystkie błędy Kościoła, wszystkie prześladowania, wszystkie odszczepieństwa, wszystkie wojny, przewaga pierwiastku świeckiego nad duchowym w Kościele, która się już nieraz w jego historyi powtórzyła. Wiedział Massynissa, co robił, kiedy kazał Irydionowi kusić Symeona i podobnych samą miłością Boga, samą gorliwością w wierze.

Ci dadzą się pociągnąć; ale to nie wszystko jeszcze. Żeby się upewnić pomocy katakomb, potrzeba opanować świętą i natchnioną duszę niewieścią, a w tę uwierzą, za tą pójdą wszyscy. Massynissa każe Irydionowi z »dziewic, które tam więdną w modlitwach »i postach, wybrać jedną i rzucić im po nad dusze. »Uczyń ją zwierciadłem myśli twoich, niech je odbija »i ciska naokół bez pojęcia, bez czucia, ale siłą co gó»ruje w piersiach męża, porwana i zniszczona«. Jak to zrobić? Massynissa ma radę na wszystko, a jego rada jest straszna, szatańska prawdziwie. Wsunąć się, wkraść się w jej miłość ukrzyżowanego Boga, i zwolna oderwać ją od niego i przenieść na siebie; przemycić

ziemską miłość pod pozorem tej miłości seraficznej; działać na zmysły poprostu, i doprowadzić ją do takiego szału, żeby sama nie wiedziała kogo i jak kocha, człowieka czy Boga, po anielsku, czy po ziemsku. Klaczko w *Bezimiennym Poecie* zwraca słusznie uwagę na to, że Krasiński bystrze i delikatnie dostrzegł niebezpieczeństwa, jakie naturom nerwowym i gwałtownym grozić może w mistycznych zachwytach; ale i to i wszystko blednie przy strasznym cynizmie, z jakim Massynissa daje to polecenie Irydionowi. Cynizm to nie w słowach bynajmniej; owszem, słowa są poważne, nawet surowe. Ale w myśli jest takie pojęcie człowieka jako zwierzęcia, taka jego pogarda, takie urąganie w tem przypuszczeniu, że ludzka istota pomieszać może Boga z człowiekiem; i taki ton rozkoszy i tryumfu z tego przypuszczenia, że sama ironia Mefistofelesa nie jest od tego zuchwalszą ani straszniejszą. (Część pierwsza, scena ostatnia). Sam Irydion blednie i drży. On, który wszystkiego dotrzymał, wszystko spełnił, który nad siostrą nie miał litości, on przeciwko niej jest słaby. »Dumnych mordować, nę»dznych tysiące zepchnąć do Erebu, skazaną dobić, »to w losach moich wyrytem było; ale szczęśliwą »znieważyć, ale ufającą oderwać od nadziei, ale promienną zniszczyć...« nie chce, opiera się.

Słabość ta, jedna z rzeczy najpiękniejszych w postaci Irydiona, bo dowodzi, że »coś niepotrzebnego »bogi zostawiły w jego piersiach, i że on kiedyś miał »być człowiekiem«, słabość ta ma dwa powody. Pierwszym jest miłość. Irydion, który dzikiej cnoty ślubowanej Furyom wiernie dochował, który się zahartował wcześnie przeciw wszelkiej rozkoszy i wszelkiemu urokowi i wszelkiemu szczęściu, uległ, sam nie wie jak, wyższemu, świętemu urokowi Kornelii. Miłość ta jest naprzód nieunikniona. Taki jak on, taką tylko może kochać, na taką zważać, któraby była w rodzie

niewieścim najwyższą, ideałem cnoty, godności, wielkości serca; a taką jest ta, której kształtów sam Fidiasz nie potrafiłby pochwycić, a która jemu lubi rozpowiadać niebiosa. Powtóre jest ta miłość przedstawiona w poemacie z rzadkim i wykwintnym zmysłem artystycznym. Syn Zemsty, w chwili kiedy zemstę spełnia, nie może być zakochany, jak pierwszy lepszy śmiertelny, nie może ani pragnąć, ani cierpieć jak inni. On »kiedyś miał być człowiekiem«, ale wie, że nim być nie powinien i nie może. To też o tej miłości on nie mówi wcale, nie myśli nawet; tylko ją niekiedy mimowolnie czuje. Tylko ona czasem miękczy jego uczucia, odhartowuje jego wolę, objawia się jako cześć dla czystej i szlachetnej, jako rozczulenie i litość nad nieszczęśliwą, wreszcie jako wyrzut sumienia, kiedy nie chce »promiennej i szczęśliwej znieważyć« i ostrzega ją w katakombach, żeby się przed nim chroniła. Drugim powodem, dla którego Irydion się waha, jest ten, że on, choć chrześcijanin z pozoru tylko, choć »starego człowieka« ani zrzucił z siebie, ani chciał, ani myślał zrzucać, przecież mimowolnie i bezwiednie także ulega i wpływowi chrześcijaństwa. On tego nie chce, odpycha to, przeklina Nazarejczyków, którzy umieją tylko cierpieć, przebaczać, miłować; ale on czuje, że to jest coś wyższego i lepszego. Nie chce wierzyć, bo gdyby uwierzył, musiałby słuchać; ale nie można powiedzieć, żeby on zupełnie nie wierzył. I to także jest bardzo piękne i bardzo trafne. Naprzód Irydion, który w epilogu obudzi się z jakiemś politowaniem nad krzyżem, nie mógł w poemacie występować jako jego wróg zawzięty i zakamieniały; powtóre, dla czegóż ma być nieprzyjacielem krzyża, dlaczego ma go nienawidzieć? Pomiędzy nimi niezgoda czasowa być może, ale nie wrodzona i konieczna nienawiść i walka. To, co w sobie jest szlachetne i dobre, nie potrzebuje ani chrześcijaństwu przeczyć, ani od niego zaprzeczenia doznać;

miłość ojczyzny i chrześcijaństwo, wiara, miłość Boga i bliźniego, nie wykluczają się wzajem, owszem zgodzić się mogą i powinny. Dlatego to Irydion, choć chrześcijanin fałszywy, nie jest wrogiem chrześcijaństwa, i więcej, niż sam wie i chce, ulega jego wpływowi. On z nim jest w niezgodzie, jak długo po pogańsku nienawidzi i mści się: ale on się z nim pogodzić może, a to pogodzenie właśnie jest myślą, celem i rozwiązaniem poematu w Epilogu.

Dla tego to Irydion instynktem szanuje Kornelię i jej wiarę, dla tego nie śmie i nie chce się na nią targnąć. Ale on jest zbyt w mocy Massynissy, żeby mógł oprzeć się jego woli — pomimo wstrętu i oporu, słucha. Potrzeba jej natchnienia, żeby Nazarejczyków pociągnąć do walki przeciw Rzymowi, dobrze! jej natchnienie stanie się posłusznem jemu, jak niegdyś jego ojca słuchało natchnienie kapłanki Odyna. Zrazu Kornelia gorszy się tylko i martwi tą walką zbrojną, którą je Hieronim zapowiada, drży o zbawienie jego, i wszystkich których on za sobą pociągnie: ale stopniowo słowa Massynissy zaczynają się sprawdzać. Coś się w niej miesza, coś się w niej rozprzęga. Ona zaczyna tracić świadomość siebie; nie wie gdzie jest, ani z kim mówi, miłość ziemska coraz bardziej przybiera pozór miłości Boga. A w tym stanie nieprzytomności i obłąkania, kiedy Irydyon rozdarł jej zasłonę, wypalił na jej ustach pocałunek, i omdlewającej powiedział, że jest tym »o którym powiedziano, że przyjdzie i pokona dumnych«, Kornelia rzeczywiście bierze go za Chrystusa, identyfikuje te dwa przedmioty dwóch różnych miłości, i przekonana, że słucha rozkazu samego Boga, zrywa się i obiega katakomby z krzykiem: do broni!

Cóż to wszystko znaczy, czego poeta chciał? czy istotnie bez tej Kornelii, natchnionej i świętej, pozyskanie Nazarejczyków było niepodobieństwem? czy

na prawdę kobieta znaczyła tak wiele w pierwotnym Kościele, że bez niej nic się tam zrobić nie dało? albo czy może chodziło poecie o dramatyczną i oryginalną sytuacyę: o to, żeby pierwiastek miłości wprowadzić do poematu? albo wreszcie o to, żeby trafnie przedstawić typ exaltowanej i mistycznej kobiety? Nie. Mówi wprawdzie Massynissa, »trzeba ci niewiasty na to, by królestwo »nie tej ziemi wcielić w namiętności tej ziemi«, mówi o chrześcijanach, że »oni ubóstwili córę dzieciństwa i wczesnej starości i przed niewolnicą uchylili czoła« — ale jakkolwiek chrześcijaństwo kobietę podniosło, jakkolwiek uznało w niej duszę, uczciło jej cnoty, a nawet uwielbiło jej ideał, to przecież tego nie było nigdy, żeby kobieta miała stanowisko górujące w Kościele, żeby wierni za jej natchnieniem szli raczej, jak za swoim pasterzem. Takiego stanowiska kobieta nigdy w Kościele nie miała, ani go nie żądała; a w pierwszych wiekach chrześcijaństwa najbardziej może przestrzegała tego stanowiska uległości i podwładności. Słowa *Mulier taceat in Ecclesia*, do dziś dnia zapamiętane i słuchane, z pewnością nie mniej były przytomne w katakombach; i za Kornelią, która tam zamiast milczeć, wołałaby do broni, nikt nie byłby się ruszył. Gdybyśmy więc chcieli tę rolę Kornelii tłómaczyć wyzwoleniem kobiety przez chrześcijaństwo, uważać ją za skutek tego wyzwolenia, i za jakieś historyczne prawdopodobieństwo, musielibyśmy zarzucić Krasińskiemu nieznajomość rzeczy i fałsz. Gdybyśmy ją tłómaczyli przez upodobanie w dramatycznej kollizyi, w oryginalnym stosunku miłosnym, musielibyśmy posądzić go o małość artystyczną i moralną: bo pod względem sztuki, jak pod względem treści i myśli, romans byłby najokropniejszą dysharmonią i dyssonancyą w takim poemacie, jak *Irydion*. Wzgląd psychologiczny, chęć stworzenia typu kobiety

exaltowanej i mistycznej, mógł być i zapewne był; ale wiedząc, że u Krasińskiego ten wzgląd właśnie jest zawsze podrzędnym, trzeba wnosić, że on nie był ani jedynym, ani głównym, że sam nie wystarczał mu do stworzenia tej postaci Kornelii i jej stosunku do Irydyona. A więc cóż? Co znaczy ta postać i ten stosunek?

Przypomnijmy sobie, że w katakombach Irydyon jest tylko narzędziem, a naprawdę działa Massynissa: że jemu chodzi o to, żeby zgromadzenie wiernych, i ich religijne uczucie zarazić wpływem różnych uczuć ziemskich, żeby rzucić pomiędzy nich różne pryzmata, przez które widzieliby krzywo swoją wiarę, swoją religię, i swoje względem niej obowiązki. Tak Symeon z Koryntu marzy o potędze, o panowaniu, z miłości wiary i przez nią dochodzi do żądzy władzy. Kornelia, która Irydyona bierze za Chrystusa, na jego rozkaz woła do broni, mniema widzieć spełnienie jego obietnic przyjścia i Królestwa Bożego, która miesza miłość człowieka z miłością Boga, i celom człowieka służy, czy nie byłaby wyobrażeniem rzeczy wprost przeciwnej temu, co wyobraża Symeon, a jednak podobnej i zbliżonej? Tam, to kościół marzący o ziemskiej władzy i panowaniu nad światem, który chce podbić sprawy świeckie. Tutaj, czy nie byłaby to znowu religia opanowana, uwiedziona i nadużyta przez myśl ziemską i ziemski cel? Ta kobieta, natchniona, święta, zatopiona całą duszą w Bogu, mogłaby ujść za typ i wcielenie samegoż uczucia religijnego. Szatan historyczny zadaje sobie pytanie, czy tego uczucia nie potrafiłby złudzić, oszukać i skrzywić. Podsuwa więc duszy inne uczucie, wielkie, piękne, szlachetne, ale odmiennej natury, ziemskie; i ta dusza tak jedno z drugiem łączy, tak jedno i drugie wysoko czci i gorąco kocha, że wkońcu nie wie, gdzie się jedno kończy, a drugie zaczyna: że bierze Irydyona za Chrystusa,

cel ziemski za wieczny, głos jego za rozkaz samego Boga. Przykłady takiego połączenia zapału religijnego z exaltacyą ziemską bywały na świecie; i dowiodły zawsze, że w takich razach ten ziemski cel i ta ziemska miłość, przekradzione pod pozorami miłości Bożej, brały w złudzonej duszy górę nad uczuciem religijnem, Irydyon zajmował miejsce Chrystusa; religia była wyzyskaną przez cel ziemski, jemu służyła. W tym wypadku, Kornelia, która bierze Irydyona (miłość ojczyzny) za Chrystusa, czy nie mogłaby być wyobrażeniem religii mieszającej ojczyznę z Bogiem, tak, że już pomiędzy jednym a drugą rozeznać nie mogła? Henryk w *Nieboskiej Komedyi* nie mógł być zrozumianym w swojej właściwej tragiczności, jako obrońca porządku rzeczy, którego nie szanuje i nie chce, ale broni z obawy czegoś gorszego, aż wtedy, kiedy nasz świat współczesny sam na sobie zrobił to doświadczenie, sam się znalazł w podobnem położeniu. Być może, że taksamo potrzeba nam było dotykalnego doświadczenia, żeby zrozumieć i tę postać Kornelii, jako wyobrażenie religii opanowanej i nadużytej przez cel ziemski, przez politykę. Ale były takie chwile w historyi współczesnej, żeśmy wszyscy widzieli takie wyzyskiwania wierzącej Kornelii przez niewiernych Irydyonów: — a na oboje patrzał, obojgu urągał: Massynissa.

A kiedy ona w obłąkaniu swojem woła do broni, kiedy Symeon z krzyżem w ręku, dziki i nieubłagany jak wcielony fanatyzm, rwie się do boju, kiedy stają za nim wszyscy młodzi i niecierpliwi, i kiedy powstaje rozdarcie i bunt w katakombach, pierwsze nieszczęście i pierwsze zgorszenie w łonie chrześcijaństwa, jedynej nadziei rozprzężonego świata, jedynej drogi życia dla przyszłych wieków i narodów, wtedy pośród ognistych słupów ukazuje się ten który wygrał, tryumfator Massynissa, w całym majestacie *Regis Inferni*, i chrześcijańskiemu Bogu, swojemu »nieśmiertelnemu

wrogowi«, rzuca to wyzwanie straszne pewnością siebie, z jaką on mówi, straszne zemstą nieubłaganą, ale na teraz zaspokojoną, nasyconą, tryumfującą, straszne szatańską przedwiedzą zdarzeń, którą historya wieków sprawdziła co do słowa. Ta scena, to jest punkt kulminacyjny Massynissy, ten, w którym jego potęga i jego nienawiść wznosi się tak wysoko, że słów jego mógłby pozazdrościć sam Szatan Miltona, największa i najpotężniejsza postać złego, jaką umysł ludzki kiedykolwiek począł i wykonał.

A teraz przychodzi chwila przesilenia w dramacie. Irydyon, gotów do walki, ma wszystko czego potrzebuje; nawet Nazareńczyków. Ale nie on daje hasło do walki. Spisek na zbawienie Rzymu ubiegł spisek uknuty na jego zgubę. Ulpianus ubiegł Irydiona, Pretoryanie zamiejscy, gniewni na Heliogabala o żołd niewypłacony, o niedotrzymane obietnice, a prowadzeni przez takich, których rzymskie serce oburza się na podłość, a z których każdy ma prócz tego jakiś osobny własny rachunek z Cezarem, ten za ojca, ten za siostrę, inny za zagrabiony majątek: pretoryanie, zdawna obrobieni przez Ulpiana, burzą się i podnoszą bunt. Jeżeli imperator sam z tronu nie zejdzie, i nie odda dyademu Aleksandrowi, uderzą na miasto. Tego właśnie potrzeba Irydionowi, to dopiero pomaga jego planom. Niech uderzają! on będzie odpierał, będzie bronił Heliogabala, bo Alexandra nie chce dopuścić: ale w zamieszaniu walki rozpuści swoich pożarników po mieście i zniszczy je tak, że nie zostanie nic, ani Heliogabal, ani Alexander i jego legie, ani Rzym. Z jaką rozkoszą i z jakiem szyderstwem on odpowiada pretoryanom Alexandra: »śmieję się, bo słyszę Rzy»mian, mówiących o jarzmie ze wstrętem, z oburze»niem o hańbie... ale ten śmiech nie wiecie, co »wróży«. Nie wstrzyma go Alexander swojemi uniesieniami ku piękności i cnocie, nie wstrzyma go na-

wet swoją »myślą czystą« o poświęconej Elsinoe. — Poświęcił ją, prawda, ale przynajmniej wie na co, przynajmniej poświęcenie się przydało. On swoją zemstę już trzyma w ręku, i nic mu jej wydrzeć nie zdoła.

W Rzymie tymczasem zbiera się senat i radzi o śmierci Cezara, Heliogabal, w konwulsyach szaleństwa i strachu, tarza się po fiołkach, wpada w wściekłość, to chce zabijać, to drży żeby sam nie był zabitym: boi się Irydiona, boi się Elsinoy, boi się kiedy przy nim są, boi się kiedy go odstąpią, a tak szalejącemu, mdlejącemu, wydziera Irydyon naprzód dowództwo nad pretoryanami pałacu, potem pierścień Cezarów, znak najwyższej władzy, na którym wyryty jest tajemniczy gieniusz Romy. Mieszanina dzieciństwa, zgrzybiałości, lubieżności, dzikości, zniewieściałego zakochania we własnej piękności, i jakiegoś nerońskiego zmysłu dla piękności i sztuki, wszystko, co składa tę postać potworną, a gienialnie pojętą i skreśloną, wszystko to odzywa się w tej scenie ostatniej Heliogabala. Schodzi także ze sceny i Elsinoe. Ona spełniła swoje; wszystko czego żądał brat i Massynissa, co przykazywał umierający ojciec, wszystko zrobiła w zupełności: zdradą niewiasty, oddała Cezara w moc Irydyona, teraz może wypocząć po swojej ciężkiej pracy, po życiu poświęcenia, przymusu, i obrzydzenia. Ona czuje, że koniec bliski, że siły życia wyczerpane, że nawet gdyby ocalała w zniszczeniu, to dłużej żyć nie zdoła. »Mów bracie, czy mam jeszcze »co wykonać, bo dzisiaj w nocy, bo jutro nad ran»kiem przyjdzie może pretoryanin, może wcisną się »płomienie, lub pierś sama nie zechce cierpieć dłużej »i wzgardzi powietrzem:« Ale z jaką godnością, z jakiem wzniosłem uczuciem przebaczenia, schodzi z tego świata. Zrazu prosi brata, żeby oszczędzał Alexandra, bo »on jeden domyślał się«, jaka była jej dusza i jej

męka — ale kiedy nie można, kiedy Alexander jeden tylko »wydziera Romę z objęć nienawiści« Irydyona; kiedy dzieło ojca i brata wymaga i tej ofiary, ona nalegać nie będzie — jedno tylko przypomina, że »krwi niczyjej nie żądała nigdy«, o jedno prosi: »żyjcie »wszyscy, nawet przemierzły, nawet Heliogabal. Pod »koniec ofiary, rąk białych i śnieżnej szaty nie skazi »dziewica« — a dla siebie nie żąda niczego, ta, która straciła wszystko, tylko: »jeżeli kiedy przepływać bę- »dziesz po egejskich wodach, garstkę popiołów moich »rzuć na brzegi Chiary«.

Można mówić, co się podoba; można mówić, że taka Elsinoe jest anomalią i historyczną nieprawdą w obrazie starożytnego świata, że ten świat takich kobiet nie znał, można mówić, że jest zbyt eteryczna i wzniosła, wszystko to może być słuszne. Ale że jest jedną z najidealniejszych postaci w poezyi, że jest rozrzewniająca jak Antigona, tylko Antigona, którąby zarazem miała coś chrześcijańskiej świętej, że spełnia poświęcenie, jakiego żaden mężczyzna, żaden bohater spełnić nigdy nie może, poświęcenie za wielkie i pogańskie, a spełnia nie z zapałem, nie z energią exaltacyi, ale z rezygnacyą cichą i łagodną, z odwagą tem większą, im mniej jej ma w swojej naturze, że wkońcu wyższa jest nad zemstę i nienawiść, jak w życiu była wyższą nad swoją nieznośną hańbę, tego nikt zaprzeczyć nie może. A i to jeszcze uważać warto, że jakkolwiek nie jest to zapewne dusza starożytnej kobiety, to przecież poeta z wielką sztuką stara się nadać jej pozory, posągowe linie takiej kobiety: że unika szczęśliwie wszelkiego roztkliwienia, wszelkiego rozmarzenia, wszelkiego wyostrzenia uczuć, któreby ją czyniło podobną do kobiet chrześcijańskiego świata i chrześcijańskiej poezyi. Zapewne, jest to duch bez ciała, jest smutny ideał nieszczęścia, wyrzeczenia się, poświęcenia; ale ten czysty duch, ze sfery chrze-

ścijańskich ideałów, udrapowany jest dobrze w klassyczną tunikę. A jeżeli jest zbyt eteryczna, zbyt przeźroczysta i idealna, co być może, to trudno ważyć i mierzyć to »zbyt«, kiedy jej przyznać trzeba, że jest naprawdę i nawskroś idealna i wzniosła.

Walka zaczęta, Aleksander u bram miasta, senat przewraca posągi Heliogabala. Przepyszny jest w swojej pogardzie ten obraz spodlonego senatu, jaki daje Scypion w swojem opowiadaniu, »siedzieli ojcowie, jak za dobrych czasów, Volero przemawiał, udając Katona« i t. d.... W domu Irydyona ułożony czeka stos z drzewa cyprysowego, z kory aloesu, polany myrrhą, to drogi i kosztowny stos, na którym spłonąć ma Rzym, on da hasło pożaru. Niewolnicy, gladyatorowie, barbarzyńcy rozchodzą się w milczeniu, giną w krętych uliczkach; wszyscy mają czekać tego znaku i podpalić Rzym ze wszystkich stron jego.

Irydyon czeka na Symeona z Koryntu; bez chrześcijan nie może zacząć działać, nie może zwyciężyć.

Tu jest pewien rozstęp, pewna niezgoda pomiędzy wewnętrzną treścią poematu i jego znaczeniem, a tem, co jest jego zewnętrznym kształtem. W przeznaczeniach Rzymu i świata było, żeby Rzym nie zginął, ale przez chrześcijaństwo uratowanym był od zniszczenia, i przez nie dalej żył i dalej znaczył. Jest więc naturalnem i słusznem, że zniszczenie dopełnić się nie może, jeżeli chrześcijanie do niego ręki nie przyłożą, jeżeli i oni nie sprzysięgną się przeciw miastu. W głębszem pojęciu rzeczy, jest słuszność i prawda; pomysł Krasińskiego, podług którego Rzym przez chrześcijan i chrześcijaństwo tylko nie zniszczał zupełnie i przeżył upadek rzymskiego państwa, jest wytłómaczony, jasny i trafny. Ale w allegorycznem przedstawieniu rzeczy, w wypadkach przedstawionych w poemacie, w tym fikcyjnym spisku Irydyona, zależność rezultatu od pomocy lub bezczynności chrze-

ścijan, ta nie jest zawsze tak widoczną, ani tak konieczną. Żeby Rzym na zawsze zgładzić, do tego chrześcijaństwo mogło dopomódz lub przeszkodzić; ale jeżeli wyobrażeniem i symbolem tej zagłady jest walka z legiami Alexandra i pożar miasta, to to bez nich udać się mogło. Kto stał na czele żołnierzy Heliogabala, własnych wyzwoleńców, Greków i barbarzyńców z całego miasta, niewolników, gladyatorów, całej tej najliczniejszej zgrai upośledzonych, a do środków zwycięstwa liczył spalenie, temu pomoc chociażby kilku tysięcy chrześcijan tak koniecznie potrzebną nie była. Mogła się przydać, ale nie mogła rozstrzygać o skutku walki; w każdym razie sił przygotowanych było tyle, ogień rozniecony mógł roznieść taki popłoch i przerażenie, że zwycięstwo bez chrześcijan mogło doskonale przeważyć się na stronę Irydyona. Tymczasem w chwili, kiedy minęła godzina naznaczona przez Symeona, kiedy przybiegł z katakomb posłaniec z oznajmieniem, że biskup wszystkich zatrzymał, Irydyon odrazu uważa sprawę za przegraną i rozpacza. Dlaczego rozpacza, to się pojmuje: Rzym nie będzie zniszczony, Rzym odżyje w chrześcijaństwie. Ale ze względu na to, co on w tej chwili robi, na spisek, na bitwę, na pożar, rozpacz ta usprawiedliwioną nie jest; obrót tych wypadków nie zależał tak bardzo i tak jedynie od chrześcijan. To też, kiedy od tej chwili dramat przechyla się ku katastrofie, kiedy Irydyon zrozpaczony i pewien przegranej, śpieszy do katakomb, a potem na bitwę bez hełmu, bo »żeby walczyć, dość miecza; żeby zginąć, nie potrzeba hełmu« — czytelnik nie wie zkąd to zwątpienie? nie pojmuje dlaczego wszystko ma być stracone, dlaczego Irydyon gasi pochodnię, zamiast podpalić stos i dać hasło pożaru. Wszak tylko jedna rachuba chybiła, a zostało ich jeszcze wiele, które mogą nie chybić. Oczywiście, Krasiński musiał zważać więcej na znaczenie aniżeli na zgodność i podo-

bieństwo fabuły: musiał więcej dbać o to, co mówi na końcu poematu Massynissa: »Czy wiesz, kto wy»rwie miasto z rąk braci swoich, kto zlatującą purpurę »Cezarów pochwyci w powietrzu, Nazarejczyk«—aniżeli o to, żeby wszystkie sprawy i dzieje fikcyjnego spisku Irydyona rozwijały się według wszelkich prawideł jasnej, matematycznie ścisłej logiki. I miał słuszność; inaczej zrobić nie mógł. Wzgląd mniej ważny poświęcił ważniejszemu. Jednak zaprzeczyć się nie da, że w historycznym procesie upadku i odrodzenia Rzymu było rzeczywiście czynnikiem głównym i rozstrzygającym to, co w fikcyjnych wypadkach dramatu być takim nie mogło; i ztąd powstaje pewien rozstęp, pewna niezgoda pomiędzy formą allegoryi a jej treścią. Głęboko i pięknie tłómaczy pan Małecki upadek Irydyona w przytoczonej już wyżej rozprawie. Mówi on, że Irydyon jest zwyciężony nie przez ludzi, nie przez wyższe pierwiastki, ale przez ten fatalizm złego, jaki jest w nim samym: przez to, że jako duch nienawiści i zemsty, on stale i naprawdę zwyciężyć nie mógł. Dlatego on ulega: a o wypadki, pod któremi uległ, mniejsza.

Dość, że w poemacie biskup Victor rozstrzygnął sprawę. Zemsta Irydyona się nie spełniła. Alexander Severus wszedł do Rzymu i został Cezarem, dla tego, że biskup zatrzymał swoich wiernych w katakombach. Tam śpieszy jeszcze Irydyon. Może głosem, wymową, może wstydem, zdoła ich jeszcze pociągnąć, może odpowie mu natchniony głos Kornelii i tamtych wezwie do broni. Napróżno; sam Symeon z Koryntu, choć zrazu mówi, że »sam Bóg, by świat zbawić, ubrał się »w ciało, a my, by świat nauczyć, nie dostaniemże »ciała — dotąd marne duchy z nas; gdzie dom, gdzie »kościół, gdzie potęga nasza?« — sam Symeon wkońcu poddaje się i nie śmie iść za Irydyonem. Przy nim stoi tylko kilku barbarzyńców. A Kornelia, która do-

tąd jeszcze zostawała w swojem obłąkaniu, która słysząc zdaleka krok Irydiona, mówi, że słyszy »odgłos z nieba zstąpienia«, Kornelia pod wpływem modlitwy i błogosławieństwa biskupa, wraca do świadomości, poznaje, że brała błędnie człowieka za Boga, że zawiniła tem przeciw Bogu, i umiera pod ciężarem tego błędu i swego żalu, a umierając, przebacza Hieronimowi.

A przez ten czas, kiedy Irydion bawił w katakombach, zamiast czuwać nad walką i dać hasło pożaru, Alexander wszedł do miasta i dotarł na Forum Romanum, Mammaea przysyła polecić go modlitwom Victora. »Czas mnie ubiegł, ludzie mnie zdradzili« woła Irydyon i wybiega ze swoimi z rozpaczą, już nie po zemstę, nie po zwycięstwo, ale po śmierć.

Przegrana zupełna, bez ratunku. Co krok spotyka któregoś ze swoich, zwyciężonego, rannego, konającego; każdy wyrzuca mu, że nie dał hasła i obietnicy nie dotrzymał, zemsta ich nie dopełniona; Roma stoi jak stała, a zewsząd huczy odgłos ludu: »Severus niech żyje!« Ostatni przychodzi, najdzielniejszy z nich wszystkich, Scypion: »Fortuna nas zdradziła, Ulpianus »i Tubero następują na nas zewsząd, cóż teraz po»czniemy«. — »Czoła przeciw nim obrócim odpowiada »Irydyon — krwi rzymskiej jeszcze trochę Scypionie — »naprzód, i śmierć Alexandrowi!«

W tem zakończeniu części trzeciej przychodzi opowiadanie o końcu Heliogabala i Elsinoy. Naodwrót tego, co się najczęściej zdarza przy takich opowiadaniach, to jest, że żałuje się, iż poeta opowiada co się stało, zamiast to pokazać, tutaj opowiadanie wychodzi na korzyść rzeczy. W słowach niewolnika, który śpieszy donieść Irydyonowi o śmierci siostry, są te wszystkie szczegóły, charakterystyczne i piękne, które poeta byłby musiał pominąć i zostawić naszemu domysłowi, gdyby był tę scenę śmierci przedstawił wprost. Cała

majestatyczna powaga i odwaga Elsinoy, którą niewolnik tak dobrze maluje, cały strach Heliogabala, dyszącego na różach w stroju arcykapłana, pomiędzy sztyletami i kubkiem trucizny, a wreszcie głowa jego i ręce odrąbane od tułowiu, wszystko to wprost pokazać się nie dało, albo nie tak widocznie i dobitnie, jak w tem opowiadaniu, które także liczyć się może do świetnych ustępów poematu.

Rozwiązanie się zbliża; w początku części czwartej, zwycięzki Cezar rozkazuje Ulpianowi, żeby Irydyonowi zaniósł od niego łaskę i przebaczenie. Piękna myśl, postawić naprzeciw siebie wcielony patryotyzm rzymski i ubóstwienie Rzymu, a z drugiej strony wcielone nienawiści i krzywdy całego świata, skargę i zemstę. Z jednej strony potęga żelazna, pewna siebie, nie pojmująca jak ktoś może śmieć jej nieuznawać, nie poddać się i nie uderzyć czołem, kiedy ona jest tak potężna! z drugiej wolność, zwyciężona, zdeptana, ale czująca się w swojem prawie; prawo pogwałcone, słabsze, ale nie mogące wyprzeć się siebie: z jednej strony fakt, z drugiej dobra sprawa. Naturalnie w rozwyprawie tej tryumfuje Irydyon: jest to w zakończeniu tłómaczenie i usprawiedliwienie całego jego dzieła, wszystkie gwałty, podboje, zdrady, chciwości, srogości i podłości Rzymu, akt oskarżenia, ułożony przeciw niemu przez wszystkich podbitych, oszukanych i ciemiężonych. Nigdy Irydyon nie wygląda bardziej na bohatera, na półboga, jak w tej scenie, kiedy nie po trzebując już udawać, wyrzuca z siebie jak wulkan potoki nienawiści i gromy pogardy, jak żeby brał odwet za milczenie wieków, za długą cierpliwość i obawę całych narodów. Rzymianin zrazu nie pojmuje go wcale, myśli, że ma przed sobą prostego stronnika Heliogabala, nieprzyjaciela Alexandra; nie pojmuje, że można być nieprzyjacielem Rzymu. A kiedy tamten odpowiada, że Heliogabal obchodził go tyle, co proch

zlatujący z jego sandałów, że Alexander jest tylko małą cząstką jego nienawiści, wtedy już sam nie wie, co ma myśleć, i pyta: »kto wrogiem twoim?« Wspaniała jest odpowiedź Irydyona, jak żeby głos ludzkości samej, zbuntowanej przeciw przemocy: »kto was »odpędził od bitej drogi człowieczego rodu, kto, sam »śmiertelny, w nędzy i poniżeniu śmiertelnych położył »swoje nadzieje, kto czarę niedoli świata wychylił aż »do dna? Roma!« Za to wszystko chciał się pomścić Irydyon.

Oczywiście, wszelkie współczucie autora i czytelnika jest tu po jego stronie, nie po stronie Rzymu, ale poeta wybornie umiał odgadnąć i włożyć w usta Ulpiana te argumenta, któremi Rzymianin mógł walczyć, ten rodzaj uczucia i uwielbienia, jakie on mógł mieć dla swego Rzymu. On jest przekonany, że Rzym miał prawo i powołanie podbić świat, bo miał siłę. »Jak ojciec rodziny dzieci, jak patrycyusz plebejów, »jak pan niewolników, tak my dostaliśmy prowin»cye« — to im się należy z mocy ich wrodzonej wyższości nad resztą świata. »A mądrze i świetnie opa»trzyły to nieśmiertelne wyroki. I komuż oddać miały »berło, jeżeli nie miastu wytrwałości i czynów, nie»zachwianego rozumu«. Zawsze ten sam język siły i zwycięstwa! i czytając tę scenę *Irydiona*, zdaje się słyszeć rozprawę między jakimś Polakiem, który wyrzuca przeszłość i grozi przyszłością, a szyderskim i pewnym siebie zwycięzcą, który takiemu ideologowi urąga w imię nieomylnej logiki faktów i »niezachwianego rozumu«. Kiedy Irydyon, przeświadczony o prawdzie tego co mówi, o swojej dobrej sprawie, powiada, że »nigdy Hellada takim nie spodliła się rozu»mem, jej życie nie było rachubą, jej nadzieje nie spo»częły na kłamstwach«, a Ulpianus śmieje się z igrającej i śpiewającej Grecyi — możnaby myśleć, że to jedna z tych rozpraw, jakich słyszy się tyle w naszym

wieku, w której z jednej strony wspominają wolność polityczną i religijną, dobrowolne łączenie się narodów, i wiedeńską wyprawę Sobieskiego, a z drugiej dowodzą, zapomocą ścisłego rachunku, że *polnische Wirtschaft* musiała uledz sile porządku i dobrze zorganizowanego państwa. Zawsze ta sama walka między ideałem a rzeczywistością, w której rzeczywistość zwycięża i tryumfuje przez usta Ulpiana, czy Bismarka, a ideał przecież nigdy pobić się nie daje, bo wie, że przed Bogiem i sumieniem on ma słuszność. »Słyszały »narody o rozsądku waszym i t. d. Cóżeście uczynili »ze światem, od kiedy bogi złego oddały go w wasze »ręce? orzeł Romy wylęgł się na bagnach, nie na »szczytach gór«. — A nie ciesz, i nie łudź, i nie przechwalaj się tak śmiało tem, żeś dziś górą, nie pochlebiaj sobie, że przyjdzie dzień, »kiedy światu całemu »od wschodu na zachód stanie się na imię Roma«. »Ty myślisz tę starą otchłań na nowo bluszczem uzie»lenić po brzegach, by kości ofiar i łupy kościołów, »i miecze wydarte zdradą, nie widziane, spoczywały »na dnie?« darmo, »rodu bez czci i ducha nie przy»uczysz do sił straconych, nie roześlesz po wieńce »laurowe«. Czy nie wolno domyślać się, że kiedy pisał te słowa groźby dla Rzymu, który utracił był swoje siły żywotne, poeta myślał i o takich także, którzy choć mają siłę, nie mają czci i ducha? że w tych słowach widział groźbę i dla nich także, i wróżył im na kiedyś los, jaki Irydyon przepowiada Rzymowi?

Z ostatniem przekleństwem, słowem zemsty, kiedy czyn się nie powiódł, rzuca Irydyon w ogień pierścień, zdarty niegdyś z ręki Heliogabala, tajemnicze palladium, na którem wyryte było imię i nieśmiertelny gieniusz Romy.

Słaba i mała zemsta przy tej, którą sobie obiecywał, a innej już się spodziewać nie może. Kilku ludzi jeszcze, kilka kropel krwi rzymskiej, mała pocie-

cha! tak jak mały już żal, że go towarzysze opuszczają, i tłumnie, stadami poddają się Alexandrowi. Z poddającymi się zawsze tę samą robi poeta sprawiedliwość. W *Nieboskiej Komedyi* Pankracy posyła na szubienicę wszystkich bankierów, hrabiów i książąt, w *Irydionie* Alexander mówi, że przebrała się miara jego litości, a Ulpianus każe zbliżyć się liktorom. Irydionowi nie zostało nic, jak przekląć jeszcze raz Rzym i bogów, i zadać sobie śmierć, jak Cato, jak Brutus, jak niegdyś Temistokles. Wstępuje na stos siostry i chce z nią razem spłonąć, kiedy porywa go Massynissa i unosi z sobą. Patrząc z gór na przedmiot swojej nienawiści, Rzym, jak wyszczerza marmury do słońca, jak »białe kły tygrysa« woła Irydion w rozpaczy, »Hellado, czy byłaś tylko cieniem, chmuro miłości »mojej, czy odchodzisz na wieki?« Czy to, co gorsze, zawsze będzie tryumfowało nad tem, co lepsze? czy prawem świata jest niesprawiedliwość? Irydion mówi to z taką myślą, z jaką Brutus wołał, że cnota jest złudzeniem: upomina się nie o samą tylko Grecyę, ale o wszystkie sprawy dobre a zwyciężone. W tej ostatniej chwili z dwóch pierwiastków, składających duszę Irydiona, bierze górę i objawia się tylko lepszy i szlachetniejszy, miłość ojczyzny, patryotyczny żal. Drugi pierwiastek, nienawiść i zemsta, tak znika, że ten pogański bohater, syn zemsty czuje jakiś pociąg do Boga Kornelii; zaczyna przypuszczać, że on jeden jest prawdziwym, i gotów modlić się do niego: »Ojcze, któryś jest w Niebiesiech, kochaj moją ojczyznę, jak ja ją kochałem«. — Rozpoczyna się już to przeobrażenie Irydiona, w jakiem on ukaże się w epilogu. Na to Massynissa pozwolić nie może. Nie na to on go wychowywał na syna zemsty, żeby w końcu przerobił na anioła przebaczenia; roznieca więc gasnące iskry złego, i jeszcze raz przez to złe staje się panem Irydiona. »Czy wiesz, kto wydrze Rzym z objęć niena-

»wiści twojej, kto schwyci w powietrzu zlatującą pur- »purę Cezarów? Nazareńczyk« i przez niego Rzym je- szcze będzie panował narodom i wiekom. »Ale przyj- »dzie czas, że jedne po drugich wstaną i powiedzą: »nie służymy więcej, że na Kapitolu będzie hańba »tylko, na Forum będą prochy tylko, i walka moja na »ziemi zbliży się do końca«.

Taki dzień zobaczyć? Na tę obietnicę odżyła na- miętność zemsty w sercu Irydiona. O Grecyi myśleć próżno: »o Amfilochu, twój syn był tylko marzeniem, »cieniem odbitym od późnej przyszłości i jak zawcze- »sną igraszkę rozbiły go losy«. Ale obudzić się po wie- kach i ujrzeć Rzym, »kiedy na Kapitolu będzie hańba »tylko«, ale raz odetchnąć rozkoszą dopełnionej ze- msty? tego on jeszcze pragnie: dla tego gotów i żyć jeszcze przez wieki, i na wieki, na wieczność oddać się Massynissie: »Mnie Rzym, tobie duszę moją«.

IV.

Epilog. Obietnica Massynissy dotrzymana pozornie. Żałość *Irydiona*. Sąd nad nim. Przebaczenie warunkowe. Powtórna próba *Irydiona*. Znaczenie Epilogu. Myśl poematu. Jej prawdziwość. *Irydion* i *Wallenrod*. Przystosowanie *Irydiona* i zasługa Krasińskiego. Wartość artystyczna poematu. Poezya Rzymu.

Następuje ten wiekowy sen Irydiona, którego nie przerwał ani Alaryk, ani Attila, »ni brzęk korony ce- sarskiej o twarde czoło Karla, ni Rienzi Trybun ludu«, a który skończyć się ma za dni naszych, jakoby obie- tnica Massynissy była spełnioną, zemsta nad Rzymem i jego zagłada dokonaną. Dlaczego teraz właśnie po- tężny szatan budzi Irydiona? Czy istotnie dotrzymał swoich przyrzeczeń? Czy pokaże mu to, czego tamten żądał i o co walczył? Czy Massynissa Irydiona istotnie nie rozumiał, czy udawał tylko? Oczywiście udawał.

On wie dobrze, że tamten chciał innej zemsty i nad innym Rzymem; że to co mu pokaże, to tylko pozór, który go zaspokoić nie może. On tylko swojej zemsty dokonał, i pokazując ją Irydionowi jako jego zemstę, on Irydiona podchodzi i oszukuje, udaje jakoby mniemał, że im obu o jedno i to samo chodziło. Ukazuje mu wprawdzie »grób szeroki, rozwarty, napełniony »kośćmi i gruzem, opleciony pełzającym i bluszczem »i ludem«. Tam kędy wieczne miasto panowało, pokazuje mu »kampanię zdziczałą i pustą, która niema czem zakryć hańby swojej, posąg Marka Aureliusza, cezara bez poddanych, tryumfatora bez pieśni — i ostatki ludu rzymskiego, dwóch nędzarzy śpiących na bruku, którzy się nie przebudzili kiedy przechodząc trącił ich nogą — widać przywykli, żeby ich kopano — to potomki Kwirytów! Pokazał mu zamiast dawnego wozu tryumfatorów, powóz ciągniony dwoma schorzałemi karemi końmi, na nim resztki pozłoty, w nim dwóch starców trzęsących się z purpurą na grzbiecie, a ubóstwem myśli na twarzy, »to następcy Cezarów, »to rydwan kapitolińskiej fortuny« woła z przekąsem Massynissa... Ale to wszystko; czy to jest ten dzień, którego Irydion pragnął, czy on takiej chciał zemsty i nad tym Rzymem? Zapewne, jeżeli chodziło mu o miasto tylko, jeżeli tylko o to, żeby widzieć Forum przemienione w targowisko krów, groby drogi Appijskiej w gruzach, posągi bogów i bohaterów połamane i tarzające się po ziemi, obwód murów zawielki dla ludności, w której z dawnego hartu nie zostało nic, zapewne, zemsta byłaby dostateczna i zupełna; i Irydion, patrząc na te zwaliska, raduje się przez chwilę. Ale niebawem on poznaje, że to nie ten Rzym, którego nienawidził, nie ta zemsta, której pragnął. On chciał widzieć poniżenie i wstyd dumnego miasta i wszechwładnego państwa; chciał widzieć przemoc zwyciężoną, siłę złamaną, chciał odwetu za wszystkich

podbitych, oszukanych, zdradzonych, uciemiężonych. Kiedy usypiał, marzył, że budząc się po wiekach, ujrzy jakichś słabszych przyszłości depcących po sponiewieranym i oplwanym trupie wielkiego i potężnego! Jeżeli Irydion, jako Grek, chciał widzieć swoją ojczyznę pomszczoną na państwie rzymskiem, to powinien był obudzić się w dniu Alaryka, albo »w dniu wielkiego Attyli« — jeżeli Irydion, miłość ojczyzny, miłość dobrej sprawy, chciał widzieć jakąkolwiek w ogólności złą sprawę w prochu i w poniewierce, tedy mógł spać dłużej; nie należało go budzić, bo tego on jeszcze zobaczyć nie mógł. Tymczasem szatan jego budzi go i pokazuje Rzym, bezsilny i sponiewierany, ale Rzym inny, ten którego on sam tylko nienawidzi, a którego Irydion nie znał wcale. Pokazuje mu ten dzień, w którym krzyż na darmo wyciąga ramiona nad światem i chce przygarnąć narody do siebie: jedne po drugich odchodzą od niego mówiąc, że nie służą mu więcej. Niezawodnie to jest chwila upadku Rzymu, ta chwila zobojętnienia dla chrześcijaństwa w świecie, słabego jego wpływu na ludzi, i braku »wielkich ludzi w Kościele«, o którym Krasiński myślał, kiedy mówił o tych starcach w purpurze, z ubóstwem myśli na czole: ale to jest dzień Massynissy, nie Irydiona. To ten tryumfuje na widok, że spełniło się, co kiedyś mówił w katakombach swojemu nieśmiertelnemu wrogowi, że napróżno ludzi okupował i oświecał, że w ich sercach rozerwie się Trójca, która miała »trwać na wieki, »Trójca wiary, nadziei i miłości — że iskra, którą »wzięli z górnych przestrzeni, zamęczona będzie w ich »duszach, w ich myślach powstawać będą światy co»raz dalsze od prawdy — każdą wiarę swoją stwier»dzą krwią i ogłoszą ją fałszem, każde zaprzeczenie »obrzucą błotem, a potem ubóstwią. Jak my niegdyś, »tak oni odpadną od niego«. Tej chwili, która może istotnie przypada na nasz wiek, na czasy nienawiści

do chrześcijaństwa i obojętności dla niego, tej czekał Massynissa, jako swojej zemsty nad Bogiem, — jako tej, w której się pokaże, że wszystko co Bóg zrobił, wcielenie, śmierć, i objawienie Chrystusa, nie na wiele się zdało. On chciał upadku Rzymu, jako symbolu chrześcijaństwa, jako symbolu dobrego; Irydion chciał upadku Rzymu, jako symbolu przemocy i nieprawości, jako symbolu złego. Ten nienawidził Rzymu pogańskiego, który w naszych czasach nie jest już w Rzymie: tamten nienawidził Rzymu chrześcijańskiego dlatego, że w nim była prawda, że on mógł świat do dobrego prowadzić. Pokazując Irydionowi ten Rzym w osłabieniu i upadku, on swojej zemście tylko dogadza, a tamtego oszukuje: bo miejsce ich nienawiści tylko jest to samo, ale jej przedmiot inny.

To też Irydionowi jakoś dziwnie smutno na sercu. On poznaje, że to nie to, czego on chciał, o czem marzył, za co walczył, dla czego gotów był oddać swoją wieczność starcowi pustyni. Cóż jemu z tego, że ten »krzyż, którym on niegdyś wzgardził, bo go nie mógł »zaostrzyć w żeleźca«, dziś zdaje »się znużony, jak on »sam, opłakany, jak losy Hellady niegdyś« — ten krzyż jemu nic złego nie zrobił — nie on »podniósł się wśród »Isthmijskich igrzysk, prosząc o posłuchanie i chwaląc »synów Grecyi, nie on ze zgrzybiałej ręki Attala wy»darł zapisy Pergamu, nie on po wszystkie czasy uwodził słabych i dusze ludzkie zabijał« — za cóż Irydion mścić się ma na nim, dlaczego ma się cieszyć z jego poniżenia?

Materyalnie Massynissa dotrzymał słowa, pokazał Irydionowi Rzym w upadku; moralnie oszukał go, bo to nie ten Rzym. Nie ten, którego on nienawidził, jako siedliska przemocy i gwałtu, ale ten, który miał być arką sprawiedliwości i wolności, dwóch rzeczy, które Irydion kochał, choć jako poganin nie mógł znać ani rozumieć trzeciej, miłości. Cóż mu z tego, że taki

Rzym przeznaczeń swoich spełnić nie mógł? on nie tryumfuje nad nim, ale owszem on drugi raz z nim razem jest pobity. Bo on po swojemu, po pogańsku, źle, bo przez nienawiść i zemstę, ale on dobrej sprawie służył, sprawiedliwości pragnął, w Rzymie nienawidził przemocy, gwałtu, zdrady i zaboru. A tymczasem nie te widzi upokorzone i pokonane, ale krzyż znużony i opuszczony. Między krzyżem, między prawdą boską, a poczuciem choćby niezupełnem tej prawdy w sumieniu ludzkiem, między chrześcijaństwem a miłością, choćby źle pojętą, sprawy dobrej, sprzeczności zupełnej i niezgodzonej być nie może. Dlatego to Irydion taki czuje smutek na widok opuszczonego krzyża, dlatego taki czuje do niego pociąg, i dlatego także z tego krzyża spływa na niego przebaczenie i uświęcenie. Napróżno szatan rzuca na szalę ciężkie słowo, on mój, bo nienawidził Rzymu: anioł go broni, »bo on kochał Grecyę«, kochał dobrą sprawę. Ten anioł, opiekun Irydiona i jego orędownik w tym sądzie który się nad nim odbywa, to jak w zakończeniu *Fausta*, anioł ziemski niegdyś i pokrzywdzony przez sądzonego. Czy umyślnie zastosował Krasiński myśl Goethego, czy ją powtórzył niechcący, myśl jest ta sama i zastosowana pięknie; niegdyś ukochana i niegdyś tak okrutnie poświęcona Kornelia łączy w sobie dwa charaktery: ziemskiej kochanki niegdyś i dzisiejszej świętej, kiedy modlitwą swoją zbawia Irydiona. Jak w *Fauście*, i z równem jak tam znaczeniem i usprawiedliwieniem, *das ewig weibliche hier wird's gethan*.

Szatan historyczny może robić co chce, żeby zeszpecić co piękne, zepsuć co dobre, zarazić co zdrowe, spodlić co szlachetne: w zupełności swego nie dokaże. Może, korzystając z niezmiernego cierpienia, rozjątrzyć w ludziach żółć, może ich rozpalić do nienawiści, może »serca nawet dobre przerobić na wątroby«, może rozumy otumanić tak, że ludzie szkodzić będą sami so-

bie i swojej sprawie, może ich skusić do złych czynów, ale nie potrafi zmazać z ich sprawy znamienia szlachetności pierwotnej, nie potrafi z ich serc wykorzenić nazawsze uczucia dobrego: — a dopóki jakiś jego zaród, jakiś ślad pozostanie, oni zawsze będą zdolni podnieść się i wyszlachetnić. »O Panie! on jest moim, »bo on kochał Grecyę!« — źle ją kochał, źle widział to, co względem niej był powinien; własną ręką, przez obłęd rozumu i sądu, zadawał jej ciężkie rany; własną swoją wolę nawet krzywił i psuł, prawda! Ale on nie wiedział co czynił, a wiedział co kochał: i to, co kochał, było dobrem. Karać go można, ale nie potępić; trzeba wystawić go na próbę szlachetności i cnoty, bo jest zdolny z tej próby wyjść zwycięzko. Więc w tym sądzie, odbywającym się u stóp krzyża, stojącego na środku Kolizeum, w tej walce o zbawienie i przyszłość Irydiona, który stoi »powyżej kusiciela, poniżej anioła«, zwycięża miłosierdzie i przebaczenie: przez wzgląd na dobre, jakie było w Irydionie, odpuszczonem mu jest złe, jakie robił. Ale nie bezwarunkowo. Rzecz tak święta i piękna, jak miłość ojczyzny, nawet jeżeli do złego skusić i złem skazić się dała, nie stała się sama złą i ma prawo do przebaczenia. Ale nie na to ona jest przeznaczoną! nie zyskać przebaczenie jest jej celem i zadaniem, ale chwałę i cześć, bo ona jako jedna z rzeczy najpiękniejszych na świecie, im jest wyższą z natury, tem wyższą powinna być w czynach; im więcej komu dano, tem więcej będzie się od niego żądać. Jeżeli miłość ojczyzny kiedyś, u Greka, u poganina, mogła być zmieszana z zemstą, z nienawiścią, z niejednem uczuciem i czynem złym, to może jej być darowanem dlatego, że poganin, Grek, nie wiedział, czego od niego żąda Bóg, nie znał tego wzoru, do którego stosować miał wszystkie swoje uczucia i czyny. Ale dziś jest inaczej; to, co popełnione przez Greka, mogło mieć wymówkę, tego chrześcijaninowi popełnić

już nie wolno. Jeżeli tamtemu można wybaczyć złe przez wzgląd na dobre, zemstę, zdradę, nienawiść, przez wzgląd na miłość ojczyzny, to dziś inaczej, bo człowiek dzisiejszy nie może o sobie powiedzieć, że nie wie co czyni. On wie, powinien wiedzieć przynajmniej, że każde jego uczucie i każdy czyn powinien być dobrym, pięknym, świętym; że jak miłość kobiety, jak miłość rodzicielska, jak miłość ludzi, tak i miłość ojczyzny u niego powinna być wyższą, doskonalszą, czystą. Grek zostaje rozgrzeszonym, choć był synem zemsty, dlatego, że kochał Grecyę — człowiekowi ery chrześcijańskiej, Polakowi naprzykład, jużby to nie wystarczyło. Nie dość kochać, trzeba kochać dobrze, święcie, inaczej zgubi i siebie, i sprawę którą kocha i której służy. Nienawiść, zemsta, złość, nic nie zbuduje, nic nie wskrzesi. Iskra miłości ojczyzny, która pod nią tli, może być jeszcze tak silną, że pobudzi człowieka do czynów wielkich, do bohaterstwa bez granic, do poświęcenia bez miary, posunąć go, jak w *Irydionie*, aż do niegodziwości prawie; ale skutek z tego żaden, wszystkie te bohaterstwa i poświęcenia nie zdały się na nic, tylko na gorzką rozpacz tego, który siebie i wszystko poświęcił, i wszystko nadarmo. To mówi, tego naucza poemat *Irydiona*. Bo nie o to chodzi, żeby przez miłość ojczyzny dojść aż do niegodziwości; nie o to, żeby poświęcić cześć, honor, uczciwość, sumienie, jak on; nie o to, żeby z wielkiego poświęcenia i miłości stać się złym, niegodziwym, albo, broń Boże, podłym — nie, tego chce Massynissa tylko, którego sztuką jest na dobrem szczepić złe, który chce miłość ojczyzny zepsuć i skazić na to, żeby dobra sprawa nie zwyciężyła nigdy. Innych poświęceń, bohaterstwa trudniejszego żąda od nas miłość ojczyzny, pojęta po chrześcijańsku i święcie. Nie życie, nie mienie, nie krew mężczyzn i cześć kobiet składać mamy na jej ołtarzu, bo ona nie jest Molochem: ale spalić

mamy na jej ołtarzu złe, jakie jest w nas. »Sercem skruszonem i upokorzonem, Panie, nie wzgardzisz«, i takie to serce złożyć mamy na tym ołtarzu: to jest ofiara »Bogu wdzięczna«, serce wymiecione do czysta ze śmieci, z samolubstwa, z nienawiści, z dumy, z ambicyi, z zazdrości, ze wszystkich uczuć złych; podniesione, jeżeli być może, do tej cnoty najwyższej, jaką jest przebaczenie nieprzyjacielowi, to jest miłość ojczyzny chrześcijańska, to poświęcenie niewidoczne a trudniejsze i skuteczniejsze od strasznych poświęceń Irydiona, to obowiązek względem ojczyzny, którego Grek rozumieć nie mógł, a na którego spełnienie przez chrześcijan czeka Pan, ażeby »uczynił dobrze Synowi »w dobrej woli swej, aby się zbudowały mury jerozo»limskie«.

I na taką próbę posłany jest Irydion do »ziemi »mogił i krzyżów«. — Miłość ojczyzny, która choć pogańska, dostała przebaczenie, bo była miłością ojczyzny, ale która pomimo wszystkich poświęceń tej ojczyzny, wskrzesić nie mogła dlatego że była pogańską, teraz ma iść na próbę powtórną i celu swego dopiąć, przez poświęcenie złego w sobie, przez uświęcenie siebie. »Idź na północ do ziemi mogił i krzyżów, »poznasz ją po milczeniu mężów i po smutku drobnych »dzieci, tam powtórna próba twoja. Po raz drugi miłość »twoją ujrzysz przebitą, konającą, a sam nie będziesz »mógł skonać, i męki tysiąców wcielą się w jedno serce »twoje«. A zaraz jest i nauka, jak on ma służyć tej swojej sprawie: »Nie proś o chwałę twoją, ale o dobro »tych, których ci powierzam, bądź spokojny na dumę »i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych. Idź i czyń, »choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć »zwątpisz o braci twojej, choćbyś miał o mnie samym »rozpaczać, czyń ciągle i bez wytchnienia, idź i ufaj »imieniowi mojemu«.

Ucisk i duma i natrząsanie się niesprawiedliwych,

gorsze od tego zwątpienie o braciach swoich, najgorsze ze wszystkiego te chwile rozpaczy, w których człowiek wątpi o Bogu samym, i pyta, co się stało z jego sprawiedliwością, to wszystko już doświadczone, to jest i było, i Bóg wie, jak długo jeszcze będzie. Ale gdy to Irydyon wytrzyma, gdy nie upadnie pod uciskiem i dumą, przez zwątpienie nie dojdzie do wzgardy, do przekleństwa i do nienawiści swoich, gdy przetrwa rozpacz samą i z niej nie przejdzie w wyparcie się Boga i samego siebie, wtedy: »przeżyjesz marnych, »szczęśliwych i świetnych, a zmartwychwstaniesz nie »ze snu, ale z pracy wieków, i staniesz się wolnym »synem niebios« — wtedy »po długiem męczeństwie »zorzę rozwiodę nad wami i udaruję was tem, czem »aniołów moich obdarzyłem przed wiekami, szczę»ściem, i tem, co obiecałem ludziom na szczycie Golgoty, wolnością«.

Taki jest ten poemat *Irydiona*, taka jest myśl jego i dążność. Miłość ojczyzny, żeby być skuteczną, powinna być czemś więcej jak dobrem uczuciem tylko, powinna być cnotą w czynie, cnotą zupełną, bez restrykcyi, na wszystkich polach i nieustającą. Bez tego nie zwycięży; nietylko nienawiść i zemsta, ale samo poświęcenie, samo bohaterstwo, nie zbudują nic, nic nie stworzą, jeżeli nie będą taką zupełną całkowitą cnotą, jeżeli nie będą czystą pięknością, szlachetnością bez skazy. O wielkości moralnej tego pomysłu mówić zbytecznie: jego rzeczywistą prawdę, jego wartość praktyczną mógłby podawać w wątpliwość i wyśmiewać Fryderyk Wielki i Voltaire, Pankracy z *Nieboskiej Komedyi*, albo szkoła nowoczesnych dyplomatów, jak Talleyrand albo Metternich; mąż stanu w całem znaczeniu słowa, Henryk IV, albo Batory, potwierdzi ją swoim rozumem i doświadczeniem, tak, jak ją potwierdza wrodzonym instynktem sumienie prostego człowieka. A uważać trzeba, że Krasiński nie żąda od nas

niepodobieństwa — to nie ideolog, któryby chciał ludzi widzieć aniołami i marzył o jakiejś niedoścignętej idealnej świętości wszystkich. On chce rzeczy możliwej bardzo, zależnej od każdego, rzeczy nieledwie łatwej: to jest, żeby każdy na swoje widnokręgi patrząc, żył wedle dobrej woli. Mówiono nieraz o przesadzonym, utopijnym idealizmie Krasińskiego; zarzucano mu, zwłaszcza z powodu *Psalmów*, że działa na swój naród szkodliwie, jakoby usypiająco; że mówiąc mu, jakoby Bóg dał mu wszystko co dać mógł, wpajał w niego przekonanie, że on sam nic już działać, nic już zmieniać nie potrzebuje, tylko zostać jak jest, a wszystko będzie mu danem, zrobi się samo. Być może, że wielu z nas taką naukę z jego poezyi wyciągnęło i że ona nam zaszkodziła; ale z pewnością nie jest to ta, którą on nam dać chciał. Złe zrozumienie czyjejś myśli przez drugiego nie dowodzi, jakoby myśl ta była fałszywą i złą. Krasiński owszem wymaga po nas ogromnej i ciężkiej pracy nad sobą, a spełnienie jego świetnych obietnic podług jego myśli zależeć ma od wykonania tej pracy. Że nie obiecuje jakiegoś cudu doraźnego, jakiegoś zwycięstwa, któreby spaść miało z nieba i na któreby tylko spokojnie czekać trzeba z założonemi rękami, dowodzi choćby sam ten epilog *Irydiona*: »przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych, »jeżeli będziesz czynił ciągle i bez wytchnienia«, a wtedy »zmartwychwstaniesz nie ze snu, ale z pracy »wieków« — nie przez sen więc spokojny, ufny, a zgnuśniały w swojem bezpieczeństwie i pewności przyszłości, ale »przez pracę wieków«, przez pracę pokoleń przynajmniej, przy miłości ojczyzny, która nie jest zapałem tylko i bohaterstwem, ale jest całkowitą, jednolitą i nieustającą cnotą, dochodzi się do celu, do zwycięstwa swojej sprawy, do zbawienia swojej ojczyzny. Jest to równie dalekie od mistycznego, błogiego

kwietyzmu, jak od gnuśnej bezczynności i zarozumiałej zuchwałej pewności siebie.

Nieraz także z powodu *Irydiona* przypominano *Wallenroda*. Jako ludzie, istotnie Wallenrod i Irydion są do siebie podobni; jeden i drugi z tego samego uczucia wychodząc, dochodzą do tej samej konkluzyi, do zemsty i zdrady. Ale jako myśl i dążność poematu, są właśnie przeciwnemi biegunami, *Irydion* jest zaprzeczeniem *Wallenroda*. Mickiewicz przyznaje słuszność bohaterowi swojej przepysznej powieści. Podług niego (w czasie kiedy *Wallenrod* był pisanym), Konrad robił dobrze, robił co był powinien, był ideałem patryotyzmu niezaprzeczonej, niewątpliwej wartości i prawdy. Krasiński nie rozczula się wcale nad poświęceniami i cierpieniami swojego greckiego Tytana, on go sądzi i w tym sądzie ledwo go zbawia. To, że był synem ojczyzny, to go nie usprawiedliwia i nie daje mu prawa być synem zemsty. Byłoby niesłusznem naciąganiem, gdybyśmy z tego porównania wnosić chcieli, iż pojęcie moralne w ogólności i pojęcie miłości ojczyzny, obowiązku patryotycznego u Mickiewicza, było niższem, aniżeli u Krasińskiego. Pieśń zemsty w *Dziadach* i *Wallenrod* były to usposobienia przemijające u Mickiewicza, stanowiska, które rychło opuścił. Ale zestawiając tak nie poetów, tylko te dwa dzieła, te dwie postacie, nie można zaprzeczyć, że wyższość moralna i wyższość patryotyczna jest nie w pomyśle i postaci *Wallenroda*, ale w pomyśle i postaci *Irydiona*.

W ten sposób odpowiedział sobie Krasiński na pytanie, czy Polska odżyć może, i przez co; a niezawodnie była w tem zasługa, przynajmniej zasługa odwagi, żeby jej to powiedzieć w chwili rozpaczy, namiętności rozognionej do najwyższego stopnia, nienawiści, wzrastającej z każdym dniem pod wpływem coraz nowych prześladowań; a nie sama tylko zasługa

odwagi, ale i zasługa mądrości zarazem, i zasługa obywatelskiego obowiązku, patryotycznej rady. Bo dać nam przeczytać *Irydiona*, to dać nam do zrozumienia, że nie ma uczucia tak dobrego, tak pięknego i świętego, któreby od wpływu złego pewnem i raz na zawsze zabezpieczonem było; to dać do zrozumienia, że im wyższe, im szlachetniejsze nasze uczucie, tem bardziej, tem zawzięciej krąży około niego Massynissa, żeby z niego wydobyć złe, i tem łatwiej oszukuje nasze sumienie; to było powiedzieć nam, żebyśmy się mieli na baczności, bo przez zbałamucenie sumień dochodzi się do skażenia woli, i do osłabienia rozumu, a ztąd do przegranej spraw najlepszych, czego chce, z czego się potem śmieje historyczny szatan. Z nas, śmiał on się już nieraz podobno, może nawet od napisania *Irydiona* już nieraz — oby nigdy więcej, oby się już nigdy od nas takiej pociechy nie doczekał.

Co do piękności artystycznej *Irydiona:* nic trudniejszego, jak z tego stanowiska oceniać poemat, w którym ten wzgląd jest niezawodnie podrzędnym. Gdyby go brać na examin ściśle psychologiczny, możnaby zapewne powiedzieć, że na tych figurach znać allegoryę, że nieraz widocznie są wcielonemi ideami raczej, a nie ludźmi. Ależ to było ich przeznaczeniem! a na ten zarzut odpowiedzieć można słusznie, że nieraz, może i częściej, kiedy Irydion żegna się z siostrą, albo kiedy przed Ulpianem oskarża Rzym, zapomina się o znaczeniu allegoryi, o symbolach i ideach, a widzi się przed sobą człowieka, czuje się z nim razem. Możnaby ze stanowiska historyi i archeologii pytać, czy Rzym Krasińskiego jest wiernem i ścisłem podobieństwem rzeczywistego ówczesnego Rzymu, możnaby zarzucać, że są w *Irydionie* uczucia i wyobrażenia światu tamtemu nieznane: ależ odpowiedziałby na to poeta, nie chodziło o fotografię, ale co najwięcej o ogólny poetyzowany obraz ludzi i wypadków fikcyj-

nych, z ogólnem i poetycznem tylko podobieństwem do rzeczywistej historycznej epoki. A jeżeli w *Irydionie* znajdą się rysy odmienne od tradycyjnych linii antyku, to wrażenie całości, obraz świata próchniejącego i rozpadającego się, to mówi za poematem, i jest nie ogólnym tylko, dowolnym obrazem jakiegokolwiek zepsucia i rozkładu, ale jest naprawdę obrazem Rzymu Cezarów, zgodzi się zawsze z Tacytem i z Juwenalem, choć nie zawsze może z klassyczną rzeźbą i z umiejętnością archeologa biegłego w rzymskich starożytnościach. A gdyby wreszcie chciał kto dodać, że uroczysty ton prozy *Irydiona* wpada tu i owdzie w przesadę i staje się nużącym przez swoją majestatyczność i obrazowość, to takiemu odpowiedzieć łatwo, że nadmiar gdzieniegdzie trafić się może; ale gdzież znowu znalazłby się ten majestat, ta uroczystość, ta wielkość prawdziwa stylu i języka? może nigdzie.

Pomysł *Irydiona* był niezawodnie jeden z najzuchwalszych, jakie kiedykolwiek były poczęte, a wykonanie jego było trudnością, nad którą zdumieć się trzeba. Wymyśleć Greka, który swoją ojczyznę chciał pomścić na Rzymie upadającym, wymyśleć całą jego historyę, jego spisek, jego walkę i jego przegraną, to było dość śmiałe. To zaś pociągało za sobą konieczność wystawienia obrazu Rzymu; trzeba było z Juwenala, Tacyta, Suetoniusza, Gibbona, zrobić poemat. Nie dość na tem; trzeba było, żeby ten obraz, cały starożytny, jak być może najbardziej klassyczny, dał się nagiąć do ukrytej myśli poety i był jej tłómaczeniem wiernem i wyraźnem. A ktoby »te przeszkody zmógł nadludzkiem męztwem, dalej spotkać się z większem miał niebezpieczeństwem«; bohater takiego poematu, Grek, syn zemsty, potomek Filopoemena, spadkobierca miłości ojczyzny i poświęcenia Milcyadesów i Leonidasów, musiał być więcej jak człowiekiem, musiał mieć wielkość Tytana, wielkość półbogów gre-

ckiej mytologii, poezyi, i sztuki. A nad nim jeszcze, większy i potężniejszy nawet od niego, unosić się musiał ten jego zły duch, szatan krzyżujący drogi świata, i na kartach historyi zapisujący »swe zdrady« wszędzie, gdzie Bóg miał zapisywać przykłady swojej miłości, jedyny podobno w poezyi świata szatan tak pojęty, i takiemu dziełu oddany? A przecież kto powie, że tego nie ma w *Irydionie?* Kto powie widziawszy Heliogabala i dwór jego, Ulpiana i Alexandra i gladyatora Sporusa, że nie ma w *Irydionie* Rzymu Cezarów? kto powie, że ten Grek zmyślony, którego nigdy nie było, nie wydaje mu się prawdopodobnym, prawdziwym, rzeczywistym, albo że Elsinoe nie jest jedną z najidealniej czystych i najbardziej rozrzewniających poetycznych kreacyi? kto zaprzeczy głębokości wielkiej a smutnej wszystkim scenom katakombowym, a zwłaszcza kto będzie śmiał powiedzieć, że *Irydion* nie ma takiej miary pół-boga, jak żeby był wyszedł z pod ręki Fidyasza albo Eschyla; że Massynissa nie ma takiej miary szatana, jak żeby potężna fantazya Miltona była wydała dwóch braci bliźnich szatanów, z których jeden miał uczepić się człowieka, a drugi ludzkości? Nie — pod tym względem, jeżeli pomysł *Nieboskiej Komedyi* jest więcej uderzający prawdą widoczną i stwierdzoną, namacalną, i przez to wydaje się nam słusznie najgienialniejszym z Krasińskiego pomysłów, to *Irydion* znowu musi uchodzić za jego pomysł najpiękniejszy i najpiękniej wykonany, za jedno z wielkich dzieł na naszym świecie.

O wielkiej, rzeczywiście nadzwyczajnej piękności Prologu, (zwłaszcza jego początku), i Epilogu mówić zbytecznie, dodać więc tylko trzeba jedno małe spostrzeżenie. Ze wszystkich znanych na świecie poezyi, nie ma jednej, któraby była poezyą Rzymu dzisiejszego w tym stopniu, co *Irydion*. Rzecz wiadoma, że ze wszystkich miejsc na świecie żadne tak na Krasiń-

skiego nie działało, żadne tak nie opanowało jego umysłu i wyobraźni, jak to miejsce klassycznych ruin, natury majestatycznej, jak żadna, a majestatyczniejszej nad wszystko historyi. Ale też cała powaga tego miejsca, jedynego w świecie, cała jego piękność klassyczna, i cały nieopisany jego smutek, odbił się w *Irydionie* tak, że często czytając jakieś jego ustępy, ma się wrażenie takie, jak żeby się patrzało na groby i wodociągi kampanii, na ruiny dawnego miasta, »oplecione pełzającym bluszczem i ludem«. Znać w każdem słowie, że ten człowiek dzień i noc patrzał na to wszystko, dumał nad tem, czuł to, i tak się tem przejął, tak jego wyobraźnia przepoiła się temi widokami i wrażeniami, że niechcący, nie opisując, co chwila rzuci jakieś słowo, które człowieka przenosi w kampanię, lub na Forum; jak naodwrót, będąc na miejscu, na każdym kroku przypomina się *Irydion*, myśli się wyjątkami z *Irydiona*; nowy widok, nowe wrażenie wita się nie swoją myślą i słowem, ale tem lub owem słowem Krasińskiego, które pamięć podsuwa jako najwierniejszy, najżywszy wyraz na to czego się właśnie doznaje. Jak Byron w Grecyi i na wyspach archipelagu, jak Mickiewicz w polskich lasach i polach, jak Słowacki »w szwajcarskich górach«, tak *Irydion* przypomina się na Palatynie, na drodze Appijskiej, a zwłaszcza w miejscu wybranem Krasińskiego i *Irydiona*, w Amfiteatrze Flaviana. I nieraz przypomina się to, co on w jednym ze swoich listów napisał: »Takem przylgnął nie do »ludzi tutejszych, ale do kamieni, że czasem, zamiast »podpisu mego, gotówbym nabazgrać »rzymska kam»pania«. Szuka się też prawie, czy gdzie na jakim kamieniu nie odbił się jaki ślad jego myśli, czy się jego imię gdzie nie zapisało, wedle pięknych słów tego jego wiersza:

Może kto kiedyś, na jednym z tych wzgórzów,
Wśród prochu bogów i gruzu podmurzów,

Gdzie róż i bluszczu powiązane zwoje,
Bluszcz gdy odchyli, znajdzie imię moje.

Znajduje się je tam istotnie wsród prochu bogów i wielkich ludzi; a z tego pogrobowego życia wieków, wyrósł istotnie, jak on przypuszczał, laur, który mu czoło ustroił — ten laur nazywa się *Irydion*.

Jedna jeszcze na zakończenie o nim uwaga. Jest on ostatnim w szeregu dzieł znakomitych, stanowiących gałąź osobną, a bardzo bujną poezyi europejskiej XIX wieku.

Faust rozpoczyna w literaturze świata ten szereg dramatów, które nazywano fantastycznemi, allegorycznemi, ideowemi, różnie, a które od dawnego dramatu Greków i Szekspira różnią się właściwie tem, że ich przedmiotem nie jest natura człowieka z swojemi uczuciami i cierpieniami, ale zagadnienia, tajemnice, prawa ludzkiej myśli i ludzkiego bytu. Rodzaj przez Göthego stworzony przyjął się, wydawał dzieła wielkie, *Kain* Byrona i *Dziady* Mickiewicza; wydawał pod ręką naśladowców i małe, i nawet śmieszne. Z wielkich — ostatnim jest *Irydion*: on zamyka ten pochód, na którego czele stoi *Faust*. Po nim już dramatów takich nie było, jak od Krasińskiego śmierci nie było w świecie wielkiego poety, wielkiej poezyi.

Przypisek.

Prof. Kallenbach w swojem dziele o Krasińskim podaje streszczenie kilku rozpraw poświęconych specyalnie dochodzeniu »zależności Krasińskiego od źródeł historycznych i ich wpływu na Irydiona« (W. Hahn, Miodoński, Drogosław, Pini). Nie możemy szczegółowo rozbierać rezultatów tych dochodzeń: ogólnie tylko zaznaczamy nasze przekonanie. To zaś jest, że Krasiński czytał bardzo wiele, a z przeczytanych rzeczy mogły zostawać w jego głowie wrażenia, lub wspomnienia, które się odzywały przy pisaniu Irydiona: dalej to, że on istotnie podziwiał czasem gorszych od siebie, i ulegał ich wpływowi (Jean Paul, Hoffmann). Ale o ile możemy przypuścić dalekie, pośrednie, nieledwie bezwiedne reminiscencye, o tyle »wpływ« i »zależność« wydają nam się nie dowiedzione.

ROZDZIAŁ VI.

1836—1840.

I. 1836—1838. Zima we Włoszech. Smutek, rozterka. Znajomość ze Słowackim i sąd o nim. Walki wewnętrzne. Lato u wód. Rozpaczliwe słowa o Polsce. Chwile wesołości. Przyjaźń i pociecha dla Sołtana. Pierwsze wiersze miłosne. Zima w Wiedniu. Polacy tamtejsi. Teatr. Zniechęcenie do siebie. Ojcowskie plany ożenienia. Opór. II. Spotkanie z ukochaną. Nowe wiersze. Fragment Wandy. Powtórna zima w Wiedniu. Ostatnie spotkanie. Podróż do kraju. Zerwanie. Jesień we Włoszech. Wiersze. Ich charakter. Ostatni list do Reeva. Modlitewnik. III. Rok 1839. Znajomość z rodziną Komarów. Pani Delfina Potocka. Pierwsze wrażenia Krasińskiego. Miłość. Jej wyznania w listach. W wierszach. Jej charakter. Podróż do Sycylii i jej dziennik. IV. Szczęście i smutek. Powody smutku. Cierpienie patryotyczne. Pokusa zwątpienia. Niejasność pojęć religijnych i filozoficznych. Stosunek z ojcem. Plany ożenienia. Opór. Panna Eliza Branicka. Listy do Adama Potockiego. Przewiezienie zwłok Napoleona. Nowe dzieła. V. Nowa przyjaźń. Słowacki. August Cieszkowski. Jego *Prolegomena do historyozofii*. Wpływ na Krasińskiego.

I.

1836—1838. Zima we Włoszech. Smutek, rozterka. Znajomość ze Słowackim i sąd o nim. Walki wewnętrzne. Lato u wód. Rozpaczliwe słowa o Polsce. Chwile wesołości. Przyjaźń i pociecha dla Sołtana. Pierwsze wiersze miłosne. Zima w Wiedniu. Polacy tamtejsi. Teatr. Zniechęcenie do siebie. Ojcowskie plany ożenienia. Opór.

Krasiński jest we Włoszech. W początkach marca pisuje jeszcze z Florencyi, w końcu maja jeszcze z Rzymu. Stan zawsze ten sam, tylko smutek coraz cięższy; przygnębienie, zniechęcenie, niewiara, żal do siebie samego; zwątpienie blizkie rozpaczy w jego myślach o Polsce. Składa się na to i nieszczęsna miłość z nieodłącznemi przykrościami i obawami, i stosunek z ojcem, którego ta miłość martwi i gniewa, i stan nietylko polskiego kraju, w którym coraz gorzej się dzieje, ale i polskiego społeczeństwa które się obniża. Do tych powodów smutku dodaje prof. Kallenbach, niewątpliwie słusznie, mowy Cesarza Mikołaja I-go w Warszawie z roku 1835, z zapowiedzią zbudowania cytadeli i zniszczenia Warszawy. (W nawiasie warto wspomnieć, dla porównania czasów, że nawet te groźby były mówione po francusku, jak i późniejsze »*je saurai sévir*« jego syna).

Dość, że Krasiński jest rozdarty, szarpany rozterką uczuć, nie może znaleźć spokoju i równowagi. Do tego zdrowie coraz gorsze, cierpienia fizyczne coraz większe. Tem tłómaczy się jego

smutek i gorycz, jego patrzenie na świat i na siebie tak czarno.

Jednym z najważniejszych przykładów tego stanu, jest list do ojca, z 16-go stycznia 1836, ogłoszony w wyjątkach przez Szujskiego [1]), w całości przez Kallenbacha (Tom II str. 296 i dalsze). List rozpaczliwy: krytyka Polski najsurowsza, najboleśniejsza, a tem boleśniejsza że prawdziwa. Tylko ta prawda, na pierwszy rzut oka straszna, bo niezbita, nie jest prawdziwa, bo jest jednostronna. Wszystko co Krasiński wytyka i gani, to było i jest: ale tego niema, co w Polsce, dawnej czy dzisiejszej, było i jest dobrego. W tych sądach i słowach jest więcej chwilowego przejściowego wrażenia jak stałego przekonania: jest usposobienie ponure, rozpaczliwe, (skutek wielu połączonych przyczyn), ale przemijające. Smutek zostanie zawsze: zwątpienie przejdzie. »Żyłem w tej przepaści długo, »miotan rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą«. O tych latach, o tych swoich przejściach on myśli, kiedy te słowa pisze.

Ten sam smutek, to samo rozdarcie, w innych listach do ojca [2]) z Florencyi d. 13 lutego 1836 r.:

»Kiedy przebiegam pamięcią odmiany mojej długoletniej choroby, spostrzegam w niej przewagę nerwowej drażliwości nad wszystkie inne słabości działacze. To u mnie istotnie cierpi, co najbliższem jest duchowej natury, — bo zawsze przez moralne, silne wzruszenia zapadałem, jeśli były smutnemi, — dźwigałem się, jeśli były połączonemi z nadzieją i pociechą. Nie wiedzieć, czy więcej szkód czy też więcej korzyści odniosłem z tej choroby. Zdaje mi się, że szkody tyczą się rozumu mojego, bo przerwaną została działalność moja umysłowa, dalsze kształcenie się mo-

[1]) O młodszości naszej cywilizacyi.

[2]) Kallenbach. *Krasiński.* Tom II, str. 299 i dalsze.

ralne — a korzyści padły na mój charakter; bo z mojemi usposobieniami żywemi, żądającemi wiecznie, możebym przy silnem zdrowiu był się dał unieść na drogi, na których moja noga nie postała. Zapewne lepiej byłbym poznał rzeczy nauką, ludzi doświadczeniem, ale kto wie, coby za stosunki się były ułożyły między mną a ludźmi temi, cobym za wnioski wyciągnął z rzeczy. Miałem ja w sobie dane przez naturę zarody wszystkich namiętności. Zobojętniła wiele z nich choroba — nie mogłem pić, bo mi krew biła do głowy, grać w karty, bo mi krew biła do głowy, chodzić, intrygować, krzyczeć, podmawiać, bo mi krew rozrywała oczy — wydawać wieczorów, gromadzić młodych ludzi u siebie, bo mi krew zalewała głowę — słowem: cierpienie stało się pod wieloma względami moim aniołem stróżem. I tak przebyłem pierwsze najrozhuzdańsze (!) lata młodości mojej, jeśli nie szczęśliwie, jeśli nie świetnie, to przynajmniej poczciwie. Zachowałem pewne wiary dobre i piękne, potracone przez drugich, którzy więcej odemnie widzieli i silniej tarli się ze światem. To sprawi, że nieraz mnie oszukają, ale zarazem to uczyni, że ja nikogo nie oszukam. — Z lat dziecinnych lekkomyślną istotą byłem. Niedoznałem wielu rozkoszy, straciłem siły niektóre moralne, raczej sam z sobą się męcząc bezpłodnie, niż walcząc ze światem; zestarzałem się niejako przez siebie, jak inni starzeją się przez drugich, ale jednak czuję, że w sercu mojem ocalały uczucia, którym trudno ocaleć w żyjącym inaczej, niż ja dotąd żyłem«.

»I dlatego z pewnym rodzajem rezygnacyi spoglądam na przyszłość, prosząc jednak Boga, by mnie niedługo już wyprowadził z tej próby, czy z tej szkoły, w której niczegom się nie nauczył, ni dobrego, ni też złego, w której nudą długą byłem dla ojca i tych, którzy mnie kochali«.

»Darmo mówić o statku duszy — ale kiedy czło-

wiek najpiękniejsze lata życia strawił na nędznej chorobie, kiedy widzi, że wciąż ona nieprzepartą jest, kiedy ile razy miał nadzieję, że się usunęła, tyle razy pomimo wszystkie usiłowania sztuki i własne wstrzymywanie się od zbytków jakichkolwiek wpadł w nią nazad i czuje, że mu charakter, umysł, serce nawet przepsuwa, przekwasza, to wtedy trudno się wstrzymać od pewnego rodzaju oburzenia przeciwko tak silnemu fatalizmowi, od pewnego gatunku utraty wszelkiej nadziei, od pewnego gatunku odrętwienia i nieczucia już więcej ni pociechy, ni słodyczy w tak przykrym bycie. Mniejsza o cierpienie cielesne, to niczem nie jest w porównaniu z rozstrojeniem się stopniowem i pewnem choć powolnem umysłu. Kto mi wróci kiedy te lata najlepsze do pracy, najkorzystniejsze do pojmowania świata i ludzi, przeszłe na leżeniu lub jeżdżeniu po wodach? Czyż dotąd nie byłbym nagromadził w sobie wielkiego, zamożnego kapitału wiadomości, z któregobym już teraz procent mógł ciągnąć? Ale daremne to słowa — próżne skargi — przez tę chorobę nie będę nigdy czem być mogłem, a dalibóg mogłem być czemsiś wśród ludzi na świecie. Czego mi brak, oto nauki, umiejętności, właśnie tych rzeczy, które pracą się nabywają — nie brak mi iskry, którą ożywić je można — ale na co zda się iskra, kiedy materyału niema. Na co by duch się zdał, gdyby ciała nie było? Tego ciała, ciała tego nabyć nie mogę.— Wiecznie więc w błędnych błąkam się sferach. — Co papa mojemi *chmurami* zowie, to nie chmury, to oczy moje, które mnie przegrodziły od świata, które mi świat wydarły zewnętrzny, zostawiły wewnętrzny tylko, a ten jest tylko połową życia. Jeśli więc już takie przeznaczenie moje, że nikomu nie zdam się na nic rozumem ni działalnością, chciałbym przynajmniej zdać się papie na coś sercem mojem. Chciałbym, by

on wierzył, że go kocham i że jego jednego mam na świecie — że w nim jest dom mój, w nim cała rodzina moja, w nim pamiątki dzieciństwa i obowiązek przyszłości. Byłbym szczęśliwym gdzie w jakiej ustroni być razem z papą daleko od ludzi — daleko od świata tego, w którym dla mnie miejsca niema, bo go bawić nie myślę, a mu użytecznym być los mi zabronił. Nie mogę wielkich rzeczy pisać do papy, bo cały niedomagam — bo w mojej duszy jest jakaś bezdenność smutku i goryczy. — To wiem tylko, że papę szczerze i całą duszą kocham«. (1836, Florencya 8 marca).

Z Rzymu 24 kwietnia 1836:

»... jakiś żal głęboki, czasem nieutulony, kiedy spojrzę na to życie moje takie nędzne i bezowocne, na to życie Papy takie markotne i dalekie, kiedy pomyślę, że niema jednej chwili, w którejbym przez Papę nie żył, jednego kawałka chleba. któregoby ręka Papy w moje usta nie kładła, a ja? cóż robię dla Papy? czyż nie same smutki mu nasyłam?...

»Dzikie nasze położenie. Nie mamy nic na świecie prócz samych siebie nawzajem, a nie jesteśmy z sobą — nic, nic nie mamy — tylkobyśmy mogli mieć teraźniejszość obcowania, widzenia się, rozmawiania — a tego nie możem osiągnąć«...

»Wszystkie prawdziwe boleści moje wyszły z serca, tam mieszkają. Cała choroba, która od sześciu lat mnie trapi, jest skutkiem jednego tylko roku, przebytego wśród ciągłej gorączki i rozpaczy. Wtedy wszystko wrzało, jakby na wiosnę, w ciele i w duchu moim — wtedy wszystko jakby mrozem ścięte zostało znienacka, nieprzewidzianie. I odtąd poczęły się spleeny, urodziło się to usposobienie czucia wszystkiego gorzko, widzenia każdego przedmiotu żałobnie. Nerwy rozprzężone, w ruch nadprzyrodzony wprawione, już odtąd nie zdołały odzyskać równowagi swojej. — Mniej więcej zawsze w nich

huczy burza, lub posępna martwość, milczenie jakieś i wstręt apatyczny się rozlega, ale nigdy niema tej zgody sił, która stanowi zdrowie ciała i serca spokojność. — Nie na scenie otwartej, ale w ukrytej głębi, wewnątrz duszy mojej, odbyły się wszystkie dzieje moje. Co tam było walk i niezgody, co tam nieznanych od nikogo klęsk przeminęło! Ależ zawszeć powtarzam, że nie z głowy szedł oddźwięk ponury, ale z serca. Bo gdybym był wszystko brał na szalę rozumu, gdybym był mógł zimno rozważać, a nie czuć namiętnie, możebym był zdrów dzisiaj. Kto wie, możebym był na drodze zewnętrzej, świetnej według świata, wiodącej do potęgi. — Owszem, wszędzie serce moje przemogło miłość własną i rozum mój. Pewno, były walki między niemi — ale zwycięstwo nigdy nie wahało się długo. Jestem dzisiaj chory, smutny, nic nie znaczący na tym szerokim świecie. Pewno tego przypisywać nie należy mojemu rozumowi, ale czuciu raczej. Niech Papa wierzy, że miłość własna jest tylko iskierką we mnie, pryskającą mi często z czoła, na to zgoda, ale nie mogącą iść w porównaniu z świętszym, z lepszym, z większym ogniem, choć skrytszym, serca mego. Wielu ludziom uda się lepiej odegrać rolę swoją ziemską — ale nikomu goręcej kochać tych, których kochają, święciej czcić to, co czcili od kolebki.

Teraz, ile razy pomyślę o Papie, mam łzy w oczach«...

Listy Krasińskiego są wprawdzie tak stale i zawsze smutne, że trudno jest dopatrzeć stopni i odcieni w tym smutku i mierzyć je; a jednak usposobienie jego w tym czasie jest chyba jeszcze bardziej niż zwykle posępne. Ze wskazówek niektórych wnosić można, że jego uczucia religijne i jego pojęcia filozoficzne doznają jakiegoś wstrząśnienia. On, który w pierwszej młodości pytał przyjaciela, jak się nie wstydzi nie być katolikiem, a księdza Lammenais sądził surowo, i słu-

sznie, w grudniu roku 1834 daje już poznać mimochodem w sobie jakąś pod tym względem zmianę, kiedy pisze do Sołtana: »im więcej człowiek *silną wiarę traci*, »tem bardziej zabobonnym się staje«. Teraz, w zwierzeniach swoich (do Gaszyńskiego) daje poznać jakąś w sobie walkę pomiędzy silnemi pokusami zwątpienia, a wstrętem do niego: »Obyś nie przyszedł do stanu »przeklętego, w którym poeta zapytuje samego siebie: «Jestże poezya, niemali jej na świecie?« Cierpkie to zwątpienie, a zarazem za niem, jak dwa widziadła, stąpają dwa drugie zwątpienia: jedno o Bogu, drugie o nieśmiertelności duszy własnej.

»Przekleństwo tym Niemcom, Panteistom, filozo»fom. Oni chcą, by materya i duch jedno były; by ze»wnątrz świata, by za naturą nic już nie było; by or»ganizm świata był Bogiem żyjącym na ciągłej prze»mianie, na ustawicznem umieraniu cząstek swoich. »Przeklęci, przeklęci — oni mnie pozbawili na czas »długi uczucia piękności! A jeżeli to prawdą, żeśmy »błaznami dni kilku, a potem prochem, gazem, infu»zoryami, idącemi się zrosnąć w jakie inne błazeństwo »organiczne? a jeśli prawdą, że świat tylko nieśmier»telny, a wszystka cząstka jego śmiertelna, odmienna, »bez wiecznej indywidualności? jeśli Bóg, to otchłań »tylko przemian bez końca, to wieczność śmierci i uro»dzin, to łańcuch nieskończony o pryskających ogni»wach, to ocean, w którym każda fala wspina się, by »kształt dostać i opada natychmiast bez kształtu?«

A z czasem taka skarga i taki ponury opis siebie samego; »W poezyi mojej nic nigdy nie było naiwnego, »potulnego, dobrego. Szatan, nie anioł stróż mój, na»tchnął mnie od lat dziecinnych. Zawsze pękające »serca, przeklinające siebie same serca cisnęły się pod »moje pióro. Gruz i popiół, oto państwo moje! i sie»dząc na tych ruinach zżarłem ostatki nadziei i miło»sierdzia Pańskiego w sobie. Starością jakąś zawsze

»cechowały mnie bogi; nigdym nie był tak niewinny, »tak dobry, tak ufny jak ty, i dlatego nigdym nie był »jako ty szczęśliwy. Ozwała się we mnie potrzeba »niewinności, konieczny mus wiary w niewinność, »kiedym już stary na sercu, kiedy już niewinności »ufać nie zdołam. Coś czystego, coś czystego daj mi, »a ja ci duszę oddam w zamian. Wieku mojego nie »cierpię, a jednak wszystko we mnie zgodne z wie»kiem, w którym żyję; tesame rozhuzdane żądze i nie»możność ta sama, te same półwiary i półbłyski rozumu, »i ta sama nuda ogromna, straszna, piekielna, zimna »jak lód, pożerająca jak ogień«. (List XXVIII. Florencya 9 lutego 1836).

Rzecz aż nazbyt widoczna, że on to rozdarcie swojej duszy przypisuje »Niemcom filozofom«, bo inaczej, czemużby ich tak gorzko przeklinał. Musiał więc w nich się zagłębiać, i z nich wciągnąć w siebie te wątpliwości, które go dręczą. A jednak nie poddaje się, pasuje się z niemi, bronić od nich musi siebie samego, skoro broni przyjaciela: »Co do panteizmu, »wątpię, byś w nim wyszukał jaką pociechę. Panteizm »Spinozy a ateizm, to jedno. Świat w myśli Żyda, »który się w końcu powiesił z rozpaczy[1]), jest ogro»mną otchłanią życia i śmierci, czyli przerobów życia, »ale bez poczucia się własnego. Bóg zjednoczony ści»śle ze światem, jest jakoby nieskończone zwierzę bez »granic, zwierzę instynktowe, fatalne, w którem wszy»stkie indywidualności giną, a które indywidualno»ściami się objawia. Dusza człowieka pojedynczego »w krainach ducha staje się temsamem, co siła ele»ktryczna lub magnetyzm, dziś przypięta do tego me»talu, jutro pochłonięta w obszar natury, grzmiąca po

[1]) Podanie o samobójstwie Spinozy mylne; nie mówią o niem badacze i biografowie filozofa. Gdzie je Krasiński wyczytał nie wiadomo.

»chmurach: ale czy tu, czy tam, niepojęta sobie samej, »niebędąca sobą«.

W początkach roku 1836, w Rzymie, nowa znajomość, wiele w jego życiu znacząca, ważna: pierwsze spotkanie ze Słowackim. Jego wrażenie, jego zdanie, w listach do Gaszyńskiego:

»Jest tu Juliusz Słowacki, miły człowiek, ogro- »mem poezyi obdarzony od niebios. Kiedy ta poezya »w nim dojdzie do harmonijnej równowagi, będzie »wielkim. *Kordyan* jest poematem zapału, szaleństwa; »są w nim pyszne położenia i dziwnie trafne pojęcia. »*Marya Stuart* jest także znakomitą. Mickiewicz nawet »sam nie miał tak różnobarwnej i giętkiej wyobraźni. »Jednak trzeba, by te żywioły doszły w Słowackim »do harmonii muzycznej, by sztuczniej jeszcze nauczył »się godzić dyssonanse z prawdziwemi dźwiękami. »Brak mu czasem powagi, bez której poezya może być »miłą igraszką, ale nigdy nie zostanie częścią świata. »Tej on nabędzie, bo zdolności tak silne nie ustają, »nie słabną, aż odbędą drogę sobie przeznaczoną i wy- »dadzą wszystkie owoce w nich nasiennie zawarte. »Garczyński nie miał i trzeciej części jego ducha, choć »tak w obłoki podchwalony przez Mickiewicza« (do Gaszyńskiego. List XXX. Rzym, 22 maja 1836).

Wizerunek człowieka, skreślony w kilka miesięcy później, i pod zastrzeżeniem dyskrecyi Gaszyńskiemu przesłany (20 listopada 1836), niemniej trafny zapewne, ale mniej pochlebny: »Słowacki jest w Egipcie. Boję »się o zdrowie Juliusza, bo nie długowieczny, a tam »łatwa śmierć, tak jak łatwe życie. Dziwny to kon- »trast w tym człowieku: awanturniczy wyobraźnią, »tchórz zaś nerwami i całem ciałem. Jest on z tych »poetów, którzy nigdy w danej chwili poezyi w dzia- »łaniu mieć nie będą. Zawsze uważałem, że poeci, »w których silnego indywidualizmu nie czuć, jak np. »w Byronie, są tchórzami: Goethe był nim, Szekspir

»być musiał; ale za to więcej obejmują, mniej są lu-
»dźmi, bardziej światem. Jest w nich jakiś panteisty-
»czny kunszt; rozlani w cudzych charakterach, w ze-
»wnętrznych fenomenach, mniej dbają na godność oso-
»bistą; słowem, są to siły ogromne duchowne, ale nie
»ludzie. Tę uwagę jednakowoż o Julku schowaj dla
»siebie. Ogadywaćbym go nie chciał, tak jakbym w ża-
»dnym przypadku także liczyć na niego nie chciał.
»Z temi istotami obchodzić się trzeba, jak z morzem,
»jak z elektrycznością; zważać ich objawienia i dziwić
»się im, jeśli silne, żadnej zaś nadziei ni rachuby na
»nich nie pokładać; w tem ich podobieństwo do ko-
»biet i do sił ślepych natury«.

W pierwszej połowie czerwca tego samego roku jest już w Kissingen, potem w Pradze i u wód czeskich, potem jeszcze w Graeffenbergu, u sławnego wtedy doktora Priessnitza dla ratowania własnego zdrowia. Tam, w Czechach, musiał spotykać ludzi, którzy go oburzali, słyszeć mowy które go gorszyły, odbierać wiadomości które go trwożyły, bo to, co pisze o moralnym i politycznym stanie Polski, tchnie czarną rozpaczą.

(1835. 1 Augusta Praga). »Szczególne próbki to-
»warzystwa warszawskiego *fashionable* za dni teraz
»płynących, przechadzają się po Karlsbadach i Marien-
»badach; przechrzty, celnicy, ludzie spanoszeni od
»1831 r. arendą wziętą od rządu na wódkę i tabakę,
»gadający o swoich kucharzach, appartamentach, o ba-
»lach dawanych w Zamku pod kolumną Zygmunta,
»w których figurują na pierwszem miejscu wraz aj
»waj! z panami polskimi pozostałymi. Był w Marien-
»badzie jeden exemplarz tych panów; z matką, z sio-
»strami, wlokący się za tymi żydami z prawdziwie
»świętą rezygnacyą, rozmawiający z nimi, jedzący, pik-
»nikujący, tak zupełnie oddany im, jak słyszałeś że
»niegdyś starożytni oddawali się Fatom, kiedy poznali,

»że daremna przeciw Fatom walka. Nic zabawniej-
»szegoby dla mnie nie było, gdybym sam nie był Po-
»lakiem; ale to wszystko zmienia, i coby śmiesznością
»tylko się wydało, w tem znaczeniu musi podłością
»koniecznie być. Im bliżej do rodzinnej ziemi, tem
»obrzydliwsze powstają widma. Naprzykład we Wło-
»szech ujrzysz jeszcze ludzi możnych, jeszcze jakiś po-
»lor czasami czegoś mających; w Kissingen nad Re-
»nem ujrzysz z kijowskiej gubernii skąpego filantropa,
»przecież jeszcze mówiącego dobrze po francusku, ża-
»łującego dwóch guldenów dla biednej żony, ale jeszcze,
»jeszcze ujść mogącego. Lecz w Karlsbadzie i Marien-
»badzie już wytrzymać nie potrafisz; tam ni Ukraina,
»ni Wielkopolska, ni Litwa, ale wylały się pomyje,
»co zostały na dnie w tej beczce, braha zakiśniała
»gorzelników i piwowarów. Tam dopiero usłyszysz
»i pojmiesz, co to Polska dzisiaj: jak wszystko się
»płaszczy, jak wszystko przekupne, jak urzęda przez
»Polaków odzierżone dziesięćkroć razy straszniejszemi
»są, niż piastowane przez Moskali; jak wali się z pieca
»na łeb ostatek godności narodowej, jak z nędzy
»i hańby powszechnej korzystają Niemcy i Żydzi, jak
»Żydzi wszędzie i Żydzi tylko mają wpływy, znacze-
»nie, potęgę, dostatki. A jak zobaczysz na własne oczy
»te figury naszego *tiers-état*, gorsze tysiąc razy niż nie-
»mieckie bankiery i epissiery niemieckie lub francu-
»zkie, podlejsze i chciwsze niż najlichszy *agent de*
»*change* czekający w przedsieniu Rotszyldów, bogat-
»sze i potężniejsze w dzisiejszym stanie rzeczy, niż
»największy pan polski, to ci coś przeklętego w sercu
»się stanie, to i łzy zakręcą się w oczach, i świat cały ci
»się wyda tylko marną *farsą*, której chyba koniec jest
»początkiem czegoś szlachetnego i lepszego, lub przy-
najmniej ciszą«!

(Do Sołtana: Praga 5 Augusta 1836). »Coraz gor-
»sze wiadomości dochodzą z Azyi. Wyszedł ukaz po-

»równywający szlachtę Królestwa z Moskiewską, i roz-
»kazujący, by każdy wywiódł swoje szlachectwo. Naj-
»pewniejszy sposób pożałowania w chłopy tysiąców
»naszej szlachty, najpewniejszy sposób zniszczenia na
»majątku biednych wielu; pole ogromne, jak ocean,
»szykany, kruczków, ucisków wszelkiego rodzaju. Da-
»lej przymus wchodzenia w służbę: każdy nie w słu-
»żbie, tak jak w Rosyi, za niedorośl uważany, a prawo
»szlachectwa traci rodzina, która przez trzy pokolenia
»nie wchodziła w służbę. Tem rozporządzeniem osta-
»tecznie *redacti sumus in provinciam*. Trzeba przy-
»znać, że się djable nie udało. Zewsząd Polska się
»wali, za granicą głupstwem wielu, gałgaństwem nie-
»których, w samym kraju przemocą z góry i podłością
»samychże mieszkańców w niejednym względzie. Serce
»się kraje na taki widok, bo demoralizacya narodowa
»coraz szybszym krokiem postępuje, coraz do Żydów
»podobniejszymi się stajem, coraz bardziej sine plamy
»śmierci na nowym trupie się rozlegają i wyciskają.
»Powtarzam, w takim stanie rzeczy tylko starożytni
»stoicy radę sobie dać umieli: po odbytej biesiadzie
»kładli się do łoża, a nazajutrz rano niewolnicy zasta-
»wali ich, sztylet po rękojeść w sercu wbity. Kto z po-
»tokiem walczyć nie może, a nie chce spodlić się mu-
»łem jego brudnych fal, ten powinien scenę porzucić.
»Żyć, by jeść i pić hańbę, by wypaść się hańbą, by
»stać się nareszcie karmnym wieprzem na brahi spo-
»dlenia, niewarto! Większa część ludzi powie, żem
»szalony, ale ty tego nie powiesz, bo jesteś jeszcze
»z tych, w małej liczbie pozostałych na dzisiejszym
»świecie ludzi, którzy wierzą w czucie głębokie, w ho-
»nor, w pewne myśli święte, więcej warte niż grosz
»lub cielesne używanie życia. Ale strach mnie ogarnia
»Adamie! bo takich ludzi przez Boga już mało bardzo,
»coraz mniej ich i mniej. Każdy dzień nową garstkę
»podłych i skąpych, chciwych i w nic nie wierzących

»przynosi, a zabiera szlachetne istoty, czy przecinając »ich życie, czy też przemieniając ich na tchórzów »i podlców niewymowną siłą okoliczności i zwątpienia. »Kiedy obejrzę się wokoło, zdaje mi się, żem w pu»styni i że coraz samotnieję bardziej. Zobaczysz, że »pod koniec życia oddadzą nas do szpitala waryatów. »Rzuć okiem na nieszczęśliwą naszą ojczyznę rozsy»paną po ziemi od Dźwiny i Dniestru po brzegi Afryki, »kogo napotkasz? Awanturników bez czci i wiary, »tam, gdzie gorętsze słońce; spokojnych ludzi bez czci »również i wiary, tam, gdzie bledsze i chłodniejsze! »następnie naszą nieszczęśliwą ojczyznę, nędzną, w mę»kach oddającą ducha Bogu, który nas opuścił. Wszę»dzie parcie okropne przeznaczenia, brak powietrza, »czarno, duszno, jakoby dzień ostatni sądu się zbliżał, »a na nim naród polski miał być potępionym. Źle mi »nad miarę, szukam jakiejkolwiek ulgi, powierzając ci »te myśli moje, posyłając je tobie daleko, gdyż wiem, »że w twojej duszy znajdą echo, że spadną na serce »twoje równie smutno, jak na mojem leżą, i że ów »wspólny żal będzie niezłomnym węzłem między nami. »Ale szperać, jakie nasze losy na później, próżnemby »było; każdego z nas zapewnie gorzkie dni czekają, »łudzić się nadzieją byłoby dzieciństwem«.

Chwilami rozpogadza się niby na krótko, naprzykład kiedy opisuje swoją kuracyę w Graeffenbergu: »Nie wiem, czy ci wspominałem w przeszłym liście »o miłem położeniu, w jakiem jesteśmy. Co noc o 11 »lub 12 muszę wracać od Danielewicza po drodze, na »której mego Jana (służącego) wywrócono, skaleczono »w głowę i w rękę, i na której drugim przydarzało »się tosamo w tych czasach. Jestto droga w wąwozie, »krzaczkami poprzerywana, pełna głazów dużych i kry»jówek. Zrazu trzeba iść koło cmentarza, potem wśród »pól; na zakręcie drogi są dwie mogiły, jedna po wi»sielcu, druga po takim co sobie w łeb strzelił. Otóż

»w miasteczku rozdwojone zdania. Burmistrz, oberży-
»sta, słowem *Honoratiores et doctiores* twierdzą, że
»to rozbójniki, łotry, przemycowniki, ludzie jednem
»słowem, którzy Jana poranili. Furman zaś, praczka,
»córki krawca, i ogólnie płeć piękna utrzymują, że to
»ci dwaj samobójcy, przywodząc na dowód tego po-
»wieści przeszłoroczne jedne straszniejsze od drugich,
»a w tem niesmaczne, że wszystkie na kijach albo na
»ranach się kończą, i to zawsze na temsamem miejscu,
»na zakręcie drogi. Dopóki trzysta osób jadało w sali
»Graeffenberskiej, dopóki świeciły gwiazdy lata, do-
»póki chadzaliśmy po tej drodze z piękną Adelaidą
»Reichenbach i z jej ciotką, nic nie było słychać ani
»o widmach ani o złodziejach. Wtem rozjeżdżają się
»hrabiowie i hrabiny, baronowie i oficery, ja i Danie-
»lewicz sami jesteśmy, zima góry śniegiem przyprusza,
»drogi błotem: zimno, głucho, samotnie się robi; cho-
»lera coraz bliżej nas ściska... Wtedy jawią się roz-
»boje, powstają widma, strachy, otwierają się groby,
»tysiące powieści wydobywa się z ukrycia, okolica
»zamienia się w Pandemonium. Wszyscy coś trupiego
»mają do opowiadania: pocztylion w rowie spotkał
»umierającą babę, i dalej pod krzyżem dziecko umarłe
»z cholery; rymarz, wracając z pola w nocy, obalony
»został na ziemię, i ktoś mu nożem na czole wyrżnął
»cierniową koronę. Burmistrz na to odpowiada, jak
»przed laty gdzieś spotkał cyganów i wielkie męstwo
»pokazał, dobywszy szabli i uciekłszy co żywo przed
»nimi. Temu stanął zegarek, choć nie pękła żadna
»sprężyna. Piekarzowi nie udały się bułki, u doktoro-
»wej drób zdycha, a mąż choć przyrządza pigułki nie
»może pomódz. Taki jest obraz dni smętnych, które
»teraz spadły na miasto szląskie imieniem Freywaldau.
»Co dalej będzie nie wiem; to wiem tylko, że co noc
»z pistoletami wracając do domu, upatruję wszędzie
»wisielca, i gotówem z niego zastrzelonego zrobić«.

I w innych listach żartuje niby, ale jakież to smutne żarty! »W tych dniach — pisze raz bez daty »(List XXXII) — los mojej duszy się rozstrzygnie. Albo »wzbudzę w niej iskrę, albo zebrawszy wszystkie siły, »stworzę sobie jaką postać do kochania idealnie »i ubiorę ją w kształt, albo też przekonam się żem »głupi na wieki, i każę sobie zrobić maleńki sarkofag »z szyldkretu z napisem dnia, w którym pożegnałem »ją, a pod spodem będzie: *»dzień śmierci rozumu »mojego«*. Ale potem co zrobię? czy świnie paść »będę? czy strzydz owce? czy się wykieruję na do- »bosza? czy jak mój stryj garnków fabrykę założę? »Tyle dróg przedemną, a ja się waham? Nie, nie. »Sprawię sobie portki à la Général Aléxandre, i płaszcz »duży, i będę z niego bułki sypał wiedeńskim łaza- »rzom. Albo ożenię się z brodawką, kołtun spłodzę, »i za to zrobią mnie powiatowym marszałkiem. Od- »biję S...[1]), który się dotąd nie ożenił, ożenię się »z panną Henryetą, która mnie tak wiernie kocha, »osiędę w Rzymie, kaczki z Galicyi sprowadzę do »Kolizeum i będę przepisywał elegie mojej żony nad »niemi«.

Ale ten, który sobie pociechy znaleźć nie może, ma zdolność dziwną i błogosławioną do dawania jej drugim. Pułkownika Sołtana dotknęło nowe nieszczęście. Od emigracyi już rozłączony był z dziećmi. Synowie na rozkaz Mikołaja wywiezieni byli do Moskwy i oddani do szkoły kadetów, choć najmłodszy miał pod ówczas zaledwo trzy lata. Córki chowały się w Kamieńcu w klasztorze Wizytek. Teraz młodsza z nich umarła. Oto co pisze Krasiński do biednego ojca, kiedy się o tej jego stracie dowiedział (z Wiednia 12 listopada 1836, List XXXIII). »Biedna twoja maleńka szczęśli-

[1]) Stanisław Sołtyk, później mąż Henryki Ankwiczówny, zmarły młodo i bezdzietnie.

»wsza od nas wszystkich. Śniło jej się tylko, ze była »na ziemi, i po nocy jednej obudziła się napowrót »w domu. My zaś nie jedną noc jeszcze mamy. Nic »czystszego, nic bardziej błogiego jak zgon dziecięcia. »W późniejszych latach, wśród pokus życia i trudów »jego umierać, to inna sprawa, bo już duch nasz przy- »rósł do ziemi, przylgnął do ciała, stał się człowiekiem »zupełnym. Wtedy są zapasy ciężkie w godzinie osta- »tniej, wtedy prawdziwie więdniejemy na łożu śmierci, »bośmy prawdziwie rozwici byli. Ale ona, ta biedna »mała święta twoja, był to pączek tylko, który śmier- »cią w różę się rozkwitł, tylko że niewidzialną dla nas. »Pewno konając, nie żałowała nieznanego świata; może »jej przyszła myśl o ojcu dalekim, jak przez mgłę po- »nurą, a w tem pękła mgła i gdzieś ujrzała się w błę- »kitach, i wtedy jasno oczkami anioła ujrzała ojca »ziemskiego i rączki ścisnąwszy za nim, udała się do »niebieskiego. Kiedy na wiosnę przynosić ci będą »kwiaty, pomyśl że taki jeden świeży i południowy »masz w niebie, którego wonią są modły i pieśni za »tobą. Nie płacz nad jej zawczesnym zgonem, ale mów »raczej: *manibus date lilia plenis*«... »Pytasz się« — pisze w liście następnym — »czemu jeśli duch boski »przewidział, posyła dusze na ziemię i po kilku dniach »nazad je bierze? Już dni kilka cielesnego bytu są po- »kutą dla duszy. Im jej natura czystszą była, tem mniej »takich dni przepędza na świecie, tem mniejszy ciężar »ciała dźwiga. Ztąd przysłowie Greków: »Tego uko- »chały Bogi, co umarł za młodu«; ztąd wiara katoli- »cka, że dziecię kiedy umiera, to być musi Aniołem. »Znać po znikomości kary niewinność ducha; znać że »drobne zmazy starła prędko włosienica ciała, i że »nazad przejrzysta dusza wraca do źródła swego... »Temu zaś długie dni i bóle się dostały, który dla »przebłagania sprawiedliwości potrzebuje litość jej obu- »dzić. W tym zawodzie dopiero duch anielski staje się

»człowiekiem, staje się mężem. Dziecko znika jak kwiat »i odkwita na nowo nie zostawując śladów żadnych »na ziemi: jego natura więcej oderwaną jest od świata, »więcej boską, mniej ludzką zatem — i zasługi nie ma »(prócz obleczenia się w materyą bolesną), bo ledwo »było przestępstwo jakieś w niem. Ztąd też godności »i wielkości w niem nie będzie. Dopiero majestat lu»dzki, bohaterstwo, cnota, wytrwałość, objawia się »w tych, którzy od poranku dni swoich do późnego »wieczora krzyż na barkach dźwigali. Oni to w całej »grozie znaczenia wypędzeni z raju, oni wszystkich »sił potrzebują, by wrócić do niego. Ale im też należy »się chwała, cześć, szacunek za trudy i nieskończone »bóle. Znowu więc kiedy stoisz nad grobem starca, »kiedy ten starzec w ciągu wygnania dotrwał nędzom »wygnania i siwe jego włosy były mu cnoty koroną, »o! wierz znowu, że i on jest aniołem. Dziecko jak »woń róży wzniosło się do niebios; starzec jak olbrzym, »ale olbrzym moralny, wdarł się do nich, świadcząc »się długą żałobą i długiem wytrwaniem. Na grobach »złych i podłych tylko płakaćby trzeba. Kto wie, może »Bóg w chwilach nieskończonej miłości, aniołom swoim »każe płakać nad nimi. Ale na grobie cnotliwych winna »być tylko powaga, ogromna, jak ogromnemi były ich »statek i zapasy i radość, nieskończona, jak ich szczę»ście w niebie! Darmo jednak; to rozum tak przema»wia, ale serce inaczej. Serce nieraz pęka. Im ten »który odszedł, więcej doznał smutków, więcej męstwa »pokazał, tem dłużej i smętniej myśli nasze ciągną za »nim, pogrzeb jego nie ustaje w sercu naszem. I bło»gosławiony ten który zniknął, i ten, który został po »nim i płacze; oba kiedyś razem będą, razem tam, »gdzie niesprawiedliwości nie masz«.

Wkrótce po dziecku stracił pułkownik Sołtan ojca. Stary Marszałek niegdyś nadworny Wgo Xstwa Litt. nie przeżył porwania wnuków i oddania ich do

kadetów. Choroba i śmierć przyszły nagle po tem nieszczęściu. Oto co pisze Krasiński do syna: »Takie ży»cie, mój drogi! Na to szanujemy i kochamy, by się roz»łączyć: na to postępujem drogą prawą, by nam wszy»stko odjętem zostało, nawet ostatnie spojrzenie umie»rających daleko od nas. Jednak pomyśl mój drogi, »jak gorąco ta dusza prawa, ta dusza polska błogosła»wić ci musiała w ostatnich chwilach, kiedy szukając »cię u łoża śmiertelnego swojego, nie znalazła ciebie, »i pojęła wtedy cały ogrom poświęcenia twojego, cały »przedział i gorycz wygnania twojego: a przypomniała »sobie, żeś ty nie inaczej tak postąpił, tylko jak syn, »który słuchał uważnie jej słów w dzieciństwie, »a w męskim wieku te słowa ojcowskie wykonał. Ja »wierzę, że każdy umierający, ma w chwili przedosta»tniej rodzaj objawienia, podczas którego jeszcze czuje »zmysłami człowieczemi, a już widzi świat ducha... »Wśród takiej zorzy umierając, twój sędziwy i tyloma »kolejami skołatany ojciec, musiał ujrzeć ciąg lat swo»ich, i cały szereg nieszczęść kraju, które tak zacnie »i szlachetnie od kolebki do grobu podzielał, a nie »ujrzał chwili, w którejby miał sobie co do wyrzuce»nia, nie ujrzał chwili, w którejby syn jego danego »przezeń przykładu odstąpił. Czyż myślisz, że takie »poczucie się do własnej godności nie było mu naj»wyższem szczęściem? i że śmierć taka nie lepsza od »tysiąca życiów innych? O pewny jestem, że umierał »spokojny, błogosławiąc Polsce i tobie; a kiedy ujrzał »lica Anioła Pańskiego, poszedł za nim bez zwłoki »i bez trwogi żadnej. Bądź dobrej myśli, bo on teraz »bliższy ciebie, niż bywał od lat sześciu. Dla niego »rozdziału już niema z tobą. Ty go nie widzisz; ale »wznieś myśl ku światu duchów, a uczujesz go. Ty »tylko jesteś na cudzej ziemi, wśród obcych; ale on »już w domu«. (List z Wiednia 25 grudnia 1835).

A jego miłość w ciągu tego roku? Danielewicz

pisze do Jenerała Krasińskiego z Kissingen, w Lipcu, że miłość zawsze trwa, że Zygmunt czasem czuje że go ona zawiodła na złą drogę: ale kocha, a gdyby nawet nie kochał, to winienby mieć wzgląd na zdrowie i na położenie pani Bobrowej. W listach samego Krasińskiego mało o miłości wzmianek. Ale zaznacza się w jego zawodzie — wierszami. Czy one są istotnie pierwszemi jakie napisał, jak to sam mówi? Być może że prawdziwem jest przypuszczenie, o którem mówiliśmy wyżej (rozdział II), że on już w Genewie wiersze pisywał. Ale w każdym razie są to pierwsze, do których się przyznaje, pierwsze które puszcza w świat (choć bardzo nieśmiało i poufnie, w liście do przyjaciela, jak zresztą większą część drobnych wierszy aż do śmierci). Dość, że to jest chwila, w której po raz pierwszy spotyka się w poezyi polskiej Krasińskiego wiersz.

»Bóg mi odmówił tej anielskiej miary,
»Bez której ludziom nie zda się poeta«.

Skarży się Gaszyńskiemu w tymsamym roku 1836 (7 lipca), a rokiem prawie później (w kwietniu 1837) pisze do niego słowa, z których domyślać się można, jak on się w tej trudności wierszowania pociesza, jak swoją prozę pojmuje, i jakąby ją chciał zrobić i widzieć.

»I w prozie pewien rodzaj rytmu być może; wszystkie wschodnie języki poczuwają się do takowego. Pismo święte dziwną mową pisane, w niej razem się zeszły rytm i nierytm. O wschodzie pierwszego słońca, w raju, ludzie taką mową wyrażać się musieli; łączyli w tok jeden wolność prozy naszej i dźwięk starożytnych wierszy. Ogólnie, wszystko co wielkie i piękne, musi wprzód w sobie rozwiązać przytrudną zagadkę powiązania dwóch sprzeczności. To co je łączy, zowie się w naszej religii Duchem Świętym. Myśl i materya

duchem połączone, skończoność i nieskończoność, wszędzie, w stworzeniu i w nas samych występują razem. To stanowi piękność świata: bo piękność jestże czem innem, jak odbiciem się nieskończoności na licu skończonem; jak zawarciem tego, co niema końca, w tem, co w twarde ujęte granice? Tak samo proza i wiersz, gdy spłyną w jedno, będzie wielka mowa ludzka. Co myślisz o tem? Może jedyną zasługą autora naszego będzie, (mówi o sobie), wskazać innym szczęśliwszym, że to stać się musi i może. Lecz i to być może, że już z niego nigdy nic nie będzie. Amen!«

Dość, że pierwsze jego znane wiersze zawdzięczamy tej miłości; ona je natchnęła, ona zrobiła je swoim wyrazem.

Jakie są? Nie z najwyższych jeszcze, ale do wszystkich późniejszych podobne... smutkiem.

O biedna! czegóż ja mam życzyć tobie?
By świeżość wiosny w posępnej żałobie
Nie marła jeszcze na twem drogiem czole.

Więc jest coś złego, coś bardzo smutnego, kiedy ona *biedna*, a on sam nie wie czego jej ma życzyć, i boi się, że piękność i pogoda zgasną na jej czole, a zostanie zwiędłość przedwczesna, troska i żal? Kto czytał ogłoszone Krasińskiego Listy i obeznał się z kolejami jego życia, dlatego niema tu tajemnicy; sama data wiersza tłómaczy jego myśl ukrytą. Rok 1836, *Irydion* już wyszedł z dedykacyą *na pamiątkę chwil minionych;* a więc chwile szczęścia już przeszły, i pierwsza miłość poety przeszła w ten okres smutków, udręczeń, złośliwych sądów, po którym nastąpi okres ostatni zgryzot, rozpaczy, wierności trzymającej się całą siłą uczciwości i honoru, aż do ostatecznego, od jego woli niezależnego rozłączenia. Teraz, choć pierwsze zachwyty szczęścia minęły, a udręczenia przyszły, miłość jest jeszcze: cała, oddana zupełnie,

gotowa na wszystko, podziwiająca zwłaszcza, i pewna, że zawsze tak kochać i podziwiać będzie. To mówi drugi z tych wierszy, krótszy, piękniejszy od pierwszego, bardzo istotnie piękny tem uczuciem, w którem za nią oddałby wszystko, a bez niej nie wie jakby żyć potrafił:

Jeśli mi kiedy przewodniczyć miały
Na drodze ziemskiej szczęście albo chwała,
Zrzekam się szczęścia i nie chcę tej chwały,
Byś tylko dłużej piękną mi została i t. d.

Jeszcze to nie bardzo ponure; jeszcze ta miłość sama, wzajemna, żywa, jest szczęściem, mimo walk lub prześladowań. Ale ten ton nie trwa. Przeszło zaledwie parę miesięcy — wiersz najbliższy jest z 20-go listopada tegoż roku — a w tym następnym wierszu poeta jest w takiej rozpaczy, w takiem zniechęceniu, że już w nic, ani w siebie samego nie wierzy, i nic nie pragnie tylko śmierci, a w śmierci słyszeć przy skonaniu jej głos nad sobą wołający go do innego świata. Ponurość *Nieboskiej Komedyi*, ponurość niektórych Listów, kiedy mówi w nich o Polsce lub o dzisiejszym świecie, w tym wierszu przenosi się na jego własne uczucia i dzieje:

Mogłem być z tobą na ziemi szczęśliwy[1]),
Mogłem uwierzyć, że tu czasem wiosna.

Ten wiersz jest już bardzo piękny, pisany z wielką mocą uczucia, i wielką mocą nad formą. Ta ostatnia nie jest może jeszcze zupełną; wiersz przerywa się w dwóch miejscach, a po tej przerwie zaczyna się myśl inna; znać poprzedniej nie mógł poeta dokończyć tak dobrze jakby chciał, i dał jej pokój; a że drukować nie myślał, więc nie dokończył już nigdy. Ale

[1]) Wydanie lwowskie 1890, T. III, str. 6.

mimo tych przerw i niezupełności, wiersz ma właściwe cechy charakteru i poezyi Krasińskiego, powagę, głębokość, a nadewszystko smutek.

Zima z r. 1836 na 1837 przeszła w Wiedniu. Dlaczego tam? Nie z upodobania ani dla przyjemności, bo te byłyby poetę zawiodły do Włoch. Może jaka potrzeba, może powolność życzeniom ojca, który chciał widzieć go żonatym, i nalegał na pobyt w miejscach, gdzie mógł spotkać panny takie o jakich ojciec dla niego marzył, dość, że siedział w Wiedniu, a nudy przykrego pobytu słodził sobie szlachetnem usiłowaniem. O wydostaniu synów Sołtana z korpusu kadetów oczywiście nie można było ani marzyć. Ale jego pozostała córka (późniejsza hrabina Alfonsowa Sierakowska) wychowywana w klasztorze w Kamieńcu, czy ta nie mogłaby się dostać do ojca? Otrzymać dla niej pozwolenie wyjazdu z Rosyi, oto co postanowił Zygmunt, i nad czem z wielkim mozołem i z wielką zręcznością pracował. Była wtedy w Wiedniu księżna Kazimierzowa Lubomirska, jego i Sołtanów krewna, i gorliwa przyjaciółka. Tę więc staruszkę, dobrą bardzo, ale chorą, pogrążoną w melancholii, pozbawioną wszelkiej energii, musiał naprzód nakłonić, żeby podała prośbę do rządu rosyjskiego o wydanie sobie dziewczynki, której była jedyną niby krewną i opiekunką. Potem, przez różne wpływy w Petersburgu, trzeba było otrzymać pozwolenie. Nie od razu, owszem po wielu, wielu zwłokach i trudach, po roku przeszło czasu, miał wreszcie Krasiński tę pociechę, że przyjacielowi dopomógł do odzyskania choć jednego z dzieci, starej sierocie księżnie na ostatnie lata życia dał czułą opiekę i choć jeden błysk młodości i wdzięku, a dziecko chowane przez obcych, pod dozorem rządowym, wyrwał z zimnej atmosfery na świat, na słońce, gdzie przy ojcowskiem sercu mogło odżyć i rozwijać się szczęśliwie. Te starania zajmowały go głównie podczas

tego pobytu w Wiedniu, który zresztą mało miał dla niego powabów. »Świat tutejszy polski« — pisze 7 stycznia 1837 (List XXXVIII) — »składa się z wielu członków, ale nie uwierzysz, co za plotki, przegryzki, śmieszne dumy i drobne podłości. Źle mówię: drobnych podłości niema, najdrobniejsza jest morzem hańby. Dlatego też stronię od nich i nienawidzę ich *głupie wieczory* (sic). Jeden tylko Konstanty Czartoryski dobry jest i szlachetny, choć ospały nieco, a dom jego pusty i smutny... Inni emetykiem są dla duszy mojej. Jeden Jerzy Lubomirski« — pierwsza to wzmianka o późniejszym przyjacielu — »jest szlachetnym, miłym i pełnym nadziei chłopcem. Powiedz księżnie Stolnikowej, że ma poczciwego i rozumnego wnuka«. »Karnawał wre i kipi«. (List XXXIX). »Towarzystwo polskie wre i kipi tu także plotkami, przekąsami, potwarzami, głupstwem. Moją zaś pociechą jest *Burg-Theater*. Wczoraj dawali *die Jungfrau v. Orleans*. Pani Rettich, najlepsza w Europie aktorka po śmierci Malibranowej, grała Dziewicę. Sądziłem, że mi uniesienie piersi rozerwie. Bosko gra; boskie i pomysły w tej tragedyi, choć może układ całości mógłby być sztuczniejszym i bardziej dopełnionym. Ale «w czem się nieporównanie udało Schillerowi, to w pogodzeniu skromności, dziewiczości, natchnienia i słodyczy zarazem chrześcijańskiej, z tem pragnieniem bojów, z tym zapałem niewstrzymanym do trąb co wzywają, do rumaków co tratują, do szabel co błyszczą i mordują, który ciągle wybucha z tej postaci młodzieńczej, pięknej, niewieściej. To przechrzczenie bellony starożytnych jest najwyższym dowodem ogromnego gieniuszu. Mierny pisarz byłby pękł, a tylko komiczną postać utworzył: Schiller najidealniejszą, najuprzejmiejszą i najwybitniejszą zarazem. Czujesz ciągle róż i krwi angielskiej zapach, słyszysz pienie Anioła niewinności, i chrzęst ponury

»i boskie szczęki bitew. Nim zasnąłem podziękowałem »popiersiowi Schillera, które nad mojem łóżkiem stoi. »Tak więc żyję, o ile mogę w świecie różnym od tego, »który mnie otacza... To mi jeszcze rozbudza serce, »to mi młodość moją pokazuje na oczy. Czuję w ta»kich chwilach, żem nie zgniły cały, że iskra, udzie»lona przez bogów, dotąd w piersiach moich się pali: »nie moja wina, jeżeli z niej nigdy płomienia nie bę»dzie. Oh! przeznaczenie ubłogosławiło duszę czło»wieka pragnieniem niewyczerpanem piękności i siły. »Ile razy luka się wytnie wśród karczów życia, i tam »gdzieś daleko mignie brzeżek błękitu, on wyciąga »ręce i zda mu się na chwilę, że w niebie. Tak mi »wczoraj było. Głupcy, co krzyczą na poezyę! Niech »pójdą ze mną, niech nim wejdą w ten świat wielko»ści, przejrzą duszę moją, niech tam obaczą, że ciemno »i nicość, a kiedy wystąpi Joanna, kiedy poczną ucie»kać hufce angielskie, niech spojrzą raz drugi: a jeśli »obaczywszy, żem szczęśliwy, jeszcze zdołają powtórzyć »sądy swoje nędzne, to nic ich nie oduczy. Radzę im, »by sobie sklep kupili w Ghetto zamiast pójść do Ka»pitolu. Wielki Boże; dzięki ci za to, żeś zrównoważył »podłość na tej ziemi poezyą!« Rozdrażniony, znu»dzony Wiedniem tęskni za Włochami. »Co tam pora»bia krzyż mój piękny w Coliseum« — pisze 9 marca 1837 (List XLIII) — »co róże moje śliczne w Villa »Mills? co białe nadgrobki pod piramidą Sestiusa?... »Ja myślą często bywam na Forum, i patrząc na Ka»pitol, i czytując napis S. P. Q. R. myślę, że tak wszy»stko skończy się na ziemi; aż mnie zaleci woń fioł»ków i cyprysów i znowu wyda mi się, że wszystko »młode nieśmiertelne na ziemi. Tu szare nieba, śnie»giem i błotem zaszarzana ziemia, zieloności nic, i świa»tła bardzo mało. Za to po ulicach konie angielskie, »hayduki, pajuki, huzary, murzyny. I to także zwali»ska; z tą różnicą, że gruzy pałacu Cezarów są już

»w ręku Boga, już w uściskach bluszczów i w tru»mnach z giętkiego powoju, a tu wiosny boskiej co »wschodzi na gruzach, znaku nie masz jeszcze; są »tylko podrygi schorowanych, grypy, ostatnie kaszle »i flegmy kałuże. Na początku XVII wieku Tęczyński »straciwszy dwóch synów podpisywał się zawsze *ulti»mus virorum de Tęczyn:* my wszyscybyśmy się tak »podpisywać powinni. Jeszcze to łaska Boża, kiedy »kto ma prawo powiedzieć o sobie *ultimus vir:* ale »kiedy *ultimus* poliszynel, to nędza i przekleństwo«.

Stan zdrowia coraz gorszy, a zwłaszcza wzmagająca się ciągle choroba oczów, przyczynia się zapewne wielce do tego usposobienia ponurego, które, im dalej tem czarniejsze, dochodzi wreszcie do zupełnego prawie zwątpienia i rozpaczy.

»Mój stan coraz się pogarsza« — z Wiednia 3-go kwietnia 1837 (List XLVI) — »plamę nieustanną czarną »widzę przed oczyma, najkrótsze pismo mnie męczy... »O Boże Boże, jakiż los mój gorzki i bezlitośny! »W tych tu miejscach grzęznąc coraz bardziej, niszczę »się. Ledwo mogę spojrzeć na promienie słońca. Pod »oknami ludność miasta cała krąży i przechadza się, »wzajemnie sobie wiosny winszując, słyszę ich gwary, »a patrzeć na nich nie mogę. Jeżeli skarga ta moja »słabością jest, daruj mi ją Ty, który pełny jesteś sta»tku i cierpienia. Ale są chwile, w których wszelka »nadzieja mnie opuszcza, w których coś niewieściego »rodzi się w duszy mojej, i muszę westchnąć ku »tym, których kocham. Prócz miłości kilku, szczę»ściam żadnego nie doznał na ziemi«... »Jestem wciąż »chory na ciele i na duszy. Świat materyalny dwoi »się przed mojemi słabemi oczyma, moralny pęka i ła»mie się w dziesięcioro w sercu i umyśle moim. Niema »nic w duszy mojej, na czembym spocząć mógł, ża»dnej gałązki zielonej po potopie, żadnej oasis na pu»szczy, żadnej nadziei na przyszłość. Pić opium, i ma-

»rzyć, to szczęście największe. Prawda, że i tu piekło »zjawia się po przejściu snów o niebie. Dziś rano Kon»stanty (Danielewicz) coś zagrał z czasów, w których »byliśmy w Neapolu, z czasów, które mi się dzisiaj »wiosennemi wydają, z czasów, które tuż poprzedziły »najszczęśliwsze dni życia mojego: i słysząc tę *Pre»ghierę* Mojżesza, uczułem taką żądzę, taką, że tak »powiem, lubieżność skończenia bytu, żem westchnął »z żalu, kiedy minęły akkorda... Gdyby kto czasem »mógł zajrzeć w duszę moją, kiedy sam jestem u sie»bie, kiedy myślę i męczę się, toby się wzdrygnął: bo »jak fale wiecznie podnoszę się, by żądać, i opadam »w rozpaczy, czując, iż z żądz moich nigdy nic nie bę»dzie. Ztąd też ja z całej natury najbardziej kocham »fale morskie, rozbijane na ostrych skalach Sorrentu »lub na mieliznach Lido; zdaje mi się zawsze, że »w nich coś siostrzanego widzę. Każden podobno czło»wiek jest taką falą w nieskończoności stworzenia. Im »kto silniejszy, tem więcej razy wróci do szturmu, ale »wszystkim wcześniej czy później jeden koniec bywa, »rozbicie. Bohatery zakwitną pianą białą, świecącą, »jak wielkie bałwany, i to się zowie chwałą ich; mierne »dusze płyną z boków i z tyłu, płyną i płyną, łamiąc »tylko w drobne zmarszczki powierzchnią głębi... Nie »znam istoty mniej wartej żyć, mniej pożytecznej na »świecie, mniej zdolnej cokolwiek uczynić odemnie. »Gdyby mnie Bóg zabrał, wymierzyłby wielką spra»wiedliwość, bom nie zdał się na nic. A mnie samemu »ulgą, bo się męczę porządnie«.

Obchodzą go jednak i własne dzieła, i cudze, jak dowodzą zachwyty nad Schillerem, i porównanie jego z Szekspirem, na niekorzyść ostatniego, (List do Gaszyńskiego XXXVIII) — jak dowodzi replika, którą mu posyła na Ulrycha krytykę *Nieboskiej Komedyi* z Wiednia, *Irydiona* z Kissingen. Znowu bowiem tam jest w czerwcu, i znowu z ojcem, i znowu rozdarty mię-

dzy najczulszą dla niego miłością, a niemożnością i niechęcią uczynienia zadość jego życzeniu.

»Mój ojciec coraz schorzalszy, słabszy, smutniej»szy; patrząc na niego srogich przeczuć doznaję, czy»tam w niedalekiej przyszłości wyrok, którego może »nic nie odwróci. Ile razy pójdę na przechadzkę z nim »wieczorem, ile razy głos jego rozkochany we mnie »słyszę, i ściskam tę rękę, do szabli stworzoną, która »dla mnie jednak miękka i błogosławiąca, jak ręka »matki, serce mi się kraje tem szerzej i głębiej, że »w słowa ubrać myśli moich nie mogę; że gdybym »nawet je wyrzekł, nicby niepomogły, bo *fatum* dzi»kie cięży nad nami wszystkimi i nie dzisiaj pękną »narzucone przez niego kajdany. Ta pewność śmierci »niedalekiej ukochanego, czy pojmiesz jaka to męczar»nia? Dziś jeszcze razem, dziś wśród łąk zielonych »i świeżych lasów, a jutro się rozdzielimy i może się »już nigdy nie zejdziemy razem, chyba pod zimnemi »sklepieniami kościoła, tam, gdzie nie wiedzieć, czy sen »wieczny, czy wieczne czuwanie. Och! ja oszaleję »kiedy!« (List do Sołtana, z Kissingen 15 czerwca 1837).

On wie, uznaje, że ten ojciec ma słuszność i chce jego dobra; ma nawet pociąg do osoby, którą ojciec na żonę mu wybrał. Przyznaje, że panna »piękna jak »anioł, ślicznie ułożona, wszystko w niej zapowiada »dobrą żonę, i tok umysłu, i przyroda, i wychowanie [1])«. Przytem »talent do muzyki, jaki się tylko natchnionym »trafia artystom. Mówiąc po ludzku ogromne głupstwo »robię, nie tylem głupi, żebym nie wiedział, żem głupi«. Przecież: »bądź moim sędzią: wiesz, ile kochałem tamtę »i wszystkie koleje z nią przebyte. Ona całą przeszłość »moją zagarnęła, ale w niej niema dla mnie żadnej

[1]) Julia Potocka, córka Alfreda i Józefy z Czartoryskich, później księżna Liechtenstein.

»przyszłości. To wiedziałem zawsze, ona to czuła ró»wnie jak ja. Ale dla niej ja jestem wszystkiem, choć »oddalony, choć w niczem codziennem, praktycznem, »nie dotykający jej okręgów, wszystkiem; bom ją przed »ludźmi i przed własnem jej sumieniem pozbawił po»koju, bom wygnał ją moralnie z progów domowych, »bo mi ona wszystko poświęciła i dziś jest nieszczę»śliwą, bez dawnej posady wśród znajomych, bez da»wnego przywiązania do życia któremu była przywy»kła, bez dawnej spokojności serca i rozumu... Teraz »jedyną jej ulgą, pociechą, jest myśl, że ja jej nie »uwiodłem, ale że ją kochałem; myśl, że poświęciła »się dla kogoś, któremu warto było tę ofiarę uczynić. »Gdybym z drugą się ożenił, pchnąłbym ją w serce na »wieki. Nie pojęłaby nigdy, że można pojąć inną ko»bietę, a zostać jej przyjacielem, bratem, i kochać ją »sercem, wdzięcznością. Gdybym się ożenił, wydałoby »się jej, że straciła dobrą sławę i może duszy swej »zbawienie dla igraszki przewrotnego człowieka« — (Wiedeń 6-go maja 1837. List XLIX).

II.

Spotkanie z ukochaną. Fragment Wandy. Ostatni list do Reeva. Powtórna zima w Wiedniu. Ostatnie spotkanie. Podróż do kraju. Zerwanie. Jesień we Włoszech. Wiersze. Ich charakterystyka. Modlitewnik.

Pod wpływem niepokoju o nią, o ojca chorego, którego woli się oparł, tak pisze z Kissingen, gdzie znowu w lecie kuracya i spotkanie z ojcem 21 czerwca 1837 (List LVII): »Nędza, która mnie przed czasem »starym uczyni, coraz zwiększa się we mnie. Świeżo»ści za grosz niema w wyobraźni mojej. Wszystko »wewnętrzne moje zdaje mi się jednego losu dozna»wać z tem, co zewnątrz mnie; gnije wszystko pod

»ręką konieczności. Przyjdzie może po wielu latach dusza na świat, która w dzisiejszem położeniu rzeczy »się rozpatrzywszy, przejmie się dni naszych goryczą »i tragiczność ogromną z niej wydobędzie; słuchając »jej słów zapłaczą potomki, dowiedzą się jak marnie »życie nam upłynęło, jak gorąco wzywaliśmy czegoś, »coby pociechę nam w sercu orzeźwiło, jak stateczną »myślą w głębi Ducha przeczyliśmy widomej potędze »i zdarzeniom otaczającym, jak pozbawieni nadziei »mieliśmy do walczenia przeciw pokusom wielu, i ra- »dom zdrowego rozsądku, i burzom własnej rozpaczy, »i słabościom znużenia, jak w każdym dniu ciaśniej »nam było, każdej nocy nieznośniej i samotniej, jak »wreszcie zapadliśmy w wstręt i świat zmierzili, cze- »kając jak zbawienia śmierci podłej na łożu lub nie- »pamiętnej wśród nieznanych i obcych. Taka tragi- »czność będzie sto razy straszniejszą i pełniejszą bó- »łów, niż dzisiejsze dramata... w niej męka ducha wy- »stąpi jak otchłań głęboka, a na ustach malować się »będą znikome ciężkiego udawania uśmiechy. Powia- »dam ci, płakać nad nami będą. To jedyna nieśmier- »telność nasza«.

Jenerał wyjechał z Kissingen, syn mu nie ustąpił, nie przyrzekł że zerwie. Danielewicz sądzi że miłość już zgasła, ale zostało politowanie, współczucie.

Wreszcie miał się doczekać spotkania z dawniej ukochaną. Ale na myśl o tem spotkaniu przejmuje go jakiś strach; ona w tak dziwnym stanie, ona go męczy ciągłemi przeskokami od namiętnych wybuchów do mroźnej obojętności. Miłość nic nie warta, przyjaźń jedna nie podlega zmianom! ta kobieta jest niższą od jego wyobrażenia o niej, niższą nawet od niego samego. Czytając takie słowa, zdaje się, że miłość skończona trzyma się tylko uczuciem obowiązku i honorem. Ale ona przyjechała, i dawne uczucia obudziły się, wybuchły, może z dogasającą już, ale z wielką siłą:

»Widziałem ją przez trzy dni« (list bez daty), »co »się z tego widzenia w sercu mojem zostało, reszty »mego życia będzie towarzyszem. Zgryzota, smutek, »przywiązanie. Powiem ci, żebyś jej nie poznał; smu»tek i choroba tak ją przetworzyły. Tem droższa dla »mnie. Oczy jej z błękitnych, w ciemne, przygasłe się »zmieniły: piękność lica pozostała, ale martwa, osłu»piała! a w duszy nic, prócz bólu ciągłego, mąk cią»głych, i miłości dla mnie. Chcę przestać o tem mó»wić, a nie mogę«.

To samo w liście do Reeva:

»Widziałem ją w Kissingen. Smutne schadzki! A wiesz gdzie? Na cmentarzu — bo wszędzie indziej było zawsze pełno ludzi. Tam, między grobami Niemców, przepędziłem z nią dziesięć lub piętnaście letnich wieczorów; a kiedy się zdarzyła burza, to ona nie zważała, choć przemokła do kości; nie bladła, nie bała się grzmotów, jak dawniej. Siedziała tak na mokrej trawie, w jedwabnej sukni, w paryskim kapeluszu, w ażurowych pończochach, z rękami w moich rękach. Jednem słowem była w stanie ostatecznej egzaltacyi; nie widziała na całym świecie nic, tylko tego nieszczęsnego, który nie powinien był doprowadzić jej do takiej strasznej ostateczności. Wtedy jemu przyszła ostatnia myśl miłości i rozpaczy. Postanowił poświęcić się dla niej. Napisał do ojca, że chce ją rozwieść, a potem zaślubić. Wtedy zaczęła się tragedya okropna. Ojciec nie odpisał; pisywał odtąd tylko do przyjaciela (Danielewicza). Zagroził synowi przekleństwem; powiedział, że syn wpędza go do grobu, że do tego małżeństwa nie przyjdzie nigdy, chyba, że syn wytoczy proces ojcu, że rozłączą się z sobą na całe życie i nigdy już widzieć się nie będą. Cóż syn miał zrobić na takie groźby? czy mógł nie robić sobie nic z przekleństwa ojca? czy mógł tak nie mieć serca? Przysiągł ojcu, że będzie tylko przyjacielem tej, którą kochał«.

Jednak to jeszcze nie zupełne zerwanie.

Ten stan duszy wyraża dobrze wiersz (bez tytułu jak prawie wszystkie) datowany z Wiednia 9-go listopada 1837.

»Serce mi pęka, światło się umyka
»z przed oczu moich[1])«

Wiersz jedyny, w którym Krasiński mówi o »swoim gieniuszu«, a wyrzeka, że i ta »iskra gieniuszu na cóż mu się zdała!«

Ale wśród tych wszystkich udręczeń nosi się przecież z nowym pomysłem poematu. Wydawca *Wandy* mieści ją pomiędzy rokiem 1836 a 1839; prof. Kallenbach dowodzi, że pisana była 1837 i 1838[2]).

Fragment zostawiony u Augusta Cieszkowskiego, a przez niego na samym schyłku życia darowany wnukowi poety, Adamowi Krasińskiemu, to dramat, którego mamy część pierwszą, i plan części drugiej i trzeciej. Ta część trzecia widocznie nie miała być ostatnią, bo plan nie dochodzi do katastrofy. Wanda pisana jest prozą. Jest jednem więcej obrobieniem starego podania o córce Krakusa co nie chciała Niemca, i o jego dwóch synach, z których jeden zabił drugiego. Jaka miała być w niej myśl filozoficzna i nauka patryotyczna? Można co najwyżej domyślać się, że zestawienie miłości ojczyzny rzetelnej i czystej z namiętnością osobistą, z prywatą, i surowy sąd na tę ostatnią.

Wiele już było różnych *Wand* w poezyi XIX wieku od Zacharyasza Wernera i Wężyka począwszy, ale poezyi w tych *Wandach* było podobno mniej. Coby Krasiński był z niej zrobił, gdyby był skończył, próżno pytać, skoro nie skończył. Ale ten fragment, który napisał, jest inaczej, romantyczniej, ale w tym rodzaju zaledwo mniej konwencyonalny, jak była

[1]) Lwów, 1890. T. III, str. 8.

[2]) Kallenbach. *Krasiński.* Tom II, str. 358 i dalsze.

w swoim francusko-polskim rodzaju *Wanda* Wężyka, otoczona dworem, z rezydencyą we wspaniałych murach Krakowa.

Jesteśmy w zamku Rytygiera, gdzieś w północnych Niemczech zapewne. Dużo rycerzy, jeden biskup, huczna biesiada. Rytygier chce jeść z czaszki zabitego wroga, Hakona, i każe sobie przy harfie śpiewać o jego śmierci a swojej zemście.

Było to tak.

Ten Hakon, król Danów, przysłał dziewosłębów do ojca Rytygiera z prośbą o rękę jego córki Gudruny. Oddano ją posłom, ale zaledwo stanęła na duńskiej ziemi, zdrajca król zamiast ją poślubić, zażądał, żeby wydała, gdzie są schowane skarby króla ojca. Gdy odmówiła, kazał ją związać, rzucić na ziemię i stratować kopytami końskiemi. Wszystko to, przy akompaniamencie harfy, opowiedziane szeroko, jak dzikie klacze nie chciały stąpić na ciało nieszczęśliwej, aż gdy rycerze rozbójnicy siedli im na grzbiet, musiały nieszczęsną stratować. Wieść doszła do ojca, do brata, a wtedy Rytygier zabrał dwudziestu rycerzy, przepłynął morze, wpadł do zamku, zabił Hakona, i teraz z rozkoszą pije słodki miód czy kwaśne piwo z jego czaszki. Biesiadę przerywa głos rogu, ale taki jakiś złowrogi, straszny, jakżeby trąbił na sąd ostateczny. Rytygier każe wpuścić gościa: wchodzi ze spuszczoną przyłbicą, ale gdy ją podniósł, rycerze struchleli na widok jego strasznej twarzy. Nieznajomy nazywa się Hamder, jest chrześcijaninem; mocny taki, że sam Rytygier nie może go przemódz. Schodził wiele krajów, był w Rzymie u papieża, opowiada o ziemi, którą zdobyć można, ziemi, gdzie kłos bujny kołysze się na niwach, a żubr i tur kryją się w borach. Rytygierowi i Niemcom rośnie w sercach żądza tej ziemi. Hamder bierze harfę w rękę i przy niej zaczyna swą pieśń, raczej powieść. Krakus władał nad

Wisłą, szczęśliwie; z obłoków zleciał straszny smok. Starszy syn, Ziemowit, z oszczepem, z psami, wyprawił się do jaskini, żeby go zabić. Ale gdy wszedł, smok już nie żył: podstępem zgładził go brat młodszy. Lud zbawcę okrzykiwał jako przyszłego króla: starszy brat zabił go w gniewie, bo jemu należało się panowanie. Wygnany, przeklęty, tuła się po świecie. Jeden brat zginął, drugi daleko, nad krajem Polan niewiasta: to chwila, żeby ten kraj podbić.

Rytygier, biskup, odgadli Hamdera: to Ziemowit, to syn Krakusa, bratobójca. Zawierają przymierze. Rytygier zrobi go królem. On jeden stawia warunek, żeby część nocy, do świtu, zostawiali go zawsze samego — to czas jego rozmyślania i modlitwy. Na prawdę to godzina, o której z tamtego świata woła na niego głos zabitego brata. I teraz, mimo obecności księcia i biskupa, daje się słyszeć ten głos, zapowiada, że Ziemowit nigdy królem nie będzie, a za rok da on się słyszeć znowu. Głos umilkł, odwaga wróciła: wyprawa postanowiona. Biskup tylko żąda, żeby przed wojną on miał czas do próby, czy słowem nie potrafi tych Polan nawrócić. Ksiażęta wiedzą że to rzecz próżna, ale na zwłokę przyzwalają.

Zmiana. Scena na granicy. Rytygier już nadciągnął z wojskiem, z Hamderem; w szopie biskup odprawia mszę, gromada Polan patrzy ciekawie, wśród niej plącze się i śpiewa smutne dumy Ludgard, syn wojewody Żelisława, niegdyś dzielny rycerz, dziś obłąkany. Rozmiłował się w Wandzie, posłał do niej swatów, odmówiła; on oszalał. Ale to szaleństwo mają ludzie za dar proroczy, za rozmowy z bogami. Zjawia się dwunastu Wojewodów, pchających dwanaście pługów: przyszli usłyszeć, czego chcą ci obcy. Hamder poznaje wszystkich: żałość mięsza się w jego sercu z zemstą. Biskup oznajmia, że przyszli nawracać, mówi o swoim Bogu, chce uczyć: stary Wojewoda zbija jego

nauki, a lud przyjmuje je śmiechem i oburzeniem. Ale za lud odpowiadać nikt niema prawa, tylko królowa sama. Wjeżdża Wanda na wozie, staje na granicznym kopcu, na twarzy ma spuszczoną zasłonę, ale sama jej postawa wystarczyła, by w Rytygierze obudziła jakieś uczucie nieznane. Wanda zapytuje, czy lud chce być chrześcijaninem i Niemcem; odpowiada na to jeden krzyk: *Nie*. Missya biskupa skończona. Rytygier występuje i grozi wojną. Wanda w odpowiedzi odsłania twarz i mówi: »Weź w odpowiedzi to spojrzenie pogardy«...

On nie wie, czy to święta z nieba, czy Walkirya z germańskich podań, ale jak ona się nie kryje, tak i on kryć się nie chce, spuszcza przyłbicę, a wtedy Wanda ujrzała i nie wie, czy to Znicz, czy Lel — lud cały równego mu nigdy nie widział. Hamder się kryje za ludźmi, ale po głosie, z jednego słowa, poznała go Wanda i odkryła przed ludem. Obarczony przekleństwem wszystkich, przeklina nawzajem, grozi zemstą. Wanda ze swoimi schodzi z pola. Przyrzekli Niemcom trzy dni pokoju i dotrzymają, ale potem wojna.

Na scenie zostaje Hamder, który jak Popiel Słowackiego w *Królu Duchu*, ma w sercu całe piekło wściekłości, ale zarazem kocha tę ziemię i gotów ją nieść w błękity; jak Balladyna, gdy dopnie swego, gdy zostanie królem, będzie wzorem królów a ojcem narodu. Między Polanami ma jednego przyjaciela, wojewodę Brzetysława; ten żegnał go, gdy szedł na wygnanie, ten przyzwany staje w jego namiocie. Długa rozmowa: jeżeli Brzetysław przejdzie do Niemców, jeżeli zdradzi swoich, król Ziemowit zrobi go jedynym Wojewodą, a innych wygubi. Walka długa: w Brzetysławie opiera się i Lach, i poganin, i człowiek z honorem, ale pokusa silniejsza; za taką nagrodę przyrzeka zdradę i pomoc.

Tak się kończy część pierwsza.

Z drugiej jest tylko jedna scena. Stary ślepy wojewoda Żelisław wśród górali gotujących się do wojny. Młodszy syn Hardymir, jak starszy niegdyś zakochany w Wandzie, błaga ojca, by mu pozwolił słać do niej swatów. On najdzielniejszy, on godzien, on potrafi i obronić od Niemców i królować. Ludgard wróży mu koniec smutny, powtarza jakąś pieśń pogrzebową. Ojciec próbuje wstrzymać, ale w końcu zezwala.

Dalej już tylko szkic. W jaskini smoka, przy mogile zabitego Leszka, Wanda gotuje się do wojny i składa ofiary bogom. Wojewodowie radzą, by przyjęła rękę Hardymira: sprzeciwia się jeden nieznany starzec. Wanda namyśla się w samotności; starzec wraca, zrywa przyprawną brodę — Rytygier. Wanda przyzywa swoich, chcą go strącić w przepaść, ale ona przypomina, że czas pokoju jeszcze nie upłynął i każe puścić go wolno.

Tak się miała kończyć część druga.

Hardymir, choć odprawiony, nie buntuje się, bije się, ale nieszczęśliwie. Niemcy zwyciężyli. Wanda gdzieś znikła, Hardymir znikł. W domu starego Żelisława Rytygier ogłasza Hamdera królem, a Hamder skazuje na śmierć Żelisława.

Co miało być dalej?

To, co jest, nie pozwala się lekceważyć. Są rozmiary większe, niezwykłe, w postaciach Hamdera albo Rytygiera; jest namiętność w zemście jednego w żądzy podbojów, w pewności siebie drugiego. Smutny szaleniec Ludgard ma jakiś akcent przeczuciowy, tęskny, żałosny. W niektórych scenach, naprzykład w pierwszej rozmowie Rytygiera z Hamderem, albo w rozmowie Hamdera z Brzetysławem jest pierwiastek dramatyczny. W przedstawieniu scenicznem może wyglądałaby dobrze chwila, kiedy Wanda poznaje brata, kiedy ona i Rytygier ujrzeli się po raz pierwszy. Gdyby była całość, może byłaby rzecz piękna. Ale bez

dalszego ciągu i bez rozwiązania, niema się dostatecznej podstawy do sądzenia. Trzeba poprzestać na tej jednej uwadze, że *Wanda* jest zajmująca, jako jedyna u Krasińskiego próba dramatu scenicznego. Zajmująca i przez to, że zgoła niepodobna do innych współczesnych płodów jego wyobraźni. Nic z tej umyślnej mglistości, z tej hiper-romantycznej maniery, jaka jest w *Śnie Cezary,* w *Legendzie,* w *Nocy letniej.* Wyobraźnia i wykonanie są tu jaśniejsze, prostsze, tęższe, jędrniejsze. Ale jeżeli od dzieł równoczesnych cofniemy się wstecz i spróbujemy zmierzyć fragment *Wandy* z pomysłami, z postaciami, ze stylem *Irydiona*, to *Wanda* okaże się mniejszą.

I znowu rok 1838 zaczyna się, a pierwsze jego miesiące przechodzą w Wiedniu, na tosamo zapewne żądanie ojca, na coraz większe udręczenie syna, którego miasto i ludzie w niem drażnią coraz bardziej. Wogóle z tego całego roku listów mało. Stosunek ze Słowackim, kiedy ten wrócił z podróży wschodniej i mieszkał we Florencyi, zamienił się widocznie na przyjaźń czułą, a wpływ Krasińskiego na Słowackiego, stał się potężnym, skoro ten w tym roku właśnie oddaje mu to świadectwo w wierszu. »Żegnaj, o żegnaj Archaniele wiary«. Zresztą faktów mało. Lato jak zwykle u wód. Charakterystyczna fantazya o sobie i o dawnych wiekach z powodu jakiegoś zamku Fürstenstein na Szlązku, (do Sołtana 20 Maja), krótkie wzmianki o Gdańsku, dokąd jeździł dla spraw majątkowych, a zresztą nic; tylko smutny koniec.

Z tego samego roku (1838), 12-go Maja, ostatni list do Reeva. Czuły, serdeczny, smutny. Poeta jedzie do Warszawy, i widzi przed sobą los wiejskiego gospodarza. »Żyć na kupie nawozu, umrzeć tamże, mieć »nagrobek z gipsu, którego napis czytać będą pająki, »być *a parfect country gentleman, such is my fate.* »Ty bądź szczęśliwym, a nie zapominaj, że zawsze

»będziesz miał przyjaciela w skromnym hreczkosieju, »którego zapewne nie zobaczysz, aż kiedy zestarzeje »tak, że będzie zupełnie do niczego«.

Tak się kończą listy do Reeva, i stosunek z nim. Zważywszy niezwykłe natury obu przyjaciół, trudno uwierzyć w zwykłą niestałość i zmienność; łatwiej przypuścić, że zaszło między nimi coś, co sprowadziło tę zmianę. Co to było, jak zaszło? Wiedzieć ani dojść nie można[1]).

W lecie, u wód — (zdaje się, że w Salzbrunn) — jeszcze jedno spotkanie — ostatnie. »Nie kochać jej »pisze 19 Maja 1838 — nie jest w mocy mojej. — Im »słabsza, im smutniejsza, im coraz bardziej tracąca pię- »kność dawną, tem mocniej lgnie moje serce do niej... »dzień cały minął mi z nią, jak sen pełen tęsknoty... »czasem, kiedy się zamyśli i spojrzy Bóg wie gdzie »i marzy Bóg wie co, rzekłbyś że letarg ciemnego »obłąkania się zaczyna. Wtedy serce mi się kraje, »wtedy całuję jej ręce, prosząc by przemówiła, a łzy »czuję w duszy, choć ich nie mam w oku. A za dwa »dni muszę ją zostawić samą, samą na świecie«... »Jutro wyjeżdżam. Wczoraj zeszło mi z nią, przy niej, »zejdzie mi i dzisiaj podobnie, a gdy pojutrze przyj- »dzie, wszystko już będzie przeszłością, wszystko »schroni się do głębi serca, i tam żyć będzie rozdzie-

[1]) W późniejszem życiu spotkali się raz jeszcze w Paryżu, w roku 1855 czy 56. Po śmierci Krasińskiego żona jego donosi o niej w liście do Reeva; ale nie takim tonem byłaby pisała do przyjaciela, którego zmarły kochał bardzo, i on zmarłego nawzajem bardzo. Stosunki widocznie zeszły na dalekie, grzeczne, jak z wieloma innymi. Polakom, których znał, nie wspominał Reeve o Krasińskim i o swojej z nim przyjaźni. Klaczko naprzykład, który go przez długie lata spotykał w Anglii i w Paryżu, po jego śmierci dopiero dowiedział się, że on był przyjacielem Krasińskiego. Reeve nie zapomniał przecież, pamięć tej przyjaźni i jej pamiątki chował wiernie, z głęboką czcią: dowodzi tego przechowanie listów i darowanie ich wnukowi przyjaciela.

»rającemi podrzuty. O Adamie! nieszczęsny ten, kto »z naiwnością dziecka, z marzeniem o szlachetności, »targnął się na cudze prawa, żonę od męża oderwał, »matkę od dzieci... Ja tom czynił, myśląc szalony, że »na tej drodze poezya i wiosna; teraz, teraz głębokom »poniżony sam przed sobą, a ona przed światem... »Bądź co bądź, ty nie rzucisz ni na nią ni na mnie ka- »mieniem«.

Zbliżał się istotnie koniec stosunku z panią Bobrową: spotkanie, o którem mówi w powyższym liście, miało być ostatniem. Krasiński na żądanie ojca udał się do niego do Opinogóry; tu spotkać się miał z prośbą i groźbą, z płaczem, i z rozkazem żeby zerwał; odmawiał statecznie. Pobyt ten razem był dla obu męczarnią. Wtedy to, 27 sierpnia, pisze do Jaroszyńskiego te słowa: »Donieś mi też, co się z nią dzieje, »co mąż robi, w jakim ona stanie umysłu, bo zupełnie »przerwane są między nami komunikacye; a codzień »czuję jakby przekleństwo, wiszące mi nad głową, »za to, żem dowiódł ją do nieszczęścia. Ona i ja bę- »dziem tego znamię całe życie nosili. Raz jeszcze po- »lecam ci ją — powierzam ci ją; ty się niedomyślisz »może nigdy, ile goryczy jest dla mnie w tych sło- »wach, jednak tak szczerych, tak pełnych wiary w cie- »bie, które tu piszę. Na miłość Boga mi odpowiedz; »na miłość Boga cię proszę«. Samo zakończenie tego dramatu tak opowiada Sołtanowi: »Po trzech tygo- »dniach, nic na mnie wymódz nie mogąc, udał się do »Niej, i prosił Ją o to samo. Pojmiesz znowu, że tak, »jak ja nie mogłem przystać, tak ona nie mogła nie »przystać. Wrócił mój ojciec, przywożąc mi kilka słów »od niej, drżącą ręką pisanych, w których mówi »że »musiała zgodzić się na to, by ostatni raz te kilka »słów napisać do mnie«... (List LXVIII bez daty i miejsca).

Odtąd żadnych już między nimi stosunków. Ale

pośrednio, przez ludzi, długo jeszcze Zygmunt szuka wiadomości o swojej pierwszej kochance, i odbiera je. Jaroszyńskiego, mieszkającego na Podolu, prosi zawsze, żeby mu donosił, co się z nią dzieje, albo za wiadomości o niej dziękuje. (Listy .... z oryginałów niedawno znalezionych. Kraków, 1871). Listy to goryczy pełne z jesieni tego roku, od powrotu z kraju listy z Wenecyi, pełne wspomnień dawnego szczęścia i dzisiejszej zgryzoty, listy z Rzymu i z Neapolu, jak ten naprzykład (do Jaroszyńskiego z 29 Grudnia 1838). »Mojej winy nikt względem niej ocenić nie zdoła, »prócz mnie samego: przez niesłychane walki dowio»dłem ją wreszcie do nieszczęścia. — Ona przewidy»wała wszystko co się stało, ona nigdy nie zapomniała »o przyszłości, nigdy pokoju szczęścia nie widziałem »w niej, nigdy nie wyglądała na *równą mi*, ale zawsze »na moją ofiarę, poświęcającą się, ale z głęboką wie»dzą że się poświęca. Czyż nie było okrucieństwem »walczyć z takim wyrazem jej twarzy, z takiem prze»konaniem jej rozsądku, a nie zważać nań, czyż nie »było najogromniejszem samolubstwem? — Wiem »i to, że namiętność ma swój świat własny, na który »teraz zapatruję się z sfery mojego rozumu; a zatem »wierzę wiarą nie swoją w to coś, które wtedy wrzało »we mnie. Wiem i wiele innych rzeczy jeszcze, ale »cóż mi to pomoże? Ją kochałem, a teraz ona smutna »i cierpiąca; ona bez nadziei jakiejkolwiek przyszłości, »będzie jej przekleństwem niezadługo, żyjącą każdego »jej dnia torturą, to widmo, które mnie ściga. — Daj »Boże, by się moje przeczucia o niej nie spełniły.

»Niema tragedyi okropniejszych nad te, co się »odbywają koło ognisk domowych; niby cicho, niby »dobrze, zajrzysz do salonu, zgromadzona rodzina cała, »na ich twarzach nie poznasz nic, wyjdziesz z dobrą »myślą, westchniesz tęskniąc za podobnym spokojem »i życiem; a ledwoś próg przestąpił, już oni z krzeseł

»się zerwali, i z ich lica zeszła wszelka powszedniość »i cisza; najdziksze, najbardziej jadowite kwasy pry- »skają im z oczów; rozdzierają się słowami gorzej niż »żelazem; jedni przeklinają drugich! Ale z takowych »obrazów ten najstraszniejszy, w którym córka prze- »ciwko matce powstaje. Apage, apage Satanas!«

»Otóż kiedy podobne larwy mnie otoczą i ścisną »i dławią; kiedy widzę jej twarz bladą i coraz bledszą, »i coraz oczy jej bardziej gasnące, i w oddali samotne »łoże choroby, samotną śmierć, i córkę wyrzucającą »matce dzieje przeszłości; miasto uderzyć ją nożem — »wymawiającą moje imię; a to imię odbija się tak ża- »łośnie, tak kamiennie w sercu nieszczęśliwej, i ona »sama może doda do niego przekleństwo, lub krzy- »knie, o Boże! czemuś nasłał na mnie tego człowieka! »Oh! wtedy, wtedy, wierz mi, piekło staje mi się zro- »zumiałem, jasnem, widomem, dotykalnem. Napróżno- »bym się z niem pasował. Ono nie zewnątrz, nie głę- »boko podemną, ale głęboko we mnie! Daruj, że się »powtarzam, daruj, że cię może nudzę, bo takie wszy- »stkie uczucia są treścią własnej duszy, ale nie dru- »gich. Koniec więc temu! Ach! ty bądź zawsze do- »brym dla niej. Pamiętasz, co *Trenta tre* wyrzekły: »*la sua morte sarà dura,* a kiedym się pytał *perché?* »odparły: *perche è giovane, sensibile e affezionata.* »Ten dzwon pogrzebny w moich uszach nie przestał »nigdy się odzywać«.

Listy te, jak zwykle u niego, kończą się czasem wierszami, a w tych jego myśl o tej którą kochał, wyraża się sposobem bardzo niezwykłym, wielce oryginalnym. Poeta przenosi się wyobraźnią w tę duszę tak dobrze znaną, widzi, czuje wszystko co i jak ona cierpi, i pisze wiersz, jak żeby jej do siebie, wiersz przepyszny, rozdzierający smutkiem a zdumiewający prawdą (we lwowskiem wydaniu z r. 1888 ozdobiony, niewiedzieć dlaczego, najniestosowniejszym tytułem

Wrażenia z Kampanii. W liście do Sołtana 29-go grudnia 1838 r. niema — jak zawsze — tytułu żadnego).

Dla ciebiem wszystko straciła na ziemi [1]),
Dla ciebiem drobne porzuciła dzieci,
Choć Bóg przykazał pozostać się z niemi —

Wszystko, czem cierpieć może taka nieszczęśliwa a szlachetna we wszystkich swoich uczuciach i miłościach, wszystko odzywa się w tym wierszu odgłosem takiej rozpaczy bezdennej i nieskończonej, że na ten rodzaj nieszczęścia prawdziwszego wyrazu, tragiczniejszego jego obrazu niewiedzieć gdzieby szukać w poezyi. Po tym wyrzucie i po tej tęsknocie strasznej za dziećmi, po strachu, że i Bóg sam nie zlituje się i pociechy nie ześle, przychodzi myśl, że i on w końcu, ten dla którego wszystko straciła, i on ją opuści.

Czy i ty zdradzisz tę, którą kochałeś,
Tę, której nigdy żoną nie nazwałeś.

I potem prośba, żeby jej podał rękę, żeby jej nie opuścił jeszcze, i żeby, jak umrze, modlitwę za nią wyrył na jej grobie.

A po takiej rozpaczy następuje dopiero ostatni kres nieszczęścia: zgodzenie się na rozpacz do śmierci, przywykłość do niej, obumarłość duszy, która jednem uczuciem żyła, a gdy to zawiodło, żyje bo musi, ale bez uczuć, bez pragnień, bez pociech, bez łez.

Jak kawał lodu skrzepło serce moje.
W oczach mi wyschły dawnych płaczów zdroje,
Żadnych już ułud nie zapragnę nowych,
Spokój mój wielki, jak głazów grobowych...
Co miłość, nie wiem, z przyjaźni się śmieję,
Wiarem straciła, straciłam nadzieję,
I tak przed ludzi jak Boga obliczem
Nic mi jest wszystkiem — i wszystko mi niczem.

[1]) Tamże, str. 13.

Ale prócz tych wierszy jest inna jeszcze pamiątka tej miłości. Z tych czasów, kiedy jego miłość do pani Bobrowej stawała się już wyraźnie nieszczęściem dla niej, a zgryzotą dla niego, pochodzi mała książeczka, należąca do Biblioteki Zamojskich w Warszawie i przez nią wydana, a bardzo zajmująca, bardzo charakterystyczna.

Jest to zbiór modlitw, napisanych przez Krasińskiego dla ukochanej a zbolałej. Z jej myśli niby, wyraz jej cierpień, skarg i próśb; wyraz także jego własnych uczuć i pojęć, uczuć względem Boga, pojęć o życiu tem i przyszłem. Tytułu autor nie dał żadnego, a władze duchowne (jak mówi objaśnienie wydawcy) nie zgodziły się na tytuł »książki do nabożeństwa«. I słusznie, bo w tych modlitwach szczerych i gorących jest przecie wiele poetycznego rozmarzenia; przypominają trochę tę parafrazę *Zdrowaś Marya*, którą odmawia Orcio w *Nieboskiej Komedyi*. Wyszły więc modlitwy (w r. 1899) pod tytułem *Myśli Pobożnych*. Format, mała dwunastka, taki jak we własnoręcznym rękopisie. *Fac simile* jednej kartki dodane na początku, a pod okładką tytułową jest druga naśladująca wiernie oprawę książeczki. Oprawa ta, w owym czasie modna i uchodząca za bardzo piękną: czerwony aksamit, cztery narożniki z srebrnego filigranu, na środku takiż bukiecik z róż, przewiązany wstążeczką złoconą. Ale mniejsza o pozór — pytajmy o treść.

Jaka jest ta? Bardzo szlachetna. Te myśli są pobożne na prawdę, a wyszły z głowy, która wiele pytała i dumała, wiele wnikała w cierpienia powszechne, nieodłączne od ludzkiej natury i ludzkiego życia, wiele przebyła cierpień własnych, a w nich zwracała się zawsze do Boga, z wiarą i z ufnością zawsze, choć często z rozpaczą; wyszły z duszy, która ten swój związek z Bogiem czuła zawsze, jako swoje prawo i swój

obowiązek, jako swoją konieczność, która musiała i skarżyć się i prosić. Skarga zaś czy prośba ma akcent poważny, głęboki, silny i ponury, jaki nadaje jej talent i właściwy styl wielkiego poety.

Krasiński wie, czem i jak pani Bobrowa cierpi; zgaduje, a przynajmniej stara się zgadnąć, o co ona najwięcej prosi, o czem najwięcej myśli kiedy się modli. Stara się zgadnąć także, jaka myśl, jakie słowo modlitwy może i przypaść dobrze do jej myśli, i ukoić ją, ulżyć jej. Stara się przeniknąć, o czem ona myśli, czem się dręczy, w samotności, albo w bezsennej nocy, i na każdą taką myśl czy chwilę podaje jej udręczeniu jakiś wyraz. Ale obok tego starania, tego wnikania w jej myśl i duszę, on kładzie w te modlitwy wiele swojej własnej myśli i swego uczucia. Z pewnością on podobnie modlił się za umarłych, on słuchał Mszy z takiem rozmyślaniem pobożnem, filozoficznem i poetycznem, jakie znajdujemy w tej książeczce. To podnosi niezmiernie jej znaczenie i wartość: ona jest najlepszym a właściwie jedynym śladem pobożności Krasińskiego, ona pozwala widzieć i choć cokolwiek poznać go na modlitwie, w rozmowie z Bogiem. Tej strony jego duszy i myśli nie pokażą nam ani jego dzieła, ani jego listy.

Czasem zdaje się, jakżeby on mówił nie za siebie, ani za żadną jedną istotę, ale za każdą, bo każdy tak czuł, tego doświadczał. Naprzykład pierwsza zaraz modlitwa za umarłych:

> »Wzrosłam wśród nich, nie pojmowałam niegdyś, co to jest być bez nich, a dziś już nie pojmuję, co to jest być z nimi. Gdzie oni są, o Panie?
>
> Jeżeli dotąd za winy pracują zdaleka od Ciebie, jeżeli wiedzą jeszcze, co to łzy i westchnienia, o skróć chwile ich próby, a jako ja dzisiaj modlę się za nich, daj Panie, by ci, których zo-

stawię na ziemi, modlili się za mnie. Połącz mnie kiedyś Panie z tymi, których znałam i kochałam na ziemi, byśmy razem żyli w Tobie na wieki«.

Dusza bardzo zbolała, prześladowana, zachwiana w swojej ufności do ludzi, przygotowana swoją przeszłością do przyszłości może jeszcze smutniejszej, ale niezachwiana w swojej wierze w Boga, w swojej ufności, w przekonaniu, że u Niego znajdzie zawsze dobroć, litość, miłość, modli się taką *Litanią:*

»Gdybym straciła wszystkie ułudy i pociechy, jeszczebym Tobie ufała, o Panie...

Gdyby świat mnie odrzucał i szarpał, jeszczebym Tobie ufała, Panie.

Gdyby serca, którym zawierzyłam, oszukały mnie i zdradziły, jeszczebym Tobie ufała, Panie.

Gdyby dzieci moje zapomniały o miłości mojej, jeszczebym Tobie ufała, Panie.

Gdyby ci, których mieniłam szlachetnymi, spodlili się, jeszczebym Tobie ufała, Panie.

Gdybym konała bez ręki, coby mi ostatni raz moją ścisnęła, jeszczebym Tobie ufała, Panie.

Boś Ty miłością pierwszą, jedyną, największą; bo wszystkie miłości serc na ziemi są tylko strumykami płynącemi od morza jasności Twojej; bo Ty mnie zbawisz, kiedy dni moje się przeliczą i Ty pocieszysz stroskany duch mój, któryś zesłał w to ciało moje na znikomą chwilę; bo Ty nie opuścisz dzieła rąk Twoich, myśli Twojej, córki Twojej, płaczącej i jęczącej ku Tobie«.

Jak Gretchen z *Fausta*, tak w swoim ucisku ta nieszczęśliwa woła do Matki Bolesnej *Ach neige dein Antlitz gnädig meiner Noth* — tylko w jej skardze est jakieś uczucie poniżenia, skrzywdzenia kobiety w ogólności, podobne do tego, które się odzywa w *Śnie* z *Niedokończonego Poematu*.

»Każda z niewiast płacze, jak Ty, jak mąż

każden krzyż swój nosi na podobieństwo Syna Twego.

Każda z niewiast kocha, jak Ty kochałaś, i miłość swoją przebitą, umierającą widzi, zostaje sama na ziemi i nie może umrzeć...

. . . . . .

Obwijamy ich ciała w powicie kolebki (mężczyzn).

Obwijamy ich ciała w całuny trumny.

A oni witają nas płaczem, a oni żegnają nas twardem słowem.

My błogosławimy przychodzącym, a oni nas nie słyszą.

My rozpaczamy za odchodzącymi, a oni nas nie słyszą.

O Ty, która cierpiałaś tyle, wejrzyj na mnie i módl się za mną, za cierpiącą, do Syna Twego«.

Dalej modli się matka za córkami, matka, która była nieszczęśliwa przez miłość:

»O Panie, dozwól, by córkom moim została się zawsze w oczach łza dziecinna, a w duszy dziecinne szczęście.

Uczyń je pięknemi, jak kwiaty na polu, które nie wiedzą o piękności swojej.

Niechaj będą wdzięczne i miłe, by źli nie odważyli się powstać na nie, by każdy, co spojrzy, odszedł zwyciężony ich prostotą.

Daj im ognisko domowe lepsze, niż innym, by w jego świetle była pociecha ich duszom i ułuda ich oczom.

Ochroń je od tęsknoty za tem, czego na ziemi nie znajdą nigdy. Serca, które je pokochają na wiosnę ich lat, niech ich potem nie zostawią samotnemi«.

W modlitwie za siebie są pierwiastki filozoficzne, jest pojęcie człowieka, ducha ludzkiego, który z Boga

wyszedł i do Niego dąży, ale zawsze zostaje sobą, jest smierć, jako przejście i przemiana tylko; ale są i skargi i błagania nieszczęśliwej kobiety:

»Daruj mi, jeślim zgrzeszyła. Zapomnij przestępstwa moje, jak dziecięciu, co klęka przed ojcem lub szlocha u stóp matki. O Panie, zmiłuj się nademną.

O zmiłuj się nademną! Spuść na mnie Ducha Świętego, tego Ducha, co łączy się z Synem Twoim, tego Ducha, którego nieskończoność wciela się w skończoność.

Nie daj mi zasnąć, nie daj mi znędznieć pod smutkami, nie daj, bym przystała na śmierć serca. Bym wolała nie czuć, niż cierpieć«.

Takiej śmierci serca ze zbytku cierpienia może on się dla niej obawia? może dlatego tak każe przeciw niej bronić się modlitwą? Ale jeżeli się obroni, obiecuje jej nieśmiertelne szczęście, które wygląda w tej modlitwie tak, jak w niektórych jego wierszach i jak w wielu jego listach:

»Po męce żywota wspomnisz o służebnicy Twojej.

Za to, że ból był w niej ciągle, bez przerwy, Ty zmiłujesz się nad sługą Twoją.

Za to, że nie wątpiła o miłości Twojej, Ty rzekniesz nad nią: Darowanem jej jest, bo kochała wiele.

Za to, że opłakała wszystkie nadzieje i sny swoje, Ty ją wyrwiesz z tego snu ziemskiego i przeniesiesz ją do nieskończonej rzeczywistości«.

Krasiński powtarza nieraz, że ten, kogo bogowie kochają, umiera młodo, dla siebie marzy o śmierci wczesnej; z tem zgodnie pisze i dla swojej ukochanej modlitwę, »żeby umrzeć młodą, żeby zniknęła jak kwiat, ścięty kosą w południe, a nie więdnący w wieczornej żałobie, żeby odeszła, kiedy jej córki z pączków

zaczną przechodzić w róże, żeby nie przeżyła siebie samej«.

»Nie karaj mnie tem, czem ukarałeś starców — przywiązaniem do ziemi. Udaruj mnie niebojaźnią śmierci... ale jeźliś mi przeznaczył długie dni, długie męczeństwo, o Panie, niechaj się stanie wola Twoja, a nie moja«.

Modlitwa w chwili zwątpienia, to krzyk rozpaczy, to ten stan duszy, który Krasiński odmalował w wierszu: »Dla ciebie wszystko straciłam na ziemi«... Aż do tej skamieniałości, w której »jak kawał lodu skrzepło serce moje«, w której »*nic* mi jest *wszystkiem* i *wszystko* mi *niczem*«, są tu wszystkie przejścia i tony rozpaczy, żałość, skarga, osamotnienie, obawa szaleństwa, pokusa bluźnierstwa i buntu, wszystko — tylko jest to, czego w owych wierszach niema, jest w końcu ulga łez, jest nadzieja zmiłowania i pociechy:

»Czy Ty mnie opuścisz, czy Ty nie usłyszysz głosu mego?

Czy błędy moje staną na zawsze w poprzek między dzieckiem a ojcem?

Kto powie o mnie: ona przytułku niema, dopóki Ty żyjesz!

Czy Ty możesz odrzucić, coś począł w miłości.

O tej posępnej chwili proszę Cię, ześlij pociechę sercu mojemu.

Strzeż mnie i tych, których kocham.

Nie daj mi upaść pod ciężarem smutku i im nie daj upaść.

Broń mnie i ich, Panie, od złych myśli:

Od myśli podłości,

Od myśli samobójstwa,

Od myśli gnuśności,

Od myśli szaleństwa.

Daj mnie, i im, wiarę niezachwianą, że po

znikomych obrazach tego życia ujrzymy przestronniejsze błonia.

Że tam połączone będzie to, co rozerwała ziemia.

Ja, i oni, i Ty w nas, i my w Tobie, na wieki wieków«.

Modlitwa podczas Mszy, ze wszystkich najdłuższa, jest właściwie rozmyślaniem o Mszy. Pozwala domyślać się, jak Krasiński Mszy słuchał, jak ją pojmował, co sobie przy niej wyobrażał. Msza jest dla niego streszczeniem i wyobrażeniem życia Chrystusa Pana: wszystko w niej jest figurą, czy symbolem tego życia. Ksiądz u stóp ołtarza, to wyobrażenie Chrystusa Pana, który ofiarę spełnia; serwitor, to ludzkość, która słowom Jego zdaleka odpowiada. Kielich, to kielich goryczy, który on spełnił, i kielich krwi, którą przelał. Mszał, to Jego słowo opowiedziane Apostołom, a nam przez nich podane. Pierwsza część Mszy, aż do Ewangelii, wyobraża pierwsze trzydzieści lat przygotowania i cichego życia. Następuje czas nauczania i walki. »Tyś wiedział, że kto zmaga się ze światem, zginąć musi w czasie, żeby żyć w wieczności«. »Przebaczałeś namiętnym za to, że kochali wiele, przebaczałeś prostym za to, że wierzyli wiele, przebaczałeś słabym za to, że cierpieli wiele. Tym tylko, którzy nic nie kochali, w nic nie wierzyli, nic nie wycierpieli, nie zdołałeś przebaczyć«.

Potem »Droga krzyżowa«, w poetycznem widzeniu, ze szczegółami tłumów żydowskich, starszyzny, Ukrzyżowania, i krzyża. »Słowo nieskończonego bólu: Czego opuściłeś mnie, Ojcze?«

To słowo wspomina Krasiński parę razy w listach, uważa je za konieczne do zupełności męki. I tu podobnie:

»By dopełnioną została męka ludzka, by w pu-

harze goryczy kropli jednej nie wypitej nie zostało.

I odtąd nie było duszy jednej pięknej i wielkiej, w którejby nie powtórzyły się te ostatnie słowa Twoje.

Każda szukała Ojca i ukrzyżowaną została w imieniu Jego, i w chwili wyrocznej drżeć zaczęła o siebie, czy też znajdzie Ojca, którego szukała«...

Dzieje ludzkości są, jak wiemy z *Psalmu wiary* i z wielu innych świadectw, powtórzeniem życia Chrystusa Pana: musi w nich znaleść się wszystko, co było w niem. Ta myśl, ta wiara występuje tu już zupełnie wyraźnie:

»Nigdy męka Twoja, trud Twój nie ustanie na ziemi.

Tajemnica tajemnic, krzyż Twój, to dzieje nasze.

W każdem sercu ludzkiem ta tajemnica powtarza się codzień.

W każdej rodzinie, w każdym narodzie.

W ludzkości całej tylko nie, boś Ty ją zbawił i wiedziesz ku szczęściu wiecznemu.

Ale dla rodzin męczą się syny i córki, ojcowie i matki.

Dla narodów męczą się obywatele i wodzowie, i sędzię i kapłani ludu.

Dla *ludzkości całej męczą się narody* i umierają w bólach, rozpaczając.

I jako Ciebie przeklęli, tak wszystkich Twoich do dziś dnia przeklinają na ziemi.

Ale jakoś Ty przemógł nad światem, tak i Twoi przemogą nad światem«.

Msza się kończy. *Ite Missa est.* »Odchodzim w nadziei, że kiedyś oglądać Cię będziem w chwale Twojej, tam, gdzie bólu ni złudzeń już nie będzie, je-

dno Ty i Ojciec Twój, i my wszyscy, z Tobą i z Ojcem Twoim połączeni Duchem na wieki wieków«.

Czy dużo ludzi modli się tak dobrze, słucha Mszy tak całą duszą, wierzy i kocha tak gorąco?

Już tylko jedna modlitwa. Biedna pani Bobrowa, w swoim stanie chorobliwego rozdrażnienia, nie może sypiać. W tych chwilach nieznośnych modlitwa może będzie ukojeniem, ulży na sercu, zajmie myśl. Każe jej więc modlić się, naprzód za takich, co w tej chwili, jak ona, zasnąć nie mogą.

»Boże, daj pokój Twój tym wszystkim, którzy się męczą o tej godzinie.

Oni nie mogą zasnąć, tak jak ja. Cicho w około nich i pusto, jak koło mnie.

To, co było, staje w ich oczach i jest przed nimi — a czują jednak, że samotnymi zostali«... Dalej prośba za sobą, pożałowanie siebie samej:

»Czy wiele dusz na ziemi w taki sposób cierpi w tej samej chwili?

Proszę Cię za niemi Panie i za sobą.

Są straszne chwile, Panie, za silne na stworzenie Twoje. Zdaje im się wtedy, że wszystko wymarło w ich duszach, że nadziei niema nigdzie...

Szczęśliwi jeszcze, kiedy im łza do ócz przyjdzie, kiedy kamień serca się roztopi. Ale ci, którzy zestarzeli się w boleści, płakać już nie mogą. Tym wiecznie ciężko...

O Panie, ześlij im Anioła Stróża.

Proszę Cię za nimi i za sobą Panie.

Daj im pokój ducha i mnie Panie.

Daj im i mnie, zasnąć na chwilę, nim przyjdzie godzina snu wiecznego na ziemi, a życia wiecznego w Tobie«.

Oto, co zawiera ta mała książeczka. Zawiera wiele, bo świadectwo najwyraźniejsze, najdokładniej-

sze, pobożności Krasińskiego i jej rodzaju. Bez wiedzy i zamiaru, ale to jest jego wyznanie, jak żeby spowiednikowi mówił co i jak względem Boga czuje, jak się do Niego modli. Jakie uwagi mógłby mu robić spowiednik, gdyby to było spowiedzią? Zapewne dodawałby mu otuchy i odwagi. Czytelnik, człowiek świecki, robi uwagę sobie samemu, że ta pobożność jest bardzo szczera, ta wiara i miłość bardzo silna, ta dusza, choć może błądzi, bardzo budująca.

Ciekawe są te *Myśli pobożne* i z tego względu, że znajdują się wśród nich i te myśli filozoficzne, które weszły lub wejdą w skład całej Krasińskiego nauki czy systemu.

Ale prócz tych, nasuwa ta książeczka jedną jeszcze uwagę.

Jest ona szczególnym, a podobno jedynym, epilogiem miłosnego dramatu. Miłość była gwałtowna, namiętna i nieszczęśliwa. Była występna. Takich było wiele na świecie, wiele w życiu różnych poetów. Ale który z nich, poetów czy prostych ludzi, dał tej miłości wyraz w modlitwie? Nie w sofistycznem jej mniemaniu, ani w sentymentalnem jej poetyzowaniu, tylko w szczerem wyznaniu i winy i zgryzoty, w ufnem błaganiu o litość i pociechę? Człowiek, który tak wnika w cierpienie kochanej kobiety, musiał sam naprawdę kochać; człowiek, który jej podaje ten rodzaj uspokojenia, ulgi, musiał sam być głęboko wierzący i pobożny. Kobieta, która cierpiała tak, jak on tu jej cierpienie rozumie, widzi, i daje poznać, musiała być sama istotą bardzo głęboką i szlachetną. Żadnemu poecie, żadnemu mężczyźnie zapewne nie przeszło przez głowę pisać modlitw dla kobiety, którą kochał, a zrobił nieszczęśliwą.

Gdyby z tego okresu próbować wycisnąć jego istotę i oznaczyć jego cechę, to trzebaby powiedzieć, że występuje w nim i odbija się nie tyle miłość sama,

ile tragedya miłości: nieszczęście kobiety, zgryzota mężczyzny. A jak w życiu Krasińskiego ta miłość nie była największą, tak w jego poezyi cała potęga namiętności odezwie się dopiero w okresie drugim.

III.

Rok 1839. Znajomość z rodziną Komarów. Pani Delfina Potocka. Pierwsze wrażenia Krasińskiego. Miłość. Jej wyznanie w listach. W wierszach. Jej charakter. Podróż do Sycylii i jej dziennik.

Opanowany zgryzotą, przygnębiony smutkiem ponurym, widocznym naprzykład w wierszu o kampanii rzymskiej — (Jak anioł spadły i t. d.), wyjechał Krasiński do Neapolu, gdzie miała na niego spaść nowa miłość. W pierwszy dzień roku 1839 wspomina w liście do Sołtana o nowych znajomościach jakie zrobił, i opisuje tę, którą niebawem miał kochać.

»Zapoznałem się z domem Komarów; znasz ich, »one mnie mówiły dużo o tobie. Natalia [1]) chora wciąż, »nie pokazuje się; Ludmiłła [2]) tęga postacią i śmiało»mowna. Sama matka i domu pani naturalna, uprzejma, »ludzka. Już mi wszystkie lampy przysłonili tam zielo»nemi umbrelki. Bywam więc co wieczór. Są i ku»zynki i siostry jakieś stare z Podola, są synowie, »ogółem ze czternaście osób ten salon zapełnia. Ale »wśród nich wszystkich jest dziwna istota, która stoi »już za przepaścią; istota, której duszę żywą i silną »i prawdziwie wszystkiemi dary, któremi Bóg Polki »obdarzył, do najwyższego stopnia obrzuconą, przepsuł »Paryż i Londyn, książę d'Orleans, pan Flahaut [3]), mąż

[1]) Później pani Spada, sławna jako jedna z wielkich piękności swego czasu.

[2]) Później księżna Beauvau.

[3]) Sławny, podówczas już niemłody, zdobywca serc niewieścich;

»niegodny i próżność *fashionu*, najnędzniejsza z pró-
»żności. Mimo to jednak zostały w tej duszy iskry,
»podobne wybuchom wulkanu, kiedy wspomnienie
»jakie, lub nadto silna boleść je rozdmucha; została
»żądza długa, namiętna, długa jak nuta włoska, prze-
»ciągniona przez doskonałą śpiewaczkę; żądza wyż-
»szego stanu rzeczy, piękniejszej sfery dla ducha, spo-
»koju jakiegoś promiennego po tylu obłędach i pra-
»wdziwych nieszczęściach. Kiedy zaś te iskry gasną
»lub drzemią, nieznośna to kapryśnica, nie mogąca
»dwóch słów poważnych wyrzec, potrzebująca śmiać
»się i żartować, by uniknąć strasznej nudy, która ją
»toczy; podobna znarowionemu dziecku, źle wycho-
»wanej dziewczynce, lub Don Juanowi w spódnicy,
»który wszystkiego doznał i teraz krzyczy: »Dajcie mi
»księżyc, chcę skosztować czy z księżyca dobry mar-
»cypan, bo na ziemi już nic niema«. Literatura fran-
»cuska dzisiejsza zna takie kobiety, cywilizacya dzi-
»szejsza takie płodzi twory; ale w nich jest jakaś nie-
»skończoność bólu, jakaś przyszłość nieodwołalna co-
»raz sroższych cierpień, które mnie przejmują litością.
»Czy poznasz z tych rysów panią Delfinę Potocką?
»Nieraz ona mi przypomina... wiesz kogo; nie wtedy,
»gdy wpadnie w chwile swoje *buffo*, ale kiedy smu-
»tna seryo. Tęsamą widzę wtedy nieutuloną rozpacz
»w niej, tęsamą nieudolność do uczucia jakiegokolwiek
»szczęścia — i ta przekwitłość serca wywiera silniej-
»sze wrażenie na mnie, niż świeżość młodociana, niż
»szczęście, zdrowie, przyszłość, kwitnące razem na pa-
»nieńskiem licu. Kiedy widzę istotę, której niepotrzeba
»pociechy, której życie stoi otworem, i którą każdy
»zrozumie, każdy śmiechem przywita, zdaje mi się, że
»ona mnie nie potrzebuje, że ona tysiąc ludzi zdatniej-

ojciec księcia Morny, ambasadora i kilkakrotnie ministra za Napoleona III. Sam w starości ambasador francuski w Londynie.

»szych do podzielenia czy jej dumy, czy jej bogactw, »czy piękności, czy niczem niezatrutej duszy, znajdzie; »nic mnie nie wabi, nie ciągnie do niej, siedząc na »uboczu, lubię patrzeć na jej marsz tryumfalny, jak »na piękne zjawisko, ale się nie zbliżam, dość mi na »tem, że ta sztuka graną jest przed mojemi oczyma. »Tak samo nie czuję żadnej żądzy do arcydzieła ja»kiego sztuki, nie ścisnę ręki Wenerze Medycyjskiej, »dość mi patrzeć na nią; myśl moja, nie serce, wcho»dzi w stosunek z takim ideałem. Zupełnie przeciwnie »się dzieje, gdy na czyjem czole ujrzę ślad żałobny, »wyciśniony kolejami życia; wtedy marzy mi się, że »moje słowo lub przyjaźń lub ręki uścisk może w tych »piersiach obudzić na nowo życie. Co do kobiet mylę »się zapewne, bo one zmartwychwstać nie umieją; ale »złudzenie jest mocnem i łudzę się. W tem leży to »moje stronienie od panien, jest to natury mojej po»prostu układem; tak mnie stworzono. Przez to, com »powiedział, proszę cię nie rozumiej jednak, by cokol»wiek innego prócz litości wiązało mnie do pani Del»finy. Zrazu kłóciliśmy się okropnie, bo szyi nie chcia»łem zgiąć przed jej zewnętrznym *fashionem*; tak się »nawet kłóciliśmy, że ona mnie, a ja jej dziwnie przy»kre powiedziałem rzeczy. Ale dopiero, kiedy ton swój »paryski odmieniła, i zaczęła mówić szczerze, i ja ton »odmieniłem, i teraz co wieczór ona smutno żałobnie, »opowiada mi swoje życie moralne, a ja słucham »i czasem ją cieszę«.

Wychodzi więc na scenę jego życia ta, którą miał nazwać swoją Beatrice. Jakaż ona była? i jakiż powód tego smutku, który go do niej pociąga; tego rozstrojenia i udawania, które go odpycha?

Delfina Komarówna, urodzona w roku 1807, była córką rodziców bardzo zamożnych, zamieszkałych w najpiękniejszej stronie Podola. Samo imię, jakie jej dali — imię bohaterki sławnego w owych latach ro-

mansu pani Staël — może służyć za małą, lecz wyraźną wskazówkę usposobień i wpływów, jakiemi była otoczona od dzieciństwa. Jeżeli mamy wierzyć jej biografowi[1]), fortuna rodziców była świeża, a elegancya i *dystynkcya* domu tak wykwintna, że aż przesadna i pretensyonalna. Wychowanie dzieci niemniej wykwintne, i ma się rozumieć najskrupulatniej francuskie — (istotnie pani Delfina Potocka do śmierci nie umiała prawdziwie dobrze mówić, a tem mniej pisać po polsku). Chowało się więc dziecko w atmosferze nietylko bardzo światowej, ale fałszywo-światowej, i fałszywo-poetycznej: wciągało w siebie nienaturalność i pretensyę, jak powietrze. W roku 1825 młoda dziewczyna wyszła za mąż za pana Mieczysława Potockiego (syna Szczęsnego z Greczynki). Czy zmuszona? Próżności rodziców podobał się zapewne ten związek z młodym dziedzicem starego imienia i Tulczyna; ale nic nie dowodzi, żeby kawaler nie był się podobał pannie. Bardzo piękny, i jak współcześni świadczą wcale nie bez uroku, kiedy się podobać chciał, mógł łatwo olśnić młodą, a rozmarzoną wyobraźnię. Pożycie było nieszczęśliwe. Pan Mieczysław Potocki był człowiek wcale niedobry; i wkrótce pokazał się takim dla żony. Pociechy nie miała żadnej; dzieci, jakie miała, potraciła — (podanie mówi, że nie bez winy ojca, który je w chorobach leczyć zaniedbał, czy też leczył własnym nierozsądnym sposobem). Była więc najrzetelniej, i nawet bardzo nieszczęśliwa. Wytrzymywała jednak spokojnie i cierpliwie lat kilka. W końcu, gdy mąż nietylko stawał się coraz gorszym, ale zaczął się starać o rozwód, (pod niedorzecznie nawet kłamliwym pozorem, jakoby przed ożenieniem był się zaręczył z młodszą siostrą panny Delfiny, Natalią, podówczas

[1]) Dr. Antoni J: *Opowiadania historyczne.* Serya siódma. Lwów, 1891.

jeszcze dzieckiem) — skrzywdzona żona odjechała go i wróciła do rodziców.

Położenie młodej kobiety rozłączonej z mężem, jest zawsze fałszywe i trudne: cóż dopiero, jeżeli ta kobieta ma prócz zranionego na prawdę i zbolałego serca wyobraźnię bujną, rozmarzoną, chorobliwie rozwiniętą przez wszystkie wpływy czasu, przez romantyczną poezyę i romansową prozę, przez sam obyczaj towarzyski i modę. W tych to latach właśnie moda kazała młodej i pięknej damie być poetyczną i romantyczną, a literatura (zwłaszcza powieściowa) uczyła ją, jak taką być ma. Kobieta *niezrozumiana* królowała prawie bez podziału w romansach i dramatach tego czasu, i marzyła o tajemniczym nieznanym bohaterze, który miał zjawić się skądś, i... zrozumieć ją. Nie w lichych zresztą dramatach Dumasa lub Souliego, ale w mądrych romansach Balzaca, w istotnie poetycznych romansach pani Sand, pełno jest takich kobiet — i pełno było ich w życiu towarzyskiem całej Europy. Mówiła zaś ta literatura, że miłość jest najwyższem i najświętszem prawem, związek dwóch serc jedynem prawem i prawnie rozwiązującym wszystkie inne: że wielka namiętność nie potrzebuje wymówki, bo sama jest wymówką: że kobieta ma prawo do niezależności... wywierało to wszystko wpływ, i nie dobry, na bardzo wiele kobiet.

Wyobraźmyż sobie teraz taką, która wychowana do świata i na pokaz, nie miała nie już zasad, ale zdrowych pojęć. Miała zasób uczuć i popędów szlachetnych, a te, zrażone i zranione, domagały się jakiegoś przedmiotu i celu. Miała potrzebę kochania, a kochać nie miała kogo. Była przytem rzeczywiście nietylko *niezrozumianą*, ale uciemiężoną i krzywdzoną przez męża. Cóż dziwnego, że te wszystkie wpływy razem wyrzuciły ją z równowagi, która nigdy bardzo pewną nie była. Natura najprostsza, najzdrowsza, naj-

spokojniejsza wyobraźnią i nerwami, w takich stosunkach mogła być wystawioną na niebezpieczeństwo: a ta natura prostą i zdrową nie była. Ten popęd i nałóg, który Krasiński nazywa »dramatyzowaniem swego życia«, i który surowo wyrzuca Henrykowi z *Nieboskiej Komedyi*, był w owych latach bardzo rozpowszechnionym; a jak *Hrabia Henryk* w poezyi, tak w życiu rzeczywistem za typ niewieści tej skłonności może uchodzić pani Delfina Potocka. Gorączkowe, nerwowe pragnienie coraz nowych wrażeń, zwyczaj i biegłość wywoływania ich i podnoszenia wyobraźnią do wyższej potęgi, potrzeba i szukanie poezyi w swojem życiu, podziwianie jej w swojej osobie, a pojmowanie jej romansowe i przesadne, wszystko to było w jej usposobieniu, a wyrosło bujnie pod wpływem wskazanych wyżej okoliczności. Nieszczęśliwa prawdziwie, podziwiała się romansowo w swojem nieszczęściu: na ówczesnej literaturze i modzie wychowana, pragnęła wrażeń i wzruszeń, a w nich zamiłowana przywykała do sztucznego ich doznawania, podnosiła je sama przed sobą, po części udawała przed sobą i przed drugimi. Nie było to zupełną nieprawdą, zupełnem udawaniem: ale nie było też prawdziwą rzetelnością uczuć i wrażeń. Z intelligencyą istotnie niezwykłą, a zwłaszcza z niezwykłem uspobieniem artystycznem, z rozkoszą dała się porwać temu powszechnemu podówczas zapałowi do sztuki, której ówczesne romantyczne odrodzenie działało tak potężnie, (i wydało tyle istotnie wspaniałych skutków). Jak prawie każda heroina pani Sand, tak każda ówczesna światowa piękność musiała być *artystką*, jeżeli nie *in actu*, to przynajmniej *in potentia*, usposobieniem i wrażliwością; ale kiedy ogromna większość udawała to usposobienie, to u pani Delfiny Potockiej było ono bardzo prawdziwem. W jej położeniu fałszywem i bolesnem, te wrażenia artystyczne były potrzebą, pociechą; zajmowały wyobraźnię

i zasłaniały cokolwiek czczość życia. Po rozłączeniu z mężem, wyjazd za granicę musiał być jej wielkiem pragnieniem i poniekąd uszczęśliwieniem. Paryż i jego wielki świat, Włochy i ich piękności, natura i sztuka, stare obrazy Rafaela i nowe romantycznych Francuzów, opery Rossiniego i Belliniego śpiewane przez Rubiniego i panią Malibran, wszystko to otaczało ją atmosferą, w której rozkwitały różne strony i aspiracye jej duszy, wszystkie pierwiastki szlachetne, i wszystkie próżności światowe jak artystyczne: prawda i komedya. Czuła się też w swoim żywiole, a jednak nie czuła się szczęśliwą; wyobraźnia miała czem żyć, serce nie. Kobieta taka jak ona, rozumna, pełna wyobraźni, poetyczna w tym rodzaju jaki się wówczas podobał, a przez swoje fałszywe położenie postawiona w świetle już z góry fałszywem, musiała stać się celem zdradliwych męskich zabiegów, tem łatwiej dopiero, że była piękną. Bardzo wysoka, bardzo kształtna, z ogromnemi jasnemi włosami, z wielką gracyą ruchów, z rysami, które nie były doskonale regularne, ale były i piękne i szlachetne, była ona jak świadczą ci co ją znali młodą, razem i okazała i śliczna. Do tego śpiewała jak Syrena; głos dźwięczny, przejmujący, wyrobiony był do wysokiego stopnia doskonałości; a usposobienie bardzo muzykalne, wielka intelligencya artystyczna sprawiała, że wszystko co śpiewała, miało i właściwy i bardzo przejmujący wyraz. Powodzenie miała ogromne; a że sama dotąd prawdziwej miłości nie znała, że jej pragnęła, więc... więc mogło łatwo nastąpić to, co Krasiński w owym liście do Sołtana pisze, że starał się o jej względy książę Orleański, pan Flahaut — inni dodają do nich imię Chopina. Ale to wszystko prędzej lub później okazywało się być uczuciem przelotnem, powierzchownem... Gdzież jest ten, który ją kochać będzie prawdziwie, tak jak ona rozumie i pragnie, jedynie, wyłącznie, na zawsze?!...

Rzecz prosta, że dla takiej kobiety być kochaną przez poetę, było szczytem szczęścia, ideałem wszystkich marzeń. Wyobraźnia, miłość własna, prawdziwa i fałszywa poezya, wszystko, co w niej było, musiało rwać się do takiej miłości. A kiedy zjawił się poeta, i to nie pierwszy lepszy, ale poeta prawdziwy, wielki, nie mogło być inaczej, tylko że musiała sama siebie pytać, czy on nie jest tym jedynym, wymarzonym, tym w księdze przeznaczenia dla niej od wieków zapisanym? — pragnąć, żeby on tym był! Może stanie się to tem łatwiej, że nieszczęśliwy, że jeszcze cały zbołały swoją pierwszą miłością, że potrzebuje pociechy...

Na domysł, ale nie bez podobieństwa do prawdy, przypuszczać można, że ten *ton paryski*, który Krasińskiego niecierpliwi, te różne kaprysy, przeskoki od sarkazmu do rozmarzenia, o których on wspomina, to były próby, szukanie tego właściwego tonu i sposobu, który miał trafić do jego wyobraźni, przez tę do serca. Napadła wreszcie na prawdziwy: nieszczęście, mąż niegodny, próżnia serca zrozumienie i współczucie dla tej próżni serca, która jego dręczy, dobroć wreszcie, i smutna rezygnacya osoby, która niczego już dla siebie nie pragnie, ani się spodziewa — najmniej miłości! Zbyt wiele przez nią cierpiała i nie chce o niej ani słyszeć!

Te rozmowy przyjazne, o których on wspomina, musiały być nieskończoną poetyczną waryacyą na ten temat. Wszystko to widzi się wyraźnie. Trudniej byłoby zrozumieć, jakim sposobem Krasiński tak łatwo ujrzał swój ideał, swoją Beatrice, w osobie którą zrazu sądził tak trzeźwo? Wspomnienia księcia Orleańskiego i pana Flahaut, jakoś nie godzą się z tem wzniosłem poetycznem imieniem. Ale na to jest odpowiedź gotowa, i stara jak świat, że mężczyzna najmędrszy nawet bywa czasem w tych rzeczach naiwnym, jak żak;

że w owym czasie sławny paradoks Wiktora Hugo znajdował wiarę nie u jednego tylko Didiera w Marion Delorme, ale i w rzeczywistem życiu niejednemu mężczyźnie wydawał się rzeczą mądrą i piękną, a przez nie jedną kobietę powtarzany był czasem z dobrą wiarą, często z dobrym skutkiem.

Co pewna, to że owo psychologiczne przysłowie, które mówi o harmonii przeciwieństw, i twierdzi, że natury do siebie najmniej podobne, mają do siebie pociąg najsilniejszy, doznało tym razem zaprzeczenia. Krasiński i pani Delfina Potocka byli właśnie podobni do siebie, wadami. Oboje mieli tę skłonność do poetyzowania i dramatyzowania swego życia, i przez nią podobali się sobie wzajemnie. Tylko ta była między niemi różnica, że u niego pod tą skłonnością była ogromna prawda i siła uczuć rzetelnych, u niej było tej prawdy nieskończenie mniej. Z tej różnicy wyniknął cały znowu dalszy przebieg tej miłości i jej dziejów.

W każdym razie, jego pierwsze wrażenie jest niekorzystne. Istota cierpiąca znajduje u niego politowanie, współczucie; ale istota sztuczna, kobieta jakby żywcem wyjęta z współczesnego romansu, nie podoba mu się. Miłość nie strzeliła w jego serce jak piorun, tylko się tam pocichu wkradła jak złodziej. Ale czasu nie wiele na to straciła; owszem, dziwnie prędko ogarnęła go jak płomień, owładnęła jak zdobywca. W tym miesiącu styczniu jeszcze on za dawną kochanką tęskni, za nią cierpi, do swoich nowych znajomych czuje żal za to, że ciekawie, złośliwie, dotykają tej strony bolesnej jego serca.

»Są tu Komary wszystkie zebrane razem, i matka, »i córki i panny, i Delfina Potocka, ale zatraciłem już »znaczenie słowa tego »kobieta!«

»Chodzę często do nich, bo grzeczne i zapraszają; »co chwila mnie nękają dwuznacznemi wyrazy tyczą-

»cemi się mojej przeszłości: — potrzeba mi w takich »razach być bezczelnym, by nie zblednąć, jak trup! »Serce mi się kraje, a odpowiadam zimno, obojętnie, »udając, że nic nie rozumiem! To strach, jak wszy- »stko wiedzą na świecie; przytaczają mi słowa moje »własne, czyny moje własne; przeczę ze śmiechem, »ale to śmiech konających; — bo wtedy, wtedy do- »piero widomem, dotkliwem mi się staje, jakem dalece »i nieodwołalnie imię tej, którą-m kochał, puścił na »łup językom ludzkim... biada mi!... hańba mi! »I patrz!... nie było przez lat tyle chwili jednej, dro- »bniutkiej chwili jednej, w którejbym nie marzył o jej »szczęściu, o dobru jej, o chwale jej, o piękności jej, »a skutek jaki? Rozważ sam, powiedz, czy to nie szy- »derstwo? nie zabójstwo? nie piekło?... Co ja im »zrobię, tym wszystkim teraz? Mogęż usta paplaczy »wszystkich zamknąć na wieki? Co począć z dzie- »wczynami i staremi baby? Trzeba dowcipem je nę- »kać, a jabym chciał je w proch rozetrzeć; a mężczy- »zna żaden się nie przesunie, żaden nie zacznie gadać, »kiedym ja przytomny! Rozkosz zemsty nawet niedo- »stępna dla mnie. — Dopiero gdy wyjdę, gdy nie zdo- »łam im nakazać milczenia, oni gwarzą i szarpią; i ja »to wiem, i ja tak żyć muszę? A przyszłość moja? »Czy ty wiesz, co mnie czeka? Czy ty wiesz, że może »za pół roku obaczę się w najdzikszem, w najzagma- »twańszem położeniu, gdzie stracę rozum, nie wiedząc »komu się powierzyć, czy dyabłu, czy aniołowi stró- »żowi, czy przypadkowi ślepemu, czy rachubie? I ję- »dze mnie rozszarpią — Proś Boga za mnie, ja już »i modlić się nie umiem za siebie! Gdy wejdę do ko- »ścioła, jakiś wstręt, jakiś dreszcz mnie chwyta; chcę »uklęknąć i sztywnieją kolana; chcę zacząć Zdrowaś »Marya, — a to imię Marya, jedno tylko, samo jedno »z ust moich wychodzi, reszta w gardle utyka!« (do Jaroszyńskiego. Listy. Kraków 1871).

Ale niebawem okoliczności składają się tak, że pomagają do przemiany jego uczuć. Dostał ospy; musiał jej dostać zaraz po napisaniu powyższego listu, bo już 5-go lutego jest o tyle zdrowszy, że może pisać; a pisze co następuje: »Przez te wszystkie dni leżałem »w wściekłej gorączce... cieszyłem się myślą, że na »tamten świat się przerzucę; ale znać jeszczem tu do »parady potrzebny. Nie mogę ci opisać, o ile przez »ten czas choroby mojej Pani Delfina była dobra, pra»wdziwie, szczerze dobra dla mnie... Gdybym miał »siostrę, od siostry niczego więcej żądaćbym nie mógł. »Z całej duszy jej wdzięczny jestem, tembardziej, iż »wiem, że to prosta, dobra przyjaźń, a nic innego«. Ale im dłużej trwa, tem się naturalnie ta przyjaźń staje czulszą: »Gdybym był ją spotkał wtedy, kiedy »błyszczała próżnością, byłbym się odwrócił, nigdy »słowa do niej nie wyrzekł. Ale teraz to jest tak bie»dna, zewsząd napadnięta, w każdym punkcie zraniona »kobieta, a zarazem harda w boleści, nie żebrząca ni»gdy politowania, a przyjmująca je kiedy szczerze da»nem, że, jakem ci pisał już, gawędzę z nią przez dłu»gie godziny«. W kilkanaście dni później już zwierzenia jego nie mają tego spokoju, w jakim zostaje człowiek zajęty tylko przyjacielskiem uczuciem. »Nie chcę »listowi powierzać rzeczy, na której zrozumienie i oce»nienie trzeba albo dziesięć arkuszy napisać, albo być »z tobą razem i tylko ścisnąć ci rękę« — (List LXXVII z Rzymu 20 lutego 1839) — »ale to pewna, że w dzi»wnej jestem kryzys moralnej. Razem gorący i zimny, »młody i stary, obojętny i nie. To jednak doskonale »czuję, że co lat kilka, jak piasek w klepsydrze, tak »życie o kilka stopni opada w piersi naszej. Co nie»gdyś byłoby nas przejęło szałem, dziś tylko słodyczą; »kto wie co lepsze? czy szał, czy tkliwa słodycz roz»lewająca się po duszy, jak ciepłe wonne wiatru po»wianie«. Tak pisze człowiek, który się kocha i sam

o tem wie doskonale. Wreszcie, wyznaje to już otwarcie Gaszyńskiemu później, we wrześniu dopiero, kiedy go przeprasza za długie milczenie, a wymawia się tem, że »ci tylko piszą, co żyją na ziemi

Ja nie na ziemi żyłem, ale w niebie...

Sołtan dowiaduje się wcześniej całej prawdy.

»Tobie przeszło przez myśl« — (16 marca 1839 z Rzymu list LXXIX — »żem ja się w jakiej pannie »zakochał? Nie Adamie, nie. Zresztą niech Bóg mnie »sądzi. Zapewne, że nie jestem na najprostszej dro»dze, ale kto wymiarkuje drogi serca? kto rzuci ka»mień na drugiego? Przynajmniej niech mi go nie »rzuca nigdy dłoń przyjaciela. Ledwo pisać mogę. Po»mieszały się wszystkie wyobrażenia i wszystkie wiary »moje, jestem jako ślepy i obłąkany... Proszę cię nie »potępiaj, ale raczej żałuj, bo ty wiesz, że ja ją szcze»rze kocham i na zawsze. Błędy moje, szały moje, »niechaj twego serca nie odwracają odemnie, bo ty »na nich nigdy nic z duszy mojej i przywiązania stra»cić nie możesz. Ty sam wiesz, że są tak gwałtowne, »tak porywające uczucia, że rozum przeciwko nim jest »tylko przedrzeźniającym buffonem, ale nie zaradczym »lekarzem. Otóż, jestem w takiem położeniu; a jak się »ono wyrobiło, ile walk zniosłem, jak powoli giąłem się »pod tą fatalnością, jak darłem się z samym sobą »i rozdarłem siebie, to niech mnie i Bogu wiadomem »pozostanie«.

Świetniej, potężniej wyraża się ta miłość w wierszach. Wiersze te, jak dawniejsze i późniejsze, znajdują się najczęściej w listach, ale w listach nie do przyjaciół, tylko do samej ukochanej. Dlatego tak były ukryte; nie wiedzieliśmy, nie domyślaliśmy się, że są na świecie. Po śmierci dopiero pani Delfiny Potockiej, częścią w ostatnich latach jej życia, oddzielone od li-

stów, ukazały się, i stały się ozdobą jedną z najpiękniejszych naszej miłosnej poezyi.

W jednym z nich, w jednym z późniejszych i najpiękniejszych, opisuje poeta, jak się wydaje szczęście człowiekowi, przywykłemu zawsze tylko do cierpienia. Aniołowie sami w swojej niezmiennej jednostajnej szczęśliwości, nie mają wyobrażenia o takiej rozkoszy. W podobnem uczuciu pisany jest wiersz pierwszy, odnoszący się do tej nowej miłości. Poeta sam nie dowierza rzeczywistości, nie wie czy to prawda? czy nie jest złudzeniem, urojeniem wyobraźni ta postać anielska; czy może być, żeby on jeszcze był szczęśliwym? on wie, co piekło, co próżnia serca, co nicość

gdzie wszystko zmarło, a żyć jeszcze trzeba,

on był

tak smutny, jak nocy milczenie —

a wtem ją spotkał — i

Hymn wniebowstąpień zewsząd się odzywa —
Bujam po morzu gdzieś w skrzydlatej łodzi.
Ta, którą kocham, może płynie ze mną?
Może w jej duchu mój duch się odbija?

Może? Ona jest przy nim. Tylko on rzeczywistości tego szczęścia uwierzyć nie może; spodziewa się, że

Głos tajemniczy szepce jej do ucha,
Spowiedź mej duszy i wszystkie me żale,

ale nie jest jeszcze pewien, czy ona głosu tego słucha. Ale dziś dość mu na tem, dość szczęścia. On wie że to nie potrwa, że jego przeznaczeniem ból, że złe ustąpiło tylko na chwilę, by wrócić i dręczyć go znowu — ale teraz jemu tak dobrze, że potem na wszystko już przystanie, byle ta jedna chwila nie była mu odjętą ani zepsutą.

Niech jeszcze marzę, że na wód kryształe
Zlały się razem losów naszych drogi,
By płynąć w wieczność razem — jak te fale.

Drogi się zeszły istotnie, i na długo. — Ale zawsze razem być nie można. »My stąd 15 lutego wybieramy się do Rzymu«, skarży się w liście do Sołtana (LV, str. 147); ojciec chce koniecznie, a on nie może wyznać dlaczego nie chce. A więc

Ledwom cię poznał, już cię żegnać muszę...

i w wilię tego rozstania, 14-go lutego, pisze się wiersz powyższemi słowy zaczęty, wiersz przypadający dobrze do tego wizerunku kochanki, jaki kreśli prozą w liście do Sołtana (choć tam jeszcze wypiera się tej miłości). »Nieutulona rozpacz, nieudolność do uczucia jakiegokolwiek szczęścia, przekwitłość serca, hardość, która politowania nie żebrze« — i jego politowanie, które wybiega naprzeciw tej duszy zbolałej, a w sobie zamkniętej, wszystko to jest tu w poetycznej parafrazie:

Bóg jeden zdoła
Policzyć ciernie w wieńcu twego czoła.
Ja ich nie liczę — ja je tylko czuję,
Bom wziął je wszystkie w głębie mojej duszy. —

Potem jak tylko się dało najprędzej, wymknął się z Rzymu (w kwietniu), wrócił znów do Neapolu, ztamtąd popłynął do Sycylii.

Z tej podróży został *Dziennik*, pisany dla pani Delfiny Potockiej, a ogłoszony po raz pierwszy w lwowskiem wydaniu zupełnem krytycznem »z roku 1904«. Zaczyna się 18 kwietnia, kończy 4 maja. Język i styl podobny do *Nocy Letniej* i do *Trzech Myśli:* i podobny stan czy kierunek myśli i wyobraźni. Wrażenia i opisy rzeczy widzianych, łączą się z wrażeniami, wspomnieniami, tęsknotami miłości. Poeta tak czuje swoją ukochaną zawsze sobie przytomną, że opowiada

jej swoją podróż tak jakżeby ona była z nim, jakżeby z nią rozmawiał. Wyobraża sobie, zdaje mu się, że ją ostrożnie prowadzi po stromych ścieżkach nad przepaściami, że zmęczoną na swoich rękach wynosi na szczyt góry. Obrazowych i poetycznych ustępów nie brak: ale nie brak też przesady, a brak naturalności.

W lecie znowu konieczność nowego rozstania, znowu konieczność podróży do Niemiec do wód z ojcem (w czerwcu), a po tym odjeździe nowy wiersz, nowy wyraz tęsknoty i niepokoju:

> Czy wtedy z tobą raz ostatni byłem?
> Smutnem przeczuciem dusza mi się żali

i stara się odgadnąć, co ona w tej chwili robi? czy sama w komnacie dręczy się wspomnieniami? czy

> możeś poszła chodzić po nad brzegiem
> Wód zwierciadlanych, gdzie fala spieniona
> Konając stopy głaskała ci śniegiem —
> Ja byłem wtedy przy tobie — jak ona.

Ale wygnanie nie trwało długo. Ojciec powrotu do kraju nie żądał, i nastąpił pobyt w Szwajcaryi — (w Fryburgu najdłużej, sądząc z listów), jesienią powrót za Alpy, powolny, zatrzymując się po drodze; i znowu zima we Włoszech, zima szczęśliwa, w ciągu której ojciec przypomina czasem listami, że radby syna widzieć żonatym, ale syn odpowiada (sobie przynajmniej i przyjaciołom), że na to jeszcze czas. Te przypomnienia brzmią w uszach, jak brzęk natrętnej muchy; nie chce myśleć o przyszłości — szczęśliwy dziś, w teraźniejszości chce żyć, na resztę oczy zamyka.

Istotnie rok ten i dwa następne (1840 i 1841) to okres szczęśliwy jego miłości. Miłość nieograniczona, zupełna, krępowana co najwięcej ojcowskiemi chyba przestrogami, nowych i ciężkich zmartwień żadnych. Przyjdą niezadługo, ta harmonia się zmąci; ale teraz pogoda jasna, samo południe miłości i szczęścia.

Może dlatego najwięcej wierszy i najpiękniejsze, noszą tę datę roku 1840. Niewiele, jak zawsze, ale stosunkowo najwięcej. Z całego ciągu szczęśliwej zimy niema ani jednego; ale kiedy przyszło lato, a z latem znowu jechać na spotkanie z ojcem, boleść rozstania dobywa mu z serca dwa śliczne wiersze. Jeden, jak żeby Zaleskiego strofą pisany, taki dźwięczny i lotny, a miękki przytem jak u Krasińskiego rzadko:

Od łez moich się zaduszę!
Ja ci dałem całą duszę,
A dziś w drogę jechać muszę —
Ja tak cię kochałem!
Ach, rozdział śmiercią — jak śmierć jest rozdziałem.

Wiersz drugi jeszcze piękniejszy, to jest tęsknota, jaka będzie, kiedy on odjedzie[1]):

Rankiem, wieczorem, na wyspy bezdroże
Patrzę samotna — w skały, w niebo — w morze.
I codzień mówię »on dziś wróci może!«
Taki mój los!

A jak Mickiewicz przed laty jedenastu *»na Alpach w Splügen«* zwracał smutno wzrok na północ, i z tego szczytu posyłał dawnej kochance ostatnie pożegnanie, tak teraz Krasiński na temsamem miejscu stoi i także wiersze do kochanki pisze; ale nie żegna, tylko powrót i spotkanie przyrzeka, i nie ku północy patrzy, ale na południe, Ziemi włoskiej opiekę nad swoim skarbem zalecając:

O Ziemio włoska! strzeż tego anioła —

Czy można zdać sobie sprawę, próbować przynajmniej, z tego ich uczucia i stosunku? jak które z nich kochało i które więcej? Oczywiście on. Stosunek jest

[1]) Lwów. 1890. T. III. str. 26 i 27.

wprost przeciwny temu, jaki był w pierwszej miłości. Tam on więcej był kochany aniżeli kochał; on wtedy kochał się sam w sobie, w nowości nieznanego uczucia, we wrażeniu jakie sprawiał, nie mniej jeżeli nie więcej, jak w osobie samej; on nie poświęcił nic, nie stracił nic, a poświęcenie przyjął. On wreszcie zapomniał. Ona kochała całą duszą, ona dla niego »wszytko straciła na ziemi«, a nie kochała nigdy innego, tylko jego do samej śmierci.

Teraz jest inaczej. Uwielbienie bez granic, poświęcenie, miłość najprawdziwsza, która swój cel ma nie w sobie, ale w umiłowanej istocie, namiętność rozpłomieniona i czułość najrzewniejsza i największa, jest po stronie mężczyzny. Kobieta to wszystko przyjmuje chętnie, utrzymuje umiejętnie i przebiegle; ale jest, i ze świadomością chce być celem w tej miłości i w jego życiu. Nie on dla niej — ona dla niego ma być celem. Nie ona dla niego — on dla niej ma poświęcać nawet rzeczy, których poświęcać się nie należy i nie godzi. On kocha ją nadewszystko: ona siebie więcej niż jego. Czy chcemy przez to powiedzieć, że go nie kocha wcale, tylko udaje? Nie; ona jest przekonana, że go kocha jak bardziej kochać nie można; a z pewnością jest pod jego urokiem, dzieli jego smutki, pragnie jego szczęścia, głowę i serce ma nim zajęte. Ale wiemy, jak łatwo u istot jej podobnych wyobraźnia i miłość własna podchodzi i łudzi serce: jak umie wmówić w nie uczucie, albo je udać za większe niż jest. Rozpoznać, gdzie się kończy prawda, a gdzie zaczyna udanie, nie potrafi nikt, najmniej może ten — lub ta — która tego uczucia doznaje. Sposób i miarę do tego rozpoznania daje dopiero życie, zachowanie się takich dwojga osób w różnych wypadkach i stosunkach. Pani Delfina Potocka myślała i wierzyła, że kocha Krasińskiego najszczerzej i najgoręcej; ale życie pokazało, że w jej miłości była i sztu-

czna exaltacya, i próżność, i miłość własna, i egoizm. On wytrwa w tej miłości wierniej i dłużej niż powinien, a zapomni wtedy dopiero, gdy porówna tę miłość zmieszaną z próżnością i egoizmem, z drugą szlachetniejszą i wznioślejszą. Ona kochała jego zapewne w życiu swojem najwięcej, ale jak nie jego pierwszego, tak też i nie jego ostatniego także; a potrzeba nowych i artystycznych wrażeń przetrwała nietylko młodość, ale i lat niewieścich południe. Rzeczą było w swoim czasie powszechnie wiadomą, że dobrze już przekwitła i starzejąca się Beatrice, zawróciła jeszcze siwiejącą głowę Pawła Delaroche w ostatnich latach jego życia.

IV.

Szczęście i smutek. Powody smutku. Cierpienie patryotyczne. Pokusa zwątpienia. Niejasność pojęć religijnych i filozoficznych. Stosunek z ojcem. Plany ożenienia. Opór. Panna Eliza Branicka. Listy do Adama Potockiego. Przewiezienie zwłok Napoleona. Nowe dzieła.

W duszy poety mieszanina, czy walka, szczęścia z ponurym smutkiem. W wierszach, w listach, ukazuje się czasem taki upojony szczęściem, że zda się, jakżeby bólu żadnego nie czuł; a w tej samej chwili zgryzota, udręczenie, zwątpienie odzywają się jękiem głuchym, niekiedy przeraźliwym, rozdzierającym. Raz »wyzywa duchów i aniołów«, jakżeby chciał mierzyć się z nimi na wielkość szczęścia, a zaraz obok skarży się

Mnie smutek zabił, mnie gorzkie koleje,
Mnie gwałt namiętnych, nieskończonych marzeń,
Mnie krok leniwy ognuśniałych zdarzeń,
Co wyrwał z serca nadziei nadzieję...

albo w rozpaczy załamuje ręce *»Nad morzem na skale«*, bo nie może znaleźć nic, w czemby, prócz mocy Bożej, nie kryła się piekielna siła. Nie jest to

poetyczna exaltacya: nie jaskrawe oświetlenie wiersza i stylu, które nadaje blasku uczuciom i powiększa ich rozmiary: zwykłe listy mówią to samo, i tym samym tonem. Co za koncentracya wrażeń różnorodnych a rozkosznych w takim naprzykład ustępie:

»Rozpiłem się południa błękitami (do Jaroszyń-»skiego 1-go sierpnia 1840). Błyszczą tam gwiazdy, ja-»kich nigdzie indziej nie zobaczysz; księżyc tam jak »dziewica niebios, słońce jak archanioł potęgi, Rzym »jak archanioł zwalony leżący na ziemi, śródziemne »wody Neapolu jak toń wieczności, ale szczęśliwej, »ale wielkiej! Sycylia jak królestwo marzeń, wcielone »w kształt równy pomysłowi tych marzeń; a pod tem »wszystkiem Dantejskie piekło, buchające czasami kra-»terem Wezuwiusza, Etny, Stromboli. A nad tem wszy-»stkiem przesłona dzika i pełna żałoby, czyściec Dantej-»ski, unoszący się w powietrzu między grobami, na któ-»rych kwiaty rosną i migają lucciole, a niebem, gdzie »drugie lucciole świecą... Tam, gdzie one na mlecznych »drogach oparte, Raj się zaczyna: Raj niedojrzany, »w którym Beatrix niewidzialna mieszka. A cień, od-»błysk jej, mara jej, czasem przesunie się na dole, »czasem odbije się w magicznem zwierciadle niebios, »w tem źwierciadle zwanem włoską ziemią«.

Z półtora roku zebrane wrażenia i zachwyty streszczają się w tych słowach, a nad wszystkiemi unosi się, świeci, króluje cień niebiańskiej Beatrice, który zstąpił na ziemię. I poeta i człowiek zdaje się upojony szczęściem. Ale on na chwilę nie przestaje cierpieć. Miłość go unosi i zachwyca, ale nie jest eterem ani letejską wodą i nie ma władzy nad jego troskami, nie przynosi zapomnienia.

»Z tych słów sądziłbyś, że mi serce jak Rafae-»lowski grób Panny Maryi porosło w kwiaty, że duch »mój cały przetkał się gwiazdami? Nie; bo posępne »lice świata, ogółu smutek, moje indywidualne unie-

»sienia gasi, zabija, i niszczy, i zawszem taki, jakim »mnie znałeś... Noszę głęboką żądzę w sobie; choć »w pewnych chwilach potrafię się jak król ubrać »w purpurę wieczorów, w księżyce nocy, w błękity »i muśliny pian mórz włoskich — coś mi pod temi »szaty serce wydziera. Darmo głaskam owe żmije — »darmo ich proszę, by mi krwi mojej nie piły; one »mleka nie chcą, one krwi mojej wiecznie żądają. I tak »dalej idę, cisnąc pod szatą poezyi owe gniazdo roba»ków; a gdybym je wyrwał, toby i serce poszło za »niemi. Epaminondas pod Mantyneą skonał, gdy wy»rwał z piersi włócznię, co mu pierś przeszyła«.

Co to za żmije? Wskazuje on je sam wyraźnie: »posępne lice świata, ogółu smutek« — czarne troski *Nieboskiej Komedyi*, tęsknota Irydiona za światem lepszym a niepewnym. Ale ten rdzeń jego smutku ma różne odnogi i rozgałęzienia, i różne także bierze w siebie pierwiastki innej natury. To nie jest tylko patryotyczny ból ani frasunek o przyszłość świata; to jest także i zniechęcenie do siebie i obawa ciężkich walk przed sobą.

»Zdarza się na świecie chwila takiej ironii, że »zwątpienie chwyta za duszę naszą i prawie bluźnier»stwo do ust nam się gwałtem ciśnie. Na znikomych »widowniach skończoności tyle jest pozornych nie»szczęść i błędów, tyle gorzkich zawodów, tyle szy»derskich przerobień się uczuć wewnątrz nas i okoli»czności nazewnątrz, że nie dziw, jeśli czasem stanie »myśl ruszona niemocą i zaprzeczy nieskończonej do»broci i prawdzie, by wierzyć, że złe jest świata pa»nem, a przypadek jego aniołem, jedynym aniołem »stróżem. To wszystko, jak gruba zasłona kryje niebo, »prawdę, ideały i szczęście. To stanowi pokusę, nie»dowiarstwo odmętu, zaślepienia, które wiedzie do »straty wszelkiej otuchy i nadziei, do ostatecznego »zwątpienia! Pokusy niema straszliwszej, wszystkie

»inne są tylko chwilowe! Ta jedna ciągła, poczyna »się z pierwszym dniem życia, a kończy się z ostatnim! »Kto ją przemógł, kto własnym oczom nie wierzył, »kto miał ręce pokolone cierniami, a o różach nie »przestał marzyć, kto widnokrąg, zasnuty mgłami, za »fałsz poczytał, za fałsz napomykający o prawdzie »błękitów, — ten zbawionym będzie, ten w skończo»ność nie uwierzył, ten jest synem Boga! Zapewne »jeśli mam być zbawionym, to jedno mnie zbawi kie»dyś — żem nigdy nie przestał ufać w piękność, że »uczucie piękności na wieki w głębi duszy mojej »żyje!«

On w sobie to jedno tylko ceni, dla tego jednego może znaleść przebaczenie i zbawienie, że nigdy nie przestał ufać w piękność. Pokusa ostatecznego zwątpienia dusi go bez wytchnienia. Czy nie teraz właśnie, pomimo miłości i szczęścia, żyje on w tej przepaści, o której mówi w *Przedświcie?* w »próżni zwątpienia«? Wiara religijna go nie trzyma. Czy ją stracił? Nie. Ma ją, i nie ma: tak, że trudno jego wiarę i jego zwątpienie pogodzić. »Lammenais zgłupiał, a Papież »jeszcze przeszłego roku błogosławił z krużganku Ś-go »Piotra stu tysiącom ludzi« (do Gaszyńskiego 19 października 1839). Ale w tej jego religijności jest (jeżeli można odważyć się na takie dochodzenie), więcej może miłości Boga i chrześcijaństwa, aniżeli czystej wiary. On wierzy w Boga i w Jezusa Chrystusa, i w święty Kościół Powszechny, a zwłaszcza kocha, trzyma się ich sercem; ale on sam może nie wie jasno i dobrze, co o nich myśli. »Przeklęte Niemcy filozofy« nie napróżno wpiły się w jego myśl. Jezus Chrystus jest Bogiem, i niebo chrześcijańskie z aniołami i świętymi jest celem, do którego dążą wszystkie duchy z tej ziemi i z innych planet. I Papież jest Głową Kościoła, Namiestnikiem Chrystusa na ziemi. »Ale Bóg jest Jehową, Bóg jest Chrystusem, Bóg jest

»Panteizmem — ale prócz tego Bóg jest jeszcze czem »jest — samym sobą... Dusza człowieka jest nieśmier»telną, osobistą, i zarazem duch jego jest powszechny... »Pogodzenie sprzeczności w Bogu i w człowieku jest »to ten cud właśnie, który stanowi zarazem i życie »i zagadkę życia... Wiara to silne przeczucie, że te »sprzeczności są jednością nierozerwaną, żyjącą razem »i harmonijnie« (do Jaroszyńskiego 5 września 1839). W słowach tych równie łatwo rozpoznać i podstawne pojęcia *Syna Cieniów* (który albo się właśnie pisze, albo niedawno jest napisany), jak wewnętrzną logiczną sprzeczność w tych Krasińskiego pojęciach, jak wreszcie siłę uczucia i woli, z jaką on się wytęża, żeby w ten przyszły cud, w to pogodzenie sprzeczności (mniemanych) uwierzyć, i żeby przeczuć, odgadnąć, jakim on będzie, zkąd przyjdzie, jak się objawi? To jest ta praca, ta walka, to udręczenie jego myśli. A jeżeli też cud nie nastąpi? Jeżeli się pokaże, że i to jest złudzeniem? że złe jest panem świata, a jego jedynym aniołem stróżem przypadek, który czasem to złe usuwa lub łagodzi? Na tem rozumowaniu, które on bierze za wiarę, szczepi się »pokusa ostatecznego zwątpienia«, z którą on walczy, którą odpycha, ale która szarpie go chwilami i gryzie jak Prometeusza sęp.

To jest drugi powód, drugi pierwiastek jego smutku.

Trzecim, czy nie jest stosunek z ojcem? Pragnienie ojca, tak słuszne i naturalne, żeby syna widzieć żonatym, ale wobec namiętności, którą syn jest uwikłany i uszczęśliwiony, pragnienie ciężarne bolesnemi, tragicznemi przejściami. Zrazu mówi o tych zamysłach z dobrym humorem, z fantazyą i tężyzną człowieka, który ustąpić nie myśli, a nie bez ironii (i niesprawiedliwości) względem ojca, z zupełną pewnością co do siebie. »On jeszcze marzy o mojem ożenieniu — (do

»Sołtana 2-go czerwca 1839). Nieożeniony nie mam ża»dnej wartości w jego oczach, zatem może mnie znie»nawidzi, albo zobojętnieje dla mnie. Ja zaś żenić się »nie ożenię, a to z wielu przyczyn: 1) że nie czuję »powołania do tego świętego stanu; 2) że żyć jeszcze »myślę, bo żyć mi potrzeba i żyć pragnę. Każ koło »5-go lipca mszę odprawić na moją intencyę, bo będę »w dyabelnych tarapatach«. Małżeństwo, które zna z obserwacyi światowej i ze smutnego doświadczenia dwóch kobiet które kochał, a do tego małżeństwo, koniec jego obecnego szczęścia, budzi w nim wstręt nieprzezwyciężony, wydaje mu się instytucyą przeciwną naturze, gorszącą i oburzającą. »Ze wszystkich »instytucyi ludzkich najmniej pojmuję formę małżeń»stwa. Albo ja bzika mam w głowie, albo ta forma »nie jest ostateczną formą miłości na ziemi« (do Sołtana 27 lutego 1840). W literaturze ówczesnej, zwłaszcza romansowej, pełno jest myśli i wyroków podobnych. Krasiński tak nie cierpi małżeństwa, że nietylko o własnem słyszeć nie chce, ale i na cudze patrzy niechętnie. Na Danielewicza naprzykład, kiedy ten (dwukrotnie) jest ożenienia bliskim. Mowa o własnem doprowadza go do rozpaczy, albo do złości: »Znów mój ojciec hufiec panien na mnie prowadzi »(tamże). Mnie już tak to znudziło, że mnie oburzyło, »że mi nerwy skaczą, jak pchły po ciele, gdy tylko »wspomni mi o tem. Nie wiem, jak sobie postąpię — »to wiem tylko, że mam jeszcze dwa lata młodości, »i że myślę ich użyć nie na ślub przed ołtarzem«.

Ta energia i tęgość w oporze czasem przybiera ton smutniejszy, nie gniewu i zniecierpliwienia, ale goryczy i żalu. Jakie przejścia naprzykład, jakie bolesne między ojcem a synem rozmowy kryć się mogły pod takiem wyznaniem. »Jaka okropna walka, a ciągła, »między młodością a starością! Ile ztąd niesprawiedli»wości wzajemnych, zgryzot i wyrzutów; jaka konie-

»czność poświęceń jednej strony dla drugiej, a tem »samem jaka konieczność okrucieństwa... A co chwila »zmienia się stosunek okrucieństwa; raz dzieci rodzi»com, znów rodzice dzieciom rozżarzone węgle kładą »na głowę. Ci, coby kochać się powinni, i czują że »Bóg ich na to stworzył, niecierpią się lub nudzą się »jedni przy drugich, nie rozumieją się nawzajem...« (do Jaroszyńskiego 16-go lipca 1839).

Pisał do Sołtana, żeby około 5-go lipca, dnia spotkania z ojcem, dał na mszę za niego, bo go czekają srogie przejścia; 16-go lipca pisze tę ukrytą, stłumioną, a przecież wyraźną skargę. Jakieś przejście było; i on w tem przejściu woli ojcowskiej ustąpił. Zapewne nie zaraz, po ponownych naleganiach, i formalnie tylko przystał na zobaczenie tej, którą mu ojciec przeznaczał, ale woli swojej nie poddał, ani poddać nie przyrzekł; owszem, sam w sobie utwierdzał się i zacinał się w oporze. W rok później jest w Karlsbadzie, i oto co Sołtanowi donosi (27 sierpnia 1840): »Są tu Bra»niccy. Tą razą nie spisałem się jak niedźwiedź; »owszem, rozmawiałem długo z panną Elizą. Zdaje się »słodka i dobra bardzo osoba. Życzę jej z serca, by »była szczęśliwą na ziemi«.

Życzy jej, by była szczęśliwą, a domyślnie dodaje: »byle z kim innym, nie ze mną«. Tak się zaś przeciw tej myśli zahartował, a przeciw sobie uprzedził, tak nie chce widzieć ani przyznać żadnego w niej wdzięku, że nawet o jej piękności nie wspomina. A jednak piękności tej zadziwiającej, wyjątkowej, nie mógł nie widzieć, ani zaprzeczać. Tem bardziej nie pyta, nie raczy myśleć i wiedzieć, jakie wrażenie zrobił sam na tej »słodkiej i dobrej osobie«. Tego nie odgadł zapewne w pierwszych czasach (bo nie chciał), że pod uroczą powierzchownością i pod anielską słodyczą panny Elizy kryła się intelligencya żywa i bystra, zwłaszcza wyobraźnia bujna i (zwyczajem ówcze-

snym) poetycznie nastrojona, i był wielki zasób patryotycznego uczucia; a wszystko troje przygotowywało i usposabiało ją doskonale do uczucia, które z czasem w jej sercu zająć się miało.

A o dawnej, pierwszej miłości czy wcale niema już wspomnień i wzmianek? Są, i bardzo rzewne, bardzo smutne, pełne współczucia, litości. Rzadkie są, i w jednych tylko listach do Jaroszyńskiego, bo ten jeden ma sposobność widzieć czasem swoją sąsiadkę, a przynajmniej wiedzieć, co się z nią dzieje. Krasiński prosi, żeby ją łagodnie pocieszał, mówiąc o tem i do tego myśl jej zwracając, co pociechą być może. »Bądź »zawsze dobry dla niej... mów o jej dzieciach... wy»stawiaj jej, że cel ostateczny jest spłynąć się z Bo»giem... Niech pamięta, że jeśli moje czyny były gwał»towne, popędliwe, to mój duch jednak zawsze pra»gnął objąć ją czystemi skrzydłami i unieść do nieba. »Kochałem ją jak człowiek, ale zarazem kochałem ją »jak dusza; i nie mogę wspomnieć o niej, żeby łzy »mi ócz nie ćmiły, żeby serce nie zaczęło lękać się »o nią« (16 lipca 1839).

W tym okresie życia Krasińskiego zaczynają się jego listy do Adama Potockiego. Także nowe odkrycie: nie tak ważne jak listy do Reeva, ale ciekawe, zajmujące, piękne. Siedemnastoletni Adam Potocki był na naukach w Wiedniu. Tam zapewne, za jednego z powtarzających się pobytów czy przejazdów Krasińskiego, poznali się i przypadli sobie do serca. Starszy odgadywał widocznie w młodszym materyał na niepospolitego, na dzielnego człowieka: młodszy, młodziutki, musiał być uderzonym i pociągniętym wyższością starszego. Kiedy się rozjechali zaczęli do siebie pisywać. Listów młodego Potockiego niema: ale listy Krasińskiego, przechowane starannie, wyszły z ukrycia długo po śmierci obu. Pierwsza wydobyła je pani Adamowa Potocka, dawała je czytać młodym dorastającym chło-

pcom ze swojej rodziny; później jej wnuk, wnuk jej siostry i poety, Adam Krasiński, ogłosił je w *Bibliotece Warszawskiej* (1905). Ciekawe jest to wczesne zbliżenie, ta przyjaźń dwóch ludzi, z których jeden był gienialny, a drugi znakomity, a których później los miał zbliżyć jeszcze jako mężów dwóch sióstr.

W tem odkryciu jedno odkrycie szczegółowe, a ciekawe: Adam Potocki kochał się w swojej cioteczne siostrze, w pannie Elizie Branickiej, późniejszej pani Krasińskiej, i z tej miłości zwierzał się przed przyjacielem. Pierwszy list Krasińskiego, z Opinogóry 12 czerwca 1838 roku, jest odpowiedzią na to zwierzenie. Krasiński nie mówi mu otwarcie, ale widocznie myśli, że trudno myśleć o szczęśliwym końcu tej miłości. Panna, choć bardzo młoda, jest dorosła: jej wielbiciel jest student, o rok od niej młodszy. Bardzo delikatnie, względnie, serdecznie, ale i bardzo rozsądnie, radzi mu, żeby sobie nie robił nadziei: ale zarazem bardzo pięknie i bardzo mądrze uczy go, żeby szanował w sobie tę miłość szlachetną, czystą, wzniosłą. Taka, choć się nie skończy szczęśliwie, jest zawsze szczęściem, bo zostawia w duszy podkład szlachetny i odbija się na całym kierunku życia. Krasiński nie zwierza się ze swoich miłości; ogólnie tylko mówi, że z własnego doświadczenia wie, jak miłości zawiłe, zmieszane z pierwiastków różnych, mszczą się za chwile uniesień pasmem goryczy i cierpień: kiedyś może to młodemu przyjacielowi opowie. Ale kiedy łagodnie i ostrożnie stara się odwrócić jego myśl od panny Elizy, dodaje, że jej najmłodsza siostra, »to byłaby żona dla ciebie«. I wywróżył: »maleńka«, jak nazywa, wtedy w trzynastym roku życia, stała się panią Adamową Potocką.

Bardzo piękne te listy; bardzo mądre. Nie o samej miłości tylko, ale o całem życiu, o powołaniu i obowiązku człowieka. Gdyby Aligier z *Niedokończo-*

nego Poematu pisał listy do Młodzieńca, to byłyby takie. Główna waga i dążność położona na wyrobieniu charakteru, na woli, na zdolności do czynu; a to się zna z dzieł i z innych listów, co Krasiński rozumie przez człowieka i polaka jak być powinien, jak rozumie składniki jego charakteru (uczucie, myśl i wolę), jak rozumie jego godność a rozróżnia ją od dumy, jak żąda wierności dla tego co być powinno, a znajomości i znoszenia tego, co jest. To występuje w tych listach tak wyraźnie, że mogłoby nieraz posłużyć za komentarz do jego dzieł. Doskonałe czytanie dla ludzi młodych, dorastających, zdolne wpłynąć na serce i na umysł, jedno i drugie podnieść i rozwinąć. Częste w roku 1838 i 39, listy stają się rzadszymi w 1840, ostatni jest z roku 1841. W jednym jest wzmianka o pannie Elizie, (pierwszy raz zapewne poznanej), wzmianka bardzo sympatyczna, dla zakochanego w niej (jeżeli jeszcze był zakochanym) zapewne miła. W jednym z późniejszych są ukłony »dla wuja i wujenki« (Branickich).

Rok w rok po spotkaniu z ojcem, ucieka Krasiński coprędzej ku południowi. W Szwajcaryi, we Włoszech (Fryburg, Sorrento), zapomina o ojcu i jego życzeniach, odurza się swojem szczęściem. Ale szczęście, choć wielkie, nie może zagłuszyć tych cierpień, które rozdzierającym krzykiem wybuchają czasem z jego serca. Takim jest naprzykład wiersz *do Moskali* (posłany Sołtanowi 9-go sierpnia 1840). Na wstępie odzywa się w nim to przypuszczenie, ta urojona trwoga, którą miał już w roku 1832, a odtąd zawsze, zwłaszcza przy każdym powrocie do kraju, która w jego wyobraźni zrodziła kiedyś *Ostatniego*, to mylne przeczucie, a jak on mniema pewna świadomość, że »dla mnie Sybir — powróz zgotowany«. Przeczucie było mylne; ale uczucie nienawiści i pogardy, i uczucie własnej godności, to było prawdziwem; i mało

kiedy na świecie wyraziło się potężniej, namiętniej, wspanialej.

Poruszony i wstrząśnięty jest do głębi serca w tym roku 1840 przewiezieniem zwłok Napoleona. Jak cała Europa zadrżała na ten widok nietylko wspomnieniem przeszłości, ale i przeczuciem przyszłości — (niewątpliwie ten powrót i pogrzeb tryumfalny przygotował drogi przed drugiem cesarstwem) — tak nasi poeci, którzy odkrywali i czcili w Napoleonie zamiary, jakich on nie miał, widzieli w tym jego pośmiertnym tryumfie hołd, oddany tej Napoleońskiej idei, która ideą Napoleona nie była, ale była pragnieniem i nadzieją ówczesnego świata, a pod ręką drugiego cesarza miała, chciała, zaczynała się urzeczywistniać... i nie zdołała. Mickiewicz, zawsze pełen czci i uwielbienia dla Napoleona, pod wpływem tego pogrzebu dopiero posuwa się w tym kulcie do ostateczności, robi z Napoleona posłannika Bożego, i jeden z dogmatów swojej mistycznej, religijnej i filozoficznej nauki. Słowackiemu wyrywa się z piersi na ten widok wiersz prześliczny, ale natchniony zwłaszcza współczuciem, a przejmujący rzewnością. Krasiński, zatopiony myślą w historyi i w polityce, i szukający w nich jakiegoś wniosku na przyszłość, w swoim wierszu porównywa małość dzisiejszego świata z wielkością tego olbrzyma, i sądzi, że może z głębi tej trumny buchnie »zmartwychwstania siła i w skrzepłe piersi gromem uderzy«. Ale się zawiódł. Trumna przeszła »i już do śmierci powrócił świat cały«.

Zdrowie zawsze złe. Ma, albo przypuszcza że ma, solitera; a dwa razy w ciągu r. 1840, w Karlsbadzie i w Sorrento, dostaje gwałtownych ataków cholery. Czy pisze co przez ten czas? Pisze i wydaje. Kiedy powstała *Noc letnia*, oznaczyć się nie da; ale dawniej zapewne, skoro posyłając Sołtanowi wydaną, wyraża się o niej, że »długo spała« (w rękopiśmie).

Bądź jak bądź, ocknęła się teraz. Czy zaś *Trzy Myśli Ligenzy* napisane były przed podróżą do Sycylii (w kwietniu 1839), a tylko przedmowa po niej była dodana, czy też wszystko powstawało w ciągu roku 1839, dość, że w roku 1840 *Trzy Myśli* wyszły, a autor często o nich w listach swoich wspomina. Ciekawa daje się przytem widzieć u niego skłonność do ukrywania się, mistyfikowania. Nie jest to ostrożność tylko, która mu każe nie przyznawać się do swoich dzieł; ta odnosiłaby się tylko do ogółu, do ludzi nieznanych. On tymczasem przed przyjaciółmi, i to najzaufańszymi, najdroższymi, udaje, że nie jego to dzieła, że nie wie co za jedne są.

»Czytałem w jakimś numerze *Gazety* doniesienie, »że pod prassą *Trzy myśli pozostałe po ś. p. Henryku »Ligenzie*— pisze do Gaszyńskiego 25-go października »1840. — Czy to już wyszło? co to jest? cóż to za zacz »ten pan Ligenza? Dawniej to była wielka familia na »Rusi Czerwonej«. W dwa miesiące później dopytuje się, »co dziennik powiada o *Trzech Myślach Ligenzy*. »Konstanty (Danielewicz) bardzo mi to dziełko zale»cał, mówiąc, że w niem głęboki sens filozoficzny«. W lutym roku 1841 »już dostał owe *Trzy Myśli*, a co »więcej, wie, kto ich rodzicem«. To, czego się Gaszyński domyśla — (czy jego autorstwa?) — jest pomyłką«. Dziwna, zapewne chorobliwa trochę passya ukrywania się, albo może przyjemność mistyfikowania, intrygowania jakżeby pod maską.

V.

Nowa przyjaźń. Słowacki. August Cieszkowski. Jego *Prolegomena do historyozofii*. Wpływ na Krasińskiego.

W tymsamym roku 1839 zaczyna się nowa w życiu Krasińskiego przyjaźń, a rośnie jedna dawniejsza.

Jeden przyjaciel nowy, to Stanisław Małachowski, z którym korrespondencya, teraz poczęta, trwać będzie do śmierci poety. Urodzony w roku 1798, przez całą młodość wiejski gospodarz, w roku 1830 poszedł do wojska i dosłużył się krzyża i stopnia kapitana; po wojnie za drugimi poszedł na emigracyę. Natura prosta i prawa, ziemianin a potem żołnierz jak być powinien, czyste zwierciadło honoru z gorącą miłością ojczyzny, a z umysłem trzeźwym i praktycznym. Małachowski tem może tak Krasińskiego silnie do siebie pociągał, że był od niego zupełnie inny; że miał jednolitość i równowagę uczuć i woli, na jakiej jemu zbywało, że drogę swoją zawsze jasno przed sobą widział i szedł nią prosto bez wahań i namysłów; że nigdy nie był sam w sobie rozdarty. On zaś przywiązał się do młodszego przyjaciela z siłą fanatycznego niemal uwielbienia, które zostało do śmierci najwybitniejszem z jego uczuć osobistych [1]).

Przyjaźń z Juliuszem Słowackim musiała zmienić się znacznie od pierwszego poznania, a weszła podobno teraz w swój okres najwyższy. Ta życzliwość chłodna i otoczona różnemi zastrzeżeniami, jaką widziało się w pierwszych wzmiankach, ustępuje teraz miejsca wyrazom serdecznego uczucia w listach do Słowackiego, gorącej, zaciętej jego obrony w listach do innych. Człowiek to, czy poeta, wywołał tę zmianę? Domyślać się można, że urok Słowackiego poezyi działał na fantazyę Krasińskiego; obojętność lub niesprawiedliwość krytyki oburzała go i czyniła mu człowieka droższym. Ta zaś właściwa jemu exaltacya w przyja-

[1]) Na emigracyi otoczony powszechnym szacunkiem, w r. 1855 zaciągnął się do formującej się w Konstantynopolu legii polskiej. W późnej starości osiadł w Krakowie, i tu umarł 22-go lutego 1883. Napisał (i wydał jako rękopism) *Krótki Rys z życia i pism Zygmunta Krasińskiego.* Kraków, 1876, 12⁰, stron 82.

źni, ten dar czy popęd do idealizowania tych których kochał, nietylko kobiet, ale i mężczyzn, musiała przymieszać się także do tego uczucia, jakie miał dla Słowackiego. Dawne pierwsze wrażenie »nie chciałbym na nim polegać«, nie odzywa się przez te lata wcale, odnajdzie się kiedyś dopiero; a teraz odzywa się tylko i wyraża bardzo pięknie słuszny zapał dla poety, i usilna chęć objaśnienia jego pomysłów i przymiotów tym, którzy ich nie rozumieli; przywiązanie szczere, a zarazem opiekuńcze, do człowieka, tem dziwne, że ten młodszy wspiera i kieruje starszego radą, przestrogą, doświadczeniem. Znać młodszy musiał czuć się silniejszym, wytrawniejszym od starszego. Zaczynają się te obrony Słowackiego, lub świadczenia Słowackiemu w r. 1839 w liście do Gaszyńskiego (z Fryburga 19 października). Dyskussya musiała się z tego listu rozwinąć i ciągnąć, skoro w kwietniu 1840 Krasiński niecierpliwie odpowiada Gaszyńskiemu, że niegdyś skarżono się tak na Byrona i na Mickiewicza, że ciemni i niezrozumiali, jak on dziś skarży się na Słowackiego. Równocześnie (w lutym 1840) piękny list do Słowackiego samego o *Balladynie*, z trafną i gorącą pochwałą jej piękności, może ze zbytniem pobłażaniem dla usterków. W grudniu podobny, trafniejszy może, list o *Lilli Wenedzie*, w której (rzecz dziwna) Krasiński przypisuje niektórym postaciom (Ślazowi) pochodzenie od Szekspira, a nie uważa pochodzenia od Calderona. Z maja tego samego roku wreszcie jest ten długi list do Romana Załuskiego, w którym Krasiński traktuje już zasadniczo kwestyę Słowackiego i jego znaczenie w literaturze; może zbyt filozoficzna i zbyt uroczysta, ale świetna charakterystyka talentu i głównych dzieł Słowackiego. Godzien uwagi ten przypisek, który mówi, że gdyby ogół wyżej i słuszniej Słowackiego cenił, Krasiński wskazywałby wyraźniej i śmielej jego strony słabe; ale »to

»wam zostawiam, którzy na to zwłaszcza macie oczy »otwarte«.

Znajomość z młodym Jerzym Lubomirskim nie nowa, skoro już w r. 1837 wspomina o nim jako o sympatycznym chłopcu, po którym spodziewa się wiele, rozwinęła się teraz w przyjaźń z obu stron gorącą, z jednej (podobnie jak u Małachowskiego) dochodzącą do zupełnego uwielbienia, i w niem do śmierci trwającą. Ale w tym szeregu przyjaciół poety występuje teraz jeden, który miał na nim wpływ szczególny wywierać. Wywarł go pismem swojem, nieznany, wcześniej niż osobą. *Prolegomena zur Historiosophie* wyszły w roku 1838. Po ich przeczytaniu musiał Krasiński listownie do autora się zgłaszać, pragnąc osobistego z nim spotkania, spotkanie to układać; ale pierwsza wzmianka o osobie znajduje się dopiero w liście (z 13 listopada 1839) z Medyolanu (do Sołtana). »Spotkałem się tu z Augustem Cieszkowskim, »autorem polemiki przeciw systemowi Hegla, w jego »ostatecznych wnioskach. Dawniej znałem się z nim »w dzieciństwie; tasama bona nas wychowała. Dzieło »jego w Berlinie wiele hałasu narobiło. Dobry i ro»zumny wysoko chłopiec. Kilka rozmów z nim miałem »bardzo ciekawych«.

Po tem pierwszem spotkaniu poszło ich wiele, wzajemne szukanie się, wzajemna potrzeba znoszenia się, pragnienie każdego nowego widzenia się i uszczęśliwienie z niego, obustronne gorące przywiązanie na zawsze. Po tej pierwszej krótkiej wzmiance o dziele nastąpią dalej coraz częstsze, coraz dłuższe i gorętsze. Wpływ Cieszkowskiego i jego rozprawy na Krasińskiego był ogromny; w tym nieustalonym rozczynie i fermencie, jakim były jego ówczesne pojęcia, ona, ta mała książeczka Cieszkowskiego, stała się tą wpuszczoną w rozczyn nitką, około której zaczęły skupiać się rozłączone atomy, i układać się w kryształy; ona

była tą podporą, z której pomocą Krasiński znalazł swoją równowagę i zaczął budować ten system filozofii historyi, jaki znajdziemy z czasem w *Przedświcie* i w *Niedokończonym Poemacie*.

Streszczenie tego dziełka jest więc na tem miejscu koniecznem. Oto pobieżny zarys głównych zawartych w niem myśli.

»Ludzkość doszła już do tego stopnia samowiedzy, że prawa swojego normalnego postępu i rozwoju uważa nie już za wymysły i złudzenia gorliwych, a w abstrakcye zagłębiających się myślicieli, ale za rzeczywiste postanowienia myśli Bożej, za jej objawy w historyi świata. Te postanowienia i te prawa mogą być poznane. Ale dotąd to tylko rozumiemy, że poznane być mogą; jakie są, tegośmy jeszcze z treści, z przebiegu historyi nie doszli, nie wydobyli, nie określili. Sam Heros nowszej filozofii, Hegel, nie zdołał, pomimo wszystkich zasług, jakie około filozofii historyi położył, nie zdołał tego najważniejszego żywotnego pytania rozwiązać. Dzieli on historyę naszego świata na cztery wielkie epoki: wschodnią, grecką, rzymską, i chrześcijańsko-germańską. Ten podział wszakże nie zgadza się naprzód z rzeczywistością historyi, bo między epoką grecką i rzymską niema różnic tak stanowczych, iżby one były z sobą sprzeczne, a przez brak tej zgodności z historyą odpada najkonieczniejsze sprawdzenie, stwierdzenie tego podziału, zatem upada system na tym podziale oparty: a powtóre, gdyby ten podział miał być prawdziwym, gdyby zasadą praw postępu ludzkości miały być cztery stopnie, a jego zewnętrznym kształtem rzeczone cztery epoki, to w takim razie nasz świat znajdowałby się już w epoce ostatniej, i niemiałby przyszłości przed sobą.

»Tymczasem tych praw postępu i rozwoju ludzkości śledzić trzeba i odkryć je można nie w części hi-

storyi, ale w jej całości; nie w przebytej już przeszłości tylko, ale i w przyszłych kolejach także.

»Ale czy znajomość przyszłości jest możliwą?

»Tu naprzód postawić trzeba twierdzenie, że jeżeli ona możliwą nie jest, to również niemożliwem musiałoby być poznanie organicznej całkowitości historyi, której ta przyszłość jest integralną częścią. Z tego wynika, że rozwiązać należy przedewszystkiem pytanie, czy poznanie przyszłości jest możliwem lub nie?

»*Jest.* W swojej istocie tylko; nie w szczególnych przypadkach i wypadkach, przejściach, nie w sposobach któremi, i formach w których się objawi, ale w swojej *istocie* przyszłość może być poznaną. Na tej zaś różnicy *istoty* i *szczególnego przypadku* polega różnica między filozoficznem poznaniem przyszłości, a jej odgadywaniem, przeczuciem, przepowiadaniem.

»Że przyszłość poznaną być może, wnieść można z tego, że historya jest organiczną całością i jednością, organizmem. Ze znanej, danej części organizmu można domyśleć, uzupełnić jego całość i nie pomylić się. Takiego dopełnienia organizmów fizycznych dokazał Cuvier. Podobnie my, z już przebytego historycznego procesu, możemy wnosić, jaka będzie ta część organicznej całości, której jeszcze nie znamy, bo ona musi odpowiadać tej części znanej i z niej wypływać. Dzieje przeszłe są dla filozofa historyi tem, czem były dla Cuviera fossilia i przedpotopowe zabytki; z nich musi i może filozof historyi poznać i zbudować całość dziejów ludzkich.

»Ale poznanie przyszłości jest nietylko możliwem; ono jest rzeczywistem, daje się praktycznie osiągnąć.

»Trojaki jest sposób oznaczenia, określenia przyszłości: przez uczucie, przez myśl, i przez wolę. Pierwszy, przez uczucie, jest przypadkowy, nieświadomy siebie, niezależny od człowieka: to widzenia i proro-

ctwa. Drugi, przez myślenie, jest refleksyjny, świadomy siebie, teoretyczny, i wydaje filozofię historyi. Trzeci wreszcie sposób, przez wolę, jest prawdziwie praktyczny, stosujący rozumowanie do rzeczywistości, i obejmuje cały zakres czynu — fakta same jak ich znaczenie — teoryę jak praktykę — ideę jak jej urzeczywistnienie; i wydaje już nie przepowiadaczy, nie filozofów historyi, ale jej wykonawców. Pierwszy sposób oznaczania przyszłości możnaby nazwać *historyomantyką*, drugi *historyozofią*, trzeci, którego dotąd nie mamy, należy do przyszłości, a istotą, cechą i przeznaczeniem jego będzie stosowanie poznanej prawdy do rzeczywistości.

Ludzkość przebywa te trzy stadya, przeczucia, świadomości, i czynu; kiedy przebyła pierwsze, a stanęła w drugiem, to z dojrzałej już świadomości siebie musi przejść w stadyum trzecie. W przeszłości działała ona i rozwijała się bezwiednie, niemal przypadkowo, tak, że *post factum* dopiero poznawała zrządzenia opatrzności i prawa myśli bożej, w kolejach które przebyła. Ale odkąd je poznała, ona będzie musiała ze świadomością czyny swoje do idei, do tej myśli bożej stosować. Opatrzność nie wyjdzie przez to z historyi i ludzkości z opieki swojej nie wypuści; tylko ludzkość dojrzeje tak, że jej wola i działanie przypadać będzie do bożych zamysłów. Ci ludzie, którzy wyobrażają narody lub wieki, ci bohaterowie, których żywoty są zarazem rozdziałami historyi powszechnej, nie będą już odtąd nieświadomemi siebie narzędziami przypadku lub konieczności, ale świadomymi swej woli i przeznaczenia sztukmistrzami własnego wolnego działania. Tylko wtedy i w ten sposób może *być wola boska na ziemi jak w niebie;* to jest będzie ona na ziemi przez świadomość, miłość, i wolną wolę, kiedy dotąd była na ziemi przez wszechmocność Boga tylko, bez świadomego i własnowolnego współdziałania człowieka.

»Możliwość poznania przyszłości doprowadza autora do twierdzenia, że również da się poznać całość i organizm historyi, a to znowu do rozumowego a zarazem przyrodzonego koniecznego podziału tego organizmu na części czyli epoki.

»Podział taki rozumowy a zarazem konieczny, na naturze rzeczy oparty, może się zasadzać jedynie na troistości. W postępie i rozwoju ludzkości musiała być jakąś epoka pierwsza jako teza; musiała być jakaś do niej w przeciwieństwie antiteza; i musi — jeżeli jest całkowitość i organizm — musi być trzecia epoka syntezy.

»Przed Chrystusem indywidualny, subjektywny duch ludzki stał na stopniu zmysłowości — zbiorowy i objektywny na stanowisku Prawa (prawa jako najwyższej znanej idei i zasady). Chrześcijaństwo przyniosło z sobą pierwiastek wewnętrznego życia, refleksyi; instynkt i popęd podniosło do godności sumienia. Podniosło ideę Prawa (i posłuszeństwa Prawu) na wyższy szczebel moralności. Równocześnie z temi nowemi pojęciami i zasadami wystąpiły i nowe ludy, nowe siły, nastąpiło razem fizyczne i moralne odrodzenie ludzkości. Przebyła ona zatem dotąd dwie epoki, dwie wielkie sfery rozwoju, świat starożytny i chrześcijański. Ale że ludzkość nie rozwinęła jeszcze wszystkich pierwiastków, jakie w niej są zawarte, że jest jeszcze przed nami przyszłość, którą z premissów przeszłości poznać jest naszą rzeczą, więc musimy przyznać, że te pierwiastki z sobą sprzeczne i wykluczające się nawzajem, te cywilizacye na nich oparte, ludzkości wystarczyć nie mogą. Tamte się oddzielały jedne od drugich, i z nich wynikłe epoki zasadzały się właśnie na takiem odróżnieniu i oddzieleniu; a tymczasem ludzkość dążyć musi do wyższego zjednoczenia, do organicznego połączenia i harmonijnego pogodzenia swoich pierwiastków.

»Starożytność stała na stopniu wrażeń i uczuć, dlatego jej właściwością był zmysł piękności, jej zdobyczą sztuka. W chrześcijaństwie wystąpiła refleksya, analiza, a nieświadomy instynkt piękności stał się świadomem szukaniem i badaniem prawdy. Co zaś wrażenia i popędy czuły, co wiedza poznała, to teraz wola ma urzeczywistnić — i to jest zadaniem przyszłości; to wskazuje, czem ona ma być. Ma poznaną piękność i poznaną prawdę w praktycznem życiu wykonać, urzeczywistnić; ma wszystkie jednostronne i oddzielnie się objawiające pierwiastki życia ludzkości organicznie połączyć, i do czynnego żywego współdziałania doprowadzić, czyli, po piękności, po prawdzie, zdobyć i urzeczywistnić ideę dobra.

»Była więc epoka przedchrześcijańska i chrześcijańska. Przyjść musi trzecia, którą poprzedzić znowu musi nowa wędrówka narodów. Tylko ta nie będzie taką, jak dawna; będzie jej przeciwieństwem. Ona wyjdzie od ludów już cywilizowanych, i podniesie te które jeszcze są w barbarzyństwie«.

Pomijamy cały wywód i dowodzenie tego założenia (bo wszystko dotąd jest założeniem tylko, ale do naszej potrzeby ono wystarcza) a zdążamy do ostatniej konkluzyi.

»Prawo (jako abstrakcya) doszło do dojrzałości, do zupełnego rozwoju w świecie rzymskim. Moralność, przez chrześcijaństwo wszczepiona, także doszła do zupełnego rozwoju; ale w pojęciu swojem, w abstrakcyi doskonała, w rzeczywistości i w praktyce ukształciła tylko stosunki prywatne. Obyczajność doskonała (trzecia sfera) ma dopiero swój rozwój zacząć. Stosunki rodzinne, stosunki społeczne, i polityczne w państwie były naturalnie w każdej epoce, i w każdej jakiemiś pojęciami i zasadami ożywione i rządzone. Ale były zawsze jednostronne, niedostatecznie ukształcone, bo jednostronną była zasada, z której one wynikały. Wy-

ciągnąć z pojęć i zasad konsekwencyę i do nich rzeczywistość zastosować, to jest, co przyszłość ma do zrobienia. Że ludzkość tę potrzebę i powinność czuje, dowodzi choćby tylko ten instynktowy zamęt i to szukanie, które się objawia we wszystkich najważniejszych duchowych jak materyalnych sprawach ludzkości. Ten zamęt nie jest czem innem jak elementarnym procesem, wytwarzającym nowe życie, który się dziś przez fermentacyę a gnieniegdzie i przez putrefakcyę objawia«.

Nie mamy tu ani potrzeby, ani prawa rozstrząsania tego systemu, sprawdzania go albo zbijania. Chodzi nam tylko o jego wpływ na Krasińskiego. Ten zarys tak niedostateczny wystarcza do przekonania, że te *Prolegomena* stały się także wstępem i do Krasińskiego historyozofii. Cieszkowski nie mówi o żadnych faktach. Z wyjątkiem chrześcijaństwa i upadku państwa Rzymskiego, żadnego nie wymienia nawet, tem mniej nie mówi o Polsce; a przecież widzi się, jak ten jego system, ta możliwość poznania przyszłości, ta przyrodzona troistość, w której trzecia epoka będzie połączeniem piękności z prawdą i urzeczywistnieniem dobrego, jak to służyło Krasińskiemu za punkt stały, na którym się oparł, za punkt wyjścia jego własnych pomysłów, za ogólną zasadę, którą do szczegółowych przypadków przystosował, za fundament, na którym stanęła jego budowa, trzecia epoka dziejów ludzkości, epoka Ducha świętego w kościele i królestwa bożego na ziemi, której już skutkiem, ale zarazem warunkiem i pierwszym symptomem ma być odrodzenie się Polski.

Czas wątpień się skończył; następuje czas pewności i wiary, który nie wyklucza smutku, boleści, chwilami nawet rozpaczy, ale w którym Krasiński już pytań nie zadaje, tłumaczeń nie szuka.

Jakie wrażenie mała Cieszkowskiego książeczka wywarła na Krasińskiego, to pokazuje jego list do

Edw. Jaroszyńskiego z 21 lutego 1840. W korespondencyi tej jest wiele mowy, wiele rozpraw o filozofii, jest zwłaszcza list jeden z Fryburga 25 września 1839, z gienialną charakterystyką związku między reformacyą Lutra a późniejszą filozofią; między oboma, a dzisiejszym politycznym stanem świata, affirmacyą absolutnego Państwa i demokracyi, negacyą indywidualności ludzkiej, i obaleniem chrześcijaństwa.

W dalszym ciągu korespondencyi donosi Krasiński przyjacielowi, że stanowisko Hegla, które on już dawniej instynktem zbijał, jest zbite filozoficznie, zwyciężone, a zwyciężone przez »naszego ziomka Cieszkowskiego«.

»Będę się starał w krótkich słowach ci tę ksią-
»żeczkę opowiedzieć; wiele narobiła hałasu w Niem-
»czech. Pamiętasz, że Hegel w historyi filozofii, wbrew
»wszystkim swoim własnym logicznym wywodom, nie
»na trychotomię, ale na tetrachotomię historyę podzielił,
»a doszedłszy do teraźniejszości, skończył, jakby histo-
»rya z nią już dopełniła się była, jakby przyszłości już
»nie było dla rodzaju ludzkiego; jak gdyby *myśl my-*
»*śli* była najwyższem stanowiskiem ludzkości, i wyż-
»szego pogodzenia sprzeczności od pogodzenia ich
»w *myśli* na świecie nigdy być nie miało. Teraz wy-
»stępuje August i tak mówi: Logika Hegla jest prawdą
»absolutną, wszędzie zatem przystosowalną w historyi
»jak w naturze. Historya trzy podziały i trzy tylko
»dostanie: 1) Przeszłość starożytna. 2) Epoka chrze-
»ścijańska. 3) Przyszłość. -- W filozofii Hegla schwycił
»się sam duch ludzki na uczynku; sumienie filozofi-
»czne zeszło się z sumieniem ludzkości! To jest naj-
»wyższy klasyczny punkt filozofii. Jak niegdyś sztuka
»grecka była klasycznym najwyższym punktem sztuki,
»i jak od tego punktu sztuka przez romantyczny kieru-
»nek podniosła się wyżej, lecz zaczęła jednak przecho-
»dzić w filozofię; tak teraz filozofia także się podniesie

»wyżej, ale już nie jako filozofia, i zacznie przechodzić »w pole *woli, działania, czynu absolutnego*. Starożyt- »ność była *epoką czucia*, najwyższe jej stanowisko »sztuka! Sztuka jest to *byt tożsamości bytu z myślą*. »Chrześcijaństwo było epoką myśli, najwyższe jej sta- »nowisko filozofia. Filozofia cóż to jest? *Myśl tożsamości »myśli i bytu!* Sztuka jest już *całością* i filozofia jest »*całością;* jednak obie jeszcze pewnym abstrakcyjnym »kierunkiem, formą raczej obciążone; bo w definicyi »pierwszej masz *byt* dwa razy; w definicyi drugiej, »myśl tyleż powtórzoną. Obie garną się ku wyższej »Syntezie ku Tożsamości, z zlewka ich samych wypa- »dającej. Jakaż to jest? Jak się zowie ostateczne po- »godzenie sprzeczności, ostateczne pojednanie myśli »z bytem: oto *czyn*, oto *wola! Czucie, myśl, wola*, »oto trzy władze ducha, z których trzecia dwie pier- »wsze zamyka, zawiera pod kształtem jedności. Oto »cecha trzeciej epoki; epoka woli być musi, woli ab- »solutnej. W epoce woli wszystkie premissy dwóch »pierwszych zlane, pogodzone, dopełnione zostaną; »tylko, że zawsze akcent tu na *woli* postawionym bę- »dzie. Wola w uczuciu będzie to *miłość absolutna;* »wola w *myśli*, czyli myśl stająca się czynem, działal- »nością, *potęgą*, będzie to mądrość absolutna. Wola »w woli, czyn wiecznie stający się, czyn czynu, bę- »dzie to *wszechpotęga życia*, a zatem tesame predy- »katy ludzkości i ducha absolutnego: *Miłość, Mądrość, »Potęga!*

»Jeszcze inaczej on to wyraża: Starożytność była »*Tezą*, chrześcijańska epoka *Antytezą*, — przyszłość »Syntezą. Wiesz z logiki, że moment drugi, że Anty- »teza, nietylko objawia się w sprzeczności z *tezą*, ale »jeszcze w sobie samej zawiera rozerwanie konieczne: »sprzeczność i walkę. I tak w starożytności, w *tezie*, »w pączku nierozwitym na polu całości w czuciu, na

»błoniach sztuki, nie było dwojności, nie było ziemi »i nieba, przedgrobu i pogrobu; była tylko jedna zie»mia zielona! Chrześcijaństwo nietylko że stawia się »w sprzeczności do świata pogańskiego, ale w własnej »treści swojej rozdziera się na dwoje, jak ów welon »świątyni o godzinie skonu Chrystusa: Ziemia i niebo, »padół łez przed grobem, błękit wiekuisty po grobie! »Materya i myśl: pierwsza potępiona, — druga wywyż»szona, zwycięska. Ztąd Romantyzm w sztuce, — ztąd »*Brzydota*, wprowadzona jako moment sztuki, jako »materyi znamie!«

»Teraz gdy Synteza się zbliża, czemże ona się »objawi? Oto pewnym powrotem z Antytezy do Tezy; »lecz nie takim, by Antyteza z wyżyn zdobytych znów »miała zstąpić na doliny Tezy; ale takim, by Teza wy»szlachetniła się i podniosła, i przylgnęła do Antytezy; »zatem potępioną już nie była, ale zbawioną i piękną! »*Byt* musi zrównać *myśli;* teza — antytezie! Materya »musi ciążącego nad sobą pozbyć się przekleństwa »przez podniesienie się, przez stanie się *adaequat* »myśli. Natura cała musi przejść przez drugą kreacyę! »Industryalny popęd naszego wieku, sam o tem nie »wie, że jest tego zwiastunem, i tego tylko, niczego »innego!«

»Dotąd, podług Augusta, były tylko w dziejach »*Thatsachen*, teraz będą prawdziwe *Thaten*. On je »nazywa *Nachtheoretische Thaten*, by je rozróżnić od »przeszłych czynów, które zawsze działy się na ślepo, »a z których dopiero po ich objawieniu wysysano »teoryą!«

»W trzeciej syntetycznej epoce, w epoce woli »inaczej dziać się musi. Teorya poprzedzi Czyn, i Czyn »będzie Adaequat teoryi. Byt wszędzie równy Myśli; »tak się dzieje w Bogu, bo musimy przyznać, że *logika* »poprzedziła *naturę*, chociażeśmy dopiero Logikę z na»tury wydobyli. Dotąd myśl z bytu się nam snuła,

»kiedyś w byt myśli snuć się będzie, i wola Boga bę»dzie wolą naszą, lub nasza raczej Boską«.

»W Epoce *Czucia* były wyrocznie, i proroki wi»dzieli przyszłość; w epoce *chrześcijaństwa* byli głę»bocy myśliciele i przemyśliwali przyszłość«.

»W *Epoce trzeciej* będą wielcy ludzie, czynić »będą przyszłość! Zatem najwyższa absolutna wola, »czyn, realność jest ostatecznem przeznaczeniem ludz»kości. A myśl myśli i pogodzenie sprzeczności Bytu »i Myśli w samej myśli tylko, abstrakcyą; choć ją He»gel chciał udać za całość!«

Że zawarta z Cieszkowskim przyjaźń i nieustające z nim rozmowy i korespondencye, nie mniej, ale jeszcze więcej przyczyniały się do uorganizowania Krasińskiego pomysłów i do zbudowania jego systemu, że zarysy tego systemu musiały się w takiej zamianie myśli razem ustalać, wypełniać, i do faktów przymierzać, to nieuniknione; inaczej być nie mogło. Ale to pewna, że niepewność, chwiejność, zamęt pojęć, jaki był niedawno, znika, a przybliża się wyrozumowana, dogmatyczna pewność.

BIBLIOTEKA Wyższej Szkoły Pedagogicznej W KRAKOWIE

SPIS TREŚCI TOMU I.

Str.

ROZDZIAŁ I. — Charakter poezyi Krasińskiego.
Czas Krasińskiego. Odrębność jego poezyi i związek ze współczesnym stanem świata. Treść: kwestye społeczne i polityczne, i zagadnienia przyszłości. Skutkiem takiej treści jest allegoryczna i symboliczna forma. Konieczność tej formy i jej wrodzone niedostatki. Poezya Krasińskiego jest skutkiem naszych stosunków i ich obrazem. Jej bezosobistość. Brak zamiarów i dążności literackich. Klaczko o jej okresach i przedmiotach. 1

ROZDZIAŁ II. — 1812—1833.
I. Dzieciństwo. Rodzice. Charakter Jenerała Krasińskiego. Starościna Opinogórska. Sprzeczność natury ojca i syna. Nauki. Przyjaciele. Pociąg do czytania i pisania. *Grób Rodziny Reichstalów. Władysław Herman.* Jenerał Krasiński w Sądzie Sejmowym. Pogrzeb Wojewody Bielińskiego. Wyjazd młodego Krasińskiego z Warszawy. II. Usposobienie Krasińskiego w pierwszych czasach pobytu za granicą. Małe Powieści. Znajomość z Mickiewiczem. Przyjaźń i korespondencya z Henrykiem Reeve. Henryeta Willan. Wyjazd do Rzymu. III. Powstanie roku 1830. Listy do ojca. Prośby. Wzięcie Warszawy. Przeobrażenie dokonane w Krasińskim pod wpływem tych wypadków. IV. Rozpacz. Spotkanie z Leonem Łubieńskim. Stan świata. Przyszłość. Dawna miłość. Pojęcie miłości i małżeństwa. Pisma. *Agay-Han. Ostatni.* Koniec roku 1831. V. Listy do Gaszyńskiego. Wyjazd ze Szwajcaryi. Opinogóra. Pani Załuska. Petersburg. Choroba. Audyencya u cesarza Mikołaja. Pomysł Irydyona. Wyjazd do Włoch 29

ROZDZIAŁ III. — Nieboska Komedya.
I. Nienawiści i walki społeczne. Określenie ich w liście do Gaszyńskiego. *Nieboska komedya.* Jej tytuł. Wstęp. Jego związek z bohaterem poematu i z autorem. Pozorny brak związku

Str.

między pierwszą a drugą połową poematu. Prawdopodobny początek i powód dwóch pierwszych części. Henryk jako człowiek i jako typ. Jego ślub. Złamanie ślubu. Hrabina. Ojciec chrzestny. Obłąkanie hrabiny. Zgryzota męża i niedowierzanie własnym uczuciom. Scena w domu obłąkanych. II. Orcio. Jego natura jest karą Henryka. Potrzeba dwóch pierwszych części poematu. Właściwa tragiczność Henryka. Pankracy. Jego przeszłość i teraźniejszość. Jego tragiczność. Powód jego pociągu do Henryka. Tło obrazu. Pierwiastki, stopnie, i typy rewolucyjnych popędów. Czego Henryk szukał w obozie Pankracego? III. Rozmowa Pankracego z Henrykiem. Wielkość obu. Zdanie Mickiewicza i jego zarzuty. Część czwarta. Zbyteczna treściwość. Surowość poety względem wszystkich. Znaczenie widzenia Orcia. Pożegnanie z nim i ostatnie słowa Henryka. Zwątpienie Pankracego. Jego śmierć. Zakończenie nie jest rozpaczliwe. Stanowisko i przekonania Krasińskiego. Objaśnienie *Nieboskiej* przez jego syna. Jej myśl filozoficzna, religijna, patryotyczna. Pierwiastki jej wielkości. Jak ją rozumiał sam autor? Objaśnienie w jego liście 121

ROZDZIAŁ IV. — 1833–1836.

Krasiński w Rzymie. Znajomi i przyjaciele. Zamiłowanie Rzymu. Ślady przekonań religijnych i politycznych i pojęć estetycznych w listach. Zniechęcenie do siebie samego. Pragnienie szczęścia. Nowa miłość. Jej ślady w listach. Zachwyty i gorycze. Charakter tego uczucia. Lato w Niemczech. *Irydion* 221

ROZDZIAŁ V. — Irydion.

Zkąd pomysł *Irydiona*? Rozmyślanie o narodach upadłych. Czy odżyć mogą? Przykłady za i przeciw. Możliwość odżycia. Jego sposób. Miłość ojczyzny doskonała. Myśl poematu. Kształt tej myśli. Grek wróg Rzymu i jego uczucia. Chwila jego działania. Rozmiary i zakres obrazu. Tło. Postać bohatera. Jego wielkość: jego dusza człowieka naszych czasów: jego pozór klasyczny. Jego pochodzenie. Jego działanie. Budowa poematu. Prolog. Pierwsza scena. Zmysł artystyczny i miara. Elsinoe. Kobiety Krasińskiego. Elsinoe i Antigona. Effekt przeciwieństw. Massynissa. Szatan w historyi. Jego stosunek do miłości ojczyzny. Przystosowanie. *Irydion* u celu. Spisek z Cezarem przeciw Rzymowi. Postacie Rzymian godnych: Ulpianus, Mammaea, Alexander Severus. Koniec części pierwszej. *Irydion* w katakombach. Symeon z Koryntu. Miłość *Irydiona*. Znaczenie Kornelii. Monolog Massynissy. Spisek pretoryanów. Ostatnia scena Elsinoy. Zwrot w położeniu *Irydiona*. Niezgo-

Str.

dność między głębszem znaczeniem wypadków a ich przebiegiem w poemacie. Przegrana. Rozmowa *Irydiona* z Ulpianem. Zamierzone samobójstwo *Irydiona*, zmiana w jego uczuciach. Obietnica Massynissy. Epilog. Obietnica Massynissy dotrzymana pozornie. Żałość *Irydiona*. Sąd nad nim. Przebaczenie warunkowe. Powtórna próba *Irydiona*. Znaczenie Epilogu. Myśl poematu. Jej prawdziwość. *Irydion* i *Wallenrod*. Przystosowanie *Irydiona* i zasługa Krasińskiego. Wartość artystyczna poematu. Poezya Rzymu 249

ROZDZIAŁ VI. — 1836—1840.

I. 1836—1838. Zima we Włoszech. Smutek, rozterka. Znajomość ze Słowackim i sąd o nim. Walki wewnętrzne. Lato u wód. Rozpaczliwe słowa o Polsce. Chwile wesołości. Przyjaźń i pociecha dla Sołtana. Pierwsze wiersze miłosne. Zima w Wiedniu. Polacy tamtejsi. Teatr. Zniechęcenie do siebie. Ojcowskie plany ożenienia. Opór. II. Spotkanie z ukochaną. Nowe wiersze. Fragment Wandy. Powtórna zima w Wiedniu. Ostatnie spotkanie. Podróż do kraju. Zerwanie. Jesień we Włoszech. Wiersze. Ich charakter. Ostatni list do Reeva. Modlitewnik. III. Rok 1839. Znajomość z rodziną Komarów. Pani Delfina Potocka. Pierwsze wrażenie Krasińskiego. Miłość. Jej wyznania w listach. W wierszach. Jej charakter. Podróż do Sycylii i jej dziennik. IV. Szczęście i smutek. Powody smutku. Cierpienie patryotyczne. Pokusa zwątpienia. Niejasność pojęć religijnych i filozoficznych. Stosunek z ojcem. Plany ożenienia. Opór. Panna Eliza Branicka. Listy do Adama Potockiego. Przewiezienie zwłok Napoleona. Nowe dzieła. V. Nowa przyjaźń. Słowacki. August Cieszkowski. Jego *Prolegomena do historyozofii*. Wpływ na Krasińskiego 333

BIBLIOTEKA
Państwowego Pedagogium
w Krakowie

2568

UP - Kraków BG

1050146221